



SHEILA O'FLANAGAN



Twój, na zawsze

Rozdział 1

Iona Brannock nie była w ciąży.

Nie powinna być tym zaskoczona. Zbyt optymistycznie zakładała, że zajdzie w ciążę za pierwszym podejściem. Przecież kobiety nie zachodzą w ciążę natychmiast, kiedy tylko sobie tego zażyczą. Ale Iona zawsze była pełna optymizmu. I tak naprawdę najbardziej zaskoczyło ją uczucie gorzkiego rozczarowania, którego doznawała, zawodu, jaki niespodziewanie sprawiło jej własne ciało. Była tak pewna siebie. Tak pewna ich obojga.

Rzecz w tym, tłumaczyła sobie zatopiona w myślach, że wszystkie poprzednie razy w ciągu ostatnich czterech lat, gdy gnietli prześcieradła i krzyczeli z namiętności, dotyczyły tylko ich samych oraz przyjemności, jaką sobie nawzajem dawali. Teraz było inaczej. Seks w ostatnim miesiącu był wyjątkowym doświadczeniem, ponieważ służył nowemu celowi. W efekcie intensywność ich doznań podczas wspólnych nocy wzrosła jeszcze bardziej. Iona nie sądziła, że może kochać Franka jeszcze bardziej, jeszcze namiętniej. Albo że ich życie seksualne może dawać większe spełnienie. Myliła się. Staranie się o dziecko z Frankiem okazało się najsilniejszym i najbardziej intensywnym doświadczeniem w jej życiu.

Oczywiście najpierw to omówili. Odbyli długą i poważną rozmowę o samej idei powoływania na świat nowego życia. Frank był przekonany, że podejmują słuszną decyzję, Iona natomiast miała sporo wątpliwości. Nie była pewna, czy jest wystarczająco dojrzała, by ponosić odpowiedzialność za inną istotę. Ogrom tego zadania mnie przeraża, wyszeptala, gdy leżeli przytuleni w swoim wielkim łóżku. A wtedy Frank pocałował ją i powiedział, że jej obawy świadczą właśnie o tym, że będzie wspaniałą matką i że jego zdaniem nic innego nie zwiąże ich mocniej niż posiadanie dziecka. Dodał, że staną się wtedy prawdziwą rodziną. A on pragnie stworzyć z nią rodzinę. Nie powinna mieć obaw. Poza tym, czy nie jest świetna we wszystkim, co robi? Czy nie radzi sobie doskonale z pracą w agencji wynajmu nieruchomości, gdzie musi się zajmować niezrównoważonymi psychicznie wynajmującymi i równie zwariowanymi właścicielami? W porównaniu z nimi opieka nad dzieckiem to przecież łatwizna.

Uśmiechnęła się wtedy. A Frank dodał, że w każdym razie on będzie we wszystkim jej pomagał.

- Obiecujesz? - wzruszyła ją szczerą jego zapewnien.

- Obiecuję - odpowiedział.

Kochali się więc, mając nadzieję na poczęcie dziecka, a ta noc okazała się najcudowniejszą ze wszystkich spędzonych dotychczas razem. Teraz jednak Iona musiała przyznać, że bez względu na to, jak cudowna była owa noc oraz wszystkie kolejne poświęcone prokreacji, czekało ich jeszcze wiele fantastycznych zbliżeń, bo jednak w ciążę nie zaszła. Potwierdzał to ból w krzyżu i bardzo nieprzyjemne skurcze, które odczuwała w dole brzucha.

Teraz wydawało jej się głupie, że zgodnie ze wskazówkami zawartymi w poradniku feng shui urządziła już w ich domu kącik dziecięcy, pomimo sceptycyzmu rozbawionego tym Franka. Ale jak stwierdziła, nie zaszkodzi wykorzystać krążących po domu sił (w końcu opuszczenie klapy sedesu zadziałało i powstrzymało wyciek pieniędzy z domu, Frank podpisał przecież duży kontrakt dokładnie w dniu, w którym się do niej

wprowadził), w związku z czym umieściła kilka fotografii swojej sześciolatniej siostrzenicy Charlotty i czteroletniego siostrzeńca Gavina na prostym dębowym kredensie w południowej części salonu, a potem dla wzmocnienia strefy rodziny postawiła jeszcze na wiszącej obok półce kryształową kulę. Gdy zakończyła ulepszanie przepływu energii w domu, była pewna, że ze względu na wszystkie jej starania, zajście w ciążę okaże się jedynie przyjemną formalnością.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić od razu do Franka, żeby mu przekazać niemiłą wiadomość, ale w końcu zrezygnowała. Nie chciała zaczynać dnia od takiej rozmowy i była raczej pewna, że o tej porze on również by sobie jej nie życzył. Cieszyła się jednak, że tego wieczoru Frank wraca do domu, bo będą mogli mocno się przytulić i wzajemnie zapewniać, że następnym razem na pewno się uda.

Iona nigdy nie opowiadała Frankowi, że jej matka zaszła w ciążę dopiero po pięciu latach starań. Nie opowiadała mu o wielu wizytach u lekarzy, jakie zrozpaczona Flora Brannock odbyła, by się dowiedzieć, czy wszystko z nią w porządku, oraz o niewolniczym uzależnieniu od rozmaitych diet, ćwiczeń, reżimów, pomagających zachować zdrowie, w jakie w efekcie popadła. Bo przecież to nie miało znaczenia - Florze udało się w końcu urodzić starszą siostrę Iony, Lauren, po kilku latach Ione, a jeszcze później Craiga. Nie miała problemu z płodnością, tylko potrzebowała czasu, żeby zaskoczyć, wyjaśniła córkom, opowiadając im o tym, skąd się biorą dzieci, kiedy tylko zadały owo odwieczne pytanie.

Iona przekręciła na palcu delikatny złoty pierścionek, który służył jej za obrączkę. Nie będzie miała takich problemów jak jej matka, była tego pewna. Charlotta i Gavin byli dziećmi Lauren i jej siostra nie miała żadnych trudności z płodnością. A to, że Iona nie zaszła w ciążę od razu za pierwszym razem, o niczym jeszcze nie świadczy.

Otwierając pudełko z tamponami, pomyślała, że byłoby jednak miło, gdyby wszystko ułożyło się po jej myśli. Znała siebie i wiedziała, że nie lubi czekać. Flora zawsze nazywała ją swoją niecierpliwą córką. Lauren była tą spokojną - nigdy niczym się nie denerwowała i wydawało się, że płynie przez życie kompletnie bez stresu. Iona natomiast jako dziecko mimo zakazu weszła na dach ogrodowej szopy i zeskakując z niego, pokaleczyła sobie nogę o kolce różanego krzewu, a w wieku sześciu lat, bez niczyjej pomocy próbowała samodzielnej jazdy na rowerze bez bocznych kółek i zdołała, mocno się chwiejąc, pokonać kilka metrów, zanim wpadła na mur wokół domu państwa Delaney, rozcinając sobie wargę, rozwalając nos i wybijając dwa przednie zęby. Jako nastolatka nie stosowała się do wyznaczonej przez rodziców godziny powrotu do domu i przez trzy noce z rzędu przekradała się przez okno w łazience, dopóki jej nie przyłapano, ponieważ Flora przestawiła na parapet kaktus i Iona zrzuciła go z hukiem na pokrytą płytkami podłogę. Gdy miała dwadzieścia lat, jako pierwsza wyprowadziła się z rodzinnego domu, chcąc mieszkać na swoim, podczas gdy Lauren wciąż była zadowolona, że mieszka u rodziców.

Craig, najmłodsze dziecko państwa Brannock, był po prostu synem. Wysoki i dobrze zbudowany chłopak miał smutne oczy o głębokim spojrzeniu, które sprawiały, że wyglądał na wyjątkowo wrażliwego, więc wszystkie dziewczęta na osiedlu, gdzie mieszkali, szalały na jego punkcie i czatowały wokół ich domu, by choć rzucić na niego okiem. Iona uśmiechnęła się sama do siebie na myśl o swoim młodszym bracie, pracującym obecnie jako inżynier do spraw telekomunikacji w Chinach i prawdopodobnie nadal łamiącym niewieście serca. Ich ojciec był nowoczesnym facetem na długo przed nadejściem mody na zmywanie naczyń i publiczne oka-

zywanie uczuć przez mężczyzn i Iona nie miała żadnych wątpliwości, że David Brannock szczerze kochał obie swoje córki i wiązał z nimi wielkie nadzieje, jednak kiedy na świat przyszedł Craig, zamieszanie związane z narodzinami syna było większe niż w przypadku dziewczynek.

Ionie to nie przeszkadzało. Wiedziała, że rodzice kochali ich wszystkich tak samo. I choć zachowywali się staromodnie, jeśli chodzi o całą tę sprawę z posiadaniem syna i dziedzica, do pewnego stopnia ich rozumiała. Jednak zachowa panieńskie nazwisko po ślubie, tak by wszyscy znali ją nadal jako Ionę Brannock. A z Frankiem uzgodnili, że ich córki będą nosić jej nazwisko, a synowie jego. Była pewna, że to się sprawdzi. Tylko najpierw muszą te dzieci mieć.

Wyszła z łazienki i przeszła do malutkiej sypialni. Coś będą musieli z tym zrobić, gdy ich miłosne starania wreszcie przyniosą efekt. Teraz mieszkała z Frankiem w niewielkim segmencie w pobliżu Iveagh Markets w dublińskiej dzielnicy Liberties. To był wspaniały dom w doskonałym miejscu, gdyż znajdował się tak blisko centrum miasta, że do pracy mogła chodzić na piechotę, o ile nie musiała brać samochodu, żeby móc w ciągu dnia pokazywać klientom mieszkania. Nie był to natomiast duży dom, zwłaszcza odkąd jednej z sypialni zaczęli używać jako biura. Frank prowadził własną firmę, DynaLite. Zajmował się montowaniem skomplikowanych systemów oświetleniowych w hotelach i klubach nocnych oraz specjalnymi instalacjami świetlnymi na różne okazje. Jak na firmę prowadzoną w gościnnej sypialni oraz w wynajmowanym biurze w południowej części miasta, było to niezwykle udane przedsięwzięcie, a wszystko dlatego, że Frank pracował z ogromnym oddaniem. Każdego tygodnia podróżował po całym kraju, by się spotykać z klientami, i czasami przez wiele dni nie wracał do domu, bo musiał na czas skończyć jakiś projekt.

Iona, która swoją pracę dla agencji wynajmu nieruchomości mogła od czasu do czasu wykonywać w domu, także korzystała z gościnnej sypialni jako biura, choć nie tak często jak Frank. Trzymali tam wszystkie materiały związane z pracą, komputer, drukarkę i faks. To było miejsce, gdzie każde z nich mogło pójść, kiedy potrzebowało spokoju. To jednak nie zdarzało się często - ponieważ Frank tak dużo czasu spędzał poza domem, kiedy wracał, lubili jak najwięcej być ze sobą.

Używanie jednej sypialni jako biura oznaczało, że tak naprawdę mieszkali w domu tylko z jedną sypialnią. Doszedłszy do wniosku, że będą musieli się przeprowadzić, gdy powiększy im się rodzina, Iona odczuwała lekkie poczucie winy, bo wiedziała, że dawniej bardzo liczne rodziny musiały jakoś mieścić się w szeregowcach. Ale teraz było inaczej niż w latach trzydziestych czy czterdziestych. A poza tym swój dom kupiła od jakiegoś zwariowanego architekta wnętrz, który urządził go co prawda fantastycznie, ale zgodnie z potrzebami singla płci męskiej. Miała całkowitą pewność, że modne schody ze szkła i wiele ostrych kątów mogą się okazać niebezpieczne dla małego dziecka, nawet jeśli doskonale odpowiadają wyznawanym przez nią zasadom zen.

Wyglądziła na biodrach spódnicę kostiumu marki Zara w niebieską pepitkę. Poprzedniego wieczoru, gdy okres spóźniał się jej już dwa dni i wbrew sobie pozwoliła, by radość ze spodziewanego macierzyństwa zaczęła w jej głowie kiełkować, pomyślała o ubraniach ciążowych i zastanawiała się, gdzie można kupić modne ciuchy na te dziewięć miesięcy. Wiedziała, że w centrum jest mnóstwo sklepów z odzieżą dla ciężarnych, bo pamiętała, jak Lauren zachwycała się nimi, będąc w ciąży z Gavinem. Nie mogła jednak przypomnieć sobie nazwy żadnego z nich. Stała przed lustrem z poduszką wepchniętą pod bladą różową koszulkę i rozmyślała o tym, jak się zmieni jej figura. Bardzo się zmieni, pomyślała, ponieważ była (co lubił podkreślać jej ojciec)

prawdziwym chuchrem. Miała (prawie) sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, krótkie atramentowoczarne włosy, które czasami stroszyła za pomocą żelu, zwykle jednak nosiła fryzurę na chłopczycę, ładnie okalającą jej raczej trójkątną twarz. Jej granatowe oczy lśniły, a wydatne usta nawet bez szminki przybierały intensywnie różową barwę. Niewielki i zgrabny nos byłby wręcz śliczny, gdyby nie mały garb (spuścizna po zderzeniu z murem Delaneyów). Iona odznaczała się raczej oryginalną urodą, ale też zawsze bardziej od tego, co piękne, ceniła to, co interesujące. Nie mogło być inaczej, gdyż wszystkie geny zapewniające urodę odziedziczyła Lauren, która miała gładką cerę, jasną karnację, fiołkowe oczy i lśniące włosy o barwie miedzi, których łagodne fale podkreślały idealne proporcje jej twarzy. Nos Lauren też był doskonały. Iona wiedziała, że siostrze przypadły też w udziale jakieś śladowe geny zapewniające wysoki wzrost, gdyż Lauren miała blisko metr siedemdziesiąt i smukłą, godną pozazdroszczenia figurę, dzięki której nawet w ciąży wyglądała fantastycznie. Iona pomyślała, że ona sama będzie w ciąży wyglądać jak pękata beczka.

To nieważne, przekonywała samą siebie, wrzucając do torebki komórkę, ponownie sprawdzając w lustrze, jak wygląda, i biorąc do ręki klucze od domu. Na razie nic się nie zmieniło. Wszystko jest dokładnie tak jak przedtem.

Agencja wynajmu nieruchomości, w której pracowała Iona, znajdowała się przy Dame Street, niedaleko imponującego (choć zdaniem Iony strasznie brzydkiego) budynku Banku Centralnego z eleganckim dziedzińcem, fontanną i pomnikiem z brązu od strony ulicy. Blisko jej biura znajdował się również Trinity College, który podobał jej się o wiele bardziej i gdzie często chodziła w słoneczne dni w porze lunchu, by zjeść kanapkę na bujnym zielonym trawnikiem. Dziś, pomimo obiecująco bezchmurnego nieba i ciepłego południowego wiatru, nie ma żadnej szansy na lunch na trawnikach Trinity czy gdziekolwiek indziej. Ma napięty plan dnia - rano sprawy administracyjne w biurze, a potem powrót do domu po jasnozielonego nowego garbusa, by pojechać nim do sześciu mieszkań, które będzie pokazywać tego popołudnia i wieczoru.

Gdy usiadła przy swoim biurku z białego drewna i logowała się do komputera, znów poczuła skurcze brzucha. Nienawidziła tych dni. Nienawidziła tego, że czuje się opuchnięta, dokuczliwego pobolewania w krzyżu i tych przeklętych skurczów, przez które zwijała się z bólu przez pierwszy i drugi dzień okresu. Wsunęła szufladę biurka i wyjęła kilka kapsułek. W trakcie porodu, przypomniała sobie, kiedy je połykała, będzie bardziej bolało. O wiele, wiele bardziej! Wzdrygnęła się lekko. Zdecydowanie była już gotowa na ciążę, jednak bardzo się obawiała związanych z nią dolegliwości fizycznych. Mimo głębokiego przekonania, że chce, by wszystko przebiegało w zgodzie z naturą, bała się, że intensywność bólu to uniemożliwi. To niezwykle, rozmyślała, że mimo wielkich postępów w ciągu tysięcy lat ludzie wciąż nie znaleźli lepszego sposobu na rodzenie dzieci. Kurom to dopiero dobrze, pomyślała. Jajko ma o wiele lepszy kształt do rodzenia - żadnych wystających rąk i nóg, mogących się ukazać w nieodpowiednim momencie.

- Dzień dobry, Iona! - przywitała ją Ruth Dowson, zajmująca się wynajmem w północnej części miasta.
- Co u ciebie? - Spozregła pastylki prawoślazowe i kapsułki z olejem z ogórecznika lekarskiego na biurku Iony i uśmiechnęła się współczująco.

- Wszystko w porządku - odparła Iona - Żałuję tylko, że umówiłam się na tyle spotkań dziś po południu.

- Weź coś przeciwbólowego - zasugerowała Ruth. - Ja...

- Dzięki, ale nie - Iona uśmiechnęła się do niej. - Te mi wystarczają. - Skrzywiła się z bólu.

Ruth wysunęła szufladę, wyjęła zapas aspiryny, paracetamolu i ibuprofenu i rozłożyła na swoim biurku.

- Jesteś pewna?

Iona popatrzyła na stos tabletek i ponownie pokręciła głową. - Masz tu całą aptekę - odparła z lekceważeniem. - Dam ci telefon do mojego mistrza jogi, to o wiele zdrowsze.

Ruth prychnęła i odebrała dzwoniący telefon.

- Rental Remedies - powiedziała. - Przy telefonie Ruth. W czym mogę pomóc?

Iona zadzwoniła do Franka dopiero po dziesiątej. Cały tydzień miał wypełniony spotkaniami z klientami w południowo-zachodniej części kraju, ale już wieczorem tego dnia miał wrócić do Dublina. Postanowiła zajrzeć do jego kalendarza. Dzięki temu, że każde z nich mogło przez Internet sprawdzić uaktualniane co wieczór plany partnera na kolejne dni, wiedziała, że tego ranka o dziesiątej Frank miał spotkanie, ale uznała, że do tej pory powinno się już było skończyć. Frank nie potrzebował wiele czasu, by doprowadzić do zawarcia umowy. Miał wrodzony dar przekonywania, od razu znajdował czuły punkt klienta i umiał sprawić, by ten czuł, że w razie czego Frank osobiście zajmie się każdym ewentualnym problemem. I tak potem robię, opowiadał Ionie, w końcu to oni, moi klienci, opłacają moje rachunki! A poza tym większość z nich to bardzo mili ludzie. Iona słysząc to, uśmiechała się mimowolnie - Frank we wszystkich ludziach dostrzegał pozytywne cechy. Upierał się, że innym trzeba ufać. I między innymi za to go kochała.

Odebrał telefon niemal od razu, a Iona rozpromieniła się na sam dźwięk jego głosu. Frank miał bardzo, ale to bardzo seksowny głos. Jak Pierce Brosnan, Richard Burton i Sean Connery razem wzięci. I cały taki był. Iona była nawet nieco zdumiona faktem, że złapała faceta, który był bardziej seksowny niż Colin Firth w mokrej koszuli.

- Cześć, skarbie - powiedział.

- Dzień dobry, kochanie.

- Co u ciebie?

- Och, świetnie.

- Nie jesteś w ciąży.

- Skąd wiesz? - Iona sądziła, że udało jej się zachować wystarczająco obojętny ton głosu.

- Mam swoje sposoby - odparł Frank, który doskonale potrafił odczytywać emocje z tonu jej głosu. -

Nie martw się, kochanie, następnym razem się uda.

- Nie martwię się - odpowiedziała Iona. - I wiem, że się uda. A staranie się o to będzie dla nas świetną zabawą.

- I tak trzymać - powiedział Frank. - Kocham cię, wiesz?

- Możesz mówić takie rzeczy, bo jesteś teraz w samochodzie sam - odparła Iona.

- A ty nie możesz, bo ktoś się przysłuchuje?

- Właśnie. Ale ja też.

- Myślisz, że nie zgadnie, o czym mówimy?

Iona spojrzała na biurko naprzeciw. Ruth pochylała swą ciemną głowę nad wydrukowanym arkuszem i wydawała się pochłonięta pracą. Odhaczała kolejne liczby na leżącej przed nią stronie, wsuwając czubek różo-

wego języka między zęby. Gdy Iona przyglądała się jej w milczeniu, Ruth spojrzała na nią i przelotnie się uśmiechnęła.

- Och, jak zwykle masz rację.

Frank się roześmiał. - Po prostu znam was, dziewczyny, i tyle.

- O której będziesz w domu? - zapytała Iona.

- Wyjadę najwcześniej, jak się da, ale tak czy siak to cztery godziny drogi - odpowiedział Frank. - Także dojadę dopiero po szóstej, a jeśli będą korki, to po siódmej. A ty?

- Ja do siódmej pokazuję mieszkania - odparła Iona przepraszającym tonem. - Nie udało mi się lepiej tego rozplanować.

- Nie martw się - powiedział jej Frank. - Zadzwoń do mnie po ostatnim spotkaniu i jeśli to ja dotrę do domu pierwszy, zamówię pizzę. - Zachichotał. - I nie mów, że wolałabyś jakąś sałatkę. Dziś wieczorem musisz się czymś pocieszyć, kochanie.

- Jesteś kochany, wiesz?

- Oczywiście, że tak. Jesteś szczęściarą, że mnie spotkałaś.

- Dobrze, dobrze. Chyba trochę przesadzasz.

- A ja jestem szczęściarzem, że spotkałem ciebie - dodał.

- To już brzmi lepiej - powiedziała. Ale uśmiechała się, odkładając słuchawkę.

Przed drugą po południu była już w samochodzie i zmierzała na pierwsze spotkanie. Miała pokazać luksusowy apartament w położonym pod Dublinem miasteczku Dún Laoghaire. Potencjalny najemca został wydelegowany do pracy w Irlandii przez swoją firmę z branży usług finansowych z Barcelony. Iona pokazała mu już apartamenty w dzielnicy portowej, jednak Enrique Martinez wolał coś usytuowanego dalej od miejsca pracy. Iona postanowiła oczarować go droгим apartamentem z widokiem na morze na luksusowym przedmieściu. Sama bym go wynajęła, gdyby było mnie stać, pomyślała, jadąc windą na ostatnie piętro. Jest po prostu fantastyczny. Ogromny, ale przeznaczony dla jednej osoby, a ja... ja muszę raczej zacząć myśleć o bliźniaku ze sporym ogródkiem na tyłach. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka - apartament miał powierzchnię dwa razy większą niż jej szeregowiec z czerwonej cegły, a dzięki wielkim oknom i przemyślanemu rozkładowi był też dwa razy bardziej widny i przestronny.

Stukanie do drzwi oznaczało, że klient już przyjechał. Podobnie jak podczas poprzednich spotkań, miał na sobie dobrze skrojony garnitur, a podwójne mankiety koszuli spięte złotymi spinkami. Jego czarne włosy były lekko przyprószone siwizną. Uwagę zwracał kwadratowy zarys szczęki i małe, modne okulary na nosie. Wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości, doszła do wniosku Iona. Był jednak bardzo wybredny i okazało się, że trudno go zadowolić.

Komórka zadzwoniła właśnie wtedy, gdy zachwalała uroki zadaszonego balkonu oraz imponującego widoku na morze i port, gdzie na tle zielononiebieskiej wody kołysały się niewielkie łodzie.

- Trochę się spóźnię - powiedział Frank. - Przepraszam, skarbie. Właśnie kończę ostatnie spotkanie, więc pewnie utknę w wieczornym korku. Ale jak mi się poszczęści, to dojadę do domu na wpół do ósmej.

- A ja pewnie dotrę dopiero koło ósmej - odpowiedziała. - Spotkanie o siódmej mam przy Shelbourne Road. Ale to ostatnie, więc zamów pizzę. Poproszę z dodatkowym serem.

- Jasne. Wyślę do ciebie esemesa, jak dojadę - obiecał Frank. - A później może się zabierzemy za robienie dzieci?

- Hm...

- No tak, oczywiście - głos Franka złagodniał. - Czy chciałabyś, żebym zamiast tego pomasaował ci plecy?

- Obiecujesz prawdziwe rozkosze - zachichotała. Jakiś hałas sprawił, że odwróciła się i spostrzegła, że jej biznesmen stoi w drzwiach pomiędzy salonem a główną sypialnią. - Muszę kończyć - powiedziała szybko. - Do zobaczenia niedługo! - Uśmiechnęła się lekko do klienta. - I jak, panie Martinez? - zapytała. - Co pan o tym sądzi? Czy o coś takiego chodziło?

Gdy o wpół do ósmej kończyła oględziny przy Shelbourne Road, była już ledwo żywa, a ból brzucha dokuczał jak nigdy. Marzyła tylko o tym, by dotrzeć do domu i wyciągnąć nogi na wygodnej skórzanej sofie, która zajmowała o wiele za dużo miejsca w ich malutkim salonie, a potem pochłonąć zamówioną pizzę z dodatkową porcją sera. A do tego chleb czosnkowy, jeśli Frank nie zapomniiał. Z nadzieją pomyślała, że później mógłby rozmasować jej obolałe stopy.

Wyjęła komórkę z torebki i zmarszczyła brwi. Nie zadzwonił ani nie wysłał esemesa, co prawdopodobnie oznacza, że wyruszył jeszcze później, niż planował, i teraz tkwi w typowym dla Dublina popołudniowym korku (popołudniowy tłok na drogach zaczynał się teraz około czwartej, a kończył tak naprawdę dopiero przed ósmą!). Wybrała jego numer, ale połączyła się tylko z pocztą głosową.

- Jadę już do domu - powiedziała, wsiadając do samochodu. - Jeśli dotrę tam przed tobą, zamówię pizzę. Ale mam nadzieję, że ty będziesz pierwszy. Zamów też chleb czosnkowy, dobrze? Chciałabym wejść do domu pachnącego jedzeniem. A! Frank, ponieważ nie mogłam powiedzieć tego wcześniej, zrobię to teraz: Kocham cię!

Rozłączyła się i włożyła komórkę do samochodowego uchwytu. Potem włączyła silnik i wyruszyła do domu.

Rozdział 2

Sally Harper patrzyła na test zdumiona i przerażona. Zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu, otworzyła je i ponownie spojrzała na test. Różowa krescinka nie mogła być wyraźniejsza. Choć to niewiarygodne, bez wątpienia była w ciąży.

Włożyła test z powrotem do pudełeczka i wszystko razem wrzuciła do kosza w zagraconej małżeńskiej łazience. Przynajmniej Jenna tego nie znajdzie i nie będzie zadawać niewygodnych pytań. Jenna ostatnio nie zadawała jej żadnych pytań, a nawet - na tyle, na ile mogła - w ogóle unikała rozmów z matką, jednak ostrożności nigdy za wiele. Jezu, pomyślała, siedząc na brzegu wanny, ostrożności nigdy za wiele! Szkoda, że nie pomyślałam o ostrożności kilka tygodni temu.

Tak naprawdę to nie sądziła, że może być w ciąży. Kupiła test wyłącznie po to, żeby wyeliminować taką możliwość. Nie miała ochoty iść do gabinetu doktora Dowlinga i nadaremnie zawracać głowę - bo przecież skąd w jej wieku pozytywny wynik testu? Na miłość boską, ma czterdzieści jeden lat! W tym wieku przecież bardzo trudno zajść w ciążę. Dla czystej formalności zrobiła kupiony w aptece test w domu, a on niespodziewanie okazał się dowodem na coś, czego całymi latami pragnęła, a co nie zdarzyło się od czasu narodzin Jenny.

Nagle poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła i rzuciła się w stronę muszli klozetowej, nie potrafiąc zapanować nad falą wymiotów. Gdy skończyła, ponownie usiadła na brzegu wanny i drżąc, wytarła twarz mokrym ręcznikiem. To nie może być prawda, pomyślała w panice, naprawdę nie może. Nie chcę teraz być w ciąży. To zupełnie nieodpowiedni moment. Zupełnie nie tak wyobrażam sobie swoje życie. Ten etap mam już za sobą. I - zgrzytnęła zębami - na tej cholernej diecie South Beach schudłam sześć i pół kilo. Prychnęła. Wszystko na darmo! Te wszystkie dobre węglowodany, złe węglowodany itd. Bezwzględny reżim - musiała gotować osobno dla Franka i Jenny, z których żadne, nawiasem mówiąc, nie ma ani jednego grama zbędnego tłuszczu. I po co? Żeby znowu utyc i znowu szukać ciężowych ubrań. Czy to jest sprawiedliwe?

A co na to powie jej mąż? Jego zdaniem budowanie rodziny zaczęli i skończyli na Jennie i choć byli głęboko rozczarowani, że nie mają więcej dzieci (ponieważ oboje byli jedynakami i chcieli, żeby Jenna miała rodzeństwo), w końcu udało im się z tym pogodzić. Całe swoje życie oparli na koncepcji, że córka jest i będzie ich jedynym dzieckiem. Rodzina Harperów składała się z trzech osób. Franka, Sally i Jenny. Nie miała pojęcia, czy znajdzie się w niej teraz miejsce dla jeszcze kogoś. Wiedziała, że Frank z pewnością nie znajdzie więcej czasu. Ich życie już dawno nie kręciło się wokół pieluch, nocnych karmień i plastikowych zabawek w jaskrawych kolorach. To mieli już za sobą - nawet jeśli kolejny etap oznaczał zupełny brak porozumienia z nastolatką, jaką stała się ich córka!

Zatka go, pomyślała Sally, walcząc z kolejną falą mdłości. Kompletnie go zatka. Niemal siedemnaście lat po narodzinach Jenny sama była kompletnie zaskoczona.

I na litość boską, co na to wszystko powie sama Jenna? Sally przypuszczała, że jej obecnie niezwykle buntowniczo nastawiona córka, która jeszcze niedawno wierzyła, że to rodzice sprawiają, że świeci słońce, księżyc i gwiazdy, sam fakt, że uprawiają seks uzna za obraźliwy. A że w efekcie Sally w wieku czterdziestu

jeden lat jest w ciąży - cóż, reakcję Jenny na tę wiadomość trudno było sobie w ogóle wyobrazić. Jenna wstydziała się teraz wszystkiego, co robi jej matka. Zajście w ciążę znajdzie się prawdopodobnie na samym szczycie listy tego, co Sally robi źle, wyprzedzając jej staromodne uczesanie oraz zamięłowanie Franka do wyśpiewywania przebojów razem z radiem. Żalona matka Jenny uprawiająca żalony seks z żalonym ojcem i doskonale widoczny żalony tego rezultat z pewnością przebijają wszystko inne.

Sally poczuła, że pusty żołądek ponownie podchodzi jej do gardła. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się aż tak źle. Może jest gorzej dlatego, że jestem starsza, pomyślała. Z tego, co pamiętała, to w ciąży z Jenną nie miała żadnych problemów (poza trudnym porodem), choć możliwe, że ponieważ było to dawno temu, pamięć płata jej figla. Ale teraz... teraz mogą przecież wystąpić różnego rodzaju komplikacje. W końcu czterdziści jeden lat to późny wiek na ciążę. Miała tego świadomość. U ginekologa równie dobrze mogłaby pokazać się z książeczką emerytalną i legitymacją dla seniorów uprawniającą do darmowych przejazdów komunikacją miejską. Będą musieli otoczyć ją specjalną opieką, robić jej i dziecku dodatkowe badania. A potem, gdy nadejdzie pora rozwiązania, znajdzie się na sali razem z młodymi przyszłymi matkami, kobietami, które same są niemal dziećmi. Tak jak to było w jej przypadku, gdy rodziła Jennę.

A pomijając sam okres ciąży, co później stanie się z jej życiem? Ostatnio zaczęła czuć, że na powrót je odzyskuje. Zrzuciła wagę, Jenna dorastała, stawiała się coraz bardziej niezależna i (pomimo swego milczenia, wrzuszania ramionami i zwyczaju ubierania się wyłącznie na czarno) była raczej odpowiedzialną córką, nawet jeśli jako jedynaczce trochę za bardzo jej pobłażali. Od kilku miesięcy Sally i Frank mogli częściej wychodzić razem wieczorami, ufając (mniej lub bardziej), że Jenna da sobie radę sama. Wybrali się nawet na weekendowy wypad do Galway, zostawiając córkę w domu w towarzystwie jej najlepszej przyjaciółki Samantha oraz długiej na kilometr listy z instrukcjami. Sally powzięła mocne postanowienie, że nie będzie dzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale gdy w końcu w sobotę nie wytrzymała i zadzwoniła do domu o dziesiątej wieczorem, Jenna powiedziała jej, że oglądają z Sam film na wideo i żeby się z tatą nie martwili. (To była najmiłsza rozmowa, jaką Sally odbyła z córką od miesięcy!). A gdy kolejnego wieczoru wrócili do domu, Sally była przyjemnie zaskoczona faktem, że dom nie został zdemolowany i Jenna nie zorganizowała żadnej imprezy ani nie zaangażowała się w żadne społeczne działania, a nawet kupiła na ich powrót świeże mleko i ciasteczka. Sąsiadka z domu obok, Philly, powiedziała jej następnego dnia, że wszystko było w porządku i że jest szczęściarą, mając taką córkę jak Jenna.

Jenna w gruncie rzeczy jest dobrą dziewczyną, pomyślała Sally, myjąc i wycierając sobie twarz. Jeśli wszystkie kłopoty z nią ograniczą się do ubierania się wyłącznie na czarno oraz monosylabicznych wypowiedzi, to będzie bardzo szczęśliwą matką.

Mdłości złagodniały i Sally nałożyła na twarz krem nawilżający. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Gdy drugie dziecko osiągnie wiek Jenny, będzie miała pięćdziesiąt osiem lat. Jeśli teraz czasami czuła się wykończona przy nastolatce, to co będzie, gdy przed sześćdziesiątką będzie musiała sobie radzić z napadami złości drugiego wyrostka? Na razie nie mogła sobie wyobrazić, jak przeżyje ponowne nieustanne zmienianie pieluch, sterylizowanie butelek i przygotowywanie mieszanki połączone z ciągłym niedostatkiem snu. A jeśli chodzi o Franka - cóż, lubił przesypiać pełne osiem godzin. Przy Jennie był w nocy zupełnie bezużyteczny. W ciągu dnia był wspaniały - kochający i oddany ojciec, który zabierał ją na długie spacerunki do parku i bezwstyd-

nie rozpuszczał, gdy tylko sądził, że Sally nie zwraca uwagi - ale jeśli chodzi o nocną zmianę przy dzieciach, Franka od razu można spisać na straty.

Dziecko powinno urodzić się w grudniu. Sally nie chciała nastawiać się pesymistycznie i negatywnie, bo przecież to był prawdziwy cud, ale... grudzień! To miesiąc, kiedy wstajesz, gdy jest ciemno, a jak wracasz z pracy, znowu jest ciemno, miesiąc, kiedy dni są najkrótsze w roku. Jenna urodziła się latem, co wszystko ułatwiało, dni były długie, a noce nie tak przygnębiające jak zimowe. Wówczas, gdy miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, dała sobie radę, była pełna energii, szczęśliwa i podekscytowana posiadaniem pierwszego dziecka.

Rozsmarowała na twarzy trochę więcej kremu. Nie wyglądam na czterdzieści jeden lat, pomyślała z nadzieją. Ludzie mogą mnie wziąć za trzydziestoparolatkę. Ewentualnie. Ściągnęła dłońmi skórę twarzy do tyłu, by napiąć zmarszczki wokół oczu. Cholerny krem przeciwzmarszczkowy - niebotyczna cena, a nie widać żadnej różnicy! Jej jasne zielononiebieskie oczy zawsze były piękne. I takie pozostały, pomimo otaczającej je drobnej siateczki zmarszczek. Aż do tej pory Sally uważała, że te delikatnie kreseczki sprawiają, że jej twarz nabiera więcej wyrazu. Teraz jednak zmartwiła się, że tylko zdradzają jej wiek.

Przeczesała palcami swoje gęste włosy. Przypomniała sobie, że one także są piękne, nawet jeśli Jenna nie lubi ich długości. Często mówiła Sally, że dojrzałe kobiety nie noszą włosów dłuższych niż do ramion. A splatanie ich w warkocz to już kompletna beznadzieja. Tego ranka Sally nie splotła włosów. Błyszczały w porannym słońcu, a ich kasztanową barwę w naturalny sposób rozjaśniały złote i miedziane kosmyki. I prawie żadnej siwizny! Sally była z tego zadowolona. Teraz, gdy niektóre z jej przyjaciółek wydawały fortunę na comiesięczne farbowanie odrostów, tym bardziej doceniała fakt, że natura oszczędziła jej, przynajmniej na razie, tej najbardziej rzucającej się w oczy oznaki starości.

Jednak nie ma żadnych wątpliwości, że w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat będzie siwa. Przestała się bawić kosmykami, owijając je wokół palców, i odsunęła włosy na plecy. Chciała myśleć, że może być szczęśliwa z powodu ciąży, ale nie była pewna, czy naprawdę potrafi.

Będzie szczęśliwa, jeśli Frank będzie się cieszył. Przynajmniej tak sądziła. Jeśli on okaże jej wsparcie i zrozumienie i jeśli uzna, że cała ta sprawa to prawdziwy cud, ona również będzie mogła tak na to patrzeć. Jednak nie miała pojęcia, jak da sobie radę, jeśli on zobaczy w tym dziecku intruza znienacka wkraczającego w ich wspólne życie (podobnie jak ona zareagowała na widok różowej kreseczki).

Powoli wypuściła powietrze i wyszła z łazienki. To jest prawdziwy cud, upominała się. Naprawdę. Jak można się tak denerwować z powodu cudu?

Włożyła przez głowę białą bluzkę, a potem ubrała czarną spódnicę. Długo jej już nie ponosi. Ale na razie była w sam raz. Spojrzała na siebie z boku w lustrze i stwierdziła, że w ogóle nie widać, że jest w ciąży. Mogłaby nawet sama przed sobą udawać, że nie jest, przynajmniej przez najbliższe kilka godzin. Zaplatając warkocz, próbowała wyrzucić z głowy myśl o ciąży, ale to było niewykonalne.

Gdy fryzura była gotowa, poszła do pokoju Jenny, przemykając między porozrzucanymi na podłogę spodniami, topami i butami, i potrząsnęła córkę za ramię. Jenna jęknęła i zakopała się głębiej pod swoją ciężką kołdrą. (Pozwalała Sally zmieniać ją na lżejszą dopiero latem, mimo że już teraz, tuż po Wielkanocy, pogoda poprawiała się i noce stawały się coraz cieplejsze).

- Wstawaj, Jen - powiedziała Sally niecierpliwie. - Musimy się pośpieszyć.

- Źle się czuję - wymamrotała Jenna.

- Wstawaj - głos Sally zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała, i jej córka wystawiła twarz spod kołdry.

- Nie mamy czasu na guzdranie się - powiedziała Sally. - Muszę porozmawiać z kilkoma członkami kadry, zanim zaczną się lekcje.

- No cóż, ja nie muszę - Jenna nienawidziła tego, że jej matka jest wicedyrektorem Szkoły Ducha Świętego, znajdującej się tuż pod Bray, do której sama uczęszczała. Mieć rodzica nauczyciela to było okropne. Inni uczniowie ciągle ją podejrzewali, a nauczyciele wymagali więcej. A fakt, że Sally została wicedyrektorem jeszcze bardziej pogarszał sprawę, bo Jenna czuła, że nauczyciele boją się, że doniesie na nich, jeśli nie będą potrafili zapanować nad klasą. Nigdy by tego nie zrobiła. W ogóle jej to nie obchodziło.

Powinien być na to jakiś przepis, pomyślała. Oczywiście Sally spytała ją o zdanie, zanim rok temu przyjęła dyrektorską posadę. Posłużyła się argumentem, że Jenna już za kilka lat pójdzie do college'u, więc nie powinno to mieć większego znaczenia. Natomiast dla Sally okazja, by odejść ze szkoły w Sutton, gdzie wtedy pracowała (i do której dojeżdżała godzinę kolejką podmiejską) i przenieść się tak blisko domu, była zbyt atrakcyjna, by z niej nie skorzystać. Niby spytała córkę o zdanie, ale tak naprawdę sprawa była już przesądzona. Jenna nie widziała więc innego wyjścia, jak powiedzieć, że nie ma nic przeciwko, choć na samą myśl wszystko się w niej przewracało.

- Naprawdę mi niedobrze, mam - powiedziała, odgarniając swe ciemne włosy z oczu. (Odziedziczyła brązowe oczy oczu po Franku, zamiast jej cudownych zielononiebieskich, ale włosy miała równie gęste i lśniące jak matka).

- Cóż, ja też nie najlepiej się czułam - odparła Sally. - Mimo to wstałam, jestem gotowa i oczekuję, że wstaniesz z łóżka i za piętnaście minut będziesz na dole. No, dalej. Dzisiaj piątek. Jutro pośpisz dłużej.

Jenna popatrzyła na matkę z niesmakiem. Kolejna jej wada. Sally po prostu nie wierzyła w choroby. Zie samopoczucie, mdłości, bóle niewiadomego pochodzenia - nie miała czasu na takie rzeczy. Jenna sądziła, że Sally nigdy nie bolała głowa. A to oznaczało, że miała bardzo niewiele współczucia dla tych, którym się to przytrafiało. Gdy Jenna przygotowywała się do egzaminu gimnazjalnego i narzekała na ból głowy, Sally po prostu kupiła jej lepszą lampkę na biurko i kazała przestać się garbić.

Jenna zrzuciła kołdrę z łóżka i niechętnie spuściła nogi na podłogę. Przynajmniej tata dzisiaj wraca. Sally zawsze była bardziej wyluzowana, gdy Frank był w domu, mniej zdeterminowana, by wszystko mieć pod kontrolą i by wszystko chodziło jak w zegarku. Frank umiał ją rozśmieszyć i sprawiał, iż zapominała, że musi iść do supermarketu, umyć podłogę w kuchni czy wykonać sto innych przyziemnych i nudnych domowych czynności, którymi zajmowała się zawsze, gdy był w jednej ze swych służbowych podróży.

To dlatego małżeństwo jej rodziców jest takie udane, pomyślała Jenna, wchodząc chwiejnym krokiem do łazienki. Frank był swobodny i beztroski, Sally natomiast wszystko musiała mieć pod kontrolą. Doskonale się uzupełniali. Choć szczerze mówiąc, bardziej odpowiadał jej luzacki stosunek do życia jej ojca. A przecież był odnoszącym sukcesy biznesmenem. Byli zamożni i wiedli wygodne, jeśli nie rozrzutne, życie. I przecież nie musieli rozliczać się z każdej sekundy...

- Jen, pośpiesz się! - rozległ się z dołu spięty i zaniepokojony głos matki.

- Dobrze, dobrze! - Co ją, do diabła, dzisiaj ugryzło? - pomyślała z irytacją Jenna, podnosząc z miękkiego oparcia niskiego fotela, stojącego w rogu pokoju, zniechęconą szkolną spódniczkę w kolorze butelkowej zieleni i wciągając ją na biodra.

- Im szybciej tata wróci do domu i wniesie do niego trochę radości, tym lepiej - wymamrotała pośpiesznie.
- Nie znoszę, jak go nie ma. Nie znoszę.

Rozdział 3

Siobhán* Farrell siedziała na skraju łóżka i myślała o seksie. Nie uprawiała go od pięciu tygodni, odkąd jej narzeczony Eddie wyjechał w podróż służbową do Bostonu. Wkrótce będzie z powrotem, a ona planuje prawdziwie hedonistyczną orgię, by nadrobić stracony czas. Rozkosze łóżkowe z Eddiem były jedną z najprzyjemniejszych rzeczy w jej życiu (i dużo czasu minie, mówiła sobie, zanim wszystko zepsują posiadaniem dzieci). Spojrzała na zegarek. W tej chwili jest gdzieś wysoko w chmurach w drodze powrotnej do niej. W ciągu ostatnich tygodni miała dużo pracy i momentami nieobecność Eddiego była jej na rękę. Niemniej jednak była zaskoczona tym, jak bardzo się za nim stęskniła.

* Irlandzkie imię Siobhán wymawia się w przybliżeniu [sziwo:n] z akcentem na drugą sylabę.

Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

Podniosła oprawioną w srebrną ramkę fotografię Eddiego, którą trzymała na zagraconej toaletce. Zrobiła zdjęcie ponad rok temu i zabrała ze sobą, gdy się przeprowadzała do jego apartamentu w Blackrock sześć miesięcy temu. Eddie śmiał się, gdy postawiła je na toaletce, i powiedział jej, że nie potrzebuje już zdjęcia, jeśli ma go na żywo, ale Siobhán wyjaśniła mu, że często, gdy się budzi, jego nie ma, a jej sprawia przyjemność, gdy pierwszą rzeczą, jaką widzi z samego rana, jest jego paskudna mordka.

Oczywiście, wcale nie był brzydki. Eddie McIntyre był przystojnym mężczyzną o wyrazistej twarzy i uśmiechu, przez który, jak kiedyś mu powiedziała, przypomina jej Elvisa Presleya. Eddie parsknął na to porównanie śmiechem i powiedział, że przecież ma jasne włosy i szare oczy, więc w ogóle nie wygląda jak Król. Siobhán uśmiechnęła się wtedy do niego i stwierdziła, że i tak jest to uśmiech Elvisa, a ponieważ jej matka jest fanką Elvisa i ją też wychowała na jego fankę, to może spokojnie uznać, że jest to największy komplement, jakim mogła go obdarzyć. Eddie przyznał, że zawsze miło słyszeć pochwały i że musi trochę popracować nad charakterystycznym ruchem bioder. Na to Siobhán odparła, żeby przestał się lenić i znowu zaczął chodzić na siłownię, dzięki czemu z pewnością poprawi ruch bioder.

Siobhán i Eddie poznali się na siłowni. Tego dnia, gdy pierwszy raz ze sobą rozmawiali, Siobhán ćwiczyła właśnie na wiosłach, marchewkowe włosy miała upięte do góry, a na jej twarzy błyszczała cieniutka warstwa potu, gdy ostro walczyła z maszyną, by poprawić swój rekord. Zauważyła Eddiego już jakiś czas wcześniej, atrakcyjnego mężczyznę w koszulce i szortach, który nie należał jednak do charakterystycznego dla siłowni typu mięśniaka. Widziała go, jak ćwiczy na stepperze albo podnosi ciężary, jednak skupiona na

szybkim wiosłowaniu nie zauważyła, gdy stanął tuż za nią. Zapytał, czy chce wypłynąć na tej cholernej maszynie z budynku siłowni. Rozproszył ją tym pytaniem, przez co na chwilę zwolniła.

Spojrzała na niego z kosmykiem mokrych włosów na czole i szarą koszulką ciemną od potu, po czym powróciła do szybkiego tempa.

- Czekasz aż zwolnię wiosła? - zapytała.

- Broń Boże - odparł. - Wymęczyłaś je na amen. Dzisiaj nikomu już raczej nie posłużą.

Spojrzała na zegar. Zostało jej jeszcze pięć minut ćwiczeń.

- To co chciałeś? - spojrzała na niego pytająco.

- Nic ważnego - odparł.

Zacząła wiosłować jeszcze szybciej.

- Czy ty kiedyś w końcu przestaniesz? - zapytał.

- Za cztery minuty i trzydzieści sekund - odpowiedziała. - Więc jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to może chwilę poczekaasz?

Usiadł na jednym ze stepów do aerobiku stojących obok wiosł i czekał, aż skończy. Siobhán podniosła ręcznik i wytarła w niego swoje kręcone włosy.

- I? - zapytała.

- Jezu, kobieto, teraz już nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł - powiedział. - Przerażasz mnie.

- Czemu?

- No cóż... - popatrzył na nią zdesperowany. - Próbuję cię poderwać, na miłość boską. Nie domyśliłaś się?

Siobhán przestała wycierać włosy i zaczęła mu się przyglądać.

- Czy to zbrodnia? - roześmiał się nieswojo pod czujnym spojrzeniem jej jasnoniebieskich oczu.

Siobhán zachichotała. - Nie, to akurat nie.

- Uff - uśmiechnął się z udawaną ulgą. - Więc, co ty na to? - Wyciągnął dłoń i przedstawił się. - Eddie McIntyre.

- Siobhán Farrell - odpowiedziała wesoło, zupełnie nieświadoma tego, że już wkrótce zakocha się w tym mężczyźnie.

Dźwięk samochodowego klaksonu pod apartamentem skierował jej myśli z powrotem do teraźniejszości. Otworzyła komodę i zaczęła grzebać w bieliźnie, mając nadzieję, że nie zniszczyła sobie znowu doskonałego biustonosza i fig, wrzucając je do prania razem z czarnymi skarpetkami Eddiego. Jej komplet bielizny był kiedyś śnieżnobiały, ale teraz dołączył do reszty niebieskoszarych części garderoby. Och, co tam, i tak nikt dzisiaj tego nie zobaczy. Wyjęła z szafy prostą białą bluzkę, założyła ją, po czym dobrała do niej grafitowe spodnie i szary żakiet z kupy ubrań rzuconych na dużym fotelu w rogu pokoju.

Potem wzięła szczotkę, spróbowała rozczesać swoje mocno kręcone włosy i spięła je za pomocą miękkiej aksamitnej gumki i kilku spinek. W czasie wolnym rozpuszczała niesforne loki, ale w pracy zawsze nosiła je spięte. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i zmrużyła powieki. Skuteczna, pomyślała. Władcza. Typ kobiety, która potrafi użyć swojego smith & wessona kaliber 38 mm. Eddie był zaskoczony, gdy na pierwszej randce dowiedział się, że Siobhán jest oficerem śledczym. Kilka razy mrugnął oczami i popatrzył na nią

wzrokiem, który mówił, że jej nie wierzy (podobnie jak jej poprzedni faceci). A potem, kiedy (podobnie jak oni) zdał sobie sprawę, że nie żartuje, wpadł w nieco nerwowy, choć żartobliwy nastrój.

- Tak, mogę zakuć cię w kajdanki i zmusić do wszystkiego - powiedziała mu. - Ale to nie w moim stylu. I nie obchodzi mnie, że kiedyś przeszedłeś ulicę na czerwonym świetle, przekroczyłeś prędkość albo że nie segregujesz śmieci.

- Nigdy wcześniej nie spotykałem się z policjantką - powiedział.

- Jeśli cię to przerasta, nie musisz się więcej ze mną umawiać - odparła. - U nas się mówi, że z policjantami mogą brać ślub tylko inni policjanci, bankierzy albo urzędnicy. - I zarumieniła się, bo przecież wcale nie zamierzała na pierwszej randce wspominać o małżeństwie.

- Myślę, że to nawet fajnie - powiedział. - Próbuję tylko przyzwyczaić się do myśli, że będę mówił znajomym, że moja dziewczyna jest detektywem. Czy zajmowałaś się kiedyś zabójstwem?

- No cóż. Osobiście nikogo nie zamordowałam. - W jej błękitnych oczach pojawił się błysk. - Ale od czasu do czasu mam ochotę zadźgać swojego partnera.

- Czy prowadziłaś śledztwo w sprawie zabójstwa? - poprawił się.

- Tak.

Przez resztę randki opowiadała Eddiemu, jak to jest znaleźć czyjeś ciało. Większość ludzi uznałaby taki temat za nie najlepszy na pierwszą randkę, pomyślała, gdy trzymając się za rękę, spacerowali później ulicami miasta. Ale jego początkowe zainteresowanie makabrycznymi szczegółami przekształciło się w bardziej ogólne dociekania, a potem nagle zapytał, czy umówi się z nim jeszcze raz, a ona powiedziała, że tak.

To on ją przekonał, by zamieszkali razem. Próbowала mu wyjaśnić, że musi pracować o różnych porach i że kiedy głęboko angażuje się w jakąś sprawę, robi się strasznie nietowarzyska, i że będą takie momenty, kiedy kompletnie nie będzie jej interesowało, co on robi, ale on stwierdził, że mu to nie przeszkadza. Powiedział, że ją kocha i że nie chce bez niej żyć. I poprosił, by za niego wyszła. Pierwszy raz w życiu ktoś poprosił ją o rękę. Jej dotychczasowe związki nigdy tak daleko nie zaszły. Zaskoczyło ją, jak bardzo była tym podekscytowana. I jak jej to schlebiało. Poprosił ją. Powiedział dokładnie: „Wyjdiesz za mnie?”, tak jak w książkach czy filmach. (Nie żeby czytała dużo książek czy oglądała wiele filmów, które kończą się ślubem. Siobhán gustowała raczej w kryminałach i kinie akcji, od ckliwych zakończeń wolała porządną strzelaninę).

Kochała go, ale nie była gotowa, żeby za niego wyjść. Jeszcze nie teraz. Było jej wystarczająco trudno być kobietą na służbie (nawet jeśli sytuacja w ciągu ostatnich kilku lat uległa poprawie). Nie była gotowa, by wziąć na siebie dodatkowy ciężar bycia kobietą zamężną. Kariera wiele dla niej znaczyła. Poza tym kariera Eddiego była dla niego równie ważna, a ona po prostu nie uważała, by musieli się już pobierać. Eddie zajmował się inwestycjami. Siobhán nie miała pojęcia, co to znaczy, poza tym że lubił słuchać wiadomości biznesowych i codziennie czytał „Financial Times”. Opowiadał o sprawach, których kompletnie nie rozumiała, a z drugiej strony zarabiał o wiele więcej pieniędzy niż którykolwiek z facetów, jakich wcześniej poznała (i zdecydowanie więcej od niej, choć to przecież ona, jak czasem podkreślała, dba o bezpieczeństwo jego samego i jego bmw), a sporą ich część wydawał na nią. Zabrał ją na walentynki do Paryża - dzięki tej podróży koledzy z jej komisariatu w Bray mieli dodatkową okazję, żeby się z niej ponabijać. Eddie też dużo podróżował służbowo - kilka tygodni przed wyjazdem do Bostonu spędził tydzień w Nowym Jorku, ale to akurat jej

odpowiadało. Lubiła z nim być. Ale lubiła też te chwile, gdy nie byli razem. Z tego właśnie powodu była szczęśliwa, że są zaręczeni, nie była natomiast jeszcze gotowa wyjść za niego za mąż. Zaplanowali, że ślub odbędzie się za rok. Dzięki temu miała bardzo dużo czasu, żeby popracować nad swoją karierą, zanim ludzie zaczną traktować ją jak mężatkę i dopytywać się, kiedy będą mieli dzieci. A tego zdecydowanie nie mieli na razie w planach.

W tej chwili jednak, gdy wychodziła w pośpiechu z mieszkania i wciskała przycisk windy, nie mogła się doczekać, kiedy znowu będą razem. Bycie singlem ma swoje zalety, jednak bycie częścią pary okazało się jeszcze przyjemniejsze.

Na wysokości dwunastu i pół tysiąca metrów Eddie McIntyre oglądał wyświetlany w samolocie film. Patrzył na umieszczony przed sobą ekran, ale tak naprawdę film wcale go nie interesował. Myślał o ostatnich pięciu tygodniach, które spędził z dala od Siobhán. Pod względem biznesowym był to bardzo udany okres. Nowi klienci, nowe pieniądze, nowe inwestycje. Zdecydowanie odniósł sukces. W firmie będą bardzo zadowoleni. Oczywiście, napisał już do nich maila i zadzwonił, żeby poinformować o sukcesie. Ale i tak wspaniale będzie wkroczyć do biura jako bohater.

Wzdrygnął się mimowolnie. Wcale nie czuł się jak zwycięski bohater. Nie w tej chwili. Starł z czoła kropelki potu, które nagle się na nim pojawiły. Było cudownie, gdy wyobrażał sobie, jak wchodzi do biura, ale gdy myślał o spotkaniu z Siobhán, poczuł, jakby nagle otoczyła go czarna chmura.

Wstał i poszedł do toalety. W ostrym świetle jego twarz wydawała się blada, mimo że w ciągu ostatnich kilku tygodni nieźle się opalił. W każdym razie nie wyglądał inaczej. To dziwne, pomyślał Eddie, że możesz wyglądać dokładnie tak samo, nawet jeśli czujesz, że zupełnie się zmieniłeś. Nie mógł przestać myśleć, że Siobhán od razu się zorientuje. Tak jakby patrząc na niego, mogła odgadnąć, że coś w ich życiu zmieniło się nieodwołalnie. Ale skąd mogłaby to wiedzieć? Owszem, jest detektywem, ale nie jest przecież jakimś cholernym jasnowidzem.

Ochlapał twarz wodą i wrócił na miejsce. Przechodzący steward zapytał go, czy chce coś do picia. Eddie poprosił o whisky. Prawie nigdy nie pił whisky, ale w tym momencie wydawała mu się odpowiednia. Gdy steward wrócił i podał mu szklanę, Eddie wypił jej zawartość trzema szybkimi łykami. Wcale nie poczuł się lepiej, ale być może alkohol przynajmniej pomoże mu zasnąć. A sen powstrzyma potok myśli pędzących przez jego głowę.

Frank Harper nie myślał o tym, jak wygląda. Tak naprawdę to nie myślał o niczym. Być może, gdyby musiał powiedzieć, o czym myśli, stwierdziłby, że o tym, że lubi prowadzić. Zawsze lubił. Lubił czuć się w samochodzie jak w kokonie, odcięty od wszystkiego wokół, i jednocześnie móc obserwować mijany świat. Szczególnie lubił jazdę samochodem w takie dni jak ten, gdy słońce świeciło na błękitnym niebie upstrzonym małymi puchatymi chmurkami, a krajobraz oślepiał jasną zielenią łąk i rozwijających się pąków na drzewach.

Krążąc po autostradach i bocznych drogach, mógł słuchać wypowiedzi ludzi dzwoniących do radia albo muzyki country i nikt nie krytykował wybranej stacji i nie prosił o przełączenie na inną, nadającą muzykę klasyczną, czy na zadufane gadki na Radio 4 (ta stacja i tak była ledwo słyszalna, a jak tylko wyjechało się kawalek za Dublin w ogóle nie można jej było złapać).

Poza tym podobało mu się, że w trakcie swych podróży mijał rozmaite miejscowości, niektóre o frapujących nazwach, jak Birdhill czy Oilgate*, które przypominały o ich zamierchłej historii, albo o nazwach irlandzkich, które zostały zanglicyzowane i ludzie zapomnieli już co oznaczają - że Killduff to „czarny kościół”, a Kenmare „czoło morza”.

* Dosł. Ptasie Wzgórze i Olejowa Brama.

Lubił także obserwować zachodzące zmiany: poprawę stanu dróg (przynajmniej w niektórych rejonach), odmalowane ściany prostokątnych domów stojących wzdłuż głównych ulic, całkiem nowe osiedla wyrastające w miejscach, które kiedyś uważano za tereny wiejskie, a obecnie zachwalano jako znajdujące się niemal na przedmieściach najbliższego miasta.

Wiedział, że niektórym nie podoba się urbanizacja wsi, i przypuszczał, że jemu samemu nie do końca się ona podoba, jednak była ona oznaką lepszych czasów, jakie przeżywała Irlandia w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, czasów, w których mógł rozwinąć skrzydła, zarobić trochę pieniędzy i stać się innym człowiekiem.

Podczas jazdy samochodem Frank dużo myślał o zmianach. Głównie o tym, jak sprawniejsza komunikacja uczyniła ich kraj mniejszym, a ludzi dostępnymi niemal na okrągło. Żadne miejsce nie było już tak naprawdę odizolowane. Jeśli masz telefon komórkowy, to można się z tobą skontaktować, nawet jak jesteś właśnie na szczycie góry czy na środku jeziora, a w zasięgu wielu mil nie ma nikogo innego. Nigdzie nie możesz się czuć bezpieczny, jeśli są ludzie, którzy chcą cię dopaść. Ta myśl kiedyś go przerażała, ale teraz wcale się nią nie przejmował.

Spojrzał na trzy komórki w kieszeni drzwi samochodu. Jedna czerwona. Druga niebieska. Trzecia żółta. To naprawdę nie do wiary, wymruczał. Trzy cholerne telefony. Czasami się zastanawiam, czy kompletnie nie zwariowałem. Przynajmniej w tej chwili wszystkie milczały, a on nie spodziewał się żadnych telefonów.

Popatrzył na zegar na tablicy rozdzielczej. Było po piątej i ruch robił się coraz większy, nawet w mniejszych miastach. Zmarszczył brwi. Wszystko spartolił w tym tygodniu, a w jego rozkład zajęć wkradł się chaos. Złożył obietnicę, której nie będzie mógł dotrzymać, i wciąż nie wymyślił, jak z tego wybrnąć. Ale wymyśli. Zawsze mu się udawało, bez względu na stopień komplikacji. Dlatego odnosił takie sukcesy w biznesie, bo nawet najbardziej wymagającym klientom umiał zaproponować jakieś rozwiązanie. Dzisiaj też coś dla siebie wymyśli. Tylko jeszcze nie wiedział co. Ale nie może za bardzo się spinać. Najważniejsza jest pewność siebie i niepoddawanie się uczuciu złości. Frank nigdy już sobie na to nie pozwalał, by wpaść w złość. Niemal mu się to zdarzyło, gdy przyszedł ten list, a on popatrzył na niego zdumiony i kompletnie zaskoczony, ale wówczas też potrafił sobie poradzić. Skopiował go, tak jak miał w zwyczaju robić z ważnymi dokumentami, a potem schował oryginał i postanowił o tym nie myśleć i nie analizować wszystkich możliwości po kolei, lecz spokojnie pozwolić, by decyzja, co robić, sama mu się nasunęła. Wiedział, że koniec końców postąpi właściwie. Był tego pewien.

Zagwizdał bezgłośnie i pozwolił, by wyprzedziła go wielka cysterna. Co za idiota, pomyślał. Przekracza dozwoloną prędkość i wyprzedza mnie na kiepskim odcinku drogi. I po co? Już dawno doszedł do wniosku, że

wyprzedzanie na trasie wcale się nie oplaca. Może docierał na miejsce pięć czy dziesięć minut wcześniej, niż jadąc ze stałą prędkością około 90 km na godzinę, ale za to był zdenerwowany i spięty, a gdy jechał wolniej i spokojniej, podróż wcale nie była męcząca. Większość ludzi nie zdawała sobie jednak z tego sprawy. Większość, podobnie jak on kiedyś, żyła w nieustannym pośpiechu. Cieszył się, że ten etap życia ma już za sobą.

Wyprostował się. Bez wątplenia żył teraz w większym stresie i pośpiechu niż kiedyś. Ważne, żeby znać swoje priorytety i nie dać się pochłonać drobiazgom. Znaleźć sposoby, żeby się zrelaksować, i ludzi, z którymi można to robić. Prowadzić takie życie, którym można się w pełni cieszyć. Problem wielu ludzi na świecie polega na tym, myślał Frank, zwalniając, bo zbliżał się do kolejnego miasteczka (które kiedyś było jedynie małą kropeczką na mapie, a teraz szczyliło się wielkim centrum handlowym, w którym wyprzedawano ubrania znanych marek, oraz mnóstwem irytujących świateł na skrzyżowaniach), że zapominają o tym, iż mają tylko jedno życie, zapominają czerpać z niego tyle przyjemności, ile się da. A pod koniec swego życia będą z niego niezadowoleni, bo zbyt wiele czasu zmarnowali, troszcząc się o sprawy nieistotne.

Trochę trwało, zanim sam to zrozumiał. Ale jak już to pojął, wszystko mu się idealnie ułożyło, a on parł do przodu, nie oglądając się za siebie.

Nagle usłyszał huk i poczuł, jak samochód ściąga na bok. Głośno zaklął. Złapał gumę. Jakby mało miał dzisiaj na głowie! Zjeżdżając z drogi, by się zatrzymać na trawiastym poboczu, czuł, jak ulatnia się z takim trudem osiągnięty nastrój odprężenia. Nie najlepsze miejsce na złapanie gumy, pomyślał, wyjmując duży czerwony trójkąt ostrzegawczy z bagażnika, i cofnął się około sto metrów, żeby postawić go na drodze. Ale tak to właśnie czasem bywa. Zdjął marynarkę i rzucił ją na tylną kanapę swojej hondy. Potem wyjął z bagażnika lewarek i zaczął podnosić samochód.

Zmiana koła w pewnym sensie sprawiała mu przyjemność (choć znał ludzi, którzy uznaliby go za wariata, gdyby się do tego przyznał). Oczywiście nie zdarzało mu się to często, ale jeśli już musiał zmienić koło, przypominał sobie, że samochód jest maszyną. Teraz samochody są tak cholernie wygodne, że czasami się zapomina o całym magicznym działaniu benzyny, zapłonu i osi obracających koła. Złapanie gumy stanowiło okazję do pewnego rodzaju powrotu do źródeł. A jego cieszyło, że musi podwinąć rękawy koszuli i czasem trochę się ubrudzić.

Pogwizdywał podczas pracy, mimo że jego umysł zmagał się z problemem zgrania wszystkiego w czasie, co spowoduje jego opóźniony powrót do Dublina. Podjął decyzję i gdy skończył zmieniać koło i z powrotem schował narzędzia do bagażnika, wziął do ręki czerwoną komórkę i nacisnął przycisk szybkiego wybierania.

- To ja - nagrał się na poczcie głosowej. - Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Skończę o wiele później, niż myślałem. Być może zostanę tu nawet na noc i wrócę do Dublina dopiero jutro. Jeszcze raz przepraszam. Odezwij się później.

Wsiadł do samochodu i odłożył telefon z powrotem do kieszeni w drzwiach. Zmarszczył brwi, bo zobaczył, że ubrudził go smarem. Spojrzał na swoje ręce i skrzywił się. Nie zauważył plamy smaru na brzegu dłoni. Wyjął chusteczkę z pudełka leżącego na siedzeniu pasażera i spróbował wytrzeć rękę. Ale wciąż była brudna. W ten sposób pobrudzi smarem całą kierownicę.

Wiedział, że w odległości kilku mil znajdują się dwa sąsiadujące ze sobą puby. Podjedzie tam i umyje ręce w toalecie. Odkąd wykonał telefon, napięcie opuściło go całkowicie. Położył na kierownicy dwie chusteczki, by nie ubrudzić jej podczas jazdy. Teraz to już na pewno ludzie uznają, że zwariowałem, pomyślał rozbawiony. Na przykład, że mam bzika na punkcie czystości, że panicznie boję się zarazków czy coś takiego. Jak Howard Hughes! Uśmiechnął się sam do siebie - z za zakrętu wyłoniły się usytuowane na szczycie wzgórza puby. W pierwszym przeprowadzano właśnie jakiś remont. Jego elewację zasłaniało rusztowanie przykryte łagodnie łopoczącym na wietrze zielonym brezentem.

Zjechał na wysypany żwirem parking przed drugim lokalem (parking to raczej za duże słowo, jak na rozciągający się przed budynkiem kawałek placu, na którym stały jeszcze trzy samochody) i wyłączył silnik. Wsunął niebieską komórkę do kieszeni marynarki, a pozostałe do aktówki, którą zabrał ze sobą. Raz mu się zdarzyło, że na parkingu przed pubem włamano się do jego samochodu i od tej pory nie ryzykował. Wszedł do środka i zmrużył oczy, by się przyzwyczać do panującego tam mroku. Właściciel stał za barem i czyścił szklanki, a inny klient - starszy farmer w tweedowej czapce naciągniętej na oczy - siedział przy kontuarze z ciemnego drewna i popijał guinnessa z kufła. Dwaj młodszy mężczyźni - biznesmeni, pomyślał Frank, tak jak ja w podróży służbowej - siedzieli w rogu, rozłożywszy przed sobą plik papierów.

- Poproszę wodę mineralną - powiedział Frank, kładąc aktówkę na barze.

Barman skinął głową w stronę nowo przybyłego gościa i wyjął z lodówki pod barem butelkę wody Ballygowan.

- Skorzystam najpierw z łazienki - Frank nie chciał zostawić śladów smaru na szklance. Wskazał na swoją aktówkę. - Mogę to tu zostawić?

Barman ponownie skinął głową. Frank przeszedł przez pub do męskiej toalety. Zastanawiał się, dlaczego toalety w wielu irlandzkich pubach są tak koszmarne. Niebieskie płytki na ścianach były tłuste od brudu, a fugi aż czarne od porastającego je grzyba. Jedyne pisuar, z grubą warstwą kamiennego osadu, ledwo trzymał się ściany. Umywalka, jedyny element wyposażenia, z którego zamierzał skorzystać, była pęknięta, a z kranu nieustannie kapała woda.

No cóż, pomyślał filozoficznie, odkręcając kurek do końca, nie umrę od tego.

I ponownie zaczął sobie pogwizdywać.

Rozdział 4

Telefon od męża z informacją, że prawdopodobnie nie wróci na noc do domu, z jednej strony zirytował Sally, lecz z drugiej sprawił jej ulgę. Zmartwiła się trochę, bo nie było go już od dziesięciu dni. Miała wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku lat coraz więcej czasu poświęca pracy, a ów połowiczny charakter ich małżeńskiego pożycia zaczął jej doskwierać. Na początku jej to nie przeszkadzało - podobało jej się, że oboje są niezależnymi ludźmi i nie muszą ciągle trzymać się za ręce, żeby być szczęśliwi. Lubiła sama wyjeżdżać na weekendy i lubiła, jak on wyjeżdżał bez niej. Ich spotkania po rozstaniach zawsze były radosne i pełne napiętności. W ostatnim roku, na osiemnastą rocznicę ślubu kupiła mu tabliczkę w kształcie serca z napisem: „Nieobecność czyni serca bardziej czułymi”, którą miał powiesić sobie w biurze.

Na początku małżeństwa jego nieobecności nie trwały tak długo. Ale to się zmieniło w ciągu ostatnich kilku lat, głównie dlatego, że firma tak bardzo się rozrosła i on coraz częściej musiał wyjeżdżać. Zamierzała z nim o tym porozmawiać. Zwłaszcza teraz, gdy znów była w ciąży. Ale właśnie z tego powodu ulżyło jej na wieść, że tego wieczoru nie wróci do domu. Jeszcze sama nie do końca pogodziła się z nowiną i nie była gotowa, by powiedzieć o tym Frankowi. Wiedziała jednak, że jak tylko on wejdzie do domu, ona po prostu nie wytrzyma i będzie musiała mu powiedzieć. Aż ją skręcało, żeby komuś powiedzieć, a tym kimś musiał być Frank.

- Jenna! - krzyknęła w stronę schodów. - Jesteś gotowa, żeby zjeść śniadanie?

- Nie jestem głodna - usłyszała odpowiedź.

Sally głęboko westchnęła. Kolejny powód do zmartwień. Jenna zawsze mówiła jej, że nie jest głodna, albo prosiła o skromną sałatkę na obiad, którą później bawiła się na talerzu, zjadając jedynie niewielką ilość. Kiedykolwiek Sally poruszała temat właściwego odżywiania się, córka patrzyła na nią znużonym wzrokiem i odpowiadała, że nie ma anoreksji ani bulimii, a tylko przechodzi po prostu taki okres braku apetytu.

- Ale ty, kochanie - Sally używała wówczas swojego najbardziej przekonującego tonu - potrzebujesz składników odżywczych. Rośniesz, a poza tym dużo się uczysz. (Choć to drugie stwierdzenie akurat nie do końca odpowiadało prawdzie, gdyż stopnie Jenny pogorszyły się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Najgorsze w byciu nauczycielem w tej samej szkole było to, że wiedziała, jak się zmieniło zachowanie jej córki i na dodatek musiała omawiać je szczegółowo z innymi nauczycielami).

Bez względu na namowy Sally, Jenna jadła to, co chciała, i wtedy, kiedy chciała. Czasami jednak, chyba tylko po to, żeby zaskoczyć matkę, pomyślała Sally, wcinała z apetytem ogromny obiad, uśmiechała się do matki zupełnie jak dawna Jenna i prosiła o dokładkę.

Chciałabym wiedzieć, co jej ostatnio chodzi po głowie, pomyślała Sally. Wszyscy myślą, że jak jestem nauczycielką, to powinnam wiedzieć. A ja nie mam, do cholery, bladego pojęcia!

Jenna leżała na swoim łóżku i wpatrywała się w sufit. Drobne pęknięcie biegło po nim z jednej strony pokoju na drugą. Było tam odkąd pamiętała. Gdy była bardzo mała i po raz pierwszy je zauważyła, zbiegła pędem na dół do rodziców, by obwieścić im, że dom się rozpada. Wpadła do salonu, gdzie zastała Sally, zapinającą guziki bluzki i zdenerwowanego ojca. Dopiero kilka lat później uświadomiła sobie, że odgłos stóp

czterolatki na schodach przerwał jej rodzicom chwilę intymności w kulminacyjnym momencie. Wzdrygnęła się na tę myśl - myśl o mamie i tacie uprawiających seks. To było obrzydliwe. Nie wiedziała, dlaczego tak uważa, bo przecież myśl o kochaniu się z Gerrym Cullinanem, chłopcem, którego poznała w centrum sportowym, była bardzo kusząca. W zeszłym tygodniu, w cieniu wysokiego muru za jej domem, Gerry całował ją tak, jak nikt dotąd. A gdy jego ręce zsunęły się po jej plecach, obejmując pośladki, i przysunął ją jeszcze bliżej do siebie, ona objęła go mocniej, pragnąc połączyć swoje ciało z jego, tak by stali się jednym. Wtedy Gerry przesunął jedną rękę w górę, wsunął ją pod jej bluzeczkę Nike i położył na jej lewej piersi. W tym momencie Jenna pomyślała, że zemdleje z rozkoszy.

- Nic nie wziąłem - wyszeptał Gerry. - Przepraszam.

Jenna była zaskoczona. Zarówno tym, że pomyślał, że jest gotowa, by uprawiać z nim seks, jak i tym, że był taki odpowiedzialny.

- Ja też nie - wyszeptała w odpowiedzi, jakby to była zupełnie zwyczajna rozmowa.

Gerry odsunął się od niej.

- Następnym razem - powiedział.

I Jenna zakochała się w nim jeszcze bardziej. W końcu jeśli dorośli mówili o nastoletnich chłopakach, to głównie po to, by stwierdzić, że mają tyle samo samokontroli, co płonący ogień. A tu, proszę, Gerry Cullinan nie kocha się z nią dlatego, że nie chce, żeby zaszła w ciążę. Był najwspanialszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek poznała. Przyciągnęła go do siebie i jeszcze raz pocałowała, wiedząc, że gdyby sam się nie odsunął, ona by go nie powstrzymała.

Miała zamiar pojechać do Dublina po prezerwatywy. Nie mogła kupić ich tutaj, w Bray, bo na pewno, ktoś by się dowiedział. Miasto było spore, ale nie na tyle duże, by można było ukryć coś naprawdę ważnego. Nawet gdyby poszła do apteki na samym końcu miasta, tam gdzie nikt nie zna ani jej, ani jej rodziców, z pewnością wpadłaby przypadkiem na kogoś, kto ich akurat zna. Tak to już jest. Ale jeśli pojedzie po nie do Dublina, wszystko będzie w porządku. Wskoczy do samoobsługowej drogerii sieci Boots i wrzuci je do koszyka razem z nowym tuszem do rzes i jakąś szminką i nikt nie zwróci najmniejszej uwagi.

A potem, gdy spotkają się z Gerrym jutro na imprezie, tak jak się umówili, będzie mogła mu powiedzieć, że jest przygotowana i że nie muszą już ograniczać się tylko do pocałunków i dotykania piersi.

Wspomnienie o jego dotyku sprawiło, że znów poczuła przyjemność tamtej chwili. Jęknęła leciutko do siebie i zamknęła oczy.

Sally siedziała przy wielkim drewnianym stole i grzebała w schabowym na swoim talerzu. Zupełnie nie miała apetytu. Ugotowała obiad tylko dlatego, że rano wyjęła wieprzowinę z zamrażalnika, planując miły rodzinny posiłek, gdy Frank wróci do domu. Kiedy był w domu, Jenna wydawała się odrobinę bardziej skłonna do wspólnego jedzenia, jak gdyby specjalnie starała się dla ojca. Sally przesunęła mięso na bok talerza i zebrała na widelec trochę aromatycznego ryżu. Podniosła widelec do ust, ale potem odłożyła nietkniętą porcję z powrotem na talerz. Może to nawet dobrze, że Jenna zamknęła się w swojej sypialni. Gdyby widziała, jak Sally bawi się jedzeniem, miałyby argument, by usprawiedliwiać swój własny brak apetytu.

Choć Sally ulżyło, gdy Frank zostawił wiadomość, że nie wraca na noc, teraz była nieszczęśliwa na myśl o kolejnej nocy bez męża. Pragnęła poczuć ciepło otulających ją ramion, dotyk jego ust, radość płynącą z

intymnej bliskości, bez względu na to, czy była w ciąży. Zagryzła wargę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w talerz. Frank potrafił doskonale całować i właśnie to ją w nim oczarowało, gdy pierwszy raz spotkali się dwadzieścia lat temu na całonocnej imprezie w podupadłym mieszkaniu w Ranelagh. Sally знаła dziewczynę, która wynajmowała to mieszkanie, a Frank przyszedł z grupą przyjaciół. Poznali się w momencie, gdy oboje próbowali zabrać z lodówki ostatnią puszkę heinekena.

- To chyba moje - powiedział wtedy do niej.

- Przyniosłam dziesięć puszek - poinformowała go Sally. - A nie wypłam nawet sześciu. Więc ta z pewnością należy się mnie.

Patrzyli na siebie, świadomi, że między jego brązowymi a jej zielononiebieskimi oczami aż iskrzy, a potem oboje się roześmieli.

- Mogę ci je odstąpić - zaproponował.

- Słucham?

- Weźmiesz piwo, a ja dostanę rekompensatę.

- Niby jaką?

- A taką - pochylił się w jej stronę i pocałował ją.

Zdumiewające, pomyślała teraz Sally, że wspomnienie tego pocałunku wciąż mnie elektryzuje. Oczywiście od tamtej pory pocałował ją tysiące razy i za każdym razem było bosko, jednak ten pierwszy pocałunek był taki nieoczekiwany i taki cudowny. Czasami, gdy była na niego wściekła, że nie wraca do domu, albo że musi pracować w czasie wakacji, lub też wyjechać na spotkanie za granicę i nie może być na jakiejś ważnej rodzinnej uroczystości... cóż, gdy tylko przypominała sobie ten pierwszy pocałunek, od razu wszystko mu wybaczala.

Wspomnienie o pierwszym pocałunku sprawiło, że przypominała sobie także pierwszy raz, gdy się kochali. Tydzień później, podczas pierwszej randki, na którą się wybrali do kina (za nic nie mogła sobie przypomnieć, jaki film mieli obejrzeć, bo przez całe dwie godziny projekcji namiętnie się całowali), poszli do jego mieszkania, małego, niezbyt ładnego i zalatującego stęchlizną, a ona czuła, jak jej podniecenie faktem, że jest u niego, ulatnia się w tych mało romantycznych okolicznościach. A wtedy on znowu ją pocałował i zaczął rozpinąć guziki jej raczej mało seksownej bluzki, i robił to tak powoli i tak erotycznie (i tak niepodobnie do wszystkich innych chłopców, z którymi się spotykała, a którzy zawsze strasznie się śpieszyli, by przystąpić do rzeczy), że zamarła bez ruchu z obezwładniającej rozkoszy. Kochali się na pikowanej koldrze na jego łóżku. Po uszy się w nim zakochała - był bowiem najbardziej wrażliwym kochankiem, jakiego miała. I jakiego kiedykolwiek będę miała, pomyślała później. Wracając potem do domu, zastanawiała się, czy sam nieziemski seks wystarczy, żeby się związać z kimś na całe życie. Z delikatnym ukłuciem żalu uznała, że trzeba jednak czegoś więcej. A wtedy Frank przysłał jej kwiaty (był jedynym mężczyzną w jej życiu, który to zrobił) i Sally wiedziała, że jest dobry nie tylko w łóżku.

Był wspaiałym mężem. Jej (zazdrosne) przyjaciółki często żartowały, że tacy mężczyźni jak Frank nie istnieją. Że nikt nie może tak dobrze rozumieć potrzeb kobiety. I to nie tylko jej potrzeb fizycznych, ale także emocjonalnych. Pamiętał o urodzinach. Pamiętał o ważnych wydarzeniach w ich życiu. Wiedział, kiedy się czymś trapiła, i wiedział, że trzeba zostawić ją w spokoju, aż sama sobie z tym poradzi. Wspierał jej karierę

nauczycielską, wymagając od niej więcej, niż ona sama, tak że w końcu zdobyła posadę wicedyrektora (choć on jej powiedział, że zasługuje na stanowisko samego dyrektora). A jeśli z drugiej strony ze względu na sprawy służbowe musiał coraz więcej czasu spędzać poza domem, to trudno, ona jakoś wytrzyma. Do tej pory wytrzymywała.

Zdecydowanie lepiej, że dziś go tu nie ma, powiedziała sobie, wstając od stołu i wrzucając niezjedzony obiad do kosza. W jej myślach panował chaos. Jej uczucia były równie nieuporządkowane. Potrzebowała czasu, żeby pobyć sama ze sobą.

Ale jakaś jej część wcale nie pragnęła samotności.

Iona wróciła z pracy za piętnaście ósma. W domu nie paliły się światła i nie było śladu Franka. Poczula ukłucie strachu, gdy sobie uświadomiła, że będzie później, niż się umówili, a nie zadzwonił, żeby ją uprzedzić. Wyjęła komórkę z torebki, żeby sprawdzić, czy nie zostawił wiadomości. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości na poczcie głosowej. Żadnych esemesów.

Zaciągając zasłony w ich malutkim salonie, wybrała numer pizzerii i złożyła zamówienie. Poprosiła o ich specjalność, pizzę Cajun z dodatkowym serem, bo to była jej ulubiona, choć Frank akurat za tym rodzajem pizzy nie przepadał. Ale miała zamiar ukarać go za to, że aż tak się spóźniał. To dziecinne, pomyślała, rozłączając się, ale nie przejęła się. Poza tym pizza i chleb czosnkowy na telefon (choć naprawdę miała na nie ochotę) to i tak było z jej strony wielkie ustępstwo. Zawsze przestrzegala zasad dobrego odżywiania, a przez ostatnie kilka tygodni była jeszcze bardziej wybredna, bo chciała być w jak najlepszej formie, gdy zajdzie w ciążę. Wsuwała więc warzywa o zielonych liściach, łykała kwas foliowy i zupełnie wyeliminowała niezdrowe jedzenie.

Rozmasowała sobie brzuch. Skurcze przestały już być tak bolesne, ale wciąż czuła się źle. Poszła na górę do łazienki i zaczęła szykować sobie kąpiel w wannie, dodając do ciepłej wody kilka kropel olejku ylang-ylang. Rozszedł się kojący i odprężający aromat. Weszła do sypialni i zdjęła ubranie. W pizzerii powiedzieli, że przywiozą pizzę najwcześniej za czterdzieści minut. Zdąży więc wziąć kąpiel, chociaż Frank i tak powinien być w domu za pięć czy dziesięć minut. Nie było w jego zwyczaju spóźniać się, nie uprzedziwszy o tym. Postarała się stłumić resztki swojego niepokoju. Zadzwoniłby. Zawsze tak robi. Ale wzięła do ręki komórkę i wybrała jego numer. Odezwała się tylko poczta głosowa. Zostawiła wiadomość, że lepiej żeby się pośpieszył, bo pizza jest już w drodze, a potem wróciła do łazienki.

Wsunęła się w jedwabiącą gładką wodę i zamknęła oczy, pozwalając, by jej oddech się uspokoił. Po kilku minutach była już rozluźniona, otworzyła więc oczy i koniuszkami palców zaczęła masować zmęczone stopy. Zanurzyła się głębiej i czuła, jak opuszcza ją stres całego dnia, a napięcie w brzuchu nareszcie ustępuje. Dryfowała między jawą a snem. Frank śmiał się z tego, że umie spać w wannie i martwił się (troszeczkę), że mogłaby niespodziewanie zanurzyć się i utonąć. Tłumaczyła mu zawsze, że w ich krótkiej wannie to niemożliwe, nawet w przypadku tak drobnej osoby, jak ona.

Na dźwięk dzwonka do drzwi gwałtownie otworzyła oczy. Dostawca pizzy choć raz przyjechał na czas, pomyślała. A Franka ciągle nie było. No cóż, odgrzeje sobie swoją połówkę pizzy w mikrofalówce i będzie musiał pogodzić się z tym, że nie smakuje tak jak powinna.

Owinęła się płaszczem kąpielowym frotté i zeszła po schodach. Może to jednak Frank, pomyślała z nadzieją, bo zapomniał kluczy czy coś. Otwierając drzwi, uświadomiła sobie, że jest wyjątkowo głupia. Bez kluczy nie mógłby przecież odjechać samochodem. A poza tym od razu wiedziałaby, gdyby to był Frank. Zawsze wierzyła w swoją intuicję. Wiele razy zdarzało się, że myślała o nim, a wtedy dzwonił telefon i to był właśnie on. I nie dotyczyło to tylko Franka. Gdy Lauren zaraziła się tym okropnym wirusem, Iona zadzwoniła do niej akurat tego dnia, gdy potwierdzono diagnozę, a nie rozmawiały ze sobą od tygodni. A tego dnia, gdy Craig dostał list w sprawie pracy w Chinach, też do niego zadzwoniła, po prostu przeczuwając, że coś się wydarzyło. Iona przypisywała swoją intuicję temu, że potrafiła wsłuchiwać się w swoje ciało. Mając świadomość, że jeśli coś miało się wydarzyć, ona pierwsza będzie wiedziała, czuła się bezpiecznie.

Dziewczyna z pizzerii stała w drzwiach. Ciepły, pomidorowy zapach unoszący się z wielkiego płaskiego tekturowego pudła sprawił, że Ionie pociekła ślinka. Uświadomiła sobie, że oprócz sałatki z orzechami na lunch nic dzisiaj nie jadła. Wzięła pudło i dała dostawczyni jeden euro napiwku. Położyła pizzę w kuchni, wbiegła na górę, żeby szybko przetrzeć włosy ręcznikiem, zadowolona z tego, że są krótkie i szybko wyschną, i wróciła na dół, aby się zabrać za jedzenie.

Włączyła telewizor i zobaczyła, że wyświetlają „Erin Brockovich”, jeden z jej ulubionych filmów. Wzięła kawałek pizzy, usiadła na sofie z podciągniętymi nogami i cieszyła się chwilą, czekając na powrót Franka do domu.

Na długo przed końcem filmu znowu zaczęła się martwić. Jeszcze raz zadzwoniła na komórkę Franka, ale ponownie usłyszała tylko jego pocztę głosową. Zostawiła jeszcze jedną wiadomość, tym razem mówiąc, że pewnie martwi się niepotrzebnie, ale żeby dał znać, gdzie jest. Próbowwała nie myśleć o tym, że mógł mieć wypadek - Frank był najostrożniejszym kierowcą, jakiego знаła. Tak naprawdę to był nawet nadmiernie ostrożny, co ją często irytowało. Ale choć nie należał do kierowców, którzy mogą zrobić coś głupiego, to przecież na drodze nie był sam. Jakiś wariat mógł na przykład zderzyć się z nim podczas wyprzedzania na ostrym zakręcie. Iona przygryzła wargę i popatrzyła na stygnącą połówkę pizzy, którą odłożyła dla Franka. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak jedzie szosą prowadzącą z Cork do Dublina. Nie dostrzegła żadnych kłopotów. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Frank nie dzwoni.

Nie potrafiła skupić się na filmie. Niespokojnym wzrokiem omiotła pokój i zatrzymała się na ich ślubnej fotografii - do czasu, gdy niedawno postawiła zdjęcia siostrzeńca i siostrzenicy, było to jedyne zdjęcie w tym pokoju. Oboje z Frankiem woleli obrazy od fotografii (a szczególnie tych przedstawiających ich samych), ale uzgodnili, że zdjęcie ślubne będzie wyjątkiem. Stali na białym piasku plaży na Barbadosie, ona w długiej białej sukni, z kolorowymi kwiatami wpiętymi w ciemne włosy, a on w białym smokingu i czerwonej muszce, którą uznała wtedy za lekką przesadę, ale okazało się, że wspaniale wyglądał na tle oślepiającego błękitu morza i nieba. Uśmiechali się do siebie, wznosząc toast szampanem. Iona uśmiechnęła się na to wspomnienie. To naprawdę był najszczęśliwszy dzień w jej życiu i nie miało dla niej znaczenia, że na uroczystości nie było nikogo z jej rodziny, ponieważ fakt, że byli tam wtedy tylko we dwoje, nadał temu wydarzeniu niezwykle osobisty charakter.

Cztery lata temu, pomyślała, a naprawdę wydaje się, jakby to było wczoraj!

Wzięła do ręki komórkę i ponownie wybrała numer Franka. Słyszając prośbę o zostawienie wiadomości, poczuła, jak jej niepokój wzrasta.

- Frank - powiedziała, starając się ukryć zaniepokojenie - gdzie ty, do diabła, jesteś? Zadzwoń do mnie. Wiem, że to głupie, ale martwię się o ciebie.

W jakiś sposób fakt, że głośno dała wyraz swojej trosce, sprawił, że jej niepokój nieco osłabł. Jakby przyznając się do niego, przekonała się, że jej obawy są niemądre. Rozłączyła się i spojrzała na ekran telewizora. Film już się skończył.

Rozdział 5

Telefon na posterunku policji w Ardallen zadzwonił wczesnym wieczorem, akurat gdy oficerowi dyżurnemu Timowi Shanahanowi właśnie udało się skończyć krzyżówkę w „The Evening Herald”. To był spokojny dzień w oddalonym o godzinę jazdy samochodem od Dublina miasteczku, a Tim nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia, że pozwala sobie na relaks w pracy - wszyscy wciąż jeszcze dochodzili do siebie po dwudniowym festiwalu jazzowym, który odbywał się w centrum Celtyckiego Stowarzyszenia Sportowego w zeszłym tygodniu. To właśnie drobne naruszenia porządku publicznego są tak czasochłonne, pomyślał. Ci wszyscy ludzie, którzy za dużo wypiją, a potem sikają na ulicach i rozrabiają. Jakaś większa sprawa byłaby o wiele bardziej interesująca, choć tak naprawdę to w Ardallen mieli za mało ludzi, żeby się zając jakąkolwiek większą sprawą.

- Posterunek policji w Ardallen. W czym mogę pomóc? - Tim lubił, gdy jego głos brzmiał miło przez telefon, choć wielu jego kolegów miało zwyczaj odpowiadać opryskliwie, tak jakby telefon odrywał ich od jakiejś niezwykle istotnej czynności.

- Jezus, Tim, przyjedź szybko - usłyszał podekscytowany głos. - W pubie Kavanagha osunęła się ziemia i połowa pubu leży w gruzach.

- Kto mówi? - zapytał, choć był pewien, że to Margaret Hobson, która mieszkała na zboczu wzgórza naprzeciwko pubu

- Na miłość boską, Tim, to ja, Mags. Miałam zadzwonić pod 999, ale pomyślałam, że szybciej będzie, jeśli od razu zadzwonię do ciebie. Przyjedź szybko, bo to wygląda strasznie.

- Dobrze zrobiłaś, Margaret - odpowiedział. - Już jedziemy.

Zawołał swojego kolegę Ronana Tierneya, żeby mu towarzyszył. Wskoczyli do oznakowanego radiowozu stojącego przed posterunkiem i szybko pojechali w kierunku pubu Kavanagha. Po drodze Tim zadzwonił na pogotowie - jeśli sytuacja jest tak zła, jak sugerowała Margaret (a ufał jej - choć łatwo się ekscytowała, była rozsądną kobietą), to na pewno będzie potrzebne.

Pub Kavanagha był bardzo dobrze znany w okolicy, a Tima bawił fakt, że znajduje się tuż obok o wiele elegantszego Ardallen House, który właśnie przechodził trzeci remont w ciągu ostatnich trzech lat. Ta przebudowa była najpoważniejsza, gdyż przewidywała otwarcie nocnego klubu. Martwiło to Tima, gdyż już sama lokalizacja pubów, pięć mil za miasteczkiem, powodowała problemy, ponieważ ludzie przyjeżdżali do

nich, a po paru piwach orientowali się, że nie powinni siadać za kierownicą. Pub z nocnym klubem jeszcze popogorszy sprawę. Przed paru laty nie miałyby to tak dużego znaczenia, ale teraz w Ardallen prowadzono politykę zero tolerancji dla jazdy pod wpływem alkoholu, która sprawiła, że Tim i reszta policjantów byli przez jednych mieszkańców uwielbiani, a przez innych nienawidzeni.

- O Boże - Tim skręcił i zatrzymał radiowóz przed pubem. Zdumiony popatrzył na budynek. Margaret Hobson nie żartowała. Jedna strona pubu była wielką kupą gruzu, a cały teren wyglądał jak po trzęsieniu ziemi.

- Zajmij się ruchem drogowym i gapiami - powiedział do Ronana. - Zaraz nadjadą karetki i trzeba im zrobić miejsce. Dobrze byłoby wezwać też wsparcie.

Gdy Ronan wziął się do roboty, Tim rozejrzał się wokół. Rozpoznał Noela Kavanagha, właściciela pubu, który siedział na drewnianym stole przed budynkiem, otulony czerwonym kocem. Wyglądał nienaturalnie blado, choć być może takie wrażenie sprawiał pokrywający go pył. Obok niego siedział starszy mężczyzna, w którym Tim rozpoznał Benniego Harrisona. Margaret Hobson częstowała ich herbatą ze staroświeckiego termosu. Zajmowała się jednocześnie dwoma innymi mężczyznami, oboma w podartych, pokrytych pyłem i plamkami krwi białych koszulach. W międzyczasie nadjechały dwie karetki i sanitariusze zajęli się rannymi.

- Chryste - dołączył do niego Ronan. - Co tu się stało?

- Bóg jeden wie - odparł Tim. Obejrzał się, słysząc syreny oznajmiające, że dotarło wsparcie. - Ronan, niech jeden z chłopaków pojedzie z karetkami. Niech się dowie, co z nimi. - Podrapał się po głowie. - Porozmawiam z Noelem i może czegoś się dowiem, zanim go zaborą. Musimy się dowiedzieć, czy ktoś tam nie utknął.

- Myślisz, że ktoś to zrobił celowo? - w głosie Ronana nadzieja mieszała się z przerażeniem.

- Celowo?

- Jakiś atak terrorystyczny albo coś.

Tim popatrzył na młodszego kolegę.

- Wiesz, co? Coś ci powiem - odparł. - Według mnie terroryści mają na oku lepsze cele niż pub Kavanagha.

- To może mafijne porachunki - zasugerował niezrażony Ronan.

- Jezu Chryste, Tierney, skąd ci przychodzą do głowy takie głupoty? - zapytał Tim.

- No, mam nadzieję, że w środku nie zostało wiele ludzi - odparł Ronan, godząc się po cichu z faktem, że Ardallen prawdopodobnie nie jest celem mafii ani terrorystów.

- Noel mówi, że jakiś gość wszedł tuż przed tym, jak to się stało - stwierdziła Margaret Hobson, która przydreptała w ich stronę. - Poza tym w pubie byli tylko Bennie i tych dwóch panów. Ten facet zamówił wodę gazowaną i poszedł do toalety; znajdowała się właśnie po tej stronie, na którą się zawałiła ściana.

- Jezu - Tim rozumiał już dokładnie, co się wydarzyło. Z jakiegoś powodu w trakcie przebudowy Ardallen House, który stał na wzgórzu wyżej niż pub Kavanagha, boczna ściana remontowanego lokalu zawałiła się i upadła dokładnie na drugi, przygniatając tę połowę budynku, w której znajdowała się męska toaleta, wraz z wszystkimi, którzy tam byli.

- Jeszcze go nie znaleźliśmy - powiedział strażak.

- Nie był stąd? - zapytał Ronan.

- Wygląda na to, że nie, ale nigdy nie wiadomo - zwrócił uwagę Tim. - Lepiej porozmawiam z Noelem.

Gdy szedł w stronę drewnianego stołu, jeden z sanitariuszy wciąż obecnych na miejscu katastrofy krzyknął. Inni pośpieszyli w jego kierunku. Po chwili pojawiły się nosze na kółkach. Tim obserwował, jak z gruzu wydobywają jakieś ciało i podłączają kroplówkę do ramienia człowieka, który jemu wydawał się pozbawiony życia.

Odjazdowi ostatniego ambulansu towarzyszył ryk syreny. W ślad za nim wyruszył radiowóz. Tim zaczął zbierać zeznania od wciąż będącego w szoku Noela Kavanagha oraz Benniego Harrisona, zdecydowanie bardziej skłonnego do rozmowy.

Jednak od żadnego z nich niczego nowego się nie dowiedział. Ich zeznania były bardzo podobne. Siedzieli w pubie i zajmowali się swoimi sprawami, gdy nagle usłyszeli głuchy huk i po sekundzie zorientowali się, że przysypał ich gruz i pył. Wybiegli głównym wejściem, przerażeni, że przysypie ich w środku, choć tak naprawdę zawałała się tylko jedna część budynku. Nic nie wiedzieli o mężczyźnie, który zamówił wodę Ballygowan, tylko Noel zauważył, że mówił z dublińskim akcentem.

- A ci dwaj pozostali - Tim spytał Noela. - Znasz ich?

Noel energicznie pokiwał głową.

- Spotykają się u mnie mniej więcej raz na miesiąc. Niewiele o nich wiem - jeden jest przedstawicielem handlowym jakieś firmy z północy. Drugi mieszka w Waterford. Nie pamiętam ich nazwisk.

- W porządku, Noel - powiedział Tim. Zwrócił się do Ronana i wskazał na parking. - Sprawdź te samochody i dowiedz się, na kogo są zarejestrowane.

Podszedł nerwowym krokiem i wsunął głowę przez drzwi pubu. Całe wnętrze było zawałone cegłami i pokryte pyłem. Na kontuarze naprzeciwko zauważył brązową aktówkę i zaczął ostrożnie stawiać kroki wśród gruzu, idąc w jej kierunku.

- Co ty do diabła wyprawiasz?

Obrócił się na dźwięk głosu strażaka, który patrzył na niego ze złością.

- Tutaj nie jest bezpiecznie.

Tim złapał aktówkę i wyszedł na zewnątrz. - Chciałem tylko zajrzeć - odpowiedział.

- Nie bądź taki odważny - powiedział strażak. - Nie chcemy kolejnej ofiary.

Tim spojrzał na niego.

- Ten facet, którego wyciągnęliście. Czy on nie żyje? Strażak wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że moim zdaniem ma niewielkie szanse.

- Cholera - powiedział Tim.

Jego uwagę zwróciło przybycie kolejnych samochodów i vanów. Dziennikarze, pomyślał kwaśno. Wszyscy z pytaniami, na które na razie nie będzie mógł udzielić odpowiedzi, wszyscy z zamiarem nadania historii ludzkiego oblicza oraz wskazania winnych. Rozpoznał Joely'ego McGuirka, reportera z lokalnej gazety, a także Pata Dolana, fotografa. Wiedział, że wkrótce pojawi się jeszcze więcej dziennikarzy.

- Pilnuj, żeby nie przechodzili pod taśmą - przestrzegł Ronana. - Powiedz, że za minutę z nimi porozmawiam.

Tim czuł się tak, jakby był na planie filmowym. Jednak zniszczenia wokół niego były jak najbardziej prawdziwe. Mężczyźni, których karetki zabrały do najbliższego szpitala, byli prawdziwi. Szok Noela Kavanagha i Benniego Harrisona był prawdziwy. Tylko po prostu trudno było w to wszystko uwierzyć.

Otworzył aktówkę, którą wy dostał z pubu, podczas gdy Ronan radził sobie jak mógł z pismakami. W środku znajdowały się głównie broszury i notatniki formatu A4 pokryte jakimiś bazgrołami i wykresami, a także dwa telefony komórkowe. Wziął czerwony i zajrzał do listy kontaktów. Pod nazwą „Dom” był numer telefonu w Dublinie, choć Tim nie był pewien, w której dzielnicy.

- Dowiedziałeś się czegoś o samochodach? - spytał Ronana.

- Zaraz dadzą znać - odpowiedział drugi policjant.

- Sprawdź też ten numer - powiedział mu Tim, wręczając komórkę.

Tim wziął żółty telefon komórkowy i zajrzał do listy kontaktów. Jeśli dobrze się zorientował, wszystkie numery dotyczyły pracy. Jeden telefon do rozmów prywatnych, a drugi do służbowych, stwierdził. Całkiem sensownie.

Na miejscu zjawiało się coraz więcej gapiów, a na koniec przybyła telewizja. Tim udzielał kiedyś wywiadu telewizjom RTÉ i Sky News, ale było to wtedy, gdy pewna międzynarodowa gwiazda muzyki pop brała ślub w zamku Ardallen usytuowanym na obrzeżach miasteczka. Uroczystość miała się odbyć w całkowitej tajemnicy, ale zorganizowano przecieki, tak że dowiedział się o niej, kto tylko chciał. Tim żartował wtedy i śmiał się razem z dziennikarzami. Mówiąc im, że nie ma nic do powiedzenia, czuł się jak gwiazda mediów.

Ale tym razem było zupełnie inaczej. Powiedział reporterom, że sprawa jest poważna i przykra i że w tym momencie nie może nic więcej dodać. Obiecał, że poinformuje ich, jak tylko będzie coś wiedział.

- Wiemy, czyje to samochody - powiedział Ronan. - I kim są ci dwaj, których zabrało pogotowie. Rozmawiałem z naszymi chłopakami w szpitalu. Tych rannych zatrzymają na noc, ale to nic poważnego, przede wszystkim są w szoku. Sami zadzwonili do swoich bliskich.

- A ten trzeci?

Ronan się skrzywił.

- Próbują ustabilizować jego stan, ale uważają, że trzeba będzie przetransportować go do Dublina. W okręgowym szpitalu nie mają odpowiedniego wyposażenia. To wygląda na uraz głowy.

Tim pomasaował sobie kark. Nie cierpiał urazów głowy. Popatrzył na kolegę. Ten bezradnie wzruszył ramionami, a następnie odebrał dzwoniący telefon.

- Ten trzeci - powiedział - ten z urazem głowy - numer telefonu domowego i numery rejestracyjne wskazują na ten sam adres. Frank Harper, osiedle River Valley w Bray. To samo nazwisko jest na wizytówkach, które znaleźliśmy w skrytce w samochodzie - udało się go otworzyć kilka minut temu.

Tim skinął głową. Teraz przypomniał sobie kierunkowy. Bray, oczywiście. To miasteczko nie było częścią Dublina, leżało w hrabstwie Wicklow około czterdziestu minut jazdy od stolicy.

- W pamięci komórki jest zapisanych kilka zdjęć - dodał Ronan. - Kobieta i dziewczynka. Pewnie rodzina.

- Trzeba tam pojechać i to sprawdzić - powiedział Tim. - A przynajmniej poprosić w Bray, żeby to zrobili. Takie rozmowy zawsze są bardzo przykre.

- Przecież on żyje - powiedział Ronan.

- Jeśli ma poważny uraz głowy... - Tim nie dokończył zdania.

- Może nie jest tak źle - powiedział z optymizmem Ronan, gdy Tim łączył się z komisariatem w Bray.

Rozdział 6

Dzwonek telefonu rozproszył uwagę Siobhán Farrell. Nocna zmiana na komisariacie była doskonałą okazją, by zrobić porządek z papierkową robotą, bez konieczności odrywania się od niej co pięć minut, więc od godziny siedziała przy swoim biurku i przeglądała akta sprawy dotyczącej prania brudnych pieniędzy. Sprawa miała wkrótce zostać przekazana prokuraturze i Siobhán musiała się upewnić, że postawiła kropkę nad każdym „i” i kreseczkę w każdym „t” i że akta są tak kompletne, jak to tylko możliwe. Najbardziej frustrującym elementem pracy w policji było obserwowanie, jak prokuratura nie zajmuje się jakąś sprawą tylko dlatego, że akta zawierają błędy, które spowodowałyby jej odrzucenie przez sąd. Zdarzyło jej się kiedyś, że sprawę odrzucono z powodu drobiazgu - że nazwała pewną firmę Havisham Holdings zamiast Haversham Holdings - i nigdy o tym nie zapomniała.

- Halo - powiedziała dość opryskliwie, zirytowana, że jej przerwano. Tim Shanahan skrzywił się. Takiego właśnie tonu nie lubił. Pomyślał, że w dzisiejszych czasach kobiety potrafią być nawet bardziej opryskliwe i nieuprzejme niż mężczyźni. Przedstawił się i opowiedział o wypadku w Ardallen.

- To straszne - w głosie kobiety usłyszał nutkę prawdziwego współczucia, co nieco ociepliło jego stosunek do niej. - I uważa pan, że jedna z ofiar pochodzi z naszego rejonu? - Tim przeczytał adres, a Siobhán przytaknęła. - Znam tę okolicę.

- Ktoś musi pojechać do niego do domu - powiedział Tim. - I przekazać wieści.

- Jak bardzo źle? - zapytała Siobhán.

- Według mnie nie wygląda to najlepiej - odpowiedział.

- Pytałem, czy jego żona powinna tu przyjechać, czy ma poczekać, aż wyślą go do Dublina. Odpowiedzieli, żeby przyjechała, bo na razie nie uda się jego stanu ustabilizować na tyle, by był możliwy transport.

- Dobra - powiedziała Siobhán. - Zaraz tam jadę.

- Dzięki - odpowiedział Tim. Podał jej wszystkie możliwe informacje. - Przykro mi, że was tym obarczam.

- To lepsze, niż gdybyśmy mieli przekazać, że nie żyje - odparła Siobhán rzeczowym tonem. - Robiłam to już i szczerze mówiąc, nienawidzę tego. Atak przynajmniej wciąż jest jakaś nadzieja.

- Wyglądał na niezłe poobijanego, jak wyciągali go z gruzów - powiedział Tim. - Nie jestem pewien, czy przeżyje.

- Wciąż jest nadzieja - powtórzyła Siobhán.

Rozłączyła się z Timem i machnęła ręką w kierunku umundurowanego policjanta, który akurat mijał jej drzwi.

- Cathal, właśnie ciebie potrzebuję. Pojedziesz ze mną - powiedziała do niego. - Mamy do przekazania niemiłą wiadomość.

Cathal Rothery westchnął. Zawsze zabierano go tam, gdzie trzeba przekazać złe wieści. Miał urodę chłopca z kościelnego chóru i ujmujący sposób bycia, co sprawiało, że ludzie czuli się w jego towarzystwie komfortowo.

- O co chodzi? - spytał, gdy szli już w stronę samochodu.

Iona była bardzo zaniepokojona. Powiedział, że będzie w domu około wpół do ósmej, a teraz była już dziesiąta. Trzy kolejne pełne niepokoju wiadomości, jakie nagrała na jego pocztę głosowej, pozostały bez odpowiedzi. Nie mogła sobie wyobrazić innego wyjaśnienia, niż to, że Frank miał jakiś wypadek, bo nie mogła uwierzyć, by mógł celowo ignorować jej telefony. Nie posprzeczali się, a gdy po raz ostatni z nim rozmawiała, wszystko było zupełnie normalnie. Do licha, rozmawiali przecież o zamówieniu pizzy!

Spojrzała na resztki pizzy Cajun z dodatkowym serem, a także na kawałki chleba czosnkowego, wszystko już zimne i nieapetyczne. Zamknęła pudełko i zaniósła je do kuchni.

Włączyła wcześniej wiadomości, żeby sprawdzić, czy nie powiedzą czegoś o jakimś wypadku na drodze z Cork, ale o niczym takim nie informowano. Weszła teraz do biura, żeby sprawdzić najświeższe wiadomości w Internecie, tak na wszelki wypadek. Siedziała nerwowo przed ekranem komputera, czując w ustach metaliczny smak strachu, gdy logowała się i przeglądała portal z aktualnościami z Irlandii.

Zgłoszono wiele wypadków, ale żaden z nich nie zdarzył się na drodze z Cork do Dublina, a Frank z pewnością wybrał tę drogę. Wpatrywała się w ekran, na którym otwierały się kolejne okienka i migły kolorowe reklamy nowych komórek czy darmowych usług, i czuła, jak lęk ściska jej wnętrzności, a skurcze w dole brzucha stają się coraz silniejsze.

Może wcale nie miał wypadku. Może zachorował i zabrali go do szpitala. Na przykład miał zapalenie wyrostka robaczkowego. Albo kolejny atak migreny. To mogło być to, pomyślała, czując, jak pętla strachu nieco się rozluźnia. Jeśli poczuł, że nadchodzi atak migreny, mógł zjechać na pobocze i czekać aż przejdzie. Jednak w głębi duszy wiedziała, że chwytła się tej myśli jak tonący brzytwy. Gdyby Frank tylko mógł, już dawno by do niej zadzwonił. Zawsze dzwonił, gdy coś mu niespodziewanie wypadało, bo w jego branży to się często zdarzało i często w związku z tym się spóźniał.

Ponownie zeszła na dół i wstawiła brudne naczynia do zmywarki, próbując opanować rosnące zaniepokojenie. Niezjedzone kawałki pizzy przełożyła na talerz i przykryła folią, ale nieapetycznie wyglądający chleb czosnkowy wyrzuciła do kosza. Potem poszła do salonu i wyjrzała przez okno od frontu. Ulica, wąski i ślepy zaułek, była praktycznie pusta. Samochody stały zaparkowane przed domami swoich właścicieli, ale żaden nie jechał ulicą. Jakaś para, trzymając się za ręce, minęła ich dom. Nie zauważyli, że obserwuje ich zza żaluzji.

Z pewnością istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie, pomyślała po raz kolejny zerkając na zegarek. A ja się denerwuję bez powodu. Frank ciągle mnie krytykuje, że za bardzo przejmuję się wszystkim. Pewnie

martwię się jeszcze bardziej przez ten okres. Pomasowała sobie brzuch, w którym od czasu kąpieli czuła tylko tępe pobolewanie. Jestem pod działaniem hormonów. Nie myślę.

Nagle zmarszczyła brwi i pobiegła z powrotem na górę. Szybkim ruchem otworzyła drzwi podwójnej szafy. Brakowało dwóch garniturów, tego, który Frank miał na sobie, wyjeżdżając, oraz drugiego, który zawsze zabierał ze sobą na wypadek, gdyby musiał się przebrać. Z górnej szuflady jego komody zniknęło sześć koszul, a także skarpetki i kilka krawatów. Nic niezwykłego. Nie porzucił jej znienacka, nie uknął spisku i nie uciekł z jakąś kochanicą z Cork!

Roześmiała się z własnej głupoty. Frank nigdy by jej nie porzucił. Kochał ją. A ona kochała jego. Od pierwszego momentu, gdy go ujrzała, wiedziała, że jest kimś, kogo może pokochać. Poczula to od razu.

Spotkali się zupełnie przypadkowo. Wyskoczyła na szybki lunch. W zatłoczonym barze w centrum jadła tortillę z kurczakiem na ostro, przeglądając umowy najmu i nie zwracając uwagi na kłębiący się wokół niej tłum. Nie zauważyła także Franka, który stanął obok małego okrągłego stolika, przy którym siedziała, nawet gdy kilkakrotnie odchrząknął, aż w końcu powiedział: „Przepraszam”. Zaskoczyło ją, jak bardzo jest przystojny, jego męska twarz, ciemne, nieco sztywne włosy i ciepłe brązowe oczy. Nigdy później nie potrafiła wyjaśnić, jak to się stało, że od razu poczuła fizyczny pociąg do mężczyzny, którego nie знаła. Po prostu gdy tylko na niego spojrzała, zaczęła się zastanawiać, jaki jest w łóżku. Poczula, jak jej zwykle blade policzki pokrywa rumieniec.

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytał. - Czy można? - Wskazał głową puste miejsce obok niej.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała, wsuwając umowy najmu do swojej teczki.

- Przepraszam, że pani przeszkodziłem - powiedział, stawiając na stoliku talerz ze swoją bagietką z szynką i serem i dużą wodę mineralną. - Straszny tu dzisiaj ścisk, prawda?

Iona przytaknęła.

- Zwykle nie jest tak tłoczno - dodał, wieszając swoją marynarkę na oparciu krzesła.

- Trudno mi powiedzieć - odparła. - Jestem tu pierwszy raz.

- To chyba jest teraz bardzo modne miejsce - powiedział.

- Pewnie często przychodzi tu Bono albo Daniel O'Donnell* czy ktoś taki.

* Bardzo popularny irlandzki piosenkarz, który wydał około trzydziestu albumów z muzyką łączącą pop z country i sprzedał ponad 10 milionów płyt.

Zachichotała na myśl o tych dwóch piosenkarzach o tak odmiennych osobowościach bywających w tym samym barze.

- Albo kompletnie zmyślam - uśmiechnął się do niej, a w jego brązowych oczach zapaliły się isierki.

Iona nie była w stanie skupić się na żadnej z umów, które zostawiła na stoliku. Przegadała z Frankiem całą przerwę na lunch, aż nagle z jękiem przerażenia uświadomiła sobie, że spóźni się na spotkanie.

- Szkoda - powiedział Frank. - Bardzo miło się z panią rozmawiało. Trudno, może kiedyś się jeszcze spotkamy.

Popatrzyła na niego przez chwilę i wypaliła: „Może jutro wieczorem? Wybieram się na koszmarnie nudną kolację służbową i powinnam na nią pójść z kimś, tylko że... no cóż... rozstałam się ze swoim chłopakiem i nie mam kogo poprosić... Co pan na to?”. Przeraziła się, słysząc swoje własne słowa. Po pierwsze, nigdy jeszcze nie zaprosiła mężczyzny na randkę. Po drugie, firmowa kolacja to nie był najlepszy pomysł na randkę. A po trzecie, nie wiedziała, ile dokładnie Frank ma lat, ale wydawał się zdecydowanie starszy od chłopaków, z którymi dotąd się umawiała. Co ja do diabła wyprawiam, pomyślała.

Podczas gdy ją zalewała fala wstydu, on rozważał jej propozycję. Zupełnie obcy facet, skarciła w duchu samą siebie, kompletnie zwariowałam! A wtedy on powiedział, że z nią pójdzie, czemu nie, a Iona poczuła się tak, jakby nagle zza chmur wyszło słońce.

Pamięta każdy szczegół tamtego pierwszego wspólnie spędzonego wieczoru. Podczas kolacji traktował ją uprzejmie i z rezerwą, ale potem powiedział, że musi mieć pewność, że bezpiecznie dotrze do domu i wsiadł z nią do taksówki. Czowała, jak ogarnia ją fala namiętności. Nie mogła tego zrozumieć. To był zwyczajny facet. I do tego wyglądało na to, że wcale nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia. Wydawało jej się niemożliwe, by on nie czuł tego, że ona sobie wyobraża, jak zdiera z niego ubranie i kocha się z nim właśnie w tym momencie i to na tylnym siedzeniu taksówki!

Gdy dojechali pod jej dom, nieśmiałym głosem zapytała go, czy nie wejdzie na kawę. Zignorowała stłumiony rechot taksówkarza i modliła się, by Frank przyjął zaproszenie. Zawahał się, ale w końcu powiedział, że tak.

Nie zrobiła mu kawy. Jak tylko zamknęli za sobą drzwi, odwróciła się do niego, a on pocałował ją tak, że z pożądania zrobiło jej się słabo. Zaprowadził go na górę, do swojej urządzonej zgodnie z zasadami feng-shui sypialni, a on kochał się z nią tak, jak nikt nigdy dotąd. Wiedziała już, że jest w nim zakochana. Wiedziała, że zawsze będzie go kochać. I wiedziała też, że pewnego dnia za niego wyjdzie.

Przekonanie, że zostanie jego żoną, to jedno, sprawienie, by tak się stało, wcale nie było takie proste. Po kilku randkach Frank wyznał jej, że raczej nie pali się do małżeństwa.

- Mnie też się nie paliło - powiedziała mu pewnej nocy, gdy się kochali dwa razy pod rząd, a drugi raz był nawet cudowniejszy od pierwszego. - Ale z tobą jest inaczej. - Dotarło do niej, co właśnie powiedziała i poczuła zażenowanie. Zaproponowałam mu małżeństwo, pomyślała. Nie miała pojęcia, co mogłoby bardziej zrazić niepalącego się do małżeństwa mężczyznę niż oświadczyzny.

Ale on się roześmiał i odparł, że też czuje, że z nią jest jakoś inaczej, i że nigdy dotąd tak bardzo nie zaangażował się w czyjeś życie.

- Może to dlatego, że jesteś ode mnie trochę starszy - kontynuowała wątek z nieco większą pewnością siebie (wiedziała już, że Frank jest od niej starszy dokładnie o dziesięć lat) - ale wiesz, czego pragnę, nawet zanim sama to sobie uświadomię. Umiesz obchodzić się z kobietami, Frank. Nie mogę pojąć, jak to się stało, że wciąż jesteś wolny?

Wydał z siebie zduszony chichot i rzucił coś o losie wygranym na loterii.

Od czasu pierwszej rozmowy na temat małżeństwa Iona zauważyła, że nieustannie do niego wraca. Starła się tego nie robić, nie chciała Franka do niczego zmuszać, a poza tym wyjście za mąż nie zajmowało do

tej pory szczególnie wysokiej pozycji na jej liście priorytetów. Ale nie chciała, żeby jej umknął - stanowił idealny materiał na męża.

Ślub na Barbadosie był jego pomysłem. Będzie inaczej i wyjątkowo. I nie szkodzi, mówił jej, że jako jedynak, którego rodzice już nie żyli, nie ma nikogo z rodziny, kogo mógłby zaprosić na tę uroczystość, a z kolei jej rodzina go nie lubi. Będą mieli cudowny ślub w cudownym miejscu.

- Ale moja rodzina cię lubi - zaprotestowała. - Co prawda, moi rodzice jeszcze cię nie poznali, ale szczerze powiedziawszy, mama i tata raczej nie ingerują w nasze życie. Są szczęśliwi, jeśli my jesteśmy szczęśliwi.

- Twoja siostra i jej mąż nie przepadają za mną.

- Och, Lauren! - Iona wzruszyła ramionami na wspomnienie siostry. - Uważa, że każdy mężczyzna powinien być taki jak Myles, nudny stary piernik. A poza tym to ledwie cię zna.

Iony nie martwiło to, że chodzi z Frankiem od niemal pół roku, a spotkali się z jej siostrą tylko dwa razy, z Craigiem tylko raz, a z rodzicami ani razu. Nie poznał jeszcze Flory i Davida, dlatego że jak tylko Craig skończył college, przeprowadzili się do zrujnowanej (choć teraz już wyremontowanej) willi w pobliżu Jávea na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii.

Zdecydowali się więc na ślub na Barbadosie, który był dokładnie tak wspaniały, jak obiecywał Frank. Kilka tygodni później polecili do Hiszpanii, żeby się spotkać z Florą i Davidem, i spędzili kilka dni w ich willi, zanim wyruszyli w dalszą podróż do Barcelony.

- Podoba mi się - powiedziała Flora swojej córce, gdy siedziały na werandzie, z której się roztaczał widok na gaj pomarańczowy (założyły swetry, ponieważ w lutym noce bywały bardzo zimne). - Cieszę się, że znalazłaś kogoś, z kim chcesz być, nawet jeśli jest trochę stary.

- Mamo! Wcale nie jest dużo starszy ode mnie.

- Ale dużo bardziej doświadczony.

- Po prostu żyje parę lat dłużej.

- Masz rację - Flora przytuliła ją. - A ty jesteś szczęśliwa i to jest najważniejsze.

Iona odwzajemniła uścisk. Doceniała to, że dla jej matki najważniejsze jest osiągnięcie osobistego szczęścia. Zawsze tak było. To dzięki Florze Iona zainteresowała się feng-shui i jogą, dzięki niej starała się utrzymywać równowagę między ciałem a umysłem. Wiedziała, że nigdy nie będzie tym wszystkim tak bardzo zainteresowana jak jej matka, która (zdaniem Iony) czasami dostawała dosłownie bzika na punkcie New Age, ale zawsze doceniała to, że dla Flory szczęście było ważniejsze niż pieniądze, kariera czy dobra materialne. Gdy inne dziewczyny w szkole martwiły się wynikami egzaminów szkolnych czy do college'u i tym, co ich rodzice powiedzą, jeśli nie zdobędą odpowiedniej ilości punktów, żeby się dostać na wybrany kierunek studiów, Iona czuła się bezpieczna i szczęśliwa, że Flora nie uzna tego za tragedię, nawet jeśli jej córka wszystko obleje.

Ale tak się nie stało. Zawsze lubiła się uczyć i miała oprócz tego talent do zdawania egzaminów, nawet jeśli nie przygotowała się do nich tak dobrze, jak mogła. To kwestia dobrej techniki, powiedział jej kiedyś jeden z nauczycieli a ona się z tym zgadzała. Miała też doskonałą pamięć krótkotrwałą i świetnie umiała wykorzystać powtórki robione w ostatniej chwili.

Jej sukcesy szkolne oraz fakt, że była dobra w sportach, oznaczały jednocześnie, że nie cieszyła się specjalną popularnością wśród chłopców. Tak naprawdę w czasach szkolnych umawiała się tylko z dwoma chłopcami i na dodatek żaden z nich wcale jej się nie podobał. Nawet później, gdy zaczęła pracować i poznawała wiele osób, nadal nie odnosiła sukcesów na froncie damsko-męskim. Z mężczyznami świetnie jej się pracowało, piło piwo i oglądało mecze piłki nożnej czy rugby, ale nic ponadto.

Aż do czasu, gdy poznała Franka. On zmienił wszystko.

Po raz kolejny spjrzała na zegarek. Wcale nie denerwuje się niepotrzebnie, bo z pewnością stało się coś złego.

Musi spojrzeć prawdzie w oczy. Frank powinien być już dawno w domu, a nie zadzwonił. Nie zadzwonił albo dlatego, że nie chciał, albo dlatego, że nie mógł. I niezależnie od przyczyny jego milczenia nie oznaczało to dla niej nic dobrego.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, wzięła telefon i wybrała numer siostry.

- Halo!

Skrzywiła się. Telefon odebrał jej szwagier, Myles Leary. Iona nie do końca wiedziała, dlaczego nigdy się nie polubili, ale ich stosunki faktycznie nie układały się najlepiej. Na dodatek Myles nie przepadał za Frankiem - usłyszała kiedyś, jak go nazwał wazeliniarskim dupkiem.

- Cześć Myles - powiedziała najbardziej lekkim tonem, na jaki było ją stać. - Jest Lauren?

- Nie - odpowiedział Myles. - Poszła na zajęcia z tańca liniowego*.

- Och.

- Przekazać jej, że dzwoniłaś?

- Tak, tak... Ale... Posłuchaj, Myles... - Nie mogła uwierzyć, że zamierza się zwierzyć swojemu szwagrowi, ale rozmawiając z nim, poczuła, że musi podzielić się z kimś swoim niepokojem. - Prawdopodobnie nic się nie stało, ale Frank się spóźnia, a ja nie mogę się z nim skontaktować. Trochę się martwię.

* Taniec liniowy (ang. line-dancing) to rodzaj tańca bez par, w którym tancerze ustawieni w rzędy wykonują te same sekwencje kroków, zwykle do muzyki country.

Była pewna, że po drugiej stronie słyszy wieloznaczne chrząknięcie.

- Pewnie zatrzymał się gdzieś po drodze na małe piwo i wyłączył telefon - powiedział Myles.

- Może ty tak robisz - odparła Iona - ale Frank nie.

- Wszyscy mężczyźni są tacy, jeśli tylko mają okazję - odpowiedział sucho Myles. - Wcale nie jest tak późno, Iona. Nie panikuj.

- Jest po dziesiątej - powiedziała. - On miał być w domu o siódmej, ósmej.

- A skąd wraca?

Iona wyjaśniła mu, że Frank był w podróży służbowej i że sprawdzała wiadomości, czy nie było jakichś wypadków na drodze z Cork do Dublina.

- I nie było, więc nie ma się czym martwić. Słuchaj, pewnie wydarzyło się coś, co go opóźnia, i z jakiegoś powodu nie może do ciebie zadzwonić. Nie ma potrzeby histeryzować.

- Nie histeryzuję - odparła. - Po prostu się martwię.

- Powiem Lauren, jak wróci do domu - powiedział Myles. - Daj znać, jeśli Frank wróci do tej pory.

- Dobrze - odłożyła słuchawkę, czując się tak jak zawsze po rozmowie z Mylesem, czyli jakby była głupia i śmieszna.

Ale nie dbała o to, co myśli Myles. Frank by do niej zadzwonił. Zawsze dzwonił. Właśnie w ten sposób funkcjonowało ich wspólne życie. Teraz się przestraszyła, że to koniec, bo on po raz pierwszy, odkąd byli razem, nie zadzwonił. A ona nie chciała, żeby tak było.

Rozdział 7

Sally prawie skończyła rozładowywanie zmywarki, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zakłęła pod nosem i postawiła ostatnie naczynie na kuchennym stole. To pewnie jedna z przyjaciółek Jenny, żeby ją gdzieś wyciągnąć, a to oznacza zwyczajową wojnę o to, do której Jenna może być poza domem, gdzie może pójść oraz w czyim towarzystwie się tam wybiera. Tego wieczoru Sally, która wciąż była zdenerwowana i zmartwiona swoją nieoczekiwaną ciążą, nie miała jednak siły na kłótnie z córką. Nie żeby była jakimś szczególnie surowym rodzicem - w weekendy, tak jak dzisiaj, pozwalała bowiem Jennie wracać dopiero w poł do pierwszej w nocy - ale zawsze pragnęła wiedzieć, z kim wychodzi i dokąd idzie, a Jenna często albo nie chciała, albo nie mogła jej tego powiedzieć. Zdaniem Jenny to nie miało żadnego znaczenia, skoro wraca do domu na czas, a fakt, że zawsze była na czas - i to nawet, zwykła dodawać, w tygodniu, kiedy ma tę śmieszna godzinę policyjną i jako jedyna wśród znajomych musi być w domu już o dziesiątej. Czasami Sally myślała nad przesunięciem tej godziny, ale w końcu się nie poddała. Mimo wszystko trzeba jednak wyznaczać jakieś granice, pomyślała zdesperowana. Jak, do diabła, inne matki sobie z tym radzą?

Słyszała, jak Jenna zbiega z tupotem po schodach i otwiera drzwi. Czekala, aż zawoła: „Wychodzę, wrócę późno”, co będzie sygnałem do rozpoczęcia wielkiej debaty pod tytułem: „Dokąd się wybierasz?”. Zamiast tego usłyszała cichą wymianę zdań, a po chwili otworzyły się drzwi do kuchni. Weszła Jenna, a za nią wysoka kobieta o poważnym wyrazie twarzy, ubrana w ładny płowy kostium, ze spiętymi do tyłu mocno kręconymi rudymi włosami. Towarzyszył jej umundurowany policjant o bardzo młodzieńczym wyglądzie. Sally z niepokojem przeniosła wzrok na Jenę. Czy pomimo jej najlepszych starań córka wpadła w jakieś kłopoty, które sprowadziły do ich domu policję? Boże, pomyślała, Frank strasznie się zdenerwuje, jeśli Jenna ma kłopoty z policją.

- Dobry wieczór, pani Harper - kobieta uśmiechnęła się do niej, ale Sally wiedziała, że jest to uśmiech profesjonalisty.

- Jestem sierżant Siobhán Farrell, oficer śledczy z komisariatu policji w Bray. A to mój kolega, Cathal.

- Tak? - Sally patrzyła na nich, a jej niepokój wzrastał.

- Otrzymaliśmy wiadomość od naszych kolegów z Ardallen - powiedziała Siobhán. - Zdarzył się tam pewien wypadek, w którym...

- Nie znamy nikogo w Ardallen - przerwała jej Sally.

- Bez względu na to, o co chodzi, myślę, że trafili państwo pod zły adres.

- ...w którym doszło do zawalenia się części budynku, a w efekcie są ranni - spokojnie kontynuowała Siobhán. - Do tej pory nie stwierdzono ofiar śmiertelnych, ale jedna osoba jest ciężko ranna, a my próbujemy ustalić jej tożsamość.

Sally dostrzegła nagły błysk współczucia w oczach tej obcej kobiety, gdy policjantka odczytywała numery rejestracyjne samochodu ofiary.

- Ten samochód jest zarejestrowany na pana Franka Harpera, zamieszkałego pod tym adresem - powiedziała Siobhán. - Sądzymy, że to pani mąż mógł zostać ranny w tym wypadku. Jest teraz w szpitalu w pobliżu Ardallen i chyba powinna tam pani pojechać.

- Ale... ale... - Sally patrzyła na nią zdumiona. - Frank wyjechał. Jest w południowo-zachodniej części kraju. W okolicach Cork i Kerry. Wraca dopiero jutro. Nie może być w Ardallen. To tylko godzina drogi stąd.

- Może zmienił zdanie - powiedziała Siobhán. - Policjanci z Ardallen sprawdzili jego komórkę. Też jest zarejestrowana na ten adres. A numer domowy z listy kontaktów odpowiada numerowi telefonu pod tym adresem.

- Mamo? - Jenna, która stała obok kuchennego stołu, nagle osunęła się na krzesło.

- Wszystko w porządku? - zapytał Cathal Rothery. - Chcesz się napić wody?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do zlewu, wziął jedyną szklanke, jaka stała na suszarce, nalał do niej wody i podał Jennie. Ta, choć było jej niedobrze, zaczęła pić wodę małymi łykami.

- Chce mi pani powiedzieć... - Sally wciąż miała trudności z wysłowieniem się - że mój mąż jest ranny? To niemożliwe. Po co miałby wchodzić do niebezpiecznego budynku? Jest biznesmenem. Zajmuje się instalacją oświetlenia i pokazami świetlnymi. Ale sam oświetlenia nie montuje, ma do tego ludzi. On to wszystko organizuje. Sprzedaje instalacje. A jeśli czasem musi sprawdzić, jak to robią, zawsze zakłada kask. Jest bardzo ostrożny. Więc nie może być ranny.

- Nie znam wszystkich szczegółów - powiedziała Siobhán. Ale wygląda na to, że zatrzymał się w pubie, a gdy był w środku, zawalił się budynek obok. Został przysypany gruzem.

- Ale... ale Frank nigdy nie pije alkoholu, kiedy kieruje samochodem - krzyknęła Sally. - Jestem jego żoną od osiemnastu lat i nigdy nie tknął alkoholu, jeśli miał się za kierownicą. I nie ma mowy, żeby się zatrzymał w takim miejscu jak Ardallen na drinka, najpierw przyjechałby do domu, na pewno. Ale dzisiaj miał nie wracać. Powiedział mi, że zatrzyma się w Cork!

- Tak jak powiedziała Siobhán, być może zmienił plany - powiedział Cathal delikatnym tonem. - Być może chciał zrobić wam niespodziankę, pojawiając się w domu wcześniej. Mógł się zatrzymać z wielu różnych powodów.

- No cóż... tak... być może... ale... - w głowie Sally kłębiło się wiele myśli, a ona wyglądała na niezdolną do ich uporządkowania. - Ale on tak nie robi. Jest bardzo dobrze zorganizowany. I przecież zadzwonił do mnie, żeby uprzedzić, że nie wróci do domu. Zdecydował się dopiero po południu. Więc nie mógł zmienić zdania.

- Mamo, zadzwoń do niego - powiedziała Jenna z niepokojem. - Na pewno odbierze.

- Moi koledzy mają jego telefon - szybko powiedział Cathal. - Pani Harper, naprawdę myślę, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie pani teraz do Ardallen. Czy ktoś może tam panią zawieźć?

- Nie... nie wiem - Sally chwyciła się krawędzi zmywarki. Szybko oddychała i czuła, jak słabnie.

Cathal przystawił krzesło i pomógł jej usiąść.

- Może ktoś z rodziny? - zasugerowała Siobhán. - Może siostra albo brat mieszkają w pobliżu?

- Mama nie ma ani siostry ani brata - powiedziała Jenna. - Jesteśmy tylko my troje.

- Może tata ma jakąś rodzinę?

- Nie - Jenna spojrzała na nich osłupiałym wzrokiem,

- Przecież mówię. Jesteśmy tylko my. Ja, mama i tata.

- Pomożemy pani dostać się do szpitala - powiedziała szybko Siobhán. - Proszę się tym nie martwić.

- Może Denise mogłaby mnie zawieźć... - Sally słyszała samą siebie, ale zdawało jej się, jakby ktoś mówił za nią. Rzuciła zaniepokojone spojrzenie na Siobhán. - Pracuje ze mną. I jest moją przyjaciółką. Tylko że musiałyby przyjechać z Sutton, a to daleko, po drugiej stronie miasta i... - uniosła gwałtownie głowę i spojrzała prosto w błękitne oczy Siobhán.

- W jakim on jest stanie? Czy jest bardzo źle?

- Cóż... myślę, że dobrze byłoby, gdyby pojechała pani do szpitala - odpowiedziała Siobhán. - Nie mam dokładnych informacji, pani Harper, ale wiemy, że został ciężko ranny.

- Czy tata może umrzeć? - z trudem wykrztusiła z siebie Jenna.

- Najlepiej będzie, jeśli od razu wyruszymy - wtrącił Cathal. - Zawiozę was. - Spojrzał na Siobhán, która skinęła głową.

- Wezmę żakiet - rzuciła Sally obojętnym tonem.

- Proszę się spokojnie przygotować - powiedział Cathal. Policjanci wymienili spojrzenia, gdy Jenna i Sally wyszły po ubrania.

- Czasami nienawidzę tej roboty - powiedziała Siobhán.

Cathal pokiwał głową. W milczeniu czekali, aż Jenna i Sally wrócą.

- Zawrócę na komisariat, żeby podzucić tam Siobhán - powiedział Cathal w drodze do samochodu - ale potem pojedziemy prosto do szpitala, dobrze, pani Harper?

Sally skinęła głową. Wsiadła na tylne siedzenie radiowozu, a Jenna wgramoliła się za nią. Gdy samochód odjeżdżał spod domu, zauważyła drgnięcie zasłon w domu Noeleen Sharp, stojącym dokładnie naprzeciwko po drugiej stronie ulicy. Posiadanie czujnych sąsiadów ma swoje wady i zalety. Sally wiedziała, że cała ulica będzie potem rozmawiać o tym, jak z Jenną wsiadały do policyjnego radiowozu, i debatować nad szczegółami dostarczonymi przez Noeleen. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Ważne, żeby z Frankiem wszystko było w porządku.

Gdy na dachu radiowozu rozbłysło niebieskie światło policyjnego koguta, Sally poczuła, jak Jenna przesuwa ręką po tylnej kanapie samochodu i chwyta jej dłoń. Uścisnęła rękę córki i szybko na nią spojrzała, ale Jenna miała głowę odwróconą w przeciwną stronę i wyglądała przez okno samochodu szybko

zmierzającego w kierunku komisariatu. Zatrzymali się na moment, żeby wysadzić Siobhán - uśmiechnęła się do nich i życzyła powodzenia - a potem ruszyli w dalszą drogę.

Pędzili teraz drogą N11 w kierunku Arklow i Ardallen. Właśnie tędy jechałby, wracając do domu, pomyślała Sally. Ale dlaczego miałby dziś jechać do domu, skoro powiedział jej, że wyjedzie z Cork najwcześniej jutro rano? To nie miało żadnego sensu. Frank zawsze był doskonale zorganizowany, niemożliwe, żeby nagle zmienił plany co do powrotu do domu. I nigdy nie robił jej niespodzianek. Sally nie należała do kobiet, które lubią niespodzianki, a on starał się nie robić nic niezapowiedzianego. Nie mógł więc być tą osobą, którą przysypał gruz z zawalonego budynku. Pewnie jest w Cork, tak jak mówił, a całe to zamieszanie to jedna wielka pomyłka.

Samochód nagle podskoczył na nierówności drogi i Sally poczuła jak przewracają się jej wnętrzności. Szybko przełknęła ślinę, tłumiąc nudności. Od ataku porannych mdłości czuła się dobrze, ale nagle uczucie opadania przypomniało jej o nieplanowanej ciąży, która teraz wydawała się czymś odległym i nierealnym. Nie jestem w ciąży, pomyślała. A Frank nie jest ranny. To jakaś wielka, gigantyczna pomyłka.

Ponownie uściśnieła dłoń Jenny. Samochód skręcił pod szpital i zatrzymał się tuż przed głównym wejściem.

Cathal Rothery zgasił silnik, wysiadł z radiowozu i otworzył Sally drzwi. Teraz, gdy dotarli już na miejsce, Sally poczuła, że nie jest w stanie samodzielnie wyjść z samochodu. Podała rękę wyciągającemu dłoń Cathalowi, a potem pomogła wysiąść Jennie. We trójkę weszli po schodach.

- To pani Harper i jej córka - powiedział Cathal recepcjonistce. - Do tego mężczyzny, którego dzisiaj przywieziono. Z zawalonego budynku.

- Och, oczywiście!

Nagły błysk współczucia w oczach kobiety nie umknął uwadze Sally. Czubkiem języka zwilżyła wargi. To nie Frank. To na pewno nie on.

Recepcjonistka powiedziała coś do mikrofonu i po chwili przyszedł młody lekarz. Uśmiechnął się do nich, ale tak jak wcześniej w przypadku Siobhán Farrell, był to uśmiech profesjonalisty.

- Stan pani męża jest stabilny - zwrócił się do Sally. - Ma liczne złamania - zebra, ramię i nogi, a także skaleczenia i stłuczenia. Doznał też urazu głowy.

- To nie mój mąż - Sally była pewna. - Frank wyjechał. To nie może być on. Nie jest ranny i nic mu się nie stało.

- Pójdziemy tam? - lekarz wskazał na korytarz.

Sally i Jenna poszły za nim w towarzystwie Cathala.

Lekarz zatrzymał się przed małą salą, do której można było zajrzeć przez szybę. Matka i córka spojrzały na posiniaczone i poobijane ciało leżące na łóżku, na otaczające je kroplówki i rurki oraz siedzącą przy nim pielęgniarkę.

- Och, mamó - jęknęła Jenna i zemdląła.

Iona wyłączyła telewizor i wpatrywała się w pusty ekran. Z otepienia wyrwał ją dźwięk telefonu. Odebrała go, nie sprawdzając, kto dzwoni - jej głos był pełen niepokoju.

- Halo!

- To ja.

- Och - gdy usłyszała głos siostry, napięcie z niej opadło.

- Wrócił już?

- Nie.

- I nadal się martwisz?

- Oczywiście, że nadal się martwię - odburknęła Iona. - Jest prawie jedenasta. Nie zrobiłby mi czegoś takiego, Lauren, wiesz o tym. Zadzwoiłby, gdyby coś się stało.

- A ty dzwoniłaś?

- Daj spokój! - Iona poczuła, jak jej zdenerwowanie rośnie. - Tak, do diabła, dzwoniłam! Dzwoniłam do niego wiele razy, ale ciągle odpowiada mi ta cholerna poczta głosowa.

- Posłuchaj, jeśli coś by mu się stało, już byś się o tym dowiedziała - pocieszała ją Lauren. - Tak to dzisiaj jest. Błyskawiczna komunikacja. Dowiedzieliby się, gdzie jesteś, i daliby ci znać.

- Chyba że został porwany?

- Porwany?

- A dlaczego nie? - zapytała Iona i dodała. - Jest przecież odnoszącym jakie takie sukcesy biznesmenem. Może...

- Daj spokój, Iona - wtrąciła Lauren. Przerwała na moment. - Czy on zaangażował się w coś podejrzanego? Wiesz, w jakieś szemrane interesy?

- Nie! - krzyknęła Iona. - Nie. Nic takiego. To normalny facet.

- To dlaczego ktoś miałby go porywać?

- Nie wiem! - odparła Iona, a w duchu dodała, że porwanie Franka wydawało jej się o wiele bardziej prawdopodobne niż to, że mógłby ją porzucić z własnej woli.

- Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? - zapytała Lauren.

Iona otarła oczy. Lauren nic nie mogła zrobić. Ale nie chciała być teraz sama.

- Tak - powiedziała w końcu.

- Dobrze, będę za dwadzieścia minut. Ale jeśli ten dureń dotrze wcześniej, zadzwoń na moją komórkę. Nie mam ochoty przyjechać i zastać was w środku największej kłótni waszego małżeństwa.

- Jasne - odparła znużonym tonem Iona.

- Mam nadzieję, że zadzwonisz - dodała miękko Lauren. - I założę się, że istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie.

- Pewnie tak - odpowiedziała Iona, choć nie miała pojęcia, co to mogłoby być.

Krażyła po małym salonie, pragnąc, by Frank wrócił do domu, zaciskając mocno oczy i wyobrażając sobie, jak jego samochód parkuje przed domem. Ale kiedy w końcu usłyszała silnik samochodu, wiedziała, że to nie Frank. Dźwięk zatraskiwanych drzwi też nie był znajomy. Zadzwoił dzwonek do drzwi.

- Cześć - powitała ją Lauren.

- Cześć.

- I co? Nie ma go?

Iona pokręciła głową. Lauren weszła do domu, zdjęła swoją krótką kurtkę ze sztucznego futerka i położyła ją na oparciu czarnej skórzanej sofy.

- Chcesz herbaty? - zapytała Iona.

- Ja zrobię.

- Nie - odparła Iona na propozycję siostry. - Muszę się czymś zająć. A ty usiądź. Może do czasu aż ją zaparzę, Frank wróci. - Zagryzła wargi i przeszła do maleńkiej kuchni.

Gdzie jesteś? - zamruczała pod nosem. - Gdzie, na miłość boską, jesteś, co ty, do cholery, wyprawiasz i dlaczego robisz mi coś takiego?

Gdy wróciła do salonu z herbatą, zobaczyła, że Lauren włączyła telewizor, ale wyciszyła dźwięk.

- Chciałam obejrzeć najnowsze wiadomości - powiedziała Lauren. - Ale chyba już były.

- Sprawdzalam znowu w Internecie - odpowiedziała Iona. - Żadnych nowych wiadomości.

- Dzwoniłaś po szpitalach?

Iona spojrzała na siostrę pełnym rozpaczy wzrokiem.

- Próbowalam. Ale pytali, kiedy go przywieziono. Powiedziałam, że nie wiem, że po prostu pomyślałam, że mógł mieć wypadek. Kazali mi zadzwonić na policję i powiedzieli, że nie mogą mi udzielić informacji.

- I zadzwoniłaś?

Iona pokręciła głową.

- Bałam się.

- Może zadzwoń.

- Ale gdzie?

- Gdzie jest najbliższy posterunek? Iona wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna. Chyba przy Kevin Street. Lauren wzięła książkę telefoniczną i znalazła numer.

- Mam zadzwonić?

Iona głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Chyba tak.

Na posterunku przy Kevin Street był spory ruch, ale oficer dyżurny Keith Carew szybko odebrał telefon.

- Zaginięcie? - powiedział. - Od jak dawna go nie ma?

- No, cóż, dopiero od dzisiejszego wieczoru - odpowiedziała Lauren. - Ale on normalnie nigdy się nie spóźnia, a jego telefon nie odpowiada. To do niego zupełnie niepodobne, dlatego zastanawiamy się, czy nie miał jakiegoś wypadku.

- Ma pani numery rejestracyjne jego samochodu? - zapytał Keith.

- Podaj mi numery samochodu Franka - Lauren zwróciła się do Iony, a ta podała jej żądany numer. Lauren powtórzyła go Keithowi, który wpisał dane do komputera. Ku jego zaskoczeniu powolny i przeciążony system niemal natychmiast wyświetlił informacje. Keith zmarszczył brwi.

- Może pani powtórzyć?

Lauren powtórzyła numery rejestracyjne.

- A nazwisko zaginionego?

- Frank Harper - powiedziała Lauren.

- Czy pani jest jego żoną?

- Nie - odparła Lauren. - Jestem jej siostrą, nazywam się Lauren Brannock.

- A żona mieszka pod jakim adresem?

Podając adres Iony, Lauren poczuła, że sama coraz bardziej się denerwuje. Spodziewała się, że policjant ją zbyje, ale on zdawał się traktować sprawę poważnie. Zaczynała odczuwać niepokój w imieniu swojej siostry.

Lauren czekała, a Keith sprawdzał otrzymane informacje. Miał Franka Harpera na liście ofiar wypadków, ale chodziło nie o wypadek samochodowy, tylko o katastrofę budowlaną. Zidentyfikowano go po komórce i numerach rejestracyjnych samochodu. Samochód co prawda był zarejestrowany na adres w Bray, ale numery się zgadzały.

- Zasięgnę informacji - powiedział do Lauren. - Zaraz do pani oddzwonię. Jest pani teraz pod adresem w Liberties?

- Tak - odpowiedziała.

- Oddzwonię tak szybko, jak będzie to możliwe - powiedział Keith.

Rozłączył się i przez kilka sekund wpatrywał w ekran komputera. W normalnych okolicznościach nie zajęłby się zgłoszeniem Lauren tak od razu. Franka Harpera nie było dopiero od kilku godzin, a z jego doświadczenia wynikało, że większość facetów, którzy nie wracali do domu na czas, po prostu szła się uchlać z kolegami i bali się zadzwonić i powiedzieć, gdzie są, żeby nie dostać po uszach od żony. Woleli wrócić później zalani w trupa i wtedy ponieść konsekwencje, a nie psuć sobie popijawy wymówkami żony. Ale w tym przypadku było coś dziwnego. Kilka razy postukał długopisem o zęby. A potem chwycił za słuchawkę.

- No i? - zapytała Iona.

- Sprawdzają. Mają oddzwonić.

- Ale nic nie wiedzieli? Lauren pokręciła głową.

- Zasięgną informacji.

Iona z trudem przełknęła ślinę.

- To brzmi bardzo oficjalnie. Nie musi być oficjalnie, ja tylko chcę wiedzieć, co się z nim dzieje.

Lauren nic nie odpowiedziała.

- Coś musiało się stać. Coś strasznego. Nigdy by nie pozwolił, żebym tak się zamartwiała... - Nagle wybuchła płaczem, więc Lauren objęła ją i z całej siły przytuliła.

W szpitalu Jenna i Sally piły gorącą słodką herbatę, którą poczęstował ich personel po omdleniu Jenny. W małej sali siedziała z nimi pielęgniarka.

- Czy on umrze? - Jenna popatrzyła na matkę. - Czy tata umrze?

Sally zerknęła na pielęgniarkę i popatrzyła córce głęboko w oczy.

- Nie wiem - powiedziała.

- Myślałaś, że to nie on - powiedziała Jenna oskarżycielskim tonem. - Byłaś tego pewna.

- To nie powinien być on - odparła Sally z naciskiem. - Nie powinno go tutaj być. Uniosła styropianowy kubek z herbatą. - Powiedział, że ma opóźnienie i jeszcze jedno spotkanie i że wróci do domu dopiero jutro rano. Nie powinien więc być na drodze przy Ardallen.

- Może jednak skończył wcześniej i zdecydował, że jedzie do domu - załkała Jenna. - Chciał być z nami, więc ruszył w drogę.

Sally nie odpowiedziała. Myślała o tym samym. Zastanawiała się, czy Frank się domyślił, że irytuje ją jego ciągła nieobecność. Zastanawiała się, czy to spowodowało, że postanowił niespodziewanie wrócić do domu. Zastanawiała się, czy to wszystko jej wina.

Do sali ponownie wszedł młody lekarz.

- Przewieziemy teraz pani męża, pani Harper - powiedział. - Karetka zabierze go do Dublina. W jednym z większych szpitali będą mogli lepiej się nim zająć.

Sally skinęła głową.

- Czy obie możemy z nim pojechać?

- Nie wiem - odparł lekarz. - Zapytam załogę karetki.

- Może poczekacie w recepcji? - zasugerowała pielęgniarka.

Sally ponownie skinęła głową. Nie była przyzwyczajona do tego, by robić to, co każą jej inni, ale w tym momencie chyba nie miała wyboru.

Rozdział 8

Po powrocie na komisariat Siobhán nie zapomniała o Sally i Jennie, jednak ponownie zatopiła się w pracy. Zaczęła uzupełniać akta dotyczące prania brudnych pieniędzy oraz zakładać akta dotyczące nowej sprawy, więc kiedy odbierała telefon od Keitha Carew z posterunku przy Kevin Street kompletnie nie myślała o numerach rejestracyjnych samochodu czy o zawalonym budynku, tylko o swoim zbliżającym się wystąpieniu w sądzie w sprawie dotyczącej przemocy domowej. Nienawidziła występować w sądzie i zawsze się bała, że przedstawi dowody w sposób mało przekonujący tylko dlatego, że się denerwuje podczas publicznych wystąpień. Gdy więc zadzwonił telefon, ona właśnie po raz kolejny przeglądała swoje notatki, żeby sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku. Po chwili jednak z coraz większym niepokojem zaczęła się wsłuchiwać w to, co mówi Keith, i szybko odsunęła od siebie myśli o sprawie sądowej.

- Pozwól, że podsumuję - powiedziała, gdy skończył. - Pewna kobieta zadzwoniła do was, mówiąc, że jest siostrą Iony Harper i że mąż Iony zaginał. I podała numery rejestracyjne samochodu Franka Harpera z wypadku w Ardallen. Tylko, że tożsamość Franka Harpera potwierdziła już Sally Harper. Wiem, bo byłam dzisiaj u niej w domu, a jeden z moich chłopaków zawiózł panią Harper i jej córkę do szpitala.

- Tak, no cóż... - Keith westchnął. - Ta kobieta wygląda raczej na pewną tego, co mówi.

- Dwie panie Harper? - w głosie Siobhán było słycać sceptycyzm. - Nie uważasz, że to jakieś szaleństwo?

- Do diabła, Siobhán, przecież wiesz, że cała nasza praca to czyste szaleństwo - stwierdził Keith. - Bóg jeden wie, jak to z nimi dokładnie jest, ale sprawa zasadniczo sprowadza się do tego, że mamy poważnie rannego faceta i dwie związane z nim kobiety. Jedna z nich z pewnością jest jego żoną. A druga...

Siobhán westchnęła.

- Zadzwoń do chłopaków z Ardallen.

- Świetnie - odparł. - A potem daj znać, co robimy. Siobhán się rozłączyła i zadzwoniła do Tima Shanahana, który przynajmniej teoretycznie, był już po służbie. Aż gwizdnął, gdy przedstawiła mu sytuację.

- Moi ludzie są teraz z Harperami w szpitalu - powiedział. - Skontaktuję się z nimi i sprawdzę, co tam się dzieje. A potem do ciebie oddzwonię...

Siobhán ponownie się rozłączyła. Praca policjanta w dużej mierze polega na tym, że czekasz, aż ktoś oddzwoni, oraz na tym, że nie podoba ci się to, co słyszysz, gdy w końcu oddzwania.

Nie minęło dziesięć minut, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

- Mamy problem - powiedział Tim. - Pani Harper z córką jadą z Frankiem do Dublina. Ale nie zabrały jego rzeczy. Między innymi komórki.

- Ale przecież już dokładnie sprawdziłeś jego komórkę - powiedziała Siobhán.

- To jest inna komórka - odparł Tim z naciskiem. - Tę miał przy sobie w kieszeni i co zaskakujące, nic jej się nie stało. Jak ją włączyliśmy, okazało się, że pod nazwą „Dom” jest inny numer, chociaż ta komórka też jest zarejestrowana na nazwisko Frank Harper. To numer do tej drugiej kobiety, która twierdzi, że jest żoną Harpera.

- Chyba żartujesz!

- Nie - odparł Tim. - Mamy więc jednego rannego mężczyznę, a on ewidentnie ma dwie żony.

- Cholera jasna! - powiedziała Siobhán.

- On jest z Bray - stwierdził Tim. - Więc to twoja sprawa.

- Nie chcę takiego bajzlu - zaprotestowała Siobhán. - Naprawdę mam mnóstwo roboty. - Tim nie odpowiadał, więc w końcu jęknęła cicho. - Och, dobrze. Pojadę i spotkam się z tą drugą panią Harper. Ale wygląda na to, że to wszystko skończy się jakąś wielką katastrofą.

- Zgadzam się - głos Tima brzmiał szczerze. On sam był bardzo zadowolony, że nie musi się zajmować sprawą rannego mężczyzny i jego dwóch żon.

Dotarcie do niewielkiego domu Iony w dzielnicy Liberties zajęło Siobhán prawie czterdzieści pięć minut. Przez chwilę stała pod drzwiami, zbierając myśli. Ta pani Harper może tylko używać nazwiska Franka, pomyślała, a wcale nie być mężatką. A może tak jest w przypadku pierwszej pani Harper. W końcu nie ma tak naprawdę pojęcia, kto tu jest kim. Jednak bez względu na to, jak skomplikowane są ich relacje, problem teraz polega na tym, że mężczyzna, z którym mieszka Iona Harper, to ten sam, który został poważnie ranny podczas zawalenia się budynku w Ardallen, a jej zadaniem jest przekazanie tej wiadomości. Westchnęła głęboko i nacisnęła dzwonek.

Drzwi otworzyła atrakcyjna kobieta o opadających na ramiona kasztanowych włosach i pięknych ciemnych oczach.

- Pani Harper? - zapytała Siobhán, dziwiąc się jednocześnie, że zawsze czuje się jakoś nieswojo w towarzystwie pięknych kobiet.

Lauren pokręciła głową.

- To moja siostra, Iona. Ja nazywam się Lauren Brannock. Moja siostra to Iona Brannock, ale jest żoną Franka Harpera.

- Jestem sierżant Siobhán Farrell, oficer śledczy z komisariatu policji w Bray - przedstawiła się Siobhán.
- Przyjechałam w sprawie zgłoszenia pani siostry o zaginionej osobie.

- To ja do was dzwoniłam - odparła Lauren. - To znaczy dzwoniłam na posterunek przy Kevin Street. Dlaczego przysłali kogoś aż z Bray? To wydaje się trochę bez sensu, bo przecież posterunek jest tuż za rogiem! Moja siostra jest w domu.

- Mogę wejść? Lauren zawahała się.

- Czy wszystko jest w porządku?

- Czy mogę wejść? - powtórzyła Siobhán.

Lauren cofnęła się i wprowadziła Siobhán do pokoju. Iona spojrzała na wchodzącą kobietę. Jej wielkie ciemne oczy były podkrążone, a zazwyczaj blade policzki zaczerwienione od wycierania chusteczką łez.

- Pani Harper? - zapytała Siobhán.

Iona skinęła głową.

- Ale używam panieńskiego nazwiska. - Powtórzyła to, czego Siobhán dowiedziała się już od Lauren. - Iona Brannock.

Siobhán skinęła głową. Żałowała, że nie ma z nią Cathala Rothery'ego. Wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić.

- Zgłosiła pani dzisiaj zaginięcie męża - powiedziała. - Obawiała się pani, że mógł mieć wypadek. Podała pani numery rejestracyjne jego samochodu, a my je sprawdziliśmy.

Iona nagle poczuła oszołomienie. Po tonie głosu policjantki rozpoznała, że ta coś wie. I domyślała się, że to nie będą dobre wieści.

- Sprawa wygląda tak - kontynuowała Siobhán. - Dostaliśmy zgłoszenie o mężczyźnie, który został dziś ranny w katastrofie budowlanej.

Iona pokiwała głową.

- Ardallen. Czytałam na Internecie. Ktoś został ranny, ale to na pewno nie był Frank. Nie miał powodu, żeby być w Ardallen. To nie po drodze.

- Być może - odparła Siobhán. - Tego mężczyznę zabrano do szpitala i tam został zidentyfikowany przez pewną osobę jako Frank Harper.

- Ale to nie może być mój Frank - zaprotestowała Iona. - On nie zna nikogo w Ardallen. To niedaleko Bray, prawda? Nie mamy żadnych znajomych w Bray.

- Z tego powodu - ciągnęła Siobhán - a także ze względu na pewne niezgodności w danych, przyjrzelśmy się tej sprawie nieco bliżej. Mężczyznę tego rozpoznała jego żona, pani Sally Harper. Numery

rejestracyjne samochodu, które pani Harper potwierdziła, to te same, które pani podała dziś wieczorem mojemu koledze. Wygląda na to, że pan Harper miał przy sobie komórkę, na której pani numer jest zapisany jako numer do domu.

Iona wpatrywała się w nią, niewiele rozumiejąc.

- Co chce pani powiedzieć?

- Cóż, pani Harper... pani Brannock... wygląda na to, że i pani, i ta druga kobieta macie na myśli tego samego mężczyznę.

Tym razem odezwała się Lauren.

- Ale to nie ma sensu - zaprotestowała. - Frank i Iona są małżeństwem. Są małżeństwem od czterech lat.

- Wcześniej dowiedzieliśmy się - odparła spokojnie Siobhán - że ta druga kobieta, która też twierdzi, że jest panią Harper, jest jego żoną od osiemnastu lat.

Tym razem Iona zemdląła.

Gdy się ocknęła, leżała na sofie. Lauren siedziała obok niej, a Siobhán Farrell stała za nimi bez ruchu.

- Niedobrze mi - powiedziała Iona.

- Napij się trochę - Lauren przytknęła do ust siostry szklanekę z wodą. Iona ostrożnie się napiła, a potem spróbowała usiąść.

- Nie - powiedziała Lauren. - Poczekaj minutę albo dwie. Przeżyłaś wstrząs.

Iona próbowała uspokoić przewalające się przez jej głowę myśli. Próbowała skupić się na fakcie, że Frank, jej Frank, bez względu na to, co sugerowali inni, został poważnie ranny. Powinna być przy nim. Chciałby, żeby przy nim była. Ponownie spróbowała usiąść.

- Muszę jechać do szpitala - powiedziała do Lauren. Jej siostra spojrzała skrepowana na Siobhán, ta bezradnie wzruszyła ramionami. - Słuchajcie, wiem, że wszyscy myślicie, że dzieje się coś dziwnego. Mnie też się tak zdaje. Ale muszę się zobaczyć z Frankiem. Jeśli on jest ranny, muszę tam jechać.

- Rzecz w tym, Iona - powiedziała łagodnie Siobhán - że w tej chwili jest tam ta druga kobieta.

- Nic mnie to nie obchodzi, czy ona tam jest czy nie! - warknęła Iona. - Ona się myli. To jakaś kompletna wariatka. Chcę tam jechać i to teraz.

- Oczywiście nie możemy pani powstrzymać - powiedziała Siobhán.

- Oczywiście, że nie - Iona stanęła na chwiejnych nogach. - Lauren, zawieszysz mnie, prawda?

- Jasne.

- Będziemy musieli się z panią jeszcze skontaktować, pani Brannock - powiedziała Siobhán. - W celu wyjaśnienia tej sprawy.

- Sama ją wyjaśnię, jak tylko dotrę do szpitala - głos Iony z sekundy na sekundę brzmiał coraz mocniej i zacieklej. - Wyjaśnię sprawę tej kobiety, kimkolwiek ona jest. Idę się ubrać - Iona wyszła z pokoju i poszła po schodach na górę.

Lauren spojrzała na Siobhán z niepokojem.

- O co tu tak naprawdę chodzi? - zapytała z naciskiem.

- Sami dokładnie nie wiemy - odparła Siobhán. - Ta druga kobieta twierdzi, że jest żoną Franka Harpera. To samo mówi o sobie pani siostra. Któraś z nich musi być w błędzie. Może chodzi tu o dwóch

różnych mężczyzn i doszło do jakiejś koszarnej pomyłki. Być może to tylko jakiś niesamowity zbieg okoliczności. - Jednak wyraz twarzy Siobhán wskazywał, że raczej nie wierzy w taką możliwość.

- To wszystko jest bez sensu - powiedziała Lauren. - Iona i Frank zawarli małżeństwo zgodnie z prawem. Widziałam ich ślub na kasecie! Był tam pastor, świadkowie i tak dalej. To była przepiękna ceremonia!

- Nie ma potrzeby, żebyśmy się wszyscy denerwowali, zanim dokładnie nie wyjaśnimy całej sytuacji - stwierdziła Siobhán pocieszającym tonem. - Najważniejsze, żeby pani siostra dotarła do szpitala... ale bardzo proszę, żebyście nie wchodzili w drogę tej drugiej pani Harper.

- Łatwo powiedzieć - zdążyła rzucić Lauren, zanim do pokoju wróciła Iona.

Lauren zadzwoniła do Mylesa w drodze do szpitala i powiedziała mu tylko, że Frank prawdopodobnie został ranny w wypadku i że jada to sprawdzić. Iona tymczasem siedziała bez słowa w samochodzie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przednią szybę.

Wydawało jej się, jakby dojazd do szpitala trwał całą wieczność, choć jednocześnie miała wrażenie, że dotarła tam w okamgnieniu. Serce waliło jej jak młot, gdy wchodziły do szpitala i zaczęły rozmawiać z mężczyzną w recepcji.

- A, tak - stwierdził, rzuciwszy okiem na ekran komputera. - Pan Harper jest w tej chwili na sali operacyjnej. Mogą panie poczekać... - zawahał się. - Lepiej porozmawiam z siostrą oddziałową.

- Dlaczego? - zapytała Iona. - Chcę się z nim natychmiast widzieć.

- W tej chwili nie może się pani z nim zobaczyć - odpowiedział recepcjonista. - Jak już mówiłem, jest w trakcie operacji.

- W takim razie, gdzie jest ta druga kobieta? - zapytała Iona. - Ta, która udaje, że jest mną. Nie widzę, żeby tutaj ktokolwiek czekał. Czy pan ją do niego wpuścił? Nie wie pan, że to jakaś wariatka, że nie powinien pan pozwolić, żeby się do niego zbliżała?

- Io, proszę cię - powiedziała Lauren. - Niech zapyta, kogo trzeba.

Iona spojrzała na Lauren i wzruszyła ramionami. Ale gdy recepcjonista wybierał numer, ruszyła nagle biegiem w stronę pobliskiej klatki schodowej.

- Cholera! - Lauren śledziła wzrokiem szybko oddalającą się postać siostry. - Io, wracaj! - Spojrzała na recepcjonistę, który wydawał się kompletnie zbity z tropu. - Cholera! - powtórzyła. Zdjęła buty na wysokich obcasach i pobiegła za siostrą. Na pierwszym piętrze nie było po niej śladu. Wtedy usłyszała, jak Iona raz po raz głośno wykrzykuje imię Franka.

Biegła w kierunku, skąd dobiegały krzyki. Wokół otwierały się drzwi, a na korytarzach zaczęły się pojawiać pielęgniarki. Wbiegała i zbiegała po schodach, tak że w końcu zupełnie straciła orientację. W końcu dostrzegła Ionę, przytrzymywaną przez ochroniarza. Znalazła poczekalnię. I drugą panią Harper.

Sally Harper wygląda staro - to była pierwsza myśl Lauren - wygląda na o wiele starszą od Iony, choć być może takie wrażenie sprawiała nienaturalna bladość jej cery i ciemne cienie pod oczami. Złotokasztanowe włosy wysuwały się z dodającego jej lat warkocza. Cała Sally wyglądała tak, jakby zaraz miała się w sobie zapaść. Obok stała młoda dziewczyna, ewidentnie jej córka. Ona też była biała jak ściana.

- To jest ta kobieta, która zidentyfikowała Franka! - krzyknęła Iona. - To jakaś kompletna wariatka!

Sally popatrzyła na Ionę w całkowitym zdumieniu.

- Nie mam pojęcia, kim pani jest ani o czym pani mówi i - powiedziała drżącym głosem. - Jestem tutaj dlatego, że mój mąż miał poważny wypadek i...

- *Twój mąż!* - przerwała jej Iona. - *Twój mąż!* Ty durna, kobieto, wszystko ci się pomieszało, mówisz o *moim* mężu.

Sally pokręciła głową.

- Myśli pani, że nie wolałabym, żeby tak było? - stwierdziła w napięciu. - Ktoś popełnił straszną pomyłkę i przykro mi, że to panią spotkało, ale potrafię rozpoznać własnego męża... - głos jej się załamał - nawet w takim stanie, w jakim jest teraz.

- Ale ta pomyłka dotyczy właśnie pani - odpowiedziała jej Iona. - Wiem to, bo policja przyjechała do mnie i powiedzieli mi, że Frank miał wypadek i że go tu przywieziono i...

- Frank? - Sally szeroko otworzyła oczy.

- Mój mąż - potwierdziła Iona.

- A więc tu chodzi o imię - stwierdziła Sally. - Pomylili się przez to samo imię. Jak już mówiłam, przykro mi, że musiała pani tu przyjechać i że pani mąż też miał wypadek, ale to jest mój Frank, wiem, bo go widziałam.

Sfrustrowana Iona na przemian zaciskała i rozluźniała pięści.

- Myli się pani - powiedziała. - Nie wiem, czemu się pani tak upiera, ale jest pani w błędzie.

- Moja mama zna tatę - wtrąciła niespokojnie Jenna. - I ja też. I nie wiem, dlaczego opowiada pani takie głupstwa, kiedy on... - gwałtownie przełknęła ślinę. - To, co pani robi, jest po prostu okropne. Okropne.

Iona rzuciła okiem na nastolatkę, wzięła głęboki oddech i zwróciła się do Sally.

- Myślicie, że chcę tu być? - zapytała. - Czekałam na niego w domu, ale on nie wracał, miał jakiś wypadek i ja wiem, po prostu wiem, że to on.

- Ale przecież nawet go pani nie widziała - powiedziała z naciskiem Jenna, mocno ściskając ramię matki. - A my tak. Nie wiem, kim pani jest, ale jest pani bezczelna, przychodząc tutaj i denerwując mnie i mamę, kiedy mój tata jest w tak poważnym stanie.

- Zaraz ci powiem, kim jestem - rzuciła gorączkowo Iona. - Jestem Iona Harper. Jestem żoną Franka Harpera. I przyjechałam tutaj, żeby się z nim zobaczyć.

Dwie kobiety i nastolatka wpatrywały się w siebie bez słowa.

Gdy podszedł do nich lekarz i przedstawił się jako John Carroll, one wciąż na siebie patrzyły.

- Wygląda na to, że są pewne wątpliwości co do tożsamości pana Harpera - stwierdził.

- Nie - jednocześnie rzuciły Iona i Sally.

- Obawiam się, że tak - doktor Carroll spojrzął na nie surowo. - A wrzaski i krzyki w moim szpitalu w niczym nie pomogą. Denerwują panie i siebie, i moich pacjentów, i personel.

Wściekłość i szok nagle opuściły Ionę. Zachwiała się lekko, a lekarz podtrzymał ją za ramię.

- Proszę usiąść - powiedział miękko. Iona opadła na siedzenie i zaczęła się trząść.

- Nie mogę oddychać - powiedziała nagle. - Nie mogę... nie mogę...

Pielęgniarka, która stała nieopodal, zniknęła na moment i wróciła z białą papierową torebką, którą podała Ionie.

- Proszę przyłożyć ją do ust i oddychać - powiedziała. - Pomalutku. Wszystko w porządku. Naprawdę. Lauren z niepokojem obserwowała, jak Iona zakrywa sobie torebką usta i nos. Sally i Jenna również się jej przyglądały.

- Lubi być w centrum uwagi - burknęła Jenna. Sally ścisnęła ramię córki.

- Tata nie chciałby mieć do czynienia z taką osobą jak ona - wyszeptała Jenna. - Wiesz przecież, jak nie znosi ludzi, którzy histeryzują z byle powodu. Nienawidzi tego.

- Wiem - odpowiedziała jej Sally. Mocniej otuliła się płaszczem.

- Ona kłamie - powiedziała głośno Jenna.

- Chciałabym, żeby tak było - Iona podniosła głowę znad torebki i spojrzała na Jennę i Sally.

- Nawet go pani nie widziała - Sally powtórzyła wcześniejsze słowa Jenny. - Wpadła tu pani, zrobiła wielką awanturę, wystraszyła mnie i córkę, która jest przecież jeszcze dzieckiem, przecież nawet go pani nie widziała.

- W tej chwili nikt nie może się z nim widzieć - wtrącił lekarz. - Jest na sali operacyjnej i spędzi tam jeszcze trochę czasu.

- Gdy skończy się operacja, czy będę mogła się z nim zobaczyć? - zapytała Iona.

- Oczywiście - odpowiedział lekarz.

Sally poczuła, jak cała się spina. Nie chciała, żeby ta kobieta siedziała razem z nią w szpitalu i czekała na wieści o stanie Franka. Nie miała prawa tu być i zakłócać ich smutku oraz troski. A poza tym Jenna ma rację. Frank nigdy nie zainteresowałby się taką histeryczką. Lubił kobiety spokojne i opanowane, takie jak ona. Oczywiście z ikrą w sypialni. A nie kogoś, kto odgrywa takie publiczne przedstawienia i udaje spazmy i duszności.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć - powiedziała Iona.

- Jak?

- Jak na coś, co przywłókł do domu kot - odpowiedziała Iona. - Nie ma pani prawa tak sobie siedzieć i patrzeć na mnie z góry.

- Staram się w ogóle na panią nie patrzeć.

Sally zamknęła oczy. Choć była przekonana, że Frank nie zainteresowałby się tą kobietą, faktem pozostawało, że ona wciąż tam była. I, pomyślała Sally, spoglądając spod przymkniętych powiek, wcale nie była nieatrakcyjna. Oczywiście, nie była ładna, ale Sally była w stanie sobie wyobrazić, że niektórzy mężczyźni mogli ją uznać za pociągającą. Nie mogła natomiast sobie wyobrazić, by cokolwiek mogło łączyć ją z Frankiem. Ale jeśli tak było? Oczywiście, nie mogła mówić prawdy, twierdząc, że jest jego żoną, ale może coś ich łączy... Jednak nie. To po prostu niemożliwe. Frank jest wiernym mężem. Była o tym przekonana.

- Rozumiem, że to dla wszystkich bardzo stresujące. - Głos Lauren sprawił, że Sally otworzyła oczy. - I rozumiem, co pani czuje, pani Harper...

- Ja jestem pani Harper - wtrąciła Iona. - A ty o tym doskonale wiesz, Lauren.

Jenna sięgnęła po torebkę matki i otworzyła ją.

- Tak? No, to co to w takim razie jest? - zapytała, wyciągając z torebki prawo jazdy Sally i wręczając je Ionie.

Iona wpatrując się w dokument Sally Harper, kilkakrotnie zamrugała oczami. A potem otworzyła swoją torebkę i wyjęła własne prawo jazdy, które podała Sally.

- Tu jest napisane Iona Brannock - Sally złożyła je i z powrotem wsunęła do foliowej okładki. - To niczego nie dowodzi.

- To moje panięskie nazwisko.

- Ale tu nie ma nic o nazwisku Harper - w głosie Jenny brzmiał triumf.

- Moja siostra *jest* żoną mężczyzny, który nazywa się Frank Harper - powiedziała Lauren. - Wiem, że myślicie, że to nie jest ten mężczyzna, którego tutaj dzisiaj przywieziono, ale moja siostra mówi prawdę.

- Proszę posłuchać - odparła Sally. - Przyjechała do mnie policja i powiedziała mi o wypadku. Pojechałam z nimi do szpitala, jeszcze zanim Franka przewieziono tutaj. Rozpoznałam swojego męża, na miłość boską. - Zwróciła się do Iony. - Naprawdę mi przykro, że wprowadzono panią w błąd, ale przysięgam pani, że mężczyzna na sali operacyjnej to Frank Harper, który jest moim mężem. I powinno pani ulżyć, bo to mój mąż jest podłączony do aparatury podtrzymującej życie, a pani mąż z całą pewnością ma się lepiej od niego, bez względu na to, gdzie się do diabła podziewa! Frank jest bardzo poważnie ranny, a ja muszę tu sterczeć i wysłuchiwać pani bzdurnych opowieści, choć powinnam być przy nim... - głos Sally się załamał, a ona potarła oczy wierzchem dłoni.

- Wszystko bym dała za to, żeby miała pani rację - krzyknęła w odpowiedzi Iona. - I jeśli to nie jest mój Frank, to dlaczego miał komórkę z moim numerem telefonu i dlaczego numery rejestracyjne, które podałam policji, zgadzały się z numerami jego samochodu? I dlaczego mnie tutaj w ogóle skierowano?

- Czy pani jest jego... kochanką? - Sally znowu poczuła oszołomienie. - Ma pani z nim romans? Czy o to chodzi?

- Ależ pani jest głupia! - krzyknęła Iona. - Naprawdę pani myśli, że robiłabym tutaj awanturę, gdybym była jego kochanką? Nie, nie jestem jego kochanką, jestem jego żoną. Wysłałam za niego cztery lata temu na Barbadosie i to był najszczęśliwszy dzień naszego życia.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

John Carroll był zmęczony. Naprawdę nie miał ochoty uczestniczyć w całym tym przedstawieniu, ale nie miał wyjścia.

- Dowiedziałem się, że pan Harper opuści salę operacyjną za mniej więcej pół godziny. Wtedy zaprowadzę panią do niego - zwrócił się do Iony. - Nie będzie pani mogła wejść do jego sali, ale będzie pani mogła zobaczyć go przez szybę.

- Po co? - zapytała Sally. - Ja już go widziałam. To mój mąż, Frank.

- Bardzo proszę, pani Harper - odparł spokojnie John. - Ewidentnie doszło tutaj do jakiejś pomyłki. Czy nie sądzi pani, że najlepiej będzie, jeśli to wyjaśnimy, zanim zrobi się jeszcze bardziej nerwowo?

- Tu nie ma żadnej pomyłki, tylko tej pani pomieszało się w głowie - powiedziała Sally pewnym głosem. - Ale jeśli to pana uszczęśliwi, ja i Jenna poczekamy i dowiemy się dokładnie, jaki ta pani ma problem. Bo to ona ma jakiś problem, nie my.

- Nie mam żadnego pieprzonego problemu - warknęła Iona.

- Bardzo proszę - powiedział John. - Czy mogą panie spokojnie poczekać, aż wszystko wyjaśnimy? Proszę mi wierzyć, my tu, w szpitalu, tak samo jak wy, chcemy się z tym jak najszybciej uporać. Może wszyscy napijemy się herbaty?

- Ja z przyjemnością - poparła go Lauren.

Gdy przyniesiono posłodzoną już herbatę, Iona objęła dłońmi styropianowy kubek i małymi łydkami popijała niemal wrzący i zbyt słodki napój. Nie przeszkadzało jej, że wrzątek parzy jej język i podniebienie. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się przed siebie, próbując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Jak to możliwe, że jeszcze tego ranka najgorszą rzeczą, jaka mogła ją spotkać, była wiadomość, że nie jest w ciąży? A teraz, mniej niż dwadzieścia cztery godziny później, wszystko stanęło na głowie. Frank nie wrócił do domu, jak obiecał. Jakiś ciężko ranny mężczyzna jest właśnie operowany i wszystko wskazuje na to, że to jej mąż, jej Frank. Nie chciała, żeby to był on, ale wszystko dotąd za tym przemawiało. Wszystko, oczywiście poza tym, że siedzi teraz w poczekalni z inną kobietą, która również twierdzi, że jest jego żoną.

Iona wypila kolejny łyk herbaty i znad kubka zerknęła na Sally i Jennę. Nie dość, że była tu kobieta twierdząca, że jest jego żoną, to jeszcze była tu ta dziewczyna o gniewnym spojrzeniu twierdząca, że jest jego córką. Frank tak wzruszająco i z taką czułością mówił o tym, że pragnie mieć z nią dziecko, iż Ionie trudno było zaakceptować fakt, że już mógł być ojcem. Po prostu nie była w stanie pojąć, jak mógłby to przed nią ukryć. Przecież tak naprawdę to Frank, a nie Iona, chciał mieć dziecko. A przynajmniej on pierwszy to zaproponował, nawet jeśli ona zgodziła się z nim, że to odpowiedni moment. Opowiadał o tym, że chce mieć rodzinę, ale po co chciał zakładać rodzinę z nią, skoro jedną już miał? Po co sprawiał, że czuła, iż to, co się stanie między nimi, będzie czymś wyjątkowym i cudownym, skoro wcale by tak nie było? W tym momencie Iona nie była w stanie stwierdzić, czy bardziej denerwuje ją istnienie drugiej żony Franka, czy też ich córki.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Frank może mieć inną kobietę. Jak to możliwe, skoro on był tak bardzo zajęty, a życie, które razem wiedli, tak pełne szczęścia i bliskości? I co takiego w nich było, że wciąż z nimi był? Ta kobieta z rozczochranymi włosami i zmęczonym wzrokiem nie była warta nawet wzmianki. A dziewczyna... Iona z trudem przełknęła ślinę, patrząc na nastolatkę. Problem w tym, że tak bardzo przypomina Franka. Do tej pory Iona starała się nie dopuszczać do siebie tej myśli, ale naprawdę nie można było mieć żadnych wątpliwości. Co prawda włosy dziewczyny były ciemnokasztanowe, a Franka ciemnobrązowe i przyprószone siwizną, jednak brązowe oczy Jenny przypominały oczy ojca nie tylko kolorem, ale także sposobem, w jaki patrzyły na świat. Spojrzenie nieustraszone, a jednocześnie nie pozbawione jakiegóż ukrytej głębi. Iona była oczarowana nieco ponurym wyglądem Franka i jego ciemnymi oczami. Tę samą atrakcyjność dostrzegała teraz w Jennie.

Ale jak to możliwe, zastanawiała się. Jak to wszystko jest możliwe? Po co Frank się z nią ożenił, skoro miał już rodzinę? Czy to małżeństwo było nieudane? Ale w takim razie, dlaczego nie rozwiódł się z Sally? I co gorsza, dlaczego tak bardzo zależało mu na założeniu rodziny z nią, skoro Jenna była żywym dowodem na to, że już jest ojcem?

Poczuła, że kręci się jej w głowie. Nie była w stanie zapanować nad szalejącymi w jej umyśle sprzecznymi myślami i uczuciami. Czuła, że zaraz oszaleje.

Niemal czterdzieści minut później chirurg przyszedł do nich, żeby powiedzieć, że Frank jest już na sali pooperacyjnej.

- Czy tata wyzdrowieje? - zapytała go z niepokojem Jenna.

- Trudno w tej chwili powiedzieć - powiedział Sean McManus celowo obojętnym tonem. - Odniósł liczne obrażenia i martwimy się tym urazem głowy...

- Ma uszkodzenia mózgu? - spytała sztywna ze strachu Sally.

- Tak jak powiedziałem, trudno to w tej chwili ocenić. Ale zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

- Uszkodzenia mózgu - z ust Iony wydobył się cichy szept. - To niemożliwe. Nie Frank.

Sally i Jenna przytuliły się do siebie, a Lauren objęła siostrę ramieniem.

- Pójdzie tam pani ze mną? - John Carroll zwrócił się do Iony, a ta bez słowa skinęła głową. Zachwiała się, wstając, więc Lauren ponownie otoczyła ją ramieniem.

- Nie chcę, żeby to był on - wyszeptała przerażona Iona, gdy szli korytarzem. - Chcę, żeby to był mąż tamtej kobiety. Chcę się mylić.

Zatrzymali się przed szybą. Iona przysunęła się i zajrzała do sali. Postać leżąca na łóżku była owinięta bandażami i otoczona rurkami i przewodami. Ale bez wątplenia był to Frank. Jej Frank. Iona poczuła, jak po policzku powoli spływa jej łza.

- To on - wyszeptała z trudem. Przycisnęła dłonie do szyby. - Och, Frank.

Lauren spojrzała na doktora Carrolla.

- Jakie są rokowania? - spytała.

- W tej chwili pan Harper jest w śpiączce - odparł. - Dopiero gdy się obudzi, będziemy mogli stwierdzić, jak rozległe są uszkodzenia.

- Czyli są uszkodzenia? - Lauren zadała pytanie, podczas gdy Iona wciąż wpatrywała się we Franka. - Uszkodzenia w mózgu? W jego głowie?

- Mogą się okazać niewielkie - odpowiedział lekarz - ale w tym momencie nic nie można stwierdzić - wymijająco wzruszył ramionami. - Wystąpił obrzęk mózgu, który oczywiście musimy jak najszybciej zmniejszyć. Pan Harper może wyjść z tego wszystkiego jedynie z silnym bólem głowy, ale nie ma żadnej pewności.

Lauren potarła grzbiet swojego nosa. Spojrzała na Ionę, która cicho płakała.

- Najlepiej będzie, jeśli pójdą panie do domu - powiedział doktor Carroll. - I odpoczną. Proszę zadzwonić do nas jutro rano.

- A co jeśli... co jeśli coś stanie się w nocy? - zapytała z niepokojem Lauren, myśląc jednocześnie, że noc dobiega już końca.

- W tej chwili stan pana Harpera jest stabilny, a jego podłączono do urządzeń podtrzymujących czynności życiowe. Oczywiście, natychmiast się z wami skontaktujemy, jeśli coś ulegnie zmianie, ale w tej chwili to mało prawdopodobne.

- A co z tamtą kobietą? Doktor wyglądał na zmieszanego.

- Ją również będziemy musieli powiadomić. To bardzo dziwna sytuacja.

- Tak - odparła Lauren. - Bardzo dziwna. - Objęła Ionę ramieniem. - Chodź, siostrzyczko - powiedziała - Idziemy.

- Nie mogę iść - Iona odwróciła w jej stronę zalaną łzami twarz. - Nie mogę go tak zostawić.

- Musisz odpocząć - powiedziała Lauren. - Zawiozę cię do nas do domu, prześpisz się i wrócimy tu rano.

- A co z nią? - zapytała Iona. - Czy ona też pojedzie do domu?

- Tamtej pani też zaleciliśmy odpoczynek - odpowiedział lekarz.

- Ale ludzie w takich sytuacjach zostają w szpitalu, prawda? - upierała się Iona. - Zapewniacie im jakieś miejsca do spania.

- Nie mamy tutaj żadnych miejsc noclegowych - odparł lekarz. - Dla żadnej z was. Naprawdę radzę pojechać do domu i odpocząć. Prawdopodobieństwo, że pan Harper odzyska świadomość w ciągu najbliższych dwunastu godzin, jest minimalne. Nie przyda się tu pani. A powinna pani odpocząć, naprawdę.

- Pan doktor ma rację, Io - powiedziała Lauren. - Wrócimy tu jutro.

Iona opuściła ramiona.

- Dobrze - powiedziała bezbarwnym głosem. - Jeśli tak uważasz.

Lauren odetchnęła z ulgą. Doktor Carroll zabrał je spod sali Franka, ale poprowadził w innym kierunku niż ten, z którego przyszły. Zanim wyszły ze szpitala, ponownie obiecał, że skontaktuje się z nimi, jeśli coś się zmieni.

- Proszę zadbać, żeby odpoczęła - wręczył Lauren małą kopertę. - To walium - powiedział. - Proszę spróbować jej to podać.

Lauren skinęła głową i wyprowadziła Ionę ze szpitala. Gdy odjeżdżały spod szpitala, wschodnia strona nieba jaśniała już obietnicą poranka.

- To jakaś koszmarna pomyłka - powiedziała Iona. - Ta kobieta sama nie wie, co mówi. Głupie tłuste krówsko.

- Wiem - odpowiedziała Lauren pocieszającym tonem. - Wyjaśnimy to. Nie martw się.

- Jak mam się nie martwić? - Iona oparła głowę o szybę od strony pasażera. - Mój mąż jest w śpiączce, a jakaś kobieta twierdzi, że jest jego żoną. Jak ja mam się, do cholery, nie martwić?

Rozdział 9

Sally i Jenna wzięły taksówkę, żeby wrócić ze szpitala do Bray. Im również powiedziano, że najlepiej będzie, jeśli pojedą do domu i się prześpią, a gdyby nastąpiła jakakolwiek zmiana w stanie Franka, zostaną bezzwłocznie powiadomione.

Sally nie chciała opuszczać szpitala. Kiedy John Carroll wrócił do nich do poczekalni i przekazał, że Iona potwierdziła, że Frank jest jej mężem, pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to puścić się pędem do sali pooperacyjnej, potrząsnąć mocno Frankiem i obudzić go, aby jej wyjaśnił, o co w tym wszystkim, do diabła, chodzi. Wciąż nie mogła w to uwierzyć. A jednak kiedy Iona szła, żeby zobaczyć Franka, Sally ogarnął głęboki lęk, że to wszystko okaże się prawdą i że ta kobieta wcale nie jest kompletną wariatką, za jaką chciała ją uważać.

Kiedy doktor przyniósł jeszcze herbatę, i to nawet słodsza niż poprzednio, ona i Jenna piły ją w milczeniu. Sally martwiła się o córkę, która nie powiedziała ani słowa, odkąd John Carroll potwierdził, że Iona rozpoznała Franka, nie wiedziała jednak, jak ją pocieszyć. Jaki sens miałyby zwykle słowa pocieszenia, że wszystko będzie dobrze, jeśli ewidentnie wszystko było nie tak? Czy mogła powiedzieć Jennie cokolwiek, co poprawiłoby sytuację? Siedziała więc, piła herbatę małymi łyżkami i zastanawiała się, co powinna teraz zrobić.

Jenna również nie potrafiła się skoncentrować na otaczającej ją rzeczywistości. Myślała tylko o tym, że Frank jest jej ojcem i że go kocha i że zawsze stawał po jej stronie, i o tym, że myślała, iż go zna, ale jak widać, wcale go nie знаła. Zwyczajnie nie potrafiła zaakceptować faktu, że ta ciemnowłosa kobieta (która wyglądała na całe wieki młodszą od jej matki i pod każdym względem tak bardzo się od niej różniła) i jej ukochany tata byli ze sobą w jakiś sposób związani. Nie w jakiś sposób, upominała samą siebie. Podobno byli małżeństwem, co znaczy, że on z nią mieszkał. I spał. W tym momencie się zakrztusiła, a tuż przy niej nagle pojawiła się pielęgniarka kręcąca się po poczekalni i przyłożyła jej do ust taką samą papierową torebkę, jaką wcześniej podała Ionie.

Jennie udało się powstrzymać od wymiotów. Nie chciała, żeby wszyscy myśleli, iż zdenerwowała się tym wszystkim tak bardzo, że aż wymiotuje. I nie chciała, żeby jej matka miała dodatkowy powód do zmartwień.

Właśnie po tym, jak Jenna się zakrztusiła, pielęgniarka i lekarz zasugerowali, żeby Sally i Jenna pojechały do domu odpocząć.

Zanim dotarły przed swój schludny bliźniak, był już prawie ranek. Ptaki śpiewały na jaworach, którymi była obsadzona ulica, a gdy wysiadały z taksówki, Sally usłyszała, jak włączył się budzik u ich sąsiadów, Steve'a i Philly McCormack.

Jenna milczała całą drogę ze szpitala. Część podróży nawet przespała, a jej głowa przechylała się z boku na bok, podążając za ruchem taksówki. Teraz siedząc w kuchni, patrzyła znużonym wzrokiem na Sally.

- Ta kobieta się myli - powiedziała. - Prawda?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Sally tak zdecydowanym tonem, jak tylko potrafiła.

- To jej prawo jazdy... ona nie może nawet udowodnić, że w ogóle tatę zna. To dlaczego opowiada takie rzeczy? - Jenna czuła, jak niepokój w jej głosie rośnie. - Przecież nie może być jego żoną. Nie może! Dlaczego ona to robi teraz, kiedy tata... kiedy... - Nagle wybuchnęła płaczem, urywany szloch przeszedł w niekontrolowany potok łez. Sally objęła ją i przytuliła.

- Ciii... - wyszeptała miękko. - Wszystko się wyjaśni, Jen. Nie martw się.

- Ale... jak się wyjaśni? - Jenna zwróciła w stronę matki zalaną łzami twarz. - On wygląda tak okropnie, mamo. Jest taki bezradny. I wszystkie te monitory i rurki, do których jest podłączony... i te jej wrzaski i krzyki, i w ogóle.

- Wiem, wiem - Sally czuła się jak oszustka, pocieszając Jenę, podczas gdy sama była tak bardzo przerażona. - Wszystko jej się pomieszało. Obie to wiemy. Więc tylko trzeba to wyjaśnić. A jeśli chodzi o te rurki i urządzenia... no, cóż, tak to już jest na oddziale intensywnej opieki medycznej. Wiesz o tym, skarbie. To rzeczywiście strasznie wygląda, ale lekarze są wspaniali i za kilka dni, mam nadzieję, tata odzyska świadomość.

- Ale on się uderzył w głowę.

Sally przygryzła wargę.

- To prawda, ale twój tata jest naprawdę silny. Będzie walczył. I wyzdrowieje.

Jenna pociągnęła nosem.

- Chodź - powiedziała Sally. - Połóżysz się do łóżka.

Jenna ze znużeniem skinęła głową. Obie weszły po schodach na górę. Sally została w pokoju córki, aż była pewna, że ta mocno zasnęła. Potem poszła do swojej sypialni i usiadła na skraju łóżka, czując się tak, jakby się znajdowała w jakimś fantastycznym równoległym wszechświecie. Nagle poczuła znajome mdłości. Zeskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Gdy wymiotowała do umywalki, towarzyszyły jej dobiegające zza okna poranne trele ptaków.

Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła małą paczuszkę z tabletkami valium, które dał jej lekarz. Wiedziała, że kobiety w ciąży nie powinny łykać valium, ale z ogromną przyjemnością wzięłaby pastylki i o wszystkim na trochę zapomniała. Miała również ochotę wziąć panadol na ból, który rozsadał jej głowę. Niechętnie i w pełni świadoma tego, że nie powinna pozbywać się leków w taki sposób, wrzuciła valium do sedesu i spuściła wodę.

Na palcach wyszła z pokoju i przeszła korytarzem. Biuro Franka znajdowało się w malutkiej sypialni dla gości. Delikatnie otworzyła drzwi.

W pokoju jak zawsze panował porządek. Najważniejszym meblem było przysunięte do ściany biurko do samodzielnego montażu. Przy drugiej ścianie stał regał na książki z czterema półkami wypełnionymi technicznymi instrukcjami i niebieskimi plastikowymi segregatorami. Poza tym stał tam chromowany stojak z drucianymi koszyczkami, w których się znajdowały rozmaite elementy oświetleniowe.

Sally usiadła przy biurku. Zamknięty laptop Franka leżał dokładnie pośrodku. Nie zauważyła, że wyjechał bez niego, ale też nie zawsze go zabierał. Otworzyła komputer i włączyła. Gdy szumiał i popiskiwał, przygotowując się do pracy, ona wysuwała szuflady z boku biurka. W górnej znajdowały się długopisy i markery, a poza tym zszywacz i taśma klejąca. Drugą wypełniały jeszcze inne materiały biurowe. W trzeciej znalazła mnóstwo koszulek z dokumentami. Wyjęła je i rozłożyła przed sobą na biurku. Pomyślała, że może

znajdzie w nich jakąś wskazówkę, jakieś wyjaśnienie tego, co zdarzyło się tego wieczoru. Nie miała pojęcia, jakie mogłoby to być wyjaśnienie, ale chciała jakieś znaleźć. Koszulki zawierały jednak głównie listy do klientów oraz umowy serwisowe dotyczące wykonanych przez Franka instalacji. Nie było tam nic, co w jakikolwiek sposób wyjaśniłoby problem dziewczyny o imieniu Iona, uważającej się za żonę Franka.

Komputer zażądał wprowadzenia hasła. Sally popatrzyła na okienko logowania na ekranie. Nie miała pojęcia, jakiego hasła używał Frank. Wpisała jego imię, a po odrzuceniu tego hasła przez komputer, spróbowała wpisać swoje imię, potem Jenny, a później imiona rozmaitych zwierzątek, jakie przewinęły się przez ich dom przez te wszystkie lata: psa Dimwita, królika Connie, Romulusa i Remusa, pary chomików, które Jenna przyniosła do domu ze szkoły, bo ktoś musiał zaopiekować się nimi w czasie wakacje, i które strasznie wkurzały Franka. Za każdym razem komputer piszczał i prosił, żeby spróbowała ponownie.

Próbowała wpisywać różne daty urodzin i ważnych wydarzeń. Ale żadna z nich nie była hasłem. Bezradnie wpatrywała się w ekran. Po czym z wahaniem wpisała imię Iona.

Ulżyło jej bardziej, niż się spodziewała, kiedy komputer ponownie zapiszczał. Nie wiedziała, jak by zareagowała, gdyby hasłem okazało się to imię. Zamknęła komputer i położyła głowę na biurku. I choć wydawało jej się to niemożliwe, głęboko zasnęła.

Iona również spała, dzięki valium, którego nie chciała wziąć, ale Lauren podstępem podała jej tabletkę, twierdząc, że to jej ziołowe lekarstwo. Usnęła niemal natychmiast, jak tylko się położyła na podwójnym łóżku w sypialni dla gości w domu Lauren. Lauren siedziała na brzegu łóżka, aż się upewniła, że jej siostra śpi jak zabita. Potem najciszej, jak umiała, wyszła do swojej sypialni.

Myles odwrócił się w jej stronę, gdy się kładła do łóżka.

- Co się, do diabła, dzieje? - zapytał.

Lauren była tak zmęczona, że z trudem odpowiedziała. Opowiadając Mylesowi o wydarzeniach tego wieczoru, wiedziała, że wszystko brzmi strasznie naciąganie. Jej własne słowa wydawały się jej dziwaczne i niewiarygodne. Niemniej jednak to była prawda.

- Jezu Chryste - wymamrotał Myles, gdy skończyła. - A nie mówiłem, że ten gość to niezłe ziółko.

Lauren nie mogła zaprzeczyć. Kością niezgody między nią a siostrą był fakt, że Myles w ogóle nie chciał rozmawiać z Frankiem.

- Totalny wazeliniarz - powiedział Myles, przyciągając do siebie Lauren. - Zawsze uśmiechnięty i bezustannie zapewniający, jak bardzo ją kocha. Łajdak.

- Jeszcze nie wszystko wiadomo - odparła Lauren, ziewając. - Może jest jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Myles parsknął.

- Jeśli naprawdę tak sądzisz, to jesteś jeszcze bardziej pomyłona niż twoja siostra.

- Och, Myles, tak strasznie mi jej żal - wyszeptała Lauren. - Przecież wystarczająco ciężko mieć męża w śpiączce, a tu jeszcze ta inna kobieta, która uważa, że ma takie samo prawo przy nim być... och, i do tego ta córka.

- Cholera.

- Ma szesnaście albo siedemnaście lat.

- Niezły bajzel, co?

Lauren przytaknęła.

- I nie mam pojęcia, jak można to wszystko odkręcić.

Siobhán wróciła do domu o wiele wcześniej niż Sally i Iona, ale i tak było już późno, gdy ostrożnie wjeżdżała samochodem na swoje miejsce na podziemnym parkingu pod blokiem, a potem jechała widną na czwarte piętro. Właśnie w takich momentach cieszyła się, że Eddie wyjechał - miał lekki sen i nie cierpiał, gdy budziła go, wracając do domu o najdziwniejszych porach. Zdjęła buty i boso weszła do kuchni, gdzie nastawiła czajnik i wsypała cappuccino do dużego kubka. Nieważne, że zawiera kofeinę. Uznała, że jest tak zmęczona wydarzeniami tego wieczoru, że nawet kofeina nie przeszkodzi jej zasnąć. Czekaając, aż woda w czajniku się zagotuje, rozejrzała się po mieszkaniu.

Aż do tej chwili tego nie zauważyła, ale podczas tych kilku tygodni nieobecności Eddiego, ich mieszkanie zamieniło się w zwykły chlew. Może nie obrzydliwie brudny, pocieszała się, patrząc na sterty gazet i magazynów porzucane po całej podłodze czy kolekcję pustych butelek na kuchennym blacie, których nie chciało jej się wrzucić do pojemnika na szkło, ale mimo wszystko chlew. Eddiego przeraziłby taki widok. Był schludnym i drobiazgowym mężczyzną, a ona wiedziała, że z trudem toleruje jej zwyczaj zdejmowania ubrań po powrocie z pracy i beztroskiego rzucania ich na oparcie krzesła stojącego przy łóżku. Eddie zawsze porządnie odwieszał swoje garnitury, dokładnie składał koszule i krótko mówiąc, nigdy nie bałaganił. (Choć trzeba przyznać, że gdyby wydawała tak ogromne kwoty na designerskie ciuchy jak on, zamiast wyszukiwać okazji w markecie, wtedy pewnie też ostrożnie by je odwieszała). Kiedy się przyglądała wypalonym świeczkom porozstawianym po całym mieszkaniu (kilka tygodni temu urządziła babski wieczór i dla uzyskania odpowiedniego nastroju zmieniła mieszkanie w grootę migoczącą blaskiem świec) i niesprzątniętym kieliszkom od wina, zastanawiała się, jakim cudem Eddie wytrzymuje z takim flejtuchem jak ona, zamiast znaleźć sobie jakąś prawdziwą boginię domowego ogniska.

Być może chodzi tu o przyciąganie się przeciwieństw, pomyślała, mieszając w kubku cappuccino. W każdym razie lepiej będzie, jeśli trochę posprząta przed powrotem Eddiego do domu. Nie musi sprowadzać go na ziemię z wielkim hukiem! Ale robi to dopiero jutro rano, zanim odbierze go z lotniska. W tym momencie nie miała dość sił.

Wypiła kawę i przygotowała się do snu. Wsunęła się pod cienkie prześcieradło i zamknęła oczy. Ale czy to z powodu kawy, czy nadmiernego zmęczenia sen po prostu nie nadchodził. Zorientowała się, że znowu myśli o sprawie Harperów. To naprawdę może być niezły bigos, pomyślała. Jedno małżeństwo o osiemnastoletnim stażu, przypomniała sobie, i drugie o czteroletnim. Czy to możliwe, że Frank Harper poznał tę młodą dziewczynę i zamiast zachować się jak większość mężczyzn przechodzących kryzys wieku średniego, czyli mieć z nią romans, zdecydował się ją poślubić?

Kiedy wróciła na komisariat, sprawdziła przepisy dotyczące bigamii. Sprawa sprowadzała się do tego, że jeśli Frank Harper świadomie poślubił Ionę Brannock, będąc mężem Sally, to popełnił bigamię. A ponieważ obie żony zdawały się uważać, że są prawowitymi małżonkami Franka, musiała sprawdzić, czy pierwsze małżeństwo było ważne oraz czy drugie zostało zawarte w sposób zgodny z prawem, a także czy ktokolwiek obecny podczas drugiego ślubu, wiedział o pierwszym małżeństwie Franka - wówczas osoby te odpowiadałyby za pomaganie w przestępstwie.

Wiedziała, że musi także sprawdzić przeszłość Franka. Może był seryjnym bigamistą. Może Iona i Sally były tylko dwiema z całego haremu. Choć Bóg jeden wie, pomyślała Siobhán, jak trudno prowadzić podwójne życie, a co dopiero mieć kilka żon. Ale jeśli na przykład Frank wyjeżdżał z kraju, to mógł też poślubić jakąś kobietę za granicą. Może na Barbadosie zawarł też inne śluby! Siobhán przez krótką chwilę zastanawiała się, jakie są szanse na to, że jej szef pozwoli jej na wyjazd na Karaiby w celu zebrania zeznań. Marne, pomyślała. Ale byłaby to miła odmiana od przesłuchiwania podejrzanych w ponurych pomieszczeniach komisariatu! Tak naprawdę to powinna przede wszystkim przesłuchać Franka, tylko że on jest teraz w sypialni i nie wygląda na to, żeby miał się z niej szybko wybudzić. Nie ma więc szansy, żeby go zapytać, czy Iona i Sally to jedyne panie Harper.

Ale jakie to wszystko będzie miało znaczenie, jeśli ten biedak umrze? Siobhán zaczęła się zastanawiać nad sensownością prowadzenia dochodzenia, jeśli podejrzany ma żadne lub niewielkie szanse na przeżycie, ale wtedy sobie uświadomiła, że będzie mnóstwo kwestii prawnych i finansowych do wyjaśnienia, bez względu na to, czy Frank Harper umrze czy nie. Tak więc musiała prowadzić dochodzenie. To prokurator zdecyduje, czy sprawa będzie miała dalszy ciąg. Jej zadaniem jest sprawdzenie, jakie straty spowodowano i czy w interesie publicznym leży, by ścigać przestępcę. Prokuraturze musi przedstawić fakty. Musi dotrzeć do prawdy, nawet jeśli nie ma ochoty angażować się w tę sprawę i nawet jeśli okaże się to bardzo bolesne dla obu tych kobiet.

Pokręciła głową i poprawiła sobie poduszkę. Dlaczego ludzie robią takie głupie rzeczy, zastanawiała się. Czy bez tego życie nie jest już wystarczająco skomplikowane? Cieszę się, że jestem w miłym i nieskomplikowanym związku, przyznała sama przed sobą. Takim, który pewnego dnia może skończyć się ślubem. Ale dzięki Bogu jeszcze nie teraz. Objęła ramieniem poduszkę Eddiego i przyciągnęła ją do siebie, po czym natychmiast zasnęła.

Dzwonek telefonu wyrwał Sally ze snu. Skrzywiła się, gdy podniosła głowę z biurka i sięgała po słuchawkę. Dzwonili ze szpitala, żeby powiedzieć, że stan Franka nie uległ zmianie i że lekarz, który się nim opiekuje, chce się z nią spotkać w południe. Zasnany wzrokiem spojrzała na zegar wiszący na ścianie. Była dziewiąta rano.

Przeszła do łazienki i wzięła letni prysznic. Kręciła głową z boku na bok, żeby strumień wody złagodził napięcie, jakie odczuwała w barkach. Gdy wyszła z łazienki i zeszła na dół, okazało się, że Jenna siedzi już przy kuchennym stole.

- On umarł, tak? Zadzwonili, żeby to powiedzieć?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Sally. - Mamy tam być na dwunastą i wtedy z nami porozmawiają.

- A ona? - zapytała Jenna. - Ta wariatka? Co ona robi?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Sally. - I nic a nic mnie to nie obchodzi.

Komórka Jenny zapiszczała, Sally spojrzała na córkę pytająco.

- To Gerry - powiedziała Jenna.

- Gerry?

- Poznałaś go, mamó - odpowiedziała Jenna. - To mój chłopak.

- Ach. Okej. - Sally przypomniała sobie wysokiego, szczupłego chłopca, który pewnego wieczoru zadzwonił do Ich drzwi i zaczerwienił się, pytając o Jennę. Nie zdawała sobie sprawy, że to chłopak Jenny

(zakładając w ogóle, że to rzeczywiście chodzi o tego chłopaka, którego pamięta!). Za mało interesuję się jej sprawami, upomniała samą siebie. Powinnam wiedzieć więcej o tym, co robi.

Przyglądała się, jak Jenna wystukuje wiadomość do Gerry'ego.

- Co mu piszesz?

- Że nie mogę dzisiaj iść na imprezę, bo mój tata miał wypadek.

Telefon ponownie zapiszczał. Jenna przeczytała wiadomość, a jej oczy napełniły się łzami. Gwałtownie odsunęła swoje krzesło od stołu.

- Idę na górę - powiedziała i zostawiła Sally samą w kuchni.

Lauren odebrała telefon, podczas gdy Iona wciąż spała. Podali jej taką samą informację o stanie Franka i zaproponowali, by Iona przyjechała na rozmowę z lekarzem prowadzącym o pierwszej.

- A co z tamtą kobietą? - zapytała Lauren.

- Sally Harper jest umówiona na dwunastą - recepcjonistka westchnęła. - To dość dziwaczna sytuacja.

- Cóż, lepiej, żeby jej tam nie było, kiedy przyjedzie moja siostra - ostrzegła ją Lauren. - Reaguje teraz bardzo emocjonalnie.

- Rozumiem - powiedziała kobieta po drugiej stronie linii. - Mamy świadomość, że to bardzo delikatna sprawa.

- To dobrze - stwierdziła Lauren. - Bo wczorajszej nocy wcale na to nie wyglądało. Iona odniosła wrażenie, że nie traktujecie jej serio.

- Proszę mi wierzyć - zapewniła recepcjonistka - że naprawdę bardzo poważnie traktujemy całą tę sytuację.

Gdy Lauren obudziła Ionę, a nie było to łatwe zadanie, bo po valium spała jak zabita, pierwszym pytaniem, jakie zadała jej siostra, było: dlaczego Sally będzie pierwsza.

- Nie wiem - odpowiedziała Lauren.

- Robią tak, jakby była ważniejsza ode mnie. Ale nie jest. To ja jestem jego żoną i mam prawo być tam pierwsza.

- Io, proszę cię - Lauren popatrzyła na siostrę błagalnym wzrokiem. - Ktoś przecież musi być pierwszy.

- Ale dlaczego to ma być ona? Dlaczego nie ja? Bo oni uważają za bardziej prawdopodobne, że to ona jest jego żoną. A przecież mają na to tylko jej słowo. Może mówić, co chce, o tym, że jest żoną Franka, ale to nieprawda.

- Ewidentnie zna Franka.

- Może kiedyś z nim chodziła. Może urodziła jego dziecko - Iona przelknęła ślinę. - Jestem w stanie to zaakceptować, nawet jeśli mi się nie podoba. Ale skąd wiadomo, że rzeczywiście jest jego żoną? Mamy na to tylko jej słowo. A ona może przecież być zwykłą kłamczuchą.

- Może ona to samo myśli o tobie?

Iona wpatrywała się w Lauren w ciszy, w której niemal było słyhać, jak gromadzi się w niej złość i napięcie.

- Bardzo ci dziękuję! - rzuciła z furią. - Przecież wiesz, że nie kłamię. Ale jesteś gotowa uwierzyć w te bzdury, które wczoraj opowiadała. Myślisz, że jest jego żoną, chociaż sama odprowadzałaś mnie i Franka na lotnisko. Przecież oglądałaś nasze ślubne zdjęcia!

- Och, posłuchaj, Io... - Lauren złapała swoją siostrę za rękę. - Ja w nic nie wierzę, mówię tylko, że... cóż... ludzie, którzy was nie znają... być może wydaje im się bardziej prawdopodobne, że to ona jest jego żoną.

- Super - głos Iony był pełen oburzenia. - Uważasz, że wątpliwości przemawiają na jej korzyść. Dlaczego? Bo jest starsza i wygląda jak wiedźma? Myślisz, że Frank prędzej poślubiłby ją niż mnie? Daj spokój, Lauren, przecież znasz Franka! Wiesz, jaki jest. Naprawdę uważasz, że wolałby tę pozbawioną gustu paniusią razem z tą obrażoną na cały świat małolatą ode mnie? Tak szczerze?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze - Iona wstała z łóżka i nagle skrzywiła się, próbując złapać oddech. Przycisnęła przy tym dłoń do brzucha.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z niepokojem Lauren.

- Tak, w porządku. Ja tylko... - wzdrygnęła się. - Masz jakieś tampony?

Lauren skinęła głową. Wyszła z sypialni i wróciła po chwili z pudełkiem tamponów w rozmiarze super.

- Mogą być takie?

- Tak, dzięki - nagle łza potoczyła się po policzku Iony i plasnęła o pudełko.

- Chodź, kochanie - Lauren objęła siostrę. - Wszystko będzie dobrze.

- A jeśli nie? - Iona spojrzała na nią swoimi granatowymi oczami przez łyżę. - Co jeśli... co jeśli on umrze, Lauren? - z trudem przełknęła ślinę. - Staraliśmy się o dziecko. W końcu się na to zdecydowaliśmy... Ja w końcu się zdecydowałam, że podołam temu całemu macierzyństwu. A jeśli on umrze, to nigdy nie będziemy mieli dziecka.

Lauren mocno chwyciła siostrę za ramiona.

- Wyjdzie z tego - powiedziała z mocą. - Wiesz, że tak będzie. I będziecie mieli dziecko.

Sally i Jenna zaparkowały na wielopiętrowym parkingu. W milczeniu weszły do szpitala, każda pogrążona w swoich myślach. Nie zamieniły też ani słowa, gdy kierowano je do poczekalni na OIOM-ie. Pomieszczenie to miało robić pogodne wrażenie, obite tapicerką w jaskrawych kolorach krzesła ustawiono wokół małego stoliczka zawalonego czasopismami, a w rogu stał automat z ciepłymi napojami. Sally wzięła dla siebie herbatę, a dla Jenny gorącą czekoladę. Siedziały i czekały na lekarza. Gdy przyszedł, okazało się, że to inny lekarz niż ten, z którym rozmawiały poprzedniego wieczoru. Przedstawił się jako David Bream i usiadł koło nich. Powiedział, że Frank wciąż jest w śpiączce, choć pojawiły się pewne uogólnione reakcje. To znaczy, że jego ciało reaguje, ale reakcje te są niespójne i nieswoiste. Frank nadal nie był świadomy, co się wokół niego dzieje. Ale, powiedział lekarz, uraz nie jest tak poważny, jak się początkowo obawiano. Udało się zmniejszyć obrzęk mózgu i zoperować zniszczone naczynia krwionośne. Uraz płata potylicznego prawdopodobnie spowoduje pogorszenie widzenia, a być może utrudni mu rozpoznawanie obiektów wzrokiem. Ale będzie to wiadomo, dopiero jak odzyska świadomość.

- Czy doszło do uszkodzenia mózgu? - Sally nie rozumiała medycznego żargonu i swoje pytanie zadała z pewnym wahaniem.

- Nie wiadomo - odparł lekarz. - Nie mniej jednak mamy nadzieję, że będziemy mogli odłączyć go od aparatury podtrzymującej życie i przy odrobinie szczęścia obudzimy go.

Sally skinęła głową.

- Jak ktoś jest w śpiączce, to nie jest wcale tak samo, jakby spał, prawda?

- Obawiam się, że nie. Musimy go z niej obudzić, pani Harper - odpowiedział.

- A czy wiadomo, kiedy się obudzi? - zapytała Jenna.

- Niestety nie - lekarz delikatnie się do niej uśmiechnął. - Wiesz, to wcale nie jest tak jak na filmach, że ktoś w śpiączce otwiera oczy i od razu czuje się lepiej. Czasami pacjenci otwierają oczy i zamykają, a wcale nie reagują na otoczenie. To może trochę potrwać. Mózg jest bardzo wrażliwym organem. Ale ludzkie ciało ma zdumiewające możliwości.

- Pójdziemy go zobaczyć? - spytała Sally, wstając z krzesła.

David Bream zaprowadził je do szyby, za która było widać salę OIOM-u. Przekonały się, że od wczorajszego wieczoru nic się nie zmieniło. Frank wciąż był podłączony to całego szeregu urządzeń i wciąż nie przypominał samego siebie, wyglądał jak woskowa figura.

- Czy ona już tu była?

- Słucham?

- Ta wariatka, co zeszłej nocy? Ta, która kłamie, że jest żoną Franka?

- Jeszcze nie - odpowiedział wyraźnie skrepowany David.

- Bez względu na to co mówi, kłamie - Sally wpatrywała się przez szybę we Franka. - To mój mąż. Kocham go. I to ja sprawię, że wyzdrowieje.

Iona trzęsła się, siedząc w poczekalni. To nie było to samo pomieszczenie co wczoraj, na samym końcu korytarza. Pod ścianą stał rząd pomarańczowych plastikowych krzesełek. Na małym ekranie telewizyjnym umieszczonym na wsporniku leciał kanał Sky News. Na stoliku na środku pokoju leżało kilka starych czasopism, poza tym pomieszczenie było puste. Nikt inny nie czekał na wieści o najbliższych.

David Bream popchnął drzwi i wszedł.

- Iona? - niepewnie popatrzył na dwie siedzące kobiety.

- To ja - jej ciemne oczy bacznie się w niego wpatrywały.

- Pójdzie pani ze mną?

Podobnie jak wcześniej zrobiły to Sally i Jenna, Iona i Lauren stanęły przed szybą do sali na OIOM-ie. Gdy Iona zobaczyła Franka, wybuchnęła głośnym szlochem, a Lauren mocno ją przytuliła.

David udzielił tych samych wyjaśnień co wcześniej Sally i Jennie. Gdy kończył, Iona otarła oczy.

- Czy w ogóle wystąpiły jakieś reakcje? - zapytała.

Davida zaskoczył ton jej głosu, który nagle stał się bardzo rzeczowy.

- Tak, ale nadal nie jest świadomy tego, co się wokół niego dzieje.

- Skąd pan wie? - zapytała Iona. - A co z tymi wszystkimi historiami o ludziach, którzy wydają się kompletnie nieświadomi, a potem twierdzą, że słyszeli wszystko, co się wokół działo, i pamiętają, co inni o nich mówili. Nie chcę, żeby Frank usłyszał tutaj o sobie jakiegokolwiek złe słowo. Nie chcę, żeby ludzie wchodzili do jego pokoju, mamrocząc, że i tak nigdy się nie obudzi.

- Nikt czegoś takiego nie będzie robić - odpowiedział David.

- Chcę siedzieć przy nim i mówić do niego, chcę, żeby wiedział, że ktoś go kocha - powiedziała Iona.

- Jej ulubiony serial to „Ostry dyżur” - wtrąciła Lauren przeprasającym tonem.

- Nie bądź taka dowcipna - warknęła Iona. - Przemyślałam to sobie i wiem, że denerwowałam się i krzyczałam, ale to nie znaczy, że jestem beznadziejna. Chcę być przy nim dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, jeśli będzie trzeba.

- Cóż... Iona, to bardzo ładnie z twojej strony - powiedział David Bream. - Ale są też inni, którzy chcą go odwiedzać...

- Kto? - zapytała Iona. - Frank nie ma rodziny. Jego rodzice nie żyją. I nie ma rodzeństwa.

- To prawda. Ale wiesz przecież...

- Jeśli chodzi panu o tamtą kobietę, to ona nie ma żadnego prawa tutaj przychodzić.

Skrepowany David wymienił spojrzenie z Lauren.

- To też sobie przemyślałam - nie ustępowała Iona. - Nawet jeśli kiedyś tam był jej mężem, to nie ma znaczenia. Przez ostatnie cztery lata był moim mężem. Więc to ja jestem najważniejszą osobą w jego życiu. Jeśli ta kobieta chce się z nim zobaczyć, najpierw musi zapytać mnie o zgodę.

- Naprawdę nie jestem pewien, czy...

- Przykro mi, ale taka jest prawda - przerwała mu Iona.

- Mnie też jest przykro, ale będziemy musieli znaleźć jakieś rozwiązanie - powiedział David stanowczym tonem.

Iona spojrzała na niego ze złością.

- Nie rozumie pan? - krzyknęła. - Przy innych pacjentach bez przerwy ktoś siedzi i ich wspiera. A przez ten... ten... kompletny nonsens... Frank nie ma przy sobie nikogo. On mnie potrzebuje.

- Potrzebuje wsparcia - zgodził się David. - A kłótnie z pewnością mu nie pomogą.

- To co ona panu powiedziała? - zapytała Iona. - Że też chce być przy nim cały czas?

- Szczerze mówiąc - odparł David - nie jestem pewien, czy obecność którejkolwiek z was byłaby dla niego w tym momencie korzystna. Jeśli pan Harper ma świadomość tego, co wokół niego się dzieje, może się tym bardzo zdenerwować. A tego nie chcemy.

- Co chce pan powiedzieć? Że nie mogę przy nim być? - głos Iony był pełen wściekłości. - Powiedziałam panu, że jestem jego żoną, a pan nie pozwala mi z nim być. Nie ma pan prawa!

- Mówię tylko, że pani i pani Harper...

- Wbijcie sobie w końcu do tych waszych zakutych łbów, że to *ja* jestem panią Harper - wykrzyczała Iona.

- Pani i ta druga pani Harper - poprawił się David - Cóż, żadna z was nie będzie mogła przy nim być, jeśli miałyby go to zdenerwować.

- Chyba nie sądzi pan naprawdę, że lepiej jest mu tam samemu?

- Nie znam dokładnie waszej sytuacji - powiedział David. - Ale myślę, że musicie ze sobą porozmawiać i dojść do jakiegoś porozumienia.

- Chyba pan żartuje.

- To samo powiedziałem tamtej pani.

- I co odpowiedziała?

- Mniej więcej to samo, co pani. Ale naprawdę, szczerze pani mówię, dopóki nie dojdziecie do jakiegoś porozumienia, przynosicie mu więcej szkody niż pożytku.

- Jak pan śmie? - syknęła Iona. - Jak pan śmie sugerować, że szkodzę Frankowi swoją obecnością tutaj?

David Bream westchnął głęboko. Miał już do czynienia z rodzinnymi zatargami, kiedy to bracia i siostry, którzy nie rozmawiali ze sobą od lat, nagle pojawiali się przy łóżku chorego rodzica i klócili się o to, kto ma się nim opiekować. Zdarzało się też, że zjawiała się kochanka pacjenta, żeby zobaczyć się z nim, jak tylko jego rodzina (w tym żona) wyszła ze szpitala. Ale na OIOM-ie nigdy jeszcze nie było dwóch kobiet, które jednocześnie twierdziłyby, że są żonami jednego mężczyzny. A on naprawdę nie czuł się na siłach, by podołać tej sytuacji.

- Czy ona jeszcze tu jest? - zapytała Iona.

David skinął głową.

- Przyjechała z Bray. To kawał drogi.

Iona powoli wypuściła powietrze.

- Wrócę o szóstej wieczorem. Ma jej tu już wtedy nie być.

Jeszcze raz przycisnęła twarz do szyby.

- Kocham cię, Frank - wyszeptała. - Naprawdę cię kocham. Nie zawiodę cię. I będziemy mieli nasze dziecko.

Rozdział 10

Następnego ranka Siobhán zgodnie ze swym mocnym postanowieniem wzięła się za porządki. Zebrała wszystkie gazety i magazyny i wrzuciła je do wielkiego pudła na makulaturę, które trzymali w schowku, a także wszystkie butelki (nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo w ostatnich tygodniach się rozpędziła z ilością wypijanego wina). Pozbierała puste pudełka po pizzy i chińskim jedzeniu, jakie się nagromadziły przez ten okres, i wcisnęła je do czarnego worka na śmieci, myśląc o tym, że nie dość, że piła za dużo wina, to jeszcze ja-dła za dużo dań na wynos. Ale - pomyślała z nadzieją - wino pomogło strawić tłuszcz zawarty w jedzeniu. Więc może jej dieta wcale nie była taka zła!

Gdy posprzątała większe śmieci, ruszyła do boju ze ściereczką i butelką płynu Mr Proper, wytrze-pała poduszki i szybko przejechała odkurzaczem dywaniki. Gdy skończyła, krytycznym okiem oceniła efekty swojej pracy. Na łóżku w gościnnym pokoju wciąż piętrzyła się góra czekających na zmiłowanie rzeczy do uprasowania. Prasowanie akurat lubiła, bo dobrze jej się w trakcie tej czynności myślało, ale przez ostatnie kilka tygodni była zbyt zajęta, żeby o tym pamiętać. No cóż, czego oczy nie widzą i tak dalej. Ogólnie rzecz biorąc, mieszkanie wyglądało dużo lepiej, choć z pewnością nie panował w nim taki porządek jak wtedy, gdy w domu był Eddie. Poczowała się lekko zażenowana, gdy nagle sobie uświadomiła, że to on tak naprawdę dba o ich wspólny dom.

To nie moja wina, tłumaczyła się sama przed sobą, stojąc przed lustrem i wklepując koloryzujący podkład w z natury blade policzki. Nie lubię prac domowych. Nigdy nie lubiłam. Przypomniała sobie, że wychowywała się wśród pięciu braci, którzy odziedziczyli typowo męski gen kompletnej awersji do prac domowych. Ich matka toczyła nieustającą i skazaną na przegraną walkę z zalewającymi dom męskimi akcesoriami i w końcu powiedziała Siobhán, że liczy się przecież to, co jest w środku, a nie tylko pozory. Siobhán zgadzała się z matką, lecz jednocześnie miała świadomość, że czasami jednak pozory mają znaczenie. I z całą pewnością nie chciała, żeby Eddie wrócił do mieszkania, które wyglądało jakby przez tydzień siedziała w nim policyjna grupa obserwacyjna.

Pomyślała nawet, że dobra dziewczyna ociepliłaby jakoś to wnętrze, ozdobiła romantycznie na jego powrót po to, by od razu sobie uświadomił, jak bardzo się za nią stęsknił. Ale na Boga, jej kompletnie nie ruszały takie ckliwe kawałki. Stała niezdecydowana przed lustrem. Powinnam coś przygotować na jego powitanie, pomyślała. Większość kobiet tak by zrobiła, prawda?

Musnęła usta szminką i złapała żakiet wiszący na drzwiach sypialni, obiecując sobie solennie, że jak wróćą do domu, na pewno porządnie go odwiesi. Potem wybiegła z mieszkania i popędziła na drugą stronę ulicy do całodobowego sklepiku, gdzie kupiła trzy bukiety kwiatów i kilka świec zapachowych (ostatnio trochę przesadzam z tymi świecami, pomyślała, ale co tam!). Zajrzała do znajdującego się po sąsiedzku sklepu monopolowego i nabyła butelkę szampana.

Wbiegła z powrotem do mieszkania, wstawiła kwiaty do pięknych wazonów projektu Louise Kennedy* (prezent dla Eddiego od wdzięcznego klienta), ustawiła świece w sypialni i wstawiła szampan do lodówki.

* Znana irlandzka projektantka mody.

Naprawdę troskliwa ze mnie dziewczyna, pochwaliła samą siebie, zbiegając po schodach na parking.

Frank Harper słyszał, jak pielęgniarka na OIOM-ie coś mówi. Wiedział, że jest prawdziwa i że nie śni, jednak nie wiedział, gdzie dokładnie jest i dlaczego. Nie mógł też zrozumieć, co ona mówi. Domyślał się, że się nim zajmuje, ponieważ jej głos stawał się delikatny za każdym razem, gdy do niego podchodziła. Nie wiedział tylko, dlaczego musi się o niego troszczyć. Czuł się doskonale. Był oczywiście zmęczony. I nie chciało mu się jeszcze otwierać oczu, bo to kosztowałoby go zbyt wiele wysiłku. W sumie pod wieloma względami czuł się zadowolony.

Marion. Tak miała na imię. Przypomniał sobie. To Marion się nim opiekowała, co było oczywiście ironią losu, bo przecież to on miał się opiekować nią. W końcu była jego dziewczyną. Ale widocznie coś się stało i jest teraz w łóżku, a Marion się o niego troszczy.

Może za dużo wypił na imprezie. Czy cierpi z powodu zatrucia alkoholowego? Tak mu powiedziała ostatniego wieczoru. Wypij jeszcze parę kolejek wódki, a uszkodzisz sobie wątrobę. Ale śmiała się przy tym. Nie mówiła poważnie. A on powiedział, że pije te wszystkie kolejki dlatego, że... że... Myśl gdzieś mu umknęła, a on usilnie starał się ją chwycić. Tak. Przypomniał sobie. Pił dlatego, że było to jej pożegnalne przyjęcie. Opuszczała go. Rzuciła go dla Ameryki, wیزی wygranej na loterii oraz nadziei na nowe życie i lepsze perspektywy. Nie chciał, żeby wyjeżdżała. Powiedział jej, że ją kocha. Wyśmiała go wtedy i odparła, że doskonale wie, że chodziło mu o seks i że to nie ma nic wspólnego z miłością. Przecież Johnny Doherty przyznał się jej, że razem z Frankiem uganił się właśnie za pielęgniarkami, bo podobno są gotowe na wszystko.

W głosie Franka słychać było wtedy zdumienie. Powiedział, że kocha ją, a nie seks, choć seks z nią był cudowny. Nie mógł się pogodzić z tym, że go porzuca.

A teraz ona tu jest. Nie wyjechała. Frankowi trudno się było skoncentrować. Jeśli jest teraz z nim w tym pomieszczeniu, to nie mogła wsiąść do samolotu linii lotniczej Aer Lingus do Nowego Jorku, który miał odlecieć dziś rano, 12 kwietnia 1986 roku.

Musi się obudzić. Przyjemnie jest leżeć sobie z zamkniętymi oczami i myśleć o Marion i o tym, jak jego życie może się zmienić, skoro ona jednak zostaje, ale będzie lepiej, jeśli się wyrwie z tego pijackiego otępienia i wróci do rzeczywistości. Tylko że wcale nie miał na to ochoty. Bolała go głowa. Bolała go też reszta ciała. Lepiej z tym poczekać.

Terri Cooper, pielęgniarka na OIOM-ie, usłyszała westchnienie pacjenta. Spojrzała na niego. Jego oczy były otwarte, ale wpatrywały się w sufit pozbawione wyrazu. Zamknął je, gdy wciąż jeszcze na niego patrzyła.

Nadal był w śpiączce.

Ruch uliczny w Dublinie to prawdziwy koszmar. Siobhán siedziała w samochodzie i była zła, że nie może wystawić na dach koguta. Ale jechała swoim prywatnym autem, a poza tym nawet gdyby była w

radiowozie, nie wolno by jej było użyć koguta do przedarcia się z Blackrock na lotnisko tylko po to, żeby zdążyć na samolot, którym wraca jej narzeczony. Szkoda, pomyślała. To byłby miły dodatek do pensji. Jednak mimo trudności dotarła na miejsce na pięć minut, zanim na sali przylotów pojawił się Eddie.

Pisnęła z radości na jego widok i podbiegła, żeby objąć go ramionami i mocno do siebie przytulić. On też ją przytulił, tak mocno, że aż nie mogła się ruszyć.

- Dobrze, już dobrze - stwierdziła w końcu. - Lepiej mnie puść, bo się uduszę. - Wyślizgnęła się z jego objęć i pocałowała go w usta. Odsunął się od niej, a ona spojrzała na niego zdumiona.

- Przepraszam - powiedział. - Ja... no wiesz... tak publicznie...

Szeroko otworzyła oczy. Nigdy dotąd nie przeszkadzało mu, gdy całowali się wśród ludzi. A przynajmniej tak jej się wydawało. Nie robili tego zbyt często, bo Eddie cenił sobie prywatność, ale jednak... Starala się nie dać po sobie poznać, że sprawił jej przykrość.

- Tak strasznie się cieszę, że cię widzę - powiedział, a ona nie mogła wątpić w szczerść jego słów. Objął ją i ponownie mocno do siebie przytulił. - Naprawdę bardzo, bardzo za tobą tęskniłem.

Przykrość, jaką przed sekundą poczuła, natychmiast wyparowała i Siobhán oparła głowę na jego ramieniu.

- Ja też za tobą tęskniłam - powiedziała. Eddie ziewnął szeroko.

- Przepraszam. Różnica czasu. Wiem, że powinienem spać w samolocie, ale jakoś nie potrafię.

- Nie szkodzi - odparła, gdy szli w stronę parkingu i odbierali samochód. - Będziesz mógł się wyspać do woli, gdy dotrzemy do domu. Muszę dziś wieczorem zajrzeć na komisariat. Mam mnóstwo roboty.

- Nowa sprawa?

Opowiedziała mu o podejrzeniu o bigamię.

- Muszę sprawdzić parę rzeczy - powiedziała. - Dowiedzieć się wszystkiego o tym panu Harperze. Może ukrywać przed nami jeszcze z tuzin żon.

- Myślisz? - zapytał, gdy powoli wyjeżdżała z miejsca parkingowego.

Skrzywiła się.

- Trudno powiedzieć. Zależy, jaki ma motyw. - Zaśmiała się cicho. - Większość facetów, których znam, ledwo radzi sobie z jedną żoną, a co dopiero z dwiema?

Eddie skinął głową, a potem sięgnął do schowka i włożył płytę CD do odtwarzacza.

- Pozwolisz, że trochę się zrelaksuję?

Siobhán przytaknęła i w samochodzie rozbrzmiał głos Arethy Franklin.

Eddie zasnął po piętnastu minutach jazdy, więc Siobhán musiała go obudzić, gdy w końcu dojechali do ich bloku. Ziewnął szeroko, a potem wysiadł z samochodu i wziął swoją walizkę z bagażnika.

- Masz szczęście, że wróciłeś w czasie weekendu - powiedziała Siobhán, gdy szli do mieszkania. - Przynajmniej nie musisz jutro wstawać.

- Muszę trochę posiedzieć nad papierami - odpowiedział. - Przygotować wszystko na kolejny tydzień.

- Nie ma sprawy.

Siobhán otworzyła drzwi do mieszkania i weszła pierwsza. Eddie wrzucił walizkę do sypialni i wrócił do salonu. Rozejrzał się wokół, a potem podniósł wypaloną świeczkę, którą Siobhán przeoczyła podczas swojego wielkiego sprzątanía.

- Myślałem, że będzie tu prawdziwy śmietnik - powiedział.

- Czemu?

- Nie sądziłem, że potrafisz utrzymać taki porządek. I zaimponowałaś mi tymi kwiatami.

Siobhán się uśmiechnęła.

- No dobra, przyznaję się, że mieszkanie nie wyglądało tak przez cały czas. Ale zrobiłam, co mogłam.

- Chyba powinniśmy zatrudnić sprzątaczkę - powiedział Eddie.

- Nie jest tak źle!

- Żeby regularnie przychodziła - odparł. - Żebyś nie musiała się tym zajmować.

- Nie znajdziemy dobrej sprzątaczkii za przyzwoitą cenę - odpowiedziała. - A to mieszkanie naprawdę nie jest duże. Następnym razem bardziej się postaram. - Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę szampana. - Chodź, skarbie. Bogini domowego ogniska musi umieć udowodnić swoją boskość także w sypialni. - Otworzyła drzwi do sypialni. - Weź jakieś kieliszki na bąbelki i przekonaj się, co traciłeś przez te pięć tygodni.

Gdy Eddie wszedł do sypialni, ona zdążyła już ściągnąć dzinsy i wślizgnąć się do łóżka. On rozbierał się wolniej, jak zawsze porządnie odwieszając ubrania do garderoby, a potem położył się koło niej. Objęła go i przyciągnęła do siebie.

- Tak strasznie za tobą tęskniłam - wyszeptała. - Dopóki nie wyjechałeś, nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele dla mnie znaczysz.

Objął ją i przytulił. Siobhán przesunęła ręką po jego boku, kierując się w stronę jego ud.

- Wiesz co - wymamrotał z twarzą zanurzoną w jej ognistorudych włosach. - Jestem kompletnie wykończony. Nie mogę się skupić. Nie mam na nic siły.

Odsunęła się od niego i spojrzała zaskoczona.

- Nie chcesz?

- Oczywiście, że chcę - odpowiedział. - Tylko naprawdę jestem zmęczony.

- Och. No cóż, to napijmy się chociaż szampana.

Spojrzał na nią przepraszająco.

- Dziękuję, skarbie, ale może później? Czy będzie ci bardzo przykro, jeśli zasnę?

- Nie, oczywiście, że nie - w jej głosie było słycać wahanie.

- Ale myślałam... chociaż masz rację. Nie spałeś całą noc.

- Zostań przy mnie - powiedział. - Chcę czuć, że jesteś blisko.

- Jasne.

Leżeli obok siebie przez kilka minut, aż oddech Eddiego uspokoił się i pogłębił. Siobhán wyślizgnęła się z łóżka, zniosła butelkę szampana z powrotem do lodówki i zrobiła sobie herbatę.

Było wczesne popołudnie, gdy Siobhán zatrzymała się przed schludnym bliźniakiem w Bray. Wysiadła z nieoznakowanego radiowozu, zauważając w świetle dnia, że trawnik jest porządnie przystrzyżony, a rabatki zadbane. Okna błyszcząły czystością, a drzwi wejściowe niedawno odnowiono.

Wysiadła z samochodu i ruszyła wyłożonym kostką podjazdem.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku. Uniosła pytająco brwi, ale Siobhán podała tylko swoje nazwisko i powiedziała, że przyszła zobaczyć się z Sally.

- Sally odpoczywa. Raczej nie chce się teraz z nikim widzieć.

Siobhán minęła kobietę i weszła do salonu. Sally siedziała z podwiniętymi nogami na długiej kanapie. Była blada, a pod oczami miała czarnosine kręgi.

- Powiedziałam jej, że odpoczywasz... - sąsiadka Sally, która wpadła do niej, żeby się nad nią poużalać, weszła za Siobhán do salonu.

- W porządku - powiedziała Sally. - To jest ta policjantka, która mnie poinformowała o wypadku Franka.

- Chciałabym porozmawiać z panią Harper na osobności - powiedziała stanowczo Siobhán. - Więc gdyby mogła pani zostawić nas same...

Sąsiadka niechętnie podniosła swoją torebkę z krzesła.

- Cóż, wiesz, gdzie mnie znaleźć, jakby co. - Skinęła obu kobietom głową na pożegnanie i wyszła z domu.

- Jak się pani czuje? - spytała łagodnie Siobhán. Sally zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Nie wiem - stwierdziła w końcu. - Byłam dziś rano w szpitalu. Frank nadal jest w śpiączce. Była tam tamta kobieta.

- A jak się ma pani córka?

- Wyszła - odparła Sally. - Myślę, że to dobrze. Jej chłopak przyszedł i powiedziałam im, żeby poszli na spacer. - Sally skubała paznokcie kciuka. - Po co pani przyszła? - zapytała.

- Cóż..., musimy zbadać całą tę sytuację między panią, Ioną i Frankiem.

- Nie ma co badać - odpowiedziała Sally. - Jestem jego żoną. Wszyscy to wiedzą.

- Ma pani akt ślubu? - zapytała Siobhán. - A oprócz tego może świadectwo urodzenia Franka?

- Oczywiście, że tak. - Sally wyprostowała nogi i wstała z kanapy. Wyszła z salonu.

Gdy Siobhán została sama, rozejrzała się po pokoju. To był duży salon w kształcie litery L z oliwkowozieloną kanapą i fotelami w jednym końcu oraz stołem i krzesłami z orzecha w drugim. Meble były raczej niemodne i dla Siobhán za ciemne, ale dobrej jakości. Na ścianach wisiały oprawione w ramki grafiki i jedno zdjęcie Franka, Sally i Jenny. Siobhán uznała, że zrobiono je, gdy Jenna miała z dziesięć czy dwanaście lat. Uśmiechała się i było widać jej aparat na zębach. Dwie kolejne fotografie były oprawione w srebrne ramki. Jedna przedstawiała Jenny w wieku niemowlęcym, z szerokim uśmiechem na pulchnej buzi, a druga Franka i Sally w dniu ślubu. Zdjęcie zrobiono w jakimś ogrodzie, w tle roztaczał się wspaniały widok na Zatokę Dublińską.

- Hotel Deerpark w Howth - powiedziała Sally, wchodząc do salonu.

Siobhán postawiła zdjęcie z powrotem na kredensie.

- To był piękny dzień - ciągnęła Sally. - Błękitne bezchmurne niebo. Było bardzo ciepło. Nawet było mi w tej sukni za gorąco.

Siobhán ponownie spojrzała na fotografię. Sally miała na sobie bardzo tradycyjną suknię z dekoltem w karo i bufiastymi rękawami. Welon na głowie z mnóstwem loków przytrzymywała błyszcząca tiara.

- Teraz to wygląda beznadziejnie - powiedziała Sally - ale wtedy to był szczyt mody.

Siobhán uśmiechnęła się do niej.

- Wiem, co ma pani na myśli. Człowiek myśli, że wybiera coś ponadczasowego, a po latach się zastanawia, co też mu przyszło do głowy, żeby to założyć. Ale to ładna suknia.

- Pani jest mężatką? - zapytała Sally.

Siobhán nie odpowiedziała. Podeszła do Sally i wyciągnęła rękę, żeby wziąć przyniesione dokumenty. Nie miała zamiaru omawiać swoich osobistych spraw z Sally Harper.

- Przyniosłam pani też nasz album ze zdjęciami ślubnymi - powiedziała Sally. - Chociaż nie było zbyt wielu gości, ja i Frank jesteśmy jedynakami.

- A świadkowie? - zapytała Siobhán, przeglądając błyszczące fotografie.

- Przyjaciel Franka - odpowiedziała Sally. - Johnny Doherty. Mieszka teraz w Stanach. A może w Kanadzie. Nie jestem pewna. A drużną była moja przyjaciółka z college'u, Denise. Nadal się przyjaźnimy, a nawet pracujemy razem. Tylko że mieszka po drugiej stronie miasta.

- Ile osób było na ślubie? - Siobhán wciąż oglądała zdjęcia. Nagle przestała przewracać strony albumu i bliżej przypatrzyła się jednej z fotografii. - Pewnie rodzice?

- Moi - powiedziała Sally. - I ojciec Franka. Jego mama opuściła ich, jak był mały.

Siobhán nadal przyglądała się fotografii.

- Wszyscy już nie żyją - powiedziała Sally tak wyraźnie, że Siobhán aż na nią spojrzała. - Sama pani widzi, że nie byli najmłodsi. Moja mama... była już stara... - zachwiała się lekko, a Siobhán objęła ją ramieniem.

- Proszę usiąść - powiedziała. - Czy przynieść pani coś do picia?

- Nie - Sally pokręciła przecząco głową. - Wszystko w porządku. Chciałam powiedzieć, że mama była dość stara, kiedy mnie urodziła. Miała czterdzieści pięć lat. Straciła wcześniej troje dzieci.

- Och.

- To znaczy wcale nie była stara - powiedziała Sally.

- Tylko stara, jak na dziecko - Sally starała się opanować emocje i położyła rękę na brzuchu, podczas gdy Siobhán uważnie się jej przyglądała.

- W każdym razie nigdy nie była okazem zdrowia, więc to nie było jakieś wielkie zaskoczenie. A mój tata umarł dwa lata później, myślę, że bardzo za nią tęsknił.

- Bardzo mi przykro.

Sally zwilżyła językiem wargi.

- To było tak dawno temu - powiedziała lżejszym tonem. - I naprawdę spodziewaliśmy się tego.

- A ojciec Franka?

- Och, on przez lata cieszył się świetnym zdrowiem - powiedziała Sally. - A potem miał zawał serca i umarł, oglądając telewizję.

- Czy pochodzicie z Dublina?

- Och, Boże, nie. Frank urodził się i wychował w Sligo - odparła Sally. - Nadal podoba mu się wiejskie życie. Jeździł do ojca raz w miesiącu, aż pan Harper umarł na zawał. - Wzruszyła ramionami. - Ja też kilka razy tam pojechałam, ale szczerze mówiąc, nie bardzo pociągała mnie kilkugodzinna jazda samochodem do starego i ponurego domu, który wymagał remontu. Nigdy nie polubiłam tego staruszka i myślę, że on też za mną nie przepadał. Wiem, że to brzmi głupio, ale on naprawdę chciał, żeby Frank ożenił się z jakąś dziewczyną ze Sligo i tam został. Chyba bał się, że ja okazał się równie niestała jak jego własna żona. Zdaje się, że próbował ją odnaleźć, ale potem zrezygnował. Wiemy tylko, że wyjechała do Londynu, jak Frank miał dwa czy trzy lata. Nie lubi o tym mówić. Nie wiem, czy ona jeszcze żyje, i Frank też tego nie wie. Ona też była z Dublinu i w opinii starego pana Harpera wszyscy jesteśmy jedną wielką bandą rozpustników! Tak mówiąc między nami, to ja wcale się jej nie dziwię, to był gderliwy człowiek i niezbyt miły. Myślę, że on w ogóle nie lubił kobiet. Frank przez jakiś czas chodził z dziewczyną ze Sligo, ale wyjechała do Stanów czy gdzieś. - Sally z cieniem żalu w oczach spojrzała na Siobhán. - Wie pani, jak to było dwadzieścia parę lat temu, kto mógł, uciekał z Irlandii. Kiedy ja po ślubie nie chciałam zamieszkać w Sligo, pan Harper odebrał to jako afront. Powiedział, że uważam się za lepszą od nich. Zupełny nonsens. Jeśli o mnie chodzi, to Sligo w latach osiemdziesiątych, a raczej cała północno-zachodnia część kraju, to wtedy była kompletna dziura - zaśmiała się lekko. - Zawsze czuję się nieswojo, kiedy tak mówię. Jakby mógł mnie usłyszeć. Ale rzecz w tym, że miałam dobrą pracę w szkole w Dublinie i nie chciałam się nigdzie przeprowadzać. W końcu pan Harper i tak zostawił dom Frankowi. Frank go wyremontował i teraz wynajmuje. Jeździ do Sligo raz w miesiącu. Teraz mieszka tam pewne miejscowe małżeństwo z dzieckiem, więc wiemy, że nic złego się nie dzieje.

- A jak się pani układa z Frankiem? - zapytała Siobhán.

Po policzku Sally spłynęła łza.

- Dobrze - odparła w końcu - dobrze nam się układa.

- Żadnej separacji na próbę czy czegoś takiego?

Sally oczami wciąż błyszczącymi od łez popatrzyła na nią ze złością.

- Przecież powiedziałam, że dobrze nam się układa - burknęła. - Oczywiście, że nie.

- A jednak tamta dziewczyna twierdzi, że jest jego żoną - powiedziała miękko Siobhán. - Jak pani myśli, dlaczego ona tak twierdzi?

Sally wyciągnęła chusteczkę z pudełka stojącego na stoliku do kawy przy kanapie.

- Nie ma pojęcia. Widocznie jest umysłowo chora.

- A ja myślę, że prawdopodobnie była w jakiś sposób z nim związana - zasugerowała Siobhán - i dlatego podaje się za jego żonę. Jak pani sądzi, czy jest możliwe, że coś między nimi było, a pani nic o tym nie wiedziała?

Sally zwinęła chusteczkę w kulkę i milczała. Wpatrywała się w wyłączony ekran telewizora stojącego w rogu pokoju. Siobhán przyglądała się jej bez słowa.

- Jakie to ma znaczenie? - odpowiedziała nerwowo Sally - Nawet jeśli nie układało nam się najlepiej. To było mniej więcej pięć lat temu. - Zaczęła palcami drzeć chusteczkę na strzępki, a potem wrzucać je do znajdującego się obok kosza na papiery. - Firma, w której pracował Frank, została wykupiona. Zaproponowano mu pracę w nowym zespole, dobre stanowisko, ale nie chciał. Stwierdził, że nie podoba mu się ich kultura

firmowa. Powiedziałam mu, że nic mnie nie obchodzi jakaś kultura firmowa, ważne, że zaproponowali mi podwyżkę. Ale Frank po prostu nie chciał. Powiedział, że chce założyć własną firmę.

Sally wyciągnęła kolejną chusteczkę z pudełka i wydmuchała nos.

- Naprawdę się tym martwiłam. Nie miał zbyt wielu oszczędności na rozkręcenie interesu, więc nie wiedziałam, jak damy sobie radę. Stwierdził, że podołamy, jeśli podniesiemy czynsz za dom w Sligo, sprzedamy ten, w którym mieszkaliśmy, i przeprowadzimy się tutaj. Mieszkaliśmy bliżej centrum, gdzie ceny strasznie poszły w górę, a tutaj było dużo taniej. Ale ja nie chciałam się przeprowadzać. Pracowałam w północnej części miasta, w Sutton, więc stąd było znacznie dalej. Frank uznał, że mogę dojeżdżać pociągiem i że zajmie mi to mniej czasu niż jazda samochodem, mimo że jest dalej.

Wyrzuciła do kosza kolejną chusteczkę.

- Chyba jestem straszną tradycjonalistką, ale nie cierpię mieć długów. Muszę mieć pewność, skąd wezmę pieniądze. Sądziłam, że Frank myśli tak samo, ale się myliłam. Był tak podekscytowany swoją nową firmą, że nie przeszkadzało mu, iż musi pracować niemal na okrągło. Myślę, że wtedy, w związku z tą przeprowadzką, nawałem pracy i tym wszystkim... cóż... mógł być taki moment, że on... - Przerwała i westchnęła. - Ale szczerze powiedziawszy, nie wiem, jak znalazłby na to czas. Naprawdę pracował jak szalony. I wie pani, w końcu jakoś się pogodziliśmy. On mnie kocha, zawsze tak było.

Siobhán skinęła głową.

- Jak z nim?

- Bez zmian - odpowiedziała Sally. - Później pojedziemy się z nim zobaczyć. - Pociągnęła nosem. - To wszystko jest takie nierzeczywiste. Frank jest w śpiączce. Może już nigdy się nie obudzić. A ja zamiast móc skupić się na nim, jego potrzebach i tak dalej... myślę tylko o tym, kim na Boga jest ta dziewczyna, która twierdzi, że... To przecież niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. Nigdy nawet nie pomyśleliśmy o rozwodzie. Nigdy. Przechodziliśmy trudny okres, ale to się zdarza wielu małżeństwom, i nigdy nie było aż tak źle, żebyśmy choć przez moment rozważali możliwość rozwodu.

- Wybieram się do niej - powiedziała Siobhán. - Będę panią informować na bieżąco, co się dzieje.

Sally uśmiechnęła się słabo.

- Dziękuję.

- Mogę jeszcze o coś zapytać?

- Proszę bardzo.

- A jak było z Bożym Narodzeniem i wakacjami?

- W Boże Narodzenie Frank ma dużo pracy - odparła Sally obronnym tonem. - Czasami nocuje poza domem, jeśli jakiś hotel zamówił akurat specjalny pokaz. Ale dobrze mu wtedy płacą. Szczerze mówiąc, nigdy mi to nie przeszkadzało. Jak dzieci nie są już małe, to święta nie mają aż takiego znaczenia... - Nagle zamilkła i przyłożyła dłoń do brzucha, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przeciwległą ścianę salonu.

- Wszystko w porządku, Sally? - zapytała po chwili Siobhán.

Sally mrugnęła oczami.

- Tak, tak. Oczywiście.

- Pójdę już - odparła Siobhán. - Jak tylko czegoś się dowiem, skontaktuję się z panią. A na razie, czy poprosić sąsiadkę, żeby znowu do pani zajrzała?

- O, mój Boże, nie - zaprotestowała Sally. - Chciałabym chwilę побыć sama.

- Okej - powiedziała Siobhán, wstając. - Proszę o siebie dbać.

- Oczywiście - odpowiedziała Sally, odprowadzając ją do drzwi.

Rozdział 11

Przebycie trzydziestu kilometrów z Bray do Dublina zajęło Siobhán trochę więcej czasu, niż się spodziewała, i obawiała się, że Iona mogła już wyjść z domu. Wcześniej zadzwoniła do Lauren, od której się dowiedziała, że Iona pojechała do siebie, żeby się przebrać, zanim wieczorem uda się do szpitala. Siobhán nie chciała nalegać, żeby Iona na nią zaczekała, ale koniecznie chciała z nią porozmawiać.

Jasnozielony volkswagen Iony stał przed jej domem. Siobhán zaparkowała tuż za nim i wysiadła. Iona mieszkała w zupełnie innej okolicy niż Sally. Tutejsze domy były o wiele starsze, mniejsze i wychodziły bezpośrednio na ulicę. Wcześniej dublińską dzielnicę Liberties zamieszkiwały ubogie rodziny robotnicze, ale teraz stała się bardzo popularna wśród młodych profesjonalistów. Siobhán podobał się pewien nieład w układzie ulic oraz to, że niemal każdy budynek był pomalowany na inny kolor - przypuszczała jednak, że nowoczesnym rodzinom mogło w nich być zbyt ciasno.

Zadzwoniła do drzwi i usłyszała przytłumiony odgłos kroków na schodach.

- Dzień dobry - powiedziała, gdy Iona otworzyła. - Jak się pani czuje?

Iona wzruszyła ramionami. Siobhán spostrzegła, że podobnie jak Sally, jest bardzo blada. W przypadku Iony ciemne cienie pod oczami wydawały się jeszcze wyraźniejsze. Za to w jej ciemnych oczach pobłyskiwała arogancja.

- Czego pani chce? - zapytała Iona obcesowo. - Właśnie wychodzę.

- Wiem - odpowiedziała Siobhán. - Zajmę pani tylko kilka minut.

Iona patrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Musimy wyjaśnić parę rzeczy - dodała Siobhán. - Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

- Nic nie trzeba wyjaśniać - odparła Iona, ale otworzyła drzwi szerzej i wpuściła Siobhán do domu.

- Wiem, że tak pani uważa - powiedziała Siobhán - jednak sytuacja bez wątpienia wymaga wyjaśnienia.

Wszyscy na tym skorzystają.

- Pani jej uwierzyła, tak? - Iona z pogardą popatrzyła na Siobhán. - Tej idealnej żoncy z przedmieścia.

Myśli pani, że ona jest jego żoną.

- Nic nie myślę - odpowiedziała spokojnie Siobhán. - Po prostu chcę poznać prawdę.

- Och, niech pani przestanie gadać, jakby pani była w telewizji - burknęła Iona. - Prawda nic panią nie obchodzi. Musi pani tylko zamknąć sprawę, do której w ogóle nie powinna się była pani wtrącać. To w ogóle nie jest pani sprawa.

- Niestety, teraz już jest - odparła Siobhán. - Ale ma pani rację, chcę ją jak najszybciej rozwiązać.

- Moim zdaniem państwo nie powinno wtrzywać nosa w prywatne życie ludzi - stwierdziła ostrym tonem Iona. - Powinniście łapać prawdziwych przestępców, a nie mieszać się w czyjeś osobiste sprawy.

Siobhán westchnęła. Nie była w stanie zliczyć, ile to razy ludzie jej mówili, żeby dała im spokój i zajęła się ściganiem prawdziwych przestępców. Ale praca policjanta to coś więcej. Przynajmniej ona tak uważała. Ale może, pomyślała teraz, wcale nie mam racji.

- Zastawiałam się - powiedziała, gdy usiadła na jednym z pokrytych jasną skórą foteli Iony - czy ma pani świadectwo zawarcia małżeństwa?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Iona. - Nie jestem wariatką. Nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego. Frank i ja wzięliśmy normalny ślub - wyszła z pokoju i ruszyła po schodach na górę.

Podobnie jak w domu Sally, Siobhán skorzystała z okazji, żeby się rozejrzeć po salonie. Ale niewiele było tu do oglądania. W przeciwieństwie do ciepłego domu w Bray, pełnego zdjęć i ozdób, urządzone w stylu minimalistycznym mieszkanie Iony, wyglądało bardziej nowocześnie. Siobhán zauważyła na kredensie misę feng-shui, a ku swojemu zaskoczeniu także dwa oprawione w ramki zdjęcia dzieci. Przypuszczała, że Iona nie lubi dzieci. W pokoju stała poza tym tylko jedna fotografia, zdjęcie ze ślubu Franka i Iony na Barbadosie.

- Proszę - Iona zeszła z powrotem po schodach i wręczyła Siobhán dokument. - Świadectwo ślubu. Barbados. Iona Brannock i Frank Harper.

Siobhán przeczytała dokument.

- A kim byli świadkowie? - zapytała.

- Och, taka para, którą tam poznaliśmy - odpowiedziała Iona. - Oboje byli z Anglii. Ale nie utrzymujemy kontaktu. Chyba prowadzą prywatny dom opieki w Yorkshire. Mili ludzie, ale wie pani, jak to jest na wakacjach. Poznaje się kogoś i jest fajnie przez dwa tygodnie, ale na tym się kończy.

- Był tam ktoś z rodziny? - zapytała Siobhán od niechcienia. Pomyślała, że wydział prawdopodobnie pozwoli jej pojechać do Yorkshire, jeśli będzie trzeba. Ale to jednak nie Barbados!

Iona pokręciła głową.

- To nie tak, że podjęliśmy decyzję o ślubie pod wpływem chwili. Tylko chcieliśmy to zrobić po swojemu. A poza tym Lauren urodziła Gavina kilka tygodni wcześniej, więc nie bardzo miała ochotę na podróż. A moi rodzice są już na emeryturze i mieszkają w Hiszpanii.

Siobhán westchnęła. Były takie momenty, kiedy nie znosiła swojej pracy. W końcu zawsze dochodziło do tego, że musiała mówić ludziom coś, czego nie chcieli usłyszeć. I nienawidzili jej za to.

- Byłam wcześniej u Sally - powiedziała. - Ona też ma świadectwo ślubu.

Oczy Iony jeszcze bardziej pociemniały.

- To przecież jakiś nonsens - powiedziała.

- Nie rozumiem, dlaczego pani tak uważa - Siobhán starała się mówić cicho i spokojnie. - Frank i Sally mogli się przecież pobrać.

- No cóż, w takim razie muszą być po rozwodzie - tym razem w oczach Iony zabłysły łzy. - On naprawdę mnie kocha. Dobrze nam razem. Jak mógłby być mężem innej kobiety? - Iona mrugnęła kilkakrotnie oczami i ze złością spojrzała na Siobhán. - Chodzi mi o to, że... Sugeruje pani, że Frank prowadzi jakieś podwójne życie? Przecież to niemożliwe! Wiedziałabym, gdyby tak było.

- Czy kiedykolwiek wyjeżdżał na dłużej? - zapytała Siobhán. - Albo musiał nagle na trochę wyjechać?
Iona nie odpowiedziała.

- Wiem, że to się wydaje niemożliwe - kontynuowała Siobhán - ale musimy sprawdzić każdą ewentualność, żeby w końcu dokładnie się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Czemu pani na tym zależy? - wybuchła Iona. - Jakie to ma znaczenie?

- No cóż, to ma bardzo duże znaczenie i to pod wieloma względami - odpowiedziała Siobhán. - Choćby w odniesieniu do pani praw jako małżonki. Albo przyczyn zaistniałej sytuacji. Bo jeśli poślubił panią, będąc w związku małżeńskim z Sally, to warto się dowiedzieć, dlaczego to zrobił, co chciał w ten sposób zyskać...

- Nic nie mógł zyskać! - krzyknęła Iona. - Nie opływam w bogactwa ani nic w tym stylu. - Zasłoniła twarz dłońmi.

Siobhán obserwowała ją, po raz kolejny żalując, że zaangażowała się w tę sprawę, zamiast trzymać się tej dotyczącej prania brudnych pieniędzy. Jednocześnie miała głęboką nadzieję, że nie pojawią się kolejne panie Harper. Oczami wyobraźni ujrzała nagle tuzin następnych Sally i Ion twierdzących, że to właśnie one są jedynymi prawowitymi małżonkami Franka Harpera.

- Staraliśmy się o dziecko - wyszeptała w końcu Iona.

- On chciał mieć dziecko. Na początku to nawet bardziej niż ja. I staraliśmy się o nie - łzy pociekły jej przez palce i spłynęły po nadgarstkach. - Po co tak bardzo chciał mieć dziecko, skoro miał już córkę?

- Nie wiem - Siobhán wstała z fotela i usiadła obok Iony na sofie. Objęła ją ramieniem i mocno przytuliła.

- On dużo czasu spędza poza domem - Iona wciąż zasłaniała dłońmi twarz. - Ma własną firmę. Prowadzi ją z domu i biura w Stillorgan. To takie biuro do wynajęcia, wie pani, korzysta z niego wiele osób. I w związku z pracą musi dużo wyjeżdżać, więc... Tak, bywa, że nie ma go w domu.

- A jak... A jak jest ze świętami, jak Boże Narodzenie czy sylwester? - zapytała Siobhán.

- W nasze pierwsze Boże Narodzenie pojechaliśmy do Salzburga - odpowiedziała Iona rozmarzonym tonem.

- Było po prostu cudownie. Padał śnieg i wszystko wyglądało jak z obrazka. Wybraliśmy się na ślizgawkę w strojach z przełomu wieków. Frank świetnie jeździ na łyżwach, za to ja ciągle się przewracałam. Cała się poobijałam! A w zeszłym roku poleciliśmy na Teneryfę. Tutaj było wtedy zimno i ponuro, może pani pamięta, a ja bardzo tęskniłam za słońcem. Frank nie przepada za tropikami. Lubi ruch na świeżym powietrzu, ale słońce woli za chmurami, chociaż tak ładnie się opala. Zgodził się jednak na wyjazd na Teneryfę ze względu na mnie. Jedliśmy świąteczny lunch przy basenie, a potem była wystawna kolacja w hotelu... - umilkła i po raz kolejny pociągnęła nosem.

- A inne święta? - zapytała Siobhán.

- No, cóż, wie pani, on ma taką pracę - odpowiedziała Iona. - Pokazy świetlne i tak dalej. Czasami musi wyjechać, żeby dopilnować jakiejś iluminacji... Boże Narodzenie i Nowy Rok to dla niego gorący okres.

- A wakacje?

Iona wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie wyjeżdżamy na całe dwa tygodnie. Zwykle jedziemy gdzieś na tydzień na początku wakacji i na drugi tydzień po koniec i robimy sobie poza tym długie weekendy. Frank nie lubi zostawiać firmy na dłużej. W tym roku wybieramy się do Włoch w maju, a we wrześniu prawdopodobnie do Pragi.

- Czy kiedykolwiek wyjeżdżał sam na dłużej niż tydzień?

- Oczywiście - powiedziała Iona. - Co roku ma branżowy zjazd... Trwa prawie dwa tygodnie. A od czasu do czasu inne konferencje.

- A gdzie się odbywa ten branżowy zjazd?

- W różnych miejscach - odpowiedziała Iona. - Ostatnio na Malcie.

Potarła oczy i spojrzała na Siobhán.

- Chce mi pani powiedzieć, że wcale nie był na tym zjeździe? Że był wtedy z nią? - podniosła głos. - O to chodzi?

- Niech pani posłucha, ja wiem, że to jest dla pani bardzo stresujące. Kocha pani Franka, on jest ciężko ranny i leży w szpitalu, a to wszystko panią od niego odrywa. Ale rzecz w tym, że... hm... najprawdopodobniej poślubił panią, wciąż będąc mężem Sally.

- Ale po co? - jęknęła Iona. Wstała z sofy i stanęła przed kredensem z misą feng-shui. - Po co miałby to robić? Nie musiał się ze mną wiązać. Nikt go nie zmuszał... - zamilkła, gdy sobie przypomniała, ile razy poruszała w rozmowach z Frankiem temat małżeństwa. W końcu tak naprawdę to sama mu się oświadczyła. Ale nie zmuszała go, żeby powiedział tak! Jeśli nie mógł się z nią ożenić, to po co, na miłość boską, to zrobił?

Iona ponownie spojrzała na swoje ślubne zdjęcie. To po prostu niemożliwe, powiedziała sobie po raz setny. Jak mógł zabrać ją na Barbados i wziąć z nią ślub, wiedząc, że w domu czekają na niego Sally i Jenna? I jak mógł jej mówić tamtego dnia, że nie może się doczekać, kiedy ich dziecko przyjdzie na świat i staną się prawdziwą rodziną. Tak bardzo chciał mieć rodzinę.

- Nie wiem po co - powiedziała Siobhán, odpowiadając na pytanie Iony. - Naprawdę nie wiem. Szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie spotkałam się z czymś takim. Mieliśmy przypadki bigamii, ale prawie wszystkie dotyczyły spraw imigracyjnych. Nigdy nie spotkałam się z sytuacją, w której mężczyzna ożeniłby się z dwiema kobietami ot, tak sobie.

- Nie ożenił się ze mną ot, tak sobie! - krzyknęła Iona. - Zrobił to, bo mnie kocha.

Siobhán nie odpowiedziała. Iona usiadła z powrotem na sofie, pochyliła się i położyła głowę na kolanach.

- Nie mam nic - w końcu podniosła swoje ciemne oczy na Siobhán. - Jeśli to prawda... jeśli ożenił się ze mną... a nie wolno mu było tego zrobić... to znaczy, że ja teraz nie mam nic.

Siobhán nadal milczała.

- Chodzi mi oto, że... jeśli ona jest jego prawowitą żoną, to tylko z nią będą rozmawiać o jego leczeniu - kontynuowała z żalem Iona. - Ze mną nie będą w ogóle musieli rozmawiać. To ona będzie podejmować wszystkie decyzje. A to nie w porządku!

- Może uda wam się dojść do jakiegoś porozumienia - zasugerowała Siobhán.

- Dojść do porozumienia?! Żartuje pani - Iona spojrzała na nią ze złością. - Widziała pani, jak ona zareagowała. Ona myśli, że jestem najwyżej jakimś jego skokiem w bok. Ale to nieprawda. Nigdy tak nie było.

To ja chodzę z nim do dentysty, bo Frank panicznie boi się tych wizyt. To ja znalazłam dobrego fizjoterapeutę, jak nadwyrężył ramię przy taszczeniu pudeł. To ja pomagam mu aktualizować dokumentację firmy. A co ona dla niego robi? Nie mam zielonego pojęcia. Ale wszyscy staną po jej stronie, bo to ona jest prawowitą żoną. Jak była taka świetna, to czego szukał u mnie?

- Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania - powiedziała Siobhán. - Sama musi pani znaleźć na nie odpowiedź. Ja powinnam się dowiedzieć, czy był jakiś szczególny powód, dla którego zdecydował się na to drugie małżeństwo.

- Mówiłam już pani. Kocha mnie.

- Chodzi o to, co chciał przez to osiągnąć? Przepraszam, że o to pytam. Naprawdę. Ale czy pani rodzina jest zamożna? Czy spodziewa się pani jakiegoś spadku?

Iona wpatrywała się w Siobhán z niedowierzaniem. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Bardzo często wszystko sprowadza się do kwestii pieniędzy - dodała Siobhán przepraszającym tonem.

- Mówiłam już pani, że nie jestem bogata! - wykrzyknęła w końcu Iona. - Ja... na miłość boską, proszę popatrzeć, gdzie mieszkamy! To prawda, że to mój własny dom - kupiłam go, zanim poznałam Franka. Jest ładny i wygodny, ale czy to jest willa milionerów?! A jeśli chodzi o spadek... to chyba jakiś żart. Moi rodzice nie interesują się sprawami materialnymi. Mieszkają w małej wiejskiej posiadłości w Hiszpanii i są praktycznie samowystarczalni. Tata dostaje emeryturę i mają jakieś gaje oliwne, które przynoszą im niewielki zysk, ale to z pewnością nie jest żadne wielkie przedsiębiorstwo!

Wstała z sofy, wyszła do kuchni i pojawiła się po chwili z butelką zielonkawozłotej oliwy.

- To z ich gospodarstwa - powiedziała, podając Siobhán butelkę. - Sprzedają ją na miejscowym targu, a czasami turystom.

- Czy to gospodarstwo jest wiele warte? - Siobhán odkręciła zakrętkę i powąchała oliwę. Rozniósł się piękny zapach z delikatną nutą cytryny.

- Nie, do diabła, nie jest wiele warte - odpowiedziała Iona. - Owszem, ceny nieruchomości poszły trochę w górę, ale to nic szczególnie wartościowego.

- A mają dom tutaj? - zapytała Siobhán. Iona skinęła głową.

- W Templeogue. To zwyczajny dom z lat siedemdziesiątych, który teraz wynajmują. Czynnosc nie jest szczególnie wysoki, ale to stały i pewny dochód. Mama i tata stwierdzili, że nie będą go sprzedawać, bo wolą mieć jakieś zabezpieczenie. Nie żeby mieli zamiar tu wracać, ale w razie potrzeby zawsze mogą go sprzedać. Na razie jednak wygląda na to, że czynsz za wynajem całkowicie im wystarcza. - Rzuciła na Siobhán zaciekawione spojrzenie. - Dlaczego to panią interesuje?

Siobhán nie odpowiedziała.

- Chyba nie sądzi pani... chyba nie sądzi pani, że Frank miał zamiar mnie zamordować? - Zdumiony głos Iony był podszyty szyderstwem. - Przecież to jest prawdziwe życie, a nie jakiś głupi scenariusz filmowy.

- Musimy rozważyć każdą ewentualność, bez względu na to, jak bardzo głupia się wydaje - odparła Siobhán.

- No cóż, jeśli Frank miał zamiar dać mi w łeb i zwiać z całym majątkiem, to powinien był to zrobić kilka lat temu - stwierdziła Iona. - Kiedy go poznałam, walczył właśnie z brakiem środków na rozruch firmy.

Ale ze wszystkim dał sobie radę i nie musiał liczyć na nikłe prawdopodobieństwo, że wyciągnę kopyta i zostawię mu jedną trzecią udziału w domu na przedmieściu, żeby dalej prowadzić działalność. Jest pani komiczna.

Siobhán wzruszyła ramionami.

- Po prostu musiałam o to zapytać.

- A ją pani pytała? - zaatakowała Iona. - Pytała ją pani, dlaczego on najpierw się z nią ożenił, a potem zdecydował ożenić się z kimś innym? Pytała pani?

- Rozmawiałam z Sally - odpowiedziała Siobhán.

- A ona pewnie ma tego wszystkiego dosyć - Ionia zaczęła drzeć wargę, więc ją przygryzła. - Myśli sobie, że wszystko jest w porządku i że to ona tu decyduje.

- Nic nie jest w porządku, oczywiście, że nie jest - odparła Siobhán. - Bez względu na sytuację prawną była pani związana z Frankiem i uważa się pani za jego żonę. Wie pani, jej też wcale nie jest łatwo.

- Ona mnie głównie obchodzi - warknęła Iona. - I pewnie wzajemnie.

- Ale obie kochacie Franka.

Iona westchnęła. Ogień w jej oczach nagle zgasł.

- Nie wiem - powiedziała miękko. - Kogoś kocham. Ale jeśli Frank nie jest taki, jak myślałam... to czy może być tym mężczyzną, którego kocham?

Rozdział 12

Frank był niewiarygodnie zmęczony. Ręce i nogi miał zbyt ciężkie, żeby nimi poruszyć, a sam nie miał w sobie dość energii, aby podjąć jakikolwiek wysiłek. Źle się z tym czuł, wiedział, że powinien chociaż spróbować. Ale nie chciał. Wiedział też, że... że... Starał się przypomnieć sobie jej imię i w końcu mu się udało. Sally! Sally Champion. Sally będzie na niego wściekła. Nienawidziła, kiedy doprowadzał się do takiego stanu, kiedy był tak pijany, że nie mógł się ruszyć. Oczywiście, ostatnio nie zdarzało się to zbyt często, ale jednak. Wtedy spojrzenie jej zielononiebieskich oczu twardniało, usta zaciskały się i zostawiała go samego w nieszczęściu, wyraźnie dając do zrozumienia, że będzie się musiał nieźle postarać, żeby zasłużyć na jej wybaczenie.

Szczerze mówiąc, wcale mu to nie przeszkadzało. Kochał ją. Leżąc teraz, myślał o tym, jak bardzo ją kocha i jaka ona jest dla niego dobra. Przypomniał sobie, jak poznał ją na jakiejś imprezie i jak się kłócili na żarty o puszkę piwa, a potem jak ją wtedy pocałował.

To nie było specjalnie oryginalne, ale Sally nie protestowała. I pocałunek wyszedł zaskakująco dobrze. Od czasów Marion całował wiele kobiet, ale żadna z nich nie oddała pocałunku w taki sposób jak Sally. A potem uśmiechnęła się do niego, a on natychmiast wyobraził ją sobie nagą, z miedzianymi lokami opadającymi na jej kuszące porcelanowobiałe ciało. Po Marion widział wiele nagich kobiet. Ale ta była inna. Nie wiedział, dlaczego tak jest. Zdał sobie jednak sprawę, że chce się z nią przespać i nie pozwoli jej odejść.

Wysilek, jaki włożył w przypomnienie sobie tego wszystkiego, sprawił, że rozboleła go głowa. Gdy chodził z Marion, ona opiekowała się nim ze współczuciem, kiedy się upił. Przykładała mu coś zimnego do czoła i zmuszała do wypicia jakiejś mikstury, polecanej przez wszystkie pielęgniarki. Nie zawsze czuł się po tym lepiej, ale przynajmniej się starała.

Sally była inna. Nie miała cierpliwości do chorób i nie lubiła, jak się upijał. I dlatego, a także dlatego że ją kochał, nie pił już tak dużo. Tak naprawdę nie pił prawie wcale. Właśnie z tego powodu był teraz tak bardzo zaskoczony swoim straszliwym kacem. Gdzie się tak załatwił? Byli gdzieś razem z Sally? Ale przecież gdyby był z nią, nie upiłby się. Gdy wychodzili razem, robili same kulturalne rzeczy. Chodzili na koncerty - nie takie młodzieżowe w parku, tylko prawdziwe dla dorosłych, w filharmoniach wypełnionych panami ubranymi w garnitury i paniami w sukniach - chodzili też do teatru i galerii sztuki. Lubił to wszystko z nią robić. Oczywiście podobało mu się też, jak szli na najnowszy film akcji czy na kurczaka z frytkami do ich ulubionego baru. Sally wносиła do jego życia coś nowego. Nadawała mu jakiś nowy wymiar. A jemu się to podobało.

Lubił ją. Kochał ją. I nie chciał, żeby była na niego zła. Powiniennem, pomyślał, starając się zignorować pulsujący ból głowy, powiniennem się z nią ożenić. Bo nie znajdę nikogo lepszego. Marion była jego pierwszą miłością. I być może powinien był się jej trzymać, bo naprawdę dobrze im było razem, a nawet lepiej niż dobrze, po prostu fantastycznie. Sally była dobra w łóżku, ale nie aż tak dobra jak Marion. Nikt nie mógł jej dorównać.

Westchnął - ale Marion nie wróci, dostał od niej list, w którym napisała, że ma w Stanach świetną pracę i że nigdy nie wróci do starej, nudnej Irlandii. Nawet nie dodała, że za nim tęskni. Powinien był sprawić, żeby za nim tęskniła, powinien był lepiej ją traktować, to może by go nie zostawiła.

Ale Sally tak naprawdę będzie dla niego lepsza, bo nie rozpuszcza go tak jak Marion. I w łóżku też jest dobra - może nie ma takiej intuicji jak Marion, ale mimo wszystko jest dobra. Pielęgniarki i nauczycielki, to oczywiste. Przecież wiadomo, że są dobre w te klocki!

Pozwolił pielęgniarce odejść. Musi przypilnować nauczycielki. I zrobi *to*. Jak tylko znowu się poczuje jak człowiek, zabierze ją do najdroższej restauracji, na jaką tylko będzie go stać, i poprosi ją o rękę.

Jenna spojrzała na zegarek i wyslizgnęła się z objęć Gerry'ego Cullinana.

- Muszę iść do domu - powiedziała. - Za pół godziny znowu jedziemy do szpitala.

- A tamta kobieta też tam będzie? - myślał, że ojciec Jenny może mieć drugą żonę, wprawiała Gerry'ego w zdumienie. Zaskoczony wysłuchał w milczeniu opowieści o tym, jak do szpitala przyszła Iona i twierdziła, że jest żoną Franka. Starał się okazać jak największe współczucie, choć w pewnym sensie imponował mu facet, który w tajemnicy ma dodatkową żonę. Niemal miał ochotę powiedzieć: „Nieźle, Frank!”. Ale zdawał sobie sprawę, że koncepcja posiadania dwóch kobiet naraz nie bardzo przystaje do rzeczywistości.

- Nie wiem, czy ona tam będzie czy nie - w głosie Jenny odpowiadającej na jego pytanie było słychać napięcie. - Wiesz, że to wariatka. Histeryczka. Tupie nogą i wyżywa się na wszystkich wokół. Ale nie jest żoną mojego taty. Wiem, że nie jest.

Gerry spojrzał na Jennę ze współczuciem.

- Wiem, że strasznie ci ciężko - powiedział. - Jeśli mógłbym jakoś pomóc...

- Dzięki - Jenna na kilka sekund przytuliła głowę do jego ramienia, a potem znowu ją podniosła. - W tej chwili prawdopodobnie nic się nie da zrobić. Chyba że masz prywatny helikopter? Do szpitala jest tak daleko.

- Nie mogą go przenieść gdzieś bliżej Bray? - zapytał Gerry.

- Nie sądzę - westchnęła Jenna. - Może jak już nie będzie na OIOM-ie. Nienawidzę tego miejsca. - Zadrżała. - Te wszystkie monitory, rurki i urządzenia. Wygląda jak jakiś robot. I nie cierpię też tego szpitalnego zapachu. Robi mi się od niego niedobrze.

- To pewnie nie potrwa długo - powiedział Gerry pocieszającym tonem.

- Z tego co mówią lekarze, to może trwać wieczność - Jenna stłumiła szloch. - Nikt nie ma pojęcia, kiedy on z tego wyjdzie. A przecież było wielu ludzi, którzy latami tkwili w śpiączce i wcale się nie obudzili.

- Na pewno nie będzie w śpiączce tak długo - zaprotestował Gerry.

- Skąd możesz wiedzieć? - odparła Jenna. - Jeśli oni nie wiedzą, to ty tym bardziej.

Nic nie odpowiedział, gdy ruszyła przed nim ulicą, zagniewana i prosta jak struna. W końcu ją zawołał. Zatrzymała się, odwróciła, gdy ją dogonił, i spostrzegł, że oczy ma pełne łez.

- Przepraszam - powiedział. - Staram się pomóc. Ale pewnie wcale nie pomagam, bo masz rację, że nie mam o tym pojęcia - ponownie objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Spojrzała na niego.

- W porządku - powiedziała. - Ja chyba tylko... wiesz, jestem trochę wykończona.

- To zrozumiałe. - Ich policzki niemal się stykały.

- Jesteś wspaniały - powiedziała miękko.

- Zależy mi na tobie - odparł.

- Dziękuję.

To ona go pocałowała. Przesunęli się w cień wielkiego jaworu rosnącego na rogu ulicy. Jenna wsunęła dłonie pod czarną skórzaną kurtkę Gerry'ego i mocno się do niego przytuliła. Kochała go. Naprawdę. Był we wszystkim taki cudowny, taki wyrozumiały... Nagle znowu wysunęła się z jego objęć.

- Naprawdę muszę już iść - powiedziała niechętnie. - Nie chcę się spóźnić.

- Wiem.

- Ale nie chcę iść.

- Wiem.

- Kocham cię - powiedziała.

- Moi rodzice wyjeżdżają w przyszły weekend. Spojrzała mu w oczy.

- Zadzwoń do mnie.

- Jasne - odpowiedział.

W milczeniu przeszli resztę drogi do jej domu.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie okej - powiedział.

- Ja też.

Włożyła klucz do drzwi i otworzyła je. Zdawała sobie sprawę, że wraca później, niż obiecała, i że jej matka prawdopodobnie będzie na nią zła, ale nie przejęła się.

- Już jestem - zawołała, wchodząc do salonu.

Sally nie było. Jenna poczuła strach, serce zaczęło jej walić, kiedy się rozglądała po pustym pokoju. Nagle usłyszała plusk wody spuszczonej w toalecie na górze i szum wody w umywalce.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, gdy weszła po schodach i zajrzała do sypialni matki. Zatrzymała się raptownie. Sally wyglądała okropnie. Jej długie włosy były mokre, a twarz bardzo blada. - Dobrze się czujesz?

- Niestrawność - odpowiedziała Sally.

Jenna ponownie poczuła ukłucie strachu.

- Nic ci nie dolega, prawda? - jej głos zabrzmiał nagle bardzo dziecinnie.

- Oczywiście, że nie - odparła Sally. Przeciągnęła palcami po włosach. - Jestem zdenerwowana i zmartwiona stanem taty i to pewnie z tego powodu.

- Nie możesz też się rozchorować - powiedziała zaniepokojona Jenna.

- Nie mam zamiaru - zapewniła ją Sally. Jej twarz nabierała już kolorów. - Wszystko w porządku, skarbie, naprawdę.

Jenna spojrzała na nią niepewnie.

- Naprawdę wszystko ze mną w porządku - powiedziała Sally. - A ty wcale się nie spóźniłaś, bo Denise tkwi w korku i dojedzie dopiero za kilka minut. Mam zamiar przebrać się w coś bardziej odpowiedniego. A ty?

- Ja nie muszę - odpowiedziała Jenna.

- Dobrze. No to do zobaczenia na dole.

- Czy będziemy musiały to robić codziennie?

- Co?

- Ciągle jeździć do szpitala? A co ze szkołą? Co z twoją pracą?

- Coś wymyślimy - odpowiedziała Sally. - Będzie inaczej, jak odzyskamy samochód, a to już lada dzień.

- Ale nie możesz codziennie spędzać całego dnia w szpitalu - Jenna wyglądała na zmartwioną. - Ja też nie mogę.

- Wezmę trochę wolnego - odparła Sally. - Ty też możesz.

- Dużo stracę w szkole - powiedziała Jenna. - Narobię sobie zaległości.

- Mogę ci pomóc - odpowiedziała Sally.

- Ale nie w irlandzkim - stwierdziła Jenna. - Jesteś beznadziejna z irlandzkiego.

- Posłuchaj, kochanie. Nie martw się. Poradzimy sobie. W każdym razie są też godziny odwiedzin wieczorem, więc możemy jeździć po szkole.

- Nie będę miała czasu na odrabianie pracy domowej.

- Nie musisz jeździć do szpitala codziennie - odparła Sally. - Tata to zrozumie.

- Tak, tylko wygląda na to, że to my musimy wszystko zrozumieć - powiedziała Jenna. - Chodzi mi o to, że tata... no... wiesz. Tamta kobieta - dziewczyna z trudem przełknęła. - Jak on mógł, mamó? Jak on mógł?

- Z tym też sobie poradzimy - odparła Sally. - W tej chwili nie ma sensu się tym denerwować, prawda?

- Ale tak nie powinno być.

- Wiem.

- Ona istnieje i co... co jeśli oni też mają dziecko? Wstrząśnięta Sally spojrzała na Jennę. W ogóle nie przyszło jej to do głowy.

- Wydaje mi się to mało prawdopodobne - stwierdziła w końcu.

- No, cóż... To, że tata ukrywał drugą żonę, też było mało prawdopodobne, prawda?

- Jen, proszę cię - Sally westchnęła. - Wiem, że to wszystko jest trudne, ale nie możemy ciągle tego wałkować.

- Ignorować też nie możemy. Nie możemy udawać, że nas nie okłamał, że nie jest kompletnym gnojkiem. Nienawidzę go - Jenna spojrzała na matkę wzrokiem pełnym wyrzutu i wyszła z pokoju.

Sally usiadła na łóżku i przyłożyła palce do skroni. Strasznie bolała ją głowa i zdecydowanie potrzebowała paracetamolu. To przez ten ból tak mi niedobrze, wmawiała sobie, choć doskonale wiedziała, że mdłości wywołała Jenna, wspominając o tym, że Iona i Frank mogą mieć dziecko. Kolejny powód do zmartwień. I do tego ci policjanci. Od wizyty Siobhán Farrell Sally nie potrafiła przestać myśleć o tym, że jej związek stanowi teraz przedmiot policyjnego dochodzenia! Siobhán była uprzejma i zycziwa, ale Sally i tak czuła się upokorzona, że musi pokazywać jej świadectwo zawarcia małżeństwa i zdjęcia ślubne. Nie mogła też przestać myśleć o tamtej kobiecie. Wiedziała, że Siobhán spotka się także z nią. Czy ona też pokaże policjantce akt ślubu i zdjęcia? A jeśli tak, to jak mogło do czegoś takiego dojść?

Sally rozpaczliwie starała się o tym wszystkim nie myśleć. Pragnęła się skoncentrować na wypadku Franka, a nie na jego drugiej żonie. Czy kochance. Wszystko jedno. Powtarzała sobie, że to ona jest prawowitą małżonką Franka, ale nie na wiele się to zdało, bo przecież Iona też zidentyfikowała Franka jako swojego męża. Kto więc będzie decydował o jego leczeniu? A jeśli mu się pogorszy i pojawi się kwestia odłączenia go od aparatury podtrzymującej życie? Co się stanie, jeśli tamta kobieta będzie chciała go zabić, a ona nie? Sally była przekonana, że nigdy nie pozwoliłaby na odłączenie Franka od aparatury. Na samą myśl zrobiło jej się gorąco. A jak było dzisiaj? Zadzwoiła do szpitala, żeby poinformować, że przyjadą wieczorem, i John Carroll zapewnił ją, że Iony wtedy nie będzie. Skąd ta pewność? W opinii Sally ta kobieta była na tyle szalona, by się pojawić w każdej chwili. Problem w tym... ponownie mocno przycisnęła do skroni koniuszki palców... problem w tym, że jeśli ona naprawdę uważa się za żonę Franka, to przecież może przychodzić do szpitala, kiedy tylko zechce.

Teraz jednak nie może już tak myśleć. W końcu Siobhán na pewno jej powiedziała, że to Sally jest prawowitą małżonką Franka, więc Iona wie, że nie może się upierać przy swoim. W takim razie powinna siedzieć w domu. Sally czuła coraz większe napięcie w głowie, w miarę jak wrastała jej złość na Franka. Jak on mógł to zrobić? Jak mógł tak ją zdradzić? Z zażenowania robiło jej się na przemian zimno i gorąco, kiedy Siobhán Farrell wypytywała ją o ich małżeństwo i o to, jakie jej zdaniem było prawdopodobieństwo, że Frank kogoś miał. Nigdy, nawet przez sekundę, nie przyszło jej do głowy, że w jego życiu mogła być jakaś inna kobieta.

Nawet podczas tego trudnego okresu, gdy relacje między nimi były napięte, wciąż uważała, że Frank ją kocha. Nigdy by nie przypuszczała, że noce, które spędzał poza domem, spędzał z inną kobietą, a nie tak jak mówił, czyli pilnując podwykonawców czy spotkając się z klientami w odległych zakątkach kraju.

Inna kobieta! To właśnie było taki okropne. Gdyby to był ktoś na boku albo przelotna znajomość, cóż, może jakoś by sobie z tym poradziła. Ale jego związek z Ioną musiał być wyjątkowy. Musiał przynajmniej sądzić, że jest w niej zakochany, skoro zdecydował się na ślub! Co on sobie, na miłość boską, wtedy myślał? I co to wszystko teraz dla niej znaczy? Jak wpłynie na jej przeszłość i przyszłość?

- Denise przyjechała - głos Jenny rozległ się na schodach i poderwał Sally do działania. Przebrała się w rozciągliwe dżinsy i świeży T-shirt, na który narzuciła cienki sweter. Choć na zewnątrz panowała niska temperatura, w szpitalu było aż za ciepło.

Denise i Jenna były w kuchni. Gdy Sally zobaczyła swoją przyjaciółkę, znowu miała ochotę się rozplakać. Znała Denise od lat. Razem studiowały i pracowały i tylko raz w życiu się pokłóciły. I to o Franka. Denise nigdy tak naprawdę go nie polubiła, nawet jeśli potem przyznała, że się co do niego pomyliła. Teraz się okazuje, że miała rację.

Denise przytuliła Sally, a ta położyła głowę na jej ramieniu. Sally nie opowiedziała Denise jeszcze wszystkiego, ale wiedziała, że w pewnym momencie będzie musiała to zrobić. Jej przyjaciółka jak dotąd nie wiedziała o istnieniu Iony Brannock. Wiedziała tylko, że Frank jest bardzo ciężko ranny.

- Dobrze już, dobrze - mruzczała pocieszająco do Sally. - Wszystko będzie dobrze. Frank to twardziel. Dojdzie do siebie.

Może on tak, pomyślała Sally, kiedy już zapanowała nad swoimi emocjami, ale czy mnie się to uda?

* * *

Eddiego nie było, gdy Siobhán w końcu dotarła do domu. Zostawił liścik, że idzie na spacer, żeby się przewietrzyć, i że zaraz wraca. Ale nie napisał, o której wyszedł, więc Siobhán nie miała pojęcia, od jak dawna go nie ma. Zmartwił ją widok pustego mieszkania. Miała nadzieję, że zdążył już odpocząć i zajmą się szampanem i seksem, które odłożyli na później. Wzięła do ręki telefon i wybrała numer jego komórki, usłyszała jednak tylko prośbę o zostawienie wiadomości.

- Jestem w domu - powiedziała. - I czekam na ciebie! - Przez chwilę stała w salonie niezdecydowana, a potem stwierdziła, że będzie dalej rozwijać swoje nagłe zainteresowanie pracami domowymi. Najpierw zrobiła sobie kubek kawy, a potem rozstawiła deskę do prasowania (jak zwykle niemal ucinając sobie przy okazji koniuszki palców) i włączyła żelazko. Potem zebrała haładę ubrań, które trzeba było uprasować.

Choć naprawdę uważała prasowanie za relaksujące, była jednocześnie świadoma, że wychodzi jej ono beznadziejnie, bo zawsze robiła ostre jak brzytwa kanty w tych częściach garderoby, które w ogóle żadnych kantów mieć nie powinny. Eddie często zabierał swoje koszule do pracy, bo działała tam ekspresowa pralnia, ale komisariat policji w Bray nie oferował oczywiście takich udogodnień, a nawet gdyby, to Siobhán nie byłoby na to stać. To był właśnie jedyny minus życia z Eddiem. Stać go było na wiele więcej niż ją. Choćby na sprzątaczkę, o której wcześniej wspomniał. Nigdy nie myślała o sobie jako o kimś, kogo stać na zatrudnianie sprzątaczkę. Taka myśl była całkiem przyjemna! Niemniej jednak kwestia pieniędzy nieco jej przeszkadzała. Pragnęła być równym partnerem w ich związku, ale pod względem finansowym to nigdy nie będzie możliwe. Trudno jej było to zaakceptować. Czytała kiedyś, że pieniądze to jeden z najważniejszych problemów w małżeństwach, a teraz sama mogła się o tym przekonać. Zresztą pieniądze to jeden z najważniejszych problemów w życiu i kropka. W końcu to właśnie dla nich dokonuje się większości przestępstw.

Wspomnienie o przestępstwach znów skierowało jej myśli na sprawę potencjalnej bigamii. Skoro pieniądze stanowią motyw większości przestępstw, to prawdopodobnie tak samo jest w tym przypadku. A jednak... Po rozmowach z Sally i Ioną nie była już tego taka pewna.

Związek Franka i Iony ewidentnie rozpoczął się w momencie, kiedy jego małżeństwo z Sally przechodziło trudny okres. Te dwie kobiety są jak dzień i noc - co samo w sobie jest dość intrygujące, gdyż doświadczenie Siobhán mówiło jej, że ludzie zazwyczaj budują kolejne związki z osobami bardzo podobnymi do ich poprzednich partnerów. Może Frank pragnął odmiany od przytulnej domowej atmosfery, jaką zapewniała mu Sally. Ale w takim razie po co zakładałby drugi dom z Ioną? I na miłość boską, pomyślała, zapraszając niechący kant na plecach swojej ulubionej białej bluzki, jak on, do diabła, zdołał tak długo prowadzić dwa odrębne życia? Gdyby po prostu miał z Ioną romans, to byłby przynajmniej z rodziną w święta i wakacje. Ale on potrafił to wszystko jakoś zgrać. Praca zapewniała mu doskonałą wymówkę na wyjazdy, nawet w czasie świąt, i ani Sally, ani Iona wcale nie martwiły się jego długimi i częstymi nieobecnościami. Można by pomyśleć, że powinny zacząć coś podejrzewać, ale w zasadzie dlaczego? W końcu ona sama pracowała w poprzednie Boże Narodzenie, mimo że Eddiego naprawdę to zirytowało i narzekał, że cały dzień musiał samiotki siedzieć w domu, co zupełnie nie zapewnia świątecznej atmosfery.

Jej kolejne zadanie to zbadanie przeszłości Franka Harpera. Pojedzie do Sligo i trochę tam pogrzebie, sprawdzi ten dom (Chryste, pomyślała, mam nadzieję, że nie ukrywa tam trzeciej żony) i dowie się co nieco o rodzinie Harperów. Sprawdzi też, czy Sally i Frank na pewno się nie rozwiedli, mimo że Sally zdecydowanie twierdzi, że nigdy nawet się nad tym nie zastanawiali. Sally i Jenna wyglądają na prawdomówne, ale Bóg jeden wie, co tam się tak naprawdę działo. Siobhán była w stanie wyobrazić sobie wszystko. Praca w policji na zawsze zmieniła jej pogląd na naturę człowieka.

Właśnie skończyła prasowanie, gdy w drzwiach stanął Eddie. Uśmiechnęła się do niego i poprosiła, żeby złożył groźną dla palców deskę do prasowania, a ona odłoży uprasowane ubrania.

- Przyniosłem skrzydełka i różne sosy z baru na rogu - powiedział Eddie. - Pomyślałem, że może masz ochotę coś zjeść.

- Tylko ciebie - uśmiechnęła się do niego - ale z tym możemy chwilę poczekać. Masz rację, umieram z głodu. Nie jadłam lunchu, a w domu wypiałam tylko kawę i zjadłam batonik.

- Przygotuję talerze - powiedział Eddie.

Pięć minut później jedli skrzydełka kurczaka, oglądając telewizję.

- To opowiedz mi o Bostonie - powiedziała Siobhán, skubiąc skrzydełko. - Dobrze się bawiłeś?

- Raczej nie - odpowiedział Eddie. - Przecież pracowałem.

- Dobra, dobra - uśmiechnęła się.

- Nie, naprawdę - odparł. - Chodziło o sekurytyzację długu, więc...

- Aaa... - Siobhán ziewnęła przesadnie. - Nie znam się na tym. I nie chcę znać.

- Upajaj się więc swoją niewiedzą - odpowiedział Eddie.

- Nie omieszkałam - odparła. - A parę lat temu też miałam jechać do Bostonu.

- Tak?

- Prawie. Sprawa dotyczyła narkotyków. Pewien gang działał tutaj, ale towar sprowadzali ze Stanów. Ale niestety pojechali tam ci szczęściarze z wydziału antynarkotykowego.

- Biedactwo.

- No, cóż. Może następnym razem. No i są jeszcze Karaiby.

- He?

- Ten bigamista? Pamiętasz? Drugi ślub wziął na Barbadosie. Więc mogłabym pojechać tam w ramach dochodzenia - sięgnęła po kolejne skrzydełko. - Ale najprawdopodobniej pojedę najwyżej do Sligo, on stamtąd pochodzi.

- Odważny człowiek - stwierdził Eddie. - Dwie żony.

- Owszem, ale żadna z nich nie jest takim seksownym kociakiem jak ja - Siobhán przytuliła się do niego. - Mam nadzieję, że się już wyspałeś, bo teraz będę robić z tobą rzeczy, jakich nigdy nie próbowałeś. - Wsunęła dłoń pod jego koszulę.

Złapał ją za nadgarstek.

- Nie teraz.

Spojrzała na niego.

- Wiem, że nie w tej chwili. Ale... myślałam, że... Coś jest nie tak?

- Przepraszam - powiedział. - To przez ten długi lot. Po prostu... po prostu mnie wykończył.

- Ale przecież spałeś już tyle godzin.

- Wiem, wiem. Później. Później będę w formie.

- Okej - pocałowała go w policzek. Ale brwi miała zmarszczone, gdy wstawała i sprzątała resztki skrzydełek.

Rozdział 13

Iona nie wiedziała, co ma teraz zrobić. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna się zwrócić o poradę prawną w sprawie swojej obecnej sytuacji (a także dowiedzieć się, co z firmą Franka - martwiła się o jego klientów), ale tak naprawdę była w stanie myśleć tylko o tym, że Frank jest ciężko ranny, a ona nie jest już najważniejszą osobą w jego życiu ani jodyną zainteresowaną jego stanem. Ponieważ w szpitalu po rozmowie z Siobhán Farrell uznali, że Sally jest prawowitą żoną Franka, powiedzieli jej wprost, że to właśnie z nią będą się kontaktować w sprawach leczenia.

Już sam wypadek był prawdziwym nieszczęściem, ale teraz Iona czuła, że podwaliny jej egzystencji nagle zaczęły się rozsypywać, a ona nie potrafi temu zaradzić. Wszystko, w co wierzyła, cały jej związek z Frankiem był oparty na sieci kłamstw i oszustw. Nigdy w życiu nie czuła takiej wściekłości, ale trudno jej było koncentrować się na własnej złości i Jednocześnie zamartwiać na śmierć tym, że on wciąż się nie obudził ze śpiączki.

Po spotkaniu z policjantką (czy też przesłuchaniu, jak pewnie nazwałaby je Siobhán Farrell), po prostu zwinęła się w kłębek na sofie i płakała. Lauren wpadła do niej później, żeby sprawdzić, jak się miewa, ale ona nie była w stanie nawet z nią porozmawiać. Siostra błagała ją, żeby wzięła kolejną tabletkę valium, lecz odmówiła, po czym wpadła w histerię, uświadomiwszy sobie, że poprzedniej nocy Lauren podstępem podała jej środek uspokajający. Starsza siostra zaproponowała, żeby jeszcze raz przenocowała u niej, ale Iona ponownie odmówiła. Wolała zostać w swoim domu, wśród swoich rzeczy, gdzie nikt nie będzie próbował podać jej silnego leku wbrew jej woli. W każdym razie wystarczy, że straciła wszystko, co dla niej najważniejsze, nie ma ochoty przenosić się do obcego domu i spędzać kolejnej nocy u Lauren i Mylesa. Poza tym ich dzieci nie śpią, a ona nie byłaby nawet w stanie z nimi porozmawiać.

Iona wiedziała, że Lauren się o nią martwi, ale nic nie mogła na to poradzić. Obiecała siostrze, że nie zrobi nic głupiego, jak przedawkowanie waleriany czy podcięcie sobie żył (Lauren miała czasami skłonność do wyobrażania sobie najgorszego), ale sam fakt, że wspomniała o czymś takim, sprawił, że jej siostra zaczęła się martwić jeszcze bardziej. W końcu Lauren się uparła, że spędzi noc u Iony i prześpi się na sofie w salonie, ponieważ gościnną sypialnię przerobili na biuro.

Iona obudziła się z urywanego snu o szóstej w niedzielny poranek. Na niebieską bawełnianą piżamę nałożyła gruby sweter z wełny z wysp Aran i wsunęła stopy w swoje olbrzymie i puchate zielone kapcie, po czym przeszła do biura. Chciała znaleźć coś, co dałoby jej jakąkolwiek wskazówkę wyjaśniającą, dlaczego Frank zrobił to, co zrobił.

Jeśli zrobił to, co zrobił. W głębi duszy chciała wierzyć, że to wszystko jest jednak jakąś koszmarną, niewiarygodną pomyłką.

Ale w biurze niczego nie znalazła. Przeglądając papiery, pomyślała nawet, że jest tam bardzo mało informacji o interesach Franka. W komputerze też nic nie było. Wiedziała, że do spraw firmowych używał głównie laptopa, który pewnie zabrał ze sobą, ale zawsze myślała, że w komputerze stacjonarnym też ma jakieś

ważne katalogi i pliki. Jednak gdy do nich zajrzała, okazało się, że nie ma w nich niczego istotnego. Zawierały tylko wzory listów albo odnośniki do folderów na laptopie.

Co będzie z jego firmą? - pomyślała po raz kolejny. Kto się zajmie jego klientami? Gdzie jest jego służbowy telefon? Może ludzie już dzwonią i go szukają. Często dzwonili do niego w weekendy, choć on sam przecież rzadko osobiście wykonywał instalacje czy zajmował się serwisem. Wszystko to zlecał podwykonawcom. Iona nagle zdała sobie sprawę, że ich nie zna. Firma Franka, którą budował z takim zaangażowaniem, może paść, podczas gdy on leży w szpitalu. Nie chciałby, żeby tak się stało. Wiedziała o tym. Ale jak może temu zapobiec? Może jego prawnik mógłby coś zrobić, zakładając, że w ogóle wie coś o firmie Franka. Przygryzła wargę. Dowie się, kim jest doradca prawny Franka, i skontaktuje się z nim jutro z samego rana. Przynajmniej to na pewno warto zrobić.

W międzyczasie otworzyła przeglądarkę internetową i wpisała słowo „bigamia”. Niczego szczególnego się nie dowiedziała, większość stron była poświęcona bigamicznym małżeństwom zawieranim z wyrachowania. Przynajmniej wśród społeczności internetowej ludzie nie żenili się raz po raz dla czystej przyjemności. Nic dziwnego. Nikt normalny tego nie robi.

Z trudem przełknęła ślinę i wpisała do wyszukiwarki słowo „śpiączka”. Przeczytała: „Długotrwała utrata przytomności, kiedy człowiek żyje, ale nie porusza się ani nie reaguje na bodźce”. Najgorsze, pomyślała, przeskakując ze strony na stronę, że tak mało o tym wiemy. Zwykle śpiączka nie trwa dłużej niż miesiąc, ale nigdy nic nie wiadomo. No i oczywiście można potem stracić zdolność myślenia i latami tkwić w stanie wegetatywnym.

Trzęsły się jej ręce. Nie wyobrażała sobie, by Frank mógł latami pozostawać w śpiączce. Oparła głowę o monitor i znowu zaczęła płakać. Sama nie wiedziała, czy ze zmartwienia, z żalu nad sobą czy ze złości.

- Wszystko w porządku? - usłyszawszy głos Lauren stojącej w drzwiach, Iona się wyprostowała. Chwyliła chusteczkę z pudełka stojącego na biurku i wytarła oczy.

- Tak - odpowiedziała. - To znaczy w tej chwili... nie do końca - z trudem przełknęła ślinę. - Problem w tym, że nic, co nas dotyczyło, nie jest prawdą! - powiedziała zduszonym głosem. - Okłamywał mnie każdego dnia, okłamywał mnie w każdej sprawie. Żona! Córka! Prowadził dwa równoległe życia, a ja niczego się nie domyślałam! Jak mogłam być taka głupia?

- Posłuchaj, kochanie, trudno podejrzewać swojego męża, że ma jakąś inną żonę - powiedziała Lauren. - Można podejrzewać, że ma romans albo kłopoty w pracy, ale skąd, na miłość boską, mogłabyś przypuszczać coś takiego.

- Chcę, żeby to wszystko okazało się jakąś pomyłką - zapłakała Iona. - Ja mu całkowicie ufałam - tym razem wytarła oczy długim rękawem swojego swetra. - Mogłabym to zrozumieć, gdyby był kiedyś żonaty i mi nie powiedział. Zraniłoby mnie to, ale mogłabym sobie z tym poradzić. Czasami trudno jest komuś coś wyznać. Ale że cały czas miał żonę?! I mieszkał z nią, jednocześnie mieszkając ze mną?! Nie mogę w to uwierzyć. Teraz wszyscy, patrząc na mnie, będą myśleć, że jestem największą idiotką na świecie i będą mieli zupełną rację!

- Wcale nie - pocieszała ją Lauren. - Będą myśleć, że z niego kawał drania.

- Ale to nieprawda! - jęknęła Iona. - Zawsze był dla mnie kochany. Zawsze.

Lauren zaczęła masować ramiona siostry.

- Wiem, że Myles go nienawidzi - wymamrotała Iona.

- Teraz pewnie się cieszy, że wszystko, co myślał o Franku, okazało się prawdą.

- Wcale nie - odparła Lauren. - Jest bardzo przejęty. To prawda, uważał, że Frank jest zbyt dobry, żeby być prawdziwy, ale nigdy nie chciał, żeby spotkała cię krzywda.

- Co ja powiem mamie i tacie? - ciągnęła Iona. - Uwielbiali go. A przynajmniej... - zawahała się. - Pamiętam, jak mama powiedziała, że najważniejsze, że Frank sprawia, że jestem szczęśliwa. Ciągle się zastanawiam, czy ona coś podejrzewała.

- Oczywiście, że nie! - Lauren przestała masować ramiona Iony.

- Może nie podejrzewała - przyznała Iona. - Bo niby skąd? Ale skomentowała to, że jest trochę starszy i... cóż, może wcale jej się tak bardzo nie podobał. Znasz mamę, nic by nie powiedziała, gdyby tak było.

- Dzwoniłam do niej - powiedziała Lauren. Iona odsunęła się od siostry.

- Dlaczego to zrobiłaś?! - krzyknęła. - Wcale cię o to nie prosiłam.

- Io, kochanie, i tak wcześniej czy później by się dowiedziała - odparła Lauren. - Poprosiłam ją, żeby na razie nie kontaktowała się z tobą i dała ci czas na pozбиeranie się.

Iona zacisnęła zęby i z rozpaczą pokręciła głową.

- Wiesz, właśnie tego nienawidzę. Jak inni o mnie rozmawiają. Jak mi współczują. Jak się zastanawiają, czy do mnie zadzwonić - z trudem przełknęła ślinę. - Jak mogłam być tak cholernie głupia? To właśnie dlatego, że był już żonaty, upierał się przy ślubie na Barbadosie. Ja myślałam, że jest taki romantyczny, a on mną manipulował. Idiotka ze mnie.

- To nie twoja wina - powiedziała Lauren. - Skąd mogłaś wiedzieć?

- Powinnaś się była domyślić - Iona obróciła się na fotelu w stronę siostry. - Wiesz, czułam się jak kompletna idiotka, rozmawiając z tą policjantką. Widziałam, że uważa mnie za jakąś debilkę. Pytała mnie, co się działo w święta i wakacje, a ja powiedziałam jej to, co mówił mi Frank, że czasami musi nocować tam, gdzie robią instalację, bo mogą potrzebować jego pomocy. I że nigdy nie wyjechaliśmy na dłuższe wakacje. I że czasami jeździł beze mnie na konferencje. A ona przez cały czas notowała... założę się, że napisała tam, jaka byłam naiwna, wierząc jego słowom.

- Przecież ludzie wierzą w to, co mówią im inni - powiedziała Lauren. - Dlaczego miałabyś wątpić w jego słowa?

- Dlaczego? Może dlatego, że normalni ludzie nie spędzają Bożego Narodzenia w hotelu z dala od rodziny, twierdząc, że muszą na miejscu nadzorować iluminację. Może dlatego, że normalni ludzie zabierają żony na różne konferencje i tak dalej. A on pewnie nawet zabierał żonę na te konferencje, tylko że to nie byłam ja. - Iona pomasaowała sobie kark. - Masz jakieś tabletki od bólu głowy? Mam wrażenie, że łeb mi zaraz pęknie.

- Jasne - odpowiedziała Lauren, zdając sobie sprawę, że Iona musi się czuć naprawdę okropnie, skoro prosi o paracetamol. - Są w torebce. Chodź na dół, to ci dam.

Iona wyłączyła komputer. Nie lubiła brać paracetamolu czy ibuprofenu. Ale w tej chwili potrzebowała czegoś więcej, niż mogła jej zaoferować natura.

Sally nadal czuła się niezręcznie, wchodząc do szpitala. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że wszyscy lekarze i pielęgniarki doskonale wiedzą, kim jest i co się wydarzyło, chociaż raz po raz powtarzała sobie, że mają przecież ważniejsze tematy do rozmów niż kobieta, której mąż, nic nikomu nie mówiąc, ożenił się z inną. Nie było sensu udawać, że jest inaczej, że nie istniało żadne drugie małżeństwo. Reakcja Iony była autentyczna. Siobhán Farrell skontaktowała się z nią jeszcze raz i poinformowała o ceremonii zawarcia małżeństwa Iony z Frankiem na Karaibach i akcie ślubu, który jednak tak naprawdę wcale się nie liczył.

Sally nie wiedziała, jak by zareagowała, gdyby się dowiedziała o tym wszystkim, kiedy Frank był sprawny i zdrowy. Z pewnością byłaby równie zaskoczona. Prawdopodobnie wyrzuciłaby go z domu, choć nie miała całkowitej pewności, bo przecież była z nim w ciąży.

Nieświadomie dotknęła ręką swego brzucha. Frank nie zasługiwał na drugie dziecko. Nie powinien go z nią mieć. Ani z nikim innym. Nie nadawał się na ojca. Bez względu na to, jaki był wobec niej cudowny i kochający, a nawet jaki był wspaniały dla Jenny, był kłamliwym draniem i nie zasługiwał na to, by być z którąś z nich.

Mimo wszystko, kiedy tak siedziała przy nim sama, przysłuchując się sykom i furkotom urządzeń oraz rytmicznemu pikaniu monitora pracy serca, zdała sobie sprawę, że nie mogłaby po prostu go porzucić. Poza tym, gdyby to zrobiła, jej miejsce zajęłaby Iona.

Sally pomasaowała sobie kark. Nie chciała, żeby Iona zajęła jej miejsce, nawet jeśli jej samej trudno było Frankowi wybaczyć. Być może jednak tamta kobieta nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego po tym, jak się dowiedziała, że ją oszukiwał. Nie pojawiła się już w szpitalu, a Siobhán powiedziała, że jej zdaniem Iona zaakceptowała fakt, że jej małżeństwo zgodnie z prawem nie jest ważne.

Biedna dziewczyna. Choć Sally sama czuła się strasznie, pomyślała, że jeszcze gorzej byłoby się dowiedzieć, że tak naprawdę wcale nie wyszła za mąż. Więc choć nienawidziła Iony za to, że zabrała jej Franka, jednocześnie żał jej było tej młodej kobiety, której całe życie małżeńskie opierało się na kłamstwie.

Przyjrzała się mężczyźnie leżącemu na szpitalnym łóżku. Frank zaczynał wyglądać jak ktoś zupełnie inny, jego przystojna twarz była blada i pozbawiona wyrazu, a rurki i urządzenia wydawały się częściami jego ciała. Choć wciąż był atrakcyjny, Sally nie potrafiła już dostrzec w nim osoby, której urok dosłownie zwałił ją z nóg, która oczarowała ją w mgnieniu oka, która pomogła jej odkryć, że jej ciało to terytorium niezbadanych głębi pożądania i rozkoszy. Frank wyglądał teraz staro. Był taki zależny od innych. Od niej nigdy dotąd nie był zależny. Zawsze to on za wszystko odpowiadał. Było jej przykro widzieć go w takim stanie i wiedziała, że jemu też byłoby przykro, gdyby wiedział, że ona siedzi tu przy nim, patrzy na niego i czeka.

Co będzie, jeśli on się nie obudzi ze śpiączki? Wszyscy w szpitalu starali się myśleć optymistycznie, pomimo obaw Sally. Ona też pragnęła myśleć pozytywnie. Było jej trudno wyobrazić sobie, że on za dzień czy dwa nie otworzy oczu, nie rozejrzy się wokół i nie zapyta, gdzie, do diabła, jest i co tu, do diabła, robi.

Czy będzie się spodziewał, że ją zobaczy? Czy będzie raczej uważał, że to Iona powinna przy nim być? Z trudem przełknęła ślinę. Jak się poczuje, jeśli on otworzy oczy i zapyta o Ionę?

- Dzień dobry, pani Harper - pielęgniarka, która była na dyżurze tamtej pierwszej nocy, znowu miała dyżur. Sally spojrzała na plakietkę z jej nazwiskiem, żeby wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Muszę zrobić przy nim kilka rzeczy - powiedziała Terri Cooper. - Może pani zostać tutaj albo poczekać na zewnątrz.

Sally wstała. I tak przyda jej się przerwa. Przeszła korytarzem do automatu i wzięła sobie kawę. Jenna tym razem jej nie towarzyszyła. Zmartwionym głosem spytała, czy może nie jechać, bo na samą myśl o szpitalu dostaje gęsiej skórki. Sally w milczeniu skinęła głową. Nie chciała, żeby Jenna czuła, że całe jej życie kręci się teraz wokół wizyt w szpitalu. A poza tym sama dostawała gęsiej skórki na myśl o przebywaniu tutaj.

- Już skończyłam - Terri uśmiechnęła się szeroko do Sally, która wypila już letnią kawę i zgniatała właśnie w dłoni styropianowy kubek.

- Czy on z tego wyjdzie? - Sally wiedziała, że pielęgniarka nie będzie umiała jej odpowiedzieć, ale nie potrafiła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Nawet pani sobie nie wyobraża, jak wielu pacjentów wychodzi ze śpiączki - odpowiedziała jej Terri. - Ale muszę być z panią szczerą i uprzedzić, że trochę trwa, zanim dochodzą do dawnej sprawności. To jednak jest ogromny wstrząs.

Sally pokiwała głową.

- Wszyscy trzymamy za niego kciuki - dodała Terri.

- Jest bardzo przystojny, prawda?

- Lepiej wygląda, jak jest przytomny - odparła cierpko Sally.

Terri się uśmiechnęła.

- Ale i tak widać, że jest atrakcyjny.

- Aż za bardzo.

Terri przyjrzała jej się uważnie. Starła się poprawić humor tej kobiecie o smutnym wyrazie twarzy, ale rzeczywistość w tym przypadku mówienie, że jej mąż jest atrakcyjny, mogło zadziałać jak płachta na byka.

- To bardzo trudna sytuacja - zgodziła się Terri.

- Dziś rano pan doktor poprosił mnie, żebym do niego mówiła - powiedziała Sally. - Więc poczytałam mu gazetę. Ale jeśli to nie mojego głosu potrzebuje? Tylko jej?

Terri poczuła się niezręcznie.

- Wydaje mi się, że każdy znajomy głos może pomóc - odpowiedziała.

- Może powinnam poprosić córkę, żeby to robiła - stwierdziła Sally. - Przynajmniej wiadomo, że ją kochał.

- Nagle szeroko otworzyła oczy. - Czy ma jeszcze jedno?

- Słucham?

- Dziecko? Czy ta kobieta ma dziecko? Nic takiego nie mówiła, ja też nie spytałam, ale...

- Nie wiem - powiedziała Terri.

- Och, pieprzyć go! - nagły krzyk Sally zaskoczył Terri. - Pieprzyć go, pieprzyć, pieprzyć! - Rzuciła zgniecionym kubkiem po kawie na drugą stronę korytarza. - Jak mógł zrobić coś takiego mnie i Jennie? Jak mógł to zrobić tej Ionie? Myślałam, że go kocham, ale on jest po prostu łajdakiem!

- Tak naprawdę wcale tak pani nie myśli - powiedziała delikatnym tonem Terri. - Jest pani po prostu wyczerpana.

- Nieprawda - odparła Sally. - Ja... ja tylko... - napięcie nagle ją opuściło i zachwiała się. Terri objęła ją i pomogła podejść do krzesła.

- Proszę usiąść - powiedziała. - To był dla pani ogromny stres i każdy by się w takiej sytuacji zdenerwował.

- Stres dla wszystkich oprócz Franka - stwierdziła gorzko Sally. - Leży tam, wszyscy naokoło niego biegają, a my musimy sobie radzić z tym całym bałaganem. Nie mam pojęcia, co robić w sprawie jego pracy, nigdy się tym nie zajmowałam. Nie jestem nawet pewna, co powinnam zrobić w związku z moją własną pracą. Nie mam pojęcia, co robić z Jenną i jej szkołą... Zostawił nas z tym wszystkim na głowie, a ja do cholery sobie nie radzę!

- Proszę tu posiedzieć, a ja coś pani przyniosę - powiedziała Terri. - Przyjechała pani dzisiaj sama?

- Wzięłam taksówkę - odpowiedziała Sally. - Samochód mamy dostać jutro z ubezpieczalni. Kolejna rzecz do załatwienia. Wszystko na mojej głowie. A on po prostu sobie leży!

Terri przywołała do siebie gestem inną pielęgniarkę, Susan Carpenter, która przechodziła akurat korytarzem, i szepnęła jej coś do ucha. Susan wróciła po chwili z małą tabletką i kubkiem wody.

- Proszę - powiedziała Terri. - Lepiej się pani po tym poczuje.

- Nie mogę wziąć tej tabletki.

- Może pani, może - zapewniła Terri. - Ona pomoże się pani zrelaksować, a naprawdę potrzebuje pani teraz odpoczynku.

- Nie rozumiecie - Sally popatrzyła na obie pielęgniarki i z rozpaczy zacisnęła powieki. Gdy po chwili otworzyła oczy, obie przyglądały się jej z niepokojem. - Nie mogę wziąć tej cholernej tabletki, bo w dniu, w którym Frank miał wypadek, zorientowałam się, że jestem w ciąży. - Śmiech Sally był krótki i chrapliwy. - Jakbym miała za mało problemów, co?

Terri i Susan wymieniły zaskoczone spojrzenia. Potem Susan zabrała wodę i tabletkę i odeszła, a Terri ponownie objęła Sally ramieniem.

Rozdział 14

Iona nie wiedziała, jak się zabrać za szukanie prawnika Franka, i w końcu Myles stwierdził, że zrobi to dla niej. Lauren powiedziała mu, że Iona martwi się o firmę Franka, a Myles odparł, że wykorzysta swoje znajomości wśród księgowych i prawników, żeby czegoś się dowiedzieć. Iona chciała mu podziękować, ale bała się rozmowy z Mylesem - z pewnością powiedziałby jej, że przecież ją uprzedzał albo że Frank okazał się kompletnym łajdakiem, za jakiego zawsze go uważał.

- Myles nie jest taki - powiedziała Lauren, gdy Iona przyznała się jej w końcu do swoich obaw. - Nie rozumiem, dlaczego zawsze jesteś dla niego taka okropna.

Iona usłyszała, że głos jej siostry nagle się załamał, i spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie jestem dla niego okropna - zaprzeczyła.

- Jesteś - odparła Lauren. - I byłaś taka, nawet zanim poznałaś Franka. Ciągle mówiłaś, że Myles to nudny księgowy.

Iona oblała się rumieńcem. Lauren mówiła prawdę. Rzeczywiście była zdania, że księgowi są nudni.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chodziło mi o to, że on jest nudny. Tylko że to nudny zawód.

- Wiesz, jesteś nieco arogancka, skoro tak uważasz, bo przecież Frank pracuje w oświetleniach, a ty w tej durnej agencji wynajmu - stwierdziła Lauren.

Iona przygryzła wargę.

- Wiem. Ale zawsze chciałam robić coś bardziej interesującego niż wynajmowanie mieszkań - powiedziała.

- No cóż, może Myles też chciałby zajmować się czymś bardziej interesującym niż księgowość - odparła Lauren.

- Tylko że ma żonę i rodzinę, którą musi utrzymywać, a to jest bardzo dobry zawód.

- Ja też planowałam, że Frank będzie mnie utrzymywał - rzuciła roztrzęsiona Iona. - Ja też chciałam zająć w ciążę.

- Och, nie, Io... - Lauren popatrzyła na siostrę ze współczuciem. - Przepraszam.

- Nie wiem w ogóle, co mam robić - powiedziała Iona.

- Nie jestem jego żoną. Nie mam nic do powiedzenia. Chciałabym pojechać do szpitala, ale...

- Może mogłabyś dojść do jakiegoś porozumienia z tą Sally.

- Nie chcę z nią żadnego porozumienia - odparła gwałtownie Iona. - Mam ją prosić o pozwolenie zobaczenia się z mężczyzną, z którym spałam przez ostatnie cztery lata? Jakby ona mogła o tym decydować.

- Wygląda na to, że *może* o tym decydować - stwierdziła Lauren. - A ty musisz postanowić, co zamierzasz. Czy rozmawiałaś dziś rano ze swoim prawnikiem?

Iona skinęła głową.

- Powiedział, że mogą mnie oskarżyć, jeśli uznają, że brałam udział w jakimś dziwnym spisku - odpowiedziała. - Nawet bym o tym nie pomyślała, choć to nie ma żadnego znaczenia, czy ja... - ze znużeniem pokręciła głową. - On skontaktuje się z radcą prawnym Franka, jak tylko się dowiemy, kto nim jest. Spróbuje

określić, czy mam jakieś prawa w związku z tym, że uważałam się za jego żonę. Ale szczerze mówiąc, nie wiem po co. Znam sytuację. Nie chcę w tym uczestniczyć, Lauren. Nie kiedy to ona jest prawdziwą żoną, a ja nikim. Nie chcę go już nigdy więcej widzieć.

- Musisz się nad tym jeszcze zastanowić - odparła Lauren. - Co będzie, jeśli on umrze?

- Nie chcę myśleć o jego śmierci - odpowiedziała Iona.

- Ale chyba masz jakieś prawa?

- Niby do czego?

- No... - Lauren wzruszyła ramionami. - Przecież ma ten dom w Sligo, prawda? A jeśli jego firma przynosiła zyski, powinnaś coś z tego mieć. Przecież pomagałaś mu w pracy, prawda?

- Pomagałam mu trochę od czasu do czasu - powiedziała Iona. - Tylko w pisaniu listów i takich prostych rzeczach.

- Mimo wszystko...

- Ale ja nie mogę! - Iona uderzyła pięścią w stół. - Lauren, jeśli on umrze, to zostanę tylko ja. Ale one... przecież jest ta Sally i jej córka. Mają większe prawa. - Gwałtownie wypuściła powietrze. - Nie chcę myśleć o jego śmierci. Wolę myśleć, że mu się poprawi.

- A wtedy problemów będzie jeszcze więcej.

- Być może - odpowiedziała Iona. - Ale wolę to.

Później tego dnia Siobhán zadzwoniła do Sally i do Iony i poprosiła, żeby złożyły zeznania dotyczące ich związków z Frankiem. W pierwszej chwili obie nie były zachwycone, jednak zaniepokojone tym, co mogłaby powiedzieć ta druga, w końcu się zgodziły. Siobhán powiedziała im, że to nic trudnego i że jeśli wolą, to ona może przyjechać do nich do domu. Ale ku jej zdumieniu, obie kobiety stwierdziły, że wolą to zrobić na komisariacie. Zaskoczyło ją, gdy obie zaproponowały, że przyjadą w czwartek - ale dbając o dobro i zdrowie psychiczne ogółu, poprosiła Sally, żeby się zjawiła dzień wcześniej.

I tak w środowe popołudnie Sally czekała w widnej recepcji komisariatu policji w Bray, aż Siobhán Farrell zabierze ją do pokoju przesłuchań. Choć mieszkali w Bray już od pięciu lat, Sally jeszcze nigdy nie była na tamtejszym komisariacie, choć często przejeżdżała obok niego po drodze do centrum miasta. Komisariat był duży i nowoczesny i zupełnie nie odpowiadał typowym wyobrażeniom o takim miejscu. Patrząc na pomalowane na pastelowo ściany i obserwując, jak młody policjant w recepcji udziela przez telefon informacji, Sally pomyślała, że to miejsce sprawia stosunkowo przyjemne wrażenie i że z pewnością nie jest tu tak przerażająco, jak się spodziewała. Mimo wszystko nie była w stanie tak do końca uwierzyć, że ona, Sally Harper, jest tu jako świadek przestępstwa i to przestępstwa polegającego na tym, że jej mąż ożenił się z inną kobietą. Gdyby kiedykolwiek zastanawiała się nad tym, z jakiego powodu mogłaby trafić na posterunek, taka możliwość nawet nie przyszlaby jej do głowy. Siedziała na drewnianym krzeselku i wpatrywała się przez kanciasty szklany dach w błękit nieba, starając się jednocześnie uspokoić szybkie bicie serca. Denerwowała się tym przesłuchaniem i nie była pewna, o co Siobhán będzie ją pytać.

Kiedy Siobhán weszła do poczekalni, żeby ją przywitać, Sally nie mogła się oprzeć wrażeniu, że pani detektyw jest o wiele bardziej poważna i oficjalna niż poprzednio, mimo że ciepło się do niej uśmiechnęła i podziękowała jej za przyjście.

- Proszę za mną - powiedziała.

Sally wzięła swoją torebkę i ruszyła za policjantką. Siobhán zaprosiła ją do małego pokoju przesłuchań i poprosiła, żeby usiadła. Sally zauważyła nad drzwiami skierowaną w swoją stronę kamerę. Nerwowo przełknęła ślinę i pociągnęła czarny skórzany fotel za poręcze, żeby przysunąć go bliżej stołu. Nawet nie drgnął. Spróbowała jeszcze raz.

- Jest ciężki - powiedziała Siobhán. - Zwykle przesłuchujemy tu podejrzanych i wolimy, żeby nie mogli go podnieść i nim w nas rzucić.

Sally na myśl o ludziach, jacy mogli siedzieć na tym fotelu, ponownie nerwowo przełknęła ślinę, a Siobhán uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

- Ale pani oczywiście nie jest o nic podejrzana - powiedziała. - Jest pani tutaj tylko po to, żeby pomóc nam wyjaśnić tę sprawę.

Spojrzenie Sally mimowolnie skierowało się na kamerę.

- Niczego też nie nagrywamy - zapewniła ją Siobhán. - Proszę się nie denerwować. - Wstała i wcisnęła jeden z przycisków na konsoli kamery. - Proszę bardzo, niczego tam nie ma.

- W porządku - Sally z trudem przełknęła ślinę.

- Czy przynieść pani coś do picia? - zapytała Siobhán. - Wodę? A może herbatę?

Sally przecząco pokręciła głową. Skoro już tam była, chciała zacząć jak najszybciej.

- Dobra - powiedziała Siobhán. - To zaczynamy.

Pytania dotyczyły tego samego, o czym wcześniej rozmawiały, lecz teraz detektyw zadawała je w inny sposób. Sally czuła się trochę surrealistycznie, gdy odpowiadała na nie szczerze i zgodnie z prawdą, jednocześnie będąc coraz bardziej przekonaną, że policjantka z pewnością uważa ją za kompletną idiotkę. Mimo wszystko zupełnie nie potrafiła przyjąć do wiadomości faktu, że zgodnie z prawem Frank naprawdę był przestępcą. Wstrętym i kłamliwym łajdakiem owszem, myślała rano, siedząc na brzegu sedesu po tradycyjnym ataku porannych mdłości, ale nie przestępcą. Ale tutaj, na komisariacie, sprawy wyglądały o wiele poważniej, niż zakładała.

Sally starła kropelkę potu z czoła i z niepokojem spojrzała na Siobhán. A jeśli detektyw pomyśli, że się pocę, bo jestem w jakiś sposób zamieszana w przekręt Franka? A jeśli pomyśli, że to było jakieś wymyślne oszustwo, w którym razem braliśmy udział?

- Wnieście przeciwko niemu oskarżenie? - zapytała.

Siobhán rzuciła jej niejednoznaczne spojrzenie.

- To nie zależy ode mnie. Decyduje o tym prokurator, i jeśli mam być wobec pani szczerą, nie mam pojęcia, jak potraktuje tę sprawę. To zależy od tego, czy uzna, że oskarżenie Franka będzie leżało w interesie publicznym.

- A będzie?

- To zależy, jak to się wszystko w końcu wyjaśni - odpowiedziała Siobhán. - To znaczy, co Frank chciał osiągnąć, żeniąc się z Ioną?

- Świetny seks? - Sally rzuciła Siobhán pełne gorczy spojrzenie.

Detektyw zbladła.

- Słucham?

- Nie mam pojęcia, co chciał zyskać - powiedziała Sally. - Ale Frank nie przepadał... nie przepada za seksem bez bliskości. Mówił mi kiedyś, że nie lubi związków na jedną noc. To oczywiście co innego, wiem o tym, tylko... - Sally przygryzła wewnętrzną stronę wargi. - Frank jest dobry w łóżku.

Siobhán starała się ukryć swoje zażenowanie. Nie miała ochoty słuchać opowieści o pożyciu seksualnym państwa Harperów, a szczególnie o tym, jakie było udane. Ale Sally już opowiadała o tym, jak poznali się z Frankiem, jak od razu się sobie spodobali, jak nie mogli się od siebie oderwać. I że w tym wszystkim było coś jeszcze, że Frank był mężczyzną pełnym wigoru, takim, który potrafił sprawić, by kobieta dobrze się czuła. Sally wiedziała, że rozkwita w jego towarzystwie, bo zawsze, gdy z nim była, rosła jej pewność siebie - więc może tak samo było z Ioną. Popatrzyła na Siobhán pytającym wzrokiem.

- W tym rzecz - policjantka odzyskała panowanie nad sobą. - Zwykle chodzi o bardziej konkretną korzyść niż, hm..., tylko seks. Akurat z tego powodu nie trzeba się koniecznie żenić! Zwykle w takich przypadkach ludziom chodzi o uzyskanie obywatelstwa. A czasami o sprawy finansowe. Ale tutaj powodem chyba nie były pieniądze.

- Może ona jest strasznie bogata - zasugerowała Sally posępnym tonem. - Może były jakieś problemy z pieniędzmi, o których nie wiedziałam. Może on myślał, że żeniąc się z nią... - zamilkła. Nie podobał jej się kierunek, w jakim podążały jej własne myśli.

- Raczej na to nie wygląda - powiedziała Siobhán.

- Oczywiście, sprawdzamy też taką możliwość - spojrzała przepraszająco na Sally. - Przyglądamy się również firmie Franka, żeby się zorientować, czy miał problemy finansowe. I choć wiem, że to może być dla pani trudne, naprawdę to rozumiem, to jednak w tych okolicznościach muszę wziąć odciski palców Franka.

Twarz Sally wyrażała zdumienie.

- Po co?

- Muszę sprawdzić, czy wcześniej nie miał problemów z prawem - odpowiedziała Siobhán.

- Na litość boską! - Sally popatrzyła na nią z rozpaczą.

- To normalny facet. Oczywiście, że nie miał żadnych problemów z prawem. Najwyżej jakiś niezapłacony mandat za złe parkowanie albo przekroczenie prędkości czy coś takiego. Tyle że on nie przekracza prędkości. Jest ostrożnym kierowcą. Frank przestrzega przepisy.

- Rozumiem - odparła Siobhán - ale to pomogłoby nam w śledztwie.

Sally głęboko westchnęła. Lubiła Siobhán, bo była dla niej miła, wyrozumiała i starała się nie osądzać całej tej sytuacji, wołałaby jednak, żeby policjantka nie mówiła o Franku jak o przestępcy. Nie był przestępcą. Był jej mężem.

- Jeśli rzeczywiście musicie to zrobić, to proszę bardzo - powiedziała znużonym tonem. - Ale wie pani co, ja naprawdę go kochałam. I jestem przekonana, że nie był zamieszany w nic podejrzanego. Marnujecie czas, jeśli sądzicie inaczej. Skontaktował się ze mną radca prawny Franka. Frank był ubezpieczony na wypadek ciężkiej choroby. Jego księgowy kontaktuje się z klientami i dba o to, by ktoś się nimi zajął. Przekazałam mu komórkę Franka. Naprawdę nie ma w tym nic podejrzanego. I pewnie pomyśli pani, że jestem nienormalna,

mówiąc coś takiego w tych okolicznościach, ale ja naprawdę znam swojego męża. To uczciwy człowiek. Nie mam pojęcia, oczywiście, czemu to wszystko zrobił. Skąd mogłabym to wiedzieć? Ale trochę go rozumiem.

- Nikt tak do końca nie rozumie mężczyzn - powiedziała z uczuciem Siobhán. - Gdybyśmy rozumiały, byłybyśmy o wiele szczęśliwsze, prawda?

Sally uniosła brwi. W słowach Siobhán brzmiała szczerłość.

- Jest pani mężatką? - powtórzyła pytanie, na które Siobhán nie odpowiedziała, gdy była u Sally w domu.

Siobhán pokręciła przecząco głową.

- Ktoś wyjątkowy?

Pomyślała o Eddiem. Tak, to ktoś wyjątkowy.

- Jestem zaręczona - powiedziała.

- Mieszkacie razem? - zapytała Sally.

Siobhán zastanowiła się, zanim udzieliła odpowiedzi. Miała nadzieję, że opowiadając o własnym życiu, choćby odrobinę, sprawi, że Sally przekona się, że nie jest jej wrogiem. Skinęła więc głową.

- Nie mieszkałam z Frankiem przed ślubem - powiedziała Sally. - Oczywiście, spaliśmy ze sobą, ale w tamtych czasach narzeczeni nie żyli ze sobą. Bez ślubu niczego nie można było zrobić. Tak naprawdę to wtedy małżeństwo stanowiło chyba jedyny sposób na zapewnienie sobie regularnego seksu!

Siobhán popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Założycie rodzinę? Czy też jest pani jedną z tych kobiet naprawdę zaangażowanych w robienie kariery? Chce pani zostać nadkomisarzem albo kimś takim?

- Och, nigdy nie zostanę nadkomisarzem - odparła Siobhán. - I tak mam szczęście, że w ogóle tu jestem.

- Brednie. Z pewnością doskonale wykonuje pani swoją pracę - Sally rozejrzała się po iście po spartańsku urządzonej pomieszczeniu. - Czy męska dominacja jest bardzo silna?

- Jest lepiej niż kiedyś - powiedziała Siobhán. - Ale też przestępstwa zmieniły się w ciągu kilku ostatnich lat. Coraz więcej w tym wszystkim techniki, a sprawy przemocy domowej i tak dalej... cóż, wiem, że to wyświechtane hasło, ale kobiety zwykle dobrze sobie radzą w takich sytuacjach.

- Przypuszczam, że ja i Iona też się mieścimy w tej kategorii - powiedziała Sally.

Siobhán uśmiechnęła się do niej.

- Tak naprawdę to nie wiem, do jakiej kategorii was przypasować.

- Nie chcę, żeby został oskarżony - powiedziała z naciskiem Sally. - Wiem, że zrobił coś okropnego, i nienawidzę go za to, ale...

- Ja tylko przygotowuję akta - odparła Siobhán. Poruszyła się na krześle. - A on jest w tak ciężkim stanie, że trudno powiedzieć... A właśnie, jak on się miewa?

Sally głęboko westchnęła.

- Wciąż jest w śpiączce - powiedziała. - Im dłużej pozostaje w tym stanie, tym bardziej to niepokojące. Wzięłam w tym tygodniu wolne, więc spędzę z nim w szpitalu bardzo dużo czasu, ale nie mogę tak daleko ciągnąć.

- A pani córka?

- Jenna poszła już dzisiaj do szkoły. Siedzenie w domu i snucie się z kąta w kąt nie najlepiej na nią wpływało. A tak przynajmniej jest czymś zajęta.

- Świetnie sobie pani ze wszystkim radzi, naprawdę - powiedziała Siobhán.

- Wcale nie - odparła Sally. - Dużo płaczę.

- Nie dziwię się - odpowiedziała Siobhán. Zamknęła teczkę. - Może pójdziemy na kawę? - zaproponowała.

Sally spojrzała na nią niepewnie.

- Na kawę? Może pani tak sobie wyjść i pójść na kawę z żoną przestępcy?

- Zdziwiłaby się pani, z jakimi osobami bywam na kawie - Siobhán uśmiechnęła się i Sally też nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Choć na posterunku był kącik kuchenny, Siobhán pomyślała, że lepiej będzie zabrać Sally gdzieś na zewnątrz. Do centrum miasteczka było mniej niż kilometr, zdecydowała się więc pojechać tam samochodem. Mogła poświęcić trochę czasu na wypicie kawy z Sally, ale nie na spacer do centrum i z powrotem, nawet jeśli dzień był ciepły i słoneczny, a spacer stanowił prawdziwą przyjemność. Postawiła samochód na parkingu przy Herbert Street i zaprowadziła Sally do małej, jasnej kawiarenki, gdzie zamówiła cappuccino dla siebie i niskokaloryczną latte dla niej. Usiadły przy oknie i obserwowały tętniącą życiem ulicę.

- Jakimi przestępstwami zwykle się pani zajmuje? - zapytała Sally, wsypując do swojej kawy brązowy cukier.

- Różnymi - Siobhán opowiedziała jej o drobnych wykroczeniach, które zajmowały pracownikom komisariatu najwięcej czasu, a także o niektórych bardziej skomplikowanych sprawach, a Sally słuchała jej, jednocześnie patrząc na przechodzących za oknem ludzi.

Polubiła Siobhán. Miała uczucie, że to trochę niełojalne wobec Franka lubić osobę, która traktuje go jak przestępcę, ale nic nie mogła na to poradzić. Z Siobhán przyjemnie się rozmawiało, a ponieważ w tym momencie była też jedną z niewielu osób, które wiedziały o drugiej żonie Franka, Sally czuła się w jej towarzystwie lepiej niż w towarzystwie kogokolwiek innego. Nikomu nie powiedziała jeszcze o Ionie, nawet Denise. Po prostu nie mogła. Wszyscy byli tacy mili, zatroskani i zmartwieni stanem Franka, nie miała serca ich informować, jaki z niego niewierny drań. A najgorsze z tego wszystkiego było to, że ona sama wciąż nie potrafiła zaakceptować faktu, że był niewiernym draniem. Za każdym razem, gdy pomyślała o jego małżeństwie z Ioną, wydawało jej to nierealne.

Uświadomiła sobie, że Siobhán przestała opowiadać o natłoku spraw na posterunku w Bray i niewidzącym wzrokiem wpatruje się w swój kubek z kawą.

- Siobhán? - Sally spojrzała na nią pytająco. - Czy wszystko w porządku?

- Tak, tak - odparła szybko Siobhán. - Wszystko okej. - Spojrzała na zegarek. - Bardzo przepraszam, ale muszę już wracać. Za kilka minut mam spotkanie.

- Oczywiście - skinęła głową Sally. - Nie chciałam pani tak długo zatrzymywać.

- Wszystko w porządku - odparła Siobhán. - Było bardzo miło.

- Mnie również - Sally zaskoczyła jej własna wypowiedź. Jak mogło jej być miło siedzieć tutaj i rozmawiać z policjantką? Ale tak było. - Kiedy weźmie pani odciski palców Franka? - zapytała, zabierając swoje rzeczy.

- Jeszcze nie wiem - odparła Siobhán. - Jak znajdę czas.

- No tak, on i tak na razie nigdzie się raczej nie wybiera - powiedziała cierpko Sally.

- Mam nadzieję, że już niedługo obudzi się z tej śpiączki - odpowiedziała jej Siobhán.

- Wie pani co? Ja wcale nie jestem już tego taka pewna.

Sally z trudem przełknęła ślinę i wyszła na ulicę.

Iona bała się wizyty na komisariacie policji. Od lat nie była w Bray. Choć to nadmorskie miasteczko wcale nie leżało tak daleko, nikogo tam nie знаła i nie miała powodu, żeby tam jeździć. Czysto bywała tam jako dziecko latem z rodzicami i gdy teraz wjeżdżała do miasta, powróciły do niej fragmenty wspomnień ze spacerów nad brzegiem morza.

Zaparkowała przed komisariatem, zajmując ostatnie wolne miejsce na parkingu dla gości, i szybkim krokiem weszła do budynku. Dyżurny policjant spojrział na nią z zainteresowaniem, gdy powiedziała, że przyszła się zobaczyć z detektyw Siobhán Farrell. Iona poczuła wtedy, że się rumieni. Przypuszczała, że wszyscy na posterunku znają jej sytuację, i pomyślała, że każdy z nich z pewnością uważa, że jest strasznie głupia. Policjant jednak nic na ten temat nie powiedział, poprosił ją tylko, żeby usiadła i poczekała, a on skontaktuje się z detektyw Farrell.

Iona usiadła na drewnianym krześle i rozmasowała sobie kark. Od dnia wypadku Franka wciąż bolała ją głowa. Czasem bardziej, czasem mniej. Ból wciąż pulsował w tyle głowy i Iona nie miała pojęcia, kiedy wreszcie ustąpi.

Pięć minut później Siobhán weszła do poczekalni i poprosiła Ione, żeby za nią poszła. Zaprowadziła ją do pokoju, w którym poprzedniego dnia wysłuchiwała zeznań Sally, by przeprowadzić z nią identyczną rozmowę. Wkrótce jednak zorientowała się, że młodsza z kobiet jest o wiele bardziej rzeczowa w odniesieniu do całej sprawy niż Sally. Wyglądało na to, że Iona szybciej sobie z tą sytuacją poradziła, nawet jeśli pod jej oczami wciąż widniały olbrzymie cienie.

- Oczywiście nie wiem nawet, czy prokuratura wniesie w tej sprawie oskarżenie - powiedziała Siobhán do Iony, uprzedzając pytanie, które zadała jej wczoraj Sally. - Biorąc pod uwagę obecny stan Franka, wydaje się to mało prawdopodobne. Z drugiej strony to przestępstwo zagrożone karą więzienia.

Iona bez słowa pokiwała głową.

- Naprawdę mi przykro - powiedziała Siobhán. - To musi być dla pani bardzo trudne.

- Och, na miłość boską! - Iona spojrzała na nią z rozpaczą. - To nie jest trudne, to jest po prostu niemożliwe!

- Niestety...

- Nie tak dosłownie - przerwała Iona. - Oczywiście, że to jest możliwe w tym sensie, że on ewidentnie to zrobił. Tylko że... tylko że nie mogę uwierzyć, że znalazłam się w takiej sytuacji.

- Rozumiem - powiedziała Siobhán.

- Hm..., a ja myślę, że mało kto może to zrozumieć - odparła Iona. - Jestem pewna, że zna pani wiele żon kryminalistów, które przeżyły szok, dowiadując się, że ich mężowie napadli na bank czy coś takiego. To jednak nie to samo, co dowiedzieć się, że twój mąż wcale nie jest twoim mężem.

Siobhán się skrzywiła.

- Wie pani, na czym polega problem? - spytała Iona.

- Nikomu nie mogę powiedzieć, co się stało. To jest właśnie problem.

- Jak to?

- Nie chodzę teraz do pracy. Powiedziałam im, że złapałam jakiegoś wirusa, ale że niedługo wracam. Nie mogę im powiedzieć, że Frank miał wypadek, bo chcieliby przesłać mu kwiaty, a jaki to ma sens? Nie wiem, jak mam im powiedzieć, że nie jest i że nigdy nie był moim mężem! Pomyślą, że zwariowałam. Szczerze mówiąc, sama tak myślę! Ja niczego się nie domyślałam.

- Jestem pewna, że rozumieją - powiedziała Siobhán.

- Och, proszę dać spokój - Iona była zniecierpliwiona.

- Oczywiście, że nie rozumieją.

- No tak, ale jestem pewna, że okażą współczucie - poprawiła się Siobhán.

- Nie chcę współczucia - gwałtownie rzuciła Iona. - Chcę pewności. Chcę wiedzieć, kiedy jego stan się poprawi, i chcę wiedzieć, dlaczego to zrobił, ale nikt nie może odpowiedzieć mi na żadne z tych pytań, a to doprowadza mnie do szału.

Siobhán kiwnęła głową.

- Rozumiem to, naprawdę. Może chodźmy na kawę. Znam w Bray pewne przyjemne miejsce.

Kawiarnia była zatłoczona, ale udało im się znaleźć ostatni wolny stolik.

- Nie wiem, co mam robić - powiedziała Iona, dosypując cukier do kawy latte (Siobhán była nieco zaskoczona, że Iona zamówiła taką samą kawę, co Sally). - Chodzi mi o to, że gdybyśmy byli małżeństwem i dowiedziałabym się o kimś trzecim, mogłabym się rozwieść. Ale w tej sytuacji... hm... w tej sytuacji jest tak, jakby nagle po prostu zniknął z mojego życia. Nie mogę nawet pójść do szpitala i nie mam nic do powiedzenia w sprawie jego leczenia.

- Naprawdę?

- Pewnie mogłabym się upierać - stwierdziła Iona. - Mój adwokat chce, żebym próbowała. Ale tak szczerze mówiąc, jaki to ma sens? Od osiemnastu lat jest mężem Sally! A ja znam go dopiero od pięciu. - Wypiła łyżeczek kawy. - A poza tym oni mają córkę. Jak by się czuła, widząc mnie tam?

Siobhán spojrzała na nią współczująco.

- Rozumiem, jakie to trudne.

- Jakaś część mnie chce tam być, ale druga część nigdy więcej nie chce go widzieć - powiedziała Iona, masując sobie kark. Ból głowy znowu stał się dokuczliwszy.

- Myślę, że Sally na pewno jakoś by się z panią dogadała - powiedziała Siobhán.

- Chyba pani żartuje! - prychnęła Iona. - Przecież niemal pobiliśmy się w szpitalu. Nie pamiętam dokładnie, co sobie powiedziałyśmy, ale z całą pewnością nie było to nic miłego.

- Od tamtej pory emocje nieco opadły - odparła Siobhán. - A Sally jest całą tą sytuacją równie zniesmaczona co pani. Proszę nie zapominać, że on oszukiwał również ją. Na pewno jest z tego powodu wściekła.

Iona przygryzła wargę.

- Pewnie tak.

- Być może się mylę - powiedziała Siobhán - ale chyba nikomu nie zaszkodzi, jeśli zadzwoni pani do niej i sprawdzi, czy nie możecie się jakoś dogadać.

- Nie jestem pewna, czy tego chcę - przyznała Iona.

- Część mnie czuje, że on mógłby po prostu zgnieć w tym szpitalu i nic by mnie to nie obchodziło.

- To zależy od pani.

- Pomyślę o tym - powiedziała Iona. Przez chwilę patrzyła w dal. - Wie pani, od naszej poprzedniej rozmowy wciąż od nowa się zastanawiam, co on zyskał, żeniąc się ze mną.

Siobhán spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Też się nad tym zastanawiam - przyznała.

- Mógł mi powiedzieć, że jest żonaty, że jego życie rodzinne jest do dupy i tak dalej... A ja... ja prawdopodobnie bym mu uwierzyła. Być może zostałabym jedną z tych cudownych kochanek, które zapewniają biednemu zestresowanemu mężczyźnie oazę spokoju i świetny seks - wzruszyła ramionami.

Siobhán nic nie odpowiedziała.

- Ale wtedy pomyślałam, że może po prostu chciał mnie mieć dla siebie.

Siobhán uniosła brew.

- Ma silne poczucie własności. I było nam w łóżku wspaniale. Może nie chciał myśleć, że mogłabym to robić z kimś innym.

Siobhán przełknęła ślinę. Nagrodą za jej starania, by być ciepłą i współczującą dla tych dwóch kobiet, był zbyt intymny wgląd w ich życie seksualne!

- On po prostu ma coś w sobie - westchnęła Iona.

- Umie się obchodzić z kobietami.

- Na to wygląda - Siobhán nie potrafiła ukryć ironii w swoim głosie.

- Niech pani posłucha, wiem, że pani pewnie uważa Sally i mnie za wariatki - rzuciła Iona - ale musi pani zrozumieć, jak to było. Frank... on jest wyjątkowy. Mogę być na niego wściekła, w tej chwili chyba nawet więcej niż wściekła, ale nie mogę... nie potrafię tak naprawdę go nienawidzić. Chcę, ale nie umiem. Przeżyłam z nim cudowne chwile... - Iona załamał się głos. Dokończyła kawę i z żalem popatrzyła na Siobhán. - Chyba lepiej już pójdę. Przepraszam, jeśli trochę się rozgadałam.

- Wszystko w porządku - odparła Siobhán. - Rozmowa pomaga.

- Jestem pewna, że ma pani lepsze rzeczy do roboty niż wysłuchiwanie moich wynurzeń - powiedziała Iona.

- Zawsze jest coś do zrobienia - odpowiedziała Siobhán.

- Ale jeśli kiedykolwiek będzie pani chciała ze mną o tym porozmawiać, bardzo proszę zadzwonić.

- To ja go poprosiłam, żeby się ze mną ożenił - powiedziała nagle Iona. - Praktycznie go do tego zmusiłam. To nie był jego pomysł.

Siobhán nie uświadomiła Ionie, że każdy dobry kanciarz umie sprawić, by człowiek myślał, że daną decyzję podejmuje sam. Kiwnęła tylko głową, przyjmując stwierdzenie kobiety do wiadomości.

- Dziękuję za kawę - kiedy Iona się uśmiechnęła, Siobhán zrozumiała, co Frankowi mogło się w niej podobać. Ciemne oczy rozjaśniły się i nabrały nieco szelmowskiego wyrazu. I choć twarz wciąż była blada, uśmiech całkowicie ją odmienił.

Iona wyciągnęła rękę, Siobhán ją uścisnęła.

- Przypuszczam, że będziemy w kontakcie? - spytała Iona. - Gdyby były jakieś nowe wiadomości...

Siobhán skinęła głową.

- Oczywiście. W międzyczasie, proszę o siebie dbać - dodała.

- Tak, oczywiście - Iona uśmiechnęła się przelotnie, po czym wyszła na ulicę.

Rozdział 15

W drodze powrotnej na parking Siobhán myślała o tym, jakimi złudzeniami karmiły się Sally i Iona, co do swoich związków z Frankiem. Przecież nie mógł kochać ich tak samo. I z pewnością nie mógł też z każdą z nich być w łóżku aż tak dobry. Czy nigdy nie czuł zmęczenia? Czy nigdy nie wyrwało mu się nie to imię, co trzeba? Jak to możliwe, że tak po prostu przelączał się z jednej żony na drugą?

Czy jest jakaś szansa, choćby najmniejsza, że taki układ, dwie kobiety i mężczyzna, ewidentnie kochający je obie, czynił ich wszystkich szczęśliwszymi? Bo zarówno Sally, jak i Iona, żyjąc z Frankiem, wydawały się zadowolone i spełnione, przynajmniej do tej pory. I obie zgodnie twierdziły, że był świetnym kochankiem.

Siobhán głęboko westchnęła. Czegóż by w tym momencie nie dała za wspaniały seks. Co prawda nie była gotowa, by w tym celu podzielić się Eddiem z kimś innym, ale żony pana Harpera miały przynajmniej pewność co do tego aspektu swoich relacji z mężem. Natomiast u niej i Eddiego... Westchnęła jeszcze raz. W sprawach łóżkowych coś się między nimi zupełnie popsuło.

Nie uświadamiała sobie tego jeszcze dzień po jego powrocie z Bostonu. Oczywiście było jej przykro, że nie miał ochoty kochać się z nią namiętnie od razu po swoim przylocie, ale rozumiała, że mógł być wykończony. Następnego dnia jednak spodziewała się, że odkorkują butelkę z szampanem, zapalą świece i trochę poświntuszą. W każdym razie, że to zrobią. Bo choć nigdy nie byli w łóżku szczególnie odkrywcy, to jednak zawsze dobrze się bawili w zwykły, uświęcony tradycją sposób. Od czasu do czasu Siobhán przejmowała inicjatywę i dodawała ich igraszkom nieco pikanterii, jak na przykład wtedy, gdy przykuła Eddiego do łóżka kajdankami (choć tak naprawdę nie do końca mu się podobało, że jest pod jej całkowitą kontrolą, więc nie było tak fajnie, jak się spodziewała), ale zwykle całkowicie uszczęśliwiał ich tradycyjny seks po ciemku i pod kołdrą.

Tyle że nic z tego nie wyszło. Ani w niedzielę, ani w poniedziałek. Odkąd wrócił, nie kochali się jeszcze ani razu. Próbowwała pocałować go i przytulić się, ale za każdym razem odwracał się od niej i mówił, że zupełnie nie ma ochoty. A kiedy ostatniej nocy zapytała go wprost, co się do cholery dzieje, odparł, że przecież nie muszą codziennie pieprzyć się do nieprzytomności i że ma ostatnio ogromnie stresującą pracę, i czy nie mogłaby dać mu się trochę przespać.

Siobhán była zaszokowana tonem jego głosu. Zapytała go, czy coś się stało, czy powiedziała albo zrobiła coś, co go zdenerwowało. A on odwrócił się na plecy i stwierdził, że największy problem, jaki mężczyzna może mieć z kobietą, polega na tym, że ona chce szczegółowo analizować każdy drobiazg w ich życiu, i że nie, nic złego nie powiedziała ani nie zrobiła, ale czy mogłaby wreszcie przestać przesłuchiwać go jak jakiegoś cholernego przestępcę.

Siobhán musiała powstrzymać napływające do oczu łzy, gdy sobie przypominała, jak niemiło brzmiał wtedy jego głos i jak ostentacyjnie się od niej odwrócił. Zastanawiała się, co do diabła, wydarzyło się w Bostonie, bo przecież do wyjazdu wszystko było w porządku. Czy kogoś tam poznał? Czy bał się jej przyznać? Ale Eddie nigdy dotąd nie bał się niczego jej powiedzieć. Zawsze byli wobec siebie szczerzy i otwarci. Wiedzieli, co każde z nich lubi, a czego nie znosi. Dobrze im było razem. Więc o co, do diabła, chodzi?

Może przestała mu się podobać. Nie wiedziała, co miałyby zrobić, gdyby tak po prostu przestała go pociągać. Nie chciała go stracić. Dopóki nie wyjechał, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo go kocha.

Przeszła przez jezdnię i skręciła na parking. Jej uwagę przyciągnęła jednak wystawa pobliskiego sklepu. Musieli otworzyć go niedawno, bo pamiętała, że w tym miejscu był wcześniej bar z kanapkami na wynos. Teraz urządzono tam butik z bielizną, a na wystawie na miękkim białym puchu falowały koronki i zwiewne szyfony w pastelowych kolorach.

Czy to by pomogło, zastanawiała się Siobhán, gdyby założyła dla Eddiego zmysłową bieliznę zamiast swoich poszarzałych majtek i mocno zabudowanego biustonosza? Czy wtedy znów chciałby się z nią kochać? Oczywiście nie zawsze nosiła skromną bieliznę, ale do pracy zakładała zwyczajne białe lub czarne majtki z lycrą, a do tego równie zwyczajny zabudowany stanik. Miała (jak to określił na jednej z ich pierwszych randek Eddie) piękny biust, który wymagał dobrego podtrzymania. I Siobhán mu to zapewniała. Po powrocie do domu nie przebierała się jednak, mimo że jej codzienna bielizna raczej nie rzucała na kolana.

Czy tu chodzi o mnie, zastanawiała się. Czy jestem tak zajęta pracą, że zapomniałam, jak to jest być kobietą? W końcu żeby być dobrym gliną, nie muszę nosić brzydkiej bielizny. A to być może ona sprawia, że jestem beznadziejną dziewczyną.

Zawahała się jeszcze przez moment, po czym popchnęła drzwi do sklepu. Rozległ się elegancki dźwięk dzwonka i z zaplecza wyszła kobieta mniej więcej w wieku Siobhán. Uśmiechnęła się do niej zachęcająco i Siobhán poczuła, jak się czerwieni.

- Tylko się rozglądam - powiedziała szybko i jednocześnie strąciła na podłogę kilka par fig. Poczula, że jej twarz oblewa rumieniec. - Przepraszam.

- Nie ma problemu - odparła sprzedawczyni, zbierając figi z podłogi. - Trochę tu ciasno. - Zaczęła z powrotem rozwieszać mikroskopijne majteczki na wieszaku. - Potrzebuje pani czegoś konkretnego?

Siobhán wpatrywała się w niemal pozbawiony materii skrawek koronki, który sprzedawczynie trzymała w ręku. Z całą pewnością potrzebuje czegoś większego, choć jednocześnie seksownego. Ale żeby zakryć swój obfity zadek musi mieć coś więcej niż strzępek materiału. Odchrząknęła.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Szukam czegoś... hm... ładnego.

- Mamy mnóstwo ładnych rzeczy! - sprzedawczynie uśmiechnęła się do niej. - A także kilka nieprzyzwoitych.

- Jak bardzo nieprzyzwoitych? - Siobhán poczuła, jak znowu się czerwieni, więc upomniała się w myślach, że przecież, na miłość boską, jest policjantką i nic nie może być dla niej zbyt nieprzyzwoite.

- Mamy figi bez kroku i biustonosze z otworami na piersi - odpowiedziała sprzedawczynie. - Bardzo gustowne. Wszystkie nasze rzeczy są gustowne i bardzo dobrej jakości.

Czy Eddiego podnieciłyby figi bez kroku? Siobhán przygryzła zębami dolną wargę.

- Ale mamy też wspaniały wybór baskinek i koronkowych szortów do kompletu - mówiła dalej sprzedawczynie.

- Świetnie by pani wyglądała w baskince - dodała. - Ma pani odpowiedni biust.

- Chodzi pani o to, że jestem wielka i zwalista? - zasugerowała Siobhán.

- Ależ skąd! - sprzedawczynie wyglądała na przerażoną. - Ma pani zmysłowe kształty. I powinna je pani podkreślać.

Siobhán prychnęła.

- Nawet gdybym rzeczywiście miała zmysłowe kształty, w ciągu dnia nie powinnam ich specjalnie podkreślać.

- Każdy może i powinien przez cały czas wyglądać jak najkorzystniej - odparła stanowczo sprzedawczynie. - Ale oczywiście, jeśli szuka pani czegoś bardziej sportowego...

- Nie, nie - Siobhán szybko zaprotestowała. - Potrzebuję czegoś... czegoś ładnego.

- A przymierzała pani kiedyś baskinkę? Siobhán pokręciła przecząco głową.

- Zobacz pani, że się pani spodoba. Będzie pani w niej fantastycznie wyglądać! - kobieta przeszła przez malutki sklep i podeszła do innego wieszaka. - Proszę spojrzeć na te. Są naprawdę wyjątkowe. - Wybrała baskinkę ozdobioną czarną i kremową koronką i trzymała ją w górze, żeby Siobhán mogła jej się przyjrzeć. - Koronka Chantilly. Bardzo modna i wcale nie taka droga.

Policjantka przyjrzała się baskince. Podobnie jak pozostałe rzeczy w sklepie, wydawała jej się strasznie delikatna.

- Oczywiście, jeśli woli pani coś bardziej... bardziej konkretnego... - sprzedawczynie przyglądała się jej uważnie - to może pani przymierzyć tę. - Wzięła z wieszaka biustonosz z czerwonej koronki. - To La Perla, więc z tych droższych, ale warta swej ceny. Proszę dotknąć i przekonać się, co za jakość! - I - dodała - doskonale podkreśla dekolt. Czyli idealnie dla pani! Nosi pani 75C, prawda?

Siobhán skinęła głową, ale nadal nieufnie przyglądała się baskince.

- A gdyby pani chciała coś bardziej fikuśnego - sprzedawczynie uśmiechnęła się do niej i otworzyła szufladę - to mogę zaproponować starego dobrego Agent Provocateur.

Siobhán aż zmrużyła oczy z niedowierzania, gdy zobaczyła, jak sprzedawczyni wyciąga coś, co wyglądało jak pęk pasków z PCW.

- Nazywają to figlarnym komplecikiem - powiedziała sprzedawczyni, wręczając Siobhán ulotkę. - Te malutkie wałeczki zakłada się na piersi.

- Chyba pani żartuje - Siobhán patrzyła na zdjęcie modelki mającej na sobie tylko te paski z PCW i dwa frędzle zwisające z brodawek sutkowych. - Ludzie to kupują? Tutaj? W Bray?

- Oczywiście, że tak - odparła sprzedawczyni. - W końcu każdemu przydaje się odrobina ożywienia w życiu seksualnym, prawda? Który mężczyzna oparłby się pani ubranej w coś takiego?

Pewnie Eddie, pomyślała ponuro Siobhán. Patrzyła na komplety bielizny rozłożone przed sobą na ladzie. Sprzedawczyni dołożyła do nich jeszcze dwie baskinki, jedna wyglądała tak, jakby pochodziła prosto z fantazji porno.

- Wszystko, oczywiście, zależy od mężczyzny - ciągnęła sprzedawczyni. - Niektórzy lubią dominujące kobiety, a inni wolą, żeby wyglądały raczej bezradnie.

A co woli Eddie, zastanowiła się Siobhán. Czy chciał dominować? Czy pragnął, by wyglądała bezradnie? Nie podobały mu się kajdanki, więc pewnie czarna skóra i pejcz też by go nie pobudziły. Mimo to nie mogła sobie wyobrazić siebie jako słodkiej dziewczyny w czarnej i kremowej koronce.

- Mam też śliczną baskinkę Moschino - mówiła dalej sprzedawczyni. - Właśnie ją dostaliśmy. Ciemna koronka z delikatnym srebrnym zdobieniem. Cudowna. Do tego figi typu tanga albo, jeśli pani woli, szorty. W nich przynajmniej nie wygląda się jak z rozkładówki „Playboya”.

Siobhán popatrzyła na baskinkę. Sprzedawczyni miała rację. Jeśli cokolwiek z tych fatalasek w ogóle mogło do niej pasować, to najprawdopodobniej była to ta baskinka. Wyglądałaby w niej seksownie, ale nie ulegle. Uwodzicielsko, ale nie szmirowato.

- Ile kosztuje? - zapytała Siobhán i mało nie zemdląła, gdy sprzedawczyni udzieliła odpowiedzi. Ale przecież, pomyślała, inwestuję w swoją przyszłość. Może właśnie dzięki temu ocalę nasz związek. Wyjęła więc kartę kredytową i szybko podała sprzedawczyni, żeby się nie rozmyślić.

- Weźmie pani figi czy szorty? - zapytała sprzedawczyni.

Nie mogła się zdecydować na figi, naprawdę nie mogła. Chciała jeszcze raz uwieść Eddiego, a nie wystraszyć.

- Szorty - odpowiedziała.

- Może pani przymierzyć baskinkę - powiedziała sprzedawczyni. - Może lepiej sprawdzić, czy pasuje. Chociaż jestem pewna, że będzie świetnie na pani leżeć.

Siobhán pokręciła głową. Nie miała ochoty, żeby ta kobieta zaglądała do przebieralni i widziała, jak jej ciało wylewa się spod jedwabiu i koronki. Przymierzy w domu i ma, do cholery, nadzieję, że nie wydała połowy swojej pensji na bezużyteczną szmatkę. Bo jeśli nie będzie pasować, nie zdobędzie się na odwagę, żeby przyjść tu jeszcze raz.

Przyglądała się, jak sprzedawczyni zgrabnie pakuje jej nabytek w stos bibulek, a potem wkłada do dyskretnego pudełeczka.

- Mamy też różne zabawki - dodała - jeśli szuka pani urozmaicenia.

Siobhán nie była pewna, jak Eddie zareagowałby na taki pomysł. W dzisiejszych czasach takie sekszabawki to dla wielu ludzi zupełnie normalna i akceptowalna rzecz, ale akurat nie dla nich. Więc gdyby przyniosła do domu coś takiego... Pokręciła głową. - Może nie tym razem - powiedziała.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Miłej zabawy! Będzie pani w tym wspaniale wyglądać.

- Postaram się - wymruczała Siobhán.

Po drodze na parking zatrzymała się jeszcze raz, żeby zajrzeć do sklepiku z wyposażeniem wnętrz. Kupiła trochę świec zapachowych i aromatycznych olejków. Może nie są to zabawki, o jakich wspomniała sprzedawczyni w sklepie z bielizną, ale odpowiedni nastrój na pewno nie zaszkodzi. Eddie nawet się nie zorientuje, co tak na niego podziało, pomyślała, ponownie sięgając po kartę kredytową. Jej zmysłowość musi na niego podziać, bo jeśli w ten sposób nie wprowadzi do ich życia seksualnego jakiegoś ożywienia, to nie miała pojęcia, co mogłoby pomóc.

Gdy wróciła na posterunek, wzięła książkę telefoniczną i poszukała firm oferujących sprzątanie. Zadzwoniła do tej, która miała największe ogłoszenie, i pewna aprobaty Eddiego, umówiła się, że dwa razy w miesiącu przyjdą posprzątać ich mieszkanie. W końcu, pomyślała, odkładając słuchawkę, jeśli ma być boginią seksu, to trudno oczekiwać, żeby całymi dniami zmywała i szorowała. Przecież musi być w odpowiednim nastroju. Szczerze mówiąc, to już teraz była podniecona perspektywą przeobrażenia się tego wieczoru dla Eddiego. Może za dużo czasu spędzam na byciu twardą w pracy, a zdecydowanie za mało na byciu uległą w domu, pomyślała.

Skupiła uwagę na teczkach leżących na jej biurku i starała się nie myśleć o seksie. Musiała przejrzeć kilka akt, które przyszły z prokuratury, a także napisać raport z dochodzenia w sprawie prania brudnych pieniędzy. I musiała też, oczywiście, dokończyć pracę nad sprawą Franka Harpera. To, że znajduje się w śpiączce, wcale nie zmienia faktu, że to łajdak, pomyślała. A te jego żony są naprawdę miłe. Polubiła je obie, choć początkowo była skłonna uważać, że pokrzywdzona jest starsza. Pamiętała wieczór, gdy powiadomili Sally o wypadku, i to, jak bardzo się wtedy zdenerwowała, więc w naturalny sposób to właśnie tej kobiety było jej żal. Ale potem, gdy poznała Ionę, wobec niej również poczuła współczucie. Iona wydawała się silniejsza od Sally, ale Siobhán wcale nie była pewna, czy tak naprawdę jest. Ni stąd ni zowąd zaczęła się zastanawiać, co Iona zrobiłaby z mężczyzną, który nie chciałby się z nią kochać. Pomyślała, że pewnie po prostu by odeszła. W końcu zwyczajnie przestała przychodzić do Franka do szpitala, co dowodzi, że potrafi podejmować trudne decyzje. Prawdopodobnie Eddiemu też nie dałaby drugiej szansy.

Siobhán zmarszczyła brwi. To nie była kwestia, czy dać mu drugą szansę, czy nie. Chodzi o poradzenie sobie z czymś, co się stało problemem, choć ona nie rozumiała dlaczego.

- Cześć Siobhán! - do pokoju wszedł Larry Masterson, jej partner i usiadł przy swoim biurku. - Pewnie nie możesz się doczekać jutra?

Siobhán spojrzała na niego zaskoczona, po czym jęknęła. Była tak zajęta Ioną, Sally i swoimi własnymi kłopotami z Eddiem, że zupełnie zapomniała o swoim jutrzejszym wystąpieniu w sądzie. Pomyślała, że przynajmniej taki z tego wszystkiego pożytek, iż nie miała czasu się zdenerwować. Postukała długopisem o zęby i z determinacją pokręciła głową. Musi przygotować się na jutro. Ale dziś wieczorem zajmie się Eddiem.

Do domu dotarła przed nim, tak jak się spodziewała, bo po pracy miał zaplanowane wyjście z klientem na drinka. Choć tym razem nie rzuciła się do sprzątanania z takim zapałem jak ostatnio, to jednak trochę ogarnęła mieszkanie, zwłaszcza sypialnię, skąd zabrała stopy ubrań rzuconych na stojący w rogu fotel, a następnie bez cienia litości wyrzuciła do kosza stertę do połowy zużytych lub ledwo napoczętych słoiczków z kremami. Nie lubiła wyrzucać czegoś, co nie zostało do końca wykorzystane, ale pomyślała, że skoro nie używała ich przez ponad miesiąc, to teraz nie może ich żałować! Ubrania z kosza na brudną bieliznę załadowała do pralki, ale stwierdziła, że nie będzie jej włączać. Lepiej żeby upojnych chwil namiętności nie przerywało im astmatyczne charkotanie pralki przechodzącej na cykl wirowania.

Świece zapachowe włożyła do szklanych miseczek. Następnie z namysłem porozstawiała je w salonie i sypialni. Potem poszła do malutkiej łazienki i wzięła prysznic, używając mydła Chanel, które kupiła w zeszłym roku na lotnisku w drodze na wakacje do Hiszpanii, ale go prawie w ogóle nie używała, bo było tak cholernie drogie. Gdy się wycierała, poczuła, jak cała ładnie pachnie, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego go, do diabła, nie używała, bez względu na to, ile kosztowało, bo przecież i tak niewiele było z niego pożytku, jak tak sobie leżało i leżało na półce.

Wróciła do sypialni i wyciągnęła z pudełka swój najnowszy nabytek.

Sprzedawczyni miała rację. W czarno-srebrnej baskince wyglądała niezwykle zmysłowo. Trochę jak kobieta z epoki Tudorów, pomyślała, patrząc na krągłe kule swych białych piersi wychylających się z nad miseczek biustonosza. Była zadowolona, że zdecydowała się na szorty. W figach wyglądałaby jak kurczak obwiązany do pieczenia.

Ściągnęła włosy do tyłu i spięła je na czubku głowy. We wszystkich romantycznych powieściach, jakie przeczytała jako nastolatka (czyli dwóch romansach historycznych, przez które z trudem przebrnęła, zanim przeczuciła się na kryminały), bohaterki pozwalały bohaterowi rozpuścić swoje włosy. Ewidentnie opadające na twarz włosy działały na mężczyzn bardzo podniecająco, a ona zamierzała tego wieczora wznieść się na wyżyny zmysłowości.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Eddie zapowiedział, że będzie w domu przed dziesiątą. Miała nadzieję, że tego wieczoru się nie spóźni, ani że nie wypił na tyle dużo alkoholu, by wszystkie jej starania poszły na marne. Założyła szlafrok (też go musi wymienić, jeśli namiętne noce miałyby stać się regułą, bo był zdecydowanie sfatygowany) i usiadła z książką na brzegu łóżka.

Było prawie wpół do dziesiątej, gdy usłyszała klucz w drzwiach. Ściągnęła z siebie szlafrok i położyła się na łóżku, przyjmując pozę, która jak miała nadzieję, była prowokująca i zachęcająca do zabawy, a jednocześnie wyrażająca wrażliwość i uległość.

Drzwi się otworzyły i Eddie wszedł do sypialni. Na jej widok twarz mu pobladła.

- Jezu Chryste, kobieto - wydusił z siebie w końcu. - Co ty, do cholery, wyprawiasz?

- Czekam na ciebie - odpowiedziała Siobhán, starając się, by jej głos brzmiał zmysłowo. - Wiem, że miałeś dziś bardzo długi i pracowity dzień, ale szykuje ci się też długa i pracowita noc.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Chyba nie wzięłaś z komisariatu całego zapasu skonfiskowanych substancji odurzających?

- Oczywiście, że nie - Siobhán porzuciła prowokacyjną pozę i usiadła prosto. - Pomyślałam tylko, że... że tobie... to się spodoba. I tyle.

Eddie nadal się w nią wpatrywał.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał. - Czy kiedykolwiek dałem ci do zrozumienia, że chciałbym, żebyś się ubrała jak dziwka?

- Nie jestem ubrana jak dziwka! - krzyknęła. - To bardzo ładna bielizna. Wiele kobiet taką nosi.

- Ale one nie są tobą - odparł Eddie.

- Świetnie - zsunęła nogi z łóżka. - Po prostu świetnie. A ty pewnie właśnie nimi jesteś zainteresowany. A nie mną. Nie wiem, kim dla ciebie jestem, Eddie, ale z pewnością nie twoją dziewczyną. Wszystko, co robię, jest źle, wszystko, co oferuję, ci nie odpowiada. No cóż! Każdy normalny facet ucieszyłby się, gdyby jego dziewczyna powitała go po podróży służbowej szampanem i seksem, ale ty wolałeś pójść spać. Każdy normalny facet ucieszyłby się, gdyby jego dziewczyna kupiła najbardziej niewygodną na świecie bieliznę tylko po to, żeby mu się spodobać, ale ty nie. Więc wniosek jest prosty. Masz kogoś innego. Kim ona jest? Poznałeś kogoś? A może to ta dziewczyna z twojego biura, jak ona się nazywa, Carol McClelland? Ta, która według ciebie wygląda jak sierotka potrzebująca opieki? O to chodzi? To ci się bardziej podoba?

- Na miłość boską, Siobhán, oczywiście, że nie!

- Och, naprawdę? Dlaczego to ma być oczywiste? Jesteś ważnym biznesmenem. Pewnie lubisz bezradne kobiety. Założę się, że szczęka by ci opadła, gdyby Carol zakreśliła się przed tobą w baskince i takich koronkowych szortach!

- Do cholery, wcale nie! - głośno zaprotestował Eddie.

- Nie? Więc nie jesteś zainteresowany ani mną, ani nią? Więc o co, do diabła, chodzi, Eddie? Interesują cię faceci?

- Nie bądź śmieszna.

- To nie ja jestem śmieszna! - Siobhán mówiła podniesionym tonem. - Chcę, żeby było normalnie, to wszystko. Chcę chłopaka, który wraca do domu po pięciu tygodniach nieobecności i kocha się ze mną. Nie sądzę, żeby było w tym coś śmiesznego.

- Nie mogę o tym teraz rozmawiać - powiedział Eddie z napięciem w głosie. - Po prostu nie mogę.

- A kiedy? - zapytała Siobhán. - Dlaczego mamy udawać, że wszystko jest w porządku, skoro ewidentnie nie jest?

- Nie chcę udawać, że wszystko jest w porządku. Ja po prostu... po prostu...

- Po prostu co?

- Nie mogę o tym rozmawiać - powtórzył Eddie. - Ja... muszę wyjść. - Odwrócił się i zaczął iść do drzwi.

- Ani się waż! - krzyknęła Siobhán, biegnąc za nim. - Ani się waż teraz wyjść!

Ale on zdążył już otworzyć drzwi mieszkania.

- Na miłość boską, Eddie - wyszła za nim. - Jeśli teraz o tym nie porozmawiamy, nigdy tego nie zrobimy.

Zawahał się, ale potem poszedł korytarzem w stronę schodów.

- Eddie! - Siobhán ruszyła za nim, ale zaraz zawróciła, bo usłyszała, jak zatrzaskują się za nią drzwi do mieszkania. Uświadomiła sobie, że stoi na korytarzu w baskince i koronkowych szortach. I że nie ma klucza.

Nie może się rozplakać. To teraz najważniejsze. Jeśli któryś z sąsiadów otworzy drzwi, nie chce, żeby ją zobaczył łkającą w bieliźnie. Musi tylko zachować spokój. Szkolono ją w zachowywaniu spokoju w trudnych sytuacjach. Policjanci muszą to umieć.

TLR

Rozdział 16

Na dźwięk telefonu Iona aż podskoczyła na fotelu. Siedziała, wpatrując się w telewizor i popijając wino, ale tak naprawdę niewiele do niej docierało z programu historycznego, który akurat wyświetlano. Znajdujący się przed nią ekran wyglądał jak jakaś barwna plama, a słowa narratora brzmiały jak nic nie znaczący bełkot. Gwałtownym ruchem chwyciła za słuchawkę i wstrzymując oddech powiedziała:

- Słucham?

- Iona, kochanie, to ja.

Serce Iony zamarło. Nie żeby nie miała ochoty porozmawiać z matką, tylko tak trudno byłoby jej wszystko wyjaśnić. Bóg jeden wie, co Lauren już jej opowiedziała i w jakim świetle przedstawiła całą tę sprawę.

- Skarbie, dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała szybko. - Wszystko w porządku.

- Nie może być w porządku - stwierdziła Flora. - Kto przy zdrowych zmysłach mógłby czuć się dobrze po tym, co cię spotkało?

- Och, zdarzają się gorsze rzeczy. - Choć akurat w tym momencie Iona nie była w stanie niczego takiego wymyślić.

- Ktoś bardzo ci bliski jest ciężko chory - powiedziała Flora.

- To jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą spotkać człowieka.

- Nie, mam - odpowiedziała Iona zdławionym głosem.

- Gorsze jest to, że on wcale nie był mi bliski.

- Oczywiście, że tak - stwierdziła stanowczo Flora. - Kochałaś go, a on kochał ciebie.

- Nie bądź naiwna - odparła Iona. - Wykorzystał mnie i to wszystko.

- Kochał cię. Widziałam to, jak byliście u nas - powiedziała Flora.

- Ale uważałaś, że jest w nim coś dziwnego.

- Nie. Pomyślałam tylko, że jest taki... pełen rezerwy - odparła Flora - co teraz jest zrozumiałe, ale nigdy nie uważałam, że cię nie kocha.

- Nie miał prawa mnie kochać! - krzyknęła Iona. - Powinien był kochać Sally.

Flora nie odpowiedziała.

- Mam nadzieję, że umrze - powiedziała Iona.

- Naprawdę?

Przełknęła ściskając ją w gardle kulę.

- Zasłużył na śmierć. Nie zasłużył na to, żeby zostać warzywem.

- Może nie stanie się ani jedno, ani drugie.

- Nie wiem - Iona otarła oczy.

- Chcesz przyjechać do nas na kilka dni? - zapytała Flora. - Oderwać się od tego wszystkiego?

- Nie mogę - odpowiedziała Iona. - Muszę być tutaj, gdyby... w tej chwili nie mogę.

- Rozumiem - odparła Flora. - Wiesz, że zawsze możesz przyjechać. Tylko zadzwoń.

- Wiem.

- Chciałabym być teraz z tobą - powiedziała Flora. - Chciałabym cię objąć i przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

- Nic nie będzie dobrze - odpowiedziała Iona. - Ale mogę poudawać, że mnie właśnie przytulasz.

- Przyjechać do ciebie? - zapytała Flora. - Lauren ostrzegała mnie, żebym za wcześnie do ciebie nie dzwoniła i absolutnie zabroniła mi przyjeżdżać, ale...

- Nie - przerwała jej Iona. - Lepiej, żebym teraz była sama. Może później.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Okej - powiedziała Flora. - Uważaj na siebie, kochanie. Tata przesyła uściski. I pij wyciąg z jeżówki.

- Mam ochotę raczej na alkohol - odpowiedziała Iona, ponownie napełniając sobie kieliszek.

Flora zachichotała.

- Moja dziewczyna! Brawo!

Iona odłożyła słuchawkę i znów zaczęła się wpatrywać w ekran telewizora.

Siobhán w baskince i szortach stała niezdecydowana na korytarzu i trzęsła się z zimna. Super, pomyślała. Naprawdę super. Zastanowiła się, czy nie pobiec za Eddiem i nie zażądać, żeby przynajmniej wpuścił ją z powrotem do mieszkania, ale przypuszczała, że zdążył już dotrzeć do głównego holu budynku, a nie miała ochoty wbiegać tam w bieliźnie. Czasami narzekała, że ich blok jest taki bezduszny i że nigdy nikogo nie można spotkać, ale była pewna, że akurat dzisiaj wszyscy jakimś cudem zgromadziliby się nagle w tym cholernym holu, żeby ją zobaczyć w baskince i koronkowych szortach.

Otworzyły się jakieś drzwi, więc zamarała bez ruchu. Potem jęknęła. Ze wszystkich sąsiadów najbardziej nie chciała spotkać w tym momencie właśnie Carla O'Connora.

- Dobry Boże! - popatrzył na nią całkowicie zaskoczony, po czym jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. - No, jeśli to jest nowy uniform pani oficer, to jestem pewien, że kryminaliści będą się ustawiać w kolejce do aresztowania.

- Och, daj spokój, Carl - powiedziała tylko.

- Cóż, musisz przyznać, skarbie, że to zupełnie nowe podejście służb mundurowych - odparł. - To jakaś tajna akcja? To ma być przykrywa? Raczej niewiele przykrywa, co?

Nie odpowiedziała. Carl O'Connor był dziennikarzem. Na dodatek tego rodzaju, jakich najbardziej nie lubiła. Prowadził kolumnę pod tytułem „Kącik Carla” ze złośliwymi plotkami w jednym z niedzielnych tabloidów i równie złośliwą kolumnę „Carla to obchodzi” w jednej z popołudniówek. Opisywał tam rzekome krzywdy, jakich doznają zwykli mieszkańcy kraju, czyli kierowcy złapani na minimalnym przekroczeniu prędkości czy ludzie aresztowani za picie i naruszanie porządku publicznego, podczas gdy, przynajmniej według niego, mieli po prostu temperament, oraz wszelkie niesprawiedliwości ze strony państwa i systemu, jakie spotykają uczciwych i szanujących prawo obywateli. Siobhán nie przeczyła, że czasami zdarzają się niesprawiedliwości, ale irytowało ją, że Carl zawsze przedstawiał sprawę tylko z jednego punktu widzenia.

- No, mów - ciągnął Carl. - O co chodzi? Czy ktoś w naszym bloku prowadzi burdel?

Siobhán rzuciła na niego nerwowe spojrzenie.

- Zatrzasnęły mi się drzwi do mieszkania - powiedziała. - Mój... Eddie musiał szybko wyjść, a... a ja... chciałam coś od niego, ale już go nie dogoniłam, a drzwi się zatrzasnęły.

Carl przyglądał jej się uważnie swoimi niebieskimi oczami, aż poczuła, że się czerwieni.

- Wiesz co - powiedział - gdybym ja z tobą mieszkał, a ty łąziłabyś po mieszkaniu w tym ubranku, to nieważne, kto i w jakiej sprawie próbowałby mnie wyciągnąć z domu, kazałbym mu spadać. Ten twój chłopak... twój narzeczony... jest widocznie pozbawiony dobrego gustu.

- Nie wygłupiaj się - odpowiedziała Siobhán znużonym tonem.

- Mówię poważnie - w oczach Carla rozbłysły iskierki.

- Nie miałem pojęcia, że ukrywasz takie skarby. Że dysponujesz tak czarującymi atutami.

- Słuchaj, strasznie marznie mi tyłek - rzuciła Siobhán.

- Czy łaskawie pozwolisz mi skorzystać z twojego telefonu, żebym mogła zadzwonić do niego i ściągnąć go z powrotem?

- Oczywiście - odpowiedział Carl. - Właśnie szedłem wyrzucić śmieci. Ale zrobię to, jak będziesz dzwonić do pana Gliniarza.

- Eddie nie jest policjantem, doskonale o tym wiesz - powiedziała Siobhán.

- Jasne, ale przecież dzięki tobie należy do policyjnej rodziny, prawda? - uśmiechnął się do niej. - Myślałem, że ucieszy cię taki drobny przejaw dyskryminacji na opak.

Siobhán skrzywiła się, a potem zadrżała. Głos Carla nagle zmiękł.

- Oj, słuchaj, przepraszam, że się z tobą drażnię - powiedział. - Wchodź, zanim rzeczywiście zamarniesz na śmierć. I zadzwoń do tego swojego narzeczonego.

- Dzięki - odpowiedziała zaskoczona delikatnym tonem jego głosu. Weszła do jego mieszkania i stanęła niepewnie na środku pokoju.

- Poczekaj chwilę - powiedział Carl. Zniknął za drzwiami sypialni, a potem pojawił się w nich z granatowym T-shirtem w ręku. - Może to założysz? - powiedział. - Na pewno będzie ci cieplej, a ja wreszcie będę w stanie oderwać od ciebie wzrok!

Wciągnęła T-shirt przez głowę i od razu poczuła się trochę lepiej, choć miała świadomość, że baskinka nadal wyraźnie uwypukla jej kształty. Carl podał jej telefon i Siobhán wybrała numer Eddiego. Skrzywiła się, słysząc prośbę o zostawienie wiadomości.

- To ja - powiedziała z naciskiem. - Zatrzasnęły się za mną drzwi do mieszkania. Czy możesz jak najszybciej wrócić do domu? Jestem u Carla. - Rozłączyła się i spojrzała przeproszającym wzrokiem na sąsiada. - On na pewno zaraz wróci - powiedziała.

- Hej, możesz tu zostać, jak długo będziesz chciała - powiedział swobodnie. - Nic specjalnego nie robiłem. Szedłem właśnie wyrzucić śmieci.

- Tylko? - uśmiechnęła się niepewnie. - A nie przetrząsać śmietnik w poszukiwaniu jakichś haków na mieszkańców naszej małej społeczności? Albo nie wybierałeś się przypadkiem na poszukiwanie w nocnych klubach pijanych na umór gwiazdeczek?

- Masz o mnie bardzo niskie mniemanie, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu uważam, że to, co robisz, nie przynosi nic dobrego - odparła. - Komu są potrzebne informacje, że jakaś kiepska piosenkarka ma romans? I po co bez przerwy obsmarowywać policję i ciągle pisać, że źle wykonujemy swoją pracę tylko dlatego, że w naszym systemie prawnym trzeba przedrzeć się przez prawdziwe pole minowe, żeby kogokolwiek skazać?

- Każdy ma prawo do obrony - przypomniał jej Carl.

- Och, daj spokój - Siobhán spojrzała na niego z niesmakiem. - W jednym artykule użalasz się nad ofiarami, a zaraz potem w drugim nad przestępcą: „Wiesz, jestem wstrętnym kryminalistą, ale tylko dlatego, że gdy miałem sześć lat, rodzice nie chcieli mi kupić PlayStation”.

Carl się roześmiał.

- Ale ludzie właśnie to chcą czytać - powiedział.

- A na dodatek... - z oburzenia aż podniosła głos - wy, dziennikarze, nadajecie im pseudonimy, takie jak Kasiarz i tak dalej, a oni zaczynają wtedy myśleć, że są jakimiś gwiazdami i robią wszystko, żeby to potwierdzić.

- Przesadzasz - odparł łagodnie. - Zresztą sama dobrze wiesz, że w policji jest korupcja, a gliniarze często nie trzymają się podstawowych procedur i potem obrona obala w procesie wszystkie dowody.

- Wszyscy popełniają błędy - odpowiedziała. - Milion rzeczy robimy dobrze, a jak tylko jedną zrobimy źle, to zaraz jakiś adwokat krętacz wyciąga kryminalistę z więzienia z powodów formalnych. A korupcja jest wszędzie. I zawsze będzie. Założę się, że wśród pisarzy też. Tylko że wy możecie bezkarnie obsmarowywać wszystkich innych - potarła ręką czoło i spojrzała na niego ze znużeniem. - Słuchaj, nie chcę się z tobą na ten temat kłócić. Nie mam ochoty rozmawiać o pracy ani o niczym innym. Chciałabym tylko pójść do domu.

- Jestem pewien, że pan Gli... Eddie, tak ma na imię? Jestem pewien, że Eddie pędem tutaj wróci, jak tylko odbierze twoją wiadomość. A w międzyczasie zawrzyjmy rozejm w sprawach zawodowych. Co powiesz na filiżankę kawy?

Skinęła głową. Marzyła o kawie, ale kiedy kilka minut później brała od niego parujący kubek, pomyślała, że tak naprawdę przydałaby się jej porządna dawka alkoholu, która by pomogła zatrzeć wspomnienie tego koszmarnego dnia.

Sally też nie odmówiłaby drinka. Miała dość letniej, wodnistej kawy ze szpitalnego automatu. Zdażyła już spróbować każdego rodzaju: czarnej, z mlekiem, cappuccino, espresso, a także herbaty i gorącej czekolady, i wszystkie według niej smakowały identycznie. Piła je tylko po to, żeby mieć się czym zająć. Przesiadanie w szpitalu okazało się wręcz otepiająco nudne. Niesamowicie, jak szybko przyzwyczaiła się do rutyny dojeżdżania do Dublina i oczekiwania na przebudzenie Franka. Znała już wszystkie pielęgniarki na tym piętrze i większość lekarzy. Uśmiechali się do niej na powitanie, ale zasadniczo zostawiali ją samą i w efekcie niemal cały czas siedziała przy Franku, opowiadając mu o jakichś nieistotnych sprawach albo czytając artykuły z gazet. Robiła to, o czym kiedyś czytała w książkach albo widziała na filmach, i nie mogła uwierzyć, że to samo teraz dzieje się w jej życiu. Wciąż się spodziewała, że Frank się obudzi i będzie się śmiał, że czyta mu na głos artykuły z „The Irish Times”, albo zamyśli się nad jej opowieścią o tym, że Jenna i jej chłopak są ostatnio niemal nierozłączni.

Właśnie z tego powodu Jenna nie przyjechała dzisiaj do szpitala. Gerry zaprosił ją do kina. Po ich poprzedniej rozmowie o wizytach w szpitalu Sally zaproponowała, żeby Jenna odwiedzała tatę co drugi dzień, a ona skwapliwie na to przystała. Sally martwiło tylko, że jej córka coraz więcej czasu spędza z tym swoim chłopakiem, a ona tak mało o nim wie. Ufała swojej Jennie (mniej lub bardziej), ale wołałaby, żeby spędzała teraz czas ze swoimi przyjaciółkami, a nie z chłopakiem.

Złożyła gazetę i spojrzała na Franka. Miała wrażenie, że z każdym dniem coraz mniej przypomina mężczyznę, którego znała. Jego twarz chudła, a całe leżące na łóżku ciało wydawało się coraz słabsze. W ogóle nie była przyzwyczajona do oglądania go w łóżku, a przynajmniej nie śpiącego. Zawsze wstawał pierwszy, z samego rana i pełen energii. I to właśnie jej się w nim podobało. To, że wręcz tryskał energią. To, że kochał życie. To, że sam jego widok sprawiał, iż czuła się bardziej pewna siebie. A ten leżący przed nią mężczyzna był prawie jak ktoś obcy. Poinformowali ją, żeby z nim rozmawiała i opowiadała o codziennych sprawach, przypominała mu wydarzenia z przeszłości, ale naprawdę trudno było jej to robić, skoro na nic nie reagował. Łatwiej jej przychodziło czytanie gazet albo opowiadanie o korkach, a trudniej mówienie o rzeczach ważnych. Może właśnie na tym polegał problem? Może powinna o nich mówić? Przygryzła wargę, przyglądając się pozbawionej wyrazu twarzy Franka, po czym wzięła głęboki oddech.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

Frank się nie poruszył.

- Wiem, że to głupie - ciągnęła - bo przecież ty nie możesz rozmawiać, prawda? Albo nie chcesz. Sama nie wiem, jak jest naprawdę.

Nadal ani drgnął.

- Rzecz w tym, że musimy omówić wiele spraw - zwilżyła wargi językiem. Czy powinna zacząć od wyrzucenia z siebie złości z powodu tej całej afery z Ioną, czy raczej od poinformowania go o dziecku? Co prędzej wywoła jego reakcję?

- Nie mówiłam ci jeszcze o tym - powiedziała szybko - bo wołałam, żebyś był całkiem przytomny, gdy to zrobię. Jednak nie wiem, kiedy znowu będziesz zupełnie świadomy, to może jeszcze trochę potrwać, a wtedy nie byłoby dobrze nagle z tym wyskoczyć, chyba bym tak nie potrafiła. Więc... więc muszę powiedzieć ci to teraz. - Z trudem przełknęła ślinę. Od chwili, gdy sama się o tym dowiedziała, zastanawiała się, jak mu to powie. Nie mogła przypuszczać, że odbędzie się to w takich okolicznościach. Ponownie głęboko zaczerpnęła powietrza. - Pewnie trudno będzie ci w to uwierzyć, kochanie, bo to taka niespodziewana wiadomość... Będziemy mieli dziecko.

Od chwili, gdy sama się o tym dowiedziała, wyobrażała sobie, jak zareaguje, ale on dalej leżał zupełnie obojętny.

- Pewnie jesteś zaskoczony - ciągnęła. - Ja zdecydowanie byłam zaskoczona, po tylu latach. Mam jednak nadzieję, że się cieszysz. To będzie dla nas wszystkich ogromna zmiana.

To niesamowite, pomyślała, jak nieruchomy może być żywy człowiek. Właśnie to tak trudno było zaakceptować. Fakt, że Frank, który zawsze gdzieś pędził, może tak ciągle leżeć bez ruchu.

- Jeszcze nie powiedziałam Jennie - dodała. - Wiedzą tylko tutejsze pielęgniarki. Nie wiem, jak zareagują w szkole, jak im powiem. Wracam do pracy w przyszłym tygodniu. Naprawdę muszę, Frank. Nie

mogę przecież bez przerwy tutaj siedzieć, prawda? Chodzi mi o to, że musimy jakoś żyć i... Wiesz, że cię nie opuszczam. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Ale...

Z wysiłkiem przełknęła ślinę, a on dalej spokojnie leżał, zupełnie nieświadomy tego, co mu powiedziała. Z jakiegoś powodu spodziewała się, że zareaguje na wiadomość o ciąży. Nie wiedziała dokładnie, jak miałyby to wyglądać, ale oczekiwała jakiegoś ruchu, znaku, że usłyszał, co mówiła. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę nic do niego nie dociera. Splotła swoje palce z jego i delikatnie ucisnęła dłoń męża.

- Wiesz, naprawdę jest mi ciężko - powiedziała. - Jestem w ciąży, ty leżysz tutaj, a ja nie mam pojęcia, kiedy się obudzisz. A gdy już się obudzisz... - głos jej się załamał - gdy już się obudzisz, to trzeba będzie uporządkować cały ten bałagan.

Zagryzła wargę. Powinien dowiedzieć się o wszystkim. Do tej pory była dla niego zbyt miła, mówiąc do niego kojącym głosem, czytając urywki z gazet i zapewniając o swojej miłości. Traktowała go jak chorego, a on tak naprawdę wcale nie był chory, tylko nieprzytomny. Miała dosyć bycia miłą.

- Posłuchaj. Nie żeby mi zależało, żeby cię zdenerwować - powiedziała, uwolniwszy swoje palce - zwłaszcza w obliczu nowej sytuacji w naszej rodzinie, ale pewna policjantka przygotowuje akta sprawy, która dotyczy ciebie. Możesz zostać oskarżony o... o... - przerwała. Do tej pory nie wspominała o jego drugiej żonie. Opowiadała tylko o sobie i Jennie i o tym, jak bardzo się o niego martwią. Nie wspomniała o tym, że Iona przyszła do szpitala i dostała ataku hysterii. - No cóż, Frank, o poślubienie innej kobiety - kontynuowała. - Muszę przyznać, że było to bardzo dziwne posunięcie. Bardzo zraniłeś mnie i Jennę. Jestem na ciebie wściekła. A Jen jest załamana. I obie nienawidzimy cię za to, co zrobiłeś.

Otworzył oczy. Sally wstała tak raptownie, że plastikowe krzeselko aż szurnęło po podłodze.

- Frank? - sięgnęła po brzęczyk, żeby wezwać dyżurującą pielęgniarkę. - Frank?

Patrzył prosto przed siebie.

- Słyszysz mnie? - zapytała bez tchu, wciąż trzymając palec na brzęczyku. - Frank, zrozumiałeś, co właśnie powiedziałam?

Terri Cooper wpadła do sali.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Otworzył oczy - odpowiedziała Sally wciąż wpatrzona w twarz Franka. - On jest przytomny. Otworzył oczy.

- Rozmawialiśmy o tym, Sally, pamiętasz? - powiedziała łagodnie pielęgniarka. - To się czasem zdarza, ale to nie znaczy, że pacjent odzyskał świadomość. To taki odruch.

- Ale ja mówiłam do niego i on... on... - Sally o mało się nie rozplakała. - Powiedziałam coś i wiem, że to usłyszał. Jestem pewna.

- To możliwe - powiedziała Terri, spoglądając na monitory obok łóżka Franka - ale wciąż jest nieprzytomny, Sally. Przykro mi.

Sally nie odpowiedziała, tylko wyszła z sali. Cała się trzęsła. Była pewna, że nawiązała z Frankiem kontakt. Wyczuła w nim jakąś zmianę, gdy wspomniała o jego małżeństwie z Ioną. Coś, czego nie było, gdy mówiła o innych sprawach, nawet o nowym dziecku. Usłyszał ją, gdy mówiła o Ionie, była pewna, że tak było. Poruszyło go poczucie winy z jej powodu, i dlatego otworzył oczy!

- Proszę - Terri stanęła obok i podała jej kubek obrzydliwej kawy albo herbaty. - Proszę to wypić.
- Nie chcę - wzdygnęła się Sally. - Piłam to już przez cały wieczór. Jest okropne.
- Niestety ma pani rację - powiedziała Terri. Popatrzyła na Sally. - O czym mu pani mówiła, kiedy otworzył oczy? - zapytała. - O dziecku?

- Nie - odpowiedziała Sally. - O tamtej kobiecie.

Milczenie Terri było pełne współczucia.

- O dziecku też mu powiedziałam - stwierdziła Sally z naciskiem - ale to nie miało dla niego znaczenia. Dopiero gdy wspomniałam o niej... to wtedy...

- Naprawdę uważam, że fakt, iż otworzył oczy, nie miał z tym nic wspólnego - powiedziała Terri.

- Ale tak naprawdę to pani tego nie wie, prawda? - zapytała Sally.

- To prawda - odpowiedziała Terri. - Choć jak już mówiłam, to jest tylko odruch.

- I ten odruch wystąpił akurat w momencie, gdy wspomniałam o jego skoku w bok.

Terri dyplomatycznie zachowała milczenie.

- Wiem, wiem, to było coś więcej niż skok w bok, prawda?

- Myślę, że jest pani w naprawdę trudnej sytuacji - powiedziała łagodnym tonem Terri.

Sally nie odpowiedziała, tylko kilkakrotnie przełknęła ślinę.

- Może powinna pani pojechać do domu - zasugerowała pielęgniarka. - I trochę odpocząć.

- Myśli pani, że ona powinna tu być? - zapytała Sally. - Myśli pani, że gdyby słyszał jej głos, to mogłoby pomóc?

Terri wzruszyła ramionami.

- Ale może ona wcale nie chciałaby tu być - powiedziała Sally. - W końcu łatwo ustąpiła, jak tylko się okazało, że jej małżeństwo to lipa. Nawet nie walczyła.

- Ludzie różnie reagują - powiedziała Terri.

- Myśli pani, że nie mam racji? - zapytała Sally. - Bo chcę, żeby było jak dawniej?

- A jak właściwie było dawniej? - zapytała Terri.

- Ja, Frank i Jen - odpowiedziała ze złością Sally. - Rodzina.

Terri nic nie powiedziała.

- Czy lekarze uważają, że pomogłoby mu, gdyby ona przychodziła? - zapytała w końcu Sally.

- Mnie o niczym takim nie wspominali.

- Jeśli zareagował na jej imię, to może jej głos go obudzi.

- Słyszał już jej głos w pierwszą noc tutaj - przypomniała jej Terri.

- Tak, ale wtedy panował kompletny chaos, prawda?

- Sally skubała czubek swojego palca. - Może teraz byłoby inaczej.

- Możliwe.

Sally ponownie zajrzała przez szybę do sali. Frank nadal miał otwarte oczy i wciąż się wpatrywał przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Jeśli to może pomóc, to ona powinna przyjść. Ale może nie będzie chciała. Może jest na niego tak samo wściekła jak ja.

- Ale wciąż go pani kocha - stwierdziła Terri. - I wciąż pani chce, żeby się poczuł lepiej.

- A jeśli tak się nie stanie, co wtedy? - Sally zmarszczyła brwi. - I tak trzeba będzie jakoś wyjaśnić całe to szaleństwo.

- Zamknęła oczy i lekko się zachwiała.

Terri ujęła ją pod ramię i zmusiła, żeby usiadła.

- Musi pani o siebie dbać - powiedziała. - Nikomu nie pomoże, jeśli pani się rozchoruje.

- Wiem - odpowiedziała Sally. - Ponownie skierowała wzrok na salę Franka. - Czasami żałuję, że nie jestem na jego miejscu - powiedziała do pielęgniarki. - Kompletnie wyłączona.

Frank kochał Sally. Nie spodziewał się, że się w niej zakocha, bo trudno mu było pogodzić się z utratą Marion. Nadal od czasu do czasu myślał o Marion, która gdzieś tam w Stanach poznawała nowych mężczyzn i dzieliła się z nimi swoim wspaniałym ciałem. Za każdym razem, gdy o niej myślał, był coraz bardziej zły na siebie, że nie postarał się bardziej, żeby ją przy sobie zatrzymać. Byłaby dobrą żoną i matką i stworzyłiby cudowną rodzinę. A potem się zastanawiał, czemu tak sądzi, skoro wiedział, że Marion tak naprawdę była dobra tylko w kontaktach towarzyskich i w łóżku.

Sally była dla niego dobra. Bez porównania bardziej praktyczna i konkretna niż Marion. Zapewniała równowagę w jego życiu. Wspierała go, ale też potrafiła wskazać ujemne strony czegoś, co chciał zrobić. Taką kobietę pokochałby każdy mężczyzna, mądrą i słodką, więc nie mógł się w niej nie zakochać. Kochał jej iskrzące się oczy i morze gęstych miedzianych włosów. Kochał sposób, w jaki przechylała głowę i wystawiała w kąciку ust czubek języka, gdy nad czymś intensywnie myślała. Kochał jej inteligencję. Powiedział jej, że marnuje się jako nauczycielka i powinna robić coś innego. Ale kochał też to, jak odpowiedziała, że ponad wszystko uwielbia widzieć, jak jakaś młoda dziewczyna zaczyna rozumieć coś, czego wcześniej nie umiała. Sally Champion była dobrą dziewczyną i Frank Harper chciał, żeby zostali ze sobą na zawsze.

W tej chwili Sally mówiła do niego. Słyszał jej głos, ale nie rozumiał słów. Nagle uświadomił sobie, że mówi o wyjeździe do Anglii, gdzie jest więcej ofert pracy i gdzie pensje są wyższe.

- Po co, na miłość boską, chcesz tam jechać? - zapytał. - Przecież mają beznadziejny system edukacji! Ciągłe czytamy o tłoku w tamtejszych szkołach i o krnąbrnych uczniach!

- Daj spokój, Frank - odpowiedziała rozbawiona. - Niektóre szkoły są beznadziejne, a inne świetne. Jak u nas. Jak wszędzie. Moja koleżanka pracuje koło Londynu i mówi, że w jej szkole szukają nauczycieli matematyki i angielskiego. Wielka zaleta bycia nauczycielem matematyki to fakt, że zawsze jest na nich zapotrzebowanie! To przyjemna szkoła w dobrej okolicy, a pensja jest o niebo lepsza niż tutaj.

- Ale czy tutaj jest źle? - zapytał Frank. - Dlaczego chcesz wyjechać?

- Muszę się zastanowić nad swoim życiem i nad tym, czego chcę - odpowiedziała. - Czuję, że przyszła pora na zmiany.

Wpatrywał się w nią. Nie mógł uwierzyć w to, że kolejna dziewczyna chce go opuścić, żeby wyjechać do pracy za granicą. Mnóstwo jego znajomych wyjeżdżało z Irlandii, bo trudno tu było znaleźć pracę, ale Sally miała dobrą posadę i nie musiała wyjeżdżać. Marion też oczywiście miała dobrą pracę, mimo to wyjechała. Dlaczego one zawsze chcą wyjeżdżać? Co z tymi kobietami jest nie tak? A może to z nim coś jest nie tak?

- Nie wyjeżdżaj - powiedział nagle. - Tęskniłbym za tobą.

Roześmiała się.

- Też będę za tobą tęsknić. Ale to dla mnie wielka szansa.

- Wyjdź za mnie - rzucił szybko. - Kocham cię, Sally. Nie chcę cię stracić. Wyjdź za mnie i zostań.

- Nie wiem, Frank - odpowiedziała. - Nie jestem pewna, czy jesteś gotowy na małżeństwo.

Wpatrywał się w nią.

- Jestem zdecydowanie gotowy na małżeństwo - powiedział. - I spotkałem kobietę, z którą chcę się ożenić. Kocham cię, Sally. I zawsze będę cię kochać. Chcę, żebyśmy byli razem, i chcę, żebyśmy stworzyli rodzinę.

- Naprawdę?

- Tak. I mieli dużo dzieci. Tuziny.

Roześmiała się.

- No to na pewno nie ze mną chcesz się ożenić.

- Nie chcesz mieć dzieci? - spojrzał na nią. - Myślałem, że lubisz dzieci.

- Oczywiście, że chcę - odpowiedziała. - I na pewno więcej niż jedno. Nie lubiłam bycia jedynaczką.

Też chcę założyć rodzinę, Frank. Ale daj spokój, nie tuziny!

Uśmiechnął się do niej.

- No to tylko jeden tuzin.

- Wracaj do jaskini, ty neandertalczyku!

- Pół tuzina?

- Frank, dzieci nie wyskakują z kobiet jak fasolki.

Roześmiał się.

- Troje?

- Może czworo? - zaproponowała.

- Niech więc będzie czworo. - Objął ją i przyciągnął mocno do siebie. - Kocham cię - powtórzył.

- Ja też cię kocham - wyszeptała. - I zawsze będę cię kochać.

Terri Cooper zmieniła Frankowi Harperowi kroplówkę z substancjami odżywczymi. To niesamowicie przystojny mężczyzna, pomyślała, nawet w obecnym stanie, nawet z zamkniętymi oczami i twarzą pozbawioną wyrazu. Zastanawiała się, jakie ma szanse na powrót do zdrowia. I jeśli się z tego wyliże, która kobieta będzie się nim zajmować.

- Proszę bardzo, panie Harper - Terri zawsze rozmawiała ze swoimi pacjentami, nawet tymi, którzy nie mogli jej odpowiedzieć. - To doda panu sił. Proszę dać znać, gdyby pan jeszcze czegoś potrzebował.

Frank nie odpowiedział. Terri uśmiechnęła się do niego i ponownie zostawiła samego.

Iona wciąż leżała zwinięta na sofie z kolanami podciągniętymi pod brodę, ale tym razem słuchała rozlegającej się wokół niej łagodnej i poprawiającej nastrój muzyki z odtwarzacza CD. Starła się zrelaksować, bo po wypiciu butelki wina zrobiła się nieco senna i chciała utrzymać ten nastrój.

Rozejrzała się po pokoju. Po ślubie z Frankiem musiała trochę przemeblować dom, uwzględniając fakt, że teraz korzystało z niego ich dwoje. Wcześniej, zgodnie z zaleceniami podręcznika feng-shui, pokój był utrzymany w jaskrawych kolorach, żeby napędzać energię. Ale Frank miał w sobie dość energii dla ich dwojga,

więc uspokoiła nieco wystrój, zastępując poduszki w podstawowych barwach bardziej stonowanymi kolorami. Zostawiła jednak wiszące na ścianach wesołe grafiki oraz ustawione parami bibeloty, po to by energia była pozytywna, ale wciąż się martwiła, że za mało ją hamuje.

To wszystko kompletny nonsens, naprawdę, wymruczała, patrząc na fotografie Gavina i Charlotty ustawione w kącie dziecięcym. Nic przecież nie było w stanie wyhamować Franka, dopiero ten cholerny wypadek, a ona nigdy nie będzie miała swojego dziecka. Zamrugła oczami, by powstrzymać gromadzące się w nich łzy, patrząc jednocześnie na wyrzeźbionego z drewna ptaka, którego kupiła pierwszego dnia, gdy się tu wprowadziła. Dzięki niemu energia jej domu miała szybować w górę, jednak w tym momencie poziom jej energii życiowej był bliski zera.

Dlatego jestem taka bierna, pomyślała rozżalona. Pozwalam, by wszystko działo się samo, nie robię nic, choć Myles się dowiedział, jak się nazywa prawnik Franka, i powiedział, żebym się z nim skontaktowała. Nie zrobiła tego. Nie była w stanie.

W rzeczywistości była tak wstrząśnięta tym, co powiedziała jej Siobhán Farrell, że po prostu porzuciła Franka i każdą myśl o ich wspólnym małżeństwie. Dobrze, może ich związek nie był prawnie ważny, ale przecież kochał ją na tyle, by chcieć się z nią ożenić, prawda? I mieszkał z nią, i nawet rozmawiał o założeniu rodziny. Flora powiedziała, że ją kochał, a Iona ufała opiniom swojej matki. Była też wdzięczna, że jej nie wypomniała głupoty, że się nie zorientowała, iż Frank prowadzi podwójne życie. Denerwuje mnie właśnie to poczucie własnej głupoty, pomyślała. No i to, że się martwię, i w ogóle to wszystko...

Westchnęła. Może tak naprawdę nic go już nie łączyło z tą nudną kobietą w średnim wieku, która umiała sprawić, żeby wszyscy zwracali się właśnie do niej. Może chciał odejść od Sally, tylko nie wiedział jak. Może i tak zamierzał się z nią rozwieść. Może powinna walczyć o swój związek z Frankiem i wszystkim o nim przypominać, zamiast tak po prostu się wycofać. Miała takie samo prawo decydować o jego leczeniu jak inni. Może nie pod względem prawnym, ale na pewno pod względem moralnym.

Zadzwoił telefon. Odebrała go od razu z mocno bijącym sercem.

- Czy to pani Iona? - kobieta po drugiej stronie linii mówiła zdenerwowanym głosem.

- Tak, słucham.

- Tu Sally. Sally Harper.

Iona poczuła, że coraz mocniej ścisła słuchawkę, i pomyślała, że zaraz ją zmiażdży.

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać - powiedziała Sally. - Chciałabym się z panią spotkać. Jak najszybciej.

Rozdział 17

Za każdym razem, gdy dzwonił telefon Carla O'Connora, Siobhán miała nadzieję, że to Eddie, żeby powiedzieć, że jest już w drodze do domu. I za każdym razem spotykało ją rozczarowanie. A telefon dziennikarza dzwonił prawie bez przerwy. Niemal przez cały wieczór Carl spacerował po mieszkaniu ze słuchawką przyciśniętą do ucha, rozmawiając z przeróżnymi ludźmi i okraszając co drugie zdanie komentarzem w rodzaju: „Chyba żartujesz!” albo: „Co zrobiła?!”, więc Siobhán strasznie chciała wiedzieć, o kim mówią, nawet jeśli praca Carla zasługiwała na jej całkowitą dezaprobatę. Celowo unikała jego wzroku, nawet gdy ostatnią rozmowę zakończył pytaniem: „A co na to kaczka?”, które sprawiło, że aż skręcało ją z ciekawości, choć jednocześnie wcale nie była pewna, czy naprawdę chce się dowiedzieć, o co dokładnie chodziło.

- Nie zgadłabyś, o kim rozmawialiśmy - stwierdził Carl, odrywając słuchawkę od ucha i uśmiechnął się do niej.

- Pewnie nie - odparła sucho.

- Nie chcesz wiedzieć?

- Nie bardzo.

- Oj, daj spokój, pani Glino. Przecież jesteś oficerem śledczym. Na pewno wszystkie zmysły masz teraz nieźle wyostrzone.

- Jak to bezustannie podkreślasz, moja praca polega na łapaniu przestępców, a nie wysłuchiwanie sprośnych plotek - odparła zgryźliwie. - Myślę, że to szczyt bezczelności z twojej strony krytykować moją pracę, podczas gdy sam zajmujesz się grzebaniem w samym dnie bagna ludzkiego życia.

Roześmiał się.

- Jesteś cudowna - powiedział. - Uczą was takich gadek w szkole policyjnej czy naprawdę jesteś aż tak zasadnicza?

- Mówię to, co myśli wielu ludzi - burknęła.

- Każdy musi jakoś zarabiać na życie - odpowiedział łagodnie. - To prawda, że Pulitzera raczej nie zdobędę, ale nie jestem też żadnym przestępcą.

Szkoda, że Eddie jeszcze nie wrócił, pomyślała z żalem Siobhán. Nie chciała tu być. Czowała, że znowu zbiera jej się na płacz. Dlaczego on jej to robi? Tak się przecież dzisiaj postarała. Naprawdę. Ilu mężczyzn wysłoby od kobiety ubranej tak jak ona tego wieczoru? Ilu mężczyzn nic by nie poczuło na jej widok? Nawet Carl, chociaż był beznadziejnym pismakiem, docenił jej wygląd.

- Wszystko w porządku? - gdy siadał naprzeciw niej w głębokim fotelu, w jego głosie było słyhać troskę.

Zamrugnęła kilka razy i spojrzała na niego. - Tak, w porządku - odpowiedziała znużonym tonem. - Tylko chciałabym być już w domu.

- On na pewno zaraz się pojawi - odpowiedział. - W międzyczasie może napijesz się jeszcze kawy albo herbaty?

Potrząsnęła przecząco głową.

- A może drinka? - zaproponował. - Wódka? Piwo? Kieliszek wina?

Chętnie napiłabym się alkoholu, pomyślała, ale nie bardzo mam ochotę siedzieć tutaj i pić wino z Carlem O'Connorem. Poza tym chciała zachować trzeźwy umysł. Nie zamierzała stracić czujności wobec gospodarza. Spojrzała w dół na swoją kształtną sylwetkę rysującą się pod pożyczonym od niego T-shirtem. Chyba jednak trochę na to za późno!

- Otwieram dla siebie butelkę Sangre del Toro - powiedział. - Nalać ci?

- Chętnie napiję się wina - przyznała w końcu.

Siobhán zawsze lubiła dźwięk odkorkowywanej butelki wina i miłe gulgotanie rubinowego płynu nalewanego do kieliszka. Carl wręczył jej kieliszek.

- Bardzo dobre - stwierdziła.

- Przywiozłem z Hiszpanii - powiedział. - Jedna trzecia ceny w naszych sklepach. - W jego niebieskich oczach pojawiły się iskierki. - Chyba mnie nie aresztujesz, jak się przyznam, że przywiozłem tego całe mnóstwo?

- Tym się zajmują służby celne - odpowiedziała. - Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie je sprowadzać nawet w beczkach.

- Słuchaj, wiem, że mnie nie znosisz i że mną pogardzasz, niemniej jednak siedzisz w moim salonie i na dodatek w moim podkoszulk - powiedział Carl. - Mogłabyś być dla mnie trochę miłsza.

- Ani cię nie nienawidzę, ani tobą nie pogardzam, tylko... tylko jak mam być dla ciebie miła, skoro wiem, że w duchu śmiejesz się z całej tej sytuacji i prawdopodobnie opiszesz mnie w jakimś artykule jako nieznaną z nazwiska policjantkę prostytutkę? - popatrzyła na niego nieszczęśliwym wzrokiem.

- Nic takiego nie zrobię - obiecał. - Może pani o tym nie wie, pani G., ale piszę tylko o ludziach, którzy chcą, żebym o nich pisał. To dla nich ważne. Chodzą na przyjęcia, chcą być w świetle jupiterów, a swój życiowy sukces mierzą ilością poświęconych im linijek tekstu.

- No cóż, mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi ich żal, jeśli naprawdę uważają, że to w życiu jest najważniejsze. - Uśmiechnęła się do niego smutno. - Ale to byłaby dobra historia, ta o mnie.

Odwzajemnił uśmiech.

- I chętnie umieściłbym na stronie tytułowej twoje zdjęcie w tym stroju. Ale nie zrobię tego.

Wzdrygnęła się na samą myśl.

- Eddie by się wściekł.

- Hm... - uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Moglibyśmy się o ciebie pobić, a potem...

- Ja mogłabym was aresztować - przerwała mu. Carl popatrzył na nią z ciekawością.

- Naprawdę potrafiłabyś mnie unieruchomić, założyć kajdanki i zmusić, żebym wszedł do radiowozu?

- Oczywiście.

- Uwielbiam władcze kobiety - powiedział z udawaną zadumą.

- Chyba ci się tylko tak wydaje - odpowiedziała Siobhán. Westchnęła, gdy sobie przypomniała, że Eddiemu też podobała się myśl, że ona potrafiłaby przerzucić go przez ramię, stosując chwyt judo. Tyle że ostatnio nie dopuszczał jej do siebie nawet na taką odległość, żeby mogła go choćby objąć.

Opróżniła kieliszek i usiadła w fotelu. Wciąż chciała, żeby Eddie szybko wrócił do domu, ale teraz przynajmniej nie czuła się już u Carla tak niezręcznie. Skinęła głową, gdy chciał ponownie napełnić jej kieliszek. Chrzącić to, pomyślała. Nieważne, ile kieliszków wypiję, i tak zachowam czujność.

Zdrzemnęła się i obudziło ją dopiero stanowcze pukanie do drzwi. Carl wstał już ze swojego fotela i przez judasza sprawdzał, kto przyszedł.

- To pan Glina - stwierdził. - W końcu przybył na ratunek. Siobhán mrugnęła kilka razy i szeroko ziewnęła.

- Mówiłeś, że nie będziesz go tak nazywać.

- Przepraszam - powiedział Carl, otwierając drzwi.

Eddie zamasztył krokiem wszedł do pokoju. Ze swoim wzrostem prawie metr dziewięćdziesiąt górował nad Carlem - różnice w ich wyglądzie stały się bardzo wyraźne. Nieco wystający brzuch Carla w porównaniu ze smukłym i muskularnym ciałem Eddiego wyglądał po prostu jak tłusty.

- Jezu Chryste - powiedział Eddie, gdy spostrzegł Siobhán w granatowym T-shircie Carla i jej uwypuklone baskinką piersi pod spodem. - Co się tutaj, do diabła, dzieje?

- Mówiłam ci - odparła Siobhán. - Wyszłam z mieszkania, a drzwi zatrzęsły się za mną.

- Nie mówiłaś, że wyszłaś z mieszkania w takim stroju!

- Bo tak wcale nie było - zwrócił uwagę Carl. - Wyszła w tym powabnym komplecik, który, muszę przyznać, doskonale podkreśla jej niezaprzeczalne wdzięki.

- Co do cholery... - Eddie przeniósł wzrok z Siobhán na Carla.

- Miałam na sobie bieliznę - powiedziała Siobhán. Eddie wytrzeszczył oczy.

- Wyszłaś z mieszkania w...

- Mówiłam ci - powtórzyła. - Wyszłam za tobą. W tym, co miałam na sobie.

- Czy ty nie masz rozumu? - podniósł głos.

- Jak widać, nie - odpowiedziała. - Ale na szczęście Carl był tak miły, że pozwolił mi poczekać w swoim mieszkaniu. I całe szczęście, bo nie odbierałeś telefonu. - Spojrzała na niego wzrokiem mówiącym, że doskonale zdaje sobie sprawę, że zignorował jej prośbę o szybki powrót do domu.

- No to chodźmy do domu - powiedział Eddie. - Carl, dziękuję, że z nią wytrzymałeś.

- Hej, to nie był żaden problem - odpowiedział Carl.

- Dobrze się bawiliśmy. Chociaż nie chciała przerzucić mnie przez ramię i aresztować.

- Cieszę się - odparł Eddie lodowatym tonem.

Siobhán uśmiechnęła się nerwowo do Carla i podziękowała mu za wino i dotrzymanie towarzystwa. Powiedziała też, że upierze T-shirt i odda na drugi dzień, a potem poszła za Eddiem do ich mieszkania. Jak tylko weszli, odwrócił się do niej.

- Czemu, na miłość boską, wybiegłaś z mieszkania ubrana jak prostytutka? - zapytał rozżłoszczony. - Przecież powiedziałem, że wychodzę.

- O tak, powiedziałaś. Ja ze wszystkich sił staram się zrobić coś dla ciebie, dla naszego związku, a ty po prostu sobie wychodzisz!

- Nigdy nie prosiłem cię, żebyś ubierała się dla mnie jak dziwka.

- Nie ubrałam się jak dziwka! - krzyknęła, ściągnęła koszulkę i ponownie stanęła przed nim w baskince i koronkowych szortach. - To nie jest ani tandetne ani wulgarne. To jedwab i koronka i było cholernie drogie, a kupiłam to, bo pomyślałam, że jeśli to założę, to może będzie choć malutka szansa, że popatrzyś na mnie jak na kobietę, którą kochasz, a nie jak na obcą osobę, z którą tylko mieszkasz w jednym mieszkaniu.

Eddie nie odpowiedział.

- Ze wszystkich sił staram się zrozumieć, co się między nami popsuło - ciągnęła Siobhán podniesionym głosem. - Wciąż zadaję sobie pytanie, co takiego zrobiłam. Może za często mnie nie ma. Może za mało okazywałam ci uczucia. Może to przez to... albo przez tamto... Jednak tak naprawdę to chyba wcale nie o to chodzi! Wiem, że nie najlepsza ze mnie gospodyni, ale nie myślałam, że ci na tym zależy. Posprzątałam dzisiaj mieszkanie i umówiłam się z firmą sprzątającą, żeby przychodzili co dwa tygodnie... Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

- Niczego od ciebie nie chcę - odpowiedział Eddie.

- Cudownie! - Siobhán poczuła łzy w oczach. - Nie chcesz mnie. Ale jesteś gotowy mieszkać ze mną dalej, zamiast mieć odwagę powiedzieć, że mnie nie już nie kochasz i że wszystko między nami skończone.

- To nie tak - powiedział Eddie. - Nie powiedziałem, że cię nie chcę. Nie powiedziałem, że między nami koniec. Powiedziałem tylko, że niczego od ciebie nie chcę.

- Do cholery, nie czepiaj się słówek - warknęła Siobhán.

- Ludzie, którzy się kochają, chcą czegoś od siebie nawzajem. Ludzie, którzy się kochają, rozmawiają ze sobą. Ludzie, którzy się kochają, uprawiają seks. Nie możesz chcieć mnie i nie chcieć tego wszystkiego.

Eddie stał przed nią, na przemian zaciskając i rozluźniając szczęki.

- Jeśli to koniec, to koniec - powiedziała Siobhán.

- Sprawileś, że poczułam się dzisiaj tandetnie i okropnie. Teraz też sprawiasz, że czuję się tandetnie i okropnie, stojąc tak tutaj w tym stroju. Nie wiem, czego chcesz, ale ja nie mogę już tak dłużej żyć.

- Siobhán, proszę cię - Eddie przełknął z trudem. - Nie... nie...

- Nie co? - Siobhán spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. - O co, do diabła, chodzi, Eddie? Co się stało?

- Wiem, że powinniśmy porozmawiać - zwilżył wargi czubkiem języka. - Chyba starałem się tego uniknąć, ale rozmawiam z tobą. Tylko nie dzisiaj.

- Dlaczego, do cholery, nie dzisiaj? - zapytała. - Czy kiedykolwiek będzie lepszy moment?

- Bo ja po prostu nie mogę teraz o tym rozmawiać. Jestem zestresowany i naprawdę zmęczony. A jutro rano muszę wcześniej wstać. Mam z samego rana spotkanie, a jest już po północy, więc jeśli zaczniemy rozmawiać...

- Więc twoja praca jest ważniejsza od nas? - rzuciła cierpko Siobhán.

- Posłuchaj, ile razy było tak, że wracaliśmy do domu wcześniej, bo ty musiałaś na drugi dzień być wcześniej rano w pracy? - zapytał Eddie.

Siobhán nie odpowiedziała.

- To taki wasz policyjny sposób, tak? - prychnął Eddie. - Nic nie mówić i liczyć na to, że podejrzany sam powie coś obciążającego.

- Na litość boską, Eddie. Jesteś moim narzeczoną, a nie podejrzaną o popełnienie przestępstwa!

- Tak, tylko że ty traktujesz mnie właśnie jak przestępcę.

- Bo zachowujesz się zupełnie jakbyś nie był sobą! - krzyknęła. - Niby się kochamy, ale odkąd wróciłeś do domu, nic tylko mnie od siebie odpychasz, a ja nie mogę już tego znieść. Jeśli zrobiłam coś złe, to, na miłość boską, po prostu mi powiedz!

- Ty nic nie zrobiłaś - rzucił krótko.

- Więc o co chodzi? - Siobhán spojrzała na niego z rozpaczą. A potem w jej wzroku pojawiła się nieufność. - Czy ty coś zrobiłeś?

- Nie możesz odpuścić, prawda? Oczywiście, że to ja coś zrobiłem.

- Nic, co zrobiłeś, nie upoważnia cię do takiego zachowania.

- Och, nie bądź naiwna - popatrzył na nią wzrokiem pełnym złości i rozpacz. - Przespałem się z inną kobietą. To był błąd. Okej? Zadowolona?

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- Więc tak, to coś, o czym powinniśmy porozmawiać - powiedział. - Ale ja nie mogę teraz, Siobhán. Muszę to sobie uporządkować. A jutro rano naprawdę mam ważne spotkanie.

- Tak, ale... - Siobhán była wstrząśnięta.

- W weekend. Porozmawiamy w weekend.

- Ale ja...

- Proszę cię. Wiem, że jesteś teraz zdenerwowana. Ja też. Nie umiem rozmawiać, gdy jestem zdenerwowany. Zostawmy to na sobotę, a wtedy spokojnie porozmawiamy i będziesz mogła... będziesz mogła... cóż... co zdecydujesz.

- Och, Eddie.

- Nie mów już nic więcej - w jego głosie więcej było rozpacz niż złości. - Wiem, że zrobiłem coś strasznego. Masz prawo być na mnie wściekła, ale musimy o tym porozmawiać na spokojnie, a teraz nie jesteśmy w stanie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem Eddie poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 18

Ulice miasta były pełne ludzi. Do wyjścia z domu zachęcił ich niezwykle ciepły sobotni poranek. Wesoło rozmawiając, spacerowali po centrum i zaglądali do dublińskich butików i domów handlowych.

Słońce ogrzewało plecy Iony, podążającej wzdłuż Dame Street do kawiarenki, gdzie się umówiła z Sally Harper. Nie była w stanie iść wolno, mimo że na spotkanie z tamtą kobietą, zaplanowane na dwunastą trzydzieści, wyszła z domu o wiele za wcześnie. Prychnęła na określenie, którego użyła w myślach. Sally nie była *tamtą kobietą*. Ona sama nią była. Przecież wszyscy tak to widzieli, prawda? Tak widziała to ta miła policjantka, Siobhán Farrell. Tak widzieli to Lauren i Myles. Tak przedstawiała się jej rzeczywista sytuacja.

Iona nie miała pojęcia, dlaczego Sally chce się z nią spotkać. Nie wiedziała, o czym mogłyby rozmawiać. Sally jednak nalegała, więc Iona była w końcu zbyt zaintrygowana, by odrzucić zaproszenie. Poza tym chciała się dowiedzieć, co u Franka, jak się miewa, jakiemu leczeniu jest poddawany i jakie są prognozy.

Kiedy skręcała za róg w Trinity Street, wpadła na trzymającą się za ręce parę. Przeprosiła szybko, ale młoda dziewczyna i jej chłopak nie zwrócili na to uwagi. Byli tak zajęci sobą, że ledwo ją zauważyli. Zupełnie jak my z Frankiem, pomyślała ze smutkiem Iona. Gdy szliśmy razem ulicą, nie widzieliśmy innych ludzi. A potem zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście tak było, bo nagle sobie uświadomiła, że bardzo rzadko wychodzili razem do centrum, a całe ich życie towarzyskie skupiało się w północnej części miasta, choć ich dom dzieliło od Grafton Street raptem piętnaście minut spaceru.

Czy nie pokazywał się z nią, bo się obawiał, że jego znajomi, ludzie, którzy znali jego i Sally, mogliby ich zauważyć? Uświadomiła sobie także to, że ona i Frank bardzo rzadko spotykali się z jego przyjaciółmi. Do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiała, lecz faktem było, że jeśli wychodzili gdzieś w większym gronie, to zawsze byli to jej znajomi, a nie jego. Frank mówił jej, że większość jego bliskich przyjaciół nadal mieszka w Sligo, skąd pochodzi. I nie chciał ciągać jej na służbowe kolacje, w których musiał od czasu do czasu uczestniczyć ze względów zawodowych. Przez te ostatnie kilka lat żyli w stworzonym przez siebie małym, zamkniętym świecie. Iona zastanawiała się teraz, dlaczego wcześniej nie zauważyła, jak wąskie jest grono ich znajomych. No ale przecież Frank, wracając ze służbowych podróży, zawsze chciał być tylko z nią, a ona też lubiła spędzać czas tylko we dwoje. Tyle że to nie było normalne. Teraz wydawało jej się dziwne, że nigdy dotąd nie zwróciła na to uwagi.

Wciąż szła szybkim krokiem w kierunku Wicklow Street, a od krążących myśli aż zawirowało jej w głowie. Ucieszyła się, gdy dotarła do kawiarni, nawet jeśli była dziesięć minut za wcześnie. Zamówiła niskokaloryczną latte i wzięła egzemplarz „The Irish Timesa” z wieszaka na ścianie. Potem z uczuciem ulgi opadła na jedną z miękkich skórzanych sof przy niskim stoliku. Otworzyła na stronie z listami do redakcji i przygryzła wargę. Rozpoczynanie lektury gazety od listów to był zwyczaj, który przejęła od Franka. Mocno zacisnęła oczy i ze wszystkich sił postarała się nie rozplakać.

Droga ze szpitala do centrum miasta zajęła Sally więcej czasu, niż się spodziewała. A potem zgubiła się przy nabrzeżach, bo okazało się, że nie może skręcić w lewo, tam gdzie planowała. Od lat nie jeździła po tej części miasta, więc zupełnie nie orientowała się w nowym jednokierunkowym systemie. Niemal dwadzieścia

minut zmarnowała, kręcąc się w kółko po zakorkowanych uliczkach, zanim znalazła parking, a na dodatek musiała wjechać na samą górę, żeby znaleźć na nim wolne miejsce. Miała wrażenie, że w ciągu tych kilku lat, odkąd zamieszkali w Bray, miasto rozrosło się do granic możliwości. Wtedy nie chciała się wyprowadzać z Dublina, ale teraz czuła się przytłoczona ogromną ilością samochodów w korkach i tłumem ludzi na ulicach.

Ostrożnie wjechała na ostatnie wolne miejsce na parkingu, uważając na słupy, które tak bardzo lubią zniecałkować wyskakiwać nie wiadomo skąd i rysować lakier samochodu. Parkowanie nie wychodziło jej najlepiej, tak naprawdę to w ogóle nie lubiła prowadzić samochodu, ale te kilka dni bez auta były koszmarem. Siobhán Farrell postarała się, żeby sprowadzono ich samochód z Ardallen. Sally zastanawiała się nawet na początku, czy Iona nie będzie się starała go odzyskać, ale ona o nic się nie upominała. To było dziwne, że po tych kilku pierwszych strasznych godzinach po prostu wycofała się z całej tej sytuacji, tak jakby zupełnie jej nie dotyczyła.

Cóż, pomyślała Sally, wysiadając z hondy i zamykając drzwi, wkrótce się dowiem, co ona o tym wszystkim myśli. Jeśli jeszcze na mnie czeka. Sally spojrzała na zegarek i z niepokojem zmarszczyła brwi. Chciała przyjechać punktualnie, a spóźniła się prawie pół godziny. Nie miała pewności, czy Iona należy do tego rodzaju kobiet, którym nie przeszkadza, że muszą czekać. Obawiała się, że jest wręcz przeciwnie.

Szybko wyszła z parkingu i popędziła ulicą. Spociła się trochę w swoim wełnianym sweterku - rankiem czuła się w nim świetnie, ale teraz okazał się za gruby na ciepłe majowe słońce. Dotarła do kawiarni i popchnęła drzwi.

Iona zastanawiała się, czy nie wyjść. Wypiła kawę, przeczytała gazetę i przez ostatnie pięć minut była po prostu wściekła. Przecież wcale nie chciała się spotykać z Sally Harper, ale mimo wszystko przyszła, a ta cholerna baba nawet się nie pokazała. Zaczęła się zastanawiać, czy Sally nie zrobiła tego specjalnie, po to, żeby... żeby... Cóż, nie była w stanie odgadnąć perfidnych zamiarów Sally, ale czuła, że jest w tym jakiś haczyk. W momencie, gdy złożyła gazetę i zaczęła zbierać swoje rzeczy, otworzyły się drzwi i do kawiarni weszła Sally.

Pierwszą myślą, jaka przyszła Ionie do głowy, było to, że Sally strasznie schudła. Nie żeby wtedy w szpitalu dokładnie jej się przyjrzała, ale odniosła wrażenie, że to pozbawiona gustu kobieta w średnim wieku z lekką nadwagą. A ta, która szła przez kawiarnię w jej stronę, była wyższa, niż Iona zapamiętała, i zdecydowanie szczuplejsza, zwłaszcza na twarzy. O reszcie trudno było coś powiedzieć, bo Sally miała na sobie luźną czarną spódnicę i gruby sweter zapinany na kopertę. Jadeitowa zieleń pewnie podkreśliłaby kolor jej oczu i włosów, gdyby jej twarz nie była tak bardzo blada, a włosy upięte w ten sam staromodny warkocz, jaki miała, gdy Iona widziała ją po raz pierwszy.

Iona ucieszyła się, że rano poświęciła czas na umycie i nażelowanie swoich atramentowoczarnych włosów i że zadała sobie trud użycia podkładu, kredki do oczu i szminki. Założyła duże srebrne kolczyki i łańcuszek do kompletu, ubrała się w sprane dżinsy i jaskraworóżowy top, podkreślający jagodową barwę jej oczu i lekką opaleniznę.

To ja jestem ta młodsza, pomyślała, gdy Sally się zbliżyła. Ja jestem ładniejsza. Ja mam wycucie stylu. To ze mną jest fajnie, a ona jest żałosna.

- Dzień dobry - powiedziała Sally, podchodząc do stolika. - Przepraszam za spóźnienie. Były straszne korki, a ja źle skręciłam. Bardzo dawno nie byłam w centrum. Bałam się, że pani już sobie poszła.

- Już miałam wychodzić - odpowiedziała Iona.

- Chciałam zadzwonić i uprzedzić - powiedziała Sally. - Ale nie miałam numeru pani komórki.

I z pewnością go nie dostaniesz, pomyślała ponuro Iona.

- Chce pani kawę? - zapytała.

- Hm... tak. Pewnie - Sally niepewnie rozejrzała się po kawiarni.

- Wszystko w porządku - powiedziała Iona. - Trzeba zamówić przy ladzie. Zamówię dla pani. Jaka?

- Niskokaloryczną latte - odpowiedziała Sally.

- Coś jeszcze? - Iona była zaskoczona, że Sally pije taką samą kawę jak ona.

Sally pokręciła głową.

- Nie jestem głodna.

Iona zamówiła dwie niskokaloryczne latte oraz muffinkę z jabłkiem i jagodami. Również nie była głodna, ale zdecydowała, że zamówi coś do jedzenia, jeśli Sally tego nie zrobi.

- Dziękuję - powiedziała Sally, gdy Iona postawiła przed nią kawę.

Kobiety siedziały po dwóch stronach niskiego stolika i przyglądały się sobie.

- Jak on się ma? - zapytała w końcu Iona.

- Wciąż jest nieprzytomny.

- Jest jakakolwiek poprawa? Sally westchnęła.

- Chyba nie. Czasami wydaje mi się, że mnie słyszy, ale kiedy indziej... po prostu nic.

Iona obierała ciastko z nawoskowanego papieru i milczała, bo bała się odezwać. Przed oczami stanął jej nagle obraz Franka, takiego, jakim widziała go ostatnio w szpitalu. Poczowała ból na wspomnienie o nim i starała się jedynie powstrzymać od płaczu.

- Im dłużej to trwa, tym gorzej - powiedziała Sally. Ionę zaskoczyło, że Sally mówi w tak rzeczowy sposób.

Uważała ją za osobę nieporadną i zagubioną, a ona, choć wciąż wydawała się nieco rozkojarzona, nagle traktowała całą sytuację bardzo konkretnie.

- Mózg jest aktywny - mówiła dalej Sally. - Nie wystąpiła śmierć mózgu ani nic takiego, tylko że wciąż się nie budzi. Sęk w tym, że jeśli się nie obudzi i uszkodzeniu ulegnie część mózgu odpowiedzialna za wyższe funkcje, to może zostać w tym stanie na zawsze, aż złapie jakąś infekcję i ona go zabije. - W tym momencie lekko się zakrztusiła. Iona spojrzała na nią znad muffinki i dostrzegła, że oczy Sally były pełne łez.

- Mają jakiś pomysł, jak go obudzić? - Iona zdawała sobie sprawę, że jej głos zabrzmiał ostro, ale tylko w ten sposób mogła powstrzymać się od płaczu.

- Raczej nie - Sally odkaslnęła i wypiła łyk kawy. - Próbowалам wszystkiego, co proponowali. Czytałam artykuły z gazety, opowiadałam mu o pracy, o Jennie, o domu. Żadnej reakcji.

- Które artykuły? - zapytała Iona.

- No, wstępniak - Sally była zaskoczona tym pytaniem. - I „O pogodzie i nie tylko”. Frank uwielbia tę kolumnę.

- A strona z listami? - zapytała Iona. - Czytała mu pani listy?

Sally nie odpowiedziała. Iona przyglądała się jej uważnie.

- Ależ oczywiście - odparła w końcu Sally. - On uwielbia listy.

- Myślę, że woli listy od „O pogodzie i nie tylko” - stwierdziła Iona.

Sally pokręciła głową.

- Najpierw „O pogodzie i nie tylko” - powiedziała - a potem listy.

- Nie sądzę - Iona zmarszczyła brwi. - Najpierw listy, a potem „O pogodzie i nie tylko”.

Obie kobiety patrzyły na siebie nieufnie.

- Cóż, to mało istotne - powiedziała wreszcie Iona. - Ważne, że czyta mu pani gazetę.

- I ma obok włączone radio - dodała Sally. - Lubi muzykę poważną.

- Wiem - powiedziała Iona. - I Enyę.

- I Pavarottiego.

- I Madonę.

- I Franka Sinatrę.

- Nieprawda! - Iona wyglądała na zaskoczoną. - Sinatrę?

- Tak - skinęła głową Sally. - Ma płytę z jego największymi przebojami.

- Nigdy jej nie widziałam.

- Może z panią nie słucha Sinatry, ale na imprezach śpiewa „Mack the Knife”.

Iona była wstrząśnięta.

- Nigdy przy mnie nie śpiewał „Mack the Knife”.

Sally wzruszyła ramionami.

- Zmyśliła to pani - stwierdziła Iona oskarżycielskim tonem.

- Niech pani nie będzie głupia - odpowiedziała jej Sally. - Po co miałabym zmyślać?

- Jaki jest jego ulubiony kolor? - rzuciła obcesowo Iona.

- Nie ma ulubionego koloru.

- A właśnie, że tak. Czerwony. Dlatego tak często używa go w iluminacjach. A jego ulubiona gra komputerowa?

- Frank nie gra w gry komputerowe - odpowiedziała Sally. - Nie ma na to czasu.

- Wingnuts - rzuciła wyzwanie Iona. - I jest w niej świetny.

- Nawet nigdy nie słyszałam o takiej grze - odparła krótko Sally.

- Bez przerwy w nią gra - powiedziała Iona. - Ma ją w laptopie.

Sally prychnęła.

- Gry komputerowe są nieważne - powiedziała. - Jaka jest jego ulubiona potrawa?

- Spaghetti carbonara - Iona zdążyła odpowiedzieć, jeszcze za nim Sally dokończyła swoje pytanie.

- Pieczona wieprzowina z morelami i sosem kokosowym.

- Och, bez przesady! - Iona przyglądała się jej sceptycznie. - Frank prawie nigdy nie je pieczonego na obiad.

- U pani pewnie nie - odparła Sally - ale ja świetnie gotuję.

Iona popatrzyła na nią ze złością.

- Umiem gotować. Tylko nie robię tradycyjnego zestawu mięso z ziemniakami i surówką.

- Ja też nie - stwierdziła Sally. - Urozmaicam mięso różnymi sosami. A warzywa podaję w ciekawy sposób.

Iona czuła, jak gotuje się w niej złość. Z wściekłością ugryzła kawałek ciastka.

- Ulubiona książka - rzuciła z ustami pełnymi okruszków. - Jaka jest jego ulubiona książka?

- *Goldfinger* Iana Fleminga - Sally odpowiedziała od razu. - Zawsze uważałam, że to śmieszne, ale on z jakiegoś niezrozumiałego powodu naprawdę ją uwielbia.

Iona zamknęła oczy. Zobaczyła egzemplarz tej książki na półce w ich sypialni. Kupiła mu ją zaraz po tym, jak się wprowadził. Rozmawiali o książkach. Powiedział jej, że czytał ją, jak był nastolatkiem, i wsiąkł w tego całego Bonda, jeszcze zanim zobaczył film. I że to doskonała książka, ale dawno nie widział jej w żadnej księgarni. Więc poszukała i znalazła. Roześmiał się zadowolony, gdy mu ją podarowała, a ona stwierdziła, że wcale nie było trudno ją znaleźć. Ale skoro to jego ulubiona książka, to pewnie miał egzemplarz w swoim drugim domu i jej podarunek niewiele znaczył. Wyjęła chusteczkę z torebki i wydmuchała nos.

- Och, proszę posłuchać, nie poprosiłam o spotkanie z panią, żeby się licytować, która z nas lepiej go zna! - wykrzyknęła Sally, widząc, że Iona jest naprawdę zrozpaczona.

- Chciałam... chciałam panią poprosić, żeby go pani odwiedziła.

- Co takiego? - Iona patrzyła na nią całkowicie zdumiona.

- Jak już mówiłam, próbowałam wszystkiego - odpowiedziała zdesperowanym głosem Sally. - Jenna też wszystkiego próbowała. Mówiliśmy do niego i mówiłyśmy, aż skończyły się nam tematy. Pomyślałam, że może on nie reaguje, dlatego... dlatego, że tak naprawdę chciałby usłyszeć panią.

Iona odłożyła do połowy zjedzone ciastko na talerzyk i odsunęła na bok.

- Słyszał mnie - powiedziała. - Tej pierwszej nocy.

- Tak, ale wtedy był w kompletnym szoku - odpowiedziała Sally. - Pomyślałam, że może teraz... może teraz będzie inaczej.

Iona przekręciła kolczyk w uchu, próbując się opanować.

- I co wtedy? - zapytała. - Co jeśli porozmawiam z nim, a on się obudzi?

Sally wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale powinniśmy spróbować, prawda?

- Na pewno?

- Nie musi pan, jeśli pani nie chce - odpowiedziała Sally. - Ale to dla jego dobra.

- Och, niech pani tak głupio nie pieprzy - warknęła Iona.

- Umieram z tęsknoty za nim. Chcę go pocieszać. Chcę do niego mówić. Kocham go.

Sally obruszyła się.

- Ale już więcej pani do szpitala nie przyszła.

- Po co, do diabła, miałam to robić, skoro pani i pani córka byłyście takie zaborcze? - Iona odpowiedziała pytaniem. - Nie wiedziałam, co mam robić. Chciałam to przemyśleć. O mało nie oszalałam.

- Więc porozmawia pani z nim?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała.

- Dziękuję - powiedziała Sally. - Bardzo dziękuję.

Siedziały w milczeniu. Iona dokończyła ciastko i wypła kawę. Zauważyła, że Sally swojej wcale nie pije.

- Wszystko z nią w porządku? - zapytała wprost.

- Słucham?

- Pani kawa - powiedziała Iona. - Nie pije jej pani.

- Nie chce mi się pić - Sally stwierdziła, że to nie najlepszy moment, żeby poinformować Ione, że ostatnio po każdej kawie, także tej, którą piła z Siobhán Farrell, robi jej się niedobrze. Wiedziała, że ma to jakiś związek z ciążą, ale nie miała zamiaru omawiać tego z tą młodą kobietą. Nagle przypomniała sobie o pytaniu, które musiała zadać.

- Czy pani i Frank macie dzieci?

Iona poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.

- Czemu pani pyta?

- Tak się tylko zastanawiam - odpowiedziała Sally.

- Nie, nie mamy - Iona próbowała nadać swojemu głosowi lekceważący ton, tak jakby ta sprawa była dla niej bez znaczenia.

- To chyba nawet dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności - powiedziała Sally.

- A skąd, do cholery, może pani wiedzieć, co jest dla mnie dobre albo złe? - zapytała Iona ze złością.

Sally wzdygnęła się na jej słowa.

- Chodziło mi tylko o to... że jak on jest w tym stanie i w ogóle... - nie miała ochoty kontynuować tego wątku. Żałowała, że w ogóle o tym wspomniała. Bała się, że Iona domyśli się, że jest w ciąży, a nie była gotowa rozmawiać z nią o tym. Zapadła niezręczna cisza. W końcu przerwała ją Iona.

- Była pani dzisiaj w szpitalu?

Sally skinęła głową.

- A ja kiedy mam pójść?

- Kiedy będzie pani chciała - odpowiedziała Sally.

- Może dziś wieczorem? Sally przełknęła ślinę.

- Wybieram się tam dziś wieczorem z Jenną. Nie jestem pewna, czy...

- W takim razie jutro - stwierdziła Iona. - Pojadę tam jutro rano.

- Okej - Sally spojrzała na nią z niepokojem. - Ale ja też chciałabym tam być.

- Po co? - zapytała Iona. - Poprosiła mnie pani, żebym tam pojechała i zobaczyła się z nim. Dlaczego chce pani przy tym być? A co z naszą prywatnością?

- A jeśli on się obudzi? - Sally zadała proste pytanie. - Chcę przy tym być.

- Po co? - tym razem to Iona przyglądała się jej z niepokojem. - Wpadnie tam wtedy pani i walnie mnie w głowę, żeby mnie nie zobaczył?

- Proszę nie mówić głupstw - Sally potarła skrzydełko nosa. - Ja... po prostu chcę tam być, jeśli on się obudzi.

- I co wtedy? - zapytała Iona.

- Wtedy... wtedy... nie wiem - przyznała Sally.

- Musimy mieć jakiś plan - stwierdziła Iona. - To znaczy, co zrobimy, jeśli on się obudzi i okaże się, że stracił pamięć? Co wtedy?

- Myślę, że to zależy, czego dokładnie nie będzie pamiętał - Sally uśmiechnęła się lekko. - Jeśli zapomni o małżeństwie ze mną, wtedy pani przejmie dowodzenie. A jeśli zapomni o waszym rzekomym małżeństwie...

- To nie było rzekome małżeństwo - wtrąciła Iona z naciskiem. - Było prawdziwe.

Sally wzruszyła ramionami.

- Było cholernie prawdziwe - dodała gwałtownie Iona. - Może nie było zgodne z prawem, ale było prawdziwe. Mam przecież zdjęcia - głos Iony się załamał, a ona z przerażeniem stwierdziła, że oczy ma pełne łez.

- O, mój Boże, przepraszam - Sally patrzyła na nią ze skrucą. - Nie chciałam pani zdenerwować.

- A niby jak miało się skończyć nasze spotkanie? - parsknęła Iona. - Do diabła, zdenerwowałabym się nim bez względu na to, czy pani by tego chciała czy nie.

- Tak, powinnam była o tym pomyśleć - Sally powoli wypuściła powietrze. - Chyba w ogóle o pani nie myślałam. Tylko o Franku.

- No, cóż, ja też myślę o Franku - powiedziała Iona. Ponownie wydmuchała nos. - To wszystko jest takie pokręcone. Normalnym ludziom takie rzeczy się nie zdarzają. Czuję się tak, jakbym występowała w jakimś durnym reality show, i mam wrażenie, że zaraz ktoś wyskoczy i powie mi, że to wszystko jakiś żart.

- Czuję się podobnie - przyznała Sally. - Chociaż żartem bym tego nie nazwała.

- Wie pani, o co mi chodzi. Sally pokiwała głową. Ponownie zapadła cisza.

- Jest jeszcze inna sprawa - powiedziała Iona.

- Tak?

- Jego firma - Iona opowiedziała Sally, że jej szwagier Myles znalazł nazwiska prawnika i księgowego Franka i że skontaktował się z nimi w jej imieniu. Powiedzieli mu, że w zarządzie firmy są Frank Harper i Sally Champion. Stwierdziła, że widziała nazwisko S. Champion na nagłówku listów firmowych, ale Frank nigdy nie mówił jej, kto to jest, a ona założyła, że to jakiś jego kolega, księgowy czy ktoś taki.

- Tak, jestem w zarządzie - potwierdziła Sally.

- Więc co się dzieje z firmą?

Sally skrzywiła się i spojrzała na Ionę.

- Richard Moran, księgowy, skontaktował się z klientami i podwykonawcami Franka. Miał mniej klientów, niż myślałam, za to zapewniają firmie więcej zysków, niż przypuszczałam. Nie musiał nawet w połowie tyle jeździć.

- To by się zgadzało.

- W każdym razie Pete Maguire, jeden z podwykonawców, pilnuje harmonogramów serwisowych i całego tego kramu. Wiele rzeczy było zamówionych z dużym wyprzedzeniem, więc nie ma z tym większego problemu. Z małą pomocą Richarda wszystko może się kręcić samo nawet przez kilka miesięcy. Ale nie wiem, co będzie potem.

- Sugeruje pani, że on w ogóle nie musiał wyjeżdżać?

- Nie - Sally pokręciła głową. - Spotkania z klientami były konieczne, ale wiele z nich umawiał tylko dlatego, że to lubił. Po za tym każda z nas myślała, że jest u klienta... gdy tymczasem... cóż, wcale tak nie było.

- Wie pani co, czasami sobie myślę, że lepiej, żeby został w tej sypialce - rzuciła ze złością Iona.

- Wiem, co pani czuje.

Obie kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenie.

- Ale ktoś musi się nim opiekować - powiedziała w końcu Sally.

Iona skinęła głową.

- To jutro też mogę przyjść?

- Tak, jasne. - Iona sięgnęła po swoją torebkę i wzdrygnęła się, gdy Sally złapała ją za rękę. Kobieta wpatrywała się w jej serdeczny palec, na którym Iona zamiast tradycyjnej obrączki nosiła szeroki pierścionek z rubinami.

- Nie lubię diamentów - wyjaśniła Iona. - I moim zdaniem zwykle złote obrączki... są takie ostentacyjne.

- Nie wierzę, że on to zrobił - powiedziała z naciskiem Sally. - Naprawdę, nie wierzę. - Ciężko przełknęła, patrząc na lśniące w świetle kawiarnianych lamp rubiny. - To śliczny pierścionek.

- Myśli pani o tym, że zamiast go kupować powinien był zapłacić jakiś wasz rachunek? - zapytała Iona.

- Nie - Sally pokręciła głową. - Myślę, że to naprawdę piękny pierścionek. - Wyciągnęła swoją dłoń i pokazała Ionie wąską obrączkę z trzema małutkimi diamentkami. - Nie mieliśmy wtedy zbyt wiele pieniędzy - powiedziała. - Zawsze mówił, że kupi mi inny, ale nie chciałam.

- Oczywiście - powiedziała Iona. - Dlaczego miałby uważać, że chce pani inny?

- Droższy. Ładniejszy. Zawsze mi powtarzał, że na to zasługuję.

Obie kobiet ponownie zamilkły. Po chwili Iona wstała.

- Do zobaczenia jutro - powiedziała.

Sally wciąż siedziała. Skinęła głową.

- Do jutra.

Patrzyła, jak Iona wychodzi z kawiarni na zalaną słońcem ulicę, a potem wstała i zamówiła herbatę, którą przyniosła sobie do stolika. Piła ją ostrożnymi łykami. Po herbacie nie robiło jej się tak niedobrze jak po kawie. Bała się, że zwróci kawę na oczach Iony, a to by była kompletna katastrofa. Nie chciała dostarczyć tej młodej kobiecie kolejnego argumentu. Zorientowała się, że Iona nią pogardza, po sposobie, w jaki tamta ją oceniła, jeszcze zanim usiadła. W jej ciemnych oczach odbijało się poczucie wyższości, gdy lustrowała ją z góry na dół. Domyślała się, że ocena nie wypadła korzystnie. Mogła sobie wyobrazić, co Iona o niej myśli - że jest stara i zaniedbana, że się ubrała nieodpowiednio na tak ciepłą pogodę, że w porównaniu z Ioną o egzotycznej urodzie jest najzwyczajszą kobietą w średnim wieku. Ale przecież zwykle tak nie wygląda. Ludzie uważają, że wygląda całkiem nieźle. Może nie tak dobrze, jakby mogła (zawsze musiała walczyć z kilogramami), ale przecież nie ma czasu zajmować się sobą, prawda? Pracuje, ma rodzinę i ciągle musi biegać, żeby utrzymać w powietrzu wszystkie piłeczki, bo sprawne funkcjonowanie ich domu zależy właśnie od niej. Musi tak być, bo Frank za często wyjeżdża.

Wyjeżdża, żeby być z Ioną!

Na tę myśl Sally ledwo powstrzymała się przed zwymiotowaniem, choć piła herbatę, a nie kawę. Gwałtownie wstała i wyszła z kawiarni, łapiąc wzrokiem swoje odbicie w szybie, gdy otwierała drzwi. Zmarszczyła brwi i wolnym krokiem ruszyła Exchequer Street. Gdy mijała sklep z lustrem na wystawie, ponownie spojrzała na swoje odbicie.

Wyglądała żałośnie. Gdyby w takim stanie pojawiła się w szpitalu, a Frank obudziłby się ze śpiączki i zobaczył ją stojącą obok Iony... cóż, przede wszystkim dokonałby porównania, a ona przegrałaby z kretesem, bo Iona wygląda wspaniale. Sally nie zdawała sobie do tej pory sprawy z jej atrakcyjności - te uwodzicielskie oczy i ciemne, lekko nastroszone włosy zdecydowanie przyciągały uwagę. Pomyślała, że Frank zobaczywszy je obie, mógłby udawać, że nie wie, kim ona jest, bo wołałby być z Ioną.

Nie, nie mógłby czegoś takiego zrobić. W całym tym bajzlu musi pamiętać, że to ona jest jego żoną, nie Iona.

Skręciła w Grafton Street. Nie wiedziała, czemu idzie w tę stronę, w przeciwnym kierunku niż parking, ale nie miała jeszcze ochoty wsiadać do samochodu i wracać do domu. Spacerowała deptakiem, obserwując mimów i muzyków, ulicznych fryzjerów amatorów i kwiaciarki. Wszyscy oni żyli swoim życiem, nie zdając sobie sprawy, że ona, Sally Harper, przechodzi piekło.

Zatrzymała się przed salonem fryzjerskim. Drzwi otworzyły się i wyszła kobieta z doskonale obciętymi i wystylizowanymi włosami. Po ulicy rozniósł się zapach szamponu i lakieru. Sally przez chwilę stała niezdecydowana, ale potem popchnęła drzwi i weszła do środka.

Rozdział 19

W sobotni poranek o ósmej rano zadzwonił telefon z pilnym wezwaniem dla Siobhán, żeby stawiała się na miejscu potencjalnego przestępstwa. Znalaziono martwą starszą kobietę w jej własnym domu, a okoliczności uznano za podejrzane. Rozmawiając przez telefon, dostrzegła w oczach Eddiego mieszaninę wyrzutu i ulgi. Był zły, że musi wyjść tak wcześnie, ale jednocześnie zadowolony, że odwlecze się ich rozmowa o jego zdradzie.

- Wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła - powiedziała, ubierając się w pośpiechu. - I wtedy porozmawiamy.

Wzruszył ramionami i odwrócił się na drugi bok. Leżał w ich wielkim łóżku, w którym nadal spali razem, choć teraz Siobhán trzymała się samego skraj i odkąd przyznał się do zdrady, nie próbowała już się do niego zbliżyć.

Po drodze do małego jednorodzinnego domku, w którym umarła staruszka, starała się nie myśleć o Eddiem i o tym, co dalej będzie z ich związkiem. Do starszej kobiety zadzwoniła sąsiadka, a gdy nikt nie odpowiadał, powiadomiła policję. Claudia Hill leżała u dołu schodów, a obok niej jakaś książka w twardej oprawie. Po stanie, w jakim znajdowało jej ciało, Siobhán mogła ocenić, że zmarła kilka dni temu.

Gdy pierwszy raz w życiu zobaczyła zwłoki, o mało nie zwymiotowała. I tak naprawdę nigdy nie przyzwyczaiła się do tego widoku. Ale jakoś sobie radziła.

Obecny na miejscu zdarzenia policjant z lokalnego posterunku przedstawił jej sąsiadkę, która zawiadomiła policję. Dowiedziała się od niej, że Claudia była uroczą osobą, ale nieco roztrzepaną.

- Co pani przez to rozumie? - zapytała Siobhán, zastanawiając się, czy staruszka była na tyle roztargniona, żeby zostawić niezamknięte drzwi, przez które ktoś mógł wejść i ją zaatakować.

- Ach, wie pani. Zapominała, że trzeba coś zjeść, i tym podobne. Nic, tylko czytała książki. Miała ich tutaj tysiące. Chodziła po domu z nosem w jakiejś powieści i nie można się było z nią w ogóle porozumieć, dopóki jej nie skończyła.

Teresa, sąsiadka, potwierdziła, że Claudia cieszyła się dobrym zdrowiem i z pewnością nie zostawiłaby niezamkniętych drzwi.

Siobhán skinęła głową i zostawiła Teresę pod opieką innej policjantki. Przeszła się po domu, notując w pamięci przepełnione półki z książkami i ogólny nieład, prawie puste szafki kuchenne, trochę popularnych lekarstw w szafce w łazience oraz płyn do płukania sztucznej szczęki na umywalce. Sypialnia Claudii wyglądała jak sklep z antykami, stało w niej wielkie łóżko z mnóstwem poduszek i rdzawoczerwoną satynową narzutą, a na toaletce widniała kolekcja delikatnych szklanych buteleczek w rozmaitych kolorach. W pomieszczeniu było duszno, choć na lekko stęchły zapach nakładała się delikatna nuta lawendy. Siobhán otworzyła okno, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Gdy się rozglądała po pokoju, nagle usłyszała głuchy odgłos w pobliżu okna, które otworzyła. Wielki czarny kot z oczami w kolorze jaszczurzej zieleni przyglądał się jej groźnie. Sztywnym krokiem przeszedł przez pokój, wskoczył na łóżko i zaczął ugniatać łapkami jedną z poduszek.

Powinam się była domyślić, pomyślała. Starsza kobieta mieszka samotnie, czyta książki i ma kota. Umiera, nikt tego nie zauważa. Właśnie takiego końca wszyscy się obawiamy. Może właśnie dlatego nie odeszłam od razu od Eddiego. Wiem, że powinam. Przespał się z inną kobietą. Nie kocha mnie, ja sama nie wiem, czy go jeszcze kocham, ale nie chcę tak po prostu odejść. Przygryzła wargę i zeszła po schodach.

Lekarz powiedział jej, że Claudia spadła ze schodów, złamała kark i od razu umarła. Nie mógł wykluczyć, że nie została popchnięta, ale - jak pogodnie stwierdził - wydawało się to raczej mało prawdopodobne. Jego zdaniem, biedna staruszka po prostu potknęła się i spadła ze schodów. To jednak powinna chyba stwierdzić Siobhán, prawda?

Siobhán skinęła głową. Przypuszczała, że coroner dojdzie do tego samego wniosku. Przypadkowa śmierć. Ale żeby mieć pewność, trzeba trzymać się procedur.

Zwykle dość szybko zapominała o takich sprawach jak ta. Tym razem, gdy wracała potem do mieszkania, wciąż myślała o Claudii Hill. Choć patolog potwierdził, że zmarła natychmiast po upadku, Siobhán nie mogła przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby spadając ze schodów, złamała tylko nogę. Czy byłaby w stanie zadzwonić po pomoc? Czy i tak umarłaby, bo nie było nikogo, kto by codziennie do niej zaglądał?

Nie chcę być sama, pomyślała, chcę mieć kogoś, kto będzie w moim życiu ważny.

Gdy wkładała klucz do drzwi mieszkania, powitał ją cichy szmer telewizora. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, nasłuchując, czy jest Eddie, mimo iż obiecał, że będzie, kiedy do niego zadzwoniła w drodze do domu.

- Zjesz coś? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie jestem głodna.

- Straszny widok? - w jego głosie współczucie mieszało się ze zdenerwowaniem.

- Mogło być gorzej - klapnęła na kanapę. - Stara kobieta spada ze schodów i umiera. Nie ma nikogo, kto by to zauważył.

- Tobie by się to nie przydarzyło - powiedział Eddie. - Jesteś za bystra, żeby spaść ze schodów. I wszyscy zauważyliby, gdyby cię zabrakło.

Siobhán zaśmiała się krótko.

- Kto wie? W przyszłości... cóż... kto wie?

Eddie nic nie odpowiedział i między nimi zaczęła narastać cisza. Siobhán czuła się coraz bardziej niezręcznie.

- Więc? - powiedziała w końcu. - Opowiedz mi o tym. Kim ona jest?

Eddie popatrzył na nią, jakby się jej bał. Nie masz czego, pomyślała. Nie mogę zamknąć cię w celi za to, że się przespałeś z inną kobietą.

- Nikt ważny - odpowiedział.

Siobhán zmarszczyła brwi.

- To dlaczego się z nią przespałeś?

- Bo mogłem.

- Świetnie - stwierdziła.

- Może nie dokładnie tak było - powiedział. - Chyba zachowuję się niepoważnie.

- Kochasz ją?

- Och, daj spokój, Siobhán. Nie bądź głupia. Oczywiście, że jej nie kocham. Gdybym ją kochał, po co, do diabła, wracałbym do domu?

Z wielu powodów, pomyślała Siobhán. Mogła cię rzucić. Mogłeś chcieć mieć dwie kobiety naraz. Zupełnie jak Frank Harper. Z wyjątkiem świetnego seksu.

- Ile razy?

- Tylko raz.

- Reguła Lambay? - zapytała.

Wzruszył ramionami. Siobhán wiedziała, że w jego firmie obowiązuje niepisana zasada, że za granicą można robić wszystko, trzeba jedynie zapomnieć o tym, jak tylko wraca się do domu i dostrzega zarys wyspy Lambay, kiedy samolot obniża pułap, kierując się na dublińskie lotnisko.

- Nie chciałem tego zrobić - odpowiedział.

Brzmiał zupełnie jak mały chłopiec, który wybił szybę. Siobhán milczała.

- To była wielka impreza - ciągnął. - Wszystko zorganizował Peter Murtagh. Byliśmy w świetnej restauracji i klubie, a potem wróciliśmy do jego apartamentu.

Siobhán zacisnęła szczękę. Peter Murtagh był znanym biznesmenem utracjuszem, a jednocześnie klientem firmy Eddiego. Czasami gazety nazywały go przedsiębiorcą. Innym razem potentatem. Kiedy indziej, w mniej pochlebnych artykułach, wielkim manipulantem. Rozpisywały się o jego wspaniałym domu na luksusowym osiedlu Dalkey w Dublinie i innych: w Hiszpanii, Kapsztadzie i Bostonie. O jego kolekcji drogich samochodów. O rozrywkowym stylu życia i niesamowitym bogactwie. Na każdej fotografii prezentował się z ogromnym cygarem w jednej ręce i szklanką whisky w drugiej. I zwykle obejmowała go jakaś przepiękna dziewczyna.

- Było tam wiele osób - opowiadał dalej Eddie. - Głównie facetów. Jak wróciliśmy do mieszkania Petera, zadzwonił w kilka miejsc i po chwili cały apartament wypełnił się cudownymi dziewczynami. Niesamowitymi. I wszystkie nam nadskakiwały.

- To znaczy, że on je zamówił? - Siobhán zmarszczyła brwi, a Eddie westchnął.

- Widziałem, że tak zareagujesz - powiedział. - Myślisz, że to były prostytutki i zastanawiasz się, czy on tutaj też to robi i czy możesz go w związku z tym aresztować.

- Wcale nie.

- Dobra, dobra - odparł Eddie z niedowierzaniem.

- Posłuchaj, nie obchodzi mnie Peter Murtagh i jego dziewczyny - warknęła Siobhán - a zwłaszcza jego dziewczyny za granicą, choć wiem, że on balansuje na krawędzi prawa i kiedyś noga mu się powinie, obchodzi mnie tylko to, że spałeś z jedną z nich i jak widać, była to najlepsza noc w twoim życiu, bo od tej pory ze mną już spać nie chciałeś. Więc o co chodzi, Eddie? Była taka wspaniała, że na mój widok już ci nie staje? O to chodzi? Chcesz, żebym się wyprowadziła, ale nie masz odwagi mnie o to poprosić? A może w przeciwieństwie do tego, co mówiłeś, jednak jesteś w niej zakochany?

- Przestań! - krzyknął. - Wcale tak nie jest.

- Więc jak jest, Eddie? Powiedz mi. Widać nie jestem wcale takim dobrym detektywem, bo do cholery, za nic nie mogę tego rozpracować.

- Masz rację - powiedział. - To były prostytutki. Siobhán zapadła się głębiej w kanapę.

- Posłuchaj, wiem, co sobie myślisz! - krzyczał Eddie. - Myślisz, że jestem skończonym draniem, który nie potrafi utrzymać swojego fiuta w spodniach przez kilka tygodni, jak tylko ciebie nie ma obok. Czujesz się oszukana i zawiedziona i mnie nienawidzisz.

- Coś w tym rodzaju - Siobhán załamał się głos.

- I masz rację - powiedział. - Byłem głupi, Siobhán. Zachowałem się jak kompletny idiota. Nie mogę uwierzyć, że dałem się w to wszystko wciągnąć. Ale tam było jakoś tak, wiesz, jak na planie filmowym. Mnóstwo dziewcząt, mnóstwo alkoholu... - zawahał się. - I narkotyków. Koka.

- Chryste, Eddie.

- To było szalone i wariackie... i ja tak się właśnie poczułem. Zwykle taki nie jestem. Wiesz o tym. Ja też o tym wiem. Jestem raczej pedantyczny i nudny i wiem, że czasami irytuję cię to, że nie lubię zmian i nie robię z tobą w łóżku szalonych rzeczy...

- Więc pomyślałeś sobie, że porobisz je z kimś innym zamiast ze mną? - Siobhán wpatrywała się w niego. - I ja mam się pewnie z tego cieszyć?

- Oczywiście, że nie - powiedział Eddie. - Ja tylko... ja tylko próbuję ci wyjaśnić, co się stało. Byli tam wszyscy. Impreza była odlotowa. A dziewczyny...

- Chyba nie mam ochoty o nich słuchać - wtrąciła Siobhán.

- Dziewczyny były piękne - powiedział Eddie po prostu.

Zamknęła oczy i porównała się w myślach z pięknymi dziewczynami. Nie było co porównywać. Była bez szans.

- Posłuchaj, Siobhán, naprawdę nie chciałem cię zawieść - powiedział Eddie. - Ale...

- Nie rozumiem tylko jednego - powiedziała cicho, ocierając łzę, która pojawiła się w kącie jej oka. - Dlaczego zadałeś sobie trud, żeby mi o tym wszystkim powiedzieć? W końcu obowiązuje reguła Lambay. Mogłeś po prostu udawać, że nic się nie stało. Mogłeś kochać się ze mną tego dnia, gdy wróciłeś, a ja nigdy niczego bym się nie domyśliła, bo ufałam ci bezgranicznie.

- Wiem - powiedział.

- Więc dlaczego?

Spojrzał na nią błagającym wzrokiem. Jej oczy mówiły, że nie rozumie tej niemej prośby. A wtedy on wreszcie się odezwał.

- Mogłem się zarazić jakąś chorobą - powiedział.

Chwilę trwało, zanim sens jego słów do niej dotarł. Wtedy zrozumiała.

- Chorobą weneryczną? - zapytała przerażona.

- Peter potem do mnie zadzwonił. To nie były te dziewczyny, co zwykle. Niektóre z nich mogły...

- Och, Boże, Eddie! - Siobhán zrobiło się niedobrze.

- Dlatego z tobą nie spałem - dodał. - Nie mogłem ryzykować, że... że...

- Jaką chorobą? - zapytała.

- No, chyba wszystkimi - odpowiedział roztrzęsionym głosem. - Ale poszedłem zrobić test na HIV.

Siobhán poznała wielu ludzi zarażonych wirusem HIV. To nie był wyrok śmierci. A przynajmniej nie w takim stopniu jak dawniej. Ale nie mogła zaakceptować możliwości, że Eddie, jej Eddie, mógł się nim zarazić.

- Kiedy będą wyniki? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu.

- I co mam powiedzieć? - jej głos był pełen rozpacz.

- Posłuchaj, wiem, że zrobiłem coś strasznego, okropnego i głupiego - krzyknął Eddie. - Uwierz mi, że naprawdę szczerze żałuję, że to zrobiłem.

- Dlaczego? - zapytała.

- Co dlaczego?

- Dlaczego żałujesz, że to zrobiłeś?

- Bo to było szaleństwo - odpowiedział. - Bo zaryzykowałem wszystko. Bo kompletnie spieprzyłem nasze życie. Bo mogę umrzeć.

- Ale nie dlatego, że mnie kochasz? - zapytała Siobhán.

- Nie dlatego, że mieliśmy się pobrać? Nie dlatego, że mnie zdradziłeś?

- Oczywiście żałuję, że cię zdradziłem - odparł Eddie.

- Nienawidzę tego słowa. Oznacza potępienie bez zrozumienia, ale wtedy o tym nie myślałem. W ogóle o niczym nie myślałem. I wiem, że trudno ci w to uwierzyć, bo uważasz, że świat jest czarno-biały, i wiadomo, co jest dobre, a co złe, ale czasami zwykli ludzie wplątują się w coś, czego wcale nie chcieli.

- Eddie, zwykli ludzie nie robią tego, co ty zrobiłeś, czy chcą tego, czy nie.

- Przypuszczam, że dla Petera Murtagha tego rodzaju seks, narkotyki i rockandrollowa impreza to coś zupełnie normalnego - powiedział Eddie. - I jak ja tam byłem, to wszystko wydawało się normalne. To znaczy, wiem, że tak naprawdę to nie jest normalne, ale takie się wtedy wydawało. Wszyscy brali w tym udział.

- Narkotyki też brałeś? - zapytała.

- Trochę koki.

- Do diabła, Eddie!

- Wiem, wiem. Narzeczony policjantki w środku popijawy z kokainą i prostytutkami - stwierdził ponuro.

- Nie o to mi... - Siobhán westchnęła z rozpaczą. - Myślę o tym, że jeśli uważałeś, że branie narkotyków i kontakty z prostytutkami są okej, bez względu na to, czy dałeś się ponieść atmosferze czy nie, to jeśli uważałeś, że to okej, to znaczy, że ty i ja... myślałam, że do siebie pasujemy, ale jak widać, to nieprawda i ja... - przerwała. Rozplakałaby się, gdyby mówiła dalej, a nie chciała.

- Przysięgam, że cię kocham - powiedział Eddie.

- Wiem, że na to nie wygląda, bo zdaję sobie sprawę, że kobiety i mężczyźni trochę inaczej patrzą na pewne sprawy. Wiem, że uważasz, że zachowałem się idiotycznie i beznadziejnie i że przede wszystkim w ogóle nie powinienem był iść do apartamentu Murtagha. Ale to była szansa, żeby na chwilę stać się kimś innym. Pobyć z ludźmi, z jakimi normalnie nie przebywam. Pożyć innym życiem, choćby przez kilka godzin.

- Rozumiem potrzebę spróbowania czegoś nowego, ale rzeczywiście zachowałeś się jak idiota - Siobhán podniosła głos. - I co, warto było spróbować tego innego życia?

- Oczywiście, że nie - Eddie przełknął ślinę. - Od tamtej pory czuję się strasznie. Zachowałem się jak debil, mogę zachorować i... wiem, że byłem dla ciebie koszmarny i że wszystko, co robiłem, było okropne, ale ja nie chcę umrzeć - Eddie zaczął płakać.

Siobhán patrzyła na niego w milczeniu. Czuła, że powinna go pocieszyć, ale w tej chwili wołałaby, żeby to ją ktoś pocieszał.

- Kocham cię, Siobhán - podniósł na nią wzrok. - Zawsze cię kochałem. Wiem, że zrobiłem coś okropnego, ale to był błąd! Naprawdę. Trudno powstrzymać się od czegoś, jeśli robią to wszyscy naokoło.

- Uprawiałeś seks z inną kobietą - odparła Siobhán. - Poprosiłeś mnie o rękę i mimo to przespałeś się z inną kobietą. Nie zrobiłeś tego z miłości. Zrobiłeś to, bo miałeś ochotę. I brałeś narkotyki. Nikt cię nie zmuszał, żebyś to wszystko robił.

- Powiedziałem, że wiem, że źle zrobiłem - odpowiedział. - Ale nikt nie jest idealny, nie można przez całe życie nie złamać żadnego zakazu. Choć policjantom by się to podobało, to na razie nie mieszkamy w państwie policyjnym.

- A więc to moja wina? - Siobhán poczuła, jak kipi w niej złość. - Przespałeś się z jakąś zdzirą i to jest moja wina?

- Nie! Nie o to mi chodziło. Tylko że... - spojrzał na nią z rozpaczą. - Nie powinienem był tego robić. Wiem o tym.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie? - zapytała po chwili milczenia. - Twój znajomi? Ludzie w pracy?

- Oszalałaś? - zapytał. - Oczywiście, że nie. Tylko ty o tym wiesz.

Nie wiedziała, co mogłaby jeszcze powiedzieć. Niewidzącym wzrokiem patrzyła przez pokój na zasłonę poruszaną lekkim powiewem wiatru z uchylonego balkonu. Chciała współczuć Eddiemu, ale była na niego za bardzo zła. Bała się o niego i o siebie też. Nie bardzo wierzyła, że mógłby mieć HIV, ale z drugiej strony przecież mógł mieć pecha i się zarazić. Przede wszystkim jednak była wściekła, że wyjechał i zachował się jak kretyń, zdradzając ją z kobietą, która nic dla niego nie znaczyła.

Wstała.

- Dokąd idziesz? - w jego głosie było słycać niepokój.

- Wychodzę. Idę pobiegać - odpowiedziała.

- Nie zostawiaj mnie.

- Nie zostawiam cię - odparła ostrym tonem. - Idę tylko pobiegać. Muszę się przewietrzyć.

- Zrobię wszystko, żeby ci to wynagrodzić - powiedział Eddie. - Wszystko.

W tej chwili nie przychodziło jej do głowy nic, co chciałaby, żeby zrobił.

Wybiegła z bloku i ruszyła w górę Tempie Hill wzdłuż drogi prowadzącej do Monstown. Lubiła tędy biegać, chociaż była to dzielnica mieszkaniowa. Jej ciało pokryła warstewka potu, a rudy kucyk rytmicznie podskakiwał. Biegając, zwykle nie myślała o niczym, ale teraz jej myśli krążyły wokół tego, co powiedział Eddie.

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego przydarzyło się właśnie jej. Właśnie im. Tak bardzo go kochała, ale zawsze czuła, że on jest dla niej za dobry, zbyt atrakcyjny. Częściowo z tego powodu jeszcze za niego nie wyszła. Bała się, że ktoś i tak jej go kiedyś zabierze. Nie przypuszczała tylko, że stanie się to w taki sposób.

Ponad godzinę później wróciła do domu. Zatrzymała się w holu i wcisnęła przycisk windy. Zabrakło jej sił, żeby wejść po schodach.

Drzwi windy otworzyły się i pojawił się w nich Carl O'Connor.

- Witam panią Glinę - powiedział. - Jak się mamy?

- Dobrze - odpowiedziała stanowczym tonem.

Zmarszczył brwi, dostrzegając ślady łez na jej policzkach.

- Hej, czy coś się stało? Nie wyglądasz za dobrze.

- Nic się nie stało - odparła krótko. - Jestem zmęczona.

- Mam nadzieję, że tamtej nocy wszystko dobrze się skończyło - powiedział Carl. - Mam nadzieję, że to ubranko w końcu zadziało.

- Och, odpieprz się, Carl - rzuciła, wsiadając do windy i dziabiąc palcem przycisk. - Zostaw mnie i podenerwuj dla odmiany kogoś innego.

Oparła głowę o lustro zamontowane na ścianie windy, która wiozła ją w górę na jej piętro.

Rozdział 20

Iona szła szpitalnym korytarzem. Panował większy ruch, niż wtedy, kiedy była tu ostatnio, i żeby dotrzeć do sali Franka, musiała niemal przedzierać się przez tłum rozgadanych gości. Zaszło jej w ustach i zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmi niepewnie, gdy przedstawiała się dyżurującej pielęgniarce i wyjaśniała, kogo przyszła odwiedzić. Postarała się, by zabrzmiał bardziej zdecydowanie, gdy dodawała, że na jej wizytę wyraził zgodę lekarz prowadzący Franka.

Terri Cooper skinęła głową. John Carroll poinformował ją wcześniej rano, że Iona przyjdzie do Franka. Powiedział jej, że Sally i Iona jakoś się w tej sprawie dogadały. Terri ucieszyła się, że Sally zdobyła się na to i zgodziła na wizytę Iony, i jednocześnie miała nadzieję, że nie wynikną z tego znowu jakieś utarczki między tymi dwiema kobietami. Wiedziała, że Sally jest spokojna i opanowana, ale pamiętając zachowanie Iony tamtej pierwszej nocy, nie była pewna, czy ta będzie potrafiła nad sobą zapanować. Terri miała nadzieję, że Iony nie zaskoczy fakt, że Sally jest w szpitalu już niemal od godziny i czyta gazety wciąż nieprzytomnemu Frankowi.

Kiedy Iona weszła za Terri do sali Franka, Sally spojrzała na nie znad „The Irish Independent”. Na jej widok Iona szeroko otworzyła oczy. Sally obcięła swoje długie i gęste włosy, i nosiła teraz krótką, delikatniejszą fryzurę, która ładnie okalała jej twarz i sprawiała, że wyglądała co najmniej pięć lat młodziej. Miała też makijaż, który rozjaśniał jej zielononiebieskie oczy i podkreślał kształt ust. Sweterek zastąpiła prostą granatową bluzką z długimi rękawami oraz luźnymi džinsami. Wyglądała zupełnie inaczej niż w kawiarni.

Iona wygładziła swoje atramentowoczarne włosy i westchnęła z ulgą, zadowolona, że tego dnia poświęciła wygodę na rzecz elegancji. Miała na sobie czarną bawełnianą sukienkę, która dokładnie przylegała do jej szczupłej figury, podkreślając fakt, że nie ma ani grama zbędnego tłuszczu. Do sukienki założyła sandaalki na wysokich obcasach, uwydatniające kształt jej gładkich nóg, chociaż na stopach już pojawiły się odciski od tego niewygodnego obuwia.

- Dzień dobry - powiedziała do Sally. - Ładna fryzura.

- Dzięki - Sally wzruszyła ramionami. - Mniej z nią kłopotu.

Iona skinęła głową. Akurat, pomyślała, przyciągając sobie krzesło i siadając na nim obok łóżka. Obciął ją, bo wiesz, że przy mnie wyglądasz jak dziadówka, i bałaś się, co się stanie, jeśli Frank się obudzi i zobaczy nas obok siebie.

- Czytałam mu gazety - Sally nie była w stanie ukryć cienia desperacji w swoim głosie. - Ale nie ma żadnej reakcji.

Iona wstała z krzesła i pochyliła się nad nieruchomym ciałem Franka.

- To ja - wyszeptała miękko. - Jestem tutaj. Jestem, żeby z tobą być.

Mówienie do kogoś, kto w ogóle nie reaguje, okazało się niezwykle denerwujące. Wydawało jej się, że to jak mówienie do kogoś, kto śpi, ale wcale tak nie było. On się znajdował zupełnie gdzie indziej. Wiedziała, że jej nie słyszy. Przygryzła wargę.

- On nie reaguje - stwierdziła brutalnie Sally. - Zwykle nie reaguje. Zrobił to tylko raz. Otworzył oczy. Ale według pielęgniarki to się czasami po prostu zdarza. I nic nie znaczy.

- Czy on tak po prostu wpatrywał się przed siebie, czy rozejrzał po pokoju?

- Raczej wpatrywał się przed siebie. Oczy miał otwarte, ale niczego nie dostrzegał.

Ionie nagle zakręciło się w głowie. Nie znosiła chorób, a teraz nagle poczuła się przytłoczona świadomością własnej śmiertelności, szumem monitorów i widokiem kroplówki na stojaku. Utrzymała równowagę, opierając się o łóżko.

- Wszystko w porządku? - zapytała Sally.

- Oczywiście - Iona opadła na krzesło. - Zostawi nas pani teraz samych?

Sally nie odpowiedziała.

- Wy mieliście czas tylko dla siebie. Ja też tego potrzebuję.

- Jasne. Rozumiem - Sally wstała. - Wróć za jakiś czas.

- Dam znać, jeśli się obudzi - powiedziała Iona. - Proszę się nie martwić.

Bez Sally było jakoś inaczej. Iona oparła głowę o narzutę na łóżku i trzymała Franka za rękę, ściskając ją od czasu do czasu w nadziei, że on odwzajemni uścisk. Ale tak się nie stało. Szeptala do niego, mówiła o tym, jak się o niego martwiła, jak odczuwała to, co się wydarzyło, w jaką rozpacz wprawiała ją myśl, że tak naprawdę wcale nie była jego żoną.

- Ale czuję się tak, jakbym była twoją prawdziwą żoną - powiedziała miękko. - Wybrałeś mnie. Kochasz mnie. Wiem, że tak. I wiem, że chcesz z tego wyjść, żeby być ze mną, bo pragniesz, żebym urodziła twoje dziecko. Nasze dziecko. Wiem o tym, Frank, i dlatego jestem pewna, że się obudzisz.

Uniosła głowę. Trudno było uwierzyć, że on nie słyszy jej słów, że nie czuje głębi jej miłości. Choć przecież, pomyślała nagle, powinnam go nienawidzić. Od momentu wypadku od czasu do czasu czuła do niego właśnie nienawiść.

Przez kilka minut siedziała w milczeniu, a potem sięgnęła po książkę, którą z sobą przyniosła. Otworzyła ją na pierwszej stronie i zaczęła czytać.

Sally wyszła na wypełniony ludźmi teren wokół szpitala. Do tej pory niewiele miała do czynienia ze szpitalami. Sama była w jednym tylko, gdy rodziła Jennę, a Frank też nigdy dotąd do żadnego nie trafił. Tylko raz pojechała na pogotowie, gdy Jenna spadła z muru i złamała nogę w kostce, ale Sally nie uważała złamania za prawdziwą chorobę. Wypadki czasem się zdarzają, jednak to nie stanowiło problemu dla organizmu. Nie przeszkadzały jej złamania, rany czy siniaki. Nie mdlała na widok krwi. Nie znosiła jednak myśleć o tym, że w czymś ciele dzieje się coś, czego nikt nie rozumie, o tym, że jakieś mikroskopijne stworzonka czy komórki dzielą się i rozmnażają, siejąc spustoszenie w organizmie, który zaatakowały. W przypadku Franka dręczyła ją myśl, że zmieniła się cała struktura jego organizmu, że komórki robią nie to, co trzeba, tylko dlatego, że ich funkcjonowanie zaburzył tamten wypadek, a Frank może przez to wszystko umrzeć.

Nagle dostrzegła swoje odbicie w samochodowej szybie. Zobaczyła nową fryzurę i starannie dobrany strój, i zaczęła się zastanawiać, po co zadała sobie ten trud. Jenna była wstrząśnięta, gdy zobaczyła, że matka obcięła włosy.

- Zawsze nosiłaś długie włosy - stwierdziła oskarżycielskim tonem. - Dlaczego obciąłeś je akurat teraz?

Sally próbowała jej wyjaśnić, że to przemyślała, że długie włosy wymagają dbałości, a ich codzienne zaplatanie to prawdziwy wysiłek. Ale Jenna postanowiła zignorować wyjaśnienia matki.

- To przez nią? - dopytywała się. - Dlatego, że ona ma krótkie włosy?

Sally próbowała jej wyjaśnić, że to nie była kwestia długości włosów, tylko zadbania o siebie, ale Jenna nie słuchała.

- Zawsze miałaś długie włosy - oskarżała matkę. - Nie wiem, po co je obcięłaś. A poza tym wyglądasz beznadziejnie.

Sally już się nad tym zastanawiała. Nad tym, czy nowa fryzura na pewno jej odpowiada. W salonie fryzjerskim wyglądała świetnie, ale teraz w domu martwiła się, że dała się namówić na coś, co tak naprawdę do niej nie pasowało. Mimo wszystko, gdy patrzyła na siebie w lustrze, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w nowej fryzurze jest jej o wiele lepiej, że z krótkimi włosami wygląda na bardziej pewną siebie i opanowaną. I że właśnie tego potrzebuje.

Siedziała na jednej z drewnianych ławeczek w przyszpitalnym ogrodzie i zastanawiała się, o czym Iona opowiada Frankowi. Co takiego mogła powiedzieć, czego Sally nie powiedziała mu już z tysiąc razy? Czy mogła mu zaoferować cokolwiek, czego Sally by już nie próbowała? Po części myślała, że nie, a po części, że tak. I bardzo się denerwowała, co wyniknie z ich rozmowy.

Bo co będzie, jeśli Frank się obudzi i zdecyduje, że chce, aby to Iona była jego żoną? Co zostanie dla niej? Pewnie rozwód. W tym momencie uważała, że to wcale byłoby takie złe - Frank był draniem i zasłużył na to, żeby się z nim rozwieść - ale trudno było jej pogodzić się z faktem, że właśnie ona miałaby to zrobić.

Czas zatoczył pętlę. Frank to czuł. Siedział na strychu i grzebał w wielkim tekturowym pudle z napisem *Tayto*, zdając sobie sprawę, że znowu ma piętnaście lat. Tylko że... tylko że wiedział też, że już kiedyś to robił. To było coś więcej niż zwykłe *déjà vu*. Nie mógłby tego wytłumaczyć. Obserwował samego siebie, a jednocześnie we wszystkim uczestniczył. To było przedziwne uczucie.

Może czuł się tak z powodu piwa, które wypił poprzedniego wieczoru na dyskotecę. Wypił go za dużo, wiedział o tym. W drodze powrotnej zrobiło mu się niedobrze, ale w sumie był zadowolony, że wymiotował na zewnątrz, a nie już w domu. Jego ojciec, Derek, choć sam lubił alkohol, nie cierpiał, gdy jego syn wypił choć kroplę. Ale w tamtych czasach, pomyślał Frank, wyciągając z pudła jego zawartość, ojciec nie cierpiał wielu rzeczy. Frank zajrzał do pudła, bo przez niecałą sekundę miał nadzieję, że jest w nim zapas chipsów na zbliżające się Boże Narodzenie, jednak bardzo szybko się zorientował, że było wypełnione rzeczami, które ojciec chciał wyrzucić, a dotąd nie znalazł na to czasu. Frank wiedział, że zakładanie, iż Dereka Harpera święta cokolwiek obchodzą, było głupie. W porównaniu z jego ojcem Scrooge wydawał się wręcz dobrotliwy. Gdy Frank miał pięć lat, Derek kazał mu usiąść i powiedział, że cały ten cyrk ze Świętym Mikołajem to kompletna bzdura i że wystarczy mieć odrobinę rozumu, żeby wiedzieć, iż gruby facet nie jest w stanie w jedną noc wcisnąć się we wszystkie kominy świata.

Dolna warga Franka drżała, gdy patrzył na ojca.

- A co z magią?

Derek prychnął.

- Nie ma czegoś takiego - powiedział. - Gdyby była, twoja matka byłaby z powrotem z nami.

Frank wyjął papierową kopertę. Była wypchana receptami, fakturami i wycinkami z gazet dotyczącymi budynku nowej szkoły w ich okolicy. Derek pracował w tej szkole jako ogrodnik, odkąd została zbudowana. Frank nie miał pojęcia, co ojciec robił wcześniej. Z koperty wypadła niebieska kartka. Gdy ją podniósł, w prawym górnym rogu zauważył adres nadawcy: Mount Street, Dublin. List był z 1958 roku.

Kochany Dereku!

Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. To dla mnie zaszczyt, że chcesz mnie za żonę, ale wiesz, co myślę o małżeństwie. To przestarzała instytucja. Ja też Cię kocham i będę szczęśliwa, mogąc z Tobą zamieszkać (mimo skandalu jaki wywołamy!), ale nigdy za nikogo nie wyjdę. Proszę, żebyś przeczytał Simone de Beauvoir, by zrozumieć, jak się czuję jako kobieta. Lubię mężczyzn i nie pogardzam nimi, jak zdają się czynić niektóre feministki, ale nie chcę być niczyją własnością. Tak więc nie mogę za Ciebie wyjść, ale chcę z Tobą żyć.

Na zawsze

Twoja Christine

Do listu była przypięta niewielka fotografia. Frank wpatrywał się w nią. To było zdjęcie jego matki. Nigdy dotąd nie widział jej zdjęcia. Derek nie miał aparatu i uważał, że robienie zdjęć to strata czasu. Jedyna fotografia w ich domu przedstawiała Franka jako niemowlę, usadowionego na białym kocyku i wpatrującego się wielkimi i pełnymi ciekawości oczami w aparat.

Jego matka okazała się zdumiewająco piękna. Miała ciemne włosy, roześmiane oczy i zadarty do góry nos, a także nieskazitelną cerę. Na zdjęciu nie miała żadnego makijażu (Frank pamiętał, że w tamtych czasach prawie wszystkie kobiety używały bardzo ciemnej szminki), ale i tak jej rysy były wyraziste. Po kształcie jej ust i wysokiego czoła dostrzegł, że jest do niej podobny.

Zszedł ze strychu i wyszedł do ogrodu, gdzie Derek wrywał z rabatek chwasty. Wyciągnął w jego stronę rękę z listem. Twarz ojca pociemniała, gdy go przeczytał.

- Chyba powinienem ci powiedzieć - stwierdził. - Właściwie jesteś już dorosły. Ona była szalona, i tyle. Myślałem, że jest trochę lekkomyślna i że w końcu zmądrzeje, ale tak się nie stało.

- Mimo wszystko... - zaczął Frank.

- Zaslugujesz na to, żeby znać prawdę - przerwał mu Derek. - Chciałem cię przed nią chronić, gdy byłeś młodszy. Musiałem, bo to miasto jest pełne plotkarzy. Ona nie umarła.

Frank wpatrywał się w swojego ojca. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Nie umarła. Ale musiałem tak powiedzieć dla twojego własnego dobra. Nie mogłem powiedzieć ci prawdy. Zraniłaby cię. Ale ona nie umarła. Uciekła.

- Mówiłeś mi... powiedziałaś, że była chora... - Frank nie mógł oderwać wzroku od zdecydowanego wyrazu twarzy ojca. - Okłamałeś mnie.

- To nie było kłamstwo - odparł Derek. - Chroniłem cię tylko przed prawdą.

- Ale wszyscy o tym wiedzą! - krzyknął Frank. - Wiem, że wiedzą. Teraz wszystko ma sens. To, jak staruszki w sklepach czasami mi się przyglądają. Myślałem, że to dlatego, że moja mama nie żyje, ale okazuje się, że wcale nie.

Derek wzruszył ramionami.

- Na miłość boską, tato! - w spojrzeniu Franka złość mieszała się z niedowierzaniem. - Przez wszystkie te lata co ty sobie wyobrażałeś? - Podrapał się z tyłu głowy. - Czy ona mnie szukała? Czy dowiadywała się o mnie?

- Nie - odpowiedział krótko Derek. - Nigdy. Nie obchodziłeś ją ani ty, ani ja. Powiniem być inaczej z nią postąpić. Sprawić, żebyśmy ją obchodzili. Zmusić do małżeństwa. Powiniem być jej uświadomić, jak ważna jest rodzina. Powinna była znowu zająć się ciążą, żebyś miał brata albo siostrę.

- Nigdy się nie pobraliście? Ty i mama? Nigdy się nie pobraliście?

- A na co to wygląda, synu? Przecież masz ten list. Widziałeś, co napisała.

- Tak, ale... myślałem, że zmieniła zdanie.

- Ta kobieta? Nie ma mowy!

- Jeśli tak się od siebie różniście, jeśli nie chciała wyjść za mąż i mieć rodziny, to czemu chciałeś się z nią ożenić? - zapytał Frank.

- Popatrz na nią - odpowiedział Derek. - To śliczna dziewczyna. I całkiem rozsądna, gdyby nie mówiła ciągle o jakiejś presji i ucisku. Ruch kobiecy - pociągnął nosem.

- Feminizm. Ta jej cholerna Simone de cholerne Beauvoir. Kompletne świry.

Frank patrzył na ojca w całkowitym zdumieniu. Derek nigdy dotąd przy nim nie przeklinał.

- Och, była tylko w części feministką, to prawda - ciągnął Derek. - I to było przejściowe. Jak ją tutaj zabrałem, była na tyle zadowolona, że całkiem chętnie udawała. Widzisz, była w ciąży i mimo wszystko nie odważyła się wyprowadzać ludzi z błędu, gdy mówili do niej pani Harper. Twierdziła, że robi to dla twojego dobra. Myślałem, że potrzebuje trochę czasu, a potem weźmiemy ślub, tak jak należy. Skoczmy do Londynu i weźmiemy ślub, tak sobie myślałem.

- I czemu tak się nie stało?

Derek westchnął i oparł podbródek na rączce ogrodowego szpadla.

- Pokłóciliśmy się. Chciałem mieć więcej dzieci, a ona nie. Powiedziałem jej, że gdyby była moją żoną, mielibyśmy więcej dzieci, a ona odpowiedziała, że właśnie dlatego nią nie została. Odrzekła, że i tak jest już jak w pułapce. Jakby była spętana, tak mi powiedziała. I że się dusi. Kompletne bzdury. Stwierdziła, że nigdy nie chciała mieć dzieci. Odparłem, że akurat właśnie po to jest na świecie. Że te wszystkie jej głupie ideały były dobre dla niezamężnej kobiety, ale teraz jest matką, a to wszystko zmienia - Derek prychnął. - Odpowiedziała, że wciąż jest wolną kobietą, a ja, że gdyby ode mnie odeszła, byłaby niezamężną matką z płaczącym dzieckiem u boku i że chyba musiałyby zarabiać na utrzymanie śpiewaniem na ulicy, bo żaden mężczyzna by na nią nie spojrział.

Frank zamrugał oczami.

- Czemu byłeś taki okrutny?

- Nie byłem okrutny - odpowiedział Derek. - Robiłem to z miłości. Chciałem, żeby zmądrzała.

- Ale nie udało ci się - powiedział Frank - i ona nas zostawiła.

- Głupia kobieta - stwierdził Derek. - Nie rozumiała, jak ma dobrze. Nie kochała cię. To niemożliwe, żeby cię kochała. Matki nie porzucają swoich dzieci. Nie zostawiają ich mężczyznom na wychowanie. Samolubna dziwka i tyle. Nie mogłem uwierzyć, że cię zostawiła.

Wziął od Franka zdjęcie i przyglądał mu się przez chwilę. A potem podarł je na drobne kawałeczki i cisnął na kupkę chwastów.

- I dobrze, że odeszła - stwierdził. - Bardzo dobrze.

Stary Harper, ciężko stąpając, poszedł do domu. Frank poczekał, aż wejdzie do środka, a potem pozbiierał kawałki podartej fotografii. Podobała mu się myśl, że jego matka była niekonwencjonalną osobą, ale za każdym razem, gdy sobie przypominał, że go po prostu porzuciła, ogarniało go dojmujące uczucie pustki. Za mało go kochała. Odeszła. Było jej łatwo, bo nie wyszła za ojca. A ojciec był przerażony, że go zostawiła. Gdyby nie to, mógłby znaleźć sobie kogoś innego. Jednak nie z małym dzieckiem.

Frank zacisnął szczęki. Tak naprawdę żadne z rodziców go nie chciało. U niego będzie zupełnie inaczej. Będzie dobrym ojcem dla swoich dzieci i dobrym mężem dla swojej żony.

O ile, oczywiście, w ogóle pomyśli o ożenku, zamiast o tym, jak zostać szpiegiem. Kilkakrotnie mrugnął oczami. Nigdy dotąd nie wpadł na to, żeby zostać szpiegiem.

Gdy otworzyły się drzwi, Iona przestała czytać. Doszła do trzeciego rozdziału „Goldfingera”, w którym James Bond po raz pierwszy widzi Aurica Goldfingera. Kiedy oglądali razem ten film w telewizji, Frank powiedział jej, że to zdumiewające, iż udało im się znaleźć aktora, który tak dobrze pasuje do tej roli. Gert Frobe był według Franka fantastyczny, nawet jeśli szorty, które miał na sobie na początku, były zdecydowanie bardziej pruderyjne niż „żółte slipy bikini” opisane w książce.

Sally trochę się zdenerwowała, zorientowawszy się, co Iona czyta na głos. Była zła, że wcześniej nie pomyślała o tej książce. Jej złość jednak się ulotniła, gdy uświadomiła sobie, że to i tak nie miało żadnego znaczenia. Frank wciąż leżał na łóżku bez ruchu.

- Bez zmian? - zapytała, przechodząc przez salę. Iona potrząsnęła głową.

- To chyba było głupie z mojej strony, że myślałam, iż moja obecność coś zmieni - powiedziała. Zamknęła książkę. - Przyszłam tutaj z nadzieją, że się obudzi. Dlatego że będę tu ja, a nie pani. Byłam głupia. Przepraszam.

- Nie ma za co - odparła cierpko Sally. - Ja nie mogłam się zdecydować, czy chcę, żeby się obudził. Z jednej strony tego pragnęłam, ale nie, żeby to była pani zasługa.

Iona pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Mogę o coś zapytać?

- Tak.

- Mówiła pani, że ktoś zajmuje się jego firmą?

- Tak.

- Czy pani się z niej utrzymuje? - zapytała Iona. - Z jego firmy?

- Radzimy sobie - odpowiedziała Sally. - Raty za dom nie są jakieś olbrzymie, a my nigdy nie byliśmy rozrzutni. Ja pracuję. Jestem nauczycielką. Ale nie wiem, co będzie z firmą. I szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi. Poprosiłam Richarda, tego księgowego, żeby mnie na bieżąco informował.

- Zajrzałam wczoraj wieczorem do skrzynki pocztowej firmy - powiedziała Iona. - Jest bardzo dużo zaległych spraw.

W Internecie znajduje się też kalendarz Franka. Jakoś zapomniałam o tym wszystkim.

- Jak pani to zrobiła bez komputera? - zapytała Sally.

- My... mam komputer w domu. I znam jego hasło.

- Och! Jakie?

- Goldfinger - odpowiedziała Iona.

Drzwi do sali Franka otworzyły się i obie kobiety z zaskoczeniem spojrzały na kolejnego gościa.

Siobhán Farrell była równie zdumiona. Mogła się spodziewać w szpitalu Sally, ale nie Iony. A tym bardziej nie mogła uwierzyć, że obie panie Harper stoją razem przy łóżku Franka. Lekko zmarszczyła brwi, próbując się domyślić, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry - pierwsza zareagowała Iona. - Co pani tutaj robi?

- Mam do niego sprawę - odpowiedziała Siobhán. - Więc jestem.

- W niedzielę rano? - wzrok Sally wyrażał niedowierzanie. - Chyba nie przysła pani, żeby... - przerwała i rzuciła Siobhán oskarżające spojrzenie.

- Akurat dzisiaj było mi to na rękę - odparła Siobhán. Nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać Ionie i Sally, że nie mogła zostać z Eddiem w domu i musiała gdzieś wyjść, więc stwierdziła, że pojedzie do szpitala i weźmie odciski palców Franka Harpera.

- Iona mu czytała - powiedziała Sally. - „Goldfingera”. To jego ulubiona książka.

Siobhán skinęła głową i weszła dalej do sali. Popatrzyła na Franka leżącego na łóżku. Miał wielkiego siniaka nad okiem i ciemny rząd szwów na częściowo ogolonej głowie, ale mimo pokiereszowanej twarzy i całego bezruchu, nadal można było dostrzec, że Frank Harper to przystojny mężczyzna.

- Bez zmian? - zapytała Siobhán.

- Tak - odpowiedziały jednocześnie Iona i Sally.

- Zeszłej nocy wystąpiła zwiększona aktywność mózgu - dodała Sally. - Ale okazało się, że to nic istotnego.

- Nie powiedziała mi pani o tym - Iona popatrzyła na Sally oskarżycielsko.

- Bo to nie miało żadnego znaczenia - odparła Sally.

- Może miało. Skąd można mieć pewność?

- Bo tak powiedział dziś rano lekarz.

- Ależ to jakieś kompletne bzdury - stwierdziła Iona.

- Nie mówicie mi, że wzrost aktywności mózgu u pacjenta w śpiączce nic nie znaczy!

- Cóż, nic konkretnego - zasugerowała Sally. - To znaczy... oczywiście fakt, że jego mózg wciąż pracuje, to raczej dobry znak.

Siobhán patrzyła raz na jedną, raz na drugą.

- Czy teraz odwiedzają go panie razem?

- Nie - odpowiedziała Iona. - Ale będziemy. Chyba.

- Popatrzyła na Sally, czekając na potwierdzenie.

- Możemy ustalić harmonogram wizyt - odpowiedziała Sally. - Pani jednego dnia, a ja następnego.

Byłoby dużo łatwiej.

Iona powoli skinęła głową.

- Dziękuję.

- Chce pani przyjść jutro czy jutro ja? - zapytała Sally.

- Zaczynamy już od jutra?

- A od kiedy chce pani zacząć? - zapytała Sally. - Wydaje mi się, że jeśli mamy to zrobić, to najlepiej od razu, nie?

- Tak, oczywiście, że tak - zgodziła się szybko Iona.

- Będę jutro.

- Harmonogram będzie dotyczył wieczorów - powiedziała Sally. - Jeśli któraś z nas będzie miała czas, aby przyjść w ciągu dnia, to zawsze będzie mogła to zrobić.

- Dobrze.

- Cieszę się, że się panie dogadały - stwierdziła Siobhán.

- Chyba zachowałam się... trochę jak... histeryczka... w ten pierwszy dzień - powiedziała Iona. - Ale byłam w szoku. Też potrafię być rozsądna.

- A w jaki sposób umówiły się panie na dzisiaj? - zapytała Siobhán.

- Spotkałyśmy się na kawie - odparła Sally.

- Bardzo cywilizowanie - stwierdziła Siobhán.

- Nie ma powodu zachowywać się niecywilizowanie - powiedziała Iona. - Kto wie, jak długo Frank pozostanie w tym stanie?

- To prawda - wzrok Siobhán przemknął po nieruchomym ciele na szpitalnym łóżku.

- Chyba lepiej już pójdę - powiedziała Sally w obliczu milczenia, jakie zapanowało. - Jestem tu od wczesnego ranka i muszę wracać do Jenny.

- Ona nie przyjeżdża do szpitala? - zapytała Siobhán.

- Nie znosi tych wizyt - wyjaśniła Sally. - Nienawidzi szpitalnego zapachu i nienawidzi patrzeć na ojca w takim stanie.

Siobhán ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Ja też już pójdę - stwierdziła Iona. - Przeczytałam mu kilka rozdziałów, mówiłam do niego i... cóż... chyba niewiele więcej mogę zrobić.

- Przyjechała pani samochodem? - zapytała Sally. Iona skinęła głową.

- Pójdę z panią na parking.

- Okej - Iona zwróciła się do Siobhán. - Idzie pani z nami?

Siobhán pokręciła głową.

- Muszę porozmawiać z lekarzem dyżurującym albo z pielęgniarką - odparła. - Zdobyć więcej informacji o tym, kiedy przyjęto Franka.

- Przecież już wszystko pani wie - powiedziała Iona. - Proszę się z nami przejść.

Siobhán przeniosła wzrok z Franka na Ionę i Sally, i wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Wyszła za nimi z sali. Pójdzie z nimi na parking, a potem wróci. W torebce miała zestaw do pobierania odcisków palców. Zobaczywszy Sally i Ionę razem, ponownie zaczęła się zastanawiać nad relacją łączącą te dwie kobiety. Wszystko między nimi wydawało się jasne i zapewne nic się nie zmieniło, ale zawsze warto się upewnić.

Rozdział 21

Iona musiała wrócić do pracy. Nie mogła cały dzień siedzieć w domu, martwiąc się o Franka i gorączkowo przetrząsając pamięć w poszukiwaniu dowodów swojej własnej naiwności, kiedy to wierzyła w jego zapewnienia, że jest tą jedną jedyną. Musiała wyjść gdzieś, gdzie nie będzie cały czas o tym myśleć i obwiniać siebie za to, że tak bardzo naciskała na małżeństwo, nawet jeśli powtarzała sobie, że to nie była jej wina. Frank mógł się przyznać, że jest żonaty, jak tylko wspomniała o ślubie, albo porzucić ją bez słowa wyjaśnienia. Nikt go nie zmuszał, żeby kłamał, oszukiwał i udawał. To był jego własny wybór. Myśli wirowały jej w głowie i wiedziała, że jeśli chce zachować spokój, musi wrócić do Rental Remedies i zająć się czymś konkretnym.

Ruth Dawson uśmiechnęła się do niej, gdy weszła do biura i zapytała, jak się miewa. Choć Iona zawiadomiła biuro, że jest chora, spodziewała się, że jakimś cudem jej koleżanka się domyśli, że nieobecność w pracy miała zupełnie inną przyczynę. Ale Ruth siedziała spokojnie na krześle i opowiadała Ionie, że ostatnio wszyscy łapią jakieś straszne wirusy i że wyciąg z jeżówki chyba jednak nie wystarcza, bo w przeciwnym razie Iona nie dałaby się chorobie, prawda?

- Muszę porozmawiać z Garretem - stwierdziła stanowczo Iona, ignorując zdumione spojrzenie, którym odprowadziła ją Ruth, kiedy ruszyła w kierunku gabinetu szefa.

Założyciel Rental Remedies uśmiechnął się do Iony, gdy ta przed nim usiadła. Była jednym z jego ulubionych pracowników, bystra i pełna energii, i zawsze można było na niej polegać. Jej ostatnia nieobecność z powodu choroby była pierwszą w ciągu ostatnich dwóch lat.

- Lepiej się czujesz? - zapytał od niechcenia, a potem z coraz większym zdumieniem słuchał, jak Iona opowiada o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatniego tygodnia. Nie była pewna, co chce powiedzieć ludziom w pracy. Zastanawiała się, czy w ogóle wspominać o istnieniu Sally i Jenny, może powiedzieć tylko, że Frank miał wypadek, a ona była zbyt wstrząśnięta, żeby wcześniej ich o tym poinformować, ale po prostu nie potrafiła skłamać. Więc niczego nie ukrywała, a w miarę poznawania szczegółów Garret był coraz bardziej zaskoczony.

- Nie wiem, co powiedzieć - stwierdził, gdy skończyła. - Nie mogę uwierzyć, że on mógł zrobić coś takiego. I na dodatek policja się tym interesuje?

- Musi - wyjaśniła Iona. - To przestępstwo.

- O, Jezu - Garret cały czas się w nią wpatrywał. - Strasznie mi przykro, Iona, naprawdę.

- No, cóż... mnie też jest przykro - posłała mu wymuszony uśmiech. - I ta ciągła niepewność. On nadal jest w szpitalu i tak naprawdę nie mamy pojęcia, czy z tego wyjdzie.

- Określili chociaż jakieś ramy czasowe? - zapytał Garret.

- Nie potrafią - Iona wzruszyła ramionami - ale z tego, co mówią, wynika, że dobrze by było, gdyby niedługo się obudził - z trudem przełknęła ślinę. - Lekarz stwierdził, że występuje aktywność mózgu, jednak w obecnej chwili nie ma żadnych reakcji. To wcale nie oznacza, że on nie wie, co się wokół niego dzieje. Trudno to stwierdzić. Niestety, im dłużej nie reaguje, tym gorzej.

- Rozumiem - skinął głową Garret. - Ale przecież ludzie wychodzą ze śpiączki, prawda?

- Tak. Na filmach po prostu się budzą, rodzina gromadzi się wokół nich i wszyscy są szczęśliwi. Rzeczywistość wygląda inaczej. Może mieć uszkodzenia mózgu. Może stracić pamięć. Może nas nawet nie rozpoznać. Może zostać fizycznie upośledzony. Może musieć od nowa uczyć się najprostszych rzeczy. A może wszystko będzie w porządku - przygryzła wargę. - Po prostu nie wiadomo.

- A tamta kobieta? Jak się między wami układa? Iona głęboko westchnęła.

- Staramy się jakoś dogadać - powiedziała. - W tej chwili zmieniamy się przy nim codziennie.

- Przykro mi - powtórzył Garret. - To musi być dla ciebie bardzo trudne.

- To był prawdziwy koszmar - Iona wyprostowała się na krześle - ale teraz jestem gotowa wrócić do pracy. Nie mogę siedzieć w domu i czekać, aż on się obudzi. Muszę się czymś zająć.

Garret pokiwał głową.

- Cóż, jeśli będziesz chciała wziąć wolne, to po prostu daj znać.

- Dzięki - powiedziała Iona. - Doceniam to.

- Nie ma sprawy.

Garret śledził ją wzrokiem, gdy wychodziła z jego gabinetu, a potem rozmasował sobie dłonią czoło. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Frank, którego spotkał kilkakrotnie, mógł mieć tak poplątane życie osobiste. Dwie żony! Z jednej strony Garretowi trudno było nie podziwiać go, że potrafił tak długo utrzymać to wszystko w sekrecie, ale z drugiej... Cóż, Garret sam był żonaty. Bardzo kochał Emily, ale jedna żona to aż nadto!

Ruth zerknęła do góry, gdy Iona siadała przy swoim biurku. Zmarszczyła brwi. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, Iona zaczęła powtarzać wszystko, co powiedziała Garretowi. Ruth była jednakowo wstrząśnięta i zadawała dokładnie te same pytania. Iona cierpliwie na nie odpowiadała. Choć wcale nie miała ochoty jeszcze raz tego wszystkiego wałkować okazało się, że rozmawianie o tym z innymi ludźmi miało działanie terapeutyczne. Tak jakby mówienie o tym otwarcię czyniło wszystko bardziej znośnym.

- On z tego wyjdzie i będzie zdrowy - powiedziała na koniec Ruth. - Frank ma takie pozytywne nastawienie, na pewno wyzdrowieje.

- Tak - Iona pokiwała głową. - A jak już z tego wyjdzie, to ja go, do cholery, zabiję.

- Iona! - Ruth wyglądała na zszokowaną.

- Przepraszam - powiedziała Iona. - Ale to właśnie czasem czuję. To bardzo męczące. Chcę, żeby mu się poprawiło, a po chwili z przyjemnością walnęłabym go czymś w głowę - uśmiechnęła się niepewnie. - Tak

szczerze mówiąc, to zupełnie jakbym miała rozdwojenie jaźni. W każdym razie on z pewnością nie obudzi się w ciągu kilku najbliższych godzin, więc lepiej mi powiedz, co jest do zrobienia?

- Hm... jasne - Ruth wciąż była wstrząśnięta tym, co usłyszała od Iony, ale popatrzyła na ekran swojego komputera. - W zeszłym tygodniu dostaliśmy umowę na zarządzanie tym blokiem w Monkstown. Wszyscy się cieszymy. Carmena się tym zajmuje, ale tam będzie dużo wynajmów, więc pomyślałam, że może będziesz chciała z nią porozmawiać. A najemca z Craighill Manor ciągle dzwoni do nas ze skargami...

Iona słuchała, jak Ruth wymienia po kolei wszystkie sprawy, którymi powinna się zająć. Przyjemnie było mieć inne rzeczy na głowie niż to, jak się ma Frank, co będzie dalej i co ona sama ma zrobić ze swoim życiem. Mimo to trudno jej było się skoncentrować. Czuła, że nie powinna robić nic innego, tylko siedzieć przy Franku i czytać mu kolejne rozdziały „Goldfingera”. Była pewna, że słowa z ulubionej powieści w końcu do niego dotrą. Była o tym całkowicie przekonana. I nadal chciała, aby to przy niej się obudził.

- ...mogłabyś tam zajrzeć? - Ruth spojrzała na Ionę pytająco, a ona z powrotem skupiła się na słowach koleżanki.

- Przepraszam - powiedziała. - O czym mówiłaś?

- O Enrique Martinezie - odpowiedziała Ruth. - Podpisał umowę na wynajem apartamentu nr 7 w Waterside Building, ale wyjechał na weekend do Hiszpanii. Wysłał maila, w którym pyta, czy możemy mu dzisiaj dostarczyć klucze i czy może jeszcze raz obejrzeć mieszkanie. Masz ochotę? Niby mogłabym to zrobić, ale mam dużo innych spraw.

- Jasne, bardzo chętnie - Iona skinęła głową. Pomyślała, że miło będzie wyjść na chwilę z biura. Nie miała ochoty przez cały cholerny dzień patrzeć na współczującą twarz Ruth.

Sally postanowiła wziąć jeszcze jeden tydzień wolnego. Po prostu nie była w stanie skoncentrować się na czymś na tyle długo, by móc poprowadzić sensowną lekcję, a wiedziała, że jej stan psychiczny i tak nie pozwoli jej zapanować nad klasą składającą się z trzydziestu dorastających panien. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła do Denise, żeby powiedzieć, że jeszcze nie wraca, choć za tydzień na pewno już się w pracy stawi.

- Sally, kochanie, potrzebujesz przecież więcej niż jednego tygodnia! - wykrzyknęła Denise, która, kiedy w końcu dowiedziała się o Ionie, z wściekłości niemal nie dostała apopleksji. - Porozmawiam o tym z dyrektorką. Ona to zrozumie.

- Sama do niej zadzwonię - odparła Sally zmęczonym głosem. - Nie musisz tego za mnie robić.

- Nie bądź głuptasem - stwierdziła Denise stanowczo. - Ja to załatwię, a ty zadzwonisz do niej później. Czy w tej chwili mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Sally odpowiedziała, że nikt nic nie może zrobić, można tylko czekać i się martwić.

Martwiła się oczywiście o Franka, ale też dodatkowo o Jennę, która postanowiła uciec od tego wszystkiego w milczeniu. Za każdym razem, gdy pytała córkę, czy wszystko w porządku, ta odburkiwała, że tak, że przecież to nie ona jest w śpiączce i to nie ona prawdopodobnie umrze. Gdy Sally protestowała, stwierdzając, że fakt, iż Frank jest w śpiączce, wcale nie oznacza, że umrze, Jenna przytaczała informacje znalezione w Internecie na temat śpiączki i mizernych szans na przebudzenie.

- Nawet jeśli nie umrze, to pewnie będzie jak warzywo - stwierdziła krótko. - To tak samo, jakby umarł.

- Musimy myśleć pozytywnie - odparła Sally.

- Jasne - Jenna aroganckim gestem odrzuciła włosy do tyłu. - A jak będzie warzywem, to niech tamta go sobie weźmie!

- Jenna!

- No co, dlaczego to my mamy to znosić? - zapytała Jenna. - Nienawidzę go. Sama chciałam umrzeć, jak zobaczyłam go w szpitalu, tak strasznie było mi go żal, a potem dowiedziałyśmy się o niej! Niech go sobie weźmie.

- To twój ojciec - przypomniała łagodnie Sally. - Wcale tak nie myślisz.

- Właśnie, że tak - Jenna wstała i wymaszerowała z pokoju, a Sally przycisnęła dłonie do pulsujących skroni, zastanawiając się, ile jeszcze wytrzyma.

Była zaskoczona, gdy Jenna oznajmiła, że następnego dnia chce iść do szkoły. Powiedziała córce, że jeśli tylko chce, może zostać w domu, ale ona odparła, że w domu nie ma co robić i że chce być z przyjaciółmi. Dodała też, że nie zamierza z jego powodu zmarnować sobie życia, opuszczając lekcje, i że musi się uczyć. Sally zgodziła się, choć martwiła ją ściągnięta twarz Jenny i jej zmęczony wzrok. Z niepokojem przyglądała się, jak córka idzie do szkoły, a jej długa szkolna spódnica powiewa na wietrze.

Teraz, gdy została w domu sama, poszła do pokoju Jenny i włączyła jej komputer. Otworzyła wyszukiwarkę internetową i przejrzała strony, które Jenna znalazła na temat śpiączki. Było tam bardzo wiele informacji i mnóstwo historii o ludziach w śpiączce, ale wszystko sprowadzało się do jednego: nic nie wiadomo, nie ma żadnej pewności, nie da się przewidzieć, co się stanie.

Sally musiała jednak wiedzieć. Musiała w jakiś sposób uporządkować ich życie. Czasu nie da się zatrzymać, dopóki Frank nie wyjdzie ze szpitala. Poza tym Jenna i tak prędzej czy później dowie się o dziecku. O ile wcześniej Sally sądziła, że rozmowa z Jenną na ten temat będzie trudna, to teraz uważała, że będzie milion razy trudniejsza.

- Dlaczego? - wymamrotała, gdy oparła głowę o ekran komputera. - Dlaczego to zdarzyło się akurat mnie? Akurat nam? I dlaczego właśnie teraz?

Frank chciał sprawić Sally przyjemność. Siedzieli w eleganckiej restauracji przy St Stephen's Green. Ceny były astronomiczne, a wina, jakich nie znajdzie się na półkach w supermarkecie, ale okazja była szczególna. Spodziewali się dziecka. Za każdym razem, gdy wypowiadał to słowo, spoglądał na Sally, jakby była ze szkła i wymagała najdelikatniejszego traktowania, choć akurat teraz wyglądała na wyjątkowo zdrową i silną.

- Zaopiekuję się tobą - powiedział szczerze. I wiedział, że tak zrobi. Bo ona dawała mu wszystko, o czym marzył. Rodzinę, którą kiedyś sobie obiecali. Dokładnie to wyjaśnili, zaraz po tym, jak się zgodziła za niego wyjść. Była bardzo konkretna, gdy mówiła, że powinni wiedzieć, czego od siebie nawzajem oczekują, a on, choć zaskoczyło go to, jak Sally praktycznie do tego podchodzi, zgodził się, że zanim podejmą zobowiązanie na całe życie, powinni ustalić najważniejsze zasady.

Podstawę stanowił fakt, że oboje chcieli mieć dzieci. Osiągnęli kompromis, że będzie ich czworo, jednak tak naprawdę nie miało znaczenia czy czworo, czy czternaścioro, czy tylko jedno. Będą rodziną. Będą razem i będą się wspierać. A to dziecko stało się początkiem tego wszystkiego.

Frank nie mógł się doczekać, kiedy zostanie ojcem. Chciał być dobrym ojcem. Pragnął, żeby jego dzieci go podziwiały, ale nie bały się go, żeby myślały, że bardzo dużo wie, a jednocześnie zdawały sobie sprawę, że nie zawsze ma rację, żeby go kochały - był pewien, że dzieci nigdy nie kochają rodziców tak bardzo jak oni je. Przynajmniej w większości przypadków. On sam z pewnością stanowił wyjątek.

Sally siedziała na krześle i rozglądała się po restauracji. Miał ochotę pochylić się i pocałować ją w usta, ale jego ciało go nie posłuchało. Pewnie dlatego, że jestem taki przejęty faktem, że tu jesteśmy, bo nigdy nie myślałem, że będę jadł w takiej eleganckiej restauracji. Zamiast ją pocałować, tylko się uśmiechnął.

* * *

Siobhán Farrell czekała na informacje o odciskach palców, które pobrała od Franka Harpera w szpitalu. Nagle podejrzenie, że między jego dwiema żonami istnieje jakaś zmowa, już się rozwiało i była skłonna wrócić do swojej początkowej koncepcji, że cała ta sprawa dotyczy krętacza, który oszukiwał obie żony - nawet jeśli je obie kochał. Mimo wszystko szykował się proces, a ona musiała go przygotować. Sprawdzała także, czy nie ma czegoś o Franku w kartotekach policyjnych, zarówno w Irlandii, jak i Wielkiej Brytanii, ale jak dotąd nie dostała żadnych informacji, co umacniało ją w przekonaniu, że sprawa ma charakter wyłącznie rodzinny.

Mogła sobie wyobrazić, jak do tego doszło. A przynajmniej mogła sobie wyobrazić, że Frank Harper podobał się obu kobietom, bo podobał się też jej samej. Trudno było w to uwierzyć, gdy tak bez ruchu leżał w szpitalnym łóżku, ale nawet w stanie śpiączki emanował jakimś urokiem. Wyobrażała go sobie jako atrakcyjnego, aktywnego i pełnego energii mężczyznę. I prawdopodobnie był świetny w łóżku. Tak, zdecydowanie musiał być dobry w tych sprawach. Wspomniała o tym i Sally, i Iona.

Czy kiedykolwiek martwił się, że może je zarazić choroba weneryczną? Prawdopodobnie nie. Nie było takiego zagrożenia, jeśli seks ograniczał się do ich małego trójkąta, jeśli Frank nie szukał poza nim dodatkowych podniet i zaspokojenia. W przeciwieństwie do Eddiego. Zacisnęła zęby na myśl o jego okropnej zdradzie.

Czy to było fair, tak się na niego złościć? Jeden jedyny błąd i to wszystko. Frank Harper przez długi czas oszukiwał obie kobiety swojego życia, a Eddie popełnił błąd z głupoty, po pijanemu. Okoliczności były więc zupełnie inne. I Eddie był przynajmniej na tyle przyzwoity, żeby nie spać z nią, gdy sobie uświadomił, że może ją narazić na chorobę. To przemawia na jego korzyść, prawda? Niemniej jednak mógł o wszystkim powiedzieć wcześniej, a nie odpychać ją każdej nocy i sprawiać, że czuła się niechciana i niekochana. Jeśli naprawdę myślał, że może mieć AIDS, to miał rację, że się do niej nie zbliżał, ale nie bardzo wierzyła, że rzeczywiście tak myśli. Sądziła raczej, że nie mógł się z nią kochać z powodu poczucia winy. Cieszyła się z tego. Wolą, żeby nie odczuwał żadnej przyjemności, skoro zadał jej tyle bólu. Przepraszał ją wielokrotnie, błagając, żeby nie odchodziła, powtarzając, jak bardzo ją kocha i nadal chce się z nią ożenić, że popełnił straszny, straszny błąd. Ludzie, których aresztowała, też tak zwykle mówili, ale mimo to sąd skazywał ich potem na więzienie.

Iona umówiła się z Enrique Martinezem przy wejściu do apartamentowca. Oboje pojawili się w tym samym momencie. Powitała go ciepło, zadziwiając samą siebie, że potrafi uśmiechać się do klienta, choć w środku jest emocjonalnym wrakiem.

Otworzyła drzwi do apartamentu i wręczyła klucze Enrique, mówiąc mu, że teraz to wszystko jest jego.

- Może najpierw razem sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku? - zaproponował, a ona skinęła głową. Szła za nim, gdy pięknym srebrnym piórem odhaczał kolejne pozycje na liście. Przeglądał wyposażenie kuchni, kiedy zadzwonił jej telefon.

- Halo! - powiedziała.

- Iona! - głos Flory był krystalicznie czysty. - Dzwoniłam do ciebie do domu i nikt nie odbierał. Wszystko w porządku?

Iona jęknęła w duchu. Nie miała ochoty rozmawiać z matką akurat w tej chwili, tym bardziej że tak, jak się spodziewała, Flora zaczęła zrzędzić, gdy ze zdumieniem dowiedziała się, że Iona jest w pracy, uważała bowiem, że jej córka potrzebuje czasu, aby przeżyć żałobę.

- Na litość boską, on jeszcze nie umarł - burknęła Iona. Skrzywiła się, widząc, że jej klient na nią spogląda. - Posłuchaj, mamę, cieszę się, że zadzwoniłaś, ale jestem teraz zajęta. Zadzwonię do ciebie później - zamknęła komórkę i wsunęła ją z powrotem do torebki.

- Jakieś kłopoty? - Enrique patrzył na nią ze współczuciem.

- Nie - odpowiedziała energicznie. - Przepraszam pana. Czy wszystko jest na miejscu? Czy jeszcze czegoś pan potrzebuje?

Dobrze jest robić takie rzeczy, pomyślała, wychodząc w końcu z apartamentowca. Wykonywanie zwykłych czynności sprawiało, że się czuła, jakby żyła zwykłym życiem. A niczego innego bardziej nie pragnęła.

Rozdział 22

Od wypadku minęły cztery tygodnie.

Sally się uparła, żeby Jenna pojechała z nią do szpitala, ponieważ czuła, że w ten wieczór ich wspólna obecność jest ważniejsza niż kiedykolwiek. Założyła sobie, zwłaszcza po wysłuchaniu opinii lekarzy, że Frank powinien się obudzić najpóźniej po czterech tygodniach. Do tego momentu była gotowa pozwolić mu na oderwanie się od rzeczywistości, przypuszczając, że być może jego mózg potrzebuje czasu, aby wyzdrowieć, jednak po granicznej dacie miai nastąpić powrót do normalności.

Nie powiedziała Jennie o swoim przeczuciu, że Frank się obudzi tego dnia. Nie chciała wzbudzać w córce nadziei, którą sama w sobie podsyciała. On po prostu musi się obudzić, musi i już. Lekarze stwierdzili, że obrzęk mózgu ustąpił, a wszystkie inne obrażenia też się goją. Tak więc w związku z poprawą swego stanu fizycznego, jej mąż z pewnością się obudzi. Ostatnio każdego ranka czuła się, jakby sama była w śpiączce. Wiedziała, że musi się obudzić i wstać z łóżka, a jednocześnie, co było dla niej zupełnie nietypowe, rozpaczliwie starała się zyskać jeszcze choć kilka minut snu, zanim dopadnie ją rzeczywistość.

Szły korytarzem do sali Franka. Rozpoznawały już wiele pielęgniarek, a większość z nich także je znała. Mimo że zawsze wydawały się zajęte i nieustannie się gdzieś śpieszyły, znajdowały czas, żeby je przywitać i zapytać o samopoczucie. Sally była wdzięczna za ich troskę. Nie uważała już, że się śmieją za jej plecami i szeptają o niej podczas przerw na kawę. A zresztą, pomyślała, otwierając drzwi i wchodząc do tak do-

brze znanej jej sali, nawet gdyby, to co? Może gdyby to wszystko dotyczyło kogoś innego, sama by o tym plotkowała?

- Och! - Jenna chwyciła ją za rękę. - On ma otwarte oczy.

- Ale i tak nas nie widzi - odpowiedziała Sally. - To już się zdarzało, Jen.

- Ale przy mnie nigdy.

- To prawda - przyznała Sally. - Sama się zdenerwowałam za pierwszym razem.

- Naprawdę? - Jenna wciąż trzymała matkę za rękę. - Nie mogę sobie wyobrazić, że się denerwujesz.

- Słowo daję - Sally uściśniła palce córki, po czym przysunęła sobie krzesło. - Cześć Frank. Straszysz nas, jak tak otwierasz oczy.

Frank zamknął oczy. Sally i Jenna spojrzwały po sobie.

- Frank? - zapytała Sally. - Czy mógłbyś znowu otworzyć oczy?

Reakcji nie było.

- Tato - powiedziała Jenna. - Proszę, otwórz oczy. Czekają w napięciu.

- No cóż - Sally starała się ukryć gorzkie rozczarowanie. - Może później znowu je otworzy. Chcesz ty z nim najpierw porozmawiać?

- Tak - stwierdziła Jenna. - Chcę porozmawiać z nim jak córka z ojcem, więc spadaj mamó, dobra?

Sally się uśmiechnęła.

- Okej - odparła. - Wrócę za dziesięć minut.

- Dobra - odpowiedziała Jenna.

Gdy Sally wyszła, Jenna włączyła przenośny odtwarzacz CD, który przyniosła z sobą, żeby Frank mógł posłuchać, jak Westlife śpiewają Franka Sinatrę (uznała, że to byłaby już przesada, gdyby musiała słuchać nagrań samego Sinatry). A potem oparła łokcie na łóżku, w którym leżał jej ojciec.

- Nienawidzę cię - stwierdziła swobodnym tonem, gdy w tle rozbrzmiewał „Mack the Knife”. - Zdradziłeś nas. Myśmy cię kochały, a ty nas okłamywałeś. Zawsze mówiłeś, że Jesteśmy dla ciebie najważniejszymi osobami na świecie, ale wcale tak nie uważasz, prawda? Bo wtedy nie zrobiłbyś tego, co zrobiłeś.

Ale to pewnie nie ma żadnego znaczenia. Mama myśli, że ci się poprawi i... cóż, ja też tego chcę, ale to nie wygląda najlepiej. Mama nie czyta tego, co znalazłam w Internecie, tylko słucha samych pozytywnych prognoz lekarzy. A oni mówią coś o psychologicznych przyczynach tego, że się nie budzisz. Przecież to nic dziwnego, prawda? Okłamywałeś mnie i mamę, i tamtą... kobietę też i gdybyś się teraz obudził... no cóż, nie chciałabym być w twojej skórze! Więc pewnie dlatego wolisz sobie leżeć w łóżku, bo nie potrafisz spojrzeć nam w oczy, bo po prostu jesteś dupkiem.

Usiadła prosto i spojrzała na niego. Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Wciąż miał zamknięte oczy.

- Chciałabym tylko wiedzieć, tato, czy wszyscy mężczyźni są takimi dupkami? Pytam o to, bo mam chłopaka, ma na imię Gerry, a ja go kocham. Nie udaję, że go kocham. Naprawdę go kocham. To najmiłszy chłopak na świecie i jest dla mnie cudowny, zwłaszcza jeśli chodzi o całe to gówno. Kiedy mam kompletnego doła, on mówi, że to nie moja wina, że nic nie mogę na to poradzić i że muszę żyć swoim własnym życiem. To

całkiem mądrze, nie sądzisz? Dlatego właśnie musiałam ci powiedzieć, że jesteś dupkiem. Ale i tak cię kocham.

Głos jej się lekko załamał.

- Bo wiesz, tato, ja pamiętam to wszystko, co razem robiliśmy, i wiem, że mnie wtedy kochałeś. Tylko nie wiem, co takiego zrobiłam, że przestałeś? Albo co mama zrobiła? Zawsze myślałam, że nasza trójka to cały twój świat, bo ciągle to powtarzałeś. Po co ci więc był ktoś jeszcze? W każdym razie to wszystko zmieniło. Teraz jesteśmy my troje i ona. I jeszcze Gerry, bo ja teraz kocham go bardziej niż ciebie, tato. Oczywiście kocham go inaczej. Kocham go jak chłopaka.

Usiadła głębiej na krześle i przez chwilę przyglądała się ojcu. Trudno jej było sobie wyobrazić, że kiedyś jego i jej matkę łączyły takie same uczucia, jakie ona żywi teraz do Gerry'ego Cullinana. Ale kiedyś musiało tak być.

- Tato, ja z nim spałam.

Obserwowała jego twarz, daremnie szukając jakiegokolwiek oznaki, że usłyszał jej słowa.

- Spałam z nim kilka razy. Używaliśmy prezerwatyw, więc na razie nie musisz się martwić, że zostaniesz dziadkiem. Za pierwszym razem nie było jakoś super. Było okej, ale za bardzo byłam świadoma tego wszystkiego, co się dzieje wokół mnie, a chyba nie powinnam. Za drugim razem było cudownie. Naprawdę cudownie. Strasznie mi się podobało. Więc nie mogłam się doczekać kolejnego razu. On sprawia, że po prostu odlatuję.

Wstała i nalala sobie wody z dzbanka przy łóżku. Zastanawiała się, po co on tam stoi, skoro Frank nie jest w stanie z niego skorzystać, a nawet nie ma pojęcia, że tam jest.

- Tak sobie myślę, czy ty i tamta kobieta też macie odlot - powiedziała, z powrotem siadając na krześle.

- Bo według mnie to obrzydliwe. Ty i ona. Przecież jesteś moim ojcem! Ale jeśli w niej jest coś, co sprawia, że czujesz do niej to, co ja do Gerry'ego, to mogę to zrozumieć. Nie mogę ci jednak przebaczyć. Wiesz o tym, prawda?

Drzwi się otworzyły i weszła Sally.

- Żadnej reakcji - powiedziała Jenna.

- Widzę - Sally przysunęła krzesło i usiadła obok łóżka.

- Wyjdę na świeże powietrze - stwierdziła Jenna. - Tu jest za gorąco.

- Zostań chwilę - powiedziała Sally. - Pobądźmy z nim razem. Potrzebuje teraz obecności swojej rodziny.

Jenna rzuciła tęskne spojrzenie na drzwi, jednak nie ruszyła się z krzesła.

Biurowiec był stosunkowo nowy, ale wciśnięty między dwa starsze i bardziej eleganckie budynki. Frank lubił nowoczesność, lecz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że szkło i chrom nie pasują do edwardiańskich domów po obu stronach. Wszedł do urządzonego bardzo nowocześnie holu. Stały tam fotele z chromowanej stali obite czerwoną skórą oraz stoliki ze szkła, na których były porozkładane egzemplarze czasopisma dla kobiet. Stał przed starszym ochroniarzem. Ten ignorował go przez dobrą minutę, zanim raczył na niego spojrzeć.

- Przyszedłem do Christine Harris - powiedział Frank.

- Proszę wypełnić formularz - zbył go ochroniarz.

Frank zrobił, co mu polecono. Ochroniarz rzucił okiem na papier i sięgnął po telefon.

- Jest pan umówiony? - zapytał Franka, przekazując pytanie z drugiego końca linii.

- Właściwie nie - odpowiedział Frank.

- Panna Harris jest zajęta - stwierdził ochroniarz.

- Proszę jej powiedzieć, że muszę z nią porozmawiać - powiedział Frank. - Musi mnie przyjąć.

Ochroniarz uniósł brew i powiedział coś do słuchawki.

- Zejdzie tutaj za dziesięć minut - przekazał Frankowi. - Może pan tam usiąść.

Frank rozsiadł się w jednym z foteli z czerwonej skóry i stwierdził, że jest niesamowicie niewygodny. Miał wrażenie, że w każdej chwili może się wywrócić. Wziął jeden z magazynów ze stolika i zaczął go przeglądać.

Jako nastolatek czytał wiele kobiecych pism, takich jak *Woman*, *Woman's Own* czy *Woman's Weekly*. Najbardziej interesowały go strony z listami od czytelniczek, z których ku swojemu ogromnemu zdumieniu dowiadywał się, jak wiele kobiet jest niezadowolonych, niezadowolonych przede wszystkim ze swoich mężów, chłopaków i życia seksualnego, Frank czytał te pisma głównie po to, by się dowiedzieć, jak się uprawia seks. Zakładał, że nie jest to temat, który mógłby poruszyć w rozmowie z ojcem, a większość jego kolegów ze Sligo była takimi samymi ignorantami w kwestii funkcjonowania kobiecego ciała jak on sam. Przechowywał czasopisma z poradami Anny Raeburn i Irmy Kurtz na górnej półce swojej szafy. Był pewien, że gdyby Derek je znalazł, zmartwiłby się, że jego syn to pedzio, który się interesuje ciuchami i makijażem, a nie siedemnastoletni prawiczek, pragnący się przygotować do swojego pierwszego razu.

Drzwi windy naprzeciwko otworzyły się i wyszła z nich kobieta w liliowym kostiumie, składającym się z marszczonej w talii spódnicy i krótkiego żakietu. Była wysoka, a na nogach miała dodatkowo buty na niewiarygodnych obcasach. Kasztanowe włosy upięła w kok, który podkreślał owal jej twarzy i odsłaniał zgrabną szyję. Przeszła przez hol, swymi ciemnymi oczami popatrzyła wprost na niego i wyciągnęła rękę.

- Frank - powiedziała.

- Mamo.

Uniosła brew.

- Christine - poprawiła go.

- Ale i tak mam - odparł.

- Pójdziemy na kawę? - zapytała. - Za rogiem jest przyjemne miejsce. Ale za czterdzieści minut muszę być z powrotem. Mam spotkanie.

Wyszedł za nią z budynku i ruszyli Old Marylebone Road. Promienie wylaniającego się zza domów słońca podkreślały rdzawy odcień jej gładko zaczesanych włosów i idealną gładkość cery. Popchnęła drzwi i weszli do przesiąkniętego aromatem prażonych ziaren baru kawowego.

- Turecka - powiedziała. - Najlepsza w Londynie.

Usiedli przy małym plastikowym stoliku. Z radia za ladą docierał głos Michaela Boltona. Właściciel podszedł, żeby przyjąć zamówienie, czyli czarną kawę i klejące się ciastko dla Franka. Christine poprosiła tylko o kawę. Siedzieli w milczeniu, aż podano, o co prosili, a potem ona wytrząsnęła papierosa z pudełka, które

wyjęła z torebki, zapaliła go, szybko się zaciągnęła. Między nimi zaczął się unosić niebieskoszary dym, który powoli wydychała.

- Dlaczego mnie porzuciłaś? - zapytał Frank.

- Nie mam instynktu macierzyńskiego.

- To po co w ogóle miałaś dziecko?

- Nie chciałam.

- Czemu żyłaś z moim ojcem?

- Myślałam, że go kocham. Myślałam, że jest inny. Ale myliłam się.

- Czy to przeze mnie? - zapytał Frank. - Czy zostałabyś z nim, gdyby mnie nie było?

Ponownie mocno zaciągnęła się papierosem.

- Raczej wątpię - odparła.

- Nie mogłaś mieć takiego życia, jak chciałaś, będąc z nim? - zapytał.

- Sam się zastanów - odparła ostro. - W Sligo? W latach sześćdziesiątych?

Frank wzruszył ramionami.

- Ucieczka niczego nie załatwia - powiedział. Spojrzenie jej ciemnych oczu stwardniało.

- Ja nie uciekłam.

- A jak to inaczej nazwać?

Zgasiła papierosa w szklanej popielniczce.

- Twój ojciec nie był dla mnie odpowiednim mężczyzną. Nie wiem, dlaczego się w nim w ogóle zakochałam. Ale wtedy wydawał mi się inny. Tyle że jak wróciliśmy do Sligo, wszystko się zmieniło.

- A ty udawałaś - stwierdził Frank. - Udawałaś, że jesteś jego żoną, chociaż tak nie było. To czysty konformizm, nie sądzisz?

- Robiłam to dla ciebie - powiedziała. - Nie planowałam dziecka, ale nie chciałam, żeby nazywali cię bękartem. A tak by właśnie robili.

- I tak wszyscy wiedzieli - stwierdził. - Ludzie wiedzą takie rzeczy.

- Przykro mi, jeśli spałam ci życie - powiedziała. - Nie chciałam.

- Łatwo powiedzieć, co? - spojrzał na nią. - Ludzie ciągle to mówią: „Zrobiłem coś okropnego, ale nie chciałem, więc powinieneś mi wybaczyć”. To, że nie chciałaś, niewiele zmienia.

Nie odpowiedziała.

- Czy kiedykolwiek mnie kochałaś? - zapytał.

- Oczywiście - odparła ostro. - Dlatego cię zostawiłam. Gdybym została, znenawidziłabym cię.

- Wygodna wymówka - stwierdził.

- Taka jest prawda.

- Nigdy nie próbowałaś się ze mną skontaktować - powiedział. - Ani jak byłem mały, ani jak dorosłem. Musiałem sam cię znaleźć. A to wcale nie było łatwe.

- Uważałam, że nie ma sensu się z tobą kontaktować.

- Nic cię nie obchodzi? - podniósł głos. - Jestem twoim synem. Krwią z twojej krwi. Jestem twoją rodziną, a rozmawiasz ze mną, jakbym był kimś obcym.

- Bo jesteś - odparła. - Nie znam cię przecież.
- Jesteś moją matką!
- To tylko biologia - odpowiedziała. - Nic poza tym.
- Jesteś bez serca - powiedział.

Odsunęła od siebie filiżankę po kawie. - Przykro mi, że tak uważasz. To nieprawda. Myślę o tobie od czasu do czasu, ale prawda jest taka, że byłabym beznadziejną matką, gdybym została. Zdaję sobie sprawę, że z twojego punktu widzenia i tak jestem beznadziejną matką. Przykro mi z tego powodu. Naprawdę. Usunęłam się z twojego życia, bo to było lepsze i dla ciebie, i dla mnie, to tyle. Życzę ci wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że osiągniesz w życiu, co będziesz chciał. Przykro mi, ale nie jestem taka, jak byś chciał, bo po prostu taka nie jestem.

- Jesteś mężatką? - zapytał.

Roześmiała się.

- Nie.
- Żyjesz z kimś?
- Nie.
- Masz inne dzieci?
- Absolutnie nie.
- Jesteś samotna?

Uśmiechnęła się.

- Dlaczego ludzie zawsze uważają, że ktoś, kto żyje sam, musi być samotny? Wiele osiągnęłam. Wydaję obiecujący magazyn. Mam wielu przyjaciół i bogate życie towarzyskie. Od czasu do czasu śpię z jakimś mężczyzną, ale nie chcę być uwiązana. Cieszę się, że jestem samodzielna, i nie, nie jestem samotna. - Eleganckim ruchem założyła nogę na nogę. - Jestem szczęśliwa, Frank. Robię to, co chciałam.

- Jesteśmy zupełnie różni, prawda? - powiedział Frank.

- Chyba tak - zgodziła się. - Jesteś bardziej podobny do Dereka. Chcesz, żeby ktoś cię kochał. Liczysz na to, że wszystko się ułoży. Pragniesz ciepła i przytulności, choć życie jest twarde i brutalne.

- Nie musi takie być - powiedział.
- A mnie się takie podoba - odparła.
- Jestem żonaty - oznajmił. - Chciałem dotrzeć do ciebie przed ślubem, ale mi się nie udało.

Ściągnęła wargi.

- Po co? Chciałeś mnie zaprosić?
- A przysłabyś?
- Czy to by miało jakiegokolwiek znaczenie?
- Czy ty w ogóle nic nie czujesz? Co z tobą jest nie tak?
- Nic - odparła. - Mam inne spojrzenie na życie. I na to przereklamowane macierzyństwo. No cóż, przykro mi. Byłeś ślicznym dzieckiem. Ale mnie to nie brało.

- Świetnie, cholera. Wielkie dzięki.
- Przykro mi. Sam spytałeś.

Spojrzał na nią z prawdziwym zdumieniem.

- Jak możemy być tak różni? Jestem twoim biologicznym dzieckiem.

- Kiedy poznałam Dereka, byłam naiwna i głupia, ale miałam swoje przekonania. Związek z nim był największym błędem mojego życia.

- A ja? Czy ja też byłam błędem?

- Byłeś moim błędem - zgodziła się. - Ale to nie znaczy, że nic mnie nie obchodzisz. Obchodzisz. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Jednak nie obchodzisz mnie tak, jak byś tego chciał.

- Więc nie chcesz utrzymywać kontaktu? Nie chcesz dostawać kartek na Boże Narodzenie i tak dalej?

- Nie sędzę, żeby to miało sens, a ty?

- Chyba cię nienawidzę.

- Przykro mi - powiedziała. - Nie jestem zbyt rodzinna.

Wstał.

- A ja jestem. Cieszę się, że się spotkaliśmy. Nie musisz się martwić. Nie będę się już z tobą kontaktował.

- To mi odpowiada - odpowiedziała. - Cieszę się, że znalazłeś jakąś miłą dziewczynę, która cię kocha i pomoże ci zrealizować twoje marzenie o rodzinie w domku na przedmieściu.

- Nie traktuj mnie z góry - powiedział Frank.

Skinęła głową.

- Masz rację. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Tata był zdruzgotany, jak odeszłaś.

- Derek wiedział, jak się czułam - powiedziała. - Ostrzegałam go, ale on też chciał, żeby było ciepło i przytulnie. A ja taka nie jestem. Pragnęłam tego, co mam teraz - westchnęła. - Nie mogę ciągle przeproszać cię za to, jaka jestem. Twój ojciec mnie oczarował i sprawił, że pomyślałam, że być może nie pragnęłam tego, czego pragnęłam, aż tak bardzo. Ale na pewno nie chciałam takiego życia, jakie miałam z nim. To moja wina, że nie trzymałam się swoich zasad.

- Chyba się już nie spotkamy - stwierdził Frank. - Ale... warto było.

- Cieszę się - powiedziała. - Chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Jak wszyscy - odparł, gdy wychodzili z baru na ulicę.

Zamierzał opowiedzieć jej o miłości swojego życia. O jej wnuczce, Jennie. Dlatego przyjechał. Żeby opowiedzieć jej o swojej cudownej córce. Ale ona by tego nie zrozumiała. Więc uznał, że to nie ma sensu.

Odkąd Iona regularnie przychodziła do szpitala, rozmawiała z lekarzami i pielęgniarkami oraz kupiła różne książki o śpiączce, budzeniu się z niej, a także z psychologii - bo ona też się zastanawiała, czy Frank nie budzi się dlatego, że się boi - również zdawała sobie sprawę, że mija graniczny okres czterech tygodni. Podobnie jak Sally wyznaczyła mu czterotygodniowy termin na odzyskanie świadomości. Nie wierzyła, że mógłby w ogóle się nie obudzić. Każdego wieczoru, gdy przyjeżdżała do szpitala i widziała go leżącego bez ruchu, miała ochotę potrząsnąć nim, głośno krzyknąć i kazać mu, żeby ruszył tylek, tak jak robiła to w każdy weekend, gdy był w domu. Oczywiście, nie mogła zrobić czegoś takiego, więc siedziała tylko przy nim i czytała mu kolejne powieści o Jamesie Bondzie.

Zamknęła oczy i pomyślała. Może wizyty w szpitalu i przesiadywanie przy Franku to nie jest rozwiązanie. Może powinna spróbować nawiązać z nim kontakt na poziomie podświadomości, na tym poziomie, na którym teraz funkcjonował.

Jednak on był zbyt daleko, żeby mogła nawiązać z nim kontakt. Musiała być bliżej. Musiała do niego pojechać. Wstała z kanapy i złapała torebkę. Dziś wieczorem to nie była jej kolej, ale to nieważne. Wybiegła z domu, wsiadła do samochodu i popędziła uliczką, a potem zatłoczoną główną drogą. Cały czas myślała o nim i o tym, że najważniejsze, żeby wiedział, że ona wciąż go kocha.

Frank, mówiła do niego. Posłuchaj mnie. Pomyśl o mnie. Pomyśl o wszystkim, co dobre. Pomyśl o tym, jak wiele dla siebie znaczymy.

Zaparkowała samochód na górnym poziomie i stukając obcasami, zbiegła po schodach i ruszyła w stronę głównego budynku szpitala.

- Musi ci się poprawić - szeptała bez tchu. - Musisz się obudzić, Frank. Już pora na to. Naprawdę.

Frank się zorientował, że jest w jakimś ciepłym kraju. Nie przepadał za urlopami w tropikach. Lubił podróżować po Irlandii czy Szkocji, gdzie trawa była zielona, a niebo albo miało odcień najczystszy błękitu, albo bezlitośnie szary kolor ołowiu. Lubił delikatne barwy torfu, wrzосу i janowca, a nie rażące róże i fiolety bugenwilli. Zawsze wolał kasztanowce od palm, a także spienioną biel fal od gładkiej turkusowej tafli, takiej jak tutaj... gdziekolwiek teraz jest. Nie mógł sobie tego przypomnieć. Nie pamiętał również, dlaczego ma na sobie garnitur. Było o wiele za gorąco na takie ubranie, powinien być ubrany w szorty i luźną koszulkę.

Rozejrzał się dookoła. Stał pod altaną, zwrócony twarzą w stronę morza. Dostrzegł, że altana znajduje się na maleńkiej skale, miniaturowej wysepce przy brzegu większego lądu. Zastanawiał się, jak się tu znalazł. Byli z nim inni ludzie. Dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widział. Jeden był mniej więcej w jego wieku i miał zaczerwienioną od słońca twarz. Drugi miał skórę barwy mahoniu. On również miał na sobie garnitur.

Nagle Frank usłyszał rytmiczne pokaszływanie silnika i dostrzegł łódkę, która wyruszała z pobliskiego nabrzeża. Na jej rufie widniała drobna figurka ubranej na biało dziewczyny. Frank zmrużył oczy. Oczywiście, że ją zna. Nawet sobie przypomina, że się z nią żeni. Właśnie tutaj na..., no cóż, wciąż nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, ale przynajmniej pamięta, że biorą ślub.

Próbował ogarnąć tę myśl. Coś było nie tak. Pamiętał, że brał już ślub. Z... z... Wyleciało mu z głowy. Jej imię tkwiło w jakimś zakamarku jego umysłu, podobnie jak zarys jej twarzy, ale nagle mu umknęły. Wydawało mu się, że umyka mu wiele rzeczy, imion, twarzy i tak dalej, i choć wszystkie gdzieś tam są, to on nie może ich osiągnąć. Od myślenia rozboleła go głowa.

Łódka podpłynęła do skały, a dziewczyna zwinnie przeskoczyła na miękki piasek. Uniosła rąbek długiej sukienki, żeby jej nie zamoczyć, ukazując białe sandaalki ozdobione muszelkami w jaskrawych kolorach. Popatrzyła w górę, tam gdzie on na nią czekał, i pomachała. Odwzajemnił powitanie. Wyglądała na bardzo szczęśliwą i podnieconą, więc i on nagle poczuł podniecenie. Te inne twarze, ci inni ludzie, którzy się ukrywali w jego pamięci, nie byli teraz ważni. Ważne było to, że zamierzał poślubić tę dziewczynę, i wiedział, że jest piękna, że ją kocha i że razem stworzą rodzinę.

Stanęła obok niego i uśmiechnęła się. Pastor zaczął mówić. Frankowi trudno było zrozumieć jego śpiewny akcent. Wolałby, żeby mówił wyraźniej, bo wtedy wyłowiłby imię dziewczyny, którą właśnie poślubił. Wiedział, że to dość dziwaczne nie pamiętać, jak ma na imię własna narzeczona, ale utkwiło ono w jakimś kącie jego umysłu, a on po prostu nie mógł się tam dostać. Wiedział jednak, że postępuje słusznie, zeniąc się z nią. Była wyrozumiała, wiedział to. Chciała z nim być, to też wiedział. Zależało jej na nim.

Ogarnęło go uczucie zadowolenia. Wciąż jednak dręczyła go jakaś niesprecyzowana myśl. Nie wiedział dokładnie jaka, a poza tym wydawało mu się, że akurat teraz nic nie powinno go to trapić, bo jest przecież w tym wspaniałym miejscu z taką cudowną dziewczyną.

Nigdy dotąd nie widział takich pięknych oczu. Miały tak ciemną barwę, że można w nich było zatonać. Jej duże usta z pełnymi i krągłymi wargami były stworzone do całowania. Skórę pokrywała złota opalenizna, a białe kwiat zatknięty za ucho podkreślał kruczoczarne włosy.

Będziemy razem bardzo szczęśliwi, pomyślał Frank z zadowoleniem. Gdybym tylko jeszcze sobie przypomniał, kim ona jest.

Iona niemal biegła korytarzem. Zatrzymała się przed drzwiami do sali Franka i popchnęła je. Sally i Jenna odwróciły się w jej stronę.

- To ona! - wykrzyknęła Jenna. - Co ona tu robi?

- Iona? - Sally wstała i patrzyła na nią zdumiona. - Dlaczego przyszedłaś? Dziś nasza kolej.

- Wiem. - Teraz, gdy dotarła już do sali Franka, odezwało się poczucie winy. Popatrzyła na Franka, a potem na Sally i Jennę. - Wiem i przepraszam, ale miałam jakieś przeczucie. Po prostu musiałam tu przyjechać.

- Jakie znowu przeczucie? - zapytała Jenna. - Po co tu pani przyjechała?

- Myślałam... wydawało mi się, że on próbuje się ze mną skontaktować.

- Och, błagam - Jenna spojrzała na nią z obrzydzeniem. - W życiu nie słyszałam większej bzdury. On z nikim nie próbuje się skontaktować. Siedzimy tu prawie od godziny, a on tylko raz zamknął oczy.

- Miał otwarte oczy?

- Tak, ale już tak wcześniej było.

- O czym z nim wtedy rozmawiałaś?

- Nie twoja sprawa - Jenna zarumieniła się.

- Jenno Harper! - Sally spojrzała na córkę z irytacją.

- Nie musisz być niegrzeczna.

- Posłuchaj samej siebie! - wykrzyknęła Jenna. - Ta kobieta próbowała zniszczyć naszą rodzinę, a ty mi mówisz, żebym nie była dla niej niegrzeczna? Daj spokój, mam. Oprzytomniej wreszcie.

Na te słowa wszystkie trzy spojrzały na Franka, który wciąż bez ruchu leżał na łóżku.

- Posłuchajcie. Przepraszam. Nigdy nie przyjeżdżam, jak nie wypada moja kolej - stwierdziła Iona - ale mijają właśnie cztery tygodnie i pomyślałam...

- Wiem - powiedziała Sally głosem pozbawionym emocji. - Ja też o tym myślałam.

- O czym? - zapytała Jenna.

- Że on musi się teraz obudzić - odpowiedziała Sally.

- Przecież wiesz.

- Tak, ale to nie jest jakiś prosty mechanizm, prawda? - rzuciła zjadliwym tonem Jenna. - On przecież nie wie, że to akurat równo cztery tygodnie, prawda?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Iona. - Nie uświadamia sobie tego, ale może jego ciało to wie.

- Pani jest po prostu głupia - stwierdziła Jenna.

- Jenna, proszę cię - powiedziała Sally.

- Czemu się mnie czepiasz? - zapytała Jenna. - Ja mam prawo tu być. Ona nie.

- Posłuchaj, Jen. Już o tym rozmawialiśmy - powiedziała Sally. - I naprawdę nie zamierzam tego jeszcze raz przerabiać. Jestem zmęczona i jestem... - głos jej się załamał.

- Co jesteś? - wtrąciła Jenna. - Moim zdaniem jesteś szalona. Ciągłe tutaj przychodzimy, gadamy do niego, puszcza muzykę i czytamy, a to wszystko *nic nie daje*. I powiem ci dlaczego. Bo jemu w ogóle nie zależy!

- Zależy mu - powiedziała Sally z twarzą wykrzywioną bólem. - Zależy mu na nas wszystkich.

- No, niezła z nas menażeria! - stwierdziła Jenna.

- Jenna! - Sally zazgrzytała zębami.

Denerwowała ją taka atmosfera. I robiło się jej niedobrze.

- Ciągłe się mnie czepiasz!

- Nieprawda.

- Właśnie, że tak. Jenna to, Jenna tamto. Jakbym była dzieckiem. Ale ja nie jestem już dzieckiem. Jestem bardziej dorosła i odpowiedzialna niż myślisz. Ja na pewno nie związałam się z bigamistą!

- O, mój Boże - Sally zachwiała się.

Pierwsza zareagowała Iona. Chwyciła ją za łokieć i posadziła na krześle. - Dobrze się pani czuje? - zapytała zaniepokojona. - Jest pani bardzo blada.

- Wszystko w porządku.

- Mamo, co się dzieje? - Jenna czuła się okropnie. Była wściekła na matkę i na Ionę, ale teraz zrozumiała, że Sally naprawdę się zdenerwowała.

Drzwi do sali otworzyły się i weszła Susan Carpenter.

- Co się tu, do licha, dzieje? - zapytała. Spostrzegła bladość na twarzy Sally i ton jej głosu złagodniał. - Dobrze się pani czuje?

- Zrobiło mi się tylko słabo.

- Powinna pani przez chwilę odpocząć - stwierdziła Susan. - Proszę wyjść na zewnątrz i położyć się na leżance.

- Nic mi nie będzie - powiedziała Sally.

- Tylko na chwilę - odpowiedziała Susan. - Z tego, co widzę, to raczej nie było tu spokojnie, a brak spokoju na pewno panu Frankowi nie służy. A pani naprawdę powinna zadbać, jeśli nie o siebie, to przynajmniej o dziecko.

- Dziecko? - zapytały jednocześnie Jenna i Iona.

Susan popatrzyła na nie zdumiona, a potem zwróciła się do Sally.

- Nie wiedziałam...

- O, cholera - powiedziała Sally.

- Jakie dziecko? - dopytywała się z naciskiem Iona.

- Moje dziecko - Sally zaczęła płakać. - Moje i Franka. Przepraszam, Jen. Powinnam była powiedzieć ci już wcześniej. Jestem w ciąży.

Czas jakby się zatrzymał. Iona usłyszała, co powiedziała Sally, ale wydawało jej się, jak gdyby słowa tamtej kobiety powoli unosiły się w powietrzu, zmierzając dopiero w jej kierunku, więc choć wiedziała, co tamta oznajmiła, to tak naprawdę nic do niej jeszcze nie dotarło. Jenna wpatrywała się w matkę w milczeniu z wyrazem niedowierzania na twarzy. Susan Carpenter wciąż obejmowała Sally, która ani drgnęła.

Żadna z nich nie zauważyła, że oczy mężczyzny leżącego w łóżku otworzyły się i ponownie zamknęły.

- Nie wierzę ci! - Jenna pierwsza przerwała milczenie, a w jej głosie brzmiało przerażenie.

- To prawda - powiedziała Sally. - Jestem w ciąży.

- Od kiedy?

- Zorientowałam się w dniu wypadku - odpowiedziała Sally.

Iona nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Czuła się jak sparaliżowana.

- Więc ty i tata... wy... i jeszcze dziecko! - w głosie Jenny wciąż było słycać przerażenie. - Po tylu latach! Mamo, to jest po prostu odrażające. *Ty jesteś* odrażająca. - Popatrzyła na leżącego w łóżku ojca. - I on jest odrażający. Boże, mamo, on spał z tobą i zrobił ci dziecko, a jednocześnie udawał jej męża. Nie mogę uwierzyć, że należę do takiej rodziny. Zawsze myślałam, że jesteśmy mili i normalni, ale to nieprawda, jesteśmy popieprzonymi dziwolągami! - Jenna przepchnęła się obok Iony i wybiegła na korytarz. - Kompletnymi świrami! - krzyknęła jeszcze przez szybę w drzwiach, zanim zniknęła.

Sally spróbowała wstać, ale Susan ją powstrzymała.

- Muszę...

- Musi pani przez chwilę posiedzieć - stwierdziła stanowczo Susan. - Jennie nic nie będzie. Jest po prostu zdenerwowana.

- Idę napić się wody - Iona nie miała pojęcia, jak jej się udało cokolwiek powiedzieć, bo miała wrażenie, że jej umysł przestał funkcjonować. Nie była nawet pewna, czy usta wypowiedziały te same słowa, które ułożyła sobie w głowie. Wypadła z sali i popchnęła drzwi do damskiej toalety. Oparła głowę o ścianę i starała się powstrzymać wzbierające w niej mdłości. W końcu nie dała rady i wpadła do najbliższej kabiny.

- Wszystko w porządku? - Susan Carpenter stała za nią, trzymając w ręku papierowe ręczniki.

- Nic... nic mi nie jest.

- Proszę pójść ze mną - powiedziała Susan. - Dam pani trochę wody.

- Muszę usiąść.

- Wiem, proszę pójść ze mną i znajdziemy jakieś spokojne miejsce.

Iona poczuła, jak w jej oczach zbierają się łzy. Nie mogła znieść, że ktoś musi się o nią troszczyć. Poszła za Susan do małego pokoju. Pielęgniarka posadziła ją na wyściełanym krześle i wręczyła styropianowy kubek z wodą.

- Proszę się napić - powiedziała.

Iona ostrożnie przełknęła łyk wody. Czuła, jak zimno rozchodzi się po jej wnętrznościach.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptła. - Ona jest w ciąży - spojrzała na Susan Carpenter, a jej oczy ponownie wypełniły się łzami. - Staraliśmy się o dziecko - powiedziała drżącym głosem - żeby być pełną rodziną. Nic nie wiedziałam o tym dziecku. Nie wiedziałam o Jennie. O Sally też nie wiedziałam. I ja nie jestem w ciąży.

- Proszę się teraz tym nie denerwować - powiedziała łagodnie Susan.

- Trudno się tym nie denerwować - Iona chciała udawać twardą przed pielęgniarką, ale czuła się tak, jakby zaraz miała rozpaść się na tysiąc kawałków. Jak to możliwe, zrozpaczona pytała samą siebie. Już sam wypadek był nieszczęściem. Kiedy się dowiedziała o Sally i Jennie, było jeszcze gorzej. Ale to... Dla Iony to była najgorsza zdrada. Zadawała sobie tyle trudu, żeby odpowiednio się odżywiać, przygotować dom na pojawienie się dziecka, robiła wszystko, co trzeba, i nie była w ciąży. Za to Sally tak. A sądząc po ogromnej różnicy wieku między tym dzieckiem a Jenną, a także po tym, że Sally utrzymywała je dotąd w tajemnicy, wszystko wskazywało na to, że to nie było planowane dziecko. Czy to jest sprawiedliwe? Sally, która prawdopodobnie wcale tego nie chciała, zaszła w ciążę. A ona, rozpaczliwie pragnąca pierwszego dziecka, nie. A kto wie, co będzie z Frankiem?

Rozdział 23

Dziesięć minut później Iona była już w stanie opuścić malutki pokój, w którym ją zostawiła Susan. Wciąż chwiała się na nogach i trzęsły jej się ręce, ale przynajmniej nie czuła się tak, jakby zaraz miała zemdleć. Jej rozpacz częściowo zastąpiła wściekłość na Franka i jego podwójne życie. Jej serce jednak wciąż wypełniał ból, który lada chwila mógł ponownie wybuchnąć z całą siłą.

Nie spodziewała się, że Sally wciąż jest w szpitalu, ale była tam, siedziała na jednym z krzeseł pod salą Franka, a jej włosy opadały w nieładzie na bladą twarz. Urosły od ostatniej wizyty u fryzjera i powinny już zostać podcięte. Teraz znowu wyglądała żałośnie. Ionie przyszło nagle do głowy, że Sally chyba nie mogła wybrać gorszego momentu na zajście w ciążę.

Sally spojrzała na nią tępym wzrokiem.

- Przepraszam - powiedziała Iona.

- Za co?

- Za to, że przyszłam. Nie powinnam była. To nie była moja kolej. Mogłam poczekać do jutra, jeden dzień nie ma przecież znaczenia.

- To prawda - zgodziła się Sally.

- Tylko że... Wie pani, dużo o nim myślałam. I o tym, że minął już miesiąc. I byłam pewna, że...

- Wiem - powiedziała Sally. - Ja też byłam pewna, że to będzie dzisiaj.

Przez chwilę siedziały obok siebie w milczeniu.

- Ale Frank się ze śpiączki nie obudził, a ja się dowiaduję, że będziecie mieli dziecko.

- I tak dowiedziałaby się pani prędzej czy później. Iona na przemian zaciskała dłonie w pięści i rozluźniała je.

- To kolejny wstrząs, którego wcale nie potrzebuję.

- Nie planowaliśmy tego.

- Domyślam się.

- Chcieliśmy mieć więcej dzieci, ale niestety się nie udało - powiedziała Sally. - Frank zawsze pragnął mieć dużą rodzinę. Rodzina tak wiele dla niego znaczyła. Ale to było... jak grom z jasnego nieba.

- Jak pani myśli, jak on na to zareaguje? - zapytała Iona.

- To zależy - odparła cierpko Sally - czy się obudzi, jak jeszcze będę w ciąży, czy nie.

Iona nie mogła powstrzymać łez, które spłynęły jej po policzku.

- O co chodzi? - zapytała Sally.

- Nic ważnego.

- O co chodzi? - powtórzyła Sally. Wpatrywała się przez chwilę w Ione, po czym stłumionym głosem powiedziała: - Proszę mi nie mówić, że pani też jest w ciąży.

- Nie - odpowiedziała Iona. - Nie jestem - przygryzła wargę - ale chciałam.

- Och - Sally spojrzała na nią beznamiętnym wzrokiem.

- Rozmawialiśmy o tym - rzuciła nagle Iona, ocierając łzy. - My... Frank chciał mieć dzieci. Na początku to bardziej on niż ja, ale potem ja też już chciałam. Urządziłam nawet specjalny kącik zgodnie z zasadami feng shui, żeby łatwiej zajść w ciążę, ale mi to nie pomogło. Za to, jak widać, pomogło Frankowi.

- O, mój Boże - Sally wydała stłumiony okrzyk. - Chyba nie wierzy pani, że to miało z tym coś wspólnego.

Iona skrzywiła się.

- Nie tak na poważnie. Nie tak..., no, wie pani. Ale mimo wszystko. Pani jest w ciąży, a ja nie. A Frank kochał się z nami obiema.

- To jest nie do przyjęcia - stwierdziła Sally. - Przykro mi. Trudno było mi się pogodzić z samą myślą, że znowu będę miała dziecko - w geście rozpaczy wsunęła dłonie we włosy.

- Nie mam zamiaru uwierzyć, że zaszłam w ciążę, bo pani i Frank wyprawialiście jakieś hippisowskie czary-mary.

- Feng-shui nie jest hippisowskie - odparła Iona - feng-shui to harmonia.

- Tak, no cóż, jak widać, świetnie się sprawdza, prawda? - Sally gorzko się roześmiała. - W życiu każdej z nas panuje ostatnio doskonała harmonia, co?

Iona uśmiechnęła się ironicznie.

- Ma pani rację.

- Jak on zamierzał to pogodzić? - zapytała Sally. - Dwie rodziny? Chyba i tak było mu wystarczająco ciężko, nawet nie mając drugiego dziecka z panią?

- Poradziłby sobie z tym, jak ze wszystkim innym - odpowiedziała Iona. - Głowa do góry, wszystko będzie dobrze. Zna pani Franka.

- O, tak, znam go.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenie.

- Ale czy my rzeczywiście go znamy - zapytała Iona.

- Czy on był szczęśliwy? Z nami obiema? To musiało być dość stresujące.

Sally pokiwała głową.

- Więc dlaczego to robił?

- Może dlatego, że chciał mieć rodzinę - westchnęła Sally. - Może pragnął więcej niż ja mu dawałam.

- Ale wy *jesteście* rodziną! - wykrzyknęła Iona. - Pani, Frank i Jenna. Czego więcej mógł chcieć?

- Po prostu... dzieci - powiedziała Sally. - Jen mieliśmy dość szybko, ale porodu nie wspominam najlepiej, były problemy i wszystko skończyło się szybką cesarką, a ja wystraszyłam się na amen. Powiedziałam Frankowi, że na razie nie chcę kolejnej ciąży i on to rozumiał. Tylko że kiedy byłam już w stanie o tym pomyśleć, po prostu nie mogłam zająć w ciążę.

- Próbowaliście jakichś sposobów? Zapłodnienia in vitro?

- Cóż... - Sally wyglądała na skrepowaną. - Rzecz w tym, że ja co prawda chciałam mieć dziecko, ale nie miałam ochoty przechodzić przez całą tę procedurę. Więc stwierdziłam, że widocznie wcale aż tak bardzo kolejnego dziecka nie pragnę.

- Oj, doskonale to rozumiem! Sama się zastanawiałam nad tym przyjmowaniem hormonów i tak dalej.

- To dość skuteczna metoda - stwierdziła Sally - ale ja po prostu nie byłam na to gotowa. A Frankowi to nie przeszkadzało. Zawsze mówił, że wszystko, co robimy, robimy razem, jako para i jako rodzina. Myślałam, że mnie całkowicie rozumie.

- Sally, on nie był ze mną tylko dlatego, że chciał mieć jeszcze jedno dziecko, choć rzeczywiście się o nie staraliśmy - powiedziała Iona.

- To chyba dobrze, że nie jest pani w ciąży - odpowiedziała Sally. - Wystarczający kłopot, że ja jestem.

- A co mówi pani lekarz? - zapytała Iona.

- Och, że jestem za stara na ciążę i że z tego powodu trzeba szczególnie uważać. I ze względu na problemy wtedy z Jenną. I że powinnam się dobrze odżywiać, prowadzić zdrowy tryb życia i unikać stresów.

Iona patrzyła na nią ze współczuciem.

- Jakby to teraz było możliwe.

- Tak - westchnęła Sally. - Powinnam bardziej dbać o to dziecko, a nie robię tego, bo martwię się o Jennę, Franka, panią...

- Mną proszę się nie przejmować - powiedziała Iona. - Ja się nie liczę.

- Ależ tak - odparła Sally. - Przecież on się, do cholery, z panią ożenił!

Zapadło milczenie. Iona nie mogła uwierzyć, że rozmawia sobie z Sally i że nawet jej współczuje, i to tuż po tym, jak tamta kobieta ujawniła tak wstrząsającą wiadomość. Mimo to rozmowa z kimś, kto zna Franka i martwi się o niego, przynosiła jej pewnego rodzaju ukojenie.

- Jak pani myśli, tak szczerze, co z nim będzie? - zapytała w końcu.

Sally wzruszyła ramionami, jej twarz wyrażała znużenie.

- Głupie pytanie - Iona pokręciła głową. - Mam wrażenie, że przez to wszystko z dnia na dzień robię się coraz głupsza.

Sally pokiwała głową, a potem wstała i powiedziała, że zadzwoni do Jenny, bo chce już jechać do domu. Iona została na swoim miejscu i obserwowała jak Sally oddala się korytarzem, żeby zadzwonić do córki.

Obserwowała ją nadal, gdy wracała. Jak mogła nie domyślić się wcześniej, że Sally jest w ciąży? Sposób, w jaki się poruszała, ewidentnie o tym świadczył. Idiotka ze mnie, pomyślała Iona. Kompletna idiotka.

- Nie odbiera - powiedziała Sally. - Nienawidzi mnie teraz.

- Dlaczego?

- Uważa, że to moja wina, że Frank i pani... no, wie pani.

Iona wzruszyła ramionami.

- Pani też? - zapytała Sally. - Pani też uważa, że to moja wina?

- Szczerze mówiąc, to nie wiem - odpowiedziała Iona po chwili milczenia, podczas której z całych sił starała się powstrzymać przed wyrzuceniem z siebie, że jej zdaniem wina Sally jest oczywista, że ewidentnie coś było nie tak z tą całą sprawą z dziećmi i że widocznie żona nie dawała Frankowi tego, czego potrzebował, bo inaczej po diabła wiązałby się z drugą kobietą! Przypomniała sobie jednak, że choć Frank stworzył nowy związek, to, jak wyraźnie widać, z całą pewnością nie zakończył starego.

- To raczej jego wina - ciągnęła. - Mimo że go Kocham... kochałam... to przecież jego wina. W końcu to on popełnił bigamię, a nie pani czy ja.

Sally lekko się uśmiechnęła.

- To brzmi tak... tak dramatycznie. A przecież tak nie jest.

- Wiem - Iona skinęła głową. - Jak to jest, że gdy człowiek się znajdzie w jakiejś szalonej sytuacji, to wcale jej za taką nie uważa, ale jak gdzieś czyta o czyjejs zwariowanej sytuacji, to sądzi, że wszyscy ci ludzie to wariaci, których powinno się odwieźć do najbliższego szpitala psychiatrycznego?

- Ja wciąż myślę o tym, że gdyby nasz przypadek stanowił wątek w scenariuszu jakiejś opery mydlanej, to zostałyby wykreślony jako zbyt niewiarygodny - powiedziała Sally.

- Tak, z pewnością - odpowiedziała Iona.

Obie kobiety siedziały w milczeniu i kontemlowały mistrzostwo, z jakim Frank radził sobie z dwiema żonami. W końcu Sally spojrzała na zegarek i ponownie sprawdziła telefon.

- Pójdę jej poszukać - powiedziała do Iony. - Pewnie jest cała w nerwach i zaszła się gdzieś, żeby mi dokuczyć.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli jeszcze trochę tu zostanę? - zapytała Iona.

Sally przecząco pokręciła głową. Wstała i wyszła z oddziału. Iona wróciła do sali Franka. W przenośnym odtwarzaczu CD Jenny po raz kolejny leciała płyta „Allow Us to Be Frank”. Iona zatrzymała muzykę. Przypomniała sobie, jak Sally mówiła, że Frank śpiewał „Mack the Knife” na imprezach, ale ona przecież nigdy nie była z nim na żadnej imprezie.

Dlaczego się nie domyśliła? Dlaczego nie wyczuła choćby tego, że w jego życiu może istnieć ktoś inny? Czy była niewiarygodnie naiwna? Czy to Frank był po prostu doskonałym oszustem?

Wyłączyła odtwarzacz i wyjęła książkę ze swojej torby. Po skończeniu „Goldfingera” przeszli do „Moonrakera”. Frank twierdził, że podobały mu się wszystkie książki Iana Fleminga, ale Iona nie wiedziała, które poza „Goldfingerem” lubił najbardziej. Spodziewała się, że powieść będzie inna niż film (w końcu napisano ją na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku, więc nie było w niej mowy o

kosmicznych technologiach), zaskoczyło ją jednak, że poza tytułem i nazwiskiem głównego bohatera, książka i film w ogóle niewiele mają z sobą wspólnego.

- Hugo Drax - powiedziała głośno. - Oszukuje w karty. A Frank oszukuje żony.

Skierowała spojrzenie na Franka i powstrzymała oddech. Znowu miał otwarte oczy.

- Słyszysz mnie? - zapytała. - Rozumiesz, co mówię? - złapała go za rękę. - Ściśnij, jeśli mnie słyszysz.

Nie poczuła żadnej reakcji. Ale była pewna, że Frank jednak coś słyszy, że wie, iż ona przy nim jest.

- Och, daj spokój! - krzyknęła. - Gdzieś tu jesteś, Frank, przecież wiem.

Ścisnęła jego dłoń, ale ta pozostała bezwładna.

- Pieprzę cię! - wrzasnęła, uniosła książkę i cisnęła ją przez salę, tak że uderzyła o pusty plastikowy pojemnik i przewróciła go. - Mógłbyś się trochę, do cholery, postarać.

- Iona! - Susan Carpenter ponownie zjawiała się w sali.

- Chyba powinna pani już pójść do domu.

Iona opuściła dłoń Franka na narzutę i odwróciła się do pielęgniarki.

- Przepraszam - powiedziała. - Ja tylko myślałam, że on trochę... przepraszam.

- Nie ma za co - odparła Susan. Podniosła książkę i podała ją Ionie.

- Myśli pani, że on się boi? - zapytała Iona.

- Boi?

- Tego, co z nim będzie. Wszyscy tak teraz mówią. Mówią, że dlatego wciąż się nie budzi.

- Nie wiem - odpowiedziała Susan. - Umysł człowieka to bardzo delikatna rzecz.

- Więc może właśnie dlatego i może, jeśli nawet się obudzi, to nie będzie... to nie będzie sobą? - głos Iony był pełen bólu.

- Proszę się tym nie zadręczać - powiedziała Susan.

- Jego stan fizyczny jest o wiele lepszy. Niewątpliwie ma skomplikowane życie osobiste, ale dacie sobie z tym radę.

Iona wsunęła „Moonrakera” z powrotem do torby.

- Czy Sally już poszła?

- Tak przypuszczam - powiedziała Susan. - Nie widziałam jej już od jakiegoś czasu.

Iona skinęła głową.

- Okej. To do widzenia!

- Do zobaczenia - odpowiedziała Susan. - I proszę się nie martwić, jeśli nastąpi jakakolwiek zmiana, natychmiast panią zawiadomimy.

- Dziękuję - powiedziała Iona w drzwiach.

Susan popatrzyła, jak wychodzi, a potem podeszła do łóżka pacjenta. Poprawiła narzutę i sprawdziła monitory. Jej zdaniem jego stan nie uległ żadnej zmianie. Wiedziała, jak trudno uwierzyć, że te otwarte oczy nic nie widzą. Ale - pomyślała, zamykając za sobą drzwi do sali - gdybym była na jego miejscu, dobrze bym się zastanowiła, czy się obudzić i znowu radzić sobie z dwiema żonami.

Iona szła w kierunku parkingu. Minęła po drodze grupkę ludzi palących papierosy przy wyjściu ze szpitala oraz kilka taksówek czekających, by podjechać po pasażerów. Zmarszczyła brwi, gdy dostrzegła

kasztanowe włosy Sally Harper wśród osób stojących w kolejce do taksówki. Myślała, że ona zawsze przyjeżdża do szpitala swoim samochodem. W tym momencie zorientowała się jednak, że Sally wcale nie próbuje złapać taksówki, tylko rozmawia z kierowcami i przygląda się pasażerom.

- Hej, czy wszystko w porządku? - zapytała.

Sally odwróciła się i spojrzała na nią zaszczutym wzrokiem.

- Raczej nie.

- O co chodzi?

- Nie wiem, gdzie jest Jenna - w głosie Sally pobrzmiwała nuta rozpaczy. - Dzwoniłam do niej, wysłałam SMS-y, ale ona nie odpowiada.

- Może pojechała do domu - zasugerowała Iona.

- Może, ale stąd niełatwo się tam dostać. Musiałaby dotrzeć do najbliższej stacji kolejki, a to spory kawałek. Nie wiem, jak tutaj jeżdżą autobusy. Pomyślałam, że może pojechała na stację taksówką.

- Pyta pani kierowców, czy przypadkiem jej nie widzieli? Sally skinęła głową.

- Wiem, że to głupie, że się o nią martwię. Ma siedemnaście lat. Nie jest już małym dzieckiem. Ale... ona jest taka zdenerwowana tym wszystkim i...

Teraz Iona pokiwała głową.

- A może wzięła taksówkę aż do Bray?

- Wątpię - odpowiedziała Sally. - Nie miała dość pieniędzy.

- Gdyby pojechała taksówką na stację, jak tylko wyszła ze szpitala, to mogłaby już być w domu? - zapytała Iona.

- To możliwe. Gdyby od razu złapała pociąg - odpowiedziała Sally.

- Może trzeba zadzwonić na domowy telefon? - zasugerowała Iona.

- Już dzwoniłam, choć nie sądzę, żeby mogła tam już być. Nawet jeśli tak, to nie odbiera - powiedziała Sally ze smutkiem. - Szczerze mówiąc, nasze stosunki nie układały się najlepiej, jeszcze zanim to wszystko się zaczęło. Na początku wypadek Franka nas do siebie zbliżył. Ale jak się dowiedziałyśmy o pani, to znowu się od siebie oddaliśmy. Potem zaczęłyśmy się dogadywać w sprawie chodzenia do szpitala i lepiej nam się układało. Ta wiadomość o dziecku... cóż, z całą pewnością nie pomogła.

Iona pokiwała głową.

- Myślę, że marnuje pani czas na tym postoju taksówek, licząc na to, że ją tu pani znajdzie albo chociaż kierowcę, który gdzieś ją podwiózł - powiedziała. - Powinna pani pojechać do domu i tam na nią zaczekać.

- Wiem - Sally popatrzyła na nią smutnym wzrokiem. - Rzecz w tym... rzecz w tym... że w tej chwili chyba nie dam rady prowadzić samochodu.

Iona wpatrywała się w nią bez słowa.

- Nawet w dobrych momentach jestem kiepskim kierowcą - wyjaśniła Sally. - A to nie jest dobry moment - westchnęła. - Wciąż się trzęsę. Huczy mi w głowie i mam zawroty. Wystarczy, że Jen ma jedno z rodziców w szpitalu, nie chcę wjechać w jakiś ślup czy coś i też tam wylądować.

- Odwiozę panią - rzuciła nagle Iona.

- To głupota - odparła Sally. - Mam tu swój samochód. I tak musiałabym później po niego wrócić.

- O to, co będzie później, pomartwimy się później - stwierdziła Iona. - Proszę ze mną, zawiozę panią do domu.

Sally stała koło niej niezdecydowana.

- Mogę wziąć taksówkę. Nie musi mnie pani odwozić. To zupełnie nie po drodze.

- Ja będę prowadzić, a pani będzie się rozglądać za Jenną - powiedziała Iona. - Pojedziemy w kierunku stacji kolejki, na wypadek, gdyby poszła tam pieszo.

- Okej - zgodziła się w końcu Sally.

Poszła z Ioną na parking i poczekała, aż ta zapłaci za bilet parkingowy. Potem weszły na trzecie piętro i Iona wskazała jasnozielonego nowego garbusa.

- Nie jest to może samochód łatwy w prowadzeniu - powiedziała do Sally, siadając za kierownicą - ale za to śliczny i bardzo go lubię. - Włączyła silnik. - Frank zawsze uważał, że lepiej byłoby mi z jakimś odjazdowym sportowym wozem, ale jakoś to do mnie nie pasuje.

Wyjechała ostrożnie z parkingu i włączyła się do ruchu. Milczała, gdy Sally z niepokojem obserwowała ulice w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu po swojej córce. Milczała też gdy przejeżdżały przez centrum i kierowały się w stronę Bray. Włączyła radio ustawione na stację Lyric FM. W samochodzie rozbrzmiał „Kanon D-dur” Pachelbela. Zanim dotarły do Bray, stacja nadawała już suitę Holsta „Planety” i muzyka zrobiła się bardziej żwawa.

- Proszę tu skrócić - powiedziała Sally, gdy się zbliżyły do osiedla, na którym mieszkała.

Iona włączyła kierunkowskaz i podjechała pod ładny bliźniak.

- Zapraszam do środka - powiedziała Sally. Iona pokręciła głową.

- Jeśli Jenna jest już w domu, to lepiej, żeby nie wchodziła.

- Nie ma jej - odparła Sally. - W oknach jest ciemno.

- Może siedzi po ciemku - stwierdziła Iona z kwaśną miną. - Ja ostatnio często to robię.

- Jeśli będzie w domu, to może pani od razu wyjść - powiedziała Sally. - Bardzo proszę, nie chcę tam wchodzić sama.

Iona skinęła głową i wysiadła z samochodu. Współczuła Sally, ale nie mogła przestać myśleć o niej jako o osobie zupełnie pozbawionej wyrazu. Zastanawiała się, jak to możliwe, że Frank, taki towarzyski mężczyzna, mógł poślubić taką zupełnie nijaką kobietę? Czy właśnie z tego powodu związał się później z nią? Czy miał dość bezradności Sally? Podobnie jak Siobhán Farrell, zauważyła, że ogródek jest zadbany, a front domu odnowiony. Widocznie, mimo troski o Franka i swojego brzemiennego stanu, Sally wciąż się udawało znaleźć czas na skoszenie trawy czy umycie okien. Skrzywiła się na myśl o swoim własnym, kiedyś nieskazitelnie czystym domu w Liberties, w którym zasady feng-shui zastąpiły teraz porozrzucane w beładzie rzeczy, a ścierki czy odkurzacza nie widziano tam już od ponad miesiąca.

Czuła się dziwnie w domu Sally, wiedząc, że był to jednocześnie dom Franka. Rozglądała się nieśmiało, dostrzegając bardziej klasyczny wystrój, cięższe meble i bogatszą kolorystykę. Zastanawiała się, jak mogło mu się podobać i tutaj, i u niej w domu? Czy cierpiał na rozdwojenie jaźni? Czy Frank, który kupił grafikę Joana Miró, to ten sam Frank, który powiesił na ścianie to lustro w ozdobnej pozłacanej ramie? To były dwa kompletnie odmienne style.

Kuchnia też była inna. Ciepła i przytulna, nie taka sterylna jak jej kuchnia z granitu i stali, chociaż gdyby jej kuchnia była tej wielkości co kuchnia Sally, to może też urządziłaby ją w bardziej ciepłym stylu. Kuchnia może być sercem całego domu, jeśli nie jest malutką użytkową przestrzenią, jakby dołączoną do domu w ostatniej chwili, i jeśli mikrofalówka nie jest w niej najważniejszym sprzętem.

- Kawy czy herbaty? - zapytała Sally, napełniając wodą jaskrawożółty czajnik.

- Herbaty - odpowiedziała Iona. - Najchętniej napiłabym się rumiankowej, jeśli przypadkiem taką pani ma. Albo zielonej. Ale tak naprawdę, to wszystko jedno. - Uniosła ramiona w przeproszającym geście. - Przepraszam, nie powinnam tak grymasić.

Sally skinęła głową i wzięła z półki pudełko z herbatą rumiankową. Czekając, aż w czajniku zagotuje się woda, nie zamieniły ani słowa. Gdy woda się zagotowała, Sally nalała wrzątku do dwóch niebieskich kubków, które wyjęła z kredensu.

Podawała jeden Ionie, a potem usiadła obok niej przy stole.

- Musi być w domu przed dziesiątą - powiedziała. - Nie znosi tego, ale wie, że musi się dostosować, bo inaczej nie pozwolimy jej kiedy indziej zostać dłużej.

- Brzmi sprawiedliwie - stwierdziła Iona.

- Nienawidzi mnie - powiedziała Sally. - Nienawidziła mnie już wcześniej, a teraz nienawidzi mnie dwa razy mocniej.

- Przecież to nieprawda - odparła Iona.

- Ależ tak - Sally wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w swój kubek. - Uważa, że jestem starą wariatką. Wstydy się mnie.

- Czemu?

Sally wyjaśniła, że jest nauczycielką w szkole Jenny, i wie, że córce się to nie podoba. Powiedziała Ionie, że to ona zawsze jest tym złym rodzicem, który ustala zasady, a Frank tym dobrym, który pozwala je łamać.

- Zawsze tak jest, prawda? - powiedziała Iona. - Matkom jest trudniej, choćby nie wiem co. Ale założę się, iż tak naprawdę to wcale pani nie nienawidzi. Ma siedemnaście lat. Jest w fazie dojrzewania i tyle.

- Wiem, wiem - odparła Sally. - Tylko że to takie wyczerpujące, jak ktoś cały czas uważa cię za imbecyla.

Iona się roześmiała i ku jej zaskoczeniu, Sally też się uśmiechnęła.

- Chyba nie jest aż tak źle - przyznała. - Wiem, że to tylko taki okres. Ona jest taką fajną dziewczyną, a od pół roku ubiera się wyłącznie na czarno, nosi ten strasznie blady makijaż, który zupełnie do niej nie pasuje, i wdycha za każdym razem, gdy tylko otworzę usta. A to, że widziałam w szkole mnóstwo dziewcząt, które wyrosły na zupełnie sensowne kobiety, nawet jeśli były z nich wcześniej prawdziwe koszmarki, nie ma żadnego znaczenia, bo tutaj chodzi o moją własną córkę.

- Pewnie tak - zgodziła się Iona. Obiegła spojrzeniem kuchnię. - Macie piękny dom.

Sally przyjrzała się jej uważnie.

- Jest fajny. Mieszkamy w nim już od dawna.

- Przyznam się do czegoś - powiedziała Iona. - Po części zaproponowałam pani podwiezienie po to, żeby zobaczyć, gdzie mieszkacie.

- Och.

- Ale jak już tu przyjechałyśmy, nie chciałam wchodzić do środka. Nie chciałam zobaczyć, jak wygląda drugie życie Franka.

- W kuchni to on rzadko bywa - stwierdziła Sally. - Gotowanie go nie interesuje.

Iona skubała wargę.

- Jak jest z panią, to go interesuje? - zapytała Sally.

- Czasami - odpowiedziała Iona. - Nie mamy oczywiście takiej wspaniałej kuchni i głównie używamy mikrofalówki. Przyrządzam zdrowe potrawy, ale nie umiem dobrze gotować.

- A co gotuje Frank? Iona wzruszyła ramionami.

- Głównie makarony. Robi dobre sosy.

- Jasne - powiedziała Sally. - Przecież myślała pani, że jego ulubiona potrawa to spaghetti carbonara.

- Bo tak jest - odpowiedziała Iona. - Przynajmniej, jak jest ze mną.

- Jak, do cholery, może być dwiema tak różnymi osobami? - zapytała Sally w nagłym przypływie złości.

- Pieczeń wieprzowa ze mną, spaghetti carbonara z panią. Przypuszczam też, że pani dom jest zupełnie inny niż ten. Czy to nie jest dziwne?

- Co do mojego domu, to ma pani rację - powiedziała Iona. - Cały zmieściłby się w pani kuchni.

- Och.

Znowu siedziały w milczeniu. W końcu Sally spojrzała na zegar. Było tuż po dziesiątej.

- Zaraz przyjdzie - powiedziała Iona.

Sally wyjęła telefon i wybrała numer Jenny. Iona usłyszała, jak nagrany głos młodej dziewczyny prosi o zostawienie wiadomości.

- Ona to robi specjalnie - stwierdziła Sally.

- Niekoniecznie.

- Chce mnie ukarać - powiedziała Sally. - Za to dziecko. Za to, że jestem odrażająca. Sama pani słyszała.

- Ona wcale tak nie uważa.

- A ja myślę, że tak - Sally westchnęła i delikatnie pomasowała się po brzuchu. - Biedne dzieciątko. Wszyscy cię nienawidzą.

- Nieprawda - zaprzeczyła zdumiona Iona.

- Może nie nienawidzą - poprawiła się Sally. - Tylko... że to zły moment. Naprawdę. Szczerze mówiąc, gdy się zorientowałam, że spóźnia mi się okres, pomyślałam, że to pewnie wczesne objawy menopauzy.

Zegar wybił wpół do jedenastej.

- Ona naprawdę robi to specjalnie - powiedziała Sally. - Proszę posłuchać, niech pani jedzie do domu. Ja już czuję się dobrze.

- Jest pani pewna, że nie chce, żebym została, aż Jenna wróci? - Iona wyczuła w głosie gospodyni lekką nutę niepokoju.

- Ale po co? Żeby zobaczyć, jak wytargam ją za uszy i donieść na mnie na policję, że stosuję przemoc wobec dzieci?

Iona uśmiechnęła się lekko, a Sally wzruszyła ramionami.

- A nie mogłaby pani zostać jeszcze trochę? Jeśli to możliwe?

- Oczywiście.

- Wolałabym już jednak nie rozmawiać - dodała Sally.

- Po prostu nie dam rady. W porządku?

- Wręcz doskonale - odparła Iona. - Poczytam gazetę.

- Okej.

Obie siedziały przy kuchennym stole. Iona czytała *The Irish Times*, a Sally przeglądała czasopismo dla nauczycieli. Co chwilę któraś z nich spoglądała na zegar, ale żadna nic nie mówiła.

O jedenastej Sally ponownie zadzwoniła do Jenny. Znowu odpowiedziała poczta głosowa. Kwadrans po jedenastej wybrała inny numer.

- Nie ma nas w tej chwili - Iona usłyszała kobiecy głos.

- Proszę zostawić wiadomość, a my oddzwonimy.

Sally potarła ręką czoło, a potem wybrała trzeci numer.

- Tu Sam - usłyszała Iona. - Jesteśmy z całą rodziną w Barcelonie. Wyślij SMS-a.

- To jej najlepsza przyjaciółka - powiedziała Sally.

- Miałam nadzieję, że Jenna jest u niej, ale oni wszyscy wyjechali - wyraz troski podkreślił zmarszczki na jej twarzy.

- Nie wiem, gdzie jeszcze mogłaby być.

- Ma chłopaka? - zapytała Iona.

Sally skinęła głową.

- Ma na imię Gerry. Ale ja go nie znam. To świeża sprawa. - Przygryzła wargę. - Mam numery telefonów do wielu jej przyjaciół, ale do niego nie.

- Może powinna pani do nich zadzwonić - zasugerowała Iona. - Sprawdzić, czy ktoś nie ma numeru do niego.

Sally ponownie skinęła głową i zaczęła wybierać kolejny numer.

Rozdział 24

Zanim wybiła północ, Sally była już bardzo zaniepokojona nieobecnością Jenny i Iony coraz trudniej było ją uspokoić.

- Wiesz przecież, że ona robi to po to, żeby cię zdenerwować - starała się ją przekonać. - Udało jej się. Możesz jej to powiedzieć.

- Racja - Sally ponownie wybrała numer Jenny i zostawiła na poczcie głosowej wiadomość, że szaleje z niepokoju i że rozumie, jak Jenna czuje się w związku z tym wszystkim, ale prosi, żeby wróciła do domu, aby mogły sobie jakoś wspólnie z tym poradzić. - Ale jeśli coś jej się stało? - powiedziała do Iony. - Jeśli wcale nie robi tego, żeby mnie zdenerwować, tylko zgodziła się, żeby ją podwiózł jakiś nieznajomy, a on ją gdzieś zabrał...

- Och, Sally, naprawdę przesadzasz.

- Wiem, wiem - jęknęła Sally. - Ale jest już po północy, a ona nigdy tak późno nie wraca. Naprawdę.

Iona rozumiała niepokój Sally. Sama czuła się tak samo tamtego wieczoru, gdy Frank nie wracał do domu. Była jednak pewna, że Jennie nic się nie stało i że dziewczyna po prostu postanowiła wyrazić swój bunt, nie wracając do domu.

- Miała przykry wieczór - powiedziała do Sally. - Daj jej trochę czasu.

- Jasne, gdybym tylko wiedziała, gdzie jest, albo gdyby chociaż odbierała telefon. Nie mogę już tego wytrzymać. A jeśli przydarzyło jej się coś strasznego? Jeśli...

- Daj spokój, Sally - powiedziała Iona. - W głębi serca wiesz, że nic jej nie jest i że dziś wieczorem po prostu nie ma ochoty wrócić do domu.

- Rozum podpowiada mi, że wszystko jest w porządku. Ale serce... - głos Sally załamał się, gdy ponownie spojrzała na zegar.

- Może powinnaś zadzwonić na policję - zasugerowała w końcu Iona. - Jestem pewna, że nic się nie stało, a ona prawdopodobnie jest u jakiejś przyjaciółki, a najpewniej u swojego chłopaka. To, że żadna z nich nie miała jego numeru telefonu, nic nie znaczy. Może po prostu nie chciały ci go podać. Wiesz, jakie są młode dziewczyny. Łatwiej będzie ci się uspokoić, jeśli zadzwonisz na policję.

- Oni tak od razu to nic nie zrobią - odpowiedziała Sally. - Musiałoby jej dłużej nie być.

- Na zniknięcie Franka zareagowali cholernie szybko - stwierdziła Iona.

- Tylko dlatego, że to była dziwna sytuacja.

- Sally, czy zawsze masz takie negatywne nastawienie? - zapytała Iona. - Bo jeśli tak, to wcale się nie dziwię, że Jenna się wkurza. Bez względu na to, co proponuję, zawsze znajdziesz powód, żeby tego nie zrobić. Staram się pomóc, ale ty tego nie chcesz.

- Dobrze, już dobrze - Sally wzięła do ręki telefon. - Nie chciałam robić z tego wielkiej afery i tyle. Wiem, co powiedzą. Że jest zdenerwowana stanem ojca. I zapytają, czy się pokłóciłyśmy, a tak było, więc nie potraktują sprawy poważnie.

- To może zadzwoń do tej detektyw? - zaproponowała Iona. - Ona na pewno potraktuje sprawę poważnie.

Sally przyglądała się jej w zamyśleniu.

- To dobry pomysł.

- Jak to u mnie - stwierdziła Iona. - Zawsze mam mnóstwo dobrych pomysłów.

Siobhán już prawie kończyła zmianę. Właśnie wróciła do swojego biurka, po tym jak zaprowadziła dwóch młodych mężczyzn, aresztowanych w związku z podejrzeniem o handel narkotykami, na dół do cel. Nie znosiła schodzenia do cel, bo były jedyną częścią komisariatu, która sprawiała, że negatywnie myślała o swojej pracy. Tak jak wszystkie cele, jakie widziała w telewizji czy w kinie, były to miejsca puste i bezduszne. Telewizja i kino nie mogły jednak pokazać jednej rzeczy, zapachu zamkniętych w nich ludzi, odoru strachu i ciał, na które nakładał się silny zapach używanego codziennie środka dezynfekującego.

Ziewnęła, odbierając telefon. Była zmęczona. To był ciężki dzień. Nie mogła się doczekać końca pracy.

- Halo! - powiedziała.

- Czy to Siobhán Farrell?

Siobhán rozpoznała głos, choć nie wiedziała dokładnie, do kogo należy.

- Mówi Sally Harper.

Siobhán wysłuchiwała relacji Sally o tym, co się wydarzyło tego wieczoru, i westchnęła na wiadomość o ucieczce Jenny. Nienawidziła zgłoszeń o zaginionych dzieciach, nawet jeśli te dzieci były już prawie dorosłe i nawet jeśli było wiadomo, że zaginęły z własnej woli.

- Proszę mi opowiedzieć o jej chłopaku - powiedziała. - Twoja córka najprawdopodobniej jest właśnie z nim.

Sally czuła się jak najgorsza z matek, gdy udzielała tej odrobiny informacji o Gerrym, jaką dysponowała. Nie mogła sobie nawet przypomnieć jego nazwiska, choć była pewna, że Jenna je podawała.

- Czy Jenna prowadzi jakiś pamiętnik? - zapytała Siobhán. - Bardzo możliwe, że zapisała tam jego nazwisko.

- Och, mój Boże - westchnęła Sally. - W ogóle o tym nie pomyślałam. Jestem beznadziejna. Zupełnie beznadziejna.

- Wcale tak nie jest, Sally - odparła łagodnie Siobhán. - Proszę poszukać w pokoju Jenny, a ja w międzyczasie zawiadomię chłopaków, żeby się za nią rozglądali.

- Dobrze.

- I proszę do mnie oddzwonić - poprosiła Siobhán.

- Oczywiście - odpowiedziała Sally.

- Mam sprawdzić jej pokój - powiedziała do Iony. Iona zmarszczyła brwi.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- To ja powinnam była na to wpaść - stwierdziła Sally.

Obie poszły do pokoju dziewczyny. Wchodząc do środka, Iona czuła się tak, jakby cofnęła się w czasie i znowu była nastolatką. Jej pokój również przypominał pobożowisko, a na ścianach wszędzie wisiały plakaty INXS. Ionie wydawało się, że wystrój pomieszczenia jest zaskakująco hip-hopowy, jak na osobę przechodzącą

okres fascynacji gotykiem, choć nie miała pojęcia, kim jest obładowana biżuterią gwiazda, której olbrzymi plakat wisiał w nogach łóżka.

- Mnie nie pytaj - stwierdziła Sally. - Nie nadążam za tym wszystkim. Pytam ją, na przykład, czy oni nie mogliby normalnie zapisywać swoich imion, a ona się wścieka.

Iona się roześmiała.

- A czego uczysz w szkole?

- Matematyki i angielskiego.

- Żałuję, że nie przykładałam się do matmy - stwierdziła Iona. - Nie uważałam. Jeśli czegoś od razu nie rozumiałam, nie chciało mi się tym zajmować.

- Podobnie jak większości moich uczennic - Sally wyciągnęła notes spod sterty książek i gazet na biurku ustawionym w rogu pokoju i zaczęła go kartkować. - Szkoda im czasu. - Skrzywiła się na widok pustych kartek, tam gdzie się spodziewała listy nazwisk i adresów. - Problem w tym, że dzisiaj nikt niczego nie zapisuje na papierze. Szczególnie w grupie wiekowej Jenny. Numery telefonów mają po prostu w komórkach.

- Och, to już dotyczy wszystkich - stwierdziła Iona.

- Ja robię to samo. Nawet numeru do Franka nie znam na pamięć.

Sally wyrecytowała numer, a Iona zmarszczyła brwi.

- To nie brzmi, jak... No, tak, zapomniałam. Dwie różne komórki.

- Niezły z niego dupek, co? - Sally z większą uwagą wpatrywała się w notes. Znalazła strony wypełnione kanciastym pismem Jenny: spotkanie naszej grupy; powtórzyć francuski; przeczytać wiersze; pójść do biblioteki; pamiętać, że jestem bystra. Z trudem przełknęła ślinę po przeczytaniu tego ostatniego wpisu. Jej córka z całą pewnością jest bystra. Najbystrzejsza na świecie.

- Zaczynam się chyba przyzwyczajać do tej myśli

- stwierdziła Iona.

- Jest! - Sally zacisnęła dłoń na notesie. - Gerry - przeczytała - a obok małe serduszko, więc to musi być on. I potem numer komórki.

Od razu wybrała numer. Tym razem o pozostawienie wiadomości w poczcie głosowej poprosił młody męski głos.

- Jeśli jesteś Gerrym, który jest przyjacielem mojej córki Jenny, to przekaz jej, żeby natychmiast wracała do domu - powiedziała Sally ostrym tonem. - W przeciwnym przypadku będzie miała jeszcze większe kłopoty. Martwię się o nią i zamierzam zadzwonić na policję.

Rozłączyła się i spojrzała na Ione.

- I jak?

- Ja bym się wystraszyła - powiedziała Iona. - Może zadzwoń do Siobhán i podaj jej ten numer? Może będzie mogła sprawdzić, gdzie on mieszka.

Dzięki temu, że rachunki za telefon Gerry'ego Cullinana były wystawiane na jego rodziców, łatwo było się dowiedzieć o jego adres. Siobhán zaoferowała, że pojedzie i sprawdzi, czy jest tam Jenna, a jeśli będzie, to przywiezie ją do domu. Sally nie była pewna, czy to dobry pomysł, ale ostatecznie się zgodziła. Przede wszystkim nie miała samochodu, a nie chciała, żeby Iona wiozła ją na drugi koniec miasta. Iona powiedziała,

że to małe miasto i żaden kłopot, ale być może pojawienie się Siobhán ostudzi humory jej córki, gdyby natomiast pojechały tam one, pewnie zdenerwowałyby się jeszcze bardziej.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się w moim życiu - rzekła Sally, gdy czekały na wiadomość od Siobhán.

- To nie moja bajka. Ja wiodę proste życie. Jestem bardzo zwyczajną osobą. Mam męża i córkę, a jedyny problem powinien polegać na tym, że ona jest nastolatką i z tego powodu mnie nie cierpi. Moje życie powinno być nudne, a ja mam tutaj gorącą linię z panią detektyw z komisariatu!

- Moje życie też jest zwyczajne - stwierdziła Iona. - Mam raczej dobrą pracę, mieszkanie w centrum miasta i też nie powinnam mieć żadnych kontaktów z policją. Czuję się, jakbym przypadkiem znalazła się w czyimś życiu. - Westchnęła.

- Może lepiej pojedę, zanim Siobhán przywiezie Jenę.

- Obiecała, że zadzwoni, jeśli ją tam znajdzie - powiedziała Sally. - Poczekaj, proszę, aż się dowiemy, czy się znalazła.

- Jasne, jeśli tak wolisz.

Sally uśmiechnęła się do niej lekko.

- W życiu nie przypuszczałam, że będę prosić żonę mojego męża, żeby poczekała, aż policja zadzwoni, że znaleźli moją córkę.

- A ja w życiu nie przypuszczałam, że mój mąż mógłby mieć inną żonę.

Obie zerwały się na dźwięk telefonu.

- Jest tutaj - powiedziała Siobhán. - Zabieram ją teraz do domu.

- Och, dziękuję - Sally czuła, jak ogarnia ją przemożne uczucie ulgi, a łzy spływają po policzkach. - Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

- Domyślam się, że ją znalazła - powiedziała Iona, gdy Sally odłożyła słuchawkę.

Sally skinęła głową. Iona podała jej chusteczkę. Sally wydmuchała nos.

- Spadam - powiedziała Iona. - Ale proszę, daj mi znać, jak wszystko poszło.

Sally ponownie skinęła głową.

- Dbaj o siebie - powiedziała Iona, wychodząc z domu.

- Jeszcze raz dziękuję - zawołała Sally, gdy Iona szła ścieżką w stronę ulicy.

Wysiadając z samochodu, Jenna miała naburmuszoną twarz. Sally ucieszyła się, że Siobhán nie przyjechała oznakowanym samochodem z niebieskim kogutem i odblaskowymi pasami, i nie dostarczyła tym samym sąsiadom dodatkowego materiału do plotek. Wiedziała, że już wszyscy mówią o Franku i o tym, że w ich małżeństwie coś jest nie tak, choć nikt jeszcze nie znał całej prawdy. I tak mieli już wystarczającą ilość tematów do plotek.

- Wcale nie jest tak późno - stwierdziła Jenna, wpadając do domu przez frontowe drzwi. - I naprawdę nie rozumiem, po co tak panikujesz i mieszasz do tego policję. Niedobrze mi się robi na sam widok tej kobiety.

Siobhán nic nie odpowiedziała. Jenna minęła ją i pobiegła po schodach na górę, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi do pokoju.

- Dziękuję - powiedziała Sally.

- Oglądali jakiś film na DVD - powiedziała Siobhán. - Jego rodziców nie było, ale zaraz mieli się pojawić.

- Nie jestem naiwna - powiedziała Sally. - Wiem, że pewnie uważasz mnie za największą idiotkę na świecie, ale to nieprawda. Jestem wicedyrektorem szkoły dla dziewcząt i doskonale zdaję sobie sprawę, jakie one są.

Siobhán uśmiechnęła się współczująco.

- Widać, że przechodzi trudny okres.

- Och, przecież wiem! - krzyknęła Sally. - Jak my wszyscy. A ja chyba byłam zbyt zajęta Frankiem, żeby tak naprawdę zatroszczyć się o Jen. Ale o nią też się martwię. Tyle że martwię się o nią już od kilku miesięcy, tak że... - z westchnieniem wypuściła powietrze. - Nie mam pojęcia, co powinno być teraz dla mnie priorytetem.

- Cóż, myślę, że Frank leży sobie teraz bezpiecznie opatulony w szpitalnym łóżku - odparła Siobhán.

Sally zaśmiała się krótko.

- Masz rację. - Przeczesała palcami włosy. - Muszę z powrotem wziąć się w garść. Zwykle jestem dobrze zorganizowana i lubię mieć wszystko pod kontrolą, a teraz jest zupełnie inaczej.

- Dlaczego obciąłaś włosy? - pytanie Siobhán zaskoczyło Sally.

- Hm... sama nie wiem.

- Do twarzy ci z krótszymi.

- Powinnam znowu je podciąć - stwierdziła Sally. - Zapomniałam, że nosiłam długie właśnie dlatego, że rosną tak strasznie szybko.

Siobhán mimowolnie ziewnęła.

- Powinnaś pojechać do domu - powiedziała Sally. - I trochę się przespać. Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot.

- To moja praca - odpowiedziała Siobhán. Skrzywiła się. - Ale przynajmniej ta sprawa dobrze się skończyła.

- Tak - Sally skinęła głową. - Dzięki.

- Dobranoc - powiedziała Siobhán i wróciła do samochodu.

Siobhán była wykończona. Najchętniej pojechałaby do domu i zanurzyła się w pachnącej kąpieli, tylko że leżąc w wannie, miałyby więcej czasu na myślenie, a na to wcale nie miała ochoty.

Eddie nie miał AIDS. Choć nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że mógł się zarazić, to jednak ostatnie kilka tygodni to był traumatyczny okres. Lekarz Eddiego skontaktował się z nimi i powiedział, że próbka krwi była zanieczyszczona i badanie trzeba przeprowadzić jeszcze raz. Siobhán nie czuła się na siłach, by opuścić go w momencie, gdy tak bardzo się tym wszystkim denerwował. Chciała, ale nie mogła. Gdy wczoraj dostał wiadomość, że wszystko jest w porządku, zauważyła, jak nagle pojaśniały mu oczy i jakiś niewidzialny ciężar zniknął z jego ramion. Eddie objął ją i podziękował za to, że przy nim była. Powiedział jej, że szczerze ją kocha i że nie jest w stanie wyrazić, jak bardzo żałuje tego, co się stało, i że nigdy nie będzie już musiała w niego wątpić, bo on już nigdy w życiu nie narazi na ryzyko tego, co ich łączy. A potem, po raz drugi w trakcie ich związku, poprosił ją, żeby za niego wyszła.

Siobhán nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrzyła na niego bez słowa. Wtedy delikatnie zbliżył swoje usta do jej ust i pocałował ją. Choć ze wszystkich sił starała się powstrzymać, nie potrafiła nie oddać pocałunku, nie poczuć tego, za czym od tak dawna tęskniła. Ale kiedy zaczął rozpinąć guziki jej kremowej bluzki, nie mogła się powstrzymać od wyobrażania go sobie na tamtej orgii u Petera Murtagha. Upomniwała samą siebie, że określenie orgia chyba nie najlepiej wyraża to, co się tam działo, ale mimo wszystko oddawało istotę sprawy. Nie mogła się kochać z mężczyzną, który nawet o niej nie pomyślał, zanim nie przespał się z zupełnie nieznaną kobietą.

Wówczas Eddie oskarżył ją, że chce go ukarać. Odpowiedziała jednak, że w ogóle nie przyszło jej to do głowy, ale nie jest jeszcze gotowa, żeby się z nim kochać i potrzebuje czasu, by to sobie przemyśleć.

Teraz zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie chciała znowu kochać się z Eddiem. Czy kimkolwiek innym. Ostatnio czuła się zupełnie aseksualnie i wcale jej to nie martwiło. Jadąc do Dublinu, rozmyślała o tym, że choć jest w stanie zrozumieć, dlaczego do tego doszło, to wcale nie zmniejsza bólu ani nie pozwala jej lepiej się poczuć.

Zwolniła przed trójkątem ostrzegawczym ustawionym za stojącym na poboczu samochodem. Dostrzegła, że za kierownicą siedzi kobieta. Zjechała.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała.

Na dźwięk jej głosu zaskoczona Iona podniosła wzrok.

- Wydałaś mi się znajoma, mimo tych ciemności - powiedziała Siobhán. - Dziś wieczorem to wrażeń chyba ci nie brakuje, co?

- Oj, nie - Iona bezskutecznie próbowała poluzować nakrętkę na kole, kopiąc w nią nogą. - I do tego złapałam gumę. To prawdziwa ironia losu, że akurat teraz, bo przecież uważacie, że to właśnie przez gumę Frank zatrzymał się w tamtym pubie i wtedy to wszystko się zaczęło.

Siobhán poinformowała i Ionę, i Sally, że w hondzie Franka było zmienione jedno z tylnych kół, a ponieważ opona była prawie czysta, można założyć, że Frank zatrzymał się w pubie niemal natychmiast po zmianie koła. Prawdopodobnie, żeby umyć ręce, dodała, bo w samochodzie znaleziono kilka ubrudzonych smarem chusteczek. Miał po prostu pecha, że w niewłaściwym momencie znalazł się na niewłaściwym miejscu. Gdy Sally odzyskała samochód, popatrzyła na zapasowe koło i kopnęła je w bezsilnej wściekłości.

- To co? Pomóc? - Siobhán ponowiła pytanie. Iona skinęła głową.

- Nie mogę przekręcić tej cholерnej śruby. Od lat nie zmieniałam koła, a i wtedy nie najlepiej sobie z tym radziłam.

Siobhán chwyciła klucz francuski i mocno go pchnęła. Śruba się poruszyła.

- Zaimponowałaś mi - powiedziała Iona.

Siobhán się roześmiała.

- W końcu jestem policjantką. Mięśnie mam jak ze stali. - Tę samą czynność wykonała z kolejnymi śrubami, a potem pomogła Ionie podnieść lewarkiem samochód i zmienić koło.

- Jak się mają Sally i Jenna? - zapytała Iona, wyjmując zapasowe koło z bagażnika.

- Nie wiem - odpowiedziała Siobhán. - Jenna niewiele mówiła w samochodzie, a ja zaraz potem je zostawiłam.

- Sally jest w trudnej sytuacji - stwierdziła Iona. - Jestem pewna, że Jenna to fajna dziewczyna, ale widać, że wścieka się na matkę za to, co się dzieje. Chyba do pewnego stopnia obwinia ją za mój związek z Frankiem, a teraz jeszcze dowiedziała się o dziecku... - głos Iony się załamał.

- Dziecku? Jakim dziecku? - zapytała Siobhán. Iona opowiedziała jej o ciąży Sally.

- Ale bagno - Siobhán udało się założyć koło. - To dlatego Jenna uciekła.

Iona potaknęła.

- Powiedziała matce, że jest odrażająca - uśmiechnęła się lekko. - Nastolatce chyba trudno jest bez obrzydzenia myśleć o swoich rodzicach uprawiających seks.

- Chyba tak - zgodziła się Siobhán. - A co ty o tym myślisz?

Iona głęboko westchnęła.

- Jestem zdruzgotana - przyznała. - Mieliliśmy nadzieję, że wkrótce będziemy mieli dziecko. - Podąła Siobhán jedną ze śrub.

- Och.

- Dlaczego mężczyźni tak rozrabiają? - Iona potarła dłonią nos, rozmazując na nim smar.

- O, mój Boże, żebym to ja wiedziała - w słowach Siobhán zabrzmiała taka szczerłość, że Iona popatrzyła na nią zaskoczona.

- Jesteś mężatką? - zmarszczyła brwi. - Wspominałaś chyba o tym?

Siobhán pokręciła głową.

- Ja... Zamierzaliśmy... Mieszkam z kimś.

- Nie jesteś do tego przekonana?

- W tej chwili raczej nie.

- Czy jemu przeszkadza, że jesteś gliną? - zapytała Iona z zainteresowaniem. - Łatwo sobie wyobrazić, że niektórym facetom to może przeszkadzać.

- To nie dotyczy mojej osoby - odpowiedziała jej Siobhán. - Nie tak do końca. To bardziej dotyczy jego.

- Oparła się o samochód. - Właśnie próbuję zdecydować, czy go zostawić, czy nie. I nie potrafię.

- Hm... - Iona patrzyła na nią ze współczuciem. - Wyobrażałam sobie, że jesteś niepokonana, bo jesteś policjantką i wydajesz się taka pewna siebie. Nie przypuszczałam, że mogą cię dotyczyć problemy z facetami.

- No, cóż, zdecydowanie mnie dotyczą, a ja sama nie jestem pewna, czego chcę w życiu.

- Masz ochotę na kawę? - Iona wskazała na czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę sklepik, w którym sprzedawano również kawę. - Potrzebuję czegoś, co trochę mnie rozbudzi, więc może posiedzisz ze mną chwilę w samochodzie i o wszystkim opowiesz?

- Nie mam ochoty o tym opowiadać - stwierdziła Siobhán.

- To samo czułam w sprawie Franka, ale jak zaczęłam o tym z tobą rozmawiać, to pomogło - powiedziała Iona. - Okej, nie musisz nic opowiadać, ale i tak proszę, daj się namówić na kawę, jako wyraz wdzięczności za pomoc przy wymianie koła.

- Brzmi nieźle - Siobhán pomyślała, że przyda jej się zastrzyk kofeiny. - Zwłaszcza jeśli mają podwójne espresso.

- Mało nie umarłam przez ciebie ze strachu - Sally rzuciła Jennie wściekłe spojrzenie. - I nie obchodzi mnie, czy byłaś zdenerwowana, czy nie, powinnaś była odebrać telefon. Wiedziałabym przynajmniej, że nic ci się nie stało.

- Możesz się ode mnie odczepić? - Jenna odwróciła się na łóżku tyłem do matki.

- Proszę cię, Jen. Nie możemy o tym po prostu porozmawiać? Jak dorośli ludzie?

- O, tak, rzeczywiście, potraktowałaś mnie jak dorosłą osobę, wysyłając po mnie policję! Masz pojęcie, jakie to było upokarzające? Będę miała szczęście, jeśli po tym Gerry w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać. I ktoś na pewno doniesie jego rodzicom.

- A skąd się niby dowie? - zapytała Sally. - Przecież nie pojawiła się tam cała grupa policjantów w radiowozach z włączonymi syrenami. To była tylko Siobhán w zwyczajnym samochodzie.

- To zupełnie wystarczy - odparła Jenna buntowniczym tonem. - Ona na pewno uważa, że cała nasza rodzina to psychole. Pewnie już jesteśmy pod obserwacją!

- Nie bądź dziecinna - powiedziała Sally. - W naszym domu obowiązują pewne zasady, a ty je złamałaś, przysporzyłaś mi zmartwień i takie są skutki.

- Ach, tak? A jak tata je łamie, to co? Bez przerwy siedzimy przy nim w szpitalu, czytamy mu, puszcza muzykę, a on nawet tego nie zauważa.

- Jenna!

- Taka jest prawda - Jenna wtuliła twarz w poduszkę. - Jesteś dla niego miła i chcesz, żebym ja też była dla niego miła, ale to tylko dlatego, że jest w śpiączce. Gdyby nie był, rzuciłabyś go od razu, gdy się dowiedziałas o Ionie.

- A ty tego właśnie byś chciała?

Jenna nie odpowiedziała.

- Nie chcę i nie mogę porzucić twojego ojca. Nawet Iona nie chce go porzucić. Ale co stanie się, jak się obudzi, to już zupełnie inna historia.

- A jeśli się nie obudzi? - Jenna zwróciła zalaną łzami twarz w stronę matki. - Będiesz miała dziecko! W twoim wieku. Bez ojca. I to ja będę musiała się nim zajmować, bo ty będziesz pracować, i to mi wszystko zepsuje. Ja może nawet chciałam mieć brata albo siostrę, ale jak byłam mała, a nie teraz. I po prostu *nienawidzę* całej tej sytuacji.

Sally pochyliła się, objęła córkę i przytuliła ją.

- To wszystko jest nieważne, ważne jest to, że cię kocham - powiedziała, gładząc jej ciemne włosy. - Kocham cię ponad wszystko. I bez względu na to, jak to rozwiążemy, musisz pamiętać, że jesteś ważnym członkiem tej rodziny. Z tatą czy bez taty. Z nowym dzieckiem czy bez niego.

- Dobra, dobra - Jenna oparła głowę na ramieniu matki. Słowa pocieszenia wcale nie sprawiły, że poczuła się lepiej. Nie chciała tu być. Chciała być z Gerrym, bo on naprawdę ją rozumiał.

Rozdział 25

Siobhán stała na balkonie apartamentu i patrzyła na port w Dún Laoghaire. Promienie słońca muskały łagodnie przelewające się fale, a złote światło tak odbijało się od wody, że musiała przysłonić oczy. Odwróciła się w stronę mieszkania i przez salon z elegancką podłogą przeszła z powrotem do zabudowanej kuchni z lśniącymi kafelkami i granitowym blatem. Zauważyła, że wykonana z drogiej stali nierdzewnej mikrofalówka posiada dodatkowe funkcje grilla i piekarnika konwekcyjnego. Wszystko, czego mi trzeba, pomyślała z goryczą, żeby podgrzewać sobie gotowe dania w porcjach dla jednej osoby z pobliskiego supermarketu.

Przygryzła wargę, a potem spojrzała na kobietę siedzącą w jednym z komfortowych foteli i czekającą na jej decyzję.

- To wynajem na krótki okres? - zapytała ponownie.

Iona skinęła głową.

- Na trzy, maksymalnie cztery miesiące. Właściciel wyjechał do Chile. Mnie nie chciałoby się wynajmować mieszkania na tak krótko, ale on chyba uważa, że przyda mu się na koncie parę groszy.

- A jeśli będę chciała na dłużej? - zapytała Siobhán.

- Cóż, wiem tylko, że ma wrócić pod koniec lata - odpowiedziała Iona. - Ale mamy mnóstwo apartamentów, więc znajdę ci coś innego, jeśli będziesz chciała. - Popatrzyła na Siobhán ze współczuciem. - Ale miejmy nadzieję, że wszystko się ułoży i nie będzie takiej potrzeby.

Siobhán z trudem przełknęła kulę, którą czuła w gardle.

- Miejmy nadzieję - powiedziała. Zadrzała od chłodnego powiewu wiatru, który wpadał do mieszkania przez otwarte okno. - Tylko że nie mam pojęcia, jak miałyby się ułożyć.

Następnego wieczoru to samo powiedziała Eddiemu, po tym, jak mu wyjaśniła, że zdecydowała się wyprowadzić na jakiś czas. Potrzebowała побыć trochę w samotności, żeby wszystko sobie przemyśleć.

- Nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić, żeby cię przekonać, jak bardzo żałuję - powiedział, patrząc na nią ze smutkiem. - Przeszedłem przez prawdziwe piekło w związku z tą sprawą. Przeprosiłem cię z milion razy. Jestem zdrowy. I kocham cię, Siobhán, a to najważniejsze. Nie mów mi, że wszystko między nami skończone.

- Nic takiego nie mówię - odpowiedziała Siobhán drżącym głosem. - Mówię tylko, że potrzebuję trochę czasu i przestrzeni dla siebie, i będę to miała.

- I oczekujesz, że na ciebie poczekam? - zapytał Eddie.

- To zależy od ciebie - powiedziała. - Teraz nie mogę z tobą być. Wciąż jestem na ciebie wściekła za to, że przez ciebie myślałam, że coś ze mną jest nie tak, bo nie chcesz ze mną spać. Eddie, to był koszmar.

- Dla mnie to też był koszmar - powiedział Eddie.

- Sam jesteś sobie winien - odparła ostro. - To nie moja wina.

- Po prostu chcesz mnie ukarać - stwierdził. - Sprawić, żebym czuł się źle.

- Moja wyprowadzka nie jest karą dla ciebie - powiedziała Siobhán. - Robię to dla siebie. Muszę się zastanowić, czego oczekuję po naszym związku, Eddie, a nie mogę zrobić tego tutaj.

- A dużo czasu potrzebujesz na to myślenie? - zapytał szorstko.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ale jeśli wyprowadzę się na kilka miesięcy, to oboje będziemy mieli czas, żeby wszystko przemyśleć.

- Kilka miesięcy?! - wykrzyknął. - Naprawdę spodziewasz się, że będę tu siedział i czekał tak długo?

- Próbujesz postawić mi jakieś ultimatum? - zapytała. - To ty złamałeś zasady, Eddie, nie ja, a teraz mówisz, że jeśli potrzebuję trochę czasu, żeby sobie z tym poradzić, to ty może nie będziesz na mnie czekać? Jeśli tego chcesz... - głos jej zadrżał i odwróciła się tak, żeby nie mógł zobaczyć zbierających się w jej oczach łez.

Wstał z krzesła i objął ją ramieniem.

- Nie chcę z tobą zrywać - powiedział. - Tylko nie chcę, żebyś odchodziła.

- A ja nie chciałam, żebyś spał z tamtą... kobietą - burknęła Siobhán - ale ty i tak to zrobiłeś.

- Zawsze już będziesz mi to wypominać? - zapytał.

- Właśnie dlatego muszę przez jakiś czas być sama - zamrugała mocno oczami i spojrzała na niego - żeby ciągle ci tego nie wypominać, żeby jakoś pogodzić się z tym w swoim własnym tempie.

Rozluźnił uścisk.

- Dlaczego mi nie wierzysz, jak mówię, że to się już nigdy nie powtórzy?

- Wierzę ci, naprawdę - odpowiedziała szczerze - ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że potrzebuję trochę czasu, żeby sobie przypomnieć, dlaczego cię kocham, i znowu móc ci zaufać.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego musisz się wyprowadzić - stwierdził.

- Kręcimy się w kółko - powiedziała Siobhán. - Myślałam, że łączy nas coś pięknego. I wciąż cię kocham, Eddie, ale nie umiem tak po prostu przebaczyć i zapomnieć. Jeśli jakiś czas pobędę sama, to może mi się to uda.

- Dobrze - zgodził się Eddie zrezygnowanym tonem.

- Jeśli tak trzeba.

Przygryzła wargę. Tak naprawdę wcale nie chciała się wyprowadzać. Wiedziała jednak, że to jest niezbędne, choćby nawet na krótko. Ta cała sprawa bardzo nadwerżyła jej pewność siebie, a ona musiała ją odzyskać. Nie uda jej się to, jeśli się nie wyprowadzi.

- Pójdę się spakować - powiedziała.

Spojrzał na nią całkowicie zaskoczony.

- Teraz? Wyprowadzasz się już teraz?

Skinęła głową.

- Lepiej zrobić to od razu i mieć z głowy.

- To znaczy, że znalazłaś już sobie jakieś mieszkanie?

Ponownie skinęła głową.

- Czasami jesteś naprawdę bezwzględna - powiedział.

- Nic dziwnego, że odnosisz w pracy sukcesy.

Siobhán była świadoma, że nie załatwiłaby tego tak szybko, gdyby nie Iona. Kiedy kilka dni temu siedziała w nocy w samochodzie na poboczu, trzymając w rękach kubek z kawą na wynos, którą Iona przyniosła ze sklepiku, opowiedziała jej oględnie o swojej sytuacji, stwierdzając po prostu, że Eddie przespał

się z inną kobietą, a jej trudno jest mu znowu zaufać, i że się zastanawia, czy nie powinna rozstać się z nim na jakiś czas. Iona słuchała uważnie, a potem powiedziała, że zna śliczny apartament z widokiem na port w Dún Laoghaire, który można wynająć na krótko za bardzo atrakcyjny czynsz. Jeśli Siobhán będzie zainteresowana, Iona postara się, żeby mogła się wprowadzić od razu.

Siobhán nie wiedziała, co odpowiedzieć. Myśl o wyprowadzce dopiero kiełkowała w jej głowie, uważała, że to dobry pomysł, ale nie traktowała go tak zupełnie serio. Nagła możliwość szybkiej realizacji spłoszyła ją nieco, więc powiedziała Ionie, że musi to sobie przemyśleć, że tak właściwie to nie Jest pewna, co chce zrobić. Iona pokiwała głową i wręczyła Jej swoją służbową wizytówkę, prosząc o kontakt, jeśli będzie zainteresowana. Siobhán nagle dostrzegła w Ionie profesjonalistkę, a nie (jak dotąd) ofiarę przestępstwa, choćby bardzo nietypowego. Następnego dnia, sama nie wierząc, że to robi, zadzwoniła do Iony, umówiła się na obejrzenie apartamentu w Dún Laoghaire i zdecydowała się, że go wynajmie.

Teraz, gdy ciągnęła swoją walizkę na kółkach, wciąż nie mogła uwierzyć, że w jej życiu nastąpiła taka nieoczekiwana zmiana.

- Witam panią Glinę. Jakaś wycieczka na koszt podatnika? - korytarzem szedł Carl O'Connor.

- Nie - odpowiedziała zwięźle.

- Urlop? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- Wszystko okej? - patrzył na nią pytająco.

- Tak - odpowiedziała.

Weszła do windy.

- Na pewno? - w jego głosie było słycać troskę. - Wszystko dobrze się układa?

Wolałaby, żeby przestał być dla niej taki miły. Jedynym pewnikiem w jej zmieniającym się życiu było to, że Carl O'Connor był dla niej niemiły. Ucieszyła się, że drzwi w końcu się zamknęły i zniknął jej z oczu.

Umówiła się z Ioną, że się spotkają w apartamencie, bo nie odebrała jeszcze do niego kluczy. Iona była na miejscu pierwsza i siedziała w swoim zielonym volkswagenie, słuchając muzyki przy otwartym oknie. Unoszące się w powietrzu dźwięki dotarły do Siobhán idącej przez parking.

- Nigdy nie zgadłabym, że jesteś fanką Sinatry - powiedziała, podchodząc do samochodu.

Iona w pośpiechu wyłączyła odtwarzacz CD.

- Tak naprawdę to nie jestem - powiedziała. - Ja tylko... Nieważne. - Wysiadła z samochodu. - Proszę, oto klucze. Musisz podpisać ich odbiór. Chcesz, żebym weszła z tobą i żebyśmy sprawdziły, czy wszystko jest okej?

- Jeśli chcesz - odparła Siobhán.

- Chodźmy - Iona ruszyła pierwsza.

Apartament wydawał się Siobhán mniejszy niż za pierwszym razem. Ponownie się po nim rozejrzała, wciąż nie mogąc uwierzyć, że będzie tu mieszkać sama, bez Eddiego. Obróciła na palcu pierścionełk zaręczynowy, który od niego dostała. Zastanawiała się, czy nie powinna go zdjąć, i podczas pakowania zsunęła go z palca. Bez niego czuła się jednak naga, więc włożyła go z powrotem, tłumacząc samej sobie, że przecież wciąż jest z Eddiem zaręczona i że nie jest gotowa, by z nim zerwać. Najdziwniejsze było to, że wolałaby z nim

zostać. Mówiła sobie, że ma szczęście, że to wszystko wydarzyło się przed ślubem, że może po prostu odejść i już. Ale trudno było odejść od wspólnej przeszłości. Niełatwo jest być twardzielem.

- Hej, wszystko się ułoży - powiedziała Iona, gdy dostrzegła niepokój na twarzy Siobhán. - Masz rację, Siobhán. Powinnaś pobyć trochę sama.

- Tak myślisz?

- Zdecydowanie - odpowiedziała. - A to ci pomoże. - Otworzyła wielką workowatą torbę, która zwisała jej z ramienia i wyjęła butelkę szampana.

- Szampanem zwykle oblewa się coś radosnego - stwierdziła Siobhán.

- Tak. A my świętujemy początek układania sobie przez siebie życia na nowo - odpowiedziała Iona. - Mam nadzieję, że ułożysz je sobie tak, jak chcesz, i tak, jak na to zasługujesz.

Siobhán uśmiechnęła się lekko i wzięła butelkę. A, co tum. Chętnie się napije. Zaczęła zdejmować folię z korka.

- Nie otwieraj jej teraz! - krzyknęła Iona.

- Jeśli nie teraz, to kiedy? - zapytała Siobhán. - Przecież nie będę siedzieć tu dzisiaj i sama pić szampana. To byłoby żałosne.

- Chyba tak - przyznała Iona.

- No to częstuj się.

Iona spojrzała na zegarek. Była prawie piąta, a ona nie miała już żadnych spotkań. I chociaż czekało na nią trochę papierkowej roboty w biurze, uznała, że nie jest to takie pilne.

- W kredensie są kieliszki - powiedziała. - Przyniosę je.

- Doskonale - stwierdziła Siobhán, odkorkowując butelkę. - Świętujemy.

* * *

Sally natomiast wcale nie miała ochoty na świętowanie. Siedziała przed telewizorem z dłonią wsuniętą za pasek granatowych domowych spodni, które nagle zrobiły się za ciasne. Do tej pory były bardzo wygodne, ale teraz już nie. Przez ostatnie kilka tygodni, odkąd poranne mdłości nieco zelżały, była w stanie nie myśleć o ciąży. Teraz jednak musiała. Robiła się grubsza.

Wstała i poszła do sypialni. W garderobie miała jeszcze jedną parę starych domowych spodni, zielonych - powinny być dla niej łaskawsze. Zdjęła granatowe i odłożyła je na półkę, a potem założyła zielone. Od razu poczuła się lepiej. Zeszła na dół do kuchni i otworzyła zamrażarkę. Na środkowej półce stało pudełko lodów wiśniowych firmy Ben & Jerry. Frank uwielbiał te lody. Ona rzadko je jadła, głównie dlatego, że zwykle była na jakiejś diecie.

Wyjęła pudełko z zamrażarki i wytarła je z warstwy lodu. Zamknęła drzwiczki, zdjęła pokrywkę i zerwała folię. Lody był zamarznięte na kość. Nie pomogło nawet wbijanie w nie trzonka łyżki. Gdyby Frank był w domu, to oczywiście nigdy nie stałyby w zamrażarce tak długo i nie zmroziłyby się tak bardzo. Wstawiła pudełko do mikrofalówki i na kilka sekund włączyła rozmrażanie.

Gdy kilka minut później Jenna wróciła do domu z zajęć ze sztuki, Sally zeskrobywała z dna pudełka resztki lodów. Córka przyglądała się jej w zdumieniu.

- Zjadłaś lody taty?

- To nasze lody - odpowiedziała Sally.
- Przecież nie lubisz wiśniowych - stwierdziła Jenna.
- Teraz lubię - Sally wytarła usta wierzchem dłoni.
- Nie mogę w to uwierzyć.
- W co?

Jenna rzuciła swoją torbę na stół.

- Zjadłeś całe pudełko lodów, które kupiłeś dla taty i których nie lubisz.
- Jestem w ciąży - odparła Sally. - Mam zachcianki.

Jenna wpatrywała się w nią.

- Nie możesz mieć zachcianek na lody.
- Mogę - odpowiedziała Sally. - I właśnie miałam.
- Nie wiem, co powiedzieć - Jenna usiadła naprzeciwko matki.
- Przez ostatnie kilka dni raczej niewiele mówiłaś - stwierdziła Sally. - Nie musisz zaczynać akurat

teraz.

- Nie chcę, żebyś była w ciąży - powiedziała Jenna.
- Wiem.
- Jesteś za stara na ciążę.
- Wygląda na to, że jednak nie - odparła łagodnie Sally.
- Będziesz pośmiewiskiem.
- Niby dlaczego? - Sally odsunęła od siebie puste pudełko po lodach. - Niejedna matka rodzi dziecko po czterdziestce. Tyle tylko, że będzie między wami duża różnica wieku. To rzeczywiście jest problem.

- To, a także to, że tata może już nigdy nie wrócić do domu.

- To też - zgodziła się Sally.

- Dlaczego? - zapytała Jenna. - Dlaczego akurat teraz?

- Nie planowałam ciąży - powiedziała Sally. - Nie staraliśmy się o dziecko.

- Powinnaś była mi powiedzieć - stwierdziła Jenna.

- To było okropne, dowiedzieć się tego tam w szpitalu. Naprawdę okropne.

- Wiem - odpowiedziała Sally. - Ale mnie samej trudno się było z tym pogodzić.

- To nieważne - powiedziała Jenna. - I tak powinnaś była mi powiedzieć. - Wstała od stołu. -

Ugotowałaś coś na obiad?

Sally pokręciła głową.

- Ale w lodówce jest pieczeń i ser. I dużo owoców. Możesz sobie ugotować makaron. Zrobiłam zakupy przez Internet.

Jenna wlepiała w nią wzrok.

- A dlaczego po prostu nie poszłaś do supermarketu?

- Bo mi się nie chciało - odparła Sally.

- Nienawidzę tego! - krzyknęła Jenna. - Wszystko jest inaczej, a ja tego nienawidzę! - Zabrała swoją torbę ze stołu.

- Idę do swojego pokoju.

- Sardynki - powiedziała nagle Sally.

- Co?

- Taką miałam zachciankę, jak byłam w ciąży z tobą. Jenna patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Ludzie nie miewają zachcianek na sardynki.

- A niby czemu nie? - zapytała Sally. - Ja w każdym razie jadłam je codziennie przez mniej więcej sześć miesięcy.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś - stwierdziła Jenna.

Sally wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie pytałaś.

- Idę do swojego pokoju - powtórzyła Jenna. - Muszę odrobić pracę domową.

Wypadła z kuchni, uderzając torbą o stół i zrzucając puste pudełko po lodach na podłogę.

- Może powinnam zrobić badania - powiedziała Sally.

Sally! Oczywiście. Tak miała na imię jego żona. Już pamiętał. A tamto zdarzenie, ten ślub w tropikach, musiał być snem. Chociaż bardzo realistycznym. Skupił się na tym, co powiedziała. Badanie. Badanie dotyczące... no tak! Dzieci. Wciąż mieli tylko jedno dziecko. Ich ukochaną córeczkę.

- Lekarze powiedzieli, że wszystko jest w porządku - chciał ją pocieszyć.

- Lekarze! A co oni tak naprawdę wiedzą? - Sally ściągnęła do tyłu swoje długie kasztanowe włosy. - Nie wiedzą, dlaczego były takie problemy z Jenną, i nie wiedzą, czemu poroniłam, i z całą pewnością nie mają bladego pojęcia, dlaczego od tamtej pory nie zaszłam w ciążę. Potrafią tylko mówić, jak zawsze, że jestem zdrową kobietą i że powinnam znowu zająć w ciążę.

- A chcesz znowu zająć w ciążę? - zapytał Frank. Wpatrywała się w niego.

- Jak możesz w ogóle o to pytać?

- Było ci tak ciężko, wtedy z Jenną. To była kryzysowa sytuacja. Może cię to zniechęciło. Może coś ci nie pozwala znowu zająć w ciążę.

- Frank, na miłość boską, przecież zaszłam drugi raz w ciążę, prawda? Owszem, nie udało się, ale to nie jest tak, że coś nie pozwala mi zająć w ciążę.

Nic nie odpowiedział.

- Myślisz, że problemem jest to, że miałam cesarkę, a potem poronienie?

- Nie wiem! - krzyknął. - Po prostu się zastanawiam.

- Myślisz, że stosuję jakąś antykoncepcję? - zapytała. - Że w tajemnicy łykam pigułki?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział. - Ale wiem, że się tym denerwujesz, a to na pewno nie pomaga.

- Nie wszyscy potrafią być tacy wyluzowani jak ty - odparła.

Chwycił ją za ramię.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem sugerować, że... że stan twojego umysłu ma na to jakikolwiek wpływ. Naprawdę. Staram się tylko pomóc.

Spojrzała na niego. Jego ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w nią, a ona poczuła znajome iskrzenie.

- Dziś wieczorem zrobimy to po prostu dla przyjemności - powiedział Frank. - Ty, ja i pudełko lodów Ben & Jerry. Żadnych rozmów o dziecku. Tylko my, tak jak należy.

Wsunął rękę pod jej cienki top.

- Frank! - zachichotała.

- Wyobraź sobie, jak je z ciebie zlizuję.

- Będzie mi zimno - zaprotestowała.

- Tak cię rozgrzeję, aż lody się zagotują - obiecał.

Pocałowała go.

A on pocałował ją.

Uwielbiał jej smak, z lodami czy bez.

Rozdział 26

Dni stawały się coraz cieplejsze, a noce coraz krótsze. Stan Franka nie zmieniał się, a Sally i Iona przyjeżdżały do szpitala na zmianę co drugi dzień, więc już się nie widywały. Sally wróciła do pracy. Iona coraz bardziej angażowała się w swoją.

Iona nie wiedziała, czy ma kłopoty ze snem z powodu przepracowania, czy z powodu Franka. Wydawało jej się, że bez przerwy myśli albo o nim, albo o pracy, że na zmianę martwi się albo jego stanem, albo problemami z najemcami i umowami. Jej życie stało się jednym ciągiem zmartwień. Niektóre dotyczyły spraw, na które miała wpływ, co nie było jeszcze takie złe, martwiły ją również jednak rzeczy pozostające poza jej kontrolą, a to było o wiele trudniejsze. Piątą noc z rzędu przewracała się z boku na bok, żałując, że nie może w jakiś cudowny sposób przenieść się w takie miejsce, gdzie już nigdy nie musiałyby się o nic martwić.

Zrzuciła z siebie kołdrę i usiadła. Podświetlone na zielono cyfry budzika przy łóżku (choć ostatnio i bez budzika wstawiała wcześniej rano) pokazywały, że jest czwarta nad ranem. Podniosła się i wyjrzała przez zasunięte żaluzje.

Nad horyzontem widniały już blade smugi światła. Zapowiadał się kolejny cudowny dzień. Następny dzień, który spędzi najpierw za biurkiem w Rental Remedies, a potem przy łóżku Franka. To niesprawiedliwe, pomyślała ze złością, że musi na niego ze wszystkim czekać, że całe jej życie znajduje się jak w zawieszeniu. Naprawdę niesprawiedliwe. W tym roku mieli w wakacje dużo razem podróżować, robić wiele krótkich wypadów. Oczywiście, pomyślała z goryczą, to mogły być tylko krótkie wypadki. Kiedy o tym rozmawiali, stwierdziła, że spędzenie po kilka dni w różnych miastach to świetny pomysł. Frank zasugerował, że jeśli będzie już w ciąży, to pewnie nie będzie chciała wyjeżdżać na dłużej, a ona się z nim zgodziła. Ale byłam głupia, zamruczała teraz pod nosem. Tak mną manipulował, że uznałam, iż to dobry pomysł, a jemu przecież chodziło tylko o to, żeby Sally nie nabrała podejrzeń. Jak mogłam być taka głupia, pomyślała.

Wyszła z sypialni i weszła do drugiej, przerobionej na biuro. Ostatnio raczej nie pracowała w domu, ponieważ nie miała ochoty być sama. To było dość dziwne, bo przecież mieszkała tam sama, zanim w jej życiu

nie pojawił się Frank, i była wtedy całkiem szczęśliwa. Dla niego zmieniła wszystko. On natomiast w swoim dotychczasowym życiu nie zmienił dla niej niczego.

Włączyła komputer i czekała, aż będzie gotowy do pracy. Ostatnio, podobnie jak Jenna, używała komputera wyłącznie do poszukiwania informacji o śpiączce. Usiadła przed monitorem i otworzyła wyszukiwarkę internetową. Tym razem wpisała słowo „wakacje”. To, oczywiście, było niemądre posunięcie, bo wyświetliło się całe mnóstwo adresów zupełnie bezużytecznych stron. Zamiast tego wpisała więc „tanie przeloty”, a potem kliknęła na odnośnik, który dotyczył lotu z Dublina do Nowego Jorku za śmiesznie niską cenę. Samolot wylatywał tego ranka, na miejscu był w porze lunchu czasu północnoamerykańskiego. Fajnie, pomyślała. Krótki wypad do Nowego Jorku na zakupy. Nigdy jeszcze nie była w Nowym Jorku. Zawsze chciała tam polecieć, ale dotąd się nie wybrała.

Nie mogła jednak tak sobie po prostu polecieć, prawda? Przecież powinna odwiedzać Franka co drugi dzień, czytać mu, mówić do niego i starać się wyrwać go z tej cholерnej śpiączki.

Oparła podbródek na dłoniach. Ale byłoby miło. Byłoby miło oderwać się od tego wszystkiego tutaj. Byłoby miło nie czuć się tak, jakby oplątywała ją jakaś pajęczka sieć i przytrzymywała przy Franku, Sally i Jenny. Byłoby miło dobrze się bawić. Minęły wieki, odkąd ostatnio dobrze się bawiła. Nie, to niemożliwe. Nie może tego zrobić.

Ale to bardzo tani przelot. A bilet powrotny byłby prawie tak samo tani. Przecież nie zaszkodzi, jeśli sprawdzi, czy ta oferta jest nadal aktualna. Kilka dni w Nowym Jorku. To bardzo niefrasobliwe. To coś, na co mogłaby sobie pozwolić młoda, wolna i niezależna dziewczyna. Ona nie była młoda, wolna i niezależna. A może jednak?

Lauren pojechała tego ranka na lotnisko, żeby odebrać Florę. Nie powiedziała Ionie, że ich matka przylatuje z wizytą, bo wiedziała, że taka wiadomość zdenerwuje jej siostrę. Iona kategorycznie twierdziła, że nie ma potrzeby, żeby matka się nad nią użalała, a Flora z jednakowym uporem powtarzała, że nadszedł już czas, żeby spotkać się z córką i porozmawiać o jej przyszłości.

Flora wiedziała, że to nie będzie łatwe. Wiedziała, że Iona kochała Franka. Jej też się spodobał, kiedy przyjechali do nich z wizytą do Jávea, choć wydał jej się dość nieprzystępny. Jednak bez wątpienia był czarujący i, przynajmniej zdaniem Flory, kompletnie stracił dla Iony głowę. Bardzo ładnie ją traktował, z niemal staromodną uprzejmością, i Flora się cieszyła, bo wiedziała, że Iona nie należy do osób, które łatwo się zakochują.

A teraz... Flora się skrzywiła. To wszystko tak niewiarygodnie się poplątało.

Pomachała, gdy spostrzegła wysoką sylwetkę Lauren, oczekującą na nią w hali przylotów. Lauren w odpowiedzi uśmiechnęła się i na powitanie przytuliła matkę. Ruszyły w stronę parkingu.

- Zaproszę ją dzisiaj na kolację - powiedziała Lauren, gdy Flora zapytała o Ionę. - Nie powiem jej, że przyleciałaś. Wiesz, że potrafi być strasznie uparta. Jeśli uzna, że to jakiś nasz spisek, żeby sprawdzić, jak się miewa, może po prostu nie przyjść.

Flora skinęła głową.

- Myślisz, że trwa przy nim tylko z uporu?

- Nie jestem pewna - Lauren włożyła bilet parkingowy do automatu i wyjechała. - Gdyby dowiedziała się o Sally i Jennie wcześniej, prawdopodobnie własnoręcznie wprawiłaby go w stan śpiączki, ale ponieważ jest taki chory, ona nie bardzo może się na niego wściekać. Flora westchnęła.

- A teraz jeszcze dyżuruje w szpitalu na zmianę z Sally - dodała Lauren. - A wiesz przecież, jak Iona nie cierpi szpitali! Chodzi tam, bo... och, sama już nie wiem! Bo chyba chce, żeby on wybrał ją, kiedy się obudzi.

- To niedobrze - powiedziała Flora.

- Wiem - odparła Lauren - ale naprawdę nie wiem, co mogłybyśmy z tym zrobić.

Iona zasnęła w samolocie. Nigdy dotąd nie spała na pokładzie samolotu, bo uważała, że jest tam zbyt niewygodnie. Tym razem jednak, jak tylko usiadła na swoim miejscu, a maszyna zaczęła kołować w kierunku pasa startowego, jednostajny szum silnika wprowadził ją w przypominający trans stan, który po chwili zmienił się w porządną drzemkę. Nie słyszała nawet, gdy steward informował pasażerów o oferowanych na pokładzie usługach.

Obudziła się dopiero, gdy roznoszono posiłki. Zjadła, obejrzała film i znowu zasnęła, tak że kiedy dotarli na lotnisko JFK, była, w przeciwieństwie do wielu współtowarzyszy podróży, tak wypoczęta, że nie zirytowały jej nawet drobiazgowo kontrole.

Przed lotniskiem złapała taksówkę i poprosiła kierowcę, żeby ją zawiózł do jakiegoś porządnego hotelu na Manhattanie. Wysadził ją pod Le Parker Meridien przy Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej. Wsiadając, żałowała, że nie poprosiła w kantorze o banknoty o mniejszych nominałach. Ale co tam, pomyślała, ciągnąc za sobą przez ogromny hol swoją niewielką torbę na kółkach. To tylko pieniądze. Mnóstwo zaoszczędziłam na biletach, a w zeszłym miesiącu spłaciłam kartę kredytową, więc mogę zaszaleć. Wciąż nie do końca wierzyła, że kierując się impulsem, zarezerwowała bilety. Cieszyła się jednak, że tak zrobiła. Alternatywą byłoby spędzenie całego dnia w Rental Remedies i wysłuchiwanie skarg najemców na popsute pralki, zatrzaśnięte drzwi czy inne równie irytujące problemy.

Nagle uświadomiła sobie, że zapomniała zadzwonić do Ruth i powiedzieć, że nie przyjdzie tego dnia do pracy. Zamierzała zadzwonić z lotniska w Dublinie, ale był tam straszny ruch i wielkie kolejki, więc w całym tym zamieszaniu zupełnie wypadło jej to z głowy. No cóż, pomyślała, Garret powiedział przecież, że może wziąć wolne, kiedy tylko będzie potrzebowała. Nie miała zamiaru zawracać sobie teraz głowy dzwonieniem do firmy.

Jej pokój znajdował się na tyle wysoko, że miała widok na Central Park. Uśmiechnęła się do siebie, gdy na niego popatrzyła. Potem roześmiała się na myśl, że kilka godzin temu w Dublinie była taka smutna i przygaszona, a teraz jest w wielkim mieście, które nigdy nie śpi. I w ogóle nie jest zmęczona!

Zrzuciła ubranie, w którym przyleciała, i wzięła prysznic. Wiedziała, że jeszcze bardziej ją ożywi. Potem ubrała się w cienki top i bawełnianą spódniczkę, na stopy wsunęła swoje najwygodniejsze sandały i wyszła na ulicę, kierując się w stronę Piątej Alei.

Wszystko wyglądało tak, jak zawsze sobie wyobrażała. Hałas, upał, tłumy, cały ten tłok i ciągły ruch. Żółte taksówki korkowały ulice i co chwila jakiś niecierpliwy kierowca opuszczał szybę i pokrzykiwał na innego, zupełnie jak na filmach. Chichotała, mijając olbrzymie kamienice z markizami zasłaniającymi cały chodnik, aż po krawężnik, przy którym odźwierni w liberiach otwierali drzwi samochodów kobietom, które

miały więcej pieniędzy niż stylu i właśnie się wybierały, by spędzić dzień w sposób typowy dla bogatych mieszkanki Nowego Jorku.

Rental Remedies i oddział intensywnej opieki medycznej w Dublinie wydawały się odległe o całe lata świetlne. W tym momencie Iona mogłaby nawet uwierzyć, że to wszystko wcale się nie wydarzyło, że nigdy nie spotkała Franka Harpera, że za niego nie wyszła, że naprawdę jest młoda, wolna i niezależna, a w dodatku przebywa w najlepszym mieście na świecie.

Weszła do domu handlowego Saksa i wyszła z niego po jakimś czasie bogatsza o torbę pełną zakupów, a uboższa o sporą część kredytu na karcie. Potem wstąpiła do Bloomingdale's i wyszła z kolejnymi sześcioma torbami i kartą wyczerpaną niemal do granic limitu. To prawda, mówiła sobie w myślach, machając torebkami, że zakupy pomagają. Może to jest płytkie, może to jest próżne, może ceny rzeczywiście są koszarne (tu i tak jest taniej niż w Dublinie, dodała), ale czujesz się potem lepiej, łatwiej ci zapomnieć o kłopotach, a ona na ten dzień taki właśnie miała plan.

W Macy's robili darmowe makijaże. Usiadła i pozwoliła, by konsultantka firmy Benefit pomalowała jej policzki, usta i oczy, w ciągu dwudziestu minut zmieniając ją z osoby nijakiej w kobietę wręcz olśniewającą. Gdy spojrzała w lustro, rozpoznała w nim dawną Ionę i stuliła pomalowane wargi w dzióbek, posyłając sobie całusa. Konsultantka uśmiechnęła się do niej, potem uśmiechnęła się jeszcze szerzej, bo Iona kupiła wszystkie produkty, których użyła, a na koniec życzyła jej miłego dnia.

- Będzie taki z całą pewnością - odpowiedziała Iona, wychodząc z powrotem na ulicę.

Czuła się już jednak trochę zmęczona. Musiała usiąść i coś zjeść. Nie chciała jednak zmarnować swojego wspaniałego makijażu i wspaniałych nowych ciuchów na jakiś bar fast food. Złapała taksówkę do hotelu, jeszcze raz się przebrała, tym razem we wspaniałą sukienkę w różyczki bez ramiączek Donny Ricco i sandaalki Joey O, które wypatrzyła w Macy's (nie ograniczyła się tam tylko do makijażu i musiała skorzystać z drugiej karty kredytowej), i ponownie wyszła na ulice Nowego Jorku.

Kupiła w kiosku najnowszy numer *Vanity Fair* i ruszyła w kierunku Central Parku, po czym skierowała się w stronę Broadwayu. Zatrzymała się przed restauracją Gabriel's. Z tego, co słyszała, w większości restauracji w Nowym Jorku konieczna jest rezerwacja, a w tych słynnych tworzą się nawet kolejki oczekujących. To pewnie niemożliwe dostać stolik dla jednej osoby w lokalu, gdzie, jak się zorientowała, odbywa się oficjalna kolacja po rozdaniu Oscarów i gdzie wpadają tacy ludzie jak Tom Cruise czy Cameron Diaz, ale nie szkodzi zapytać.

Benny Arvizo, kelner, spojrzął na otwierające się drzwi. Stała w nich drobna dziewczyna o ciemnych włosach, ciemnych oczach i cudownych ustach, ubrana w obcisłą sukienkę i buty na wysokich obcasach.

- Czym mogę służyć?

- Stolik dla jednej osoby? - spojrzała na niego z nadzieją. - Umieram z głodu.

Benny Arvizo nie mógł się oprzeć jej uśmiechowi. Zaprowadził ją do stolika, przyniósł na jej życzenie butelkę wody mineralnej i zostawił ją, by mogła przejrzeć menu.

No i, pomyślała Iona, jestem w Nowym Jorku, w świetnej restauracji i zaraz zjem sobie kolację. To o niebo lepsze niż być w Dublinie i skubać sałatkę, na którą nawet nie mam ochoty. Więc choć opis w menu był fantastyczny, nie zamówiła sałatki, tylko grillowane pieczarki, a potem stek z tuńczyka. Zamówiła też butelkę

Dolcetto d'Alba, nie zwracając uwagi na zdziwienie w oczach Benny'ego, wyrażające jego wątpliwość, czy będzie w stanie sama wypić całą butelkę wina. Uważała, że Amerykanie mają purytańskie podejście do alkoholu. A ona od bardzo długiego czasu nie cieszyła się winem. Te chwile, gdy piła czerwone wino w domu, były raczej żalodne. Teraz było zupełnie inaczej.

W restauracji panował ruch. Iona była odrobinę rozczarowana, że nie dostrzega żadnej gwiazdy, ale doszła do wniosku, że to mało prawdopodobne, by jakiś hollywoodzki amant przyjechał do miasta akurat wtedy, kiedy ona. To nie miało żadnego znaczenia - i tak było fantastycznie.

Lauren, Myles i Flora siedzieli w salonie i spoglądali na siebie zaniepokojeni. Lauren pierwszy raz zadzwoniła do Iony, gdy jej samolot był w połowie drogi nad Atlantykiem. Zostawiła wiadomość o kolacji i poprosiła siostrę, żeby oddzwoniła. Ponieważ nie odpowiadała, kilka godzin później zadzwoniła ponownie, ale znowu usłyszała prośbę o zostawienie wiadomości. Nie zmartwiła się tym jakoś szczególnie, bo w ciągu dnia Iona mogła być bardzo zajęta klientami i nie móc rozmawiać, jednak gdy minęła szósta, a ona wciąż nie oddzwaniała, Lauren zaczęła się niepokoić.

Nie wiedziała dokładnie dlaczego. W końcu Iona jest dorosłą kobietą i nie musi biec do niej w podskokach tylko dlatego, że jej tak się chce. Poza tym nic jej nie powiedziała o wizycie Flory, więc Iona nie mogła wiedzieć, że akurat ta kolacja jest naprawdę ważna. Niemniej jednak spodziewała się, że siostra oddzwoni, nawet gdyby nie mogła do nich przyjść. Uwzględniła to, że siostra może mieć w ten wieczór dyżur w szpitalu. Ale dziwne było, że Iona w ogóle nie odpowiada.

W końcu Lauren zadzwoniła do szpitala, żeby sprawdzić, czy Iona tam jest. Susan Carpenter, która miała dyżur, powiedziała jej, że nie, za to jest Sally Harper. Zapytała, czy Lauren chce porozmawiać z Sally.

Raczej nie, pomyślała w pierwszej chwili Lauren, ale potem zdecydowała, że zapyta tamtą kobietę, czy tego dnia widziała się z Ioną.

- Nie - odpowiedziała Sally. - Nie widzimy się zbyt często. Czasami zostawiamy sobie notatki z wizyty u Franka. Wie pani, żeby przekazać, że danego dnia nie było żadnej zmiany albo że wyglądał trochę lepiej... A czemu pani pyta?

Lauren wyjaśniła, że niepokoi się, bo nie może się z Ioną skontaktować.

- Może gdzieś wyszła dziś wieczorem - powiedziała Sally. - W końcu to bardzo atrakcyjna dziewczyna. Może miała ochotę na trochę rozrywki. - W głębi duszy Sally miała nadzieję, że tak właśnie było. W ten sposób Iona oddaliłaby się nieco od Franka.

- Pewnie ma pani rację - westchnęła Lauren. Nienawidziła, gdy jej plany brały w łeb. Ale to była jej wina. Powinna była poinformować Ionę o przyjeździe Flory.

Rozłączyła się i po raz kolejny zadzwoniła do siostry. Tym razem zostawiła wiadomość, że przyjechała Flora, żeby się z nią zobaczyć, i że proszą, aby oddzwoniła.

W końcu Iona nie wypila całej butelki wina. Po dwóch kieliszkach czuła się przyjemnie zrelaksowana. Nie chciała się upić, a wiedziała, że tak się stanie, jeśli będzie dalej piła. Była już zmęczona i zdawała sobie sprawę, że mimo zjedzonego posiłku, kolejny kieliszek pogorszy koordynację jej ruchów i przytępi zmysły.

Zamówiła kawę, poprosiła o rachunek i usiadła wygodnie w fotelu, rozkładając przed sobą *Vanity Fair*.

Przychodziło coraz więcej gości, ale nie wszystkie stoliki były zajęte. Przy niektórych siedziały grupki kobiet - śmiały się i żartowały, najpewniej świętując coś razem w babskim gronie. Przy innych siedzieli mężczyźni, biznesmeni, prowadzili poważne rozmowy, od czasu do czasu przerywane wybuchami podszytego fałszem śmiechu. Przy niektórych skupiło się mieszane towarzystwo. Niektórzy załatwiali interesy, inni byli tam prywatnie. W restauracji były też pary, które wpatrywały się w siebie z miłością ponad wykrochmalonymi obrusami, szczęśliwe, że są razem.

Czy my też byśmy tu przyszli? - pomyślała Iona. Czy ja i Frank siedzielibyśmy przy stole i całowali się tak jak ta para w rogu? Czy poszlibyśmy raczej do baru z fast foodem na końcu ulicy?

Benny przyniósł jej kawę i oznajmił, że rachunek został już zapłacony. Iona zmarszczyła brwi i spojrzała na niego pytająco.

- Przez tego pana, który tam siedzi - skinął głową w stronę stolika, przy którym siedziało sześciu mężczyzn i trzy kobiety. Wcześniej uznała, że są na służbowej kolacji. Mężczyzna wskazany przez Benny'ego dostrzegł jej zdumione spojrzenie i uniósł w jej kierunku swój kieliszek z winem. Iona ponownie zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? - zapytała Benny'ego.

- Nie wiem, proszę pani - odparł - ale ten pan kazał mi się tym zająć.

Iona wciąż patrzyła na tamten stolik. Uwagę mężczyzny odwróciło coś, co powiedział jeden z jego towarzyszy, więc nie patrzył już w jej stronę. Gwałtownym ruchem odsunęła kawę i wstała, szurając krzesłem po podłodze. Podeszła do ich stolika.

- Przepraszam - powiedziała, patrząc wprost na mężczyznę, który zapłacił za jej kolację. - Mogę prosić na słówko?

- Oczywiście - wstał od stołu i uśmiechnął się do niej.

Oceeniła, że ma mniej więcej trzydzieści pięć lat, jest zadbany, ma na sobie drogi garnitur, ale koszulę bez krawata i z rozpiętym kołnierzykiem. Ciemne włosy, szare oczy, gładko ogolony.

- Czemu zapłacił pan za moją kolację? - zapytała.

- Po prostu chciałem.

- Dlaczego?

- To była ogromna przyjemność przyglądać się pani dziś wieczorem - odpowiedział. - Pięknie pani wygląda.

- Cóż, to bardzo miłe z pana strony, ale sama zapłacę za swoje jedzenie - odwróciła się.

Chwycił ją za ramię, a ona zamarła. Natychmiast ją puścił.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem pani obrazić.

- A czego się pan spodziewał, mówiąc mi, że zapłacił za moją kolację, dlatego, że pięknie wyglądam?

- Że to pani schlebi? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie - odparła. - To mnie obraziło.

- Dlatego tak trudno dogadać się z kobietami - poskarżył się. - Mnie by to schlebiło.

- Wcale nie - odparła. - Poczulby się pan jak prostytutka.

- Wcale tak nie pomyślałem! - wyglądał na przerażonego. - prostytutki przecież nie czytają *Vanity Fair*.

- Tak dobrze je pan zna? - zapytała.

- Nie!

- Może gdybym była luksusową prostytutką, to właśnie czytałabym *Vanity Fair* w Gabriel's - powiedziała. - Za szybko ocenia pan ludzi.

- Przepraszam - powtórzył. Jego wzrok pobiegł do stolika, do znajomych, którzy ukradkiem na niego zerkali.

- Co pan chciał przez to osiągnąć? - zapytała.

- Szczerze mówiąc, to nie wiem - przyznał. - Może wspólnie wypitego drinka albo wyjście gdzieś razem dziś wieczorem... sam nie wiem.

- Przecież ma pan już towarzystwo - zwróciła uwagę.

- To znajomi z pracy - powiedział. - Zawarliśmy dzisiaj korzystną umowę. Takie małe świętowanie.

Skinęła głową.

- Nie wiedziałem, że pani nie jest stąd. Powinienem być się domyślić. Wygląda pani inaczej. Jest pani Irlandką?

Ponownie skinęła głową.

- To zapraszam cię, Irlandko - powiedział. - Na drinka.

To może być niebezpieczne, pomyślała. Wciąż nie była przekonana do tego, żeby ktoś, kogo nie zna, płacił za jej kolację i zapraszał ją na drinka. Ale może być fajnie, a właśnie po to tu przyjechała.

- Dobrze - powiedziała nagle. - Proszę mnie zabrać w jakieś przyjemne miejsce.

- Powinniśmy się martwić?

Była już północ, a Iona wciąż się nie odezwała, więc Lauren nie wiedziała, co robić.

- To był dla niej ciężki okres - powiedział Myles. - Może chce po prostu побыć sama. Może nawet odebrała twoją wiadomość, tylko nie ma ochoty oddzwonić.

- Na litość boską! - Lauren nagle się rozzłościła. - Przecież wie, jak to jest, gdy ktoś nie oddzwania. Dostała histerii, gdy Frank nie wracał do domu, i okazało się, że miała rację. A jeśli teraz jej coś się stało?

- Nic jej się nie stało - powiedziała łagodnym tonem Flora. - Wiedziałabym, gdyby tak było.

- Mamo, nie chciałabym deprecjonować wagi twoich przeczuc, ale to nieprawda - odparła Lauren.

- Zaufaj mi - przekonywała Flora.

- Dobranoc - powiedziała Lauren.

* * *

Zabrał ją do klubu przy rondzie Kolumba. Światła były przygaszone, a muzyka dość eklektyczna. Siedzieli na krzesłach obitych błękitnym zamszem po dwóch stronach stolika z czarnego marmuru. Zamówił dla niej drinka cosmopolitan. Miał na imię Brandon i pracował w branży budowlanej. Ciekawie i miło się z nim rozmawiało, więc Iona ani razu nie pomyślała o Franku, tylko śmiała się i żartowała na temat filmów, które oboje widzieli, czy rozrywek, jakie oferują Nowy Jork i Dublin (nigdy tam nie był), a w chwilach, gdy zapadała cisza, nie czuła się niezręcznie, tylko po prostu zrelaksowana. Być może, jak sama przed sobą przyznała, miało to jakiś związek z kolejnym drinkiem. (Pozwoliła sobie na dwa drinki. Wiedziała, że przez nie będzie się zachowywać trochę głupio, czego wcześniej chciała uniknąć, ale postanowiła się tym nie przejmować. W

końcu następnego dnia nie musiała rano wcześniej wstawać). Była jednak zbyt zmęczona, żeby wypić trzeciego cosmopolitana. Poprosiła więc Brandona, żeby zabrał ją z powrotem do hotelu, a gdy wyszli na ulicę, zdjęła swoje sandały, bo były zbyt nowe i miały zbyt wysokie obcasy, żeby mogła w nich dalej iść.

Pocałował ją u zbiegu Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej i ronda Kolumba. Odwzajemniła pocałunek. Przyciągnął ją do siebie, więc przez sukienkę w różyczki czuła ciepło jego dłoni i siłę drżącą w jego ciele.

Boże, jak dobrze było znaleźć się znowu w czyichś ramionach. Jak dobrze było być z kimś, kto nic nie wiedział o niej, o Franku i o Sally. Bo ani Brandon, ani ona, nic o sobie nie wiedzieli. Zupełnie nic. Powiedziała tylko, że przyleciała na krótki urlop, a on, że pracuje dla firmy budowlanej, i tyle. Kiedy ją pocałował, pomyślała, że szuka po prostu kogoś na jedną noc. Widocznie żadna z jego znajomych z pracy mu się nie podobała, a ona, w letniej sukience i butach na wysokich obcasach, tak. On też jej przypadł do gustu. Silny, zdrowy i bardzo męski. To jej się podobało. Cały jej się podobał. Znowu mogła dobrze się poczuć.

Flora leżała w łóżku w gościnnej sypialni, ale nie spała. Myślała o Ionie i miała nadzieję, że się nie myliła, zapewniając Lauren, że jej siostrze nic się nie stało. Była pewna, że wiedziałyby, gdyby tak było. Ale czy naprawdę mogła być tego pewna?

- Przepraszam - Iona spojrzała na niego. - Nie mogę tego z tobą zrobić.

Brandon bardzo powolnym ruchem skinął głową.

- Rozumiem. Wolałabyś sprawdzić, czy jestem zdrowy. Powinienem poprosić cię o to samo. Zapewniam cię, że badam się co roku, ostatnio robiłem to dwa miesiące temu i wszystko jest w najlepszym porządku. Poza tym i tak się zabezpieczymy.

- Nie o to chodzi - powiedziała Iona. - Ja... cóż, wiem, że to wyświechtane powiedzenie, ale nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Zawsze uważałem, że jakiś scenarzysta wymyślił sobie to powiedzonko, a ludzie ciągle je powtarzają, bo wydaje im się, że to jakaś głębsza myśl - stwierdził Brandon. - Ale tak naprawdę to kompletnie nic nie znaczy.

Iona się uśmiechnęła.

- Okej, nie mogę się z tobą przespać, bo mam w głowie totalny mętlik i to naprawdę nie byłby dobry pomysł.

- Nie byłbym taki pewien - odparł Brandon. - Mnie się wydaje, że to świetny pomysł.

- Masz zamiar robić z tego problem? - zapytała.

- Boże, oczywiście, że nie! - szczerze się obruszył. - Po prostu chcę się z tobą przespać. I wiem, że byłoby fantastycznie.

- Być może - powiedziała Iona. - Ale ja po prostu nie mogę.

Może gdyby jednak robił z tego problem, nie pocałowałyby go na dobranoc.

Następnego ranka, gdy nadal nie było żadnej wiadomości od Iony, Lauren zadzwoniła do Rental Remedies. Ruth powiedziała jej, że Iona poprzedniego dnia nie przyszła do pracy, co było do niej niepodobne, ale biorąc pod uwagę napięcie, w jakim ostatnio żyła, nie zaskoczyło ich to jakoś szczególnie. Niemniej jednak jej nieobecność była im zupełnie nie na rękę. Mieli bardzo dużo pracy.

Lauren i Flora postanowiły pojechać do domu Iony. Ponieważ nikt nie reagował na dzwonek, Lauren weszła do środka, otwierając drzwi zapasowym kluczem. Obeszły cały dom, wołając Ionę. Zauważyły, że ślubna fotografia Iony i Franka stała teraz na szafce przy łóżku, a także że łóżko nie było posłane.

- I co? - zapytała cierpko Lauren. - Nadal uważasz, że nic jej się nie stało?

- Tak - odpowiedziała Flora, ale jej głos nie brzmiał już tak przekonywująco.

Lauren wyszła z sypialni i weszła do drugiej, przerobionej na biuro. Zauważyła, że komputer Iony wciąż jest włączony, że jest tylko w stanie uśpienia. Poruszyła myszką, żeby się włączył monitor.

Zobaczyły kolejne zdjęcie ze ślubu. Tym razem Iona i Frank unosili kieliszki, stojąc na białym piasku karaibskiej plaży. Lauren spojrzała na pliki zapisane na pulpicie, ale domyśliła się, że większość z nich dotyczy spraw Rental Remedies lub firmy Franka. Czuła się niezręcznie, zaglądając do komputera Iony, bo wyglądało to tak, jakby grzebała w jej biurku, ale miała nadzieję, że znajdzie tam jakąś wskazówkę. Otworzyła przeglądarkę internetową i zajrzała do historii otwieranych stron. Zagryzła wargę, dostrzegając adresy witryn dotyczących śpiączki, a potem zwróciła uwagę na ostatnią, na jaką zajrzała Iona. Strona już wygasła, ale Lauren była pewna, że Iona szukała informacji o podróży samolotem. Pytanie tylko dokąd.

- Może do Hiszpanii? - zasugerowała Flora, gdy Lauren powiedziała jej o swoim odkryciu. - Może jest już w naszej willi? To by był dopiero zbieg okoliczności, co?

- Wiedziałybyśmy już, gdyby tam była - stwierdziła Lauren. - Tata by do ciebie zadzwonił albo Iona.

Zgodziły się, że nie mają pojęcia, dokąd Iona mogła polecieć, i że nie ma sposobu, żeby to sprawdzić.

- Może... - Lauren ponownie wpatrywała się w monitor. - Może jednak jest.

- Jaki?

- Wiesz, Io mówiła mi, że ta policjantka, która u niej była i wypytywała o Franka, szukała potem jego córki. Może ona będzie mogła nam pomóc.

- Jego córka zaginęła?! - Flora była zdumiona. - Kiedy? Gdzie?

- Tak naprawdę to nie zaginęła - odpowiedziała Lauren. - Tylko nie wracała wieczorem do domu, ale Sally bardzo się martwiła i tej detektyw udało się ją znaleźć. Może będzie też potrafiła znaleźć Ionę.

- Raczej nie poleci tam, gdzie Iona, i nie przywiezie jej z powrotem - powiedziała Flora.

- Nie, ale może będzie mogła ustalić, czy i dokąd Iona poleciała - odparła Lauren.

- To chyba możliwe.

- Zadzwoń do niej - powiedziała Lauren. - W każdym razie ma pewnego rodzaju zobowiązanie wobec Iony. Io znalazła jej mieszkanie do wynajęcia. Więc może zechce nam pomóc.

- Iona wynajęła jej mieszkanie? - Flora była coraz bardziej zdumiona. - Czemu... och, to nieważne. Zadzwoń do niej i zobaczmy, co powie.

Iona postanowiła kolejny dzień poświęcić na zwiedzanie. Zakupy już zrobiła, więc teraz chciała obejrzeć najciekawsze miejsca. Ponieważ miała niewiele czasu, zdecydowała się na zorganizowaną wycieczkę objazdową. Wysiadła potem przy Central Parku i posiedziała trochę przy Strawberry Fields, rozmyślając, jak to przypadek rządzi ludzkim losem. Później wróciła do hotelu, popływała w basenie i poszła spać.

Siobhán Farrell miała wrażenie, że stała się prywatnym detektywem rodzin Harper i Brannock.

- Jest w Nowym Jorku - poinformowała Lauren mniej więcej w tym samym czasie, gdy Iona pływała w basenie.

- Na miłość boską! Dlaczego nic nie powiedziała?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Siobhán. - Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z jej małżeństwem. Może dowiedziała się czegoś jeszcze.

- O, nie - stwierdziła Lauren. - To niemożliwe. Niemożliwe.

- Jestem skłonna się z panią zgodzić - powiedziała Siobhán. - W każdym razie ma rezerwację na powrót na jutro. Powinna być na lotnisku w południe.

- Na pewno tam pojedziemy - powiedziała cierpko Lauren. - Mam nadzieję, że się jakoś z tego wytłumaczy.

- Być może - odparła ostrożnie Siobhán. - Ale, wie pani, to wszystko naprawdę było dla niej bardzo trudne. Dla nich obojgu. Myślę, że każda żona zastanawia się czasem, czy jej mąż nie ma romansu, ale chyba niewielu zdarza się odkryć, że w ogóle nie są ich żonami.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedziała Lauren. - Cholernie nas wystraszyła.

- Jasne - odpowiedziała Siobhán. - Mam nadzieję, że jakoś to sobie wyjaśnicie.

- Dzięki - odparła Lauren. - Na pewno?

Podczas lotu powrotnego Iona nie mogła już spać. Nagle dopadły ją wszystkie myśli o Franku, Sally i Jennie, o których udało jej się zapomnieć przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Warto było zrobić sobie tę przerwę... ale to była tylko przerwa, a po powrocie czekało na nią prawdziwe życie.

* * *

Flora dostrzegła Ionę, jak tylko przeszła przez drzwi hali przylotów, ubrana w dzinsy Donny Karan i bluzeczkę, którą kupiła w Bloomingdale's. Przyjrzała się córce i od razu zauważyła, że schudła, odkąd ostatnio się widziały. Przez tego drania Harpera, pomyślała z wściekłością. Co on jej zrobił!

Iona na widok siostry i matki pomyślała, że ma halucynacje. Zatrzymała się raptownie i wpatrywała w nie z niedowierzaniem.

- Lepiej powiedz, do diabła, co ty wyprawiasz? - zapytała Flora, gdy Iona spytała, skąd się tam wzięły. - Na śmierć się o ciebie zamartwialiśmy.

- Czemu? - zapytała Iona.

- Dzwoniłam i dzwoniłam - odpowiedziała Lauren. - Ale nie odpowiedziałas na żadną z moich wiadomości.

- Byłam w Nowym Jorku - powiedziała Iona. - Moja komórka tam nie działała.

- Nie powinnaś była wyjeżdżać tak bez słowa - stwierdziła Flora.

- To było tylko kilka dni - zaprotestowała Iona. - Przecież czasem nie rozmawiamy z sobą całymi tygodniami. Naprawdę, dajcie już spokój!

- Martwiliśmy się - powtórzyła Lauren. - Myśleliśmy... myśleliśmy...

- Że co? - zapytała Iona.

- No nie wiem - odparła Lauren - ale przez tę sprawę z Frankiem i w ogóle, byłaś taka zdenerwowana... że nie wiedzieliśmy, co myśleć.

- Posłuchajcie, przepraszam, że was wystraszyłam - powiedziała Iona - ale musiałam pobyć trochę sama.

- I pomogło?

Iona przypomniała sobie wyprawę na zakupy, zwiedzanie Nowego Jorku i wieczór na mieście. Pomyślała o Brandóme, który postawił jej kolację, pocałował ją i sprawił, że ponownie poczuła się jak kobieta, nawet jeśli trwało to tylko kilka godzin.

- Tak - odrzekła - pomogło.

Rozdział 27

Następnego ranka Iona przeprosiła Ruth i Garreta za swoje zniknięcie bez uprzedzenia i obiecała, że wynagrodzi im to, pracując wyjątkowo ciężko.

- Ach, nie przejmuj się - powiedziała Ruth. - Masz prawo sobie odpocząć, Io.

- Nie o to chodzi - odparła Iona. - Nie chcę, żeby ludzie mi współczuli. Do tego jeszcze mama przyleciała z Hiszpanii, żeby sprawdzić, co u mnie, i ogólnie odnoszę wrażenie, że wszyscy ciągle mnie obserwują i nic tylko znajdują dla mnie jakieś wymówki.

- No dobra - uśmiechnęła się Ruth. - To już nie będę taka miła. Mogłabyś pokazać dzisiaj apartament numer sześć w budynku Waterside? Miałam to zrobić, ale mam roboty po uszy, bo wyjechałaś sobie, nikogo nie uprzedzając...

- Dobrze, dobrze - odpowiedziała ze śmiechem Iona. - Zrobię to. Ten apartamentowiec jest bardzo popularny, prawda?

- Bliskość nadmorskiego miasta Dún Laoghaire - wyrecytowała Ruth. - Cudowny widok na zatokę. Stacja kolejki w odległości kilku minut spaceru, a także...

- Dobrze znam te marketingowe śpiewki - uśmiechnęła się Iona.

- Okej - powiedziała Ruth. - Mogłabyś przy okazji podrzucić panu Martinezowi kluczyki do jego skrzynki pocztowej.

- Przecież je ma - odpowiedziała Iona. - Dostał razem z innymi przy odbiorze mieszkania.

- Tak, ale przypadkiem wrzucił je do skrzynki - powiedziała Ruth.

- Co za idiota. Jak mu się to udało? Ruth wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Czyli tamten apartament mam pokazać wieczorem - zapytała Iona - żeby mieć pewność, że Martinez będzie w domu?

- Nie musisz wieczorem - odparła Ruth. - Dzisiaj pracuje w domu, więc powiedział, że jeśli tylko ktoś będzie w okolicy, to go zastanie.

- W porządku - Iona nie miała nic przeciwko wybraniu się do Dún Laoghaire tego popołudnia. Lubiła patrzeć na tę nieco pretensjonalną okolicę w promieniach słońca. W taki słoneczny dzień doskonale rozumiała,

dlaczego tak szybko znajdowali chętnych na tamtejsze mieszkania, co zresztą bardzo ułatwiało im pracę. Fajnie było z powrotem być w pracy, a po tej zupełnie nieplanowanej przerwie już się nią tak bardzo nie stresowała.

Iona zaparkowała samochód i podeszła do swoich klientów, pewnej pary, która szukała mieszkania z dobrą komunikacją z centrum. Pokazała im apartament i ucieszyła się, gdy oznajmili, że go biorą. Gdy wyszli, wróciła do holu budynku, żeby sprawdzić, czy kluczyki, które dała jej Ruth, na pewno pasują do skrzynki pana Martineza. To właśnie takie drobiazgi, pomyślała sobie, przytrzymując drzwi innemu mieszkańcowi bloku, o wszystkim decydują. Przez nie można zrobić z siebie kompletnego głupka. Nie chciała, żeby pan Martinez wypróbował kluczyki przy niej i stwierdził, że nie pasują, dochodząc jednocześnie do wniosku, że wszyscy pracownicy Rental Remedies to niekompetentni durnie.

Stała przed rzędem skrzynek i szukała tej z numerem siedem. Znajdowała się bezpośrednio przy skrzynce Siobhán Farrell. Apartament Enrique Martineza był dużo większy i droższy.

Sprawdziła kluczyki i ucieszyła się, że pasują. Telefon piknął, że otrzymała wiadomość, więc odsunęła się nieco, podczas gdy jakiś mieszkaniec bloku podszedł do skrzynek. Jednak wcale nie sprawdzał poczty. Iona zorientowała się, że przygląda się skrzynce Siobhán Farrell, choć ta jeszcze nie umieściła na niej swojego nazwiska. Zaglądał do środka, próbując sprawdzić, czy coś tam jest, a jednocześnie starał się ją otworzyć, wypróbowując po kolei różne klucze.

- Przepraszam - powiedziała Iona, wkładając komórkę z powrotem do torebki (wiadomość była od Ruth, która przypominała jej o ważnym spotkaniu wcześniej rano kolejnego dnia). - Mogę w czymś pomóc? - Mężczyzna odwrócił się w jej stronę. Przede wszystkim zauważyła, że jest bardzo przystojny. Miał włosy barwy miodu i szare oczy w kolorze dymu, a jego twarz była gładka i o pięknych rysach. On nie jest przystojny, pomyślała Iona, on jest piękny, a to zupełnie coś innego.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba zgubiłem kluczyki.

- Jest pan pewien, że to ta skrzynka? - wypowiadając te słowa, Iona uświadomiła sobie, że wykazuje niewiarygodną głupotę w ogóle z nim rozmawiając. Ten piękny facet może być jakimś złodziejem, może zajmuje się kradzieżą tożsamości czy czymś takim. Nagabywanie go nie było najmądrzejszym posunięciem.

- Ta skrzynka, ale nie te kluczyki - odpowiedział swobodnie. - Proszę się nie martwić. Pewnie zostawiłem je w biurze. To niedaleko. Zaraz przyniosę - odwrócił się i wyszedł z budynku.

Serce dudniło jej w piersiach. Nagle poczuła się zupełnie bezbronna, stojąc w pustym holu z tym pięknym mężczyzną, który kłamał jej w żywe oczy. Zastanawiała się, jak Siobhán Farrell panuje nad strachem, mając do czynienia z kryminalistami. Ale Siobhán była w tym szkolona, a ona nie.

Nacisnęła guzik windy i wjechała na siódme piętro, gdzie zapukała do drzwi apartamentu pana Martineza. W przeciwieństwie do ostatniego razu, kiedy miał na sobie garnitur, tym razem był ubrany po domowemu w dzinsy i luźny T-shirt. Miał bosa stopy. Drzwi na balkon były otwarte. Praca w domu ewidentnie oznaczała się innym rytmem, pomyślała Iona, dostrzegając szklanek wina na stole na tarasie. Przypomniał jej się Brandon Williamson, siedzący w jej pokoju w Le Parker Meridien i popijający wino, nowojorska wersja Enrique Martineza. Ciarki rozkoszy przeszły jej po plecach.

- Dziękuję - uśmiechnął się do niej. - Czuję się jak kompletny idiota. Nie wiem, jak mogłem coś takiego zrobić.

- Każdemu zdarza się czasem zrobić coś głupiego - powiedziała Iona, starając się wyrzucić z pamięci widok Brandona i zastanawiając się jednocześnie, jak, na Boga, Enrique Martinez zdołał wrzucić kluczyki do swojej własnej skrzynki.

- Wystawał z niej kawałek papieru - czytał jej w myślach - a ja trzymałem kluczyki w dłoni i próbowałem wyciągnąć ten paperek, a wtedy wpadły do skrzynki.

Uśmiechnęła się.

- Zdarza się.

- Zabierze pani jeden zestaw? - zapytał. - Na wypadek, gdyby znowu mi się coś takiego zdarzyło.

Zeszła za nim do holu, gdzie otworzył skrzynkę i wręczył jej parę srebrnych kluczyków.

- Proszę nie sądzić, że jestem kłopotliwym najemcą - powiedział. - Zobacz pani, że nie sprawię już więcej żadnych problemów.

- Po to właśnie jesteśmy, señor Martinez - odparła - żeby rozwiązywać problemy.

Spojrzała w stronę otwierających się drzwi wejściowych i uśmiechnęła się na widok wchodzącej do holu Siobhán Farrell.

- Ach, moja sąsiadka - Enrique Martinez również się uśmiechnął. - Już się poznaliśmy.

- Cześć, Enrique - powiedziała Siobhán. - Ty też jesteś klientem Iony?

- Tak - skinął głową. - Mamy tu prawdziwy zjazd klientów Rental Remedies!

- Zwykle nie organizujemy spotkań w holach - zwróciła uwagę Iona. Zmarszczyła brwi. Lauren powiedziała jej, że to Siobhán dowiedziała się, że jest w Nowym Jorku. - Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? - Rzuciła przepraszające spojrzenie na Enrique Martineza. - Nie będzie pan miał za złe, jeśli go przeprosimy?

- Nie ma sprawy - odpowiedział. - Ale gdyby zechciały panie dołączyć do mnie i wypić kieliszek wina na balkonie, to serdecznie zapraszam. Obie.

- Dzięki - powiedziała Siobhán. - To bardzo miłe z twojej strony, Enrique, ale dziś wieczorem pracuję, więc z wina muszę zrezygnować.

- Trudno - skinął głową i poszedł w kierunku schodów.

- Boże, Siobhán - oczy Iony były szeroko otwarte ze zdumienia. - Mieszkasz tu dopiero od kilku tygodni, a już ślini się do ciebie taki elegancki finansista.

- Jest bardzo miły - odpowiedziała Siobhán. - Kilka razy na siebie wpadliśmy. Za pierwszym razem pracował na tarasie, a wiatr zwał mu jakieś papiery przez przegrodę między balkonami wprost w moje ręce, więc mu je odniosłam.

- Szybko się uwinęłaś - powiedziała Iona. - Tak samo szybko dowiedziałaś się, że jestem w Nowym Jorku i wszystkim o tym doniosłaś - w jej głosie brzmiała irytacja.

- Martwiły się o ciebie - odpowiedziała łagodnie Siobhán.

- Tak, ale to była moja sprawa - stwierdziła Iona. - Nie musiały ich o tym informować.

- Wolałabys, żeby dalej niepotrzebnie się martwiły? Iona westchnęła.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko że... Po prostu zupełnie zaskoczyła mnie ich obecność na lotnisku. To był taki gwałtowny powrót do rzeczywistości.

- Nie miałaś ochoty wracać?

- Och, nie, cieszyłam się z powrotu do domu. Tylko myślałam, że będę miała jeszcze kilka godzin dla siebie.

- Czy ta ucieczka ci pomogła? - zapytała Siobhán.

- To nie była ucieczka - odparła ostro Iona. - Wyjechałam tylko na kilka dni! Po prostu musiałam się stąd wyrwać.

Siobhán pokiwała głową.

- Doskonale to rozumiem. I przepraszam, jeśli ci to popsułam.

- Nie - Iona uśmiechnęła się lekko - wcale nie. Szczerze mówiąc, doceniam to, że pomogłaś mojej rodzinie, chociaż wcale nie musiałaś. Jesteś bardzo miłą osobą i nie mam prawa na ciebie naskakiwać.

- Wcale tego nie robisz - Siobhán odpowiedziała uśmiechem. - Wszystko w porządku. Przechodzisz bardzo ciężki okres.

- Ty też - stwierdziła Iona. - Jak sobie radzisz?

- Nieźle. Trochę dziwnie się czuję, będąc znowu sama, ale mieszkanie bardzo mi się podoba.

- No i oczywiście przystojny sąsiad! Siobhán roześmiała się.

- On mnie nie interesuje. Zupełnie nie jest w moim typie. - Spojrzała uważnie na Ionę. - A co u Franka? Jakaś zmiana?

Iona pokręciła głową.

- Niestety, nie. A do tego mama przyleciała z Hiszpanii z misją miłosierdzia, żeby sprawdzić, czy nie podcięłam sobie żył albo coś takiego. - Nagle zmarszczyła brwi. - Będziesz musiała ją przesłuchać? - zapytała.

- Nie wiem, czy mogłaby ci cokolwiek ważnego powiedzieć, ale skoro prowadzisz śledztwo w sprawie potencjalnych innych małżeństw Franka, bo wiem, że miałaś takie podejrzenia...

- Nie muszę jej przesłuchiwać - przerwała jej Siobhán.

- Wszędzie już sprawdziłam, Iona. Wygląda na to, że nie ma już nikogo więcej.

Iona przełknęła ślinę.

- Wiesz, zawsze to jakaś ulga. Trochę bałam się... cóż, on często jeździ do Anglii. To znaczy jeździł. I bałam się, że może... - wzdrygnęła się. - Cieszę się, że nie ma już nikogo więcej.

- Ja też - powiedziała Siobhán. Spojrzała na zegarek.

- Lepiej już pójdę - stwierdziła. - Mam dzisiaj wieczorem służbę i muszę przedtem coś zjeść i się przebrać.

- Jasne. Ale muszę ci jeszcze powiedzieć, że... - Iona popatrzyła na nią z ociąganiem. - Nie wiem, może da się to jakoś racjonalnie wytłumaczyć, ale jak tu przyjechałam, jakiś facet próbował włamać się do twojej skrzynki.

- Co?! - Siobhán patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Pomyślałam, że może to jakiś twój informator czy ktoś taki - powiedziała Iona. - To znaczy najpierw pomyślałam, że to włamywacz, ale potem przypomniałam sobie, że pracujesz w policji, że jesteś oficerem śledczym i że musisz mieć informatorów i tak dalej, więc stwierdziłam, że to może być ktoś taki. To chyba

jednak bez sensu, bo po co miałyby węszyć koło twojej skrzynki pocztowej? Zapytałam go, czy mogę mu w coś pomóc, a on udawał, że to jego skrzynka i że po prostu zapomniał kluczy.

- Jak wyglądał?

Iona opisała tamtego urodziwego mężczyznę. Siobhán otworzyła torebkę i wyjęła z niej portfel, a z niego zdjęcie. - To on? - zapytała.

Iona skinęła głową.

- Kto to jest?

- Eddie - odpowiedziała Siobhán.

- Och.

- Musiał jakoś się dowiedzieć, gdzie mieszkam, może starał się odgadnąć, pod którym numerem i dlatego zaglądał do skrzynek. Kretyn!

Iona zaczęła chichotać.

- Dobrze, że nie postraszyłam go policją - powiedziała.

- A szkoda - stwierdziła Siobhán. - Ciekawe, jakby się czuł, gdyby przyjechał po niego jeden z chłopaków w mundurze i oskarżył go o próbę włamania do skrzynki.

- Jest bardzo przystojny - powiedziała po chwili Iona.

- Tak - zgodziła się Siobhán. - To prawda.

- Kochasz go?

- Do diabła, przecież jestem z nim zaręczona - Siobhán głęboko westchnęła. - To pewnie go kocham, nie?

- On też cię pewnie kocha - powiedziała Iona - skoro szuka cię i zagląda do twojej skrzynki.

- Idiota z niego - odpowiedziała Siobhán. - Czasem myślę, że sama jestem idiotką, bo wciąż mi na nim zależy.

- To jest nas dwie - odparła cierpko Iona. - A z Sally, to nawet trzy.

Sally siedziała przy stole w pokoju nauczycielskim i sprawdzała prace domowe z angielskiego. Cieszyła się, że już wkrótce zaczną się wakacje, bo coraz trudniej było jej się na cokolwiek skoncentrować. Zadała dziewczynom do napisania esej na temat: „Osoba, którą podziwiam”, i teraz brnęła przez strony zapisane pochwałami na cześć różnych gwiazd muzyki pop, od czasu do czasu urozmaicone peanami na cześć najpopularniejszej top modelki. Wiedziała, że większość jej uczennic to inteligentne i pracowite dziewczyny, ale wolałyby, żeby podziwiały też innych ludzi, a nie tylko skąpo odziane i chude jak patyki gwiazdki. Choć może uważam tak tylko dlatego, pomyślała kwaśno, że w tej chwili zazdroścę chudym jak patyki gwiazdkom, które mogą nosić skąpe ubiory. Sama nigdy nie była chuda, a teraz, w miarę rozwoju ciąży, czuła się coraz grubsza i to niemal z minuty na minutę. Poza tym bała się, mimo że nie bardzo miała na to czas. Jej lekarz rodzinny był bardzo miły i konkretny, i załatwił jej wizyty u ginekologa w tym samym szpitalu, w którym leżał Frank, więc przynajmniej nie musiała kursować między dwoma różnymi ośrodkami medycznymi. Potem wygłosił podtrzymujące na duchu przemówienie o tym, że powinna o sobie dbać, zarówno o swój stan fizyczny, jak i psychiczny, i o tym, że musi mieć pozytywne nastawienie. Łatwo powiedzieć, pomyślała ze smutkiem, a trudniej zrobić.

Jednak postarała się. Kupiła sobie kilka nowych ubrań ciążowych i ostrzygła ponownie włosy przed pójściem do pracy.

Wiedziała, że Jenna nie do końca popiera jej powrót do pracy. Córka nigdy nie była szczęśliwa, że matka jest wicedyrektorką w jej szkole, a teraz dodatkowo obawiała się, że przez powrót Sally do pracy ludzie znowu zaczną zwracać na nią uwagę. Gdy Jenna wróciła po wypadku do szkoły, przychodziła do domu spięta i zdenerwowana, bo - jak powiedziała - wszyscy o nich rozmawiali. Dyrektorka szkoły, pani Lyndon, odmówiła nawet pewnego dnia na porannym apelu modlitwę za Franka (na szczęście, nie wspomniała o jego drugiej żonie!), a wszyscy inni wypytywali ją o szczegóły wypadku.

Sally pozwoliła jej wtedy mówić im tyle, ile chce, więc Jenna opowiedziała koleżankom prawdę, bo wiedziała, że w końcu i tak wszystkiego się dowiedzą. Przez to wszyscy przyglądali się jej z ciekawością i choć najbliższe przyjaciółki bardzo się starały, ona czuła się w jakiś sposób odizolowana, więc nie spędzała z nimi już tyle czasu, co kiedyś. Zgadzała się jednak z Sally, że lepiej chodzić do szkoły i nawet być obiektem zainteresowania niż jako główny punkt dnia mieć wizytę w szpitalu. Coraz rzadziej przychodziła do szpitala, a Sally nie miała zamiaru zmuszać córki do częstszych odwiedzin ojca. To nie miałyby sensu, zwłaszcza że Jenna wciąż była na niego strasznie zła. Sally miała nadzieję, że pewnego dnia jej przejdzie, ale na razie musiała się z tym pogodzić.

Akurat gdy skończyła sprawdzanie jednego z esejów, zadzwoniła jej komórka, leżąca przed nią na stole. Szybko chwyciła telefon.

- Czy to zia wiadomość? - zadała pytanie, jeszcze zanim lekarz zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Nie, pani Harper - powiedział - wręcz przeciwnie. U Franka pojawiły się pewne reakcje na bodziec, dużo wyraźniejsze niż wcześniej. Pomyśleliśmy, że chciałyby pani o tym wiedzieć.

- Jakie reakcje? - zapytała, powstrzymując oddech. - Czy on coś powiedział?

- Nie, jeszcze nie - odparł dr Carroll - ale wydaje się, że reaguje na niektóre dźwięki, i jesteśmy prawie pewni, że rozumie, co mówimy. A to bardzo dobry znak.

- Och - Sally poczuła, jak łzy, które dotąd udało jej się powstrzymać, nagle płyną jej z oczu. - Dziękuję, dziękuję, że pan zadzwonił.

Spakowała swoje rzeczy i poszła do samochodu. Jenna rzadko zabierała się z nią do domu, woląc pospacerować z przyjaciółkami albo wziąć udział w zajęciach pozalekcyjnych, teraz jednak Sally usiadła na przednim fotelu i zadzwoniła do niej, zadowolona, że dziewczęta mogły przynosić do szkoły komórki, choć w czasie lekcji musiały mieć je wyłączone.

- Co? - zapytała Jenna, odbierając telefon.

Sally opowiedziała jej o poprawie stanu Franka.

- Ale co to oznacza? - głos Jenny znowu brzmiał młodo i dziewczęco, a nie ponuro i odpychająco jak wtedy, gdy odbierała telefon.

- No cóż, w tej chwili to chyba niewiele - odpowiedziała Sally - ale to dobry znak i nie mogę się doczekać, kiedy go dzisiaj wieczorem zobaczymy.

- Jasne - powiedziała Jenna. - Ale nie miałaś dzisiaj jechać do szpitala. To kolej Iony.

Sally zamknęła oczy.

- No tak. Zapomniałam.

- Jeśli do niej też zadzwonili z tą informacją, to może pozwoli ci przyjechać.

- A ty? - zapytała Sally. - Pojedziesz ze mną?

Jenna zawahała się. Gerry zaprosił ją na wieczór do siebie do domu. Jego rodziców znowu miało nie być, a oni nie spali z sobą od ponad tygodnia.

- Wiesz co? - powiedziała Sally. - Nie musisz jechać dzisiaj ze mną, jeśli masz inne plany. Ja pojedę i sprawdzę, co się dzieje. A ty możesz pojechać jutro.

- Nie - odpowiedziała Jenna. - Pojadę dzisiaj.

- To wspaniale, prawda? - w głosie Sally brzmiała nadzieja, której nie potrafiła ukryć. - Może za kilka tygodni wszystko wróci do normy.

Jednak uruchamiając silnik i wyruszając w drogę do domu, doszła do wniosku, że nie ma pojęcia, jak ta norma miałaby w ich przypadku wyglądać.

Iona zaproponowała Florze i Lauren, żeby też pojechały tego wieczoru do szpitala. Dr Carroll zadzwonił do niej, by poinformować o poprawie w reakcjach Franka.

- Czy to ważne? - zapytała go. - Jeśli uważacie, że tak naprawdę problem tkwi w jego psychice, to jakie to ma znaczenie?

- Iona, nie wiemy, w jakim stopniu zależy to od jego stanu psychicznego, a w jakim od kwestii czysto fizycznych - odpowiedział dr Carroll. - W każdym razie to dobry objaw.

- Jeśli się teraz obudzi, to będzie miał jakieś trudności? Czy straci pamięć? Czy będzie pamiętał, jak się wszystko robi? Czy...

- Po wstrząsie zawsze są jakieś trudności - przerwał lekarz. - Po każdym wstrząsie, czy to urazie głowy, czy innym. Są wstrząsy fizyczne i psychiczne, a czasami to nawet trudniej poradzić sobie z czymś, co przeżyliśmy, niż z samymi urazami fizycznymi.

- Chyba ma pan rację - powiedziała.

- A pani świetnie sobie z tym wszystkim radzi - odparł. Roześmiała się krótko.

- Gdyby pan tylko wiedział - odparła.

Kiedy wróciła do domu, na automatycznej sekretarce pulsowała dioda. Wiadomość zostawiła Sally - pytała, czy też może przyjechać do szpitala tego wieczoru, bo lekarz powiedział jej, że Frankowi się poprawia. Iona pomyślała, że oddzwoni do Sally i powie jej, że wcale nie wiadomo, czy Frankowi naprawdę się poprawia, ale oznajmiła tylko, że chętnie się z nią spotka w szpitalu, i uprzedziła, że będą tam również Lauren i Flora.

- Masz szczęście - odparła na to Sally. - Rodzina cię wspiera.

- Och, to raczej bez sensu - odpowiedziała Iona. - Wolałabym, żeby mnie nie wspierali, nie zadawali ciągle pytań i nie mówili mi, co mam zrobić ze swoim życiem. Wolałabym, żeby zostawili mnie w spokoju.

- Potrafię to zrozumieć - zgodziła się Sally. - Ale mimo wszystko to miło, że ktoś się o ciebie troszczy.

- Być może - odparła krótko Iona. - Jednak jak ktoś się miesza do czyjegoś życia, to czasami więcej z tego kłopotu niż pożytku.

- Mimo wszystko to musi być przyjemne, móc pogadać o wszystkim z kimś dorosłym. Jenna, cóż, wiesz, jaka ona teraz jest, a ja nie mam nikogo, z kim mogłabym szczerze porozmawiać.

- Nie masz rodziny ani przyjaciół? - zapytała Iona z zainteresowaniem.

Sally wyjaśniła jej, że jest jedynaczką, a oboje jej rodzice nie żyją.

- Mam przyjaciółkę, ale ona mieszka na drugim końcu miasta i nie mogę ciągle truć jej przez telefon - dodała.

- Możesz truć mnie - powiedziała Iona.

Sally się roześmiała.

- Raczej nie, bo przecież wolałabym, żebyś w ogóle nie istniała.

- Chyba masz rację - zgodziła się Iona. - W każdym razie do zobaczenia dziś wieczorem.

- Dziękuję, że mogę przyjść - powiedziała Sally.

- Nie mów głupstw - odparła Iona. - Masz większe prawo tam być niż ja i dobrze o tym wiesz.

Lauren prowadziła w drodze do szpitala. Iona cieszyła się, że jest pasażerem i może zatopić się w myślach. Wolałaby, żeby cała sytuacja z Frankiem nie była aż tak niejasna. Nie cierpiała całej tej niepewności, a ta poprawa, o której mówił lekarz, rzeczywiście wielokrotnie zwiększała prawdopodobieństwo, że jednak się obudzi. I jednocześnie gwałtownie przybliżała konsekwencje jego przebudzenia.

Szła przodem, kierując się szpitalnymi korytarzami do sali Franka. Podążające za nią Flora i Lauren co chwilę na siebie zerkały. Gdy dotarły na OIOM, przywitała się z Terri Cooper i Susan Carpenter, które tego dnia miały dyżur.

- Jest poprawa - powiedziała radośnie Susan. - Pewnie się pani cieszy.

Iona skinęła głową.

- Czy Sally już jest? - zapytała.

- Nie - odparła Susan. - A ma dzisiaj przyjść?

- Oczywiście - powiedziała Iona. - Przecież musi to zobaczyć na własne oczy.

- Proszę nie robić sobie wielkich nadziei - ostrzegła ją Susan. - Wie pani, to nie jest tak, że on już siedzi i ogląda telewizję.

- Wiem - odpowiedziała Iona.

- Udało się pani odpocząć? - zapytała Terri. - Nie było pani dzień czy dwa, prawda?

Iona spojrzała na nią niepewnym wzrokiem.

- Mówiła pani o tym Sally?

- Oczywiście, że nie - odparła Terri.

- Potrzebowałam trochę czasu dla siebie - powiedziała jej Iona.

- Doskonale to rozumiemy - odpowiedziała Terri.

- Ale Sally niekoniecznie zrozumie. Więc...

- Rozumiem, proszę się nie martwić - Terri skinęła głową.

Iona weszła do sali. Idąca za nią Flora nie potrafiła powstrzymać jęku na widok leżącego na łóżku Franka - jego nigdyś przystojna twarz była wychudzona, blada i pozbawiona wyrazu.

- Od tygodni nie był na słońcu - powiedziała Iona, siadając. - Musisz o tym pamiętać. Nic tylko tu leży.

Cześć Frank - dodała, zwracając się do niego. - Przyszła ze mną mama i Lauren, więc się zachowuj.

Lekko poruszył głową. Iona wstrzymała oddech. Nigdy dotąd nie poruszył się na dźwięk jej głosu. Nigdy.

- I przyjdzie jeszcze Sally - dodała. - Więc jeśli łaskawie ruszysz tyłek i się obudzisz, to będziesz się musiał nieźle tłumaczyć.

- Iona! - głos Flory zdradzał, że jest wstrząśnięta. - Nie możesz tak do niego mówić.

- A jak niby mam do niego mówić? - zapytała Iona. - Płacze i szepty mamy już za sobą. Mówiłam mu już wiele razy, że go kocham. Nie wiem, co jeszcze miałabym mu powiedzieć.

Otworzyły się drzwi i do sali weszły Sally i Jenna. Jenna rzuciła Ionie gniewne spojrzenie.

- Cześć Jenna - odpowiedziała na nie Iona. - To moja mama, a to moja siostra.

- Już poznałam pani siostrę.

- Rzeczywiście. Zapomniałam o tym - odparła Iona spokojnym głosem.

- Cześć Jenna - Flora wstała z krzesła. - Bardzo mi przykro z powodu twojego taty.

Jenna z trudem przełknęła ślinę.

- To straszne, co się stało - powiedziała Flora. - I wszystko się tak poplątało. Ale to się jakoś ułoży, wiesz?

- Niby jak? - odparła Jenna buntowniczo.

- Zawsze się jakoś układa - odparła spokojnie Flora.

- Dobra, dobra - Jenna oparła się o ścianę.

- Poruszył głową - Iona spojrzała na Sally. - Tylko troszkę, ale poruszył.

- Naprawdę? - Sally przysunęła się bliżej łóżka.

- Tak - odpowiedziała Iona. - Powiedziałam mu, że przyjdiesz, i to go chyba pobudziło.

Sally ze zdumieniem spojrzała na Ionę, a ta uśmiechnęła się do niej.

- A nawet jeśli nie, to na pewno powinno - poprawiła się.

Sally uśmiechnęła się leciutko. Pochyliła się, żeby spojrzeć na Franka.

- Słyszysz mnie? - zapytała. Frank nie reagował.

- To ja, Sally - powiedziała. - Iona mówi, że wcześniej poruszyłeś głową. Możesz to zrobić jeszcze raz?

Nie było żadnej reakcji. Ramiona Sally opadły.

- Hej, on pewnie robi to tylko czasami - powiedziała Iona. - I nie martwiłabym się tym, że akurat teraz nie reaguje. W końcu pierwszy raz zareagował na obecność lekarzy, a nie żadnej z nas.

- To prawda - stwierdziła Sally.

- Więc nie odbieraj tego osobiście.

- Wcale tak nie robię.

- A właśnie, że tak - Jenna oderwała się od ściany i stanęła obok łóżka. - Cześć tato, mógłbyś to dla nas zrobić i otworzyć oczy?

Wszystkie kobiety uważnie mu się przyglądały, ale Frank się nie poruszył. Jenna wyszła z sali, oznajmiwszy, że idzie się czegoś napić.

- Walczymy z sobą - Iona popatrzyła na matkę i siostrę - o to, na którą z nas mocniej zareaguje. Ale problem w tym, że nie zareagował na żadną z nas. Przez jakiś czas myślałam nawet, że może jest jeszcze jakaś inna kobieta.

- Iona! - Lauren wyglądała na przerażoną.

- No cóż, zawsze jest taka możliwość - powiedziała Iona. - Jakaś inna kobieta, która jest dla niego naprawdę ważna, która otworzy dla nas jego umysł.

- Boże, mam nadzieję, że nie - powiedziała Flora.

- Policja też tak nie uważa - wtrąciła Sally. - Siobhán Farrell mówi, że wszystko sprawdzili i nic nie znaleźli. Pojechała nawet do Sligo, żeby się spotkać z tymi najemcami.

Iona zamarła. Siobhán mówiła jej, że nie sądzi, by była jeszcze jakaś kobieta, ale nie powiedziała, że była w Sligo.

- Wszystko jest z nimi w porządku - dodała szybko Sally. - Poznałam ich kiedyś, to ludzie stamtąd, którzy dopiero budują swój własny dom. Przeprowadzili się do Sligo z powrotem z Dublina.

- Sęk w tym, że bez względu na to, co twierdzi Siobhán, ja wcale bym się nie zdziwiła, gdyby pojawił się ktoś jeszcze - stwierdziła Iona.

- A ja jednak nie sądzę - powiedziała Sally. - Bo przecież on nie miałby na to czasu, prawda?

Obie popatrzyły na Franka.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała Iona, gdy Jenna wchodziła do sali z butelką wody smakowej.

- Szkoda, że przed wypadkiem nie zdążył nic zrobić z tą umową najmu - westchnęła Sally. - Zawarł ją początkowo na rok, bo oni mieli wybudować własny dom, ale mają jakieś problemy z pozwoleniem na budowę i teraz chcieliby przedłużyć najem, zanim wszystko załatwią.

- To prosta sprawa - powiedziała Iona. - Kto się tym zajmuje z twojej strony?

- Cóż, rzecz w tym, że zajmował się tym Frank. Nie zmartwili się jakoś specjalnie wypadkiem, ale jak się pojawiła tam Siobhán, to trochę się wystraszyli i zadzwonili do mnie wczoraj wieczorem. Nie mam pojęcia, co mam z tym zrobić. Miałam zadzwonić dzisiaj do księgowego Franka.

- Zajmę się tym, jeśli chcesz - zaproponowała Iona.

- Przynajmniej na tym się znam.

- Naprawdę? - Sally spojrzała na nią z nadzieją. - To byłaby wielka ulga.

- Mamo! - krzyknęła Jenna. - Nie możesz jej prosić, żeby się tym zajęła.

- Czemu? - zapytała Sally.

- To żaden problem - Iona wzruszyła ramionami.

- Przecież nie chcemy, żeby zapanował kompletny bałagan, prawda? - swoją ostatnią uwagę skierowała do Franka.

Siedziały w ciszy wokół łóżka i żadna nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć innym albo Frankowi. W końcu Flora wstała.

- Jenna, pokażesz mi, gdzie jest automat z napojami? - zapytała.

Dziewczyna zgodziła się, wzruszając ramionami.

- Ja też pójdę - stwierdziła Lauren.

Wyszły z sali. Zostały tylko Iona i Sally.

- Widziałam się z Siobhán Farrell - odezwała się w końcu Iona. - Nic nie wspomniała o wizycie w Sligo.

- Czemu się z nią spotkałaś? - Sally wyglądała na zaniepokojoną.

- W całkiem innej sprawie - odpowiedziała Iona.

- Naprawdę?

- Tak - Iona zawahała się, a potem krótko roześmiała.

- Wynajęłam jej mieszkanie.

- Co takiego? - Sally była zaskoczona. - Myślałam, że jest zaręczona i mieszka u swojego narzeczonego.

- Tak było - Iona opowiedziała Sally o zdradzie Eddiego.

- A ona postanowiła, że musi się wyprowadzić?

- Wiesz co, mam wrażenie, że tam jednak chodzi o coś więcej - powiedziała Iona. - Ale nie jestem pewna, o co dokładnie. W każdym razie bardzo się tym zdenerwowała. Znalazłam dla niej apartament w Dún Laoghaire.

- Czy wszyscy mężczyźni to łajdaki? - Sally zadała to pytanie, patrząc wprost na Franka.

- Myślę, że nie - powiedziała Iona. - A przynajmniej mam taką nadzieję.

- To bardzo miła dziewczyna - stwierdziła Sally.

- A z niego niezły przystojniak - dodała Iona.

- Skąd wiesz?

Iona opowiedziała, jak spotkała Eddiego w bloku Siobhán.

- To może coś z tego będzie - powiedziała Sally. - Przynajmniej wiadomo, że mu zależy.

- Och, Sally, Frankowi też zależało - odparła Iona.

- A jednak dzielił swój czas między nas dwie.

Sally przygryzła wargę.

- Tak sobie pomyślałam - stwierdziła Iona. - Może spotkałybyśmy się we trzy, ja, ty i Siobhán?

- Po co?

- Żeby wspólnie spędzić wieczór - odpowiedziała Iona. - Wiesz, takie babskie pogaduszki.

- Przecież ona jest z policji. Nie możemy umówić się na pogaduszki z detektywem, zwłaszcza takim, który przygotowuje sprawę przeciwko naszemu mężowi.

Iona zachichotała.

- Co?

- Naszemu mężowi!

Sally uśmiechnęła się także, choć raczej nieśmiało.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała.

- Jasne. Ale zasłużyłyśmy sobie na miły wieczór - upierała się Iona. - Ty i ja, ciągle tylko tu przychodzimy, żeby z nim posiedzieć. A dzisiaj przybiegłyśmy pędem, bo pojawiła się jakaś nadzieja... Musimy robić też normalne rzeczy.

- Ostatnio nie mam nastroju do zabawy - powiedziała Sally.

- Ja też zwykle nie mam - odparła Iona. - Ale wiem, że nadal potrafię się bawić. I nie wydaje mi się, że powinniśmy tu siedzieć i się umartwiać. Frank też by tego nie chciał. Sama wiesz, że nie. I pomyślałam sobie, że skoro Siobhán rozstaje się z narzeczoną, to może też potrzebuje rozrywki.

- Cóż... okej - odpowiedziała Sally powoli. - Czemu nie.

- Zadzwoń do Siobhán i umówię nas - powiedziała Iona.

Drzwi otworzyły się i do sali wróciły Jenna, Flora i Lauren.

- Coś się wydarzyło?

Sally i Iona jednocześnie pokręciły głowami. Oczy Franka pozostały zamknięte.

Zastanawiał się, czy jest martwy. Zastanawiał się nad tym, bo wciąż słyszał dziwne głosy i ni stąd, ni zowąd znajdował się w sytuacjach, które wydawały mu się znajome, ale nic nie mógł sobie przypomnieć. To było bardzo denerwujące, zupełnie jakby wchodził i wychodził z maszyny czasu. Może to właśnie spotyka człowieka po śmierci, pomyślał. Może jesteśmy raz za razem odsyłani w przeszłość, żeby ponownie przeżyć te momenty, kiedy coś w swoim życiu zepsuliśmy. Tylko że to by było zupełnie bez sensu, prawda? Przecież nie można wiedzieć, że coś się zepsuło, zanim się tego nie zrobi. A skoro nie znamy przyszłości, to co może powstrzymać nas przed zrobieniem czegoś źle jeszcze raz? Westchnął. To wszystko było dla niego zbyt skomplikowane. Chciał odpocząć. Chciał pozbyć się wszystkich myśli i ludzi, którzy kłębili się w jego głowie, a potem nagle znikali. Chciałby spać przez miesiąc.

Nie mógł. Musiał poradzić sobie z sytuacją, w której się teraz znalazł. To było trudne, ale musiał to zrobić. Musiał jej powiedzieć, że jest mu przykro, że popełnił błąd, ale nie może pójść z nią jutro na przyjęcie. Nie powinien był przyjąć jej zaproszenia. Nie miał takiego zamiaru. Ale to była taka nagła propozycja z jej strony, zupełnie go zaskoczyła, i dlatego się zgodził. A teraz ona wpatruje się w niego z zachwytem i radością w oczach.

Dlaczego zgodził się z nią pójść? Przecież nie jest wolnym człowiekiem. Przecież nie może umawiać się z tą dziewczyną na randki. Zmarszczył brwi. Jak, do diabła, ona ma na imię? Była drobna, szczupła, chłopięca i miała szelmowski uśmiech. Troszkę przypominała mu Marion, bo do Sally w ogóle nie była podobna.

Sally, pomyślał nagle. Tak ma na imię jego żona. Przez jakiś czas nie mógł sobie tego przypomnieć, ale teraz już pamiętał. Sally o kasztanowych włosach i porcelanowej cerze. Sally nie byłaby zachwycona, gdyby zaczął przyjmować zaproszenia na imprezy od obcych kobiet. Tak naprawdę to by się wkurzyła. Ale przecież i tak się na niego wkurza. Ciągłe powtarza, że ma już tego dość, że jest wykończona, że chce żeby wrócił do domu i poświęcił czas rodzinie. Nie do końca rozumiał, o co jej chodzi. Chyba... o pracę, tak? Chciał założyć firmę, a Sally nie była z tego zadowolona, bo zaproponował, żeby sprzedali dom i wyprowadzili się z miasta. Wolałaby, żeby sprzedał dom w Sligo, a on nie mógł tego zrobić. Sally nie rozumiała, że nie może sprzedać domu w Sligo, bo gdyby Christine chciała wrócić, to pojechałaby właśnie tam. Nie spodziewał się, że wróci, a może nawet tego nie chciał, ale jednak...

Sally była też zła, dlatego że po przeprowadzce miałyby gorszy dojazd do pracy. Wściekła się, gdy zasugerował, że może już pora, żeby przerwała na trochę pracę, że gdyby została w domu, to może kolejny raz zaszłaby w ciążę, czego oboje pragnęli. Odpowiedziała, że to on chce mieć dużą rodzinę, a jej jedno dziecko w

zupełności wystarcza, i że strata drugiego dziecka była dla niej bardzo trudna i nie wie, czy chciałaby znowu przez coś takiego przechodzić.

To dziwne, pomyślał, jak czas zmienia ludzi. Jak zmienia ich wspólne życie. Do tej pory nie rozumiał, jak Christine mogła wydawać się Derekowi inną osobą, gdy ją poznał, i inną, gdy wrócili razem do Sligo. Ale teraz zaczynał myśleć, że Sally, w której się zakochał, zupełnie się zmieniła. Mimo to ją kochał. Był przekonany, że zawsze będzie ją kochał. Ona mówiła, że też go kocha. Ale on by chciał, żeby go potrzebowała.

Jednak tak nie było. Mogłaby odejść, gdyby zechciała, choć przecież poślubił ją po to, żeby nigdy nie mogła odejść. Ale czasy się zmieniły. To już nie był problem. Nie można zmusić człowieka, żeby z tobą był, jeśli tego nie chce. I Sally nie odeszłaby sama. Nie była jak Christine. Zabrałaby z sobą Jennę i zostawiłaby go zupełnie samego. Zadrżał na myśl o pozostaniu całkiem sam. Nie może dopuścić, żeby to się stało. Naprawdę nie może. Wciąż ją kochał, ale gniewał się, że przez nią nagle poczuł się całkiem bezbronny. Powiedziała, że nie może ciągle dbać o jego ego i mówić mu, że pewne rzeczy są nieważne, skoro tak nie jest. Zapytał, jakie rzeczy. Wymieniła jego zmienne nastroje, irytację, to że w swoich planach nie uwzględnia jej zdania. Myślała, że może przestała mu już wystarczać i że ich małżeństwo już się dla niego nie liczy. Nie miał pojęcia, że ona tak się czuje. Powiedział jej, że jest niemądra i że ją kocha, ale nie miał całkowitej pewności, czy mu uwierzyła.

Wciąż czuł się urażony i zły, kiedy spotkał... tę dziewczynę. Ona była taka słodka i miła, że nie potrafił odrzucić jej zaproszenia. I teraz jest w sali balowej dublińskiego hotelu z kobietą, której nie zna, i słucha, jak jakiś koszmarny didżej puszcza muzykę z lat siedemdziesiątych. Ona uśmiecha się do niego, pochylając się tak, że pod cieniutką szarosrebrną sukienką, którą ma na sobie, dostrzega jej jędrny biust. Przy niej nie czuje się ani urażony, ani zły. Kiedy patrzy na niego tymi swoimi granatowymi oczami, sprawia, że czuje się pożądanym i kochanym. Ale również winnym, dlatego że nie powinien tu z nią być. Nawet jeśli ona chwytą go za rękę i prowadzi na parkiet, bo didżej gra „Manic Monday”, a to, jak mówi, jest jedna z jej ulubionych piosenek. I nagle znajdują się z powrotem w jej domu, niemal przezroczysta sukienka leży na podłodze przy łóżku, ona znowu się do niego uśmiecha, a on chce z nią być i pragnie, żeby było jej dobrze, bo ona sprawiła, że jemu jest dobrze. Więc odsuwa od siebie poczucie winy i też się uśmiecha.

- Uśmiecha się - powiedziała nagle Sally, wpatrując się we Franka. - O, mój Boże, on naprawdę się uśmiecha.

Wszystkie już na niego patrzyły.

- Hej, Frank! - Iona ujęła jego dłoń. - Słyszysz mnie?

Uśmiech nagle zniknął z jego twarzy, która znowu się zmieniła w pozbawioną wyrazu maskę. Wypuściła jego dłoń, a ona opadła na narzutę.

- Musiał o czymś myśleć - powiedziała Sally.

- Może o tobie - zasugerowała Iona. - Albo o Jennie - rzuciła szybkie spojrzenie na nastolatkę, która wpatrywała się we Franka z mieszaniną nadziei i rozpacz w oczach.

- Pewnie myślał o pizzy - powiedziała nagle Jenna, nadal uważnie obserwując ojca. - Albo o lodach. Zawsze się uśmiechał na myśl o jedzeniu.

Rozdział 28

Jak tylko Iona otrzymała pocztą umowę najmu, uaktualniła ją i odesłała do Sally. Potem zadzwoniła do Siobhán Farrell, żeby zapytać, czy ma ochotę wybrać się z nimi na kolację.

- Czemu? - zapytała Siobhán podejrzliwie. - Co się stało?

- Nie, nic się nie stało - Iona opowiedziała jej o wizycie u Franka i tym, jak nagle przyszło jej do głowy, że im wszystkim dobrze zrobiłby wspólny wieczór. - O nim też możemy rozmawiać, jeśli będziesz chciała - powiedziała. - Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, które chciałabyś nam zadać. Ale tak szczerze mówiąc, to po prostu mamy ochotę na wspólne wyjście.

- Przecież wy się z Sally nienawidzicie - stwierdziła Siobhán.

- Wcale nie - Iona dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej pomysł musiał wydać się Siobhán szalony, jeszcze kilka tygodni temu była przecież na Sally wściekła. Teraz jednak nie było już sensu się złościć. - Musiałyśmy pogodzić się ze swoim istnieniem - wyjaśniła Siobhán. - I... no cóż, chyba ją polubiłam.

- Naprawdę? - Siobhán wciąż była sceptyczna.

- Tak, naprawdę - powiedziała Iona. - Posłuchaj, w tej całej poplątanej sprawie to Frank jest tym złym, a nie Sally albo ja czy Jenna.

- Cóż... - Siobhán nadal miała wątpliwości. Jednak, pomyślała sobie, stukając ołówkiem w notes na biurku, spotkanie z paniami Harper w okolicznościach towarzyskich to może nie jest taki zły pomysł. Co prawda zakończyła już swoją pracę nad tą sprawą, ale nigdy nie wiadomo, czego może się dowiedzieć. - A co konkretnie planujecie? - zapytała.

- Żeby się spotkać gdzieś w Dún Laoghaire - szybko odpowiedziała Iona. - Wszystkim będzie wygodnie tam dotrzeć. Ty tam mieszkasz, Sally przyjedzie kolejką z Bray, a ja z Connolly. Z mieszkaniem nadal wszystko w porządku?

- Jest super - odpowiedziała Siobhán. - To bardzo fajny blok.

- To dobrze. A u ciebie wszystko okej? Siobhán odkasznęła.

- Okej - powiedziała. - U mnie okej.

- No to... - powiedziała Iona zdecydowanym tonem - co powiesz na ten weekend?

- Mam wolne w piątek - odparła Siobhán.

- W takim razie piątek. Dam znać Sally. Zaproponujesz jakieś miejsce?

Siobhán zasugerowała, że mogą się umówić w niedawno otwartej restauracji z barem nad samym morzem, a Iona się zgodziła.

- Tak koło siódmej - powiedziała. - To do zobaczenia w piątek!

Siobhán rozłączyła się i schowała komórkę z powrotem do kieszeni. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w monitor komputera. Nie wiedziała, czemu przyjęła zaproszenie na spotkanie z Sally i Ioną. Chyba mogło ją usprawiedliwić to, że prowadziła tę sprawę, chociaż zrobiła już wszystko, co było w jej mocy, oczywiście poza przesłuchaniem samego Franka Harpera. Jego żony nie mogły dostarczyć jej żadnych nowych informacji, a pójście na kolację z dwoma głównymi świadkami nie najlepiej świadczyło o jej profesjonalizmie,

Siobhán polubiła je obie, jednak powinna mieć się na baczności, nawet jeśli uważa sprawę za praktycznie zamkniętą. Nie chciała, żeby na komisariacie opowiadano potem przez lata historię o pewnej policjantce z dochodzeniówki wplątanej w sprawę o bigamię.

Ale przecież... zrobiła wszystko, co możliwe, żeby sprawdzić Franka. W kartotekach nie było jego odcisków palców w Wielkiej Brytanii nikt o nim nie słyszał, najemcy w Sligo byli w porządku, a spotkanie z nimi i w ogóle cała podróż na północny zachód okazały się całkiem przyjemne.

- Uroczy człowiek - powiedziała jej Sorcha Sheerin - Naprawdę uprzejmy i przemyły. Oczywiście, nasze rodziny się znały.

Siobhán wypytała Sorchę i jej męża o rodzinę Harperów a informacje, które od nich uzyskała, w pełni zgadzały się z tym, czego wcześniej udało jej się dowiedzieć: że Christine i Derek Harperowie tam mieszkali, że nie mieli ślubu, tylko że wtedy nikt o tym nie wiedział, że Christine zostawiła Dereka z dzieckiem i że Derek zmarł szesnaście lat temu.

Ciekawe, pomyślała Siobhán, że Derek nie ożenił się z Christine. Chyba trudno było wychowywać samotnie dziecko w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zwłaszcza, że matka dziecka go porzuciła. Wtedy w Irlandii takie rzeczy się po prostu nie zdarzały. Zastanawiała się, jakim ojcem był Derek.

Dzwonek biurowego telefonu wyrwał ją z zadumy.

- Siobhán Farrell - przedstawiła się.

- Cześć Siobhán - powiedział Eddie.

Cicho jęknęła. W tym momencie zupełnie nie miała ochoty z nim rozmawiać.

- Co chciałeś? - zapytała.

- Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie - odpowiedział.

- Jak się miewasz.

- Dobrze - odparła.

- A ja nie - stwierdził Eddie.

- Co masz na myśli? - serce zaczęło jej szybciej bić. A jeśli w badaniach była pomyłka? A jeśli Eddie jednak zaraził się jakąś chorobą weneryczną?

- Tęsknię za tobą po prostu - odpowiedział. Serce Siobhán wróciło do normalnego tempa.

- Proszę cię, Siobhán. Wybacz i zapomnij.

- Nie jestem jeszcze gotowa.

- Nosisz jeszcze pierścionek ode mnie? - zapytał. Spojrzała na swoją lewą dłoń.

- Tak.

- Kochasz mnie jeszcze?

- Nie mam zamiaru teraz o tym rozmawiać - odparła.

- A, Eddie, tak przy okazji...

- Co?

- Nie zakradaj się już do mojej skrzynki pocztowej.

- Co takiego? - w jego głosie słychać było konsternację.

- Jestem detektywem - odpowiedziała. - Moja praca polega na dowiadywaniu się różnych rzeczy.

- Ja tylko...

- Nie obchodzi mnie, co robisz - powiedziała. - Tylko więcej tego nie rób.

Eddie zacisnął zęby.

- Okej - powiedział.

- Eddie?

- Tak?

- Nie mówię, że cię nie kocham.

- Jezu, Siobhán - powiedział oschle. - Rzeczywiście, od razu poczułem się lepiej.

Odłożyła słuchawkę i znowu zaczęła wpatrywać się w monitor. Telefon zadzwonił po raz kolejny. Mam nadzieję, że to jakaś zwykła i przyjemna sprawa, na przykład morderstwo, pomyślała, podnosząc słuchawkę. Problemów rodzinnych mam jak na razie zupełnie dosyć.

* * *

Sally była w pokoju nauczycielskim i rozmawiała przez telefon z Richardem Moranem, księgowym Franka. Zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, że trzeba podjąć jakieś decyzje w sprawie firmy. Frank prawdopodobnie jeszcze długo nie będzie w stanie się nią zająć. Jako członek zarządu Sally była upoważniona do podejmowania decyzji dotyczących przyszłości firmy.

- To Frank nie musi wszystkiego podpisywać? - zapytała.

- O ile wiem, nie - odpowiedział Richard. - Pani to może robić.

- Firma jest w ogóle coś warta? - zapytała Sally. - Są jacyś chętni do jej nabycia?

- Tak - odparł Robert. - Czy może pani przyjść do biura, żebyśmy o tym porozmawiali?

- Jak tylko skończy się rok szkolny - powiedziała. - Teraz nie będę mogła wyrwać się w ciągu dnia.

- Dobrze - odpowiedział Richard. - Przez krótki okres możemy to jeszcze pociągnąć, ale jest wiele nowych instalacji, które Frank miał robić. Jeśli rzeczywiście mają być wykonane, to musi pani znaleźć kogoś, kto je przejmie.

- Mogę kogoś wyznaczyć? - Sally żałowała, że nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu biznesu.

- To musi być ktoś z odpowiednimi kwalifikacjami - odpowiedział Richard. - Nie można na chybił trafił wybrać kogoś z książki telefonicznej.

- Wiem - zirytowało ją, że traktuje ją z góry. - Zadzwonię do pana w przyszłym tygodniu i coś ustalimy.

Wsunęła telefon z powrotem do torebki i nalała sobie filiżankę herbaty, a potem usiadła w jednym z bardzo niewygodnych foteli. Zastanawiała się, czy dyrektorka celowo kupiła niewygodne fotele, żeby nauczyciele za długo tu nie przesiadywali. Popijała herbatę małymi łykami. Miała teraz okienko, które zamierzała wykorzystać na sprawdzenie prac domowych trzeciej klasy, ale najpierw chciała chwilę odpocząć. Coraz trudniej było koncentrować się przez całą lekcję. Czasem jej myśli krążyły wokół Franka i tego, w jakim jest stanie, ale coraz częściej dotyczyły jej własnej sytuacji. Cięża była już bardziej widoczna. Zaczynała się zastanawiać nad konsekwencjami tego, że urodzi dziecko, podczas gdy Frank wciąż będzie leżał w szpitalu. Miała jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Choć nastąpił ten niby-przełom, kiedy się wydawało, że Frank reaguje na głosy, okazało się, że tak naprawdę nic się nie zmieniło, a na jej głos w ogóle nie reagował. Łajdak!

Wypiła herbatę do końca i wzięła pierwszą ćwiczeniówkę.

- Nie przeszkadzam ci? - Marsha Tyndall usiadła obok niej. Sally z trudem powstrzymała pełne irytacji westchnięcie. Odłożyła zeszyt i spojrzała na nauczycielkę geografii.

- O co chodzi? - zapytała.

- Chciałam zamienić z tobą słówko - powiedziała Marsha. - Na temat Jenny.

Sally zmrużyła oczy.

- Co z nią?

- Muszę ci powiedzieć, że na lekcjach zachowuje się naprawdę okropnie - stwierdziła Marsha. - Nie reagowałam za ostro, ze względu na całą tę historię z... z jej tatą, ale szczerze mówiąc, Sally, to mam już tego dosyć.

- Co robi? - zapytała Sally.

- Nie słucha. Rozmawia. Komentuje - Marsha wzruszyła ramionami. - Zadałam jej dodatkową pracę domową, ale jej nie odrobiła. Wygląda na to, że pokłóciła się również ze swoją przyjaciółką, Sam. Na początku tygodnia mało sobie w szatni oczu nie wydrapały. Jenna trzyma teraz z Aline Keogh i jej paczką, a wiesz jakie one są! Interesują je tylko chłopcy, makijaże, a już najmniej obowiązki.

- Cholera - wyrwało się Sally.

- Przepraszam, że ci to mówię - dodała Marsha ze współczuciem. - Jestem pewna, że ona tylko przechodzi taki trudny okres. Wiesz, jak to z nimi jest.

- Och, pewnie, że wiem - powiedziała Sally. - A ona przechodziła ciężki okres jeszcze przed tym wypadkiem, ale miała choć tyle przyzwoitości, żeby odrabiać prace domowe.

Marsha się uśmiechnęła.

- To jest przecież dobra dziewczyna i nie chciałabym, żeby zeszła na złą drogę.

- Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie - powiedziała Sally. - Będę musiała z nią porozmawiać. Nie podoba mi się ta przyjaźń z Aline.

- Gdyby tylko przeszkadzała na lekcjach, ale wciąż kolegowała się z Sam, to nic bym ci nie mówiła - powiedziała Marsha. - Ale Aline... jestem w stu procentach pewna, że ta dziewczyna wpadnie w poważne tarapaty i to jeszcze zanim skończy szkołę.

Sally masowała sobie kark.

- Wiem. Mam tylko nadzieję, że nie wciągnie w to Jenny. Dzięki, że mi powiedziałaś. - Znów wzięła do ręki ćwiczeniówkę, choć wiedziała, że w tym momencie na pewno nie będzie potrafiła skupić się na geometrii.

* * *

Żar lał się z nieba i Frank był bardzo zadowolony, że wynajęty ford ma klimatyzację. Spojrzał na siedzącą obok niego dziewczynę, która pędziła autostradą w kierunku nadmorskiego miasteczka Jávea. Tam mieszkali jej rodzice, a on miał ich poznać.

Dlaczego, zastanawiał się, dlaczego mam poznać jej rodziców? Jeśli to spotkanie biznesowe, to przecież nie mam z sobą garnituru. I skąd się w ogóle wzięłem w Hiszpanii? Wiedział, że jest w Hiszpanii, bo właśnie minęli znak wskazujący kierunek na Benidorm. Odwiedził kiedyś Benidorm z kilkoma kumplami. To były wakacje pod znakiem morza, plaży i seksu, choć on akurat przeżył wtedy najmniej przygód miłosnych ze

wszystkich. Nie podobała mu się koncepcja spędzenia z kimś tylko jednej nocy, więc znalazł miłą dziewczynę, która została jego wakacyjną miłością, choć oboje wiedzieli, że ich związek długo nie potrwa.

Ale to nie ta dziewczyna. Zmarszczył brwi. Z tą się ożenił. Przypomniał sobie. Poślubił ją niedawno na jakiejś wyspie. Przyplłynęła łodzią, a on nie mógł sobie przypomnieć, jak ona ma na imię. Myślał, że Sally, ale był jednocześnie przekonany, że Sally to ktoś inny. Za każdym razem jednak, gdy wypowiadał w myślach to imię, wydawało mu się właściwe. Imiona Frank i Sally doskonale do siebie pasowały.

- Denerwujesz się? - spojrzała na niego, a w jej oczach błysnęły figlarne ogniki.

- Czym miałbym się denerwować? - zapytał.

- Spotkaniem z moimi rodzicami - odpowiedziała. - To ważne wydarzenie. Wasze pierwsze spotkanie.

Spotkanie z rodzicami! Psiakrew, pomyślał. Nie bardzo miał ochotę spotykać się z jej rodzicami, skoro nawet nie pamiętał jej imienia. Ponownie zmarszczył brwi. Już to kiedyś zrobił. Był o tym przekonany. Spotkał już jej rodziców i był też pewien, że zwracali się do niej Sally, więc może ponieważ ewidentnie zaszła tu jakaś koszmarna pomyłka, najlepiej będzie się z nią zgadzać i nic nie mówić.

- Polubią cię - powiedziała.

- Mam nadzieję.

- Och, z pewnością. A ciebie zachwyci ich willa. Kiedyś będę chciała ją od nich odkupić i przeprowadzić się tutaj - zachichotała. - No... być może. Jesteś teraz moim mężem i możesz mieć inne plany.

- Willa w Hiszpanii brzmi nieźle.

- Będziemy mogli uprawiać oliwki. I pomarańcze.

Nie wyglądała mu na osobę, która znalazłaby spełnienie w sadownictwie.

Roześmiała się głośno.

- Och, Frank! Ale masz minę! Nie martw się, kochanie. Nie zmienię się w wieśniaczkę. Jestem dziewczyną z miasta. Jeśli kiedykolwiek przeniesiemy się do Hiszpanii, to chciałabym mieszkać w apartamencie w Madrycie albo w Barcelonie...

- Uważaj! Ta ciężarówka...

Wykonała nieelegancki gest w stronę kierowcy cysterny, która ich wyprzedziła. A potem mocno wcisnęła nogą pedał gazu, żeby go dogonić.

- Nie rób tego - powiedział.

- Czemu?

- To nie ma sensu - powiedział. - Dużo ostatnio jeżdżę i wiem, że na drodze najważniejszy jest spokój.

Nigdy nie pozwalaj, żeby ktoś cię zdenerwował.

- To twoja życiowa filozofia? - zapytała, zwalniając.

- Oczywiście.

- Niech ci będzie.

Jechali w milczeniu. Jest dobrym kierowcą, pomyślał, ale zbyt agresywnym. Powinna się zrelaksować. Sam chciałby czuć się bardziej zrelaksowany. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zaraz stanie się coś okropnego. Dlatego tak się spiął, kiedy zaczęła przyspieszać.

- Tutaj skręcamy - powiedziała w końcu.

Mówiła mu, że rodzice mieszkają w willi, więc wyobrażał sobie zrujnowaną chatę na środku suchego pustkowia, otoczoną kilkoma krzaczastymi oliwnymi drzewami. Ale dom był pięknie odnowiony i bardzo dobrze utrzymany. Ściany pomalowano na biało, a dach pokrywały błękitne dachówki, co, jak mu wyjaśniła, było typowe dla domów w Walencji. Po drugiej stronie podjazdu na drzewach o bujnym listowiu dostrzegł mnóstwo krągłych oliwek. Góry widoczne za domem zdawały się swymi purpurowymi szczytami sięgać błękitu nieba.

- Palmy winne - powiedziała, wyskakując z samochodu. - Niezbyt oryginalnie, ale co tam.

Drzwi willi otworzyły się i wyszła przez nie wysoka kobieta. Od razu dostrzegł łączące je podobieństwo.

- Iona! - wykrzyknęła. - Jak miło cię widzieć.

Iona! Teraz sobie przypomniał. Jak mógł zapomnieć? Mimo wszystko... jeśli ona ma na imię Iona, a on jest jej mężem... to dlaczego jest święcie przekonany, że jest mężem kobiety o imieniu Sally?

Rozdział 29

Siobhán dotarła do restauracji jako pierwsza. Chciała sprawdzić, czy Sally i Iona pojawią się tam razem czy osobno, więc przybyła na miejsce kwadrans przed czasem. Ponieważ był to kolejny przepiękny dzień, a wieczorne powietrze było przyjemnie ciepłe, usiadła przy jednym ze stolików ustawionych na zewnątrz. Zamówiła kieliszek wina i zaczęła obserwować ludzi spacerujących nadmorskim bulwarem, podczas gdy w tle kilka małych łodzi muskało zielononiebieską wodę Morza Irlandzkiego.

Wypiła mniej więcej jedną czwartą kieliszka, gdy pojawiła się Sally. Wyglądała na nieco zdyszana, a wieczorna bryza potargała jej włosy. Siobhán uniosła rękę na powitanie.

- Witam - Sally zajęła miejsce obok niej. - Przepraszam za spóźnienie.

- Bardzo niewielkie - odparła Siobhán. - Tylko pięć minut.

- Nie cierpię tego irlandzkiego zwyczaju ciągłego spóźniania się - powiedziała Sally. - Nie znoszę niepunktualności, ale spóźniłam się na pociąg. Jenna i ja... zresztą to nieważne. - Otworzyła torebkę, wyjęła grzebień o szeroko rozstawionych zębach i przecesała nim włosy. - Przepraszam. To niegrzeczne z mojej strony. Powinnam zrobić to w łazience.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała Siobhán. - Napijesz się jakiegoś drinka?

- Poproszę wodę - Sally nieświadomie dotknęła swojego zaokrąglonego brzucha. - Ale gazowaną.

Siobhán zamówiła wodę i spojrzała na zegarek.

- Iona się rzeczywiście spóźnia.

- Dzisiaj była jej kolej w szpitalu - powiedziała Sally. - Na pewno najpierw pojechała odwiedzić Franka.

- Och.

Sally zacisnęła szczękę.

- Może coś się stało. Może on się obudził. Chyba powinnam do niej zadzwonić.

- Jestem pewna, że zadzwoniłaby do ciebie, gdyby się obudził - powiedziała Siobhán.

- Myślisz?

- A ty nie?

Sally z powrotem wsunęła grzebień do torebki.

- Pewnie by zadzwoniła - powiedziała, choć w głębi duszy nie była tak do końca przekonana. - Obiecałyśmy to sobie.

- Myślę - powiedziała Siobhán - że coś ją po prostu zatrzymało.

- Wiem - Sally napiła się wody, która przed chwilą pojawiła przed nią na stole. Westchnęła. - To okropne tak ciągle ją podejrzewać i bać się, że może zdobyć jakąś przewagę.

- Przypuszczam, że to raczej ona myśli, że ty masz przewagę.

Sally się roześmiała.

- Nie sądzę.

- Czemu? W końcu on jest twoim mężem.

- Ale ją poznał później - odparła cierpko Sally.

- To wszystko musi być bardzo trudne - powiedziała Siobhán.

- To jest nie do zniesienia - stwierdziła Sally. - Ale jakoś musimy z tym żyć. I... - lekko się uśmiechnęła - chyba nic się nie stało, bo Iona już jest.

Iona pomachała, szybkim krokiem zbliżając się do ich stolika.

- Bardzo przepraszam - powiedziała, odsuwając sobie krzesło - telefon zadzwonił akurat jak wychodziłam. Dzwoniła moja mama, żeby pozrzedzić. Nic ważnego.

- Sally myślała, że może coś stało się z Frankiem - powiedziała Siobhán - i że to zatrzymało cię w szpitalu.

- Nie byłam w szpitalu - Iona spojrzała na nie swymi ciemnymi oczami. - Musiałam pokazać jedno mieszkanie o piątej i nie zdążyłabym pojechać do domu, żeby się przebrać i tu zdążyć.

- To przez cały dzień nikt u niego nie był! - powiedziała Sally.

- Sally, przykro mi to mówić, ale on raczej tego nie zauważył - odpowiedziała Iona.

- Wiem. Ale... ja mogłam pojechać - powiedziała Sally.

- Ale wtedy nie zdążyłabyś przyjechać tutaj. Bądźmy rozsądne - Iona wzruszyła ramionami i zatrzymała przechodzącą kelnerkę, żeby zamówić bacardi z colą. - Dietetyczną - dodała. - Innej nie lubię.

- Może dzisiaj był właśnie ten dzień - powiedziała Sally. - A żadnej z nas u niego nie było.

- Sally, gdyby cokolwiek się zmieniło, zadzwoniliby do nas - odpowiedziała Iona. - Wiem, że zawsze masz włączoną komórkę. I nikt nie dzwonił. Jak ostatnio mnie nie było, to też nic się nie stało.

Sally rzuciła jej przenikliwe spojrzenie.

- Wtedy, kiedy nie można było się z tobą skontaktować?

- Skąd wiesz? - zapytała Iona.

- Twoja siostra zadzwoniła do mnie, pytając o ciebie.

- Na litość boską! - Iona była zia, że Lauren nie powiedziała jej o tym. Nie chciała, żeby Sally w ogóle wiedziała o wyjeździe.

- Miałam sprawdzić, czy pojawiłaś się wtedy w szpitalu, ale nie zrobiłam tego. A potem było to całe zamieszanie z reagowaniem przez Franka na dźwięki, więc zupełnie wypadło mi to z głowy.

- Nieważne.

- Gdzie byłaś? - zapytała Sally.

Iona westchnęła.

- Musiałam sobie zrobić przerwę - powiedziała. - Miałam już dość.

- Dokąd pojechałaś?

Iona opowiedziała o wyprawie do Nowego Jorku, a Sally słuchała jej w zdumieniu.

- Dlatego tak bardzo się dziwię, że mogliście być razem - powiedziała do Iony. - Jesteś zupełnie inna niż ja. Kierujesz się impulsami, ja nie. I Frank też raczej nie zachowywał się impulsywnie.

- Bo nie mógł sobie na to pozwolić - stwierdziła Iona.

- Mógłby popełnić błąd i wszystko by się wydało.

Sally w zamyśleniu pokiwała głową.

- I to dopiero przypadek sprawił, że wszystko się wydało.

- Tak to już jest - Siobhán wtrąciła się do rozmowy.

- Sprawy kryminalne zawsze wydają się przez jakiś drobny przypadek.

Sally i Iona popatrzyły na nią.

- Frank nie jest kryminalistą - powiedziała Sally spokojnym tonem.

- Ja... hm... cóż, może nie do końca - Siobhán żałowała, że się odezwała.

Przez chwilę wszystkie trzy siedziały w milczeniu.

- Och, nie przejmuj się - powiedziała Iona. - Nie przyszliśmy tu po to, żeby rozgrzebywać sprawę Franka. Mamy się dobrze bawić.

- Do dobrej zabawy to trzeba było znaleźć sobie lepsze towarzystwo - zwróciła uwagę Siobhán. - W końcu poznałyśmy się jakby nie było przez Franka.

- Tak, wiem o tym - Ionie opadły ramiona. - To chyba był bardzo głupi pomysł.

- Wcale nie - powiedziała Sally. - Naprawdę. Łatwiej nam jest razem, bo wszystkie znamy prawdę o Franku. Tylko powinniśmy porozmawiać o kimś... albo o czymś innym.

- Dobrze - powiedziała Iona. - Nie rozmawiamy o Franku. Pogadajmy... no nie wiem... o problemie pokoju na świecie?

Pozostałe kobiety zachichotały.

- No cóż - ciągnęła dalej Iona - ponieważ temat światowego pokoju odpada, to może wy coś zaproponujecie?

- Ja nie mam pomysłu - stwierdziła Sally. - Ale ty, Siobhán, na pewno coś wymyślisz. Może jakaś najnowsza afera?

- Ja się nie zajmuję aferami - odparła Siobhán. - Badam sprawy kryminalne.

- Tak, ale na pewno wiesz, co w trawie piszczy - powiedziała Iona z nadzieją w głosie. - Może któryś minister wplątał się w jakieś podejrzane interesy?

Siobhán się roześmiała.

- Nie mam pojęcia.

- O rany - skrzywiła się Iona - można by pomyśleć, że mieszkamy w państwie bez przestępców. A jak się czyta gazety, to człowiek myśli, że czają się za każdym rogiem. Czytacie Carla O'Connora w popołudniówce? Można odnieść wrażenie, że całe państwo nam się sypie.

- Nie wspominaj przy mnie o O'Connorze - powiedziała Siobhán.

- Siobhán! - Sally zaintrygowała determinacja w głosie policjantki. - Dlaczego? Co on zrobił?

- Och, nic takiego - Siobhán żałowała, że o nim wspomniała. - Mieszka w tym samym bloku co Eddie, i tyle. Widywałam go dość regularnie, a on zawsze na mnie napadał, bo ma uraz do policji. A do mnie w szczególności.

Sally i Iona przyglądały się jej uważnie.

- Jaki uraz?

- Chyba nie lubi, jak kobieta ma władzę - odpowiedziała szybko.

- Dlaczego? - zapytała Iona.

- Taki już jest - odparła Siobhán. - Ale próbuje to ukryć i czasem stara się być miły...

Iona i Sally wymieniły spojrzenia.

- Co to znaczy, że stara się być miły? - zapytała Sally.

- A co to ma do rzeczy?

- Nie upieraj się - poprosiła Iona. - Opowiedz nam.

Siobhán aż zamknęła oczy, gdy przypomniało jej się upokorzenie, które przeżyła, gdy zatrzęsnęły się drzwi do mieszkania, a ona stała na korytarzu w baskince i francuskich szortach. Jednocześnie poczuła rozpacz, że jej relacje z Eddiem tak diametralnie się zmieniły.

- Hej, Siobhán, wszystko w porządku? - Iona wydawała się zaniepokojona.

Siobhán mocniej zacisnęła powieki, a potem otworzyła oczy.

- W porządku - odpowiedziała.

- Posłuchaj, przepraszam, jeśli zdenerwowałam cię, wspominając o nim - powiedziała Iona. - Nie wiedziałam, że coś dla ciebie znaczy.

- On nic dla mnie nie znaczy, absolutnie nic - szybko odparła Siobhán. - Tyle że... - przygryzła wargę. Iona i Sally poczuły się niezręcznie, obserwując, jak stara się z powrotem nad sobą zapanować. Żadna z nich nigdy dotąd nie widziała, żeby Siobhán zabrakło słów, ale w tym momencie dziewczyna była po prostu zrozpaczona.

- Nie martw się - powiedziała Sally. - Pogadamy o czymś innym.

- Nie - Siobhán z trudem przełknęła ślinę. - Nie. Tak naprawdę to z chęcią o tym porozmawiam. Nie mogłam... Nie mam komu o tym opowiedzieć.

- No to możesz nam - powiedziała Iona. - Nam akurat trudno byłoby kogokolwiek krytykować.

- Ty już trochę wiesz - stwierdziła Siobhán. - Znalazłaś mi mieszkanie.

- O rety! - Sally spojrzała na Siobhán szeroko otwartymi oczami. - Miałaś romans z tym pismakiem i twój narzeczony was przyłapał?

Siobhán zachichotała cicho.

- Nie. Chyba obie wiecie, że mój chłopak miał przygodę.

- Spojrzała na Ione, która lekko się zaczerwieniła.

Siobhán zna się na ludziach, pomyślała Iona. Domyśliła się, że nie zachowałam tego dla siebie.

- Cóż - ciągnęła dalej Siobhán. - Trudno to nawet nazwać przygodą. - Opowiedziała im o szczegółach wieczoru, jaki Eddie spędził u Petera Murtaugha. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mógłby zrobić coś takiego - dodała. - I nie wiem nawet, czy w ogóle zamierzał mi o tym powiedzieć.

Sally zmarszczyła brwi.

- Ale co to ma wspólnego z tym dziennikarzem? - zapytała.

- Ach, no tak... - Siobhán opowiedziała im całą historię. Iona próbowała się powstrzymać, ale kiedy wyobraziła sobie Siobhán stojącą na korytarzu w bieliźnie, zachichotała. Sally też zaczęła chichotać, a Siobhán, która była wcześniej bliska łez, leciutko się uśmiechnęła.

- Wiem, że to nie jest śmieszne - powiedziała Iona.

- Naprawdę. Ale ty stojąca przed tym dziennikarzem w staniku i majtkach!

- Gdyby to jeszcze był zwykły stanik i majtki - powiedziała z żalem Siobhán. - Ale to był taki fikuśny komplecik.

- Dlaczego faceci są tacy głupi? - zapytała Sally. - Czemu są takimi... takimi dupkami?

- Nie wiem - westchnęła Iona. - Nie uważałam Franka za dupka.

- Oczywiście, że nie. Ja też nie - powiedziała Sally energicznie. - Ale okazało się, że nim jest. Tak samo jak facet Siobhán. I ten dziennikarz...

- Tak naprawdę to on wcale nie okazał się dupkiem - zaprotestowała Siobhán.

- Śmiał się z ciebie - upierała się Sally.

- Tak, ale ja chyba rzeczywiście śmiesznie wtedy wyglądałam - przyznała Siobhán z przekąsem. - I cóż... muszę przyznać, że był dla mnie raczej miły. Podśmiewał się ze mnie, ale nie złośliwie.

- Co za różnica? - Sally wciąż była oburzona.

- Może to leży w ich naturze - Iona popijała bacardi, które kelnerka postawiła przed nią kilka minut wcześniej. - Wiecie, może po prostu nie mogą się powstrzymać. Wszędzie przecież piszą, że mężczyznami rządzą ich fiuty.

- Iona!

- Przecież to prawda - powiedziała stanowczo. - Frank związał się ze mną... przykro mi, że to mówię, Sally... dlatego, że w łóżku było nam fantastycznie.

- Akurat w tej dziedzinie nie mieliśmy z Frankiem żadnych problemów - powiedziała Sally z naciskiem.

- Pod względem seksualnym układało nam się doskonale. - Zmrużyła oczy. - Chyba nie mówił, że było inaczej? Chyba nie mówił, że już mu się nie podobam?

- Sally, ja nie miałam pojęcia, że ty istniejesz. Nigdy o tobie nie wspomniał, a ja chyba po prostu założyłam, że...

- Skąd takie założenie? - zapytała Sally. - Przecież jestem, do cholery, w ciąży, prawda?

- Tak, ale to tylko znaczy, że uprawialiście seks, a nie, że to był dobry seks - odpowiedziała Iona.

- Mieliśmy z Frankiem fantastyczny seks! - krzyknęła Sally.

Siobhán i Iona zerknęły na ludzi siedzących przy stolikach obok, którzy odwrócili się w ich stronę, słysząc podniesiony głos Sally.

- Fantastyczny - powtórzyła już ciszej. - I to za każdym razem.

Iona przygryzła wargę.

- A ja myślałam, że to właśnie przez seks - powiedziała niespokojnym tonem. - Wiem, że jesteś w ciąży, ale... wiesz... jesteś ode mnie starsza i myślałam...

- Super - odpowiedziała gorzko Sally. - Myślałaś, że zerznął mnie w zeszłym roku jeden raz i to tylko ze współczucia dla starej baby i, niestety, akurat zrobił mi dziecko.

- Boże, nie. Wcale nie - Iona była poruszona.

- Mieliśmy bardzo udane życie seksualne, a on kochał się ze mną za każdym razem, gdy wracał do domu, a to znaczy, że spał ze mną tuż po tym, jak spał z tobą.

- A ze mną spał zaraz po tym, jak spał z tobą - odpowiedziała Iona zdecydowanym tonem. - Chryste. Może my też powinniśmy się zbadać.

- Ja na pewno nie - burknęła Sally. - Spałam tylko z nim.

- Też coś! Ja też spałam tylko z nim!

- Możecie być z siebie dumne - wtrąciła oschle Siobhán. - Ja też byłam Eddiemu wierna, ale to w niczym nie pomogło.

- Och, Siobhán, przepraszam - Iona popatrzyła na nią ze skrucą. - Ty rzeczywiście masz się czym martwić pod względem zdrowia, a my tu... sprzeczamy się, która była lepszą kochanką.

Siobhán wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę to już się nie martwię - powiedziała.

- Jak wam wspomniałam, nie spaliśmy z sobą od jego powrotu. Więc nie w tym problem. Rzecz w tym, czy w ogóle powinnam się zastanawiać nad tym, czy do niego wrócić.

- Najważniejsze jest to, Siobhán - powiedziała Sally - że wcale nie musisz mu wybaczyć i zapomnieć. Jesteś z nim tylko zaręczona, nie jesteście po ślubie, nie obiecywałaś mu miłości i wierności aż po grób. Możesz po prostu odejść.

- Ale nie chcę - Siobhán zaprotestowała. - A przynajmniej... dla mnie to *była* miłość aż po grób. I myślałam, że z jego strony też. Planowaliśmy ślub. Mieliśmy być z sobą na zawsze. To że jeszcze nie poszliśmy do ołtarza, niewiele zmienia. I chociaż czuję się oszukana, zraniona, wściekła i tak dalej, to nie mogę o tym wszystkim zapomnieć, nawet jeśli rozum podpowiada mi, że powinnam.

- Ja próbowałam uciec od tej całej sytuacji z Frankiem - powiedziała Iona. - Nie chodziłam do szpitala. Zamiast tego siedziałam w domu i płakałam.

Sally spojrzała na nią z zaniepokojeniem.

- To nie była moja wina.

- Wiem, wiem - odparła Iona. - Okazałaś miłosierdzie i powiedziałaś w końcu, że mogę przychodzić i go odwiedzać.

- Jeśli zamierzasz ciągle się mnie czepiać, to nasze spotkanie chyba nie ma sensu - powiedziała Sally. - To był twój pomysł i miałyśmy się dobrze bawić, ale ty tylko się żalasz.

Iona głęboko westchnęła.

- Wiem. Przepraszam. Tylko że... cóż, wy dwie macie prawdziwe związki. Ty Sally jesteś mężatką. Siobhán była... jest zaręczona. A ja nie mam nic.

- Miałyśmy rozmawiać o czymś innym - stwierdziła stanowczym tonem Sally. - Wątkowanie tego wciąż od nowa niczego dobrego nam nie przyniesie. Siobhán, rozwesel nas jakąś okropną i przerażającą historią... na przykład o jakimś szalonym seryjnym mordercy w Bray.

Twarz Siobhán rozjaśnił blady uśmiech.

- Wiem o przekręcie z kradzieżą tożsamości - powiedziała. - Jakiś gang drukuje fałszywe prawa jazdy i potem używają ich do wypłacania pieniędzy z rachunków ludzi w bankach. W zeszłym tygodniu złożono u nas trzy takie skargi.

- Jak to robią? - zapytała Sally.

- Wygląda na to, że przechwytyują pocztę, sprawdzają numery konta, a potem wyciągają pieniądze.

- Trzeba uważać, Sally - wtrąciła Iona. - Żeby ktoś nie ukradł ci tożsamości.

- Och, już to przerabiałam - Sally popatrzyła na nią ze smutkiem w oczach. - Tobie się to udało.

- Chyba mówiłaś, że mamy rozmawiać o czymś innym?

- I rozmawiamy. To był żart.

- Och.

- Od tygodni nie żartowałam - powiedziała Sally. - Więc nawet jeśli mi się nie udało, to nic nie szkodzi.

- No to w porządku - odparła Iona. - Przechodząc do zupełnie innych spraw... ten facet, który zaraz nas minie, wygląda jak sobowtór George'a Clooneya. Och, a ci państwo za nim też wynajmują mieszkanie w twoim bloku, Siobhán.

- Naprawdę? - Siobhán zmrużyła oczy. - Jeszcze ich nie spotkałam.

- A widziałaś się z Enrique?

- Enrique? - Sally była zdezorientowana.

- To facet, który wynajmuje piętrowy apartament w tym samym bloku co Siobhán. Seksowny Hiszpan. Zapraszał ją na drinka.

Sally spojrzała na Siobhán i uniosła brwi.

- Raz czy dwa powiedzieliśmy sobie cześć, ale zaproszenia już nie ponowił - powiedziała Siobhán. - Ale, wiesz co, Iona, on ciągle o tobie wspomina.

- O mnie? - spojrzenie Iony wyrażało niedowierzanie. - Ledwo go znam.

- Za każdym razem, gdy się widzimy, zawsze o ciebie pyta.

- Naprawdę?

- Tak. Mówił, że bardzo się starałaś, żeby znaleźć dla niego odpowiednie mieszkanie.

- Każdemu staram się znaleźć odpowiednie mieszkanie - policzki Iony pokrył rumieniec.

- W każdym razie zrobiłaś na nim wrażenie - uśmiechnęła się do niej Siobhán.

- To co, Iona, życie toczy się dalej? - Sally starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie.

- To nie takie proste - odpowiedziała Iona, starając się nie myśleć o Brandonie Williamsonie i trochę się wstydząc, że nawet jeśli nie okłamuje Sally wprost, to na pewno nie mówi całej prawdy. - I na pewno nie z Enrique - dodała. - Pochlebia mi, jeśli mu się podobam, ale to wszystko.

- Ty naprawdę możesz iść do przodu - powiedziała Sally. - Ja nie.

- Czemu? - zapytała Iona.

- Moja ciąża jest coraz bardziej widoczna - odpowiedziała Sally. - Chyba o niej nie zapomniałaś.

Iona nie odpowiedziała. Jasne, że nie zapomniała. Ale ciąża Sally była czymś, o czym z całych sił starała się nie myśleć. W całym tym koszmarze najbardziej denerwował ją właśnie fakt, że Sally jest w ciąży. Nie chciała jednak, żeby ona o tym wiedziała.

- Przynajmniej możesz się nią cieszyć - powiedziała.

- Naprawdę myślisz, że się cieszę?! - Sally wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. - Wszystko bym dała, żeby nie być w ciąży, chociaż wcześniej tak bardzo tego pragnęłam.

Napięcie między nimi nagle stało się niemal namacalne. Siobhán była teraz pewna, że nie działają w zмовie. Dowodziła tego nerwowość ich wzajemnych relacji. Obserwowała, jak Iona przełyka ostatni łyk swojego drinka.

- Domyślam się, że to dla was kiepska pociecha - powiedziała Siobhán - ale myślę, że Frank kochał was obie. Sprawdziłam wszędzie, gdzie tylko mogłam. Nie ma żadnych dowodów na to, że gdzieś mogłaby się ukrywać jeszcze jedna kobieta albo na cokolwiek innego niepokojącego.

- Myślałaś, że nam ulży, tak? - zapytała Iona.

- Tak, tak właśnie myślałam - odparła Siobhán.

- Mnie ulżyło - powiedziała Sally. - Wciąż się zastanawiałam, że może jest nas więcej. Że był ktoś przede mną.

Iona wyglądała na przerażoną.

- Nigdy o tym nie pomyślałam. To znaczy... myślałam, że mógł być ktoś jeszcze... ale nie przed tobą.

- A ja tak. Bardzo często - odpowiedziała Sally. - A wtedy znajdowałabym się w takiej samej sytuacji jak ty, tylko z dodatkiem zbuntowanej córki i drugiego dziecka w drodze.

- Wypijemy po jeszcze jednym? - Iona opróżniła swoją szklankę. - Muszę się napić.

- Chodźmy do środka i zamówmy coś do jedzenia - zaproponowała Sally. - Tam też możesz się napić. - Spojrzała na Ionę z żalem w oczach. - Wiesz, ja też chciałabym się upić, żeby o tym wszystkim choć na chwilę zapomnieć, ale nie mogę ze względu na dziecko.

- Ja nie piję często - powiedziała Iona. - Dbam o siebie. Ale pewnego wieczoru wypiałam całe wino, jakie było w domu, a w Nowym Jorku upiałam się drinkiem cosmopolitan, ale to wcale nie pomogło. - Wstała. - Masz rację, powinniśmy coś zjeść.

Przy jedzeniu nie rozmawiały już ani o Franku, ani o Eddiem. Iona stwierdziła, że ma dość definiowania samej siebie poprzez związek z Frankiem. Przecież pracowała zawodowo. Choć przyznawała, że mogłaby zrobić lepszą karierę, to swoją pracę wykonywała dobrze. W końcu nawet Enrique tak twierdzi.

- Świetnie się spisałaś z tą umową najmu dla mnie - powiedziała Sally. - Jesteś dobra w tym, co robisz. Zaslugujesz na to, by nie myśleć o sobie tylko jako niby-żonie Franka - w jej głosie nie było śladu ironii. W

każdym razie całkowicie zgadzała się z Ioną. Sama była wicedyrektorką szkoły dla dziewcząt, w której uczyło się ich ponad czterysta. Była kimś więcej niż tylko kobietą, którą poślubił Frank.

- Ja też jestem dobra w swojej pracy - powiedziała Siobhán. - Rozwiązałam kilka ważnych spraw i wsadziłam paru przestępców za kratki. I to, że Eddie McIntyre zachował się jak dupek, nie zrujnuje mi życia.

Stuknęły się kieliszkami i wzniosły toast za swą kobiecą niezależność. Nagle Siobhán skrzywiła się i szybko schyliła pod stół.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - zapytała Iona, podczas gdy policjantka wciąż trzymała głowę pod stołem.

- Ten facet - odpowiedziała Siobhán. - Ten, który właśnie wszedł z taką ciemnowłosą dziewczyną. Czy jest w zasięgu wzroku?

- Chodzi ci o to, czy go widzę? - zapytała Iona. - Poszli na tyły restauracji. Siedzą w boksie.

- Och, to dobrze - Siobhán z powrotem usiadła prosto i poprawiła włosy, które opadły jej na twarz burzą ognistych loków.

- Czy to Eddie? - zapytała Sally. - Przyszedł tutaj z inną kobietą?

- Boże, nie - odpowiedziała Siobhán. - To był Carl O'Connor. A ta kobieta z nim to Joely... McGuirk, chyba tak się nazywa. Też jest dziennikarką. Pracuje w jednej z lokalnych gazet.

- Dlaczego nie chcesz, żeby cię zobaczył? - zapytała Iona.

- Wiem, że opowiadałaś nam o tej całej historii z bielizną, ale to chyba nie powód, żeby się przed nim ukrywać.

- Moim zdaniem tak - powiedziała Siobhán. - Po prostu nie chcę z nim rozmawiać i już. Jest taki cholernie dociekliwy. Zaraz zaczniesz mnie pytać o Eddiego, nazywać panią Gliną, a ja nie mam na to siły.

- Będę go wypatrywać - powiedziała Sally, która siedziała przodem do wnętrza restauracji. - Jak będzie wracał, to znowu zanurkujesz pod stół.

Siobhán westchnęła.

- Raczej nie wyglądam na kobietę, która w pełni panuje nad swoim życiem, co?

Sally i Iona wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie - odpowiedziały zgodnie.

Rozdział 30

Carl O'Connor lubił Joely McGuirk. Studiowali razem, a ona była fajną dziewczyną z charakterem. Po skończeniu studiów pojechała pracować do Wielkiej Brytanii, a on zdobywał dziennikarskie szlify w różnych irlandzkich gazetach. Stracili z sobą kontakt, więc był zaskoczony, gdy się z nim skontaktowała po dziesięciu latach i powiedziała, że wróciła do Irlandii, mieszka na słonecznym południowym wschodzie i pracuje dla jednej z tamtejszych lokalnych gazet. Wyszła za jakiegoś faceta z Wexfordu, a on zawsze chciał wrócić.

Carla zawsze dziwiło, że tak wiele dziewcząt, z którymi studiował, wychodziło za mąż i dostosowywało swe życie do planów męża. Na studiach były dzikie i niezależne, ale w końcu jakoś wszystkie powychodziły za mąż. I nie potrafił zrozumieć, jak ktoś taki jak Joely, kto odniósł sukces w Londynie, może się zdecydować na rzucenie wszystkiego dla jakiejś lokalnej irlandzkiej gazetki.

- Tu chodzi o kompromis - powiedziała Joely, kiedy znowu zaczął drażnić ten temat. - I o jakość życia.

- Okej, ale ty przecież chciałaś wstrząsnąć światem, Jo-Jo.

- Wiesz, jak jest. Wszyscy o tym marzą, ale z czasem człowiek sobie uświadamia, że wstrząsanie światem to nie wszystko. Poza tym, cały mój świat to Michael i Robbie.

- Nie mogę uwierzyć, że jeszcze się z nim nie rozwiodłaś - Carl drażnił się z nią. - Akurat musiałaś sobie wybrać PR-owca!

- Och, z nim jestem tylko ze względu na Robbiego - Joely podchwyciła żartobliwy ton. - Nie mogłabym zostawić go samego z czterolatkiem. Nie poradziłby sobie. Ale powiedz, co u ciebie, O'Connor. Jest w twoim życiu jakaś kobieta?

- Nikt szczególny - odpowiedział. - Nie mam czasu na takie rzeczy. Poza tym kto by ze mną wytrzymał? - uśmiechnął się. - Ja wciąż mam nadzieję, że uda mi się jakąś historią wstrząsnąć światem.

- Lubię twoją kolumnę - powiedziała Joely. - Chociaż czasem trochę przesadzasz. Gliny to cię chyba nienawidzą.

Wzruszył ramionami.

- Niektórzy tak, a inni nie.

- U nas jest inaczej - powiedziała Joely. - Raczej się z nimi lubimy. Chociaż bywają okropni, jak nic nie chcą powiedzieć. Miałam zamiar napisać artykuł o tym wypadku w Ardallen, kiedy ściana baru Ardallen House zawaliła się na pub obok, ale nasz lokalny policjant, Tim Shanahan, nie chciał mi pomóc. A ja wiem, że tam coś jest nie tak.

- Na przykład co? - zapytał Carl.

- Dwie sprawy - odpowiedziała Joely. - Oczywiście, po pierwsze kwestia niekompetencji po stronie budowlańców, którzy nie zabezpieczyli miejsca. Sporo się na ten temat dowiedziałam i wiem, że na pewno nie przestrzegali odpowiednich procedur. Mogą stanąć za to przed sądem i musieć zapłacić ogromne odszkodowania. Właściciel tego pubu obok ma zamiar ich pozwać. A drugi wątek to naprawdę emocjonująca historia o ludziach. Pamiętasz tego gościa, którego wyciągnęli z gruzów?

- Coś kojarzę.

- To nie był nikt z okolicy, wstąpił tam tylko, żeby się napić - powiedziała Joely. - W każdym razie chodzą słuchy, że był dwukrotnie żonaty.

- Wiesz, przykro mi, że muszę cię uświadomić, ale w dzisiejszych czasach mnóstwo ludzi żeni się dwa razy - powiedział Carl. - A wszystkiemu winne są rozwody!

- Żartowniś z ciebie! - Joely dała mu kuksańca w żebro. - On się ożenił drugi raz, ale z pierwszą żoną wcale się nie rozwiódł.

- Naprawdę? - Carl wyglądał na bardziej zainteresowanego.

- Tak - odpowiedziała Joely. - Tim chciał mnie skontaktować z jakąś oficer śledczą z komisariatu z Bray, która ponoć zajmuje się tą sprawą, ale ta zdzira nie odbiera moich telefonów.

- Jak się nazywa?

- Siobhán Farrell - odpowiedziała Joely. Dostrzegła zaskoczenie malujące się na twarzy Carla. - Znasz ją?

- Można tak powiedzieć - odparł Carl. - Pogadam z nią, jeśli chcesz.

- Jak mi ukradniesz temat, to ci urwę głowę - zagroziła. - Może nie dam rady wstrząsnąć światem, ale na pewno nie pozwolę, żebyś zrobił to za mnie.

- Nie martw się - powiedział Carl. - Mnie takie tematy raczej nie interesują, ale postaram się zdobyć dla ciebie jakieś informacje.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

* * *

- Znowu tu idą - syknęła Sally.

Siobhán przełknęła ostatni kawałek jabłeczniaka i po raz drugi zanurkowała pod stół.

- Już okej - powiedziała Iona po kilku sekundach.

- Wyszli.

- Takie gwałtowne ruchy nie służą trawieniu - powiedziała Siobhán, prostując się.

- A ja myślę, że to nawet zabawne - odpowiedziała Iona.

- Na własne oczy możemy zobaczyć prawdziwego detektywa w akcji!

Siobhán zrobiła do niej minę.

- Poprośmy o rachunek - powiedziała. - Idę jutro do pracy i naprawdę muszę położyć się spać o przyzwoitej porze.

- A ja powinnam wrócić do domu przed Jenną - powiedziała Sally.

Pozostałe kobiety ze zrozumieniem pokiwały głowami. Sally opowiedziała im już, że Jenna zachowuje się coraz gorzej i że strasznie się o nią martwi. Powiedziała im o swoich obawach związanych z nieciekawym towarzystwem, z jakim zadaje się jej córka, i o tym, że za każdym razem, gdy próbuje z nią o tym porozmawiać, Jenna odpowiada, że przynajmniej wie wszystko o ludziach, z którymi się zadaje, a Sally nie ma żadnego prawa jej oceniać. Powiedziała im też, że Jenna ma jej za złe, że Siobhán zabrała ją wtedy z domu Gerry'ego Cullinana, i wygląda na to, że już nie ufa swojej matce. Dodała też, że Jenna jest kompletnie zdegustowana faktem, iż będzie miała młodsze rodzeństwo.

I Iona, i Siobhán zapewniły ją, że Jennie to wszystko przejdzie. Iona stanowczo stwierdziła, że Jenna jest w głębi serca rozsądną dziewczyną, i aż zamarła, jak tylko wypowiedziała te słowa. Jenna jest córką Franka. Częścią niego samego. Bezczennym skarbem, jaki ona miała od niego dostać, ale nigdy już nie dostanie. Usilnie starała się opanować targające nią emocje. Nie wiedziała jednak, kiedy i czy w ogóle kiedykolwiek jej się to uda.

- Och, Iona, tak przy okazji... - powiedziała Sally, dokładając swój udział w rachunku na spodek, który w tym celu kelnerka postawiła na ich stoliku. - Chciałam ci powiedzieć, że mam zamiar spotkać się z księgowym Franka w sprawie przyszłości firmy. On twierdzi, że muszę coś z nią zrobić. Chyba znalazł nabywcę.

Iona przyjrzała jej się nieufnie.

- Chcesz sprzedać firmę?

- Nie wiem - odparła Sally - ale Frank się nią nie zajmie. A jak czegoś z tym nie zrobię, to pewnie upadnie, prawda? Więc jeśli jest jakiś chętny, to może lepiej ją sprzedać.

- Nie chciałabym wtrącać nosa w nie swoje sprawy - odparła Iona - ale od czasu do czasu pomagałam Frankowi z firmą. Z księgami i tak dalej. To dobry interes. Szkoda by było się go pozbyć.

- Bez Franka na pewno się nie utrzyma - stwierdziła Sally.

Iona skinęła głową.

- No to może daj mi znać, co powie ten facet - zaproponowała. - Mogłabym... - zawahała się. - Mój szwagier jest księgowym. Mogłabym poprosić go o opinię.

Sally uważnie się jej przyjrzała.

- Nie ufasz naszemu księgowemu?

- Wiesz... - Iona wydawała się trochę zaniepokojona.

- Co?

- Rzecz w tym, że Frank wspominał o tym, że trzeba się go pozbyć - odpowiedziała w końcu. - Chciałabym więc, żeby tym wszystkim liczbom przyjrzał się też ktoś inny.

- Okej - powiedziała Sally. - Dzięki - nagle jej twarz wykrzywił grymas bólu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Siobhán. Skinęła głową.

- To zgaga. Strasznie mi dokuczała, jak byłam w ciąży z Jenna. Zapomniałam. Ciągłe łykałam wtedy środki zobojętniające.

- Spróbuj soku z papai - doradziła Iona. - O wiele zdrowszy i naprawdę pomaga.

- Okej - Sally wstała, a wtedy jej się odbiło. - O Boże, przepraszam.

Iona zachichotała, a Siobhán się uśmiechnęła, ale nagle wyraz twarzy policjantki gwałtownie się zmienił.

- Cześć Siobhán - w głosie Carla O'Connora słyhać było jednocześnie zdziwienie i radość. - Miło cię widzieć. - Zmarszczył brwi. - To dziwne, bo byłem tu wcześniej i w ogóle cię nie zauważyłem.

- Nie?

- Nie.

- Widać nie jesteś aż tak uważnym obserwatorem.

- A ty mnie widziałas?

- Wiem, że ta informacja złamie ci serce - odpowiedziała - ale ja się za tobą nie rozglądam.

- Będę musiał jakoś z tym żyć - odpowiedział. Spojrzał na Sally i Ione. - Przedstawisz mnie?

- Nie jestem na służbie. To moje przyjaciółki - odparła Siobhán. Nie miała najmniejszego zamiaru zapoznawać Carla z kobietami, których życie z pewnością uznałby za świetny temat, nawet jeśli czasem myślała, że jak na dziennikarza to wcale nie jest taki zły. Woląla chronić Sally i Ione.

- Idziecie gdzieś jeszcze, czy mogę ci zaproponować podwiezienie do domu? - zapytał, a potem nagle zmarszczył brwi. - Tyle że ostatnio w ogóle cię nie widuję. Udzielasz się intensywnie towarzysko, co?

Siobhán wymijająco wzruszyła ramionami.

- Dzięki za propozycję, ale my... hm... jeszcze gdzieś idziemy.

- To życzę udanego wieczoru - powiedział. Przez chwilę stali, patrząc na siebie.

- Czy ty przypadkiem po coś nie wróciłeś? - zapytała w końcu.

- Co?

- Powiedziałeś, że byłeś tu wcześniej. Chyba po coś się wróciłeś.

- Ach, tak - odparł - zostawiłem notes na stoliku.

- No właśnie - stwierdziła Siobhán. - Nie będziemy cię zatrzymywać. Miło było cię spotkać. - I wyszła z restauracji, a za nią Sally i Iona.

Carl O'Connor znalazł notes, a potem patrzył, jak trzy kobiety wychodzą. Myślał tylko o Siobhán Farrell. Do niedawna niewiele o niej myślał, poza tym, że jest gliną, a on z zasady nie ufał ludziom, którzy wstępowali do policji, ale teraz było inaczej. Od tamtego wieczoru, gdy ją spotkał na korytarzu w bieliźnie, patrzył na nią inaczej. (Co oczywiście było zupełnie naturalne, biorąc pod uwagę fakt, jaka to była bielizna!). Wrażenie zrobiło na nim nie tylko jej ciało, ale cała jej osoba. Świetnie mu się z nią rozmawiało, z przyjemnością słuchał, z jaką pasją opowiada o ofiarach przestępstw. Wcale nie była bezwzględna suką, jak to sobie wyobrażał. Tak naprawdę okazała się całkiem miła. Szkoda że go nie znosi. Wciąż myślał, że gdyby tylko okoliczności były inne... ale wtedy niby co? Przecież ona była zaręczona. Poza tym wciąż pracowała w policji.

Potrząsnął głową. Pomyślał, że jest głupi. Nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek uczucia względem Siobhán. W ogóle to *nie żywi* żadnych uczuć względem Siobhán - w każdym razie poza pożądaniem, a to było całkowicie usprawiedliwione, bo przecież widział, jaka jest piękna. Musi przestać o niej myśleć. Ma lepsze rzeczy do roboty niż myślenie o Siobhán Farrell. Nagle zaczął się jednak zastanawiać, dlaczego ostatnio tak rzadko ją spotyka. Uświadomił sobie, że w ich bloku nie widział jej już od dawna. Widywał oczywiście tego jej irytującego narzeczonego, tego zapatrzonego w siebie palanta! Rozmawiał z nim parę razy i zawsze wydawał mu się napuszony i strasznie apodyktyczny. Miał ochotę przywalić mu tamtego wieczoru, gdy zapukał do niego, żeby zabrać Siobhán, którą wcześniej zostawił na korytarzu w bieliźnie.

Przypomniał sobie, że ostatnio widział ją, jak wychodziła z ich bloku z walizką. Pomyślał wówczas, że pewnie gdzieś wyjeżdża na kilka dni, ale może nie miał racji. Czyżby zostawiła Eddiego? Dla niej to żadna strata.

Mimo wszystko nie powinien się z nią kontaktować. Nie chce przecież wiązać się z policjantką. W każdym razie nie w tym sensie! Ale przecież jest ta historia, którą chce się zająć Joely. Obiecał jej, że spróbuje się czegoś dowiedzieć. Czyli jednak musi się skontaktować z Siobhán. Oczywiście, tylko ze względów zawodowych.

Gdy Sally wróciła, dom tonął w ciemnościach. Spodziewała się tego, bo Jenna ją uprzedziła, że się wybiera na imprezę. Sally zapytała, czy będzie tam Sam, ale Jenna odpowiedziała ze wzrokiem pełnym pogardy, że nie, bo to nie jest impreza dla takich cieniasów, jak jej przyjaciółka (prychnęła, wypowiadając to ostatnie słowo). Sally chciała się dowiedzieć, co to za impreza, skoro Sam na nią nie idzie, a Jenna odparła, że po prostu nie pasuje do towarzystwa, a poza tym jest nudna. Dodała, że to czyjaś osiemnastka i odbędzie się w jakiejś knajpie na mieście. Sally była pełna obaw, nie zabroniła jednak Jennie tam iść, bo uznała, że to w niczym by nie pomogło. Przypomniała jej tylko, że jest za młoda na picie alkoholu w barach, i zażądała, aby cały czas miała włączoną komórkę i wróciła do domu przed dwunastą, tak jak zawsze w weekendy.

Trochę jej ulżyło, gdy Jenna powoli skinęła głową. Od czasu, gdy Siobhán Farrell przywiozła ją od Gerry'ego, wracała do domu punktualnie, dlatego Sally aż tak bardzo się nie martwiła jej imprezami. Od rozmowy z Marshą była natomiast pełna obaw co do towarzystwa, w jakim jej córka na tych imprezach przebywa.

Ale rzeczywiście... czy oni mogli być gorsi od Franka?

Bo przecież o to chodziło, prawda, że Sally nie ma prawa oceniać decyzji podejmowanych przez Jenę, bo jej własne wybory okazały się fatalne.

Włączyła czajnik i zrobiła sobie filiżankę herbaty. Była jedenasta. Miała nadzieję, że Jenna i tym razem będzie punktualna.

W domu Iony też panował mrok. Gdy weszła, włączyła wszystkie światła, bo nie znosiła ciemności. Spojrzała na kącik w salonie, w którym ustawiła zdjęcia Gavina i Charlotty, pomyślała o Sally Harper i jej zgodzie, i nagle poczuła, jak zazdrość wykręca jej wnętrzności. Nie chciała jej zazdrościć. Ona naprawdę nie znajdowała się w najlepszej sytuacji. Ale Sally była w ciąży. I miała Jenę. A Iona czuła, że gdyby tylko była w ciąży, z pewnością pogodziłaby się z myślą o posiadaniu zbuntowanej nastoletniej córki za siedemnaście lat.

Usiadła na skórzanej kanapie i nacisnęła guzik pilota, włączając telewizor. Zmieniała kanały, aż trafiła na Sky Sports. Nie interesowała jej ta stacja, ale Frank ją uwielbiał. Oczywiście, oglądał głównie piłkę nożną, a poza tym golf i lekką atletykę. W zasadzie to wszystko. Patrzyła na ekran, nie mając pojęcia co to za mecz ani jakie drużyny grają. Chciała, żeby Frank znowu przy niej był. Zastanawiała się, czemu tak myśli, skoro jednocześnie wmawia sobie, że jej życie musi się toczyć dalej. W tym momencie pragnęła, żeby wszystko było jak dawniej. To by jednak oznaczało, że musiałyby dzielić się Frankiem z Sally... Łza potoczyła się po jej policzku. Nie mogłaby dzielić się Frankiem z Sally. Teraz już nie... boją znała. Nigdy nie będzie już tak, jak kiedyś. Nie da się cofnąć czasu.

Mieszkanie rozjaśniała lekka poświata z łazienki, a to dlatego, że Siobhán zapomniała wyłączyć światło nad lustrem po zrobieniu makijażu. Była przyzwyczajona do powrotów do ciemnego domu, bo zwykle albo nikogo nie było, albo Eddie już głęboko spał, a ona musiała wtedy dreptać po mieszkaniu na paluszkach. Eddie stwierdził kiedyś, że pewnie potrafi poruszać się na paluszkach po mistrzowsku, bo przecież ciągle chodzi na

obserwacje, a detektywi muszą się wtedy zachowywać jak najciszej. Delikatnie uderzyła go wtedy pięścią w ramię i przypomniała mu (choć to wcale nie było konieczne), że na razie była dopiero na kilku takich obserwacjach, gdzie musiała być cicho, a poza tym to nie miało żadnego znaczenia, bo mogłaby się głośno tłuc po całym mieszkaniu, a on i tak spałby jak suseł.

Co on teraz robi? Czy myśli o niej? Czy ma nadzieję, że ona myśli o nim? Czy zastanawia się nad tym, czy ona mu wybaczy i wróci do domu?

Wyszła na balkon i popatrzyła na ciemną wodę leżącego naprzeciw portu. A może on wcale o tym nie myśli? Może znalazł już pocieszenie u innej kobiety? Zamknęła oczy. Czy zawsze już tak będzie, zapytała samą siebie. Czy zawsze już będzie się zastanawiać i martwić? Czy nigdy mu już nie zaufa?

- Niech cię szlag - mruknęła pod nosem. - Niech cię szlag!

Rozdział 31

W barze panował hałas i było tłoczno. Jenna czuła jak po plecach spływa jej strużka potu. Rozmawiała z Jeromem Knightlym, którego urodziny właśnie świętowano (a raczej krzyczała do niego, bo muzyka ryczała z głośnika tuż nad jej głową). Tak naprawdę niezbyt dobrze go знаła. Gerry też nie, tyle że obaj grali w tym samym klubie w rugby.

- Ekstra sukienka! - Jerome uśmiechnął się do niej, chwiejąc się na nogach. Do Jenny dotarł odór piwa z jego ust.

- Dzięki - odpowiedziała. Rzuciła okiem na swoją krótką czarną sukienkę, do której założyła sięgające kolan różowe kozaczki. Pasowały kolorem do jej nowej bielizny, a z głęboko wyciętego dekoltu sukienki wystawała koronka różowego biustonosza. Wiedziała, że świetnie wygląda, jednak w miarę jak mijał wieczór, w kozaczkach było jej coraz bardziej gorąco i niewygodnie. Ciągle myślała, że powinna była jednak założyć nie tak modne pantofle.

- Jak tylko znudzisz się Cullinanem, daj znać - powiedział Jerome i zachwiał się, niemal się na nią przewracając. Wyciągnęła rękę, żeby go podtrzymać, a on uśmiechnął się z wdzięczności. Dostrzegła jego nabiegłe krwią oczy i rozkojarzony wzrok.

Sama też się czuła trochę rozkojarzona. Pomimo obietnicy złożonej matce wypila kilka napojów gazowanych z dodatkiem alkoholu i choć początkowo tego nie zauważyła, teraz się zorientowała, że przez nie czuje się jakby wyłączona ze wszystkiego wokół. Ale wyłączona w pozytywnym sensie. Nie oglupiona. Była po prostu szczęśliwa. Rozumiała już, dlaczego ludzie się upijają. Alkohol sprawia, że świat nie jest taki zły, myślała niewyraźnie, że czujesz, iż ze wszystkim dasz sobie radę. Nawet z matką, która się robi wielka jak słoń, i ojcem, który jest prawdziwym dupkiem.

Jerome Knightly ponownie się zachwiał i zniemacka zwymiotował prosto na jej jaskraworóżowe kozaczki.

- Och, ty kretynie! - wrzasnęła. - Moje śliczne kozaczki!

Jerome upadł na kolana i zwymiotował jeszcze raz. Przy barze zapanowało poruszenie i zanim do Jenny dotarło, co się dzieje, podbiegło dwóch krzepkich ochroniarzy i wyrzuciło ją, Jerome'a oraz kilkoro innych uczestników imprezy na chodnik przed barem.

- Świnie! - krzyczał Jerome, który nadspodziewanie szybko oprzytomniał. - Faszystowskie świnie!

Jenna rozejrzała się za Gerrym, ale jego z pubu nie wyrzucono. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie był, kiedy Jerome na nią wymiotował. Skrzywiła nos, czując smród dochodzący z jej kozaczków.

- Zniszczyłeś je, ty debilu - warknęła.

- Ach, daj spokój, skarbie. Nie bądź taka - Jerome próbował objąć ją ramieniem. - Wszystko będzie dobrze. Musisz je tylko umyć.

- Fuj... - wzdrygnęła się.

- Pocałuj mnie na zgodę - zaproponował i tym razem udało mu się uwiesić na niej swoje ramię.

- Chyba żartujesz! - krzyknęła. - Puść mnie!

- Daj spokój - powiedział. - Przecież dobrze się bawiliśmy. Ty i ja. Urodzinowy chłopak i urodzinowa dziewczyna.

- To nie są moje urodziny - odparła szybko. - A ty jesteś pijany.

- Przecież jest weekend. Oczywiście, że jestem pijany - stwierdził. - Wszyscy są pijani! Hej, słuchajcie, idziemy do Jenny!

- Nie możemy pójść do mnie - odpowiedziała przerażona. - Mama dostałaby zawału.

Grupka młodzieży się roześmiała.

- Pani wicedyrektor chyba nie ucieszyłaby się na nasz widok, co? - zapytała Aline Keogh, którą też wyrzucono z pubu.

- Mam wrażenie, że raczej mnie nie lubi.

- Moglibyście przyjść, gdyby nie było jej w domu - odpowiedziała szybko Jenna. - Ale...

- Belferska pupilka - stwierdziła Aline.

Cała grupa znowu wybuchnęła śmiechem. Jenna czuła, że w oczach zbierają jej się łzy.

- A gdzie twój chłopak? - zapytała Cindy Ryan, najlepsza przyjaciółka Aline. - Rzucił cię w końcu, co?

Jenna rozejrzała się wokół, mając nadzieję, że Gerry wyszedł z baru, ale nigdzie nie było go widać.

- Myślisz, że jak jesteś jego dziewczyną, to ludzie zaczną cię lubić? - zapytała Cindy. - Marzenia. Jest z tobą tylko dlatego, że jesteś łatwa.

Jenna nic nie odpowiedziała, a pozostałe dziewczyny zachichotały.

- Łatwiutka - stwierdziła Aline. - Mówił, że bez żadnego problemu dobrał się do twoich majtek.

Jenna poczuła, jak serce w niej zamiera.

- Odpieprz się - powiedziała.

- To prawda - odparła Aline. - Chodziłam z nim wcześniej, ale mu nie dałam. I dlatego mnie rzucił.

- To nieprawda - odparła Jenna drżącym głosem. - On mnie kocha.

Pozostałe dziewczęta zarechotały.

- Właśnie, że tak.

- Tak, tak, na pewno - powiedziała Cindy. - I właśnie dlatego wkłada Lorraine rękę pod spódnicę, co?

- Zamknij się, ty kłamczucho! - krzyknęła Jenna.

- Zmuś mnie.

- A żebyś wiedziała.

- Tak? No, to dawaj, belferska pupilko! Jenna rzuciła się na Cindy i chwyciła ją za twarz.

- Ty krowo! - Cindy przyłożyła dłoń do policzka, który Jenna zadrapała swoim pierścieniem ze szczęśliwym kamieniem. - Zmasakrowałaś mi twarz, ty suko!

- Ojej, popatrz, a ja chciałam ją upiększyć.

- Dawajcie laski, dalej! - pozostali stłoczyli się wokół obu dziewcząt, zachęcając je do walki.

- Przyłóż jej, Cindy! - krzyknął ktoś.

Jenna wolałaby stamtąd odejść, ale nie miała dokąd. Cindy rzuciła się na nią i złapała za włosy.

- Puść mnie, ty pijaczko! - Jenna czuła, jak do oczu napływają jej łzy.

- Zmuś mnie.

- A żebyś wiedziała, że to zrobię! - Jenna spróbowała kopnąć przeciwniczkę swoimi poplamionymi wymiocinami kozaczkami i ku swemu zdumieniu udało jej się trafić ją tuż pod kolano. Cindy jęknęła z bólu i upadła na ziemię.

- Złamałaś jej nogę! - krzyknęła Aline.

- Wcale nie - odparła Jenna. - Gdybym złamała jej nogę, naprawdę zwiłaby się z bólu. - Była lekko zdyszana, a włosy miała w kompletnym nieładzie. - To głupia krowa i zasłużyła sobie na to, żeby złamać jej...

- No dobra, co tu się dzieje?

Jenna wyczuła w tym głosie władczy ton i zupełnie straciła zapal do walki, a gdy spojrzała nieco zamglonym wzrokiem na policjanta, rozpoznała, że to ten sam funkcjonariusz, który towarzyszył tej zadufanej w siebie pani detektyw, kiedy przyjechała do nich do domu poinformować o wypadku taty. Cathal jakiś tam. Jęknęła. Miała dość ciągłego natykania się na personel komisariatu policji w Bray.

- Ta suka próbowała zabić Cindy - krzyknęła Aline. - Musicie ją zamknąć.

Jenna rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Albo Gerry'ego, który by ją uratował. W tym momencie z przerażeniem zauważyła, że jej chłopak stoi obok i obserwuje wszystko z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- To ona sprawia kłopoty - warknęła Cindy. - Mogłabym pozwać ją za napaść. Popatrzcie, co mi zrobiła na twarzy! - wskazała na swój zadrapany policzek.

Cathal popatrzył na Cindy, a potem na Jennę. Zmrużył oczy na jej widok. Rozpoznanie Jenny zajęło mu chwilę, ponieważ wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy ją spotkał. Teraz, mocno umalowana i ubrana w krótką sukienkę oraz poplamione różowe kozaczki, wydawała się o co najmniej pięć lat starsza niż kilka miesięcy temu, kiedy ją wiozł do szpitala w Ardallen.

- Młoda damo, czy twoja matka wie, gdzie jesteś? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Jenna.

- A wie, co wyprawiasz?

- Nic nie wyprawiam - odparła naburmuszona Jenna. - To ona wszystko zaczęła.

- Nieprawda! Ja...

- Okej, okej, już wystarczy - przerwał jej Cathal. - Skończmy to już. Pora, żebyście wszyscy wrócili do domów.

Grupka młodzieży zaczęła się rozchodzić, choć Cindy i Aline wciąż mruczały coś pod nosem na Jennę.

- Mieszkasz po drugiej stronie miasta, prawda? - zapytał Cathal.

Jenna skinęła głową.

- Podwieźć cię do domu?

- Chyba pan żartuje?! - krzyknęła. - Mama dostałaby zawału, gdyby znowu zobaczyła przed domem policyjny radiowóz.

- Podwiozę cię tylko do wylotu waszej uliczki - powiedział Cathal. - Nie zobaczy radiowozu.

- Nie trzeba - odparła Jenna. - Potrafię o siebie zadbać. Mój chłopak...

Zwróciła się w stronę Gerry'ego, który wciąż przyglądał się im w milczeniu.

- Jenna... nie chodzi o to, że mi na tobie nie zależy, bo mi zależy - powiedział. - Ale... ty przecież brałaś udział w ulicznej bójce! I ja chyba...

- To przez to, co one mówiły! - krzyknęła. - Powiedziały, że chodzisz ze mną tylko dlatego, że z tobą sypiam, i że wkładałeś Lorraine rękę pod spódnicę! - głos jej się załamał, gdy dostrzegła wyraz twarzy Gerry'ego. I wyraz twarzy Cathala Rothery'ego. - Och, na litość boską - warknęła, wodząc spojrzeniem od jednego do drugiego. - Wszyscy jesteście tacy sami. On ze mną sypia, ma kogoś na boku i jest superfacetem. A ja z nim śpię, więc jestem...

- Jenna, naprawdę uważam, że będzie lepiej, jak nie będziemy się już spotykać - rzucił ostro Gerry. - Jeśli choć przez sekundę myślałaś, że jestem takim facetem, to widocznie w ogóle mnie nie znasz. A ja nie znam ciebie.

- Tak? Nie ma sprawy - ale głos jej się załamał, gdy się odwróciła, żeby odejść.

- Na pewno nie chcesz, żeby podwieźć cię do domu? - zapytał łagodnie Cathal Rothery.

Jenna z trudem przełknęła ślinę. Od domu dzieliło ją ponad pięć kilometrów i wolałaby nie pokonywać takiego dystansu w kozaczkach. Ale ten policjant wszystko słyszał. Pewnie uważa ją za jakiegoś lumpa.

- Ktoś na mnie zwymiotował - powiedziała zmęczonym głosem. - Śmierdzą.

- Tym radiowozem wiozłem już niejednego, który był w o wiele gorszym stanie - odpowiedział Cathal.

- Wskakuj.

Jego kolega, który stojąc z boku, zapewniał wsparcie, podczas gdy Cathal uspokajał towarzystwo, otworzył drzwi radiowozu. Jenna wsiadła bez słowa.

Co się ze mną stało? - zastanawiała się, gdy samochód zmierzał w kierunku jej domu. - Byłam zwyczajną dziewczyną, a teraz po raz trzeci w tym roku jadę policyjnym samochodem. Jak do tego, do diabła, doszło? Zamknęła oczy, a łza powoli potoczyła się po jej policzku.

Cathal dotrzymał słowa i zatrzymał się u wylotu uliczki prowadzącej do jej domu.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Jasne - pociągnęła nosem.

- Posłuchaj, wiem, że chyba nie muszę ci tego mówić - powiedział - ale lepiej trzymaj się od takiego towarzystwa z daleka. Picie i awanturowanie się po nocy... Może to jest modne, Jenna, ale w życiu naprawdę można robić ciekawsze rzeczy.

- Wiem o tym - burknęła. - Nie potrzebuję wykładu.

- Siobhán wspominała, że były już z tobą jakieś problemy - odparł.

- Jędzowata plotkara - stwierdziła Jenna. - A to tylko moja mama się zdenerwowała, że spóźniam się do domu i od razu zadzwoniła na policję! Na miłość boską, przecież jestem już dorosła, a ona co robi? Dzwoni na policję! A ta wścibska detektyw wywęszyła, gdzie jestem, i przywiozła mnie do domu. Wyobraża pan sobie, jaki to był obciach? Nic dziwnego, że Gerry już mnie nie chce.

- Przeżywacie z mamą trudne chwile - powiedział Cathal. - Pewnie po prostu trochę bardziej się o ciebie martwi.

- Lepiej by było, gdyby bardziej martwiła się o ojca.

- U niego bez zmian?

- Kiedyś go kochałam - powiedziała Jenna. - I myślałam, że on też mnie kocha. Ale to wszystko to jakieś bzdury, prawda? Gerry udawał, że mnie kocha, i tata udawał, że mnie kocha.

- Jestem pewien, że ojciec cię kocha - powiedział Cathal.

- Tak, na pewno - Jenna wysiadła z samochodu. Rozmazany tusz podkreślał smutny wyraz jej oczu. -
Dzięki za podwiezienie.

- Nie ma za co - odpowiedział Carl. - Ale, Jenna, muszę cię ostrzec, że jeśli znowu weźmiesz udział w jakiejś awanturze pod barem, to nie skończy się na podwiezieniu do domu. Zabiorę cię prosto na posterunek.

Popatrzyła na niego nieufnie.

- Porządek publiczny to teraz ważna sprawa - powiedział. - Picie i awanturowanie się to coś, czego ludzie sobie nie życzą. A my mamy to eliminować.

- Tak, jasne.

- Uważaj na siebie - powiedział.

Nagle się uśmiechnęła i momentalnie z naburmuszonej nastolatki przemieniła się w zupełnie inną osobę.

- Postaram się.

- Dobranoc.

Odwróciła się w stronę domu i przeszła niewielki odcinek dzielący ją od niego. Gdy podeszła do drzwi wejściowych, rozpięła suwaki swoich różowych kozaczków i zsunęła je z nóg. Woń wymiocin była obrzydliwa. Zdawała sobie sprawę, że choćby nie wiem jak je czyściła, nigdy już nie będą się nadawać do użytku. Wrzuciła je więc do kosza, a dopiero potem otworzyła drzwi i weszła do środka.

Po cichutku przeszła do kuchni, starając się nie potrącić niczego, co narobiłoby hałasu i obudziło Sally. Nalała wody do czajnika i włączyła go, a potem wyjęła torebkę herbaty z puszki na kuchennym blacie i wrzuciła ją do swojego ulubionego dużego czerwonego kubka. Gdy woda się zagotowała, zalała herbatę, po czym oparła się o kant kuchennego stołu i małymi łydkami popijała gorący napój.

Cathal Rothery ma chyba rację co do Aline, Cindy i ich paczki. Ale do dzisiejszego wieczora łatwiej jej było przebywać z nimi niż z Sam, Kelly i innymi koleżankami. Aline i Cindy nie pytały ją o ojca i matkę. Nic je to nie obchodziło. Oczywiście, wiedziały, że ma jakieś kłopoty w domu, ale Jenna z kolei wiedziała, że rodzice Aline są rozwiedzeni, a Cindy urodziła nawet swoje własne dziecko. I rzecz nie w tym, że rozwód w dzisiejszych czasach nikogo nie dziwi, tak samo jak urodzenie dziecka przez siedemnastolatkę, tylko w tym, że one przynajmniej zdawały sobie sprawę, jak to jest, kiedy rodzice wcale nie są tak cudowną parą. Co taka Sam albo Kelly mające dwoje kochających się rodziców (a przynajmniej mieszkających z sobą pod jednym dachem!), a do tego jeszcze fajne rodzeństwo, co któraś z nich może wiedzieć o tym, co ona przeżywa? Pewnie tylko plotkują na jej temat przy każdej sposobności. I śmieją się, że Jennie Harper, której matka jest wicedyrektorką i której wszystko przychodziło z łatwością, tak źle się ułożyło.

A kim jest teraz? Jenną Harper, która ma praktycznie tylko jednego rodzica i której matka niedługo urodzi dziecko, chociaż ojciec z nimi nie mieszka. Wszystko jest nie tak. Nie tak wyglądało ich życie. To niesprawiedliwe. Jenna otarła łzy z oczu i wylała do zlewu resztkę herbaty z kubka.

Potem weszła po schodach i całkowicie ubrana zwała się na łóżko.

Frank słyszał dochodzące z oddali głosy. Najpierw pomyślał, że to Marion, ale wiedział przecież, że ona odeszła. Po Marion była Sally, która dała mu piękną córkę. Czuł jak serce ściska mu miłość na myśli o maleńkiej dziewczynce, która nie była już, oczywiście, dzieckiem, tylko młodą kobietą u progu dorosłości. Lubił przebywać w jej towarzystwie. Było z nią fajnie, bo nie zmieniła się na razie w głupiutką kokietkę, jak większość dziewcząt w jej wieku. Rozmawiała z nim o samochodach, motocyklach i innych typowo męskich sprawach, a on był dumny, że ma taką córkę. Może więc słyszy głos Jenny? Ale ten głos brzmiał bardziej dojrzałe. I mówił coś o poziomie cukru we krwi i o oddychaniu... mówił coś, czego nie rozumiał.

Spróbował się poruszyć, ale nie mógł. Czuł się tak, jakby przygniatał go jakiś ciężar, uniemożliwiający wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Pomyślał, żeby podnieść rękę, nie potrafił jednak sprawić, by jego ciało zareagowało na tę myśl działaniem. To było straszne uczucie. Przerazało go. Słyszał też jakieś rytmiczne dźwięki. Jak odgłosy monitorów w szpitalu. A wtedy ten głos mówiący o oddychaniu miałby sens, prawda? Więc może jest w szpitalu. To by wyjaśniało, dlaczego nie może się ruszyć. Coś mu się stało, wyładował w szpitalu i nie może się ruszyć. Czy jest sparalizowany? Na tę myśl poczuł panikę. Miał wypadek? Spadł z czegoś? Powalił go jakiś zabójczy wirus?

Próbował się zastanowić, co robił, zanim tutaj trafił, ale nie potrafił. Jego umysł był jak talerz owsianki, gęsty i kleisty, a on nie umiał się skupić na niczym konkretnym. Oczywiście, myśli o Sally i Jennie były konkretne. Pamiętał, że tamtego ranka się z nimi żegnał. A może to był poprzedni ranek? Nie był w stanie sobie przypomnieć. Sally wspomniała coś o skoszeniu trawy. Z łatwością to sobie wyobraził. Trawa nagle strzelająca do góry z powodu wiosennej pogody i żona, która chce, żeby trawnik wyglądał ładnie.

Zabolała go głowa. Jeśli coś mu się stało i trafił do szpitala, to może powinien, przynajmniej na razie, trochę odpocząć. O niczym nie myśleć. Pewnie dali mu jakieś leki na sen i dlatego nic nie może sobie przypomnieć. Być może, jak pozwoli im zadziałać, to poczuje się lepiej, gdy znowu się obudzi. Westchnął głęboko i ponownie poddał się ogarniającej go ciemności.

Rozdział 32

Siobhán siedziała przy biurku i myślała o odprawie, która właśnie się skończyła, dotyczącej przekrętu z wykorzystaniem fałszywych dowodów tożsamości. Wyglądało na to, że choć do pierwszych kradzieży z kont bankowych doszło w Bray, centrum całej operacji znajdowało się jednak gdzieś poza ich terenem. W ostatnim tygodniu dotarło kilka zgłoszeń z Killiney i Glenageary - te miasteczka, choć też leżały na wschodnim wybrzeżu, znajdowały się zdecydowanie bliżej Dublina. Siobhán przesłuchiwała poszkodowanych ze swojego terenu, rozmawiała także z pracownikami banków i była przekonana, że nawet jeśli im w Bray nie uda się przymknąć winnych, to tak czy siak zostaną złapani. To była tylko kwestia czasu - chociaż stanowiło to niewielkie pocieszenie dla osób, które właśnie odkryły, że ktoś kompletnie wyczyścił ich konto bankowe.

Doszli do wniosku, że przestępców jest czworo, dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Zarejestrowały ich kamery zamontowane w bankach, ale wszyscy nosili czapki baseballowe nasunięte na oczy, więc w zasadzie nie było ich widać dokładnie, z wyjątkiem jednego nagrania, gdzie można było zobaczyć twarz jednej z kobiet. Siobhán była pewna, że wkrótce ktoś ją rozpozna. Czuła, że ta sprawa zostanie rozwiązana.

Zadzwoił telefon i Siobhán sięgnęła po słuchawkę.

- Dzień dobry, pani Glino.

Siobhán gwałtownie się wyprostowała.

- Carl? - zmarszczyła brwi.

- Mam do ciebie prośbę.

- Tak?

- Moja koleżanka próbuje się z tobą skontaktować, ale ty nie odpowiadasz na jej telefony. - Zachichotał.

- Dobrze, że chociaż mój odebrałaś.

- Nie wiedziałam, że to ty - odparła. Jej głos złagodniał. - O co chodzi?

- O Ardallen - odpowiedział. - O mężczyznę, na którego zawalił się budynek. On chyba ciągle jest w szpitalu. I ma dwie żony.

Siobhán nie odpowiadała.

- Czy to oznacza: „żadnych komentarzy”? - zapytał Carl.

- Zastanawiam się, czego tak naprawdę chcesz - odparła.

- To ciekawa historia - powiedział Carl. - JoJo, moja koleżanka, chce o tym napisać artykuł. Obejdzie się z tematem delikatnie.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że ktokolwiek z twoich znajomych może być delikatny - odparła cierpko Siobhán.

- Masz o nas bardzo niskie mniemanie - roześmiał się Carl. - Pani Glino, niech pani da spokój. To przecież byłaby zwykła historia o ludziach, ich uczuciach i tak dalej.

- Nie tym razem - odparła Siobhán.

Carl doskonale wyczuł zmianę w tonie jej głosu.

- Coś w tym jest, prawda?

Siobhán przygryzała końcówkę długopisu.

- Pani Glino, niech pani porozmawia z JoJo. Ona pracuje dla jednej z tutejszych lokalnych gazet. I tak wszyscy gadają o całej tej sprawie. Może prawdziwa historia okaże się mniej sensacyjna niż to, co ludzie na ten temat wymyślają.

- Wiesz co, zawsze wypominasz mi, że powinnam się zajmować łapaniem prawdziwych przestępców - odparła łagodnie - więc może ty zajmiesz się jakimś prawdziwym tematem?

- Jesteś bardzo drażliwa w tej sprawie - stwierdził Carl.

- Czy tam chodzi o coś więcej? Czy on jest zamieszany w jakieś poważne przestępstwo, czy coś takiego? Może ta katastrofa budowlana wcale nie była przypadkiem?

- O rety, O'Connor, chyba powinieneś być pisarzem a nie dziennikarzem - odpowiedziała Siobhán. - Wyobraźni to ci nie brakuje.

- Okej, okej. Ale jeśli się czegoś dowiem, albo JoJo, to porozmawiasz z nami?

- Tu nie ma się czego dowiadywać - stwierdziła. - Naprawdę myślę, że nie ma sensu, żebyście się zajmowali tą sprawą.

- Dobra, a co u ciebie? - doskonale zdawał sobie sprawę, że w tej historii musi coś być, ale wiedział też, że Siobhán nic więcej mu nie powie, więc zdecydował się zmienić temat. - Świetnie wyglądałaś wtedy w restauracji z tamtymi dziewczynami.

Nie odpowiedziała.

- Jest jakakolwiek szansa, żebyśmy mogli się spotkać i porozmawiać o sprawie Ardallen?

- Nigdy się nie poddajesz, co?

- Nigdy - odpowiedział pogodnie.

- No cóż, nie ma takiej możliwości - odpowiedziała spokojnym głosem. - Ale jeśli będzie się działo cokolwiek naprawdę interesującego, będę pamiętać, żeby dać ci znać.

- Och, naprawdę?

- Tak, naprawdę - odparła. - Ale teraz muszę już kończyć, żeby móc dokonać kilku aresztowań.

- Baw się dobrze - odpowiedział Carl i rozłączył się.

Siobhán odłożyła słuchawkę i przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, a potem znowu wybrała jakiś numer.

- Tu Eddie McIntyre - usłyszała. - Zostaw wiadomość.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Iona pokazywała kolejne mieszkanie w budynku Waterside. Tym razem był to lokal na parterze, pozbawiony cudownego widoku, jaki się roztaczał z niewielkiego apartamentu Siobhán Farrell czy o wiele większego Enrique Martineza. Ale i teraz potencjalnym najemcom spodobał się cały kompleks i powiedzieli jej, że są zainteresowani. Najpierw zobaczą jeszcze jedno mieszkanie i, o ile nie okaże się naprawdę fantastyczne, to zdecydują się na to oferowane przez nią.

Wręczyła im swoją wizytówkę i poprosiła o telefon, przypominając, że zainteresowanie kompleksem Waterside jest ogromne i że mieszkanie, które oglądają, z pewnością znajdzie najemcę do końca tego tygodnia.

Gdy otwierała drzwiczki swojego jasnozielonego nowego garbusa, spostrzegła śpieszącą do środka parę, której ostatnio wynajęła mieszkanie. Tuż za nimi ścieżką szedł Enrique Martinez. Zauważył ją i pomachał. Odwzajemniła pozdrowienie.

- Wszystko w porządku? - zapytała, gdy zszedł ze ścieżki i podszedł do niej.

- Tak - odpowiedział. - Podoba mi się tutaj. Lubię widzieć morze. Jestem do tego przyzwyczajony. Moje mieszkanie w Barcelonie też jest nad morzem. Jak pracowałem w Londynie, otoczony tymi wszystkimi budynkami, to ciągle czułem się jak w pułapce. Tutaj jest idealnie.

- Cieszę się - odparła.

Przez chwilę stali w milczeniu, a potem Ionia głośno zaburczało w brzuchu.

- O, Boże, przepraszam! - zaczerwieniła się. - Nie jadłam dzisiaj lunchu.

- To niedobrze - stwierdził Enrique stanowczym tonem.

- Byłam bardzo zajęta.

- Może pójdziemy razem coś zjeść? - zapytał. - Właśnie miałem to zrobić - uśmiechnął się. - W domu jadam o późniejszej porze, ale tutaj jest inaczej.

Życie toczy się dalej, pomyślała, tak jak mówi Sally. Poza tym Siobhán twierdzi, że mu się podobam. Ale ja nie jestem jeszcze gotowa... Z Brandonem było inaczej, to był Nowy Jork, a teraz jestem w domu i to po prostu niemożliwe.

- Nie, nie, wszystko w porządku, naprawdę - powiedziała.

- Mam w domu świetną szynkę Serrano - odparł. - Ale jeśli obawia się pani być ze mną sam na sam... - w jego oczach pojawiły się iskierki - to może chodźmy do tej restauracji na nabrzeżu. Jest bardzo dobra.

- Wiem - odparła Iona. - Byłam tam niedawno. Ale... - znowu zaburczało jej w brzuchu.

- Nie chcę słyszeć żadnej odmowy! - powiedział Enrique stanowczo. - Naprawdę jest pani głodna.

- Ale...

- Bardzo proszę - uśmiechnął się. - Od kilku tygodni jadam tylko z nudnymi biznesmenami. I nudnymi biznesmenkami. Chciałbym mieć miłe towarzystwo. I chciałbym też podziękować za znalezienie mi odpowiedniego mieszkania. Zdaję sobie sprawę, że nie byłem łatwym klientem.

Skrecało ją z głodu, ale przecież nie może pójść do restauracji z Enrique. To byłoby nie w porządku. Przyglądał jej się pytającym wzrokiem.

Przecież to klient. W zasadzie to sprawa służbowa. On jej w ogóle nie interesuje, przynajmniej nie jako mężczyzna. Jak mogłaby się kimkolwiek zainteresować teraz, gdy człowiek, którego kocha (nawet jeśli kompletnie spała ich życie) leży w stanie krytycznym w szpitalu? Gdyby Frank był cały i zdrowy, po prostu powiedziałaby Enrique, że jest mężatką i nie może z nim pójść na kolację. A gdyby on odpowiedział, że to żadna randka, tylko zwykła kolacja w podziękowaniu za znalezienie mu mieszkania, to cóż, ponieważ naprawdę była bardzo głodna, mogłaby przyjąć zaproszenie i wszystko byłoby w najlepszym porządku. Sęk w tym, pomyślała, że pójście do restauracji z Enrique, podczas gdy Frank nawet nie jest w stanie się o tym dowiedzieć, wydawało jej się jakies takie pokretnie. Jakby oszukiwała go w momencie, gdy nic nie może z tym zrobić. Choć to nic w porównaniu z tym, jak on oszukiwał ją. Gdy ta myśl zakradła się do jej głowy, znowu

przypomniała sobie Brandona. Oszukiwała przecież Franka w innej strefie czasowej. Choć tak naprawdę to do niczego w końcu nie doszło.

Nie przespała się z Brandonem. Wiedziała, że każdy powód, dla którego chciała to zrobić, był niewłaściwy. Był wyjątkowo wyrozumiały, choć zdawała sobie sprawę z tego, że jest też nieco zirytowany. Powiedział jej, że ma nadzieję, iż poradzi sobie ze swoimi kłopotami, i że bardzo miło spędził czas w jej towarzystwie. Potem wyszedł, a ona również i tej nocy była sama.

- Tylko coś przekąsimy - powiedział Enrique zachęcająco. - Dziś wieczorem mam jeszcze pracę do zrobienia, więc i tak nie mógłbym dłużej posiedzieć.

Zjedzenie czegoś, gdy jest się bardzo głodnym, to naprawdę nic złego, mówiła sobie, a ocenia to negatywnie tylko dlatego, że wciąż ma wyrzuty sumienia z powodu Brandona i uważa, że nie powinna się dobrze bawić, kiedy Frank jest tak bardzo chory. Umawiając się z Sally i Siobhán w ogóle jednak o tym nie myślała. Chodzi tylko o to, że Enrique jest przystojnym facetem, ale przecież dla niej to nie ma znaczenia. Jej serce uodporniło się już na przystojnych facetów.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Chyba tak... dobrze. Dzięki.

- Wyśmienicie!

Wyszli razem z ogrodu kompleksu Waterside i ruszyli w kierunku nabrzeża.

Ponieważ rozpoczęły się wakacje, Sally mogła pojechać do szpitala już po południu. Ku jej zdziwieniu Jenna postanowiła jej towarzyszyć i siedziała teraz po drugiej stronie łóżka, czytając jedną z powieści Iana Fleminga, które Iona zostawiła w szpitalu. Jenna nie czytała jej jednak na głos, tylko dla siebie. Pochłonięta lekturą, mocno pochylała ciemnowłosą głowę nad książką.

Sally przeczytała Frankowi listy do redakcji i kolumnę „O pogodzie i nie tylko” i teraz przeglądała pozostałe strony. Jednocześnie myślała o swoim spotkaniu z księgowym Franka i jego sugestjach dotyczących sytuacji firmy. Zasadniczo Richard twierdził, że trzeba ją sprzedać i wziąć za nią jak najwięcej pieniędzy, zanim wszyscy klienci Franka odejdą gdzie indziej. Sally przypuszczała, że Richard ma słuszość, jednocześnie jednak wcale nie miała ochoty sprzedawać firmy, której stworzeniu Frank poświęcił tyle czasu i starań. Z drugiej strony, rozumiała argumentację księgowego. Jeśli nikt nie będzie regularnie koordynować prac przy instalacjach (a nie mogła oczekiwać, że Richard czy Pete Maguire, inżynier i podwykonawca Franka, będą to robić w nieskończoność) i jeśli nikt nie będzie zdobywać nowych zleceń, to firma padnie. Bez względu na marzenia i nadzieje, jakie żywił wobec swojej firmy Frank, z całą pewnością nie chciałby, żeby upadła dlatego, że on nie był w stanie się nią zająć. Wolałby ją sprzedać - była o tym przekonana.

Zastanawiała się jednak nad tym, co Iona powiedziała o Richardzie: że Frank myślał o pozbyciu się go. Z tego, co Sally wiedziała, Richard był księgowym Franka od początku istnienia firmy. Nigdy nie słyszała, żeby mąż źle o nim mówił. Ale przecież, ze smutkiem przyznała sama przed sobą, tak naprawdę nigdy nie słuchała, gdy opowiadał o firmie. A to dlatego, że od samego początku była jej przeciwna.

Na tę myśl przygryzła zębami dolną wargę. Doskonale pamiętała entuzjazm Franka i własne wątpliwości. Pamiętała, jak bardzo była zła, gdy zasugerował sprzedaż domu i przeprowadzkę dalej od centrum, żeby zdobyć kapitał na inwestycję. Pamiętała, jak zarzucała mu, że chce realizować swoje głupie mrzonki, zamiast przyjąć dobrą posadę w niedawno przejętej firmie. Pamiętała też, że właśnie wtedy ich

małżeństwo przechodziło trudny okres, więc chyba nic dziwnego, że w końcu znalazł sobie kogoś, w kim znalazł oparcie. I z kim mógł ją zdradzać. Gwałtownie potrząsnęła głową. Nie chciała znowu poddać się uczuciu gniewu. Teraz nie miało to już sensu.

W każdym razie odniosła wrażenie, że Iona wie o firmie Franka o wiele więcej niż ona. I jest też bardziej zainteresowana jej losem. Może dlatego, że jej praca polega na dbaniu o rozwój firmy i zdobywaniu klientów, ona natomiast zawodowo zajmuje się rozwijaniem ludzi. Rzuciła okiem na dokumenty, które położyła na szafce obok. Zdecydowała, że da je Ionie, żeby ta pokazała je swojemu szwagrowi, i wysłucha potem ich opinii. I zaufa jej. Pomasowała sobie skronie. Wydawało jej się przedziwne, że ufa teraz Ionie bardziej niż profesjonalnemu księgowemu, ale tak było.

Skierowała wzrok na drugą stronę pokoju, gdzie siedziała Jenna. Jej córka zamknęła już książkę i wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Dobra? - zapytała Sally.

- He?

- Ta książka.

Jenna spojrzała w dół na egzemplarz „Doktora No”.

- Jest okej - odpowiedziała. - Staroświecka. Zupełnie nie taka, jak myślałam. Ale ciekawa.

Sally się uśmiechnęła. Od bardzo dawna Jenna nie powiedziała do niej tylu słów naraz.

- Może mu coś przeczytasz - zasugerowała.

- Iona już mu ją czytała - odpowiedziała Jenna.

- Nie Jamesa Bonda - powiedziała Sally. - Coś innego.

- Raczej nie - Jenna wzruszyła ramionami. - Ty mu czytasz te wszystkie gazety, ona czyta mu książki...

- To możesz z nim po prostu porozmawiać - powiedziała Sally.

- Wiem - odparła Jenna - ale nie chcę.

- Czemu?

- Nie mam mu nic do powiedzenia.

- Jenna... może nie jest ideałem, ale to przecież twój ojciec.

- Gdybym zrobiła coś okropnego, to czy powiedziałabyś, że to nie szkodzi, bo jestem twoją córką? - zapytała.

Sally starała się uważnie dobierać słowa.

- Nie wiem, czy powiedziałabym, że to nic nie szkodzi, ale i tak bym cię kochała. Matki zawsze kochają swoje dzieci, choćby nie wiem co.

- A gdybym... no nie wiem... a gdybym miała romans z żonatym mężczyzną. Co byś powiedziała?

- Wszystko zależy od okoliczności - odpowiedziała Sally. - Raczej nie byłabym zachwycona, ale wysłuchałabym, co masz do powiedzenia.

- A gdybym zaszła w ciążę?

Serce Sally zamarło. Zauważyła, że twarz Jenny pokryła się lekkim rumieńcem, a w jej oczach czaił się niepokój. Dobry Boże, pomyślała. Tylko nie Jenna. Błagam. Nie zniósłabym tego teraz, naprawdę.

- Też nie byłabym zachwycona - odpowiedziała najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiła się zdo-
być - ale i tak wciąż bym cię, oczywiście, kochała.

- A ty jak się czujesz? - zapytała Jenna.

- Ja? Dobrze.

- Bo robisz się trochę gruba, prawda?

- Wielka - poprawiła ją Sally. - Nie gruba.

- Jak chcesz. To musi być okropne.

- Jest trochę dziwne - odpowiedziała Sally. - Twoje ciało zmienia się, a ty nie masz nad tym żadnej kontroli, więc trochę to wkurzające. Potem jednak czujesz ruchy dziecka, a to naprawdę niesamowite. Magiczne.

- Czy ono... czy to dziecko już się rusza?

Sally skinęła głową.

- Fuj.

- To wcale nie jest takie nieprzyjemne - powiedziała Sally. - A nawet całkiem miłe, jak już się człowiek przyzwyczai.

- Ja też się ruszałam?

- Oczywiście.

- A co tata powiedział, jak mu powiedziałaś, że jesteś ze mną w ciąży? - zapytała Jenna.

- Był zachwycony - natychmiast odparła Sally. - Zawsze chciał mieć dużo dzieci. Nie ułożyło się tak, ale zawsze tego pragnął.

- Wiem. Ale przecież w końcu teraz będzie następne. Tylko że on może się nigdy nawet o tym nie dowiedzieć.

- Będzie wiedział - powiedziała Sally.

- Kochasz go jeszcze? - zapytała Jenna.

Sally zastanowiła się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- To chyba to samo, co czuję do ciebie - powiedziała. - Jestem na ciebie zła, ale wciąż cię kocham. Nie podoba mi się, co robisz, ale nadal cię kocham. Czasem nawet cię nie lubię! Ale mimo wszystko cię kocham.

- Więc nie przestałaś kochać taty?

- Nie.

- Mogę zostać z nim na chwilę sama?

- Pewnie - Sally wzięła torebkę i wyszła z sali.

Jenna przysunęła krzesło bliżej łóżka.

- Mówiłam ci wcześniej, że cię nienawidzę - powiedziała. - I to prawda. Ale jest tak, jak mówi mama. Nienawidzę cię, ale jak na ciebie patrzę, to ciągle cię kocham. Głowa mi od tego pęka. - Westchnęła. - Ten chłopak, o którym ci mówiłam, Gerry, zerwał ze mną, bo biłam się z takimi dziewczynami przed pubem. - Zachichotała. - To było kompletne szaleństwo, ciągnęłyśmy się za włosy i w ogóle. Gdybyś słyszał, co mówię, to wiem, że zdenerwowałbyś się, ale nie mogłam się powstrzymać. To było takie nierzeczywiste. Gerry nie był tym zachwycony, więc mnie rzucił. Tam na miejscu, tato, na tym chodniku, przy gliniarzach. Zapomniałam ci

powiedzieć, że przyjechali tam z powodu tej bójk. Niezły bajzel. Jeden z nich to był ten, który przyjechał nam powiedzieć o twoim wypadku. Odwiózł mnie do domu i kazał obiecać, że będę grzeczną dziewczynką. - Oparła głowę o łóżko. - Ale problem w tym, że nie wiem, czy chcę być grzeczna. A to przez ciebie. Wszystko przez ciebie. Sam i Kelly starały się być dla mnie miłe, ale ja nie mogłam tego znieść. Nie chciałam, żeby uważały, że trzeba mnie jakoś szczególnie traktować, bo mój ojciec ożenił się z jakąś młodszą laską. Gdybyś się chociaż rozwiódł, to można by o tym rozmawiać, ludzie się przecież rozwodzą, ale ty zrobiłeś coś tak okropnego, że ja nie mogłam o tym rozmawiać. Zaprzyjaźniłam się więc z innymi dziewczynami, ale one chyba są zupełnie ode mnie inne. W tym pubie szybko przestało mi się podobać. Zabawnie było trochę się powkurzać, ale nie jest miło, jak to się kończy bójką albo jak ktoś ci rzyga na buty, które kosztowały majątek. Kiedyś wiedziałam, czego chcę, tato. Ale teraz...

Zamilkła i popatrzyła na niego. Choć ostatnio od czasu do czasu poruszał głową, teraz tkwił bez ruchu.

- Kocham cię, tato - powiedziała drżącym głosem. - Nienawidzę cię i kocham, a życie jest takie skomplikowane... Nie wiedziałam, że może być aż tak skomplikowane. - Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Ścisnęła jego palce. Potem siedziała w całkowitym bezruchu, bo choć jego dotyk był bardzo lekki, była pewna, że odwzajemnił uścisk.

Było ich dwie. Frank wreszcie sobie przypomniał. Sally i Iona. Kochał je obie. Kochał Sally, bo była silna, można było na niej polegać i była matką ich ślicznej córki, Jenny. A Ionę kochał, bo była silna i niezależna, i wspierała go we wszystkim, co chciał robić. Pragnął troszczyć się o nie obie i chronić je obie. Nie był pewien, czy mu się to uda, ale wiedział, że prawie każda kobieta chce, żeby ktoś o nią dbał, nawet jeśli jest silna i niezależna.

Wszystko, co robił, służyło temu, by chronić kobiety jego życia. Sally, Jennę i Ionę - nawet jeśli Sally nie rozumiała, czemu mu tak zależy na własnej firmie, i denerwowała się na niego, że wprowadza wielkie zmiany w ich życiu. Ale nowa firma przyniesie mu o wiele więcej pieniędzy niż posada w starej. A Sally, choć była bardzo niechętna tej zmianie, już się z nią pogodziła. Uświadomiła sobie, że on miał rację. Dba więc o kobiety swojego życia, prowadząc firmę i zapewniając, by niczego im nie brakowało.

A Iona... cóż, zawsze twierdziła, że nie potrzebuje opieki, ale on widział, jak ciężko pracuje, jak bardzo chce odnieść sukces, a jednocześnie jak mało w niej pewności siebie. Jest świetna w tym, co robi, ale nikt jej tego nie mówi i nikt jej nie chwali. Rodzice mieszkają w Hiszpanii, i choć ona uważa, że ma z nimi dobre relacje, to przecież nie utrzymują stałego kontaktu. Jej siostra jest mężatką i chyba sądzi, że dopóki Iona nie wyjdzie za mąż, czegoś w jej życiu będzie brakowało. Brat jest w Chinach. Zdaniem Franka Iona była samotna. Był o tym coraz mocniej przekonany, bo ona coraz częściej wracała w rozmowach do tematu małżeństwa. On nie mógł się z nią, oczywiście, ożenić, ze względu na Sally, ale chciał ją uszczęśliwić. Bo jeśli będzie szczęśliwa, to go nie opuści. Stała się ważną częścią jego życia. Niełatwo jest kochać dwie kobiety jednocześnie, ale w jego przypadku tak właśnie było.

Znowu poczuł, że boli go głowa. To wszystko go przerastało. Chciał, żeby wszystko było proste, żeby było inaczej niż u Dereka, inaczej niż z Christine, która nagle uciekła. Nie chciał mieć poplątanego życia, ale chyba sam je sobie poplątał. Był pewien, że słyszy teraz Ionę, która mówi mu, że go kocha i że go nienawidzi, i nie wiedział, dlaczego ktokolwiek miałby go nienawidzić, bo przecież zawsze starał się ze wszystkich sił. Dla

niej. Dla Sally. Dla Jenny. Jenna też kochała go i jednocześnie nienawidziła. To Jenna teraz do niego mówi, rozpoznał jej głos. Ostatnio słyszy zbyt wiele głosów, zbyt wiele osób tłoczy się w jego głowie, utrudniając mu myślenie. Zacisnął dłoń.

- Kocham cię.

Wyraźnie to usłyszał. Nieważne było, kto to powiedział. Najważniejsze, że go kocha. Rozluźnił dłoń.

Gdy Iona weszła do restauracji, w której unosił się aromat czosnku i przypraw, poczuła jeszcze większy głód. Nie zdawała sobie sprawy, że jest aż tak głodna. W ciągu tych kilku tygodni, które minęły od wypadku Franka, w ogóle nie zwracała uwagi na jedzenie, z wyjątkiem tej jednej kolacji w Gabriel's w Nowym Jorku. Spędziła tutaj miły wieczór w towarzystwie Siobhán i Sally, ale nawet nie zapamiętała, co wtedy jadła.

Kelner zaprowadził ich do boksu i podał menu. Iona zatopiła się w lekturze. Postanowiła zamówić rybę z frytkami. Dobre solidne jedzenie, nawet jeśli to podawane w restauracjach zupełnie nie przypomina smażonego na głębokim tłuszczu dorsza i tłustych frytek polanych sosem winegret i zapakowanych w brązowy papier, jakie Frank przynosił czasami do domu z baru przy ich ulicy. Na myśl o Franku na nowo ogarnęły ją wszystkie wątpliwości co do słuszności decyzji o przyjściu tu z Enrique i niemal głośno jęknęła.

- Wszystko w porządku? - Hiszpan przyglądał się jej z ciekawością.

- Ja... cóż... chyba nie powinnam tu przychodzić - odpowiedziała. - Mam... tyle innych rzeczy do zrobienia dziś wieczorem. Naprawdę nie mogę zostać.

Brązowe oczy Enrique uważnie się w nią wpatrywały.

- Jest pani głodna - stwierdził. - Nic pani nie będzie mogła dobrze zrobić, jeśli brzuch ciągle będzie pani przypominał, że potrzebuje jedzenia. Proszę coś zjeść, potem zrobi pani wszystko, co musi.

- Tak, ale...

- Pracuję w bardzo wymagającej branży - powiedział lekkim tonem - w której kiedyś uważano, że lunch jest tylko dla mięczaków. Niektórzy nadal tak uważają. Ja jednak sądzę, że wszyscy powinniśmy się cieszyć posiłkami, a nasze życie stanie się dzięki temu lepsze. Nie musi pani spędzać ze mną dużo czasu, ale naprawdę powinna pani coś zjeść.

- Pan nie rozumie - odparła - nie powinnam tu z panem być. Po prostu nie powinnam.

- Dlaczego? - zapytał spokojnie. - Przecież ja nic złego nie zrobię.

- Wiem... ale chodzi o to... że ja... jestem... jakby zameżna.

- Jakby zameżna? - zmarszczył brwi. - A co to znaczy, jakby zameżna? Nigdy się z tym nie spotkałem.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła ze smutkiem w głosie.

- Ale czy bycie jakby zameżną uniemożliwia pani jedzenie? - zapytał.

- Oczywiście, że nie. Tylko że...

- To, moja jakby zameżna pani, proszę się tym nie przejmować i zamówić coś do jedzenia.

Co to szkodzi, pomyślała. Wizja opuszczenia restauracji, w której tak smakowicie pachniało jedzeniem, zupełnie jej nie pociągała. Ale jeśli zostanie, to będzie znaczyło, że je kolację z obcym mężczyzną. Przygryzła wargę. Przecież dotąd często jadała kolacje z innymi mężczyznami niż Frank! Była kilka razy z Garretem, często umawiała się z innymi ludźmi z branży wynajmu nieruchomości. Kolacja zjedzona wspólnie z jakimś mężczyzną nie stanowi przecież żadnej deklaracji z jej strony. To po prostu... po prostu wspólny posiłek.

- Okej - powiedziała w końcu, zamknęła menu i odłożyła je na stół. - Zjem coś.

- To świetnie - stwierdził Enrique. - Co pani wybrała?

Złożyli zamówienie u kelnera, który zmaterializował się nagle przy ich stoliku, jak tylko odłożyli jadłospisy. Enrique zamówił dla siebie kieliszek wina, Iona odmówiła, bo musiała potem wrócić samochodem do domu, i poprosiła o wodę. I żadnych drinków, upomniała w myślach samą siebie.

- Daleko pani mieszka? - zapytał Enrique, smarując masłem kawałek chleba z orzechami.

Opowiedziała mu o dzielnicy Liberties i o swoim domu, a potem o rodzicach i ich willi w Jáveí, a on pokiwał głową, stwierdzając, że wybrali piękne miejsce. Podobał jej się jego akcent i nieco chropawy głos. Podobało jej się, że nie jest wścibski, tylko pozwala, by rozmowa w naturalny sposób kierowała się na rozmaite tematy. Nie podobało jej się natomiast, że w najmniejszym stopniu nie zainteresował się jej stanem cywilnym. Czy ze mną jest coś nie tak? - zastanawiała się. Czy stałam się jedną z tych kobiet, które w każdym mężczyźnie widzą potencjalnego partnera do łóżka? Roześmiała się w duchu. Wcale nie myślała o Enrique jak o kimś, z kim mogłaby się przespać. Nie na poważnie. Tyle tylko, że był bardzo atrakcyjny i trudno było się nie zastanawiać, jaki taki atrakcyjny mężczyzna byłby w łóżku. Tak samo robiła, przebywając z Frankiem. To wcale nic nie znaczyło. Poza tym, przypomniawszy sobie, nawet jak mogła to zrobić z Brandonem bez żadnych konsekwencji, to i tak tego nie zrobiła.

- Jestem rozwiedziony - powiedział Enrique swobodnym tonem w odpowiedzi na jej pytanie o życie rodzinne i pracę za granicą. - Mojej żonie nie podobało się, że tak dużo czasu jestem poza domem, i miała rację. Przykro mi, że nam nie wyszło. To miła kobieta. Wychodzi teraz ponownie za mąż. Ale ja się, oczywiście, nie żenię.

- Dlaczego nie?

- Bo jak ktoś przez pracę stracił żonę, to powinien się tej pracy poświęcić - odparł.

Pokiwała głową.

- A pani? Jakby zamężna?

Wiedziała, że w końcu ją o to zapyta. Nie miała jednak pojęcia, co odpowiedzieć.

- Nosi pani pierścionek - powiedział. - To chyba ślubna obrączka?

Spojrzała na pierścionek z rubinami.

- Tak myślałam - powiedziała po prostu - ale okazało się, że nie.

- To w pani życiu jest teraz mąż czy nie ma?

- To dość skomplikowane - odpowiedziała.

- Ach tak - uśmiechnął się lekko, kiwając głową. - Życie teraz często jest skomplikowane.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Ciekawe, czy mnie gdzieś zaprosi, zastanawiała się. A jeśli tak, to co odpowiem? Nie mam ochoty opowiadać mu o Franku. Odmówię, a to będzie niegrzeczne, bo on jest bardzo miły... ale jeśli zaprosi mnie do swojego mieszkania (choć jest dopiero ósma wieczorem), to przecież nie będzie oczekiwał, że będzie tylko miło, będzie chciał czegoś więcej. Tak jak Brandon. Dlatego właśnie nie powinnam była pozwolić temu Amerykaninowi za mnie zapłacić i dlatego właśnie nie powinnam była zgodzić się na kolację z Enrique. Jestem strasznie, strasznie głupia.

- Muszę już iść - Enrique skinął na kelnera i poprosił o rachunek, a potem uśmiechnął się do Iony. - Na jutro rano muszę skończyć pewien raport, więc żeby mieć jakąkolwiek szansę z tym zdążyć, muszę zaraz się za to wziąć.

- Och.

- Bardzo miło spędziłem z panią czas.

- Ja również.

Kelner przyniósł rachunek. Enrique wziął go do ręki i przyjrzał mu się.

- Dzielimy na pół - powiedziała szybko Iona.

- Chciałem podziękować pani za to mieszkanie - odparł. - Ja zapłacę.

- Wolałabym, żebyśmy zapłacili po połowie - nie chciała, żeby ktokolwiek płacił za jej posiłki.

- Jeśli tak sobie pani życzy.

Wyjął z portfela banknot i położył go razem z rachunkiem na spodeczku.

- Pani dołoży taki sam i wystarczy.

- Doskonale - powiedziała i dołożyła swój banknot.

Na zewnątrz nadal było ciepło i słonecznie. Gdy szli wolno z powrotem w stronę apartamentowca, Enrique wychwalał uroki długich letnich wieczorów.

- To mój samochód - Iona wskazała swojego jasnozielonego garbusa.

- Podoba mi się - uśmiechnął się.

- Dziękuję. I dziękuję za kolację.

- Może kiedyś jeszcze wybierzemy się gdzieś razem i wtedy za panią zapłacę - odparł. - Na razie może mi pani podziękować tylko za to, że zmusiłem panią do zjedzenia czegoś.

Roześmiała się.

- Okej.

- To dobranoc, Iona.

- Dobranoc - odpowiedziała.

Była zaskoczona, że nie pocałował jej w typowo kontynentalny sposób w oba policzki. Ale jednocześnie odczuła ulgę.

Rozdział 33

Siobhán właśnie wróciła do biurka po przesłuchaniu podejrzanego o włamanie, gdy jej komórka zadzwoniła w charakterystyczny sposób.

- Cześć Eddie - powiedziała.
- Dzwoniłaś?
- Chciałabym się z tobą zobaczyć.
- Po co?
- Przemyślałam sobie parę spraw. I wydaje mi się, że już czas, abyśmy porozmawiali.
- Rychło w czas - odparł szorstko. - Dziś wieczorem?
- Dobrze - powiedziała.
- Wpadniesz do mnie?

Zawahała się. Planowała spotkać się z Eddiem gdzieś na drinka i tam z nim porozmawiać. Mieszkanie stanowiło nieco zbyt osobiste otoczenie. Obawiała się jednak, że jeśli odmówi, Eddie pomyśli, że boi się przebywać z nim sam na sam.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Koło siódmej.
- Świetnie - odparł Eddie. - Do zobaczenia. Rozłączyła się. Potem wykonała dwa telefony, jeden do Sally a drugi do Iony, żeby opowiedzieć im o Carlu O'Connorze i o tym, że dziennikarze interesują się ich sprawą. Tak jak przypuszczała, obie były jednakowo przerażone. Obiecała im, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby sprawy nie nagłośniono, i zapewniła je, że nie udostępni O'Connorowi żadnych informacji, a nawet postara się skierować jego uwagę na jakiś całkiem inny temat. Jak już im mówiła, ten dziennikarz to palant, a ona nie ma do niego za grosz zaufania.

Później wróciła myślami do sprawy włamania.

* * *

Iona zadzwoniła do Sally od razu po rozmowie z Siobhán.

- Chcesz rozmawiać z dziennikarzami? - zapytała.
- Zwariowałaś? - odparła Sally.

Iona się roześmiała.

- Pytam tylko, bo Siobhán powiedziała, że ten jej kolega dziennikarz twierdzi, że są ludzie, którym zależy na tym, aby ta historia ukazała się w jakiejś gazecie.

- Ja z całą pewnością do nich nie należę - stwierdziła Sally. - A ty?
- I kto tu zwariował? - Iona odpowiedziała pytaniem.
- Oczywiście, że nie. Wołałam się jednak upewnić, że obie jesteśmy tego samego zdania, bo gdyby któraś uważała inaczej, to miałyby wpływ na tę drugą i...

- Jesteśmy tego samego zdania - stwierdziła stanowczo Sally. - Żadna z nas nic nie powie i nic nie zrobi bez zgody drugiej.

- To świetnie - odparła Iona. - Doskonale.

- Nigdy nie zgodziłabym się, żeby napisali o mnie artykuł pod tytułem „Moje małżeństwo okazało się piekłem” - dodała Sally.

Iona zachichotała.

- Nie chcesz nagłówka: „Mój mąż to łajdak i oszust”?

- Ani zdjęć z podpisem: „Zrozpaczone kobiety, które tak straszliwie oszukano”.

- I żadnych kiepskich odbitek naszych zdjęć ślubnych.

Sally głęboko westchnęła.

- Aż trudno w to uwierzyć, prawda? Że ktoś chciałby to wszystko opisać w gazecie.

- Hej, Sal, przecież wiesz, jakimi bzdurami zajmują się teraz gazety - powiedziała Iona. - Wcale mnie to nie dziwi. Cieszę się tylko, że żadna z nas tego nie chce.

- Tak, jak mówię, cokolwiek będzie się działo z Frankiem, cokolwiek w związku z jego leczeniem czy z firmą, cokolwiek, obie musimy się na to zgodzić.

- Jednomyślność - powiedziała Iona.

- Coś w tym stylu - zgodziła się Sally.

- Dobra z ciebie przyjaciółka - stwierdziła Iona.

- Z ciebie też - odrzekła Sally. - Z ciebie też.

Dokładnie o siódmej Siobhán przyjechała, żeby się zobaczyć z Eddiem.

- Przecież masz klucz - powiedział przez domofon, gdy nacisnęła guzik.

- Tak, ale nie mam zamiaru go używać - odparła. - To nie byłoby w porządku.

- Och, nie bądź głupia! - powiedział, ale otworzył jej drzwi.

Gdy dotarła na piętro, stał w drzwiach. Pocałował ją w policzek i zaprosił do środka.

Siobhán stanęła i zdumiona rozejrzała się po mieszkaniu.

Panował w nim idealny porządek. Każda powierzchnia lśniła czystością, we wszystkich wazonach stały świeże kwiaty, nigdzie nie poniewierały się żadne czasopisma, gazetki reklamowe czy niezapłacone rachunki, a fotel w rogu pokoju nie był zawalony stosem rzeczy do uprasowania.

- Ojej - powiedziała. - Właśnie tak tutaj było, zanim się wprowadziłam.

- Przyszły te sprzątaczkę - odparł sucho. - To ty je zamówiłaś, jeśli sobie przypominasz.

Powoli skinęła głową.

- Tak, to prawda, ale nie przypuszczałam, że wykonają aż tak dobrą robotę.

- Nieźle to wygląda, co? - uśmiechnął się do niej. - Może usiądziesz?

Przysiadła niespokojnie na brzegu fotela. W tym mieszkaniu nie czuła się już jak u siebie. Jak dla niej było tu za pięknie i za czysto, panował za duży ład i porządek. Żałowała, że po drodze z pracy nie zajrzała do wynajmowanego przez siebie mieszkania, żeby odświeżyć się przed wyjściem, ale nawet nie przyszło jej do głowy, żeby tak zrobić. Jak zwykle kiepska ze mnie dziewczyna, pomyślała ze smutkiem. Każda normalna kobieta zadbałaby o swój wygląd przed spotkaniem z narzeczoną. Nawet jeśli ich związek przechodziłby akurat kryzys.

Eddie zniknął w kuchni. Wrócił z butelką szampana i dwoma kieliszkami.

- To nie taki, jaki kupiłaś na moje powitanie - stwierdził. - To prawdziwy szampan.

- Kupiłam wtedy prawdziwego szampana - odpowiedziała oburzona.

- Ale to jest Dom Pérignon rocznik 1990 - powiedział. - W sklepie spożywczym się go nie dostanie.

Nic nie odpowiedziała, kiedy z cichym pyknięciem wypchnął korek z butelki, nie ulewając ani kropli. Napęłnił oba kieliszki i wznosił toast.

- Witaj w domu - powiedział.

- Jeszcze nie wróciłam - starała się mówić lekkim tonem. - To znaczy, nie wzięłam swoich rzeczy.

Chciałam tylko o tym wszystkim porozmawiać.

- Kochanie, już rozmawialiśmy - odpowiedział Eddie. - I miałaś czas, żeby sobie to wszystko przemyśleć. Jak dla mnie czas na myślenie i rozmowy już się skończył.

Postawił kieliszek na stole i podszedł do fotela, na którym siedziała.

- Kocham cię - powiedział. - Kocham cię od dnia, w którym cię poznałem, i wiem, że ty też mnie kochasz. I że wiesz, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co się stało. Ale to naprawdę była chwila kompletnego szaleństwa. Nigdy już nie zrobiłbym czegoś takiego. Zachowałem się jak idiota i zapłaciłem za to wysoką cenę. Mogłem się zarazić jakąś groźną chorobą i mogłem na zawsze cię stracić.

Sięgnął pod fotel, wyciągnął czerwone aksamitne pudełko obwiązane złotą wstążką i podał je Siobhán. Trzymając je na dłoni, przekręciła je dookoła.

- Otwórz - powiedział.

- Eddie...

- Otwórz - powtórzył.

Pociągnęła za wstążeczkę i uniosła wieczko. Subtelny naszyjnik z diamentami zamigotał we wpadających przez okno promieniach zachodzącego słońca i rozblysnął wszystkimi kolorami tęczy.

- O, mój Boże - nie mogła złapać tchu. - Jest przepiękny.

- A ty na niego zasługujesz - powiedział. - Nie wiem, co mogę zrobić, żeby ci to wynagrodzić, ale zrobię wszystko. To tylko dowód moich uczuć.

Siobhán była oczarowana blaskiem i pięknem diamentów. Delikatnie zamknęła pudełko.

- Nie założysz go? - zapytał.

- Najpierw musimy porozmawiać.

- Nie musimy już rozmawiać - stwierdził.

- Eddie, musisz zrozumieć, jakie to wszystko jest dla mnie trudne. Wiem, że to był jednorazowy wyczyn, rozumiem, jak do tego doszło, ale to wcale nie znaczy, że potrafię się z tym pogodzić. Z tym właśnie mam problem.

- Siobhán, skarbie, przecież ty poznajesz ludzi od ich najgorszej strony - powiedział Eddie. - Aresztujesz ich. Niektórych z nich do czegoś zmusiły okoliczności. Inni żałują tego, co zrobili. Chyba widzisz, że jestem szczery.

Była przekonana, że jest szczery. Widziała to w jego oczach i słyszała w jego głosie. Nie wątpiła w jego szczerość.

Pochylił nad nią swą twarz i nagle zaczął ją całować, a ona nie mogła się powstrzymać, by nie oddać pocałunku. Potem wsunął pod nią ręce, podniósł ją i zaniósł do sypialni.

Pierwszy raz ją niósł i poczuła, jak się potknął, kładąc ją na łóżku. Nie jestem stworzona do tego, żeby mnie nosić, pomyślała cierpko. Mógł mu wypaść dysk! Ale Eddie nie wyglądał na zmartwionego stanem swojego kręgosłupa. Podczas gdy ona leżała na łóżku, on rozpiął guziczki jej bladoniebieskiej bluzki. Westchnęła z ulgą, gdy przypomniała sobie, jaki ma na sobie biustonosz. Może nie był tak cudowny jak baskinka, ale całkiem seksowny i w odcieniu pasującym do bluzki. Ubierając się rano, musiała przeczuć, że się spotkają, i podświadomość podpowiedziała jej, że stary zniszczony stanik z sieci Marks & Spencer to nie najlepszy wybór.

Rozpiął właśnie pasek od spodni i po chwili poczuła na sobie jego ciało, a na twarzy pocałunki, kierujące się w stronę jej szyi. Zatrzymał twarz między jej piersiami.

- Kocham cię - wyszeptał. - Zawszę cię kochałem.

Wszedł w nią szybko, a ona jęknęła lekko, bo nie była jeszcze gotowa. Chciała być gotowa, więc gdy ją całował, próbowała wykrzesać z siebie choć odrobinę napiętności, ale wciąż myślała tylko o tym, że on to samo robił w Bostonie z jakąś prostytutką. Próbowała upchnąć tę myśl gdzieś głęboko i skoncentrować się na jego rytmicznych ruchach, ale to było za trudne. Wyobrazenie Eddiego robiącego to z jakąś bostońską dziwką zupełnie jej nie podniecało.

- Kocham cię - powiedział, przyspieszając tempo swoich ruchów. - Jesteś moja, Siobhán, i zawsze będziesz moja.

Mocno zacisnęła oczy i spróbowała przywołać te uczucia, które ją ogarnęły, kiedy kochali się po raz pierwszy. Przekonanie, że znalazła tego właściwego mężczyznę. To poczucie silnej więzi. Nagłe zrozumienie, że to właśnie z nim powinna być.

Krzyknął, a potem przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Było fantastycznie - wydyszał do jej ucha.

Spróbowała przesunąć się trochę i przybrać nieco bardziej komfortową pozycję.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Ona też za nim tęskniła. Chociaż były chwile, w których nieźle jej było samej, kiedy nie musiała się martwić, że on nie wie, gdzie ona jest, ani słuchać, jak mówi, że jej za mało płatna praca zabiera jej za dużo czasu, to jednak tęskniła za jego zrządzeniem, za jego troską o nią i za poczuciem, że ma kogoś w domu, że ma kogoś w swoim życiu.

- Wiesz, masz niesamowite ciało - leżeli zwróceni do siebie twarzami, wciąż przytuleni. Przebiegł palcami po jej kręgosłupie, bo wiedział, że to uwielbia.

- Ty też.

- Pasujemy do siebie - powiedział miękko.

- Jak było? - zapytała.

- He?

- Z tamtą... kobietą w Bostonie.

- Och, daj spokój! - spojrział na nią ze złością. - Myślałem, że mamy to już za sobą.

- Może ty tak - odpowiedziała - ja nie.

- Posłuchaj, kompletnie mi wtedy odbiło - powiedział. - Brałem kokę i inne rzeczy, więc nawet dokładnie nie pamiętam.

- Ale było dobrze? - zapytała.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to tak - odpowiedział. - Ale, na miłość boską, przecież to była profesjonalistka! Doskonale wiedziała, co ma robić.

- Nauczyła cię jakichś nowych sztuczek? - zapytała Siobhán.

Spojrzał na nią z uniesioną brwią.

- Chciałabyś spróbować?

- Pytałam tylko, czy robiła coś innego - odpowiedziała.

- Wszystko było inne - stwierdził Eddie. - Ale ja jej nie kochałem. To był tylko seks.

- Muszę iść do łazienki - wyslizgnęła się z jego objęć i weszła do łazienki. Tego miejsca sprzątaczkę z agencji również nie oszczędziły, ale buteleczki z olejkami i perłowe kuleczki do kąpieli, które kupiła wiele miesięcy temu, wciąż stały na szklanej półeczce. Oparła głowę o lustro nad umywalką. Czego chcę od Eddiego? - zapytała samą siebie. - Co mu powiem, jak wrócę do sypialni?

Nie chciała rezygnować z życia, jakie mogła dzięki niemu mieć, z wyjścia za męża, bycia z nim jeszcze bliżej, bycia prawdziwą parą. Pragnęła tego wszystkiego. Naprawdę. I pragnęła też seksu. Oczywiście, nie takiego jak teraz, z którego nie miała żadnej przyjemności, bo wciąż była na niego za bardzo zła, żeby się z nim kochać tak, jak tego chciał, ale takiego jak kiedyś, gdy mu się całkowicie oddawała, ufając mu, wierząc, że jest tym jednym jedynym, tylko dla niej. Wtedy było idealnie, teraz jednak nie wiedziała, czy kiedykolwiek znowu tak będzie.

W pracy spotykała ofiary różnych przestępstw, domagające się sprawiedliwości. Ci ludzie chcieli, żeby wszystko było tak jak dawniej, a ona musiała im mówić, że to nie zawsze jest możliwe, że nawet jeśli znajdą sprawiedliwość, to już nigdy może nie być tak samo. Teraz sama musiała zaakceptować fakt, że z nią i Eddiem też już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. To nie znaczy, że nie będzie im razem dobrze, ale będzie już inaczej.

Weszła z powrotem do sypialni i podniosła z podłogi swój biustonosz. Założyła go, a potem podniosła bluzkę i włożyła ręce w rękawy.

- Wracaj do łóżka - powiedział leniwym tonem Eddie. - Tak długo na to czekałem... Chyba jestem gotowy na powtórkę, jeśli masz ochotę.

Pokręciła głową.

- Nie - odpowiedziała. - Chyba zauważyłeś, że na pierwszy raz też nie bardzo miałam ochotę.

- Hej - usiadł. - Przecież cię nie zmuszałem...

- Boże, pewnie, że nie - odpowiedziała szybko. - Chodzi mi o to... no cóż, chciałam, ale naprawdę nie... moje ciało i umysł nie były jeszcze gotowe.

Zmrużył oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Eddie, ja naprawdę szczerze cię kochałam i chciałam z tobą być, chciałam za ciebie wyjść. Ale nie potrafię ci wybaczyć. Może powinnam. Wiem, że jest ci przykro. Tylko, że... - załamał jej się głos. -

Przepraszam - powiedziała, zsuwając z palca swój skromny pierścionek zaręczynowy (uparła się, żeby było to coś nierzucającego się w oczy).

- Nie rób tego, Siobhán - powiedział Eddie. - Niszczysz to wszystko z powodu jednego błędu.

- Wiem - odpowiedziała, ubierając się do końca. - Wiem o tym. Ale to był fatalny błąd, Eddie.

- Dla ciebie wszystko jest takie cholernie czarno-białe, tak? - zapytał ze złością. - Zbrodnia i kara.

Popełniłem zbrodnię, więc ty mnie karzesz.

- To nie tak - zaprotestowała.

- A jak?

Nie potrafiła odpowiedzieć.

- W takim razie - powiedział - nie będę cię zatrzymywać.

- Och, Eddie.

- Przez ciebie poczułem się gorzej niż po tym z tamtą dziewczyną w Bostonie - powiedział. - Tak jakbym zmusił cię do seksu, posługując się jakimś oszustwem.

- Ty mnie nie oszukałeś - powiedziała Siobhán. - Sama siebie oszukałam.

Wzięła torebkę z fotela stojącego w rogu pokoju.

- Klucze zostawiam na stole. Do widzenia, Eddie.

Ale on nie odpowiedział.

* * *

Kiedy była na podziemnym parkingu i otwierała drzwi swojego samochodu, na miejsce obok wjechał jakiś samochód.

- Witam panią Glinę - powiedział Carl O'Connor.

Zanim się do niego odwróciła, otarła z oczu łzy, ale i tak zauważył, że jest zdenerwowana.

- Co się stało? - zapytał.

Bez słowa pokręciła głową.

- Czy ten gnojek, z którym mieszkasz, znowu zamknął ci drzwi przed nosem?

- Nie mów głupstw - powiedziała.

- Ja się tylko o ciebie troszczę.

- Dobra, dobra, umiem o sobie zadbać - odparła.

Carl się roześmiał.

- Raz już się tak zdarzyło, że mnie potrzebowałaś.

Nic nie odpowiedziała, tylko wsiadła do swojego auta.

Carl przytrzymał drzwiczki.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Może masz ochotę na drinka albo coś takiego?

- Może jestem zdenerwowana, ale jeszcze zupełnie nie zgłupiałam - odpowiedziała energicznie.

Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

- Jeśli nie teraz, to może kiedy indziej?

- Chryste, wy wszyscy jesteście tacy sami! - odparła z pasją w głosie. - Ja przecież... właśnie ci powiedziałam, że jestem zdenerwowana, a ty zapraszasz mnie na randkę. Czy wy nigdy nie dostrzegacie, że ktoś ma akurat dość?

- Nigdy nie proponowałem ci randki - odparł łagodnym tonem. - Jesteś zdenerwowana, a ja staram się być przyjacielski i tyle.

Jej spojrzenie było pełne sceptycyzmu.

- A ty w ogóle potrafisz być przyjacielski?

- Daj spokój - powiedział miękko. - Może należę do pogardzanej kasty dziennikarzy, ale to nie znaczy, że jestem potworem.

- Wiesz, nie poszłabym z tobą na drinka, nawet gdybyś był komputerowo wygenerowanym ideałem mężczyzny - powiedziała Siobhán. - Ja już z mężczyznami skończyłam. Nie mam na to sił. Wolę morderstwa.

Następnego dnia rano, gdy Iona była w biurze, zadzwoniła do niej Sally, żeby powiedzieć, że ma już sprawozdanie księgowego, a ponieważ wybiera się tego dnia do miasta, to, jeśli Ionie to odpowiada, może je jej podzucić do biura. Iona odparła, że będzie w biurze do lunchu, a Sally zapewniła ją, że dotrze tam przed dwunastą trzydzieści.

Dokładnie w południe weszła do Rental Remedies z teczką pod pachą. Ponieważ biuro było jednym wielkim pomieszczeniem, od razu zauważyła siedzącą przy biurku Ionę, która drapała się po głowie czubkiem ołówka, patrząc w monitor komputera. Jej nos zdobiły okulary do czytania w modnym fasonie.

Sally głośno odchrząknęła i Iona rozejrzała się wokół. Uśmiechnęła się na widok Sally i wskazała jej ręką, by minęła recepcję.

Ruth Dawson spojrzała do góry, gdy Sally przysiadła na krawędzi biurka Iony.

- Sally, to Ruth. Ruth, to Sally - powiedziała Iona, odkładając swoje okulary na biurko.

- Sally? - Ruth ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. - Sally... jak Sally?

- Tak.

- Ta Sally?

- Okej, chyba już ustaliliśmy, że to jest Sally - powiedziała do koleżanki Iona.

- Tak. Ale... hm... cóż. Sally. Witam - powiedziała w końcu Ruth. - Miło panią poznać, Sally.

- Czyżbym stanowiła tu temat rozmów? - zapytała Sally.

- Do pewnego stopnia - przyznała Iona.

- Iona nigdy nie wspomniała o tym, że jest pani w ciąży - Ruth gapiła się na ciężarny brzuch Sally.

- Och. No tak. Rzeczywiście - Iona wzruszyła ramionami, podczas gdy Ruth patrzyła to na jedną kobietę, to na drugą.

Sally się zarumieniła.

- Hej, Sally, posłuchaj... Może pójdziemy na jakąś kanapkę do baru obok? - rzuciła szybko Iona. - Ruth przypilnuje wszystkiego przez te pół godziny, dobra? - spojrzała prosiącym wzrokiem na Ruth.

- Jasne - odpowiedziała Ruth. - Zresztą i tak nic się nie dzieje.

- Świetnie - Iona zdjęła żakiet z oparcia swojego fotela. - Chodźmy.

Wyprowadziła Sally na zewnątrz, a potem spojrzała na nią przepraszająco.

- Przepraszam - powiedziała. - Rzecz w tym, że przyzwyczałam się do tego, że się znamy. Ja chyba... no, cóż, nie rozmawiałam o tym z Ruth, odkąd wróciłam do pracy, a nikt, oczywiście, się nie dopytuje. Więc oni wszyscy chyba uważali, że wciąż mamy na pieńku.

- A to nieprawda - Sally weszła za Ioną do małej kawiarni. - Szczerze mówiąc, doskonale rozumiem, że to może ludzi dziwić.

- Uczciwie powiedziawszy, mnie samą to dziwi. Na co masz ochotę? - zapytała Iona, gdy zajęły już stolik.

- Na sałatkę. I kawę - Sally mogła już pić kawę bez odczuwania mdłości.

Iona podeszła do lady i zamówiła włoską sałatkę dla Sally, kanapkę z szynką i serem dla siebie, i dwie latte.

- Jak się czujesz? - zapytała Iona, przynosząc jedzenie do stolika. - Świetnie wyglądasz.

- Dzięki - odpowiedziała Sally. - Czuję się znakomicie.

W ostatnim tygodniu ciąży wreszcie zaczęła jej służyć i Sally od dawna nie wyglądała tak zdrowo. Jej cera była idealnie gładka, a włosy błyszcząły w delikatnym świetle kawiarni. Z twarzy zniknął wyraz znużenia i w oczach tliły się iskiereki.

Iona, która tego ranka przyjrzała się sobie w lustrze i zaczęła się zastanawiać, czy nie śmignąć do Nowego Jorku, żeby zrobić sobie makijaż i znowu poczuć się jak człowiek, poczuła ukłucie zazdrości, widząc jak promienieje Sally.

- Ten zwariowany dziennikarz nie kontaktował się z tobą, prawda? - zapytała.

Iskiereki w oczach Sally natychmiast zgasły.

- Nie, a ja zabiję każdego, kto się pojawi i zacznie się dopytywać - odpowiedziała.

Iona zachichotała.

- I Siobhán będzie miała następną sprawę.

Sally wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że uda jej się zrobić tak, jak powiedziała, i jakoś odwróci ich uwagę.

- Też mam taką nadzieję - zgodziła się Iona. - Ale jedną rzecz trzeba jej przyznać, przynajmniej jest po naszej stronie.

- Tak. To fajna dziewczyna - zgodziła się Sally.

- A jak się miewa Jenna?

- Szczerze mówiąc, to jest jakaś dziwna - odpowiedziała Sally. - Nie dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem, bo wiele razy w końcu to nic nie znaczyło, ale Jenna twierdzi, że wczoraj po południu Frank uściśnął jej rękę.

Łyżeczka Iony z brzękiem uderzyła o podłogę.

- Wczoraj po południu? - powtórzyła, nie podnosząc łyżeczki.

- Pojechaliśmy do szpitala już po południu, bo teraz są wakacje, więc nie chodzę do pracy. Jenna chciała spędzić trochę czasu sam na sam z ojcem. Powiedziała, że gdy do niego mówiła, on uściśnął jej dłoń.

- O mój Boże, Sally - Iona wpatrywała się w nią zdumionym wzrokiem. - To olbrzymi postęp.

- Wiem, wiem - powiedziała Sally. - Tylko że on już tego nie powtórzył. Zostałyśmy aż do dziewiątej wieczorem i nic się już nie wydarzyło.

- Mogłaś do mnie zadzwonić - powiedziała Iona ostrym tonem. - Może gdybym przyjechała tam, kiedy...

- Zastanawiałam się nad tym - przyznała Sally. - Ale nie byłam pewna, czy Jennie się tylko nie wydawało. Właśnie to miałam na myśli, mówiąc, że jest ostatnio jakaś dziwna.

Iona wciąż miała zaciśniętą szczękę.

- Gdyby coś się wydarzyło, zadzwoniłabym do ciebie - zapewniła Sally. - Naprawdę.

Iona nic nie odpowiedziała, ale w końcu się rozluźniła.

- A Jenna... cóż, zachowuje się dość dziwnie i to mnie martwi - ciągnęła dalej Sally. - Myślałam, że dobrze, że tak się stało, że może przekona ją to, że Frank ją kocha. Wiem, że to samolubne z mojej strony, ale tak sobie właśnie myślałam.

- A czemu mówisz, że dziwnie się zachowuje?

Sally wyjaśniła, że chodzi jej o nieciekawe towarzystwo ze szkoły, z jakim Jenna ostatnio się zadaje, i o jej nieustannie buntowniczą postawę w domu.

- Ale kilka dni temu nagle znowu zrobiła się miła i pogodna, i wspomniała, że poszuka jakiejś pracy na wakacje.

Tylko że wczoraj znowu się naburmuszyła. Jest teraz bardzo trudna w pożyciu, naprawdę.

- Jeśli znowu coś takiego się wydarzy, to musisz do mnie zadzwonić - powiedziała Iona. - Bo przecież sama mówiłaś, że każda z nas powinna o wszystkim wiedzieć...

Sally pokiwała głową.

- Wiem. Poprosiłam w szpitalu, żeby zawiadomili nas obie, gdyby coś jeszcze się wydarzyło.

- Dzięki - powiedziała Iona. Otworzyła teczkę, którą przyniosła Sally. - Jest tu coś ciekawego?

- Nie wiem - odpowiedziała Sally. - Dlatego przyniosłam je tobie.

Iona szybko przejrzała papiery i zacisnęła usta.

- Pogadam o tym z Mylesem - stwierdziła. - Nie jestem pewna, Sally, bo aż tak bardzo nie angażowałam się w sprawy firmy Franka, ale wydaje mi się, że klientów było naprawdę więcej.

- Trudno powiedzieć - powiedziała Sally.

- Nie przyniosłaś laptopa, prawda?

- Przepraszam. W ogóle o tym nie pomyślałam.

- Jak wrócisz do domu, to mogłabyś przesłać mi mailem jego pliki dotyczące klientów?

- One wszystkie są zabezpieczone hasłami - odparła Sally. - Wiem, że podałaś mi hasło Goldfinger do laptopa, ale ono nie da mi dostępu do plików, prawda?

- Nie musisz mieć do nich dostępu, żeby przesłać mi dane - powiedziała Iona. Odchrząknęła. - A hasło brzmi Pussy Galore. Powinien tam też być rachunek przychodów i rozchodów. A hasło do niego to po prostu 007.

- Jasne - Sally zrobiła smutną minę. - Powinnam je była wszystkie odgadnąć.

- Pewnie byś w końcu odgadła, gdybyś się nie poddała - powiedziała Iona. - A moje hasło to Monney-penny.

Sally skrzywiła się lekko.

- Nie przejmuj się tym, że miałam swoje hasło - powiedziała Iona. - Nie byłaś w to tak zaangażowana jak ja. Ale teraz już jesteś, więc...

- Postaram się - obiecała Sally. - Jaki masz adres mailowy?

Iona podała jej swój e-mail.

- Jak tylko dotrę do domu, to ci je prześlę - obiecała Sally. - Jak będę miała z tym problem, to do ciebie zadzwonię.

- Świetnie - Iona zamknęła teczkę i ugryzła kawałek kanapki. - Miejmy nadzieję, że wszystko jest w porządku, a jeśli nie, to że wkrótce wszystkiego się dowiemy.

- Nie pozwolę na to, żeby coś złego stało się z jego firmą - stwierdziła Sally. - To część jego samego.

- Wiem - powiedziała Iona. - Ja też na to nie pozwolę.

Kiedy Iona wróciła do biura, Ruth siedziała przy biurku i jadła bajgla.

- Zasiedziałam się? - zapytała Iona.

- Nie, tylko zgłodniałam, więc coś zamówiłam - odpowiedziała Ruth. - Jak tam lunch z tamtą kobietą?

Iona wzruszyła ramionami.

- Nie myślę już o niej w ten sposób - odparła. - W pewnym sensie tkwimy w tym wszystkim razem.

- Iona, zdajesz sobie sprawę, że to jest przedziwna sytuacja?

- Czemu?

- Ona jest jego pierwszą żoną. Ty... cóż, formalnie niby nie, ale... ale w sensie moralnym jesteś jego drugą żoną. Nie powinnyście się przyjaźnić.

- Nie przyjaźnimy się - odparła Iona. - My tylko... cóż, musimy się chyba jakoś dogadać.

- Ja bym nie mogła - stwierdziła Ruth.

- Zdziwiłabyś się, co człowiek może, jak musi - odpowiedziała Iona, po czym ruszyła myszką, żeby włączyć monitor.

Tego wieczoru wypadła kolej Iony, żeby odwiedzić Franka. Była mocno podekscytowana wiadomością, że dzień wcześniej ścisnął rękę Jenny, i miała nadzieję, że być może tego wieczoru wreszcie do nich wróci. Jeśli tak się stanie, zostanie w szpitalu przez cały wieczór. Ale jeśli nie, to wpadnie potem do Lauren i Mylesa, i poprosi szwagra, żeby zerknął na sprawozdanie księgowego i listę klientów, którą Sally przesłała jej po powrocie do domu. Zadzwoiła już do Lauren, a ta ją zapewniła, że ucieszą się z jej odwiedzin i że Myles chętnie przejrzy te papiery.

Przed wizytą w szpitalu Iona poświęciła dużo czasu i starań, żeby ładnie wyglądać. Zdawała sobie sprawę, że jest w szczytowej fazie swojego cyklu nadziei i załamania związanych ze stanem Franka, bo czuła, że on wkrótce obudzi się ze śpiączki i była przekonana, że on ją kocha i że wszystko dobrze się ułoży. Kiedyś wyobrażała sobie, że Frank się budzi, wyrzeka się Sally i wraca z nią do domu, ale teraz... teraz wcale nie była tego pewna.

- Najgorsze jest to - mówiła do niego półgłosem, siedząc przy łóżku i słuchając pikania monitorów - że i tak w końcu ktoś będzie pokrzywdzony. Oczywiście, ja i Sally już zostałyśmy skrzywdzone. I ty też, chociaż są szkody fizyczne, a nie psychiczne. Ale w tym momencie wszyscy staramy się zachowywać wobec ciebie pozory. Żyjemy w zawieszeniu, Frank. Każdego ranka wstajemy i robimy wszystko, co trzeba, ale tak naprawdę nasze życie nie idzie naprzód. Kiedy się obudzisz, będziemy musieli zdecydować co dalej. Ja nie wiem, czego ona będzie chciała. I nie wiem, czego sama chcę. Żadna z nas nie wie czego ty, do diabła, będziesz chciał. To naprawdę nie jest łatwe, Frank.

Wzięła do ręki sprawozdanie księgowego.

- Spotykam się dzisiaj z Mylesem w tej sprawie - powiedziała. - Wiem, że nigdy go specjalnie nie lubieś, ale wiesz, że zachowuje się wspaniale? Tak samo Lauren - przygryzła wargę. - A ja dotąd patrzyłam na nich z góry, bo są tacy zwyczajni, taka typowa rodzina z przedmieścia. Chyba tak samo oceniałam Sally. Ale oni wszyscy są naprawdę wspaniali. - Oparła się z powrotem i w zamyśleniu przypatrywała Frankowi. - Chyba powinnam ci powiedzieć coś jeszcze - powiedziała. - Miałam z tego powodu wyrzuty sumienia, i dlatego jeszcze ci nie powiedziałam.

Frank nadal nie reagował.

- W Nowym Jorku omal nie przespałam się z jednym gościem.

Frank otworzył oczy. Wpatrywał się prosto przed siebie.

- Wolałabym, żebyś tak nie robił - powiedziała. - Chyba że chcesz włączyć się do rozmowy. Masz taki zamiar?

Nie odpowiedział.

- Poleciałam tam na krótki urlop i prawie się z nim przespałam, bo czułam się bardzo samotna. Nie zrobiłam tego jednak, bo wciąż cię kocham, Frank.

Frank wciąż patrzył przed siebie beznamiętnym wzrokiem.

- A wczoraj wieczorem poszłam na kolację z klientem. To była zwyczajna kolacja, nic szczególnego, ale czułam się z tego powodu winna, bo go lubię, i choć wcale nie pociąga mnie jako mężczyzna, to pomyślałam, że powinienes o tym wiedzieć. Nie chcę niczego przed tobą ukrywać.

Frank gwałtownie zamknął oczy.

Przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, po czym wstała z krzesła stojącego przy łóżku i delikatnie pocałowała go w czoło.

- Przyjdę pojutrze - powiedziała. - Może wtedy będziesz chciał porozmawiać.

Pół godziny później dojechała do domu Mylesa i Lauren. Siostra i szwagier siedzieli w oranżerii na tyłach domu.

- Cudowny wieczór - powiedział Myles.

- Wspaniały - zgodziła się Iona. Wyciągnęła w jego stronę teczkę z dokumentami. - Mógłbyś spojrzeć na to swoim okiem księgowego i powiedzieć mi, co o tym myślisz?

Myles odebrał od niej teczkę, zauważając, że gdzieś zniknął napastliwy ton, z jakim zwykle się do niego zwracała. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest nawet ciekaw, co tak naprawdę dzieje się z firmą Franka.

Gdy przeglądał dokumenty, Iona i Lauren rozsiadły się w wiklinowych fotelach i obserwowały Charlotte i Gavina, którzy szaleli w ogródku jak dwa małe tornada. Iona poczuła, jak żal ściska jej serce. Właśnie takiej domowej atmosfery pragnęła z Frankiem, nawet jeśli jednocześnie się tego wszystkiego obawiała, i tak trudno było jej zaakceptować myśl, że osiągnięcie tego jest już dla niej niemożliwe. Jednocześnie uświadomiła sobie, że jednak już się z tym pogodziła. Bez względu na przyszły stan zdrowia Franka, wiedziała, że nigdy nie będzie miała z nim dziecka, i choć ta myśl wciąż była dla niej przykra, już nie był to taki paraliżujący ból, jaki czuła jeszcze kilka miesięcy temu.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się w końcu Lauren.

Iona odwróciła się w jej stronę i popatrzyła pytająco, podczas gdy Myles zerkał na nie znad papierów.

- Będziemy mieli z Mylesem kolejne dziecko.

Iona nie była jakoś specjalnie zaskoczona. Jej siostra świetnie radziła sobie z dziećmi.

- Gratulacje - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Kiedy się urodzi?

- Minęły dopiero trzy miesiące ciąży - odpowiedziała Lauren. - Jeszcze dużo czasu.

- Cieszę się - Iona z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że mówi szczerą prawdę. Gdy usłyszała od Lauren tę nowinę, była przekonana, że poczuje zazdrość, ale tak się nie stało. Cieszyła się szczęściem swojej siostry.

- Wiem, że to nie jest idealny moment...

- Dla was jest idealny - przerwała jej Iona.

- Wiem. Ale cała ta sytuacja z Frankiem...

- To moje kłopoty i moje życie - odparła Iona. - A że mnie akurat się nie ułożyło, to wcale nie znaczy, że wasza nowina nie jest wspaniała.

- Dzięki - powiedziała Lauren.

Iona wstała z fotela i ucałowała siostrę. A potem podeszła do Mylesa i też go pocałowała.

- Powoli - powiedział. - Nigdy dotąd tego nie robiłaś.

- A powinnam była - stwierdziła Iona. - To prawda, że trochę zadzierałam wobec ciebie nosa, Myles. Nie powinnam była.

- Och, jesteś bardzo wspaniałomyślna - Myles był zakłopotany.

- Nie jestem dla ciebie miła dlatego, że przeglądasz dla mnie te papiery - dodała szybko - tylko dlatego, że jesteś miłym facetem i dobrym mężem oraz jesteś wspaniały dla Lauren i dzieciaków.

- Spokojnie - ostrzegł ją Myles. - Bo mi się w głowie przewraca.

Iona się roześmiała, a Lauren, która bardzo się martwiła, jak jej siostra zareaguje na nowinę o dziecku, uśmiechnęła się z ulgą.

- Muszę nad tym trochę dłużej posiedzieć - powiedział Myles po pewnym czasie. - Wydaje mi się jednak, że ten wasz księgowy nie doszacowuje wartości powstałej w wyniku podstawowej działalności firmy. Poza tym szykuje się ten duży kontrakt z kompleksem wypoczynkowym, który może się okazać niezwykle zyskowny. Nie wiem, czy zostały już wykonane w związku z nim jakieś prace, czy nie, ale to umowa długoterminowa i dla firmy byłaby to świetna sprawa.

Iona przypomniała sobie, że Frank mówił o jakimś ważnym i wielkim kontrakcie, który udało mu się podpisać.

- Wiedziałam - powiedziała. - Wiedziałam, że z tym gościem jest coś nie tak. Frank też miał co do niego wątpliwości.

- Wygląda na to, że chce jak najtaniej przejąć tę firmę od was... cóż, to znaczy, chyba właściwie to od Sally.

- To co robimy? - zapytała Iona.

- Musicie porozmawiać z tym podwykonawcą, Pete'em, i sprawdzić, co dokładnie się dzieje, a potem porozmawiać z tym księgowym.

Iona się skrzywiła.

- Chcesz, żebym ja się tym zajął? - zapytał Myles.

- A mógłbyś?

- Pewnie.

- Myles, jesteś genialny! - Iona cała się rozpromieniła.

- Ale ktoś powinien się też skontaktować z tym nowym klientem, Belleza del Serene, i sprawdzić, jak się sprawy mają - ostrzegł ją Myles. - Instalacja powinna być gotowa dopiero za kilka tygodni, mimo wszystko bardzo ważne, żeby się spotkać z kimś od nich i porozmawiać z Pete'em, aby mieć pewność, że wszystko będzie zrobione - zawahał się. - Chcesz żebym to też zrobił?

- Jezu, Myles, chyba wymagałabym zbyt wiele - stwierdziła Iona.

- Nie ma sprawy - odpowiedział. - Problem tylko w tym, że ten klient może chcieć rozmawiać z kimś z firmy. Frank osobiście się we wszystko angażował.

- Sama się dziwiłam, że jeszcze się nie zgłosili - powiedziała Iona.

- Może to zrobili. Może Richard Moran się z nimi kontaktuje - odpowiedział Myles.

- I może próbuje przejąć nad wszystkim kontrolę, dopóki Frank ciągle jest w śpiączce - powiedziała Iona.

Lauren i Myles popatrzyli na nią ze współczuciem.

- Wczoraj był postęp - opowiedziała im o tym, jak Frank ścisnął dłoń Jenny. - A ja, jak tam jestem, to odnoszę coraz silniejsze wrażenie, że on w jakimś stopniu orientuje się, co się wokół niego dzieje. Ale to trwa już tak strasznie długo.

- Myślałaś już trochę o tym, co będzie, kiedy się obudzi? - zapytała ostrożnie Lauren.

- Nie, tak naprawdę to nie.

- A jak się ma Sally?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Iona. - Cięża zaczęła jej służyć. - Iona popatrzyła na Lauren. - Powinnyście się spotkać i powymieniać rodzicielskimi uwagami.

Lauren się roześmiała.

- Nie sędzę.

- Mówię poważnie - powiedziała Iona z przekonaniem.

- Wiele was łączy. Obie jesteście bardzo troskliwe, a ja jestem samolubną krową.

- Ależ Io, wcale nie - powiedziała Lauren.

- Staram się taka nie być - stwierdziła Iona - ale czasami jestem. Tak właściwie to zmusiłam Franka, żeby się ze mną ożenił. Choć jak się okazało, tak naprawdę wcale tego nie zrobił.

- A to u was rodzinne - wtrącił energicznie Myles. - Lauren też mnie zmusiła.

- Nieprawda! - Lauren rzuciła mężowi piorunujące spojrzenie, a potem się roześmiała.

Iona śmiała się z siostrą i szwagrem, i po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuła, że jej lekko na duszy.

TLR

Rozdział 34

Siobhán poszła pobiegać nad brzegiem morza. Późny wieczór stanowił idealną porę na bieganie - nie było ani za ciepło, ani za zimno, a w plecy wiała ledwo wyczuwalna bryza z południa. Starła się oczyścić swój umysł, nie myśleć o tym, że skończył się jej związek z Eddiem, ani o czekającym na nią na biurku stosie papierów. Wyłączyła się i czuła tylko, że po prostu biegnie, że jest tu i teraz. Dzięki temu, gdy wróciła do domu, była mokra od potu i bardzo zmęczona fizycznie, ale za to jej umysł naprawdę wypoczął.

Otworzyła drzwi do bloku i zauważyła sąsiadów - tę parę, której Iona niedawno wynajęła mieszkanie - stojących przy skrzynkach pocztowych. Kobieta była niewysoka i ładna. Kucyk w kolorze blond wystawał jej z tyłu granatowej czapki baseballowej. Towarzyszący jej wysoki mężczyzna miał sportową sylwetkę. Nosił taką samą czapkę i granatowe bermudy. Siobhán uśmiechnęła się do nich przelotnie, wbiegając po schodach. Ich obraz tkwił jeszcze w jej głowie, gdy weszła do mieszkania i otworzyła drzwi na taras, chcąc wpuścić trochę świeżego powietrza. Wskoczyła pod prysznic, aby się odświeżyć. Potem założyła parę ciemnych spodni i białą koszulkę, zjechała windą na podziemny parking i pojechała na komisariat.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał ją jej kolega, Joe O'Riordan. - Przecież nie masz teraz służby?

- Chcę się przyjrzeć zdjęciom tych ludzi od przekrętu z rachunkami bankowymi - odparła Siobhán, siadając przy swoim biurku i włączając komputer.

- Masz coś nowego?

- Nie jestem pewna - otworzyła pliki z nagraniem wideo i uważnie im się przyjrzała. Nagle przeniosła spojrzenie na Joego, który cały czas ją obserwował.

- Chyba wiem, gdzie oni są - powiedziała.

- Serio?

Ponownie przyjrzała się zdjęciom.

- Prawie na pewno.

- Doskonale! Gdzie?

- W moim bloku - stwierdziła krótko. Joe ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

- Chyba żartujesz?

- Nie. Wprowadziłam się tam kilka tygodni temu, a oni wynajęli mieszkanie mniej więcej w tym samym czasie. Dziewczyna pośrednicząca w wynajmie tych mieszkań wspominała, że wynajęła ich wtedy sporo.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

- No to komisariat w Bray zdobędzie parę punktów - uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym.

- Będziemy ich obserwować, zorientujemy się, co w tym mieszkaniu robią i co kombinują. A potem zgarniemy ich stamtąd razem ze wszystkim, co tam trzymają.

- Chodźmy pogadać z szefem - powiedział Joe.

Drzwi do biura nadinspektora były otwarte. Siobhán zajrzała do środka i zapytała, czy mogą chwilę porozmawiać. Szef uniósł brew, wyczuwając w jej tonie, że przynosi dobre wiadomości, i zaprosił ich gestem dłoni, żeby usiedli na krzesłach stojących przed jego biurkiem.

- No? - zapytał.

Siobhán powtórzyła mu w skrócie to, co powiedziała wcześniej Joemu.

- Mogę zdobyć więcej informacji o tych ludziach od pośredniczki, która wynajęła im mieszkanie - dodała. - Ja też wynajęłam swoje od niej. - Odkaszlęła i spojrzała na szefa. - To jedna z żon z tej sprawy o bigamię.

- Co takiego? - szef Siobhán przyglądał się jej zdumiony.

- Wiem, wiem. Ale ona zawodowo zajmuje się wynajmem nieruchomości...

- Ale ty przecież już chyba skończyłaś pracować nad tą sprawą, nie?

Siobhán kiwnęła głową.

- Czekam tylko, czy ten mąż się obudzi, czy nie - powiedziała. - Nie ma sensu pchać tego dalej, dopóki on jest w śpiączce.

- Nie cierpię, jak sprawy się na siebie nakładają - powiedział niezadowolonym tonem nadinspektor.

- Wcale się nie nakładają - zapewniła go. - Iona Brannock nie ma z tym nic wspólnego, po prostu pośredniczyła w wynajmie mieszkania.

- W porządku - stwierdził szef. - Okej. Ustalmy teraz, jak się za to zabierzemy. A przy okazji, Siobhán, dobra robota.

- Dzięki - odpowiedziała, próbując ukryć uśmiech zadowolenia.

* * *

Po rozmowie z szefem zadzwoniła do Iony i powiedziała jej o najemcach spod czwórki.

- O nie! - jęknęła Iona. - Znowu to samo.

- Co masz na myśli? - zapytała zaniepokojona Siobhán. - Coś takiego już ci się zdarzyło?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Iona. - Tylko że gdzieś rok temu jeden z moich najemców został zapuszkowany za narkotyki. Ta cholerna ekipa antynarkotykowa urządziła sobie wtedy obserwację tamtego mieszkania. Zaczynam się czuć, jakbym występowała w specjalnym odcinku jakiegoś serialu o policjantach.

Siobhán się roześmiała.

- Nie martw się. Na razie potrzebuję od ciebie tylko paru informacji.

- Musisz mieć nakaz - powiedziała Iona. - Bo inaczej nie będę mogła wpuścić cię do tego mieszkania.

- Będę miała wszystko, co trzeba - obiecała Siobhán.

- W porządku - westchnęła Iona, odkładając słuchawkę. Garret się wścieknie, jak się dowie, że policja szykuje nalot na kolejny z wynajmowanych za ich pośrednictwem apartamentów.

Jak tylko Siobhán skończyła rozmowę z Ioną, zadzwoniła jej komórka.

- Cześć! - powiedział Carl O'Connor. - Zajęta?

- Szczerze mówiąc, tak - odpowiedziała.

- To coś ciekawego?

Siobhán zastanowiła się przez chwilę. Może gdyby przekazała O'Connorowi trochę poufnych informacji o przekręcie z fałszywymi dokumentami tożsamości, to odczepiłby się od sprawy wypadku w Ardallen. Obiecała Ionie i Sally, że zrobi wszystko, aby je ochronić, a to wydawało jej się najlepszym sposobem.

- Być może - powiedziała w końcu.

- To pójdziemy na drinka? - zapytał.

- Dobrze.

- Dobrze? - Carl był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Siobhán tak od razu się zgodzi.

- Spotkamy się w Blackrock - powiedziała. - Ale nie w centrum. Może być Playwright?

- Świetnie.

- Za godzinę - dodała Siobhán.

- Dobrze - zgodził się Carl.

Był to duży i bezosobowy bar, pomimo krytego strzechą dachu i tradycyjnego wystroju. Dotarł na miejsce pierwszy, więc widział, jak Siobhán wchodzi przez drzwi, wysoka i pewna siebie, przeczesując wzrokiem tłum w poszukiwaniu jego osoby. Uniósł dłoń w geście powitania. Usiadła obok niego na barowym stolku.

- Napijesz się drinka? - zapytał.

- Wodę mineralną, gazowaną.

- Ja biorę piwo - powiedział. - Tylko jedno. Więc mam nadzieję, że nie aresztujesz mnie z powodu podejrzenia o zamiar kierowania pojazdem po pijanemu.

- W porządku - odparła. - Nie zrobię tego.

- Ja tylko żartowałem.

- Wiem.

Carl westchnął. Barman nalał mu duże jasne piwo, a przed Siobhán postawił butelkę z wodą.

- Czasem ciężko się z tobą rozmawia, wiesz? - powiedział.

- Nie robię tego specjalnie - odparła.

- Może to przez pracę.

- Lubię swoją pracę - powiedziała. - Ale ona nie polega na udzielaniu informacji pozbawionym skrupułów dziennikarzom.

- Wszyscy dziennikarze dostają informacje od glin - odparł.

- Wiem, wiem, ale...

- I wiesz, ja wcale nie jestem jakimś draniem bez serca - powiedział. - Umiem być wrażliwy.

Uśmiechnęła się nagle.

- Wiem - powiedziała. - Zachowałeś się bardzo ładnie, wtedy jak zatrzasnęły mi się drzwi do mieszkania, a ja nawet ci nie podziękowałam. Więc... dziękuję.

- Jesteś całkiem miła, jak tylko nie starasz się sprawić, żebym się czuł jak kompletny dupek.

- Jeśli kiedykolwiek sprawiłam, że tak się poczułeś, to przepraszam - powiedziała.

- Bardzo jesteś dzisiaj wyrozumiała - powiedział Carl. - To mnie zaczyna przerażać.

Wypiła łyk wody.

- Będę z tobą zupełnie szczerą - powiedziała. Carl się roześmiał.

- Po takim wstępie następuje zwykle jakaś totalna ścierna.

- Nie mam zamiaru cię okłamywać. Jaki by to miało sens?

Opowiedziała mu w skrócie całą historię o Franku, Sally i Ionie, podczas gdy on spokojnie popijał piwo, nie robiąc żadnych notatek.

- I te dwie kobiety - zakończyła - próbują jakoś radzić sobie w tej bardzo trudnej dla nich sytuacji, dlatego niepotrzebny jest im żaden artykuł napisany przez ciebie czy twoją przyjaciółkę.

- Czasem ludzie chcą, żeby opowiedzieć ich historię - powiedział Carl. - Nic byśmy nie wydrukowali bez ich zgody.

- Och, daj spokój - skrzywiła się Siobhán. - Zawsze drukujecie takie rzeczy, których nikt nie chce.

- Wcale nie - powiedział. - Na pewno takie, których nie chce policja, ale w większości przypadków... ludzie po prostu zapraszają nas do swoich domów i wszystko opowiadają.

- A potem czytają gazetę i nie mogą się nadziwić, co tam powypisywaliście - powiedziała Siobhán. - Sally i Iona to zwyczajne kobiety. To, co je spotkało, to ich osobista tragedia. Może kiedyś, w przyszłości, któraś z nich zdecyduje, że warto o tym opowiedzieć, i wszystko ci powie. Ale czy to nie powinna być właśnie ich własna decyzja, a nie wasza?

Carl zastukał lekko palcami po barowym blacie.

- A zamiast tej bardzo ciekawej historii, to co niby miałbym opisać?

- Słyszałeś o tym przekręcie z fałszywymi dowodami tożsamości i czyszczeniem ludziom kont w bankach?

Skinął głową.

- Mamy dobry trop i raczej pewny przełom w tej sprawie - powiedziała. - Przekażę ci poufne informacje, a dodatkowo poinformuję cię, kiedy zamierzamy wkroczyć do akcji.

- Ale bigamia jest ciekawsza - narzekał Carl.

- Och, daj spokój! - powiedziała. - Przecież możesz zrobić mnóstwo wywiadów z ludźmi, których oskubali. A ja się postaram, żebyś miał wyłączność.

- Siobhán...

- Wiem, że to nie to samo, co grzebanie w czyimś prywatnym życiu - powiedziała zdecydowanym tonem. - Ale nic lepszego nie mogę ci zaproponować. To są bardzo miłe dziewczyny, Carl. Nie zasługują na to, żeby ktoś pisał o nich w gazetach.

- One cię chyba naprawdę obchodzą.

- Oczywiście, że mnie obchodzą! - Siobhán podniosła głos. - I tego właśnie nie rozumiecie. Myślicie, że dla nas to tylko praca. Tak, to nasza praca, ale człowiek musiałby być z kamienia, żeby nie przejmować się tym, co się wokół niego dzieje. Szkoda nam nie tylko ofiar przestępstw. Doskonale zdaję sobie sprawę, że niektórych ludzi do popełnienia przestępstwa zmuszają okoliczności. Ich też mi szkoda. Wiesz, nie wszyscy policjanci to pozbawieni serca dranie w mundurach.

- Ale ty w ogóle nie nosisz munduru - zwrócił uwagę Carl.

- Nie łap mnie za słówka!

- Przepraszam - powiedział Carl. Przyglądał się jej uważnie. - Jesteś miłą osobą, Siobhán Farrell, chociaż serce masz z lodu.

- Wcale nie - odpowiedziała.

- Pogadam z JoJo - powiedział w końcu. - Opowiem jej o okolicznościach tej sprawy z bigamią. Ale to ciekawa historia o ludziach, Siobhán. Ona ma rację, że chce o tym napisać.

- Wiem. Ale zastanów się sam, co dobrego może z tego wyniknąć?

- Może powstrzymamy innych facetów przed zrobieniem tego, co zrobił Frank - zasugerował.

- Może gdyby przypadki bigamii zdarzały się często - stwierdziła Siobhán. - Ale tak nie jest.

- Dobrze, dobrze - powiedział Carl. - Zrobię, co będę... hej, właśnie sobie pomyślałem o tych dwóch kobietach, jedna w ciąży. Czy ty przypadkiem nie byłaś właśnie z nimi, jak wpadliśmy na siebie w tej restauracji w Dún Laoghaire?

Siobhán skinęła głową.

- I jesteś pewna, że nie angażujesz się w to za bardzo?

- Zdecydowanie - odparła Siobhán. - Nie jestem naiwna, Carl. Dokładnie je obie sprawdziłam. I tego ich wspólnego męża. Ta sytuacja, przy całym swym skomplikowaniu, jest wyjątkowo jasna. On je oszukiwał. A ja spotkałam się z nimi, bo... cóż, bo po prostu je polubiłam, a one miały ochotę na wspólne wyjście.

- Boże, z ciebie rzeczywiście straszny mięczak - powiedział Carl, łagodnie się z nią drażniąc.

- Nic podobnego - zapewniła go. - Ja... - Nagle pomyślała o Eddiem. On też nazywał ją mięczakiem, za każdym razem, gdy płakała, oglądając coś w telewizji czy słuchając wzruszającej muzyki. Przełknęła kulę, którą nagle poczuła w gardle.

- A jak ci się układa z narzeczonym? - zapytał Carl swobodnym tonem.

- Byłym narzeczonym - poprawiła go Siobhán.

- Ach.

- Lepszy były narzeczony niż były mąż - powiedziała.

- To prawda - uśmiechnął się do niej. - Dobrze, że go rzuciłaś. Każdy facet, który nie potrafił docenić twojego wyglądu w tej bas...

- Przymknij się, O'Connor - przerwała mu szybko. - Wolałabym o tym zapomnieć.

- Ale ja nie mogę o tym zapomnieć - powiedział.

- Lepiej to zrób - odparła. Uśmiechnął się.

- Zamówić ci drinka? - zapytał.

Zastanowiła się przez chwilę, a potem pokręciła głową.

- Mam robotę - powiedziała.

- Innym razem?

- Być może - odparła, zbierając się do wyjścia. - Nigdy nie wiadomo.

Rozdział 35

Myles zorganizował spotkanie Sally i Iony z księgowym Franka. Zdecydował, że sam też weźmie w nim udział, i był z tego bardzo zadowolony, bo szybko się zorientował, że Richard Moran próbuje mydlić Sally oczy co do rzeczywistej wartości firmy.

- Z tego, co widzę, nie uwzględnił pan umowy z tym ośrodkiem spa, Belleza del Serene - zwrócił mu uwagę.

- Tak, ale tę umowę przygotowywał Frank i wszystko zależy od tego, czy zorganizuje ekipę, która będzie mogła ją wykonać - zaprotestował Richard.

- I miał pan zamiar tak po prostu to zostawić i wcale jej nie realizować? - zapytał Myles. - I w ogóle nie zamierzał pan porozmawiać z panem... - zajrzał do swoich notatek - z panem Anthonyem Bradym?

Richard wyglądał na zmieszanego.

- No cóż, przeprowadziłem oczywiście rozmowy...

- Więc powinien był pan uwzględnić ten kontrakt - stwierdził stanowczo Myles, po czym wstał. - Nie sądzę, by działał pan w najlepszym interesie obecnej tu pani Sally Harper. Uważam też, że najlepiej będzie, jeśli panie nie będą już miały z panem nic do czynienia. Skontaktuję się z panem w sprawie naszych ustaleń.

- Hej, nie może pan tego zrobić! - krzyknął Richard.

- Owszem, mogę - odpowiedział Myles i gestem zachęcił Sally i Ionę do opuszczenia biura.

Poszli na kawę do pobliskiego hotelu. Iona i Sally patrzyły na Mylesa z podziwem.

- Wiesz, teraz już rozumiem, co Lauren w tobie widzi - stwierdziła Iona. - Nie przypuszczałabym, że księgowi mogą być tacy macho.

Myles się roześmiał.

- Nie wygłupiaj się - powiedział. - Posłuchajcie, trzeba teraz zorganizować spotkanie z podwykonawcami, zwłaszcza z Pete'em Maguirem, i zobaczyć, co oni mają do powiedzenia. A potem, jeśli się zgodzisz, Sally, wprowadzimy niezbędne zmiany w strukturze firmy. Mogę poprosić mojego radcę prawnego, żeby się tym zajął.

- To naprawdę bardzo uprzejme z twojej strony - powiedziała Sally, zmieniając pozycję na krześle na nieco wygodniejszą. - W ogóle nie musiałeś przecież tego dla nas robić.

- Na pewno nie pozwolę, żeby ktoś taki jak Richard Moran wyrabiał wszystkim księgowym fatalną opinię - odparł pogodnie Myles. - Chociaż Iona już ma o nas takową.

- To już nieaktualne - powiedziała Iona. - Byłeś naprawdę wspańiały, Myles.

- Dzięki - odparł. - Umówię to spotkanie na dzisiejsze popołudnie. Sally, będziesz mogła wziąć w nim udział?

Skinęła głową. Myles popatrzył na swoją szwagierkę.

- A ty, Io?

- To Sally jest członkiem zarządu - odparła. - Ja tak naprawdę nie mam z firmą nic wspólnego.

- Och, musisz przyjść - nalegała Sally. - To byłoby nie w porządku, gdyby cię nie było. Poza tym przecież mamy naszą umowę.

- Jaką umowę? - zainteresował się Myles.

- Że decyzje dotyczące Franka i firmy podejmujemy wspólnie - odpowiedziała mu Iona. - Możesz umówić nas późnym popołudniem? Wtedy nie będę musiała tak bardzo kombinować z pracą.

- Jasne - odparł.

Sally i Iona uśmiechnęły się do siebie.

- Cieszę się, że nie muszę się tym zajmować - powiedziała Sally - to znaczy, niewiele wiem o prowadzeniu interesów, a o tej branży to już zupełnie nic, ale... fajnie jest w coś się zaangażować.

- Wiem - odpowiedziała Iona. - I coś ci powiem, Sally. Jak Frank wreszcie raczy ruszyć tyłek i się obudzi, to aż go zatka, jak zobaczy, jak świetnie prosperowała jego firma, gdy go nie było. I już na pewno nie będzie mógł udawać, że to wszystko to takie trudne i techniczne sprawy.

Spotkanie z podwykonawcami poszło nadspodziewanie dobrze. Pete Maguire okazał się pracowitym i lojalnym wobec Franka współpracownikiem, choć ostatnio wykonywał polecenia Richarda Morana. Myles poprowadził spotkanie i przedstawił Sally jako członka zarządu, a Ionę jako stronę zainteresowaną.

- Oczywiście, że pracowałem razem z Frankiem nad umową z Belleza del Serene - powiedział Pete. - Z tantym księgowym, Richardem, też o niej rozmawiałem. Musimy zakasać rękawy i wreszcie wziąć się do roboty.

- Czyli to da się zrobić?

- Oczywiście, tylko musimy zacząć od zaraz.

- Doskonale - powiedziała Iona. - Więc bierzmy się za to.

Ich kolejnym posunięciem było spotkanie z Anthonym Bradym, dyrektorem generalnym holdingu, który prowadził ów kompleks wypoczynkowo-leczniczy. Anthony powiedział im, że martwi się o umowę, bo Frank od dawna się do niego nie odzywa i kontaktuje się z nim tylko Richard Moran. Sally, Iona i Myles zapewnili go, że wszystko jest pod kontrolą, że prace zostaną wykonane i uzyskają wszelkie certyfikaty, i że niczym nie musi się już martwić.

Sally obawiała się, że Anthony ich zlekceważy i powie, że nie ma zamiaru współpracować z firmą, której dyrektor naczelny leży w szpitalu w śpiączce, ale zauważyła, że obecność Mylesa dodała temu spotkaniu powagi, a Iona pokazała, że potrafi być niesamowicie rzutka i przedsiębiorcza (i na dodatek, pomyślała Sally, w tym dopasowanym kostiumie i w pantoflach na wysokich obcasach wygląda na niezwykle skuteczną i opanowaną).

- Udany dzień - powiedział Myles, gdy wracali z ośrodka spa.

- Fantastyczny - zgodziła się z nim Sally. - Jeszcze raz ci dziękuję, Myles.

- Nie ma za co - odparł. - Lauren poprosiła, żebym zaprosił was kiedyś obie na kolację. Co wy na to?

- Z przyjemnością - powiedziała Sally. - Tylko że ze względu na Jennę, staram się spędzać wieczory w domu. Jest teraz trochę zdołowana, więc boję się wychodzić i zostawiać ją samą.

- Ale dlaczego, na miłość boską? - zapytała Iona. - Myślałam, że u niej już wszystko w porządku.

- Od momentu, gdy Frank uściskał jej dłoń, ma straszną huśtawkę nastrojów - odpowiedziała Sally. - A fakt, że ja robię się coraz większa, też nie najlepiej na nią wpływa. Chyba pokłóciła się ze wszystkimi przyjaciółkami i z tego, co się zorientowałam, to nie jest już z tym swoim chłopakiem. Nawet przez jakiś czas pracowała w pobliskim markecie, ale zrezygnowała... Nadal nie mogę się z nią dogadać.

- Jeździ z tobą do szpitala? - zapytała Iona. Sally skinęła głową.

- Ale Frank od tamtej pory ani razu nie ścisnął jej ręki. To ją bardzo przygnębia.

- Może niech popracuje trochę z plikami dotyczącymi firmy Franka? - zapytał Myles. - Mnóstwo rzeczy trzeba zaktualizować na podstawie informacji, jakie przekazali nam Richard Moran i Pete Maguire. I trzeba też przygotować cały harmonogram prac dla tego ośrodka spa. Może to by ją zainteresowało?

- Boże, Myles, rozwiązujesz dzisiaj wszystkie problemy jeden za drugim - powiedziała Sally. - Jenna lubi pracować z komputerem. Masz rację. To właśnie coś dla niej.

- Po prostu masz do czynienia z geniuszem - powiedział Myles, skręcając na podjazd przed domem Sally.

Iona zachichotała.

- No, teraz to naprawdę przesadziłeś - stwierdziła, gdy Sally wysiadła z samochodu i pożegnała się z nimi.

Jenna leżała na swoim łóżku ze słuchawkami odtwarzacza MP3 wciśniętymi do uszu, a muzyka grała w nich tak głośno, że w całym pokoju rozlegał się irytujący brzękliwy rytm. Sally podeszła do niej, omijając po drodze porzucane ubrania, czasopisma i buty, i usiadła na brzegu łóżka córki. Jenna otworzyła oczy i przyjrzała się matce.

Boże, pomyślała, mama wygląda teraz jak jakiś koszmarny grubas. Wiele mam jej koleżanek było nie tak dawno w ciąży, ale ona była na sto procent pewna, że żadna z nich na tym etapie ciąży nie była tak wielka jak Sally. Nie wystarczają jej już nawet normalne ubrania w większych rozmiarach. W garderobie znajduje się już tylko odzież ciążowa.

- Byłam dzisiaj u księgowego taty - powiedziała Sally, gdy Jenna wyjęła słuchawki z uszu i zapytała matkę, czego od niej chce. - Staramy się, żeby jego firma nadal funkcjonowała.

- My to znaczy kto?

- Ja i Iona. Pomaga nam szwagier Iony.

- Wiesz, że coraz bardziej ci odbija? - powiedziała Jenna.

- Najpierw jej nienawidziłaś, potem ledwo ją znosiłaś, a teraz normalnie się przyjaźnicie. To nie jest normalne.

- Ona zna się na rzeczach, o których ja nie mam pojęcia - powiedziała Sally. - I przecież ona też została oszukana. Ale teraz mnie posłuchaj.

Jenna zrobiła przesadnie znudzoną minę.

- To ważne - powiedziała Sally. - Wiesz, że tata trzymał wszystkie dane w komputerze?

- A gdzie niby miał je trzymać? - odparła Jenna. - Zapisywać na jakichś karteluszkach?

- No więc chcielibyśmy, żebyś je przejrzała i uaktualniła na podstawie informacji, jakie uzyskaliśmy od księgowego - mówiła dalej Sally, ignorując wypowiedź Jenny - Doszliśmy do wniosku, że chciał nas oskubać.

- Naprawdę? - Jenna nagle usiadła prosto.

- Naprawdę - odpowiedziała Sally. I wyjaśniła jej sytuację z nowym kontraktem, z wyceną, jakiej dokonał Richard Moran, i z postanowieniem, jakie powzięły razem z Ioną, że dopilnują, żeby prace w ośrodku spa zostały wykonane.

- Ale, mamó, przecież ty nie masz o tym pojęcia! - krzyknęła Jenna.

- To prawda, ale zna się na tym nasz podwykonawca, a Myles wszystko na bieżąco kontroluje - odparła Sally.

- Więc żeby móc dobrze nad wszystkim zapanować, potrzebujemy uaktualnionych danych. Iona pracuje, więc nie ma na to czasu. Ja jestem beznadziejna, jeśli chodzi o pliki taty, wiesz, że zawsze lubił komplikować sprawy tymi wszystkimi katalogami i podkatalogami, i nie wiadomo czym jeszcze. Przesłałam Ionie niektóre pliki mailem, ale to wszystko trzeba dokładnie przejrzeć. Myles już i tak bardzo dużo dla nas robi, więc pomyśleliśmy o tobie.

Jenna sprawiała wrażenie zamyślanej.

- Oczywiście, jeśli nie masz ochoty, nie ma sprawy. Decyzja należy do ciebie - Sally starała się, by jej głos brzmiał jak najbardziej beztrąsko. Nie chciała, żeby Jenna się domyśliła, jak bardzo zależy jej na zaangażowaniu córki w tę sprawę.

- Okej... Zgoda - Jenna przerzuciła nogi przez krawędź łóżka. - Zrobię to. Masz rację. Kompletnie nie znasz się na komputerach.

- Świetnie - powiedziała Sally, nie potrafiąc ukryć ulgi w swoim głosie. - Wszystko jest w laptopie. Ach, będziesz potrzebowała hasła. Hasło brzmi...

- Goldfinger. Przecież wiem - wtrąciła Jenna niecierpliwym tonem.

- Nie wiedziałam, że je znasz - Sally patrzyła na nią zupełnie zaskoczona.

- Aleś ty niedomyślna, mamó - Jenna uśmiechnęła się do niej. - Jak inaczej mogłabym grać w gry na taty komputerze?

Jenna potrzebowała dwóch dni, żeby się zorientować w sprawach klientów firmy Franka i uaktualnić wszystkie dane. Kiedy skończyła pracę, miała przejrzysty folder z informacjami o klientach i firmie. Miała również kilka pomysłów, jak należy rozplanować w czasie niektóre z prac do wykonania. Była z siebie bardzo, bardzo zadowolona, zwłaszcza że od pracy nie odciągnęła jej żadna gra zainstalowana na komputerze ojca.

Jednak gdy skończyła, a Sally akurat spała w sypialni obok (nabrała ostatnio zwyczaju ucinania sobie drzemki między drugą a czwartą po południu, co dla Jenny miało swoje dobre i złe strony), zajęła się zestrzeliwaniem samolotów z wirtualnego nieba i dwanaście razy pod rząd zagrała w kółko i krzyżyk. Zanim wyłączyła komputer, sprawdziła jeszcze raz wszystkie pliki, żeby się upewnić, czy przypadkiem czegoś nie przeoczyła. Niepokoił ją tylko jeden katalog. Podobnie jak inne był zabezpieczony hasłem, ale nie był to ani Goldfinger, ani James Bond, ani żadne inne związane z Bondem, jakie przyszły jej do głowy. Martwiła się, że w tym folderze mogą być informacje o jakimś innym projekcie, jak ten w ośrodku spa, czyli o potencjalnym bardzo ważnym interesie, jaki firma mogłaby zrobić.

Zmarszczyła brwi, wpatrując się w małą ikonę na pulpicie. Sprawdziła, że ten katalog nie zawiera zbyt wielu informacji, co z jednej strony przyniosło jej ulgę, ale z drugiej zafrapowało. Wszystkie inne były dość

spore z powodu zawartych w nich cyfrowych zdjęć prac wykonanych przez Franka, schematów instalacji czy produktów, a także kopii umów z poszczególnymi klientami. Ten katalog jednak był o wiele mniejszy. Poza tym Frank nazwał go inaczej niż pozostałe. Inne katalogi miały w nazwie nazwę firmy i jakiś odnośnik, a ten tylko numer, CH1936, co nic dla niej nie znaczyło. Dręczyło ją to, że nie potrafi tego rozszyfrować.

Sam była osobą, z którą powinna o tym porozmawiać. Jej była najlepsza przyjaciółka wiedziała o komputerach wszystko, a raz nawet zawieszono ją w prawach uczniowskich, bo ze swojego laptopa włamała się do bazy danych z wynikami uczniów. Ale przecież nie rozmawiały z sobą od czasu, gdy Jenna zaczęła chodzić z Gerrym Cullinanem i trzymać z Aline Keogh i Cindy Ryan. Sam nie przeszkadzało to, że Jenna uprawia z Gerrym seks (choć na początku, kiedy jeszcze z sobą rozmawiały, pouczała Jenne, żeby uprawiała bezpieczny seks i bez względu na to, co robi, nie zaszła w ciążę), obraziła się natomiast, gdy Jenna ją porzuciła, wybierając towarzystwo Aline i Cindy. Jenna nie mogła jej winić. Gdyby sytuacja była odwrotna, też nieźle by się wkurzyła. W końcu Aline i Cindy były tego rodzaju dziewczynami, z jakimi dotąd żadna z nich nie chciała mieć do czynienia. Rozrabiały, cały swój czas i pieniądze poświęcały wyglądowi i chłopakom, uważały, że to zabawne upijać się prawie co wieczór...

Cóż, w tej kwestii miały częściowo rację. Jenna oparła plecy o fotel i zamknęła oczy. Upijanie się ma swoje dobre strony, o ile nie kończy się źle i człowieka nie odwozi potem do domu policja. Na to wspomnienie zrobiło jej się gorąco ze wstydu. Ale chodziło tylko o to, że Aline i Cindy nikogo od razu nie osądzają, a Sam tak robi. Jenna zresztą też łatwo innych oceniała, aż do czasu, gdy pod publiczny osąd trafiła jej własna rodzina.

Nie widziała Sam od końca roku szkolnego. Wiedziała, że jej była przyjaciółka miała zdobywać doświadczenie zawodowe w jakiejś firmie komputerowej w centrum. Może jednak zechce ze mną porozmawiać, pomyślała.

Wysłała jej SMS-a z prośbą o kontakt i zaczęła się zastanawiać, kiedy Sam oddzwoni i czy w ogóle to zrobi. Po dwóch minutach jej komórka zadzwoniła.

- Cześć Sam - powiedziała.
- Hej - odpowiedziała Sam z rezerwą w głosie.
- Przepraszam - powiedziała Jenna.
- Za co?
- Za wszystko. Możemy pogadać?
- Ale nie teraz.
- Wpadniesz do mnie dzisiaj wieczorem? Będziesz mogła?
- Dobra - odpowiedziała Sam.
- Super.

Rozłączając się, Jenna poczuła, jak wielki ciężar spada jej z serca.

Słyszał głosy pielęgniarek, które rozmawiały o czymś, co się wydarzyło tego dnia na oddziale. Nie rozumiał, co dokładnie mówią, bo używały wielu żargonowych określeń, a jemu trudno się było na czymkolwiek skoncentrować. Na tym właśnie polega problem - że nie potrafi się skoncentrować. Nawet nie był pewien, gdzie się w danym momencie znajduje. Początkowo sądził, że jest gdzieś w jakimś innym czasie i miejscu, tak jakby przez jakiś magiczny portal przeniósł się w głąb własnej przeszłości. Uczestniczył w tym, co się działo,

ale jednocześnie czuł, że wszystko to już kiedyś przeżył. Kiedy indziej natomiast przebywał z Sally albo z Ioną i czuł, jakby wszystkie dotyczące ich wydarzenia rozgrywały się na bieżąco, w tym momencie. Zupełnie stracił orientację w czasie i przestrzeni. Nie był w stanie stwierdzić, co dokładnie się z nim dzieje i kiedy się to dzieje.

Jednak było w tym wszystkim coś stałego, coś, co wciąż powracało. Wrażenie, że leży w łóżku, a wokół niego kręcą się jacyś ludzie. Ni stąd, ni zowąd orientował się, że znajduje się w środku jakichś wydarzeń wraz z ludźmi, których znał, i były to przeżycia bardzo rzeczywiste i intensywne, a potem, zupełnie niespodziewanie, znowu wracał tutaj, w to miejsce, gdzie nie mógł się poruszyć ani z nikim porozumieć. Działy się wokół niego różne rzeczy, ale on nie był w stanie w nich uczestniczyć. Koszmarne uczucie. W dodatku jak tylko wracał do tej rzeczywistości, to już niczego dokładnie nie pamiętał. I nieustannie próbował znaleźć jakąś drogę w tym całym galimatiasie w swojej głowie, tyle że nigdy nie miał pewności, co się dzieje naprawdę, a co nie.

W ogóle nie chciał myśleć o najbardziej rzeczywistym fakcie - że było ich dwie. Iona i Sally. Sally i Iona. Kochał je obie i sądził, że one obie go kochały. Chryste, ale narobił bałaganu. Wcale nie chciał, żeby to się tak skończyło. Nigdy nie planował, że zakocha się w dwóch kobietach, ale tak się stało. W różnym czasie i z różnych powodów. Był za słaby, aby pozwolić którejkolwiek z nich odejść.

Ożenił się z Ioną, bo bał się, że ją straci, a z Sally się nie rozwiódł, bo kochał ją i jej też nie chciał stracić. Wiedział, że to śmieszne, ale każda z nich wносиła do jego życia coś innego. I obie zapewniały mu poczucie, że ma rodzinę, a tego pragnął najbardziej.

Gdy razem z Sally doszli do wniosku, że nie będą mieli więcej dzieci, poczuł się trochę oszukany. Prosił, żeby Sally zastanowiła się nad zapłodnieniem in vitro, ale ona nie chciała, a on to w końcu zaakceptował. Rzucił się wtedy w wir pracy, żeby móc zapewnić wszystko swojej jedynej córce. Kochanej, najdroższej Jennie.

Wsparcie otrzymał jednak nie od Sally, lecz od Iony, którą zupełnie nieoczekiwanie poznał. Iona była zupełnie inna niż Sally, a mimo to uwielbiał jej towarzystwo. Sprawiała, że czuł się chciany w momencie, gdy Sally nie potrafiła mu dać takiego poczucia.

Od samego początku wiedział, że to nie jest w porządku. Trudno było znaleźć jakąkolwiek wymówkę. Nienawidził siebie za to, co zrobił. W pełni zasłużył sobie na to, co się z nim teraz dzieje, zasłużył na karę, jaka jest mu w tej chwili wymierzana, choć nie do końca rozumiał, na czym ona polega.

Bał się, że może być sparaliżowany. Teraz był już pewien, że wydarzenia i rozmowy z ludźmi były nierzeczywiste, mimo że się takie zdawały. Poczucie, że nie jest w stanie się ruszyć, że w jakiś sposób został uwięziony w swoim własnym ciele, było o wiele silniejsze.

Spróbował sformułować jakieś słowa, ale chyba zapomniał, jak się to robi. Pomyślał, że być może zapomniał, jak się robi wiele rzeczy, tyle że nawet nie wie jakich. Poczul, jak ogarnia go panika. Spróbował krzyknąć.

Susan Carpenter spojrzała na pacjenta. Frank miał zamknięte oczy, ale była pewna, że przed sekundą próbował wydać z siebie jakiś dźwięk. A pięści miał mocno zaciśnięte na kołdrze, którą był przykryty.

- Frank, słyszy mnie pan? - zapytała.

Nie odpowiedział, ale zauważyła, że mocniej zacisnął pięści.

Tak jak się umówiły, Sam wpadła do Jenny tego wieczoru. Sally była zaskoczona, ale jednocześnie zadowolona, że znowu ją widzi. Obie dziewczyny natychmiast zniknęły na górze w pokoju Jenny. Chłopak Jenny to już chyba przeszłość, tak jak te nowe przyjaciółki, a Sam wróciła. Sally miała nadzieję, że w życiu jej córki wszystko zaczyna się w końcu układać.

- Nie jestem pewna, czy mogę złamać kod dostępu - powiedziała Sam po przejrzeniu plików na laptopie.

- Założę się, że dasz radę - odparła Jenna, obserwując jak palce przyjaciółki śmigają po klawiaturze komputera.

- Dla ciebie kody komputerowe to pestka.

- Ha, ha, ha. A ty zamiast interesować się ważnymi sprawami, takimi jak kody dostępu, spędziłaś ostatnie kilka miesięcy na myśleniu nie wiadomo o czym i uprawianiu seksu

- Sam odwróciła się, żeby popatrzeć Jennie w oczy.

- Masz rację - stwierdziła Jenna.

- A jak masz problem, to wtedy przychodzisz do mnie.

- Czy muszę przypominać, że przechodziłam trudny okres? - zapytała Jenna.

- A co się stało z Gerrym?

Jenna opowiedziała przyjaciółce, w jakich okolicznościach ją rzucił.

- Zachował się jak dupek - stwierdziła Sam.

- Nie mam do niego pretensji, naprawdę - powiedziała Jenna. - Trochę mnie wtedy poniosło. Aline i Cindy też nie były lepsze. Bardzo nie lubię o tym myśleć.

- Tak, ale przecież on z tobą sypiał.

- Zawsze już będziesz mi to wypominać?

- Nie, wcale nie - odpowiedziała Sam, a potem nagle się roześmiała - a przynajmniej się postaram. Z niego niezły przystojniak, co? A jak seks, dobrze ci było?

Jenna wzruszyła ramionami.

- Na początku tak, ale potem robiłam to jakby z obowiązku. Kochałam go za to, że był taki wspaniały po wypadku taty i w ogóle, ale w końcu czułam, że śpię z nim po to, żeby mu podziękować za to, że jest dla mnie miły. Chociaż było przyjemnie.

- Ja też bym była dla ciebie miła - skrzywiła się lekko Sam. - I wcale nie musiałybyś ze mną sypiać.

- Głupia jesteś - Jenna rzuciła w przyjaciółkę małą poduszką.

Sam się uśmiechnęła.

- To między nami znowu sztama? - zapytała.

- Zdecydowanie - odpowiedziała Jenna. - Zachowywałam się jak idiotka.

- Och, Jen, przechodziłaś naprawdę okropne chwile.

- Chyba tak.

- Posłuchaj, chybabym się wściekła, jakby mój tata zrobił to co twój. Ale to przecież nie twoja wina.

Wszystko jest w porządku.

- Dzięki.

- Naprawdę - Sam potarła nos i przeniosła wzrok z powrotem na monitor. - Dlaczego twój tata zabezpieczył ten folder w inny sposób?

- Nie wiem - Jenna wzruszyła ramionami. - Ale to dla niego typowe. Jest jedyną osobą, jaką znam, która ma różne piny do wszystkich swoich kart i tak dalej, i na dodatek wszystkie je pamięta.

- Jeśli jako hasło dla tego katalogu wybrał przypadkowy ciąg liczb... - Sam westchnęła. - Potrzebuję jakiejś wskazówki.

- Niby jakiej? - zapytała Jenna.

- Czy twój tata interesuje się czymś innym niż James Bond?

Sam wciąż wpatrywała się w monitor.

- Raczej nie - odpowiedziała Jenna. - Jeśli użył w hasle samych cyfr to mamy kłopot, prawda?

- Mam w domu program, który może złamać ten kod - powiedziała Sam. - Mogę skopiować ten plik i spróbować w domu.

- Dobra - powiedziała Jenna.

- Twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu?

- To właśnie ona chce się dowiedzieć o firmie wszystkiego - wyjaśniła Jenna.

Spojrzała na Sam z niepokojem.

- Chyba nie myślisz, że był zamieszany w coś dziwnego? I że dlatego inaczej zabezpieczył ten folder?

- Ja staram się dobrze zabezpieczyć wszystkie swoje pliki - odpowiedziała Sam. - To może nic ważnego. Nie martw się.

- Sęk w tym - odparła Jenna ponurym tonem - że ostatnio martwimy się prawie wszystkim, co się wiąże z tatą.

Rozdział 36

Siobhán jeszcze raz skontaktowała się z Ioną w sprawie lokatorów spod czwórki. Zapytała ją, czy mogą dostać klucz do tego mieszkania. Dzięki tamtej sprawie o narkotyki Iona wiedziała, co jest grane. Jednocześnie ta powtórka z rozrywki sprawiła, że poważnie zaczęła się zastanawiać nad swoimi umiejętnościami w zakresie doboru lokatorów. No ale przecież ci ludzie mieli doskonałe referencje. Teraz przyszło jej do głowy, że je też mogli sfalszować. Zadzwoiła do właścicielki i wyjaśniła jej całą sprawę. Zaszokowana i przerażona kobieta zgodziła się w pełnym zakresie współpracować z policją. Iona spotkała się więc z Siobhán, żeby jej przekazać klucze.

- Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyście nie zniszczyli mieszkania - powiedziała z nadzieją w głosie.

Siobhán się uśmiechnęła.

- Nawet nie zauważycie, że tam w ogóle weszliśmy - odpowiedziała zadowolona, że wszystko układa się po jej myśli.

W dniu planowanej akcji Siobhán zadzwoniła do Carla O'Connora.

- Dzięki - powiedział - ale powinnaś wiedzieć, Siobhán, że jeśli twoi chłopcy to spaprają, to ja będę musiał napisać, jak naprawdę było.

- Masz jakiś powód, żeby uważać, że to spapramy?

- Nie - odparł. - Tylko chciałem, żebyś wiedziała, że nie zamierzam napisać laurki z pochwałami dla policji.

- Nawet by mi to do głowy nie przyszło - odpowiedziała. - W życiu.

Kiedy podchodzili do budynku, serce tłukło jej się w piersi. Ona też miała nadzieję, że tego nie spaprają. Czasami przez jakiś głupi błąd wszystko można zepsuć. Mieli nakaz rewizji i sama dopilnowała, żeby wszystko było z nim w najlepszym porządku, mieli klucze, znali ruchy podejrzanych, a informacje, jakie zdobyli w ostatnich dniach, dawały im niemal pewność, że w mieszkaniu znajdą zapas czystych druków praw jazdy i paszportów. Ale i tak wszystko mogło pójść nie tak jak trzeba. To zawsze jest możliwe.

- Gotowa? - zapytał jej partner, Larry, unosząc brwi. Stali na korytarzu, a w odwodzie mieli umundurowanych funkcjonariuszy.

- Jak najbardziej - odpowiedziała.

Zapukali do drzwi mieszkania. Otworzyła je ta blondynka. Jej twarz najpierw się rozpuściła, gdy rozpoznała Siobhán, po czym natychmiast spochmurniała, gdy dostrzegła, że jej sąsiadce towarzyszą policjanci.

Ale oni już wpadli do mieszkania. Na niskim stoliku leżał stos druków do prawa jazdy. Mężczyzna o sportowej sylwetce rozglądał się wokół przerażonym wzrokiem, podczas gdy Larry zaczął odczytywać mu jego prawa.

- Ty suko! - krzyknęła blondynka. - Szpiegowałeś nas, a my byliśmy dla ciebie tacy mili. Za każdym razem mówiłam ci dzień dobry.

- Ma pani prawo zachować milczenie... - zaczęła recytować Siobhán, mając nadzieję, że w tym przypadku aresztowanie doprowadzi do wyroku skazującego.

Na stoliku był także notatnik z nazwiskami i adresami oraz torba z ponad dziesięcioma tysiącami euro.

- Prawdziwy skarbiec - stwierdził pogodnym tonem Larry, gdy aresztowanych wyprowadzono już z mieszkania.

- Nieźle, Siobhán.

- Mieliśmy po prostu farta - odpowiedziała, choć aż pękała z dumy, że akcja tak dobrze poszła. - Gdyby nie przypadek, że też tu mieszkam... Ale ta sprawa i tak prędzej czy później zostałaby rozwiązana.

- Fałszywa skromność zupełnie do ciebie nie pasuje! - uśmiechnął się Larry.

- Wiem - Siobhán roześmiała się, czując, jak opuszcza ją napięcie, które narastało z każdym kolejnym dniem prowadzonej obserwacji. - Po prostu jestem supergliną!

- A czy ja mógłbym zamienić z tobą parę słów? - Carl O'Connor patrzył na nią pytającym wzrokiem. Przyjechał w samą porę, żeby zobaczyć aresztowanie.

- Muszę teraz pojechać na posterunek - odparła - i odwalić papierkową robotę. Wiesz, nasza praca nie polega tylko na wpadaniu z nienacka do mieszkań i aresztowaniu wszystkich w polu widzenia.

Larry był zdumiony słowami, jakimi Siobhán zwróciła się do reportera, ale Carl się uśmiechnął.

- A później? - zaproponował. - Może spotkamy się na kawie? W gazecie ukażą się dwa artykuły. Opis aresztowania, a potem kulisy sprawy, wiesz, śledzenie tego gangu i tak dalej.

- Z przyjemnością pomogę - odparła Siobhán.

- Ja też mam przyjść? - zapytał Larry.

- Nie trzeba - powiedział Carl. - Jestem pewien, że obecność oficer Farrell w zupełności wystarczy.

Iona myślała właśnie o aresztowaniu pary najemców i zastanawiała się, czy wyjdą za kaucją i czy wrócą do mieszkania (czego bardzo obawiała się właścicielka), gdy zadzwonił jej telefon.

- Tu doktor Carroll - usłyszała. - Dzisiaj mamy kolejną dobrą wiadomość. Frank wydaje się coraz bardziej świadomy tego, co się wokół niego dzieje, i sądzimy, że dobrze byłoby, gdyby pani przyjechała.

- A Sally? - zapytała. - Dzwoniliście do niej?

- Właśnie rozmawia z nią mój kolega - odpowiedział lekarz. - Oczywiście, nadal nie jest tak, jak by sobie tego panie życzyły. On wciąż się nie obudził, ale nastąpiła istotna poprawa.

- Zaraz tam będę - powiedziała Iona.

Do szpitala dotarła przed Sally. Terri Cooper wyjaśniła jej, że tego ranka poprosiła Franka, żeby poruszył ręką, a on to naprawdę zrobił. Poprosiła go jeszcze raz, a on powtórzył ruch. Ale trzeci raz już nie.

- O, Boże - wyszeptała Iona. - To wspaniale.

- Każdy przypadek jest oczywiście inny - stwierdziła Terri - ale jak panie wiedzą, u Franka cały czas występuje aktywność mózgu. Tylko wygląda na to, że chyba nie chce się obudzić ze śpiączki.

- Nieszczerólnie nas to dziwi - odpowiedziała Iona. - Gdybym była na jego miejscu, też nie śpieszyłabym się z powrotem.

Podeszła bliżej do łóżka.

- Frank - powiedziała miękko. - To ja, Iona. Czy mógłbyś ruszyć ręką? Zwinąć ją w pięść?

Patrzyła, jak jego lewa ręka powoli zaczyna się poruszać, a palce kierują się do wnętrza dłoni.

- Och! - wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. - Frank, wiem, że tu jesteś. Jestem tego pewna. Wszyscy tu na ciebie czekamy. Wracaj do nas, proszę.

Jednak on już nie reagował. Siedziała obok łóżka, trzymając w dłoni jego zaciśniętą pięść, aż otworzyły się drzwi i weszły Sally i Jenna. Wtedy delikatnie wypuściła jego dłoń i pozwoliła jej opaść na łóżko.

- Zaciśnął dłoń w pięść - Iona zaczęła szlochać. - Naprawdę to zrobił, Sally. Poprosiłam go, a on to zrobił.

Sally przełknęła ślinę.

- Cześć Frank - powiedziała. - To ja, Sally. Słyszysz mnie?

Nie poruszył się.

- Tato - Jenna mówiła spokojnie i bardzo wyraźnie. - Musisz się obudzić. Już za długo sobie tu leżysz i komplikujesz nam wszystkim życie.

Głowa Franka powoli obracała się w kierunku, z którego dochodził głos jego córki.

- Och, tato! - tym razem głos Jenny drżał. - Ty mnie słyszysz. Ty mnie naprawdę słyszysz.

Sally przygryzła wargę i spojrzała na Ionę, która starała się powstrzymać łzy.

- Słyszysz mnie, Frank? - zapytała łagodnym tonem.

Nie poruszył się.

- Mów do niego, Jenna - nakazała Iona. - On reaguje na twój głos.

Jenna popatrzyła na nie niespokojnie, a potem przeniosła wzrok na ojca.

- Nawet nieźle sobie bez ciebie radzimy - mówiła dalej. - Mama i Iona prowadzą twoją firmę. Byłbyś z nich bardzo dumny - zerknęła na Sally, która odpowiedziała zachęcającym uśmiechem. - Ten twój księgowy to jakiś dupek, ale one szybko się zorientowały. I jest ta nowa umowa, bardzo korzystna. A i są jeszcze te sprawy na twoim komputerze, do których chcemy mieć dostęp - dodała. - Wiesz, foldery i pliki. Więc dobrze by było, jakbyś się obudził i nam pomógł - z powrotem oparła się o oparcie krzesła.

Frank ponownie nieznacznie poruszył głową, ale oczy wciąż miał zamknięte. Jego palce zaciśnęły się natomiast na kołdrze.

- O nic nie musisz się martwić - powiedziała Iona. - Tylko wydobrzej. Wszystko inne jakoś później ułożymy.

- Sporo tego będzie - powiedziała do Sally, gdy jakiś czas później poszły do szpitalnej stołówki. Jenna też wyszła, bo chciała zadzwonić do Sam.

- To co zrobimy? - zapytała Iona. - Jak on się obudzi?

Sally sypała cukier do swojej kawy.

- Czy my go jeszcze kochamy? - zapytała zamyślona.

- Po tym, co nam zrobił? Czy to tylko poczucie winy z powodu jego wypadku?

Iona nie odpowiedziała.

- Jenna często o tym mówi - powiedziała Sally. - Czy nie powinniśmy go wyrzucić z domu. Powiedziała, że dobrze mu tak, jeśli resztę życia będzie musiał spędzić z tobą.

Iona wyglądała na zdumioną.

- To było wtedy, jak cię nienawidziła - wyjaśniła Sally.

- Poczytała w Internecie o śpiączce i uznała, że bardzo długo będzie wymagał ciągłej opieki i że to ty powinnaś mu ją zapewnić.

- To cholernie trudne, prawda?

- Kocham go - powiedziała Sally. Rękę trzymała na swoim wypukłym brzuchu. - Jest ojcem mojego dziecka. Byłam z nim przez całe życie.

- Ja też go kocham - powiedziała wolno Iona. - To wariactwo, prawda? Oszukiwał nas obie, a my wciąż go kochamy. Rzecz w tym, że nie wiem, czy będę potrafię mu wybaczyć.

- Ja muszę mu wybaczyć - stwierdziła Sally.

- Nie, nieprawda - powiedziała Iona. - Możesz go wyrzucić, tak jak mówi Jenna.

- A gdzie miałby pójść? Do ciebie? Iona westchnęła.

- Będziemy się o niego kłócić? - zapytała. - Która z nas będzie go miała? Czy on jest tego wart?

- Będzie potrzebował opieki, kiedy z tego wyjdzie - powiedziała Sally.

- A ty będziesz miała jednocześnie małe dziecko - zwróciła uwagę Iona.

- To co... pozwolimy, żeby *on* sobie wybrał? - Sally z rozpaczą w oczach popatrzyła na Ionę. - Dlaczego on miałby wybierać?

- Nie powinien - zgodziła się Iona. - To my musimy zdecydować. Musimy zdecydować, co będzie najlepsze dla nas.

- Co więc decydujemy? - w oczach Sally czaiło się wyzwanie.

- W tej chwili? - zapytała Iona. - Chcesz zdecydować w tej chwili? Tak bez zastanowienia?

- Założę się, że obie nie robimy tak naprawdę nic innego, tylko ciągle się nad tym zastanawiamy - powiedziała Sally. - Każda z nas przemyślała sobie wszystkie za i przeciw. Z mojego punktu widzenia, to on jest ojcem Jenny i tego dziecka, i znam go dłużej niż ty. Ale z drugiej strony może potrzebować pomocy, a ja zaraz będę musiała opiekować się noworodkiem. A ty jesteś młodsza i łatwiej ci będzie się nim zająć. Natomiast... - wzruszyła ramionami. - Chyba w twoim przypadku nie ma żadnych ale.

Iona pokręciła głową.

- Jesteście rodziną - powiedziała. - A my tylko parą.

- Chcieliście mieć dziecko - przypomniała jej Sally.

- W głowie mi się od tego wszystkiego kręci - stwierdziła Iona. - Błagam cię, Sally, czy nie mogłybyśmy porozmawiać o tym kiedy indziej?

- Chyba tak - odpowiedziała po chwili wahania Sally.

- Chyba mamy jeszcze dużo czasu, żeby coś postanowić.

Następnego dnia wieczorem, gdy policja skończyła już wszystkie działania w feralnym mieszkaniu, Iona pojechała do Dún Laoghaire, żeby sprawdzić, jak ono wygląda. Właścicielka poprosiła ją o znalezienie nowych najemców, jak tylko wszystko zostanie wyjaśnione z policją, więc zamierzała porozmawiać z Siobhán i podpytać, co się dalej będzie działo. Gdy już się rozejrzała po tamtym apartamencie, weszła na górę i zastukała do drzwi mieszkania wynajmowanego przez Siobhán. Nikt nie odpowiadał, więc pomyślała, że policjantka pewnie ma mnóstwo pracy na komisariacie.

Nacisnęła przycisk windy, żeby zjechać na dół. Drzwi się otworzyły i wysiadł Enrique Martinez.

- Witam - powiedział. - Jak się miewasz?

- Dobrze, dziękuję - odpowiedziała. - Miałam tu coś do załatwienia.

- Więc to nie do mnie przyszedłeś?

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Trudno - powiedział Enrique. - Pani jakby zamężna ma skomplikowane życie. Rozumiem to.

- Chyba jednak nie do końca - odpowiedziała Iona.

- Bez względu na to, jak sprawy się komplikują, zawsze warto skorzystać z pomocy dobrych przyjaciół - powiedział Enrique. - I dobrego wina. Mam butelkę doskonałego hiszpańskiego białego wina, chłodzi się w lodówce. Zapraszam.

Iona pomyślała o dłoni Franka, kurczowo zaciskającej się na prześcieradle szpitalnego łóżka. I o swojej późniejszej rozmowie z Sally i Jenną. Picie wina z Enrique byłoby jak zdrada. Jego zaproszenie nie było czysto przyjacielskie.

- Mam też naprawdę dobre oliwki i ser manchego - przekonywał Enrique. - I truskawki.

To brzmiało kusząco. Naprawdę. Byłaby to jakaś odmiana. A przecież zawsze mogła wyjść, gdyby atmosfera zrobiła się zbyt przyjacielska.

- Okej - powiedziała. - Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

- Wspaniale - powiedział Enrique, przechodząc przez korytarz i otwierając drzwi do swojego apartamentu.

Weszła za nim do środka. Mieszkanie niewiele zmieniło się od czasu, gdy mu je po raz pierwszy pokazywała, chociaż na kredensie chwiał się stos książek, a po całym pokoju były porozrzucone rozmaite czasopiśma o tematyce finansowej.

- Drzwi na taras są otwarte - powiedział Enrique. - Rozgość się tam, proszę, a ja przyniosę wino.

W skład wyposażenia apartamentu wchodziły drewniane meble ogrodowe i miękkie poduchy. Iona wyciągnęła się na jednym z foteli i obróciła twarz w kierunku zachodzącego słońca.

- Tu jest bardzo spokojnie - powiedział Enrique, wręczając jej kieliszek z winem. - Bardzo mi się tu podoba. To był dobry wybór.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- Opowiedz mi o swoim skomplikowanym życiu - Enrique usiadł na jednym z drewnianych krzeseł.

- Dobrze, ale nie teraz - odpowiedziała.

- W porządku - odparł.

Nie powiedział już nic więcej. Iona zamknęła oczy. Na tarasie było spokojnie i cicho, a promienie słońca przyjemnie grzały. Poczwała, jak opada z niej napięcie. Jej myśli skierowały się ku przyszłości i wyraźnej poprawie stanu Franka. Ciekawe, jaki plan ustalimy wspólnie z Sally, pomyślała. Przecież nie mogłyby się nim dzielić. Ani ona, ani Sally, nie chciałyby tego. Zastanawiała się, czy obie tak naprawdę jeszcze go kochają. To trudne pytanie. O stanie jej uczuć, a była pewna, że dotyczy to też Sally, decydował tak naprawdę stan zdrowia Franka. Wiele razy powtarzała, że własnymi rękoma zamorduje go, gdy się obudzi, ale oczywiście nie zrobiłaby tego. Teraz była pełna entuzjazmu. Ale co będzie potem? Mniejsza z tym, pomyślała niewyraźnie. Zawsze

jakoś będzie. Nie ma sensu się zamartwiać i próbować wszystko przewidzieć. Westchnęła i poczuła jeszcze większe rozluźnienie.

- O, Boże! - obudziła się, uświadamiając sobie gwałtownie, że zwyczajnie zasnęła. Słońce schowało się już za róg budynku, więc wokół panował cień.

- Ach - powiedział Enrique. - Witamy z powrotem!

Spojrzała na zegarek. Ucięła sobie porządną drzemkę. Spała prawie czterdzieści pięć minut!

- Bardzo, naprawdę bardzo przepraszam - powiedziała szybko. - Nie wiem, co się stało.

- Byłaś po prostu zmęczona, a ja nudny - Enrique uśmiechnął się do niej.

- Wcale nie byłeś nudny. Byłeś... Było tak spokojnie. Przepraszam. - Czuła się okropnie. Z drugiej strony od dawna nie spała jej się tak dobrze. I nie miała żadnych snów, które ostatnio prześladowały ją co noc, że jest sama w centrum miasta i szuka Franka, daremnie wołając jego imię. To była bardzo krzepiąca drzemka.

- Ewidentnie za ciężko pracujesz.

- Nie - odpowiedziała. - To nie o to chodzi. Tylko że te wszystkie skomplikowane sprawy w moim życiu są takie męczące.

- Aha.

Spojrzała na niego.

- Miałem już dziewczyny ze skomplikowanym życiem osobistym. Kłopoty nie trwają wiecznie.

- Uważasz mnie za kandydatkę na swoją dziewczynę? - zapytała z niepokojem, choć doskonale знаła odpowiedź.

Enrique wzruszył ramionami.

- Na przyjaciela, a potem kto wie?

- Przepraszam - przygryzła wargę. - Bardzo cię lubię. Ale to... to...

- Skomplikowane - dokończył Enrique.

Ich uwagę zwrócił jakiś hałas dobiegający z tarasu sąsiedniego mieszkania.

- Hola, Siobhán! - zawołał Enrique. - Jesteś w domu?

Zza ściany wyjrzała okolona rudymi lokami twarz policjantki.

- Cześć Enrique! O, Boże, Iona! Co ty tu robisz? - w oczach Siobhán rozbłysły iskierki.

- Śpię sobie - odpowiedziała Iona. - Chyba ku rozpaczycy Enrique.

- Dołączysz do nas? - zapytał Enrique.

- Pewnie. Poczekać sekundę - głowa Siobhán zniknęła, a po kilku sekundach Enrique wpuścił sąsiadkę do swojego mieszkania.

- Cześć - powiedziała Siobhán do Iony, wychodząc na taras. - Co u ciebie?

- Przyjechałam zajrzeć do jaskini zbójców - odpowiedziała Iona - i wpadłam na Enrique, który pozwolił mi zdrzemnąć się na swoim tarasie.

Siobhán się roześmiała.

- Mamy nadzieję, że uda się ich skazać - stwierdziła. - To była dobrze przeprowadzona akcja.

- Akcja? - Enrique patrzył na nie pytająco, więc Siobhán po raz kolejny opowiedziała całą historię o kradzieży tożsamości i czyszczeniu kont w bankach. - I mam nadzieję, że Carl O'Connor napisze do swojej

gazety artykuł, z którego będzie wynikało, że jednak w większości przypadków mamy pojęcie o tym, co robimy - powiedziała.

- O'Connor?

- Współpracuje z nami - odpowiedziała Siobhán. - Coś za coś, ta historia zamiast... innych.

- Czy będą mogli wyjść za kaucją? - Iona spojrzała na Siobhán z wdzięcznością. - Właścicielka mieszkania odchodzi od zmysłów.

- Zostaną w areszcie tymczasowym do jutra - powiedziała zadowolona Siobhán - ale potem, no cóż, Iona, nie wiadomo. To zależy - oparła się i poruszyła palcami stóp w ostatnich promieniach słońca. - Och, uwielbiam takie dni jak dzisiaj.

Iona się roześmiała.

- Cieszę się, że miałaś udany dzień. U nas też było ciekawie.

- Tak?

Dopiero w tym momencie Iona uświadomiła sobie, że nie ma ochoty rozmawiać o Franku przy Enrique. Spojrzała na niego z zakłopotaniem, a potem zwróciła się do Siobhán.

- Frank reaguje na dźwięki - powiedziała. - Odwrócił dzisiaj głowę, jak słuchał Jenny.

- Naprawdę? - oczy Siobhán zasnuły się delikatną mgiełką.

- Mają nadzieję, że wkrótce się obudzi - mówiła dalej Iona. Enrique patrzył na rozmawiające kobiety, ale nic nie powiedział.

- Muszę wiedzieć, jeśli to się stanie - powiedziała Siobhán.

- Czemu?

- Wiesz czemu - odpowiedziała Siobhán. - Muszę z nim porozmawiać.

- Och, daj spokój! - Iona patrzyła na nią wzrokiem pełnym rozpaczy. - Myślałam, że uzgodniłyśmy, że to nie ma żadnego sensu.

- Nie zgadzam się - odpowiedziała stanowczo Siobhán.

- Bardzo mi przykro, Iona, ale jak tylko będzie można go przesłuchać, będę musiała z nim porozmawiać.

- Ale przecież wszystkiego już się dowiedziałyśmy! - krzyknęła Iona.

- Niby czego? - zapytała Siobhán.

- Na pewno nie tego, o czym ewidentnie myślisz - odpowiedziała ostrym tonem Iona. - Na pewno nie tego, że kierował się jakimiś złymi zamiarami. Tylko tego, że kochał nas obie i nie potrafił wybrać jednej z nas. Na miłość boską, przecież sama przekopałaś się przez całą tę sprawę i nic nie znalazłaś.

- Wiem - powiedziała Siobhán. - Mówię tylko, że muszę z nim porozmawiać. To wszystko.

- Nie chcę, żeby moje życie stało się jakąś cholerną sprawą kryminalną, którą ty będziesz mogła się podniecać! - Iona zerwała się z fotela i sięgnęła po swój zakiet. - To, że ci pomogłam w sprawie tych ludzi zamieszanych w kradzież tożsamości, nie znaczy, że pozwolę ci teraz grzebać w moim życiu. Albo w życiu Sally. Albo Jenny. Przecież wiesz, jak temu dziecku było ciężko przez ostatnie kilka miesięcy! Nie możesz teraz tego jeszcze bardziej skomplikować. Nie możesz, Siobhán.

- Iona, uspokój się - powiedziała łagodnie Siobhán.

- Ja nie...

- Dzięki za wino, Enrique, ale muszę już iść - Iona zamrugała oczami, żeby powstrzymać łzy, które nagle zebrały jej się w oczach, i chwyciła swoją torebkę. - Byłeś dla mnie bardzo miły, ale teraz już wiesz, jak skomplikowane jest moje życie, więc nie musisz już być taki miły.

- Iona... - Siobhán zawołała ją, ale ona przemaszerowała już przez mieszkanie i wyszła na korytarz.

Rozdział 37

Iona wpadała we wściekłość za każdym razem, gdy sobie przypominała, że Siobhán Farrell chce przesłuchać Franka. Uważała ją za przyjaciółkę, ale teraz wyglądało na to, że ona jest gotowa zapomnieć o ich przyjaźni, że za wszelką cenę chce uzyskać wyrok skazujący, a przez to Frank przynajmniej na kilka lat trafi do więzienia. Siobhán powiedziała im, że maksymalny wymiar kary za bigamię to siedem lat, ale że nie wyobraża sobie, by jakikolwiek sędzia skazał Franka na tak długo po tym wszystkim, co przeszedł. Oczywiście, mógłby wyjść na wolność po odsiedzeniu jednej trzeciej wyroku. Iona nie mogła uwierzyć, że Siobhán naprawdę była w stanie aresztować Franka leżącego w szpitalnym łóżku, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że policjantka nie ma innego wyjścia. W końcu zgodnie z prawem Frank popełnił przestępstwo, a Siobhán ma pewnie jakąś normę aresztowań, którą musi co miesiąc wyrobić i Frank posłuży jej do osiągnięcia tego celu.

Czuła się nieswojo, że tak niesprawiedliwie myśli o Siobhán, ale nie mogła się powstrzymać. Co one, do diabła, robią, jeśli Frank zostanie aresztowany? Co będzie, jeśli pójdzie do więzienia? Czy tak po prostu będą go dalej odwiedzać? Jak sobie z tym poradzą? Co innego zachowywać się dojrzałe, rozsądnie i ugodowo, kiedy Frank jest taki bezradny, a co innego, gdy odzyska przytomność. Może jednak lepiej by było, gdyby wcale się nie obudził.

Przecież nie mogą tego chcieć, upomniała samą siebie w drodze do szpitala. Gdyby na zawsze pozostał w stanie śpiączki, wkurzyłoby ją to. Już teraz miała mu to za złe, a to dlatego, że Ruth i kilka innych dziewczyn z Rental Remedies wybierały się tego wieczoru na kolację do nowej modnej restauracji, a ona bardzo chciała z nimi pójść. Ze względu na ciągłą poprawę stanu Franka uznała jednak, że nie powinna opuszczać ani jednej wizyty w szpitalu, bo one z pewnością mu pomagają.

Pomyślała, że zapyta Sally, czy nie chciałyby tego dnia pojechać do szpitala zamiast niej, ale wiedziała przecież, że w miarę rozwoju ciąży wyprawy z Bray do miasta stawały się dla Sally coraz bardziej kłopotliwe. Lekarz zalecił jej odpoczynek i spędzanie dużej ilości czasu z uniesionymi nogami, co, jak Sally powiedziała Ionie, łatwo jest zalecić, a trudniej zrobić. Zdawała sobie sprawę, że Sally powinna myśleć o swojej ciąży (choć przecież jednocześnie cały czas musiała się martwić o Franka), i nie chciała, by się czuła zobowiązana do przyjazdu do szpitala za każdym razem, gdy Frankowi groziło spędzenie wieczoru w samotności. Nie przyjęła więc zaproszenia na kolację, mimo że miała ogromną ochotę na to wyjście.

Szła znajomymi korytarzami szpitala, kierując się do sali Franka. Może to będzie dzisiaj, pomyślała. Może to właśnie dzisiaj do nas wróci.

Popchnęła drzwi. Promienie zachodzącego słońca wpadały przez okno, oświetlając stojące po drugiej stronie sali łóżko. Frank wyglądał, jakby po prostu spał. Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła obok niego. A potem zaczęła mówić.

To, co zrobił, było tak okropne, że od myślenia o tym aż rozboleła go głowa. Słyszał, jak Iona opowiada mu, że sama już nie wie, co czuje, że nie wie, co będzie z jej życiem. Chciał jej powiedzieć, że nie powinna tak się czuć, że on nigdy nie zamierzał nikogo skrzywdzić i że wie, jak strasznie w ich życiu namieszał. Zdawał sobie sprawę, że Iona jest jego drugą żoną, kobietą, z którą się związał, będąc już z Sally. Wiedział, że nie powinien był się z nią żenić, że to było złe i niezgodne z prawem, i że teraz, kiedy wszyscy się o tym dowiedzieli, stanowiło przyczynę samych kłopotów. Wiedział, że argument, jakiego chciałby użyć, żeby się usprawiedliwić, nie przekonałby nikogo myślącego racjonalnie. Zrobił to, bo rozpaczliwie pragnął bliskości, bo chciał mieć jeszcze jedną rodzinę, bo zawsze potrzebował rodziny idealnej. To tłumaczenie nie przekonywało teraz już nawet jego samego, ale wtedy takie postępowanie wydawało mu się zupełnie sensowne.

Słyszał rozpacz w jej głosie i czuł, jakby wbijano mu nóż w serce. Jak to możliwe, zastanawiał się, że pragnąc jedynie szczęścia swoich kobiet, doprowadził do tego, że są tak bardzo nieszczęśliwe?

Wiedział, że nie tylko Iona jest nieszczęśliwa. Wcześniej w głosie Sally też usłyszał skrywaną rozpacz. Pomyślał, że to zdumiewające, że Sally, która nie znosiła chorób, tak dużo czasu spędza przy nim w szpitalu. To dowodziło, jak bardzo go kocha. A on w ogóle na jej miłość nie zasługuje.

Nie miał pojęcia, od jak dawna jest w szpitalu, ale domyślał się, że musiało minąć już sporo czasu. Doskonale znał szpitalne dźwięki i zapachy. Pogodne głosy pielęgniarek, nieustanne pikanie aparatury, zapach środków antyseptycznych... wszystko to zapewniało mu poczucie zwyczajności i bezpieczeństwa. W jakimś sensie podobało mu się to, że jest otoczony troskliwą opieką i nie musi pić piwa, którego sam nawarzył.

- Ona cię kocha, Frank, ale musi się troszczyć o dziecko - mówiła Iona. - Więc może byłoby lepiej, gdybyś był ze mną. Ale ty, ona, Jenna i to dziecko, wy jesteście najważniejsi. No i cóż... Kocham cię, ale chyba będę potrafiła żyć bez ciebie.

Czuł się strasznie, słysząc, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Wiedział, że taki stan zupełnie nie odpowiada jej charakterowi.

- No i ta detektyw. Frank, ona chyba chce cię aresztować! Była naprawdę miła dla mnie i dla Sally, ale wciąż powtarza, że popełniłeś przestępstwo. Wiadomo, że nie obrabowałeś banku ani nic takiego, ale tak szczerze, Frank, to chyba wszystkim byłoby łatwiej, gdybyś zrobił właśnie coś takiego!

To wszystko była jego wina. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że dwie odrębne części jego życia mogą się z sobą zetknąć. Tak się jednak stało. Zabawne, że za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak do tego doszło.

Nagle sobie przypomniał. Ten pub. Nagły głuchy odgłos i ciemność, która go ogarnęła, gdy wszystko się na niego zawałiło. Pamiętał, jak próbował złapać powietrze i starał się otworzyć oczy, pamiętał również to straszne uczucie, że się dusi przygnieciony zwałami gruzu, przypominał sobie, jak walczył, żeby się wyswobodzić, ale osuwało się na niego coraz więcej gruzu, aż nagle coś uderzyło go w głowę. Chciał się uwolnić, ale nie mógł.

Iona otworzyła drzwi i niespokojnym głosem zawołała Terri Cooper, która była akurat na korytarzu na zewnątrz.

- On jest bardzo zdenerwowany - powiedziała zaniepokojona. - Nigdy go takim nie widziałam.

Obie patrzyły, jak Frank zaciska i rozluźnia pięści, i rzuca głową na poduszce.

- Skontaktuję się z doktorem Carrollem - powiedziała opanowanym głosem Terri. - To dobrze, że reaguje, ale...

- Posiedzę przy nim - powiedziała Iona. Weszła z powrotem do sali. Frank już się uspokoił, ale ona wciąż była zdenerwowana. Poczekala jeszcze chwilę i wyszła, żeby zadzwonić do Sally.

Sally siedziała na kanapie z wyciągniętymi nogami. Przez cały dzień miała skurcze i lekkie mdłości. Po sześciu miesiącach ciąży miała już tego dosyć. Odczuwała też niewielki ból głowy, który łączył się z napięciem w okolicy karku. W tej chwili jednak, dzięki ciszy panującej w domu, poczuła się odrobinę lepiej. Jenna poszła do Sam, żeby dalej walczyć z tajemniczym plikiem na komputerze Franka. Sally była zadowolona, że córka tak bardzo zainteresowała się komputerami i tak świetnie się spisała z opracowaniem informacji o klientach. Wyniki tej pracy przesłała mailem do Mylesa, więc teraz szwagier Iony dysponował aktualną bazą danych dotyczących wszystkich umów zawartych przez Franka. Utrzymywał stały kontakt z jego klientami, a Sally mogła być spokojna.

W przeciwieństwie do Jenny nie martwiła się jakoś szczególnie tym katalogiem zabezpieczonym hasłem. Przecież Frank uwielbiał hasła i kody, wiązało się to z jego fascynacją Bondem. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy ten plik może mieć coś wspólnego z jakąś kolejną żoną, ale stwierdziła, że to jednak mało prawdopodobne. W przekonaniu tym upewniły ją wyniki śledztwa przeprowadzonego przez Siobhán Farrell. Martwiła się tym, co policjantka zrobi, gdy Frank odzyska świadomość. Iona zadzwoniła do niej bardzo zdenerwowana sposobem, w jaki Siobhán zareagowała na wieść, że Frank może się niedługo obudzić. Zdaniem Iony, Siobhán zamierzała zdradzić je obie tylko po to, żeby móc sobie przypisać kolejne aresztowanie. Ale Sally nie mogła obwiniać Siobhán. Policjant musi wykonywać swoją pracę. Miała jednak nadzieję, że ostatecznie do niczego takiego nie dojdzie.

Westchnęła, słysząc dzwonek telefonu, i sięgnęła po słuchawkę. Iona opowiedziała jej o wzburzeniu Franka, przy czym sama wydawała się bardzo zdenerwowana. To zaniepokoiło Sally, która (pomimo hysterii, w którą Iona wpadła przy ich pierwszym spotkaniu) uważała ją za osobę bardzo opanowaną.

- Chcesz, żebym przyjechała?

Miała nadzieję, że Iona powie, że nie. Nie uśmiechała jej się wizja jazdy do miasta.

- Och, Sally, pewnie robię z igły widły, ale on naprawdę dziwnie się zachowuje. Z jednej strony to się wydaje pozytywne, tak jakby miał tylko jakiś zły sen, ale ja się po prostu przestraszyłam.

Sally nic nie odpowiedziała.

- Cholera, Sal, przepraszam. Nie chciałam cię niepokoić.

- A to nie jest tak, że każda reakcja to dobry znak? - zapytała Sally.

- Tak. Tak mi się wydaje. Ale...

- Przyjadę - powiedziała Sally.

- Dzięki - Iona przelknęła ślinę. - Będę czekać.

Sally rozłączyła się i zmarszczyła brwi. Potem wybrała numer do Jenny.

- Ojej, a my jesteśmy już o krok od złamania tego hasła! - jęknęła Jenna. - Chyba wołałabym zostać.

- Chcę, żebyś pojechała - powiedziała Sally. - Sam może dalej próbować sama.

Jenna usłyszała w głosie Sally kategoriyczny ton, którego nigdy dotąd nie lekceważyła. Zmarszczyła brwi.

- Okej - powiedziała w końcu. - Będę za pięć minut.

Wszystko spartolił. Tak naprawdę do tego to się sprowadza. Wszystko spartolił i spowodował niepotrzebne cierpienie. Nie mógł więc mieć pretensji, że go nienawidzą. Pamiętał, że tak mówiły. Obie. Że go nienawidzą. Że lepiej byłoby im bez niego. Ale mówiły też, że go kochają. Znowu słyszał głos Jenny, miękki i łagodny, mówiła, że wszystko jest w porządku i że go kocha.

Iona uśmiechnęła się z ulgą na widok wchodzącej przez drzwi Sally.

- Przepraszam, że cię wyciągnęłam z domu - powiedziała - ale pomyślałam, że powinnaś tu być.

- Co się stało?

- Teraz się uspokoił - powiedziała Iona. - Wcześniej był bardzo wzburzony. Przyszędł lekarz, popatrzyli na monitory i dali mu chyba jakieś leki. Od tej pory jest spokojniejszy, ale... - zerknęła na Jennę stojącą przy wezglowiu łóżka. - Nie wiem, czemu nagle tak się zaniepokoiłam. Jak was zobaczyłam, poczułam się o wiele lepiej.

- To dobrze - Sally przyciągnęła sobie krzesło i usiadła.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Iona. - Jesteś bardzo blada.

- Maluch trochę dzisiaj dokucza - Sally pomasaowała sobie brzuch.

- O, Boże, Sally, naprawdę niepotrzebnie do ciebie zadzwoniłam!

- Cieszę się, że to zrobiłaś - powiedziała Sally.

- Tak - powiedział ochryplym głosem Frank. - To dobrze.

Iona, Sally i Jenna popatrzyły na siebie, nie mówiąc ani słowa. A potem wpatrzyły się w leżącego na łóżku mężczyznę. Oczy Franka były otwarte, a on na nie patrzył.

- Naprawdę przepraszam - powiedział i zamknął oczy.

- Frank! - krzyknęła Iona. - Frank, obudź się!

- Tato! - Jenna potrząsnęła go za ramię. - Tato, to ja.

- Wiem, że to ty - znowu otworzył oczy.

Terri Cooper weszła do sali. Zobaczyła, że pacjent i odwiedzające go kobiety patrzą na siebie. Natychmiast wezwała doktora Carrolla.

- Nigdy nie chciałem was skrzywdzić - wychrypiął Frank, po tym jak Iona dała mu łyk wody ze stojącej przy łóżku szklanki. - Nie chciałem, żeby tak się stało.

- Jezu Chryste, Frank, a czego się spodziewałeś? - zapytała Sally, nieświadoma zdumienia, jaki ton jej głosu wywołał w Jennie. - Zdradziłeś mnie z Ioną, zdeptałeś naszą małżeńską przysięgę i dzień w dzień nas okłamywałeś.

- Powinieneś był mi powiedzieć - powiedziała z naciskiem w głosie Iona. - Powinieneś był mi powiedzieć, że jesteś żonaty. Wściekłabym się na ciebie, ale jakoś bym to przeżyła.

- Nie mogłem - odpowiedział Frank. - Ty... byłaś taka cudowna. I ja...

- Jesteś beznadziejny, Frank! - krzyknęła Sally. - Nie wolno ci było spotykać się z innymi kobietami, nawet tak cudownymi jak Iona. Ona ma prawo być na ciebie wściekła. Ja też.

- Wiem, wiem - Frank zakasłał, a Iona znowu podała mu wodę - ale przechodziliśmy wtedy trudne chwile, prawda? A ja się bałem, że ode mnie odejdiesz.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała Sally. - Byliśmy małżeństwem. Owszem, przechodziliśmy trudny okres, ale poradzilibyśmy sobie z tym.

- Moja matka odeszła - powiedział Frank. - A oni z ojcem nawet nie przechodzili trudnych chwil.

Sally i Iona wpatrywały się w niego zdumione.

- Ożeniłeś się ze mną, bo bałeś się, że Sally od ciebie odejdzie? - powiedziała Iona z niedowierzaniem. - Nie chciałeś zostać sam, więc miałam być dla ciebie rodzajem polisy ubezpieczeniowej?

- Wcale tak nie uważałem - zaprotestował Frank. - Zakochałem się w tobie i chciałem cię mieć dla siebie. I Sally też.

- Jesteś naprawdę nienormalny, tato - powiedziała Jenna drżącym głosem. - Powinieneś się zgłosić do psychiatry.

- Chyba tak - odpowiedział Frank. - Chyba już dawno powinienem był tak zrobić.

- Nie wierzę, że to wszystko wina tamtej kobiety - powiedziała szorstko Sally. - Cholerna Christine! Nie było jej przy nim jak był dzieckiem, a teraz wygaduje przez nią jakieś bzdury. Zrobiła z niego kompletnego wariata.

- Nie możesz winić jej za to, że on postanowił się ożenić z dwiema kobietami - zaprotestowała Iona. - Może rzeczywiście nie była najlepszą matką, ale Frank sam odpowiada za to, co robi.

- Wiem - odparł słabym głosem. - Miałem bardzo udane małżeństwo. Nawet dwa. Byłem szczęściarzem. Kocham cię, Sally. I ciebie też kocham, Jenna. Zawsze... zawsze będę się o ciebie troszczył - zamknął na chwilę oczy, a potem ponownie je otworzył - ale Iona będzie miała dziecko. Słyszałem, jak o tym mówiła, kiedy spałem. O to dziecko też muszę się zatroszczyć.

- Ty idioto! - powiedziała Iona. - To Sally będzie miała dziecko, nie ja.

Frank w zdumieniu przyjrzał się żonie.

- Ale... ale ja myślałem, że nie możemy mieć więcej dzieci - powiedział.

- No to źle myślałeś - odparła krótko Sally.

- Głowa mnie boli - powiedział i znowu zamknął oczy.

- Mnie też - Sally potarła ręką czoło. - I w ogóle to... nie czuję się najlepiej.

Jenna i Iona popatrzyły na nią. Była blada jak ściana.

- O, cholera - powiedziała Iona, gdy Sally zsunęła się z krzesła akurat w momencie, gdy do sali wchodził dr Carroll.

Posadzili ją na wózku i szybko zawieźli na oddział położniczy. Gdy pchali ją korytarzami, odniosła wrażenie, że zdążyła już poznać wszystkie pielęgniarki i lekarzy w tym szpitalu. Serce biło jej jak oszalałe, gdy ciało ogarniały następujące po sobie fale bólu. Była przerażona. Dziecko nie mogło urodzić się tak wcześnie, ale ona czuła przemożną potrzebę parcia. Jęknęła cicho.

- Proszę się nie martwić - powiedział sanitariusz, który pchał wózek. - Zaraz się panią zajmujemy.

- Moje dziecko - powiedziała Sally - zadbajcie o moje dziecko.

- Na pewno to zrobimy.

Sally zamknęła oczy. Czy tak właśnie czuł się Frank, zastanawiała się, gdy wieźli go do szpitala? Czy był przerażony i nieszczęśliwy, czy zastanawiał się, co z nim będzie? Ale on był przecież wtedy nieprzytomny, prawda? Więc to nie mogło być tak samo. Znowu poczuła ostry ból i krzyknęła.

- Okej, Sally, już prawie jesteśmy na miejscu - głos sanitariusza działał na nią uspokajająco. Może oni uważają, że ja umrę, pomyślała. A to by dopiero było. Frank musiałby naprawdę szybko wydobrać, żeby zająć się Jenną i dzieckiem.

- W porządku, Sally - otworzyła oczy. Jej ginekolog stał tuż obok. - Już się tobą zajmujemy. Podłączymy cię teraz do kroplówki. To nie będzie bolało.

Dlaczego oni zawsze tak mówią, pomyślała Sally. Wiadomo przecież, że będzie bolało. Wszystko boli.

Iona i Jenna siedziały pod salą Franka. Znowu miał zamknięte oczy i się nie ruszał. Stojący przy nim lekarz sprawdzał aparaturę i rozmawiał z Terri Cooper o chwilowym przebiegu świadomości. Jenna jak szalona gryzła swoją dolną wargę, a Iona łamała sobie głowę nad tym, co powinna jej powiedzieć.

- Czy mamie nic się nie stanie? - zapytała w końcu Jenna.

- Na pewno nie - odpowiedziała Iona. - Nie powinnam była do niej dzwonić, Jen. Skoro nie czuła się dobrze, nie powinna była tu przyjeżdżać. Strasznie mi przykro.

- Wściekłaby się, gdyby nie było jej tutaj, kiedy tata się obudził - Jenna wytarła kąciaki oczu. - Co teraz z nim zrobimy?

- Myślę, że jeśli ty i twoja mama chcecie, żeby wrócił z wami do domu, to tak powinno być - powiedziała Iona.

- To mój tata - Jenna pociągnęła nosem. - Jestem naprawdę na niego bardzo zła, ale...

- Rozumiem - powiedziała Iona.

- Obwiniałam go o wszystko - stwierdziła Jenna - nawet o to, co sama robiłam, ale masz rację, Iona, nie można winić innych, jak się samemu wszystko psuje.

Iona objęła Jennę ramieniem.

- Co masz na myśli? - zapytała.

Jenna wszystko jej opowiedziała: że spała z Gerrym i że rzuciła stare przyjaciółki na rzecz Aline i Cindy, i ich paczki. Przyznała się też, że Cathal Rothery odwiózł ją do domu radiowozem po awanturze przed barem.

- Ojej - powiedziała Iona. - Mama o tym wie? Jenna potrząsnęła przecząco głową.

- O tym, że spałam z Gerrym też nie wie. Więc bardzo proszę, nic jej nie mów - powiedziała zaniepokojona. - Byliśmy ostrożni. Zabezpieczaliśmy się. Nie zaszłam w ciążę ani nic w tym stylu. Wiesz, po tej bójce z Aline i Cindy, on zachował się wobec mnie okropnie. Potraktował mnie, jakbym była jakąś zdzirą - westchnęła.

- Chyba miał rację.

- Nie opowiadaj głupot - powiedziała Iona. - Jesteś wspaniałą dziewczyną, Jenna. Miał szczęście, że chciałaś z nim chodzić, a Sally i Frank mają ogromne szczęście, że mają taką córkę - nagle jej oczy wypełniły się łzami. - Byłabym dumna, gdybym sama miała taką córkę.

Jenna popatrzyła na nią zaskoczona.

- Dziękuję. A ja myślałam, że mnie nienawidzisz. Iona wytarła oczy.

- To nieprawda. Zazdroszczę twojej mamie i tacie. Chciałabym mieć taką córkę.

- O rety, nigdy bym nie pomyślała! - Jenna ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. - Przecież ze mną są same kłopoty.

- Och, bzdury - uśmiechnęła się Iona. - Masz siedemnaście lat. To normalne, że sprawiasz trochę kłopotów.

- Czy ty i tata chcieliście mieć dziecko? - zapytała Jenna. Iona przygryzła wargę i skinęła głową.

- Tylko że to już niemożliwe.

- Chyba nie - Jenna przeniosła spojrzenie na przeszklone drzwi sali, w której leżał jej ojciec.

Frank miał otwarte oczy i przyglądał się im. Iona i Jenna patrzyły na niego bez słowa.

- Przepraszam - nie mogły tego słyszeć, ale domyśliły się, co mówi. - Kocham was.

A wtedy wszystkie urządzenia w jego sali wszczyły alarm.

Sally na przemian odzyskiwała i traciła przytomność, ale wiedziała, że już jest z nią lepiej. Była też przekonana, że dziecko wciąż znajduje się w jej brzuchu i że wszystko jest pod kontrolą. Odczuwała ogromną wdzięczność wobec losu, że zasłabła akurat w szpitalu i że wszyscy tak wspaniale się nią zajęli.

- Cześć - powiedział Frank.

Zdawała sobie sprawę, że widzi go tylko oczami wyobraźni, ale miała wrażenie, jakby naprawdę stał przed nią, przystojny i w pełni sił, zupełnie jak przed wypadkiem.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

- Chciałem tylko powiedzieć przepraszam - powiedział. - Spaprałem to.

- Mało powiedziane - odparła.

- Chętnie zważyłbym to na kogoś, ale wiem, że to tylko moja wina - stwierdził.

- To nieważne - odrzekła. - Jakoś się z tym uporamy.

- A ty dobrze się czujesz?

- Teraz tak - odpowiedziała. - Trochę się zdenerwowałam, ale wszyscy powtarzają mi, że wszystko jest w porządku, a ja im wierzę.

- Nie mogę uwierzyć, że będziesz miała dziecko. Po tylu latach.

- Ja też nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Sally.

- Przepraszam, że wcześniej naciskałem w tej sprawie.

- Mnie samej zależało.

- A przede wszystkim przepraszam za Ione.

- Kochasz ją?

- Ciebie też kocham.

- Och, Frank. Wpadłeś do dołka, który sam wykopałeś, co?

Uśmiechnął się gorzko.

- Ale ja ją lubię - powiedziała Sally. - Można na niej polegać. Rozumiem, za co ją kochasz. I wiesz, tak naprawdę to bez niej byłoby nam o wiele trudniej.

- Ale idealnie to nie jest - stwierdził Frank.

- Och, mniejsza z tym - Sally uśmiechnęła się do niego. - Czy życie kiedykolwiek przypomina ideał?

- Dbaj o siebie - obraz Franka zaczął znikać, a Sally zasnęła.

Lekarze i pielęgniarki tłoczyli się wokół łóżka Franka. Iona i Jenna siedziały przed jego salą, obejmując się ramionami. Gdy wyłączyły się alarmy urządzeń, dr Carroll wyszedł z sali i powiedział im, że mają jakiś problem, ale że już się tym zajęli. Zaraz usiadła obok nich Ashley Dalton, studentka pielęgniarstwa. Podała im kubki ze słodzoną herbatą. Iona zaczęła się zastanawiać, jak często pielęgniarki w tym szpitalu muszą podawać ludziom słodzoną herbatę.

* * *

Trzy godziny później dr Carroll stanął przed nimi i choć starał się przybrać obojętny wyraz twarzy, Iona od razu zauważyła, że jest wstrząśnięty.

- Obserwowaliśmy jego stan bardzo uważnie, o czym zresztą same wiecie. Ten tętniak jednak rozwinął się naprawdę szybko. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy - spojrzał na Jennę. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro.

- Chce pan powiedzieć, że tata nie żyje? - Jenna cała się trzęsła. - To niemożliwe. Przecież dopiero się obudził.

Widziały, jak personel szpitala w pośpiechu zabiera Franka na salę operacyjną, znowu piły słodzoną herbatę i martwiły się, co się dzieje, ale do głowy by im nie przyszło, że on mógłby umrzeć. Przecież akurat tego dnia po raz pierwszy się do nich odezwał. Powinno mu się poprawić.

Jenna zaczęła płakać. Iona przytuliła ją do siebie i znad jej głowy popatrzyła na lekarza.

- Wiem, że trudno to zaakceptować - powiedział dr Carroll. - Wiem, że cieszyliście się, że się obudził, ale on już wtedy musiał bardzo cierpieć.

Iona przypomniała sobie udręczony wyraz twarzy Franka, gdy z nimi rozmawiał. Ale w tamtej chwili myślała, że po prostu uświadomił sobie, w jakich jest tarapatach. Mocniej przygarnęła do siebie Jennę.

- Rozmawialiśmy z nim - głos uwiązał jej w gardle. - O, Boże, co my powiemy Sally? Taki wstrząs może jej zaszkodzić.

- Sally teraz śpi - głos Terri Cooper był łagodny i delikatny. - Nie będziemy jej na razie budzić.

- Ale to niemożliwe - powiedziała wściekłym tonem Jenna. - Jak mogliście pozwolić mu tak po prostu umrzeć? Po tym wszystkim, co przeszliśmy?

- W szpitalu jest ksiądz - powiedziała pielęgniarka.

- Czy chcielibyście, żeby do was przyszedł?

- Nie - odpowiedziała Iona. - Nie teraz. Wolę być sama.

- Nie zostawiaj mnie! - krzyknęła Jenna. - Nie chcę zostać sama.

- Oczywiście, oczywiście - Iona znowu ją przytuliła.

- Nie martw się. Nie zostawię cię samej. - Spojrzała na Terri. - Możemy go zobaczyć? - zapytała.

- Ale bardzo krótko - odpowiedziała Terri. - Musimy jeszcze coś zrobić, a potem możecie do niego na chwilę wejść.

Jenna zadrżała.

- Ja nie chcę - powiedziała.

- Nie musisz, skarbie - odparła szybko Iona. - Ale ja to zrobię.

- Powiesz mamie?

- Tak - powiedziała Iona. - Powiem jej.

* * *

Było po północy, gdy poszła do pojedynczej sali, do której przewieziono Sally. Obok niej szła Jenna, mocno ściskając ją za rękę. Wcześniej Iona poszła zobaczyć Franka. Wyglądał mniej więcej tak samo jak w śpiączce. Jej łzy spadły na jego twarz, a ona wytarła je i wtedy poczuła, że w dotyku jest inny. Bez życia. Odszedł od nich na zawsze.

- Kochałam cię, Frank - pocałowała go w policzek. - Wiem, że wielu ludzi powie, że tak było najlepiej, ale ja nigdy, przenigdy nie chciałam, żebyś umarł.

Popatrzyła na niego, czekając na odpowiedź, tak jak często robiła w ciągu ostatnich tygodni, ale tym razem wiedziała na pewno, że nie będzie żadnej reakcji. Pocałowała go jeszcze raz i wyszła z sali.

Jenna czekała na zewnątrz z Terri Cooper i złapała Ionę za rękę, gdy tylko się pojawiła. Iona czuła teraz, jak idąca obok niej dziewczyna cała drży.

Gdy weszły do sali, Sally otworzyła oczy.

- Hej - powiedziała.

- Hej - odpowiedziała Iona.

Popatrzyły na siebie, a wtedy twarz Sally się wykrzywiła.

- O, nie.

- Przykro mi - powiedziała Iona. - To był tętniak. Nic nie mogli poradzić.

- Och, mamó - Jenna w końcu puściła dłoń Iony i pochyliła się nad matką. Sally mocno ją do siebie przytuliła.

Iona po cichu wymknęła się z sali. Poszła korytarzem aż do miejsca, gdzie mogła użyć komórki i zadzwoniła do Lauren.

- Zaraz będę - powiedziała jej siostra.

- Nie - odpowiedziała Iona. - Nie ma takiej potrzeby. Dzwonię, bo chciałam tylko, żebyś wiedziała.

- Io, nie możesz być tam teraz sama. Sally nie będzie mogła w niczym pomóc, skoro leży w łóżku.

- Dam sobie radę - powiedziała Iona. - Naprawdę. Nie martw się o mnie, proszę. Zadzwonię do ciebie jutro.

- Iona...

- Naprawdę mnie zdenerwujesz, jak przyjedziesz - powiedziała Iona. - Poza tym to do tej pory być może już wyjdę. Nie wiem jeszcze, co będę robić. Muszę pozafatwiać parę spraw.

- W porządku - powiedziała Lauren, choć nie wydawała się przekonana. - Zadzwoń do mnie.

- Zadzwonię.

Iona wróciła do Sally. Jenna siedziała na krześle obok łóżka matki, ale gdy Iona weszła, wstała i znowu wzięła ją za rękę.

- Wiedziałam - powiedziała Sally.

- Skąd?

- Przyszedł do mnie.

Iona nie odpowiedziała.

- Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale to prawda - powiedziała Sally. - Powiedział, że przeprasza i że mnie kocha.

- Cholera, myślałam, że wszystko będzie w porządku - Iona z trudem przełknęła ślinę.

- Może czasami nie wszystko może być w porządku - zastanowiła się Sally. - Nie zawsze wszystko dobrze się kończy, co chyba i tak w naszej sytuacji nie byłoby możliwe.

- Coś byśmy wymyśliły - odpowiedziała Iona. - Razem byśmy sobie poradziły. Przecież przez kilka ostatnich miesięcy nieźle sobie radziłyśmy, prawda?

- Wiem - powiedziała Sally i zamknęła oczy.

Iona spojrzała na Jennę, wciąż drżącą i bladą jak ściana.

- Ty też musisz odpocząć.

- Może mogłabym gdzieś tutaj...

- Nie możesz tutaj zostać - powiedziała Iona. - Miejsca ledwo wystarcza nawet dla pacjentów.

- To muszę jechać do domu - powiedziała Jenna. - Ale nie chcę tam być sama.

- Możesz pojechać do mnie - zaproponowała Iona. - Jeśli Sally się zgodzi.

- Oczywiście - powiedziała Sally sennym głosem. - To najlepsze rozwiązanie.

Jenna została przy matce, gdy Iona po raz ostatni poszła na oddział Franka, żeby krótko porozmawiać z Terri Cooper. Pielęgniarka przytuliła ją i powiedziała, że jest wspaniałą osobą i że wszyscy bardzo ją i Sally polubili. Iona poczuła wdzięczność za okazaną sympatię i zrozumienie. Już miała wrócić po Jennę, gdy na korytarzu pojawił się Myles.

- Co ty tutaj robisz? - z zaskoczenia niemal odebrało jej mowę.

- Lauren powiedziała, że sama musisz wszystkim się zająć. Chciała tu przyjechać, ale nie mogłem jej na to pozwolić. Kilka miesięcy temu pewnie nie chciałabyś, żebym przy tobie był, ale, Iona, naprawdę przyda ci się wsparcie i pomyślałem, że...

- Och, Myles! - popatrzyła na szwagra oczami pełnymi łez. - Dziękuję ci. Dziękuję, że przyjechałeś. Nie mogłam pozwolić Lauren, żeby przyjechała, ona musi o siebie dbać.

- Wiem, wiem - Myles objął ją i poklepał po plecach. - Mogę jeszcze dzisiaj jakoś pomóc?

- Raczej nie - odpowiedziała Iona. - Już ze wszystkimi rozmawiałam.

- To zabieram cię do nas - powiedział Myles.

- Nie - Iona oderwała głowę od jego ramienia. - Obiecałam, że zaopiekuję się Jenną.

- Jenną? - Myles zmarszczył brwi.

- Córką Sally.

- Wiem, kim ona jest - powiedział Myles - przesłała mi przecież te pliki komputerowe, tylko nie zdawałem sobie sprawy, że też tutaj jest.

Iona skinęła głową.

- Jest teraz u Sally, ale powiedziałam, że może pojechać do mnie.

- Zabiorę was obie - stwierdził stanowczo Myles. - Będziecie musiały obie spać w gościnnym pokoju, ale tam są dwa łóżka.

Iona nagle się poczuła zbyt zmęczona, żeby protestować.

- Dobrze.

Przeszli szpitalnymi korytarzami na oddział położniczy. Jenna wciąż siedziała przy łóżku matki i trzymała ją za rękę.

- Myślałam, że nie wrócisz - powiedziała z niepokojem w głosie. - Strasznie długo cię nie było.

- Przepraszam - odparła Iona. Przedstawiła Mylesa i powiedziała Jennie, że obie zostały zaproszone do domu jej siostry. - Jeśli ci to odpowiada - dodała.

Jenna skinęła głową.

- Wszystko jedno gdzie się prześpię, prawda?

- Tak - odpowiedziała łagodnym tonem Iona. - Wszystko jedno.

Jenna pocałowała Sally na dobranoc i znowu wzięła Ionę za rękę. Razem wyszły ze szpitala.

Rozdział 38

Następnego dnia rano Jennę obudził dziecięcy śmiech. Długo nie mogła zasnąć, a kiedy już jej się to udało, miała skomplikowane i niepokojące sny. Koło szóstej, gdy poranne słońce zaglądało już przez szparę między grubymi zasłonami, weszła w fazę głębokiego snu, z którego nie obudziła się nawet wtedy, gdy wstała Iona.

Jenna mrugnęła kilka razy, kiedy ogarnęły ją wspomnienia z poprzedniego wieczoru, a oczy wypełniły się gorącymi łzami. To nie fair, wymruczała pod nosem, przerzucając nogi przez krawędź łóżka. Gdyby tata umarł od razu, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze. Nie byłoby tych tygodni ciągłego jeżdżenia do szpitala, tych wszystkich starań, żeby go obudzić. Nie spędziłaby tak dużo czasu, przeżywając swoją złość na tatę, mamę i Ionę. Sprawa byłaby od razu zakończona. Bolałoby, ale nie aż tak, jak bolały te ostatnie miesiące. Zaczynała wierzyć, że wtedy wszystko byłoby w porządku, a teraz nie było i przez to poczuła się jeszcze gorzej.

W nogach jej łóżka ktoś położył czysty mięciutki ręcznik. Wzięła go i poszła do znajdującej się przy sypialni dla gości łazienki. Długo stała pod prysznicem, a woda masowała jej plecy. Miała wrażenie, że to trochę nie w porządku, że odczuwa brak swojego ulubionego nawilżającego żelu pod prysznic i czystej bielizny na zmianę. Dziwne było też to, że tak zwyczajnie bierze sobie prysznic po nocy spędzonej w domu obcej kobiety i to w jednym pokoju z osobą, która chciała ukraść jej matce męża. To z pewnością nie była normalna sytuacja. Zanurzyła głowę pod strumień wody i powoli wydychała powietrze przez usta. Przecież pragnęła tylko być kimś zwyczajnym. Prowadzić zwyczajne życie, mieć zwyczajną rodzinę i zwyczajnego chłopaka. Nic z tego jej się nie udało.

Zakręciła wodę i wyszła spod prysznica. Rozejrzała się niepewnie wokół, po czym sięgnęła po stojący na półce słoik z kremem nawilżającym Boots. Potem umyła zęby palcem i odrobiną pasty. Ubrała się, uczesała włosy i zeszła na dół.

Lauren i Iona siedziały w kuchni przy stole, na którym stały puste filiżanki po kawie.

- Cześć Jenna - Lauren wstała i przytuliła ją. W oczach Jenny znowu zebrały się łzy. Tak trudno jest, gdy inni są tacy mili, bardzo trudno. - Cieszę się, że w końcu udało ci się zasnąć. Masz ochotę na kawę albo herbatę?

- Poproszę kawę - Jenna ostrożnie usiadła na jednym z kuchennych krzeseł. Wyrzała przez okno. Gavin i Charlotta ganiali po zalanym słońcem ogrodzie, wydając dzikie okrzyki radości.

- Obudzili cię? - Iona pobiegła wzrokiem za jej spojrzeniem. - Ci mali terroryści?

- Tak, usłyszałam ich - przyznała Jenna. - Nie wiedziałam tylko, skąd dobiega hałas.

- Wcale nie są tacy źli - Lauren postawiła przed nią kubek z kawą. - Tylko Ionie brakuje cierpliwości.

Jenna nie mogła zrozumieć, czemu rozmawiają o takich przyziemnych sprawach.

- Dzwoniłam już do twojej mamy - powiedziała Iona. - Czuje się o wiele lepiej.

- To chyba dobrze, że chociaż jedno z moich rodziców dobrze się czuje - odpowiedziała Jenna drżącym głosem.

- Z mamą jest wszystko w porządku - stwierdziła stanowczo Iona. - Kobiety w ciąży często słabną i to właśnie zdarzyło się twojej mamie. Zostanie w szpitalu przez kilka dni, ale wszystko z nią w porządku.

- A co z tatą? - zapytała Jenna z niepokojem w głosie.

- Co się z nim stanie?

Iona przygryzła wargę. Potrzebowała chwili, żeby nad sobą zapanować.

- Rozmawiałam o tym z Sally - powiedziała. - Chciałaby, żeby pogrzeb odbył się, jak tylko będzie mogła wyjść ze szpitala.

- On chciał zostać skremowany - powiedziała Jenna.

- Mówił mi to.

Iona skinęła głową.

- Mnie mówił to samo.

- Ale mama nie chciała - dodała zaniepokojona Jenna.

- Mama zawsze uważała, że kremacji brakuje godności. Co będzie, jak się nie zgodzi?

Lauren patrzyła to na Ionę, to na Jennę.

- Musisz spokojnie o tym z mamą porozmawiać - powiedziała, gdy zdała sobie sprawę, że Iona nie może wydobyć z siebie głosu. - Omówić to z nią.

- Ale *on* mi tak powiedział - upierała się Jenna.

- Niedługo pojedziemy odwiedzić Sally - obiecała Iona - i wszystko uzgodnimy.

- Muszę pojechać do domu i się przebrać - powiedziała Jenna. - Mam na sobie wczorajsze ubranie.

- Rozumiem - odparła Iona - ale najpierw muszę odebrać samochód ze szpitalnego parkingu. - Uśmiechnęła się. - Ciagle ktoś z nas zostawia tam samochód! Proponuję, abyśmy wzięły taksówkę, odwiedziły twoją mamę, a potem pojedziemy do mnie, ja się szybko przebiorę i zawiozę cię do domu.

Gdy weszły do sali, Sally siedziała na łóżku. Miała bladą twarz i ciemne cienie pod oczami, ale uśmiechnęła się na ich widok. Jenna podbiegła do łóżka i objęła matkę, a ta przytuliła ją mocno do siebie. Iona przystanęła w nogach łóżka.

- Widziałam go dziś rano - powiedziała Sally, gdy Jenna wyswobodziła się z jej objęć. - Zawieźli mnie tam na wózku. On wyglądał... tak spokojnie.

Iona pokiwała głową.

- On chciał być skremowany - powiedziała szybko Jenna. - Tak mi mówił. Bał się, że zostanie pogrzebany żywcem.

- Wiem - powiedziała Sally. - Ale chyba nie ma takiej możliwości, prawda? - Jej dolna warga drżała.

- Powinnaś zrobić tak, jak chciał - powiedziała Jenna.

- Ja...

- Ionie też tak mówił - dodała Jenna.

Sally spojrzała na Ione.

- Naprawdę?

Iona nie była pewna, co ma odpowiedzieć. Znowu czuła się jak intruz, jak ktoś, kto nie ma nic do powiedzenia w sprawach rodziny Harperów. Jak ktoś, kto wcale nie był żoną Franka i w ogóle nie powinien tu być. Więc tylko nieznacznie skinęła głową.

- A ty tego chcesz? - zapytała Sally.

- Ja... to nie ma znaczenia - odparła gwałtownie Iona. - Cokolwiek zdecydujesz, będzie w porządku. - Nie mogła tam zostać ani chwili dłużej. Odwróciła się i wyszła, zostawiając za drzwiami zdumione Sally i Jenne.

Na korytarzu była wolna ławka. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Przez kilka ostatnich tygodni uczestniczyła we wszystkim, ale teraz znowu była nikim. Sally i Jenna zorganizują pogrzeb i przyjdą na niego ich przyjaciele, rodzina i sąsiedzi. A ona będzie nikim. Bo przecież nie będą chcieli, żeby przyciągała uwagę. Będą chcieli zachować pozory, że Frank był wspaniałym ojcem rodziny. Domyślała się, że przyjaciele Sally dowiedzieli się już o jego podwójnym życiu, ale przecież pogrzeb nie jest dobrą okazją, żeby to nagłaśniać, a ona nie będzie o to walczyć. Po co miałyby to robić? Frank odszedł i tak naprawdę wszystko inne nie ma żadnego znaczenia.

- Iona? - w głosie Jenny słychać było zdenerwowanie. - Dobrze się czujesz?

Iona wytarła łzy i spojrzała na Jenne.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała szybko. - Wszystko w porządku.

- Mama powiedziała, że może martwisz się o pogrzeb.

- Nie.

- Powiedziała, że może myślisz, że chcemy cię z tego wykluczyć.

- Ja...

- Chciałaby z tobą o tym porozmawiać - powiedziała Jenna.

- Dobrze - zgodziła się Iona i weszły z powrotem do sali.

Planowanie pogrzebu Franka okazało się łatwiejsze niż organizowanie wizyt w szpitalu i wszystko inne, co wiązało się z jego śpiączką. Uzgodniły rodzaj ceremonii i oprawę muzyczną. Iona powiedziała, że pojedzie do księdza do ich parafii w Bray, żeby wszystko omówić, skoro Sally ma zostać w szpitalu jeszcze dzień czy dwa.

- Nie jestem pewna, jak on zareaguje - stwierdziła. - Wiecie, z dziesięciorgiem przykazań to Frank był nieźle na bakier!

Sally się roześmiała. Wszystkie trzy poczuły wyrzuty sumienia, bo radość wydała im się niestosowna, ale i Jenna, i Iona nie mogły powstrzymać się od uśmiechu.

- Miejmy nadzieję, że uwzględnią to, że w ten sposób uratują go przed wiecznym potępieniem - odpowiedziała cierpko Sally. - Iona, naprawdę bardzo doceniam wszystko, co robisz.

- Nie ma sprawy - powiedziała Iona. - Porozmawiam z nim o fragmentach Biblii do czytania i tak dalej, a potem przywiozę wszystko tutaj, żebyś mogła zaakceptować.

- Dzięki.

- Pogrzeb odbędzie się w weekend. Jesteś pewna, że wyjdiesz już ze szpitala?

Sally pokiwała głową.

- A ja? - zapytała Jenna. - Co mam robić?

- Może przeczytasz fragment Biblii? - zasugerowała Sally.

- Nie na pogrzebie - odparła Jenna. - Teraz chciałabym pojechać do domu i się przebrać, ale nie chcę tam potem zostać sama.

- Przecież możesz pomieszkać u mnie, już ci wczoraj mówiłam - powiedziała Iona.

- Ale tak przez kilka dni? Nie mogłabym - odpowiedziała Jenna. - Wszystkie rzeczy mam w domu. I nie chcę tego zostawiać.

- Nie powinnaś być w domu sama - powiedziała Sally. - Nie... naprawdę nie powinnaś, Jen.

- Będzie ci u mnie dobrze - powiedziała Iona. - Naprawdę.

Jenna przygryzła wargę.

- Iona, a może ty mogłabyś pomieszkać u nas? - zapytała Sally. - Mogłabyś?

- Och, Boże, Sally... ja nie wiem - Iona była zaskoczona propozycją.

- Proszę? - błagała ją Jenna. - Bardzo chciałabym być w domu, ale ktoś musi ze mną być.

- Hm... no chyba...

- Dzięki - Jenna ją uścisnęła. - Bardzo ci dziękuję.

Śpiesząc się poprzedniego wieczoru do szpitala, Jenna zapomniała zabrać z domu komórkę. Gdy otwierała drzwi, od razu usłyszała, że pika, sygnalizując, że przyszła jakaś wiadomość. Pobiegła do kuchni i złapała telefon. Miała chyba sześć nieodebranych połączeń i jeszcze więcej SMS-ów. Wszystkie były od Sam. Zasadniczo chodziło o to, że udało jej się włamać do tajemniczego katalogu z komputera Franka i żeby Jenna natychmiast się z nią skontaktowała.

- Gdzieś ty była, do diabła?! - zapytała Sam, gdy odebrała telefon od Jenny. - Myślałam, że może jesteś z Aline i Cindy, i że znowu nie chcesz ze mną gadać.

- Boże, nie - powiedziała szybko Jenna. Z trudem przełknęła ślinę i opowiedziała przyjaciółce o ojcu.

- Och, Jen, tak strasznie, strasznie mi przykro - Sam była wstrząśnięta. Ona też myślała, że tacie Jenny zaczęło się poprawiać. - Jestem teraz w pracy. Spróbuję wcześniej wyjść i wpadnę do ciebie.

- Dzięki - powiedziała Jenna. - Do zobaczenia.

Odwróciła się w stronę Iony, która weszła za nią do kuchni i stała teraz w drzwiach, ściskając w dłoniach małą torbę, którą zabrała z domu przed wyruszeniem do Bray.

- Chyba powinnam pokazać ci twój pokój - stwierdziła Jenna. Ruszyła w kierunku schodów. - Mój pokój jest na samej górze po prawej, a sypialnia dla gości jest po lewej.

Pokój był pięknie urządony. Na podłodze leżał luksusowy mechaty dywan w blad różowym kolorze, do którego pasowały zasłony i biało-różowa narzuta na małżeńskim łóżku, przykrytym puchatą kołdrą. Iona znowu zaczęła się zastanawiać, jak Frank mógł pogodzić raczej wymyślny wystrój swojego domu w Bray z minimalistycznym wyglądem ich wspólnego domu w dzielnicy Liberties.

- W tym pokoju nie ma osobnej łazienki - powiedziała Jenna. - Ale jest wspólna na końcu korytarza.

Iona skinęła głową.

- Wszystko w porządku? Ponownie skinęła głową.

- Trochę dziwnie się czujesz, będąc tutaj, prawda?

- Byłam tu już - odpowiedziała Iona - ale nie na górze. Jenna przyjrzała się jej nieufnie.

- Kiedy?

Iona opowiedziała jej, jak odwozła Sally do domu tamtego wieczoru, gdy szukały Jenny.

- Nic mi o tym nie mówiła - w głosie Jenny pobrzmiwała pretensja.

- Chyba wtedy między wami nie układało się najlepiej - przypomniała jej Iona. - A ty byś się wkurzyła, gdybyś wróciła do domu i mnie w nim zastała.

- Chyba tak - Jenna usiadła na łóżku. - Czy to wszystko nie jest kompletnie zwariowane? Ty, mama, tata i ja, i... w ogóle to wszystko, co się dzieje?

- Trochę zwariowane - zgodziła się Iona. - Ale cóż, powinniśmy się chyba wspierać, prawda?

- Jesteś super - powiedziała ciepło Jenna. - Na początku cię nienawidziłam. Ale... rozumiem, dlaczego tata cię kochał. Wcześniej tego nie rozumiałam, ale teraz już tak.

- Dzięki.

- Chcesz jeszcze kawy? - Jenna wstała z łóżka. - Myślę, że zaraz zaczną przychodzić goście. Powinniśmy być na to przygotowane.

Wieść o śmierci Franka szybko rozeszła się po okolicy. Sąsiedzi pukali do drzwi i byli zaskoczeni, gdy otwierała im Jenna, dziękowała za zainteresowanie i informowała, że Sally jest w szpitalu. Potem zapraszała ich do środka i przedstawiała Ionie, która według jej słów była bliską przyjaciółką taty... i mamy, jak dodawała. Iona wiedziała, że wszystkich aż skreca z ciekawości, o co tak naprawdę chodzi, ale nikt nie chciał wprawiać Jenny w zakłopotanie. Wszyscy pytali o Sally i Iona odpowiadała, że czuje się już dobrze i że za dzień, dwa będzie w domu, a ona do tej pory zostanie z Jenną, a także, że pogrzeb odbędzie się w weekend. Kiedy ostatni goście wyszli, Iona była wykończona (i przekonana, że wszyscy będą na ich temat plotkować przynajmniej do czasu powrotu Sally do domu).

Po chwili przyszła Sam. Dziewczyny się uściślały. Sam powiedziała Jennie, jak bardzo jest jej przykro, po czym Jenna przedstawiła ją Ionie. Przyjaciółka nie ukrywała zainteresowania. Stwierdziła, że naprawdę się cieszy z tego spotkania. Iona odparła, że też jest jej miło. Potem Sam przypomniała Jennie o zabezpieczonym hasłem katalogu.

- W końcu się okazało, że wcale nie tak trudno było się do niego włamać - powiedziała. - Tylko chodzi o to, Jen, że...

- Co? - Jenna patrzyła na nią z niepokojem. - Nie mów mi, że to coś... że jest jeszcze ktoś. Błagam cię. Mama by tego nie przeżyła - zerknęła na Ione. - To znaczy, wiem, że teraz lubi Ione, ale jakaś kolejna kobieta...

- Nie, to nic z tych rzeczy - odpowiedziała szybko Sam. - Chyba lepiej będzie, jak ci to pokażę. - Włączyła laptopa i ustawiła go na stole przodem do nich. - Proszę.

Jenna i Sam patrzyły na ekran komputera. Plik zawierał zeskanowane dokumenty. Starą fotografię, którą ktoś podarł, a potem złożył z powrotem, akt urodzenia, świadectwo zgonu i jakieś listy. Jenna zmrużyła oczy, przyglądając się im. Powiększyła widok jednego z nich.

Kochany Dereku!

Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. To dla mnie zaszczyt, że chcesz mnie za żonę, ale wiesz, co myślę o małżeństwie. To przestarzała instytucja...

Christine

Jenna powiększyła kolejny list:

Drogi Franku!

Myślałam, że podczas naszego spotkania wyraziłam się aż nadto jasno, że nie życzę sobie utrzymywania kontaktu. Nie rozumiem, czemu narodziny twojej córki miałyby to zmienić. Zwracam przesłaną fotografię.

Z poważaniem

Christine

Jenna powiększyła ostatni list z datą świadcząca o tym, że napisano go na kilka dni przed wypadkiem Franka:

Szanowny panie Harper!

Piszę w imieniu mojej klientki pani Christine Harris. Choć w przeszłości informowała pana, że nie życzy sobie utrzymywać z panem kontaktów, poprosiła mnie, bym przekazał panu, że chciałaby spotkać się z panem w najbliższym czasie. Jeśli wyrazi pan zgodę na takie spotkanie, będę zobowiązany, jeśli w dogodnej dla pana chwili skontaktuje się pan ze mną.

Z poważaniem

James Carlisle

- O, kurczę - powiedziała Jenna. - To mama mojego taty - zmrużyła oczy. - Nic dziwnego, że za wszystko ją obwinia. Jak mogła odesłać moje zdjęcie? To okropne.

Iona ją przytuliła.

- A wszyscy mówią, że byłam ślicznym niemowlakiem! - Jennie drżała dolna warga.

- Cóż, ona chyba nie chciała cię znać, jak byłaś dzieckiem, ale wygląda na to, że zmieniła zdanie.

- Za późno - spojrzenie Jenny było surowe. - Teraz już za późno.

Iona pokiwała głową. Jakie to okropne, pomyślała, że już na to za późno. Jakie to okropne, nie rozmawiać z kimś, bez względu na powody, a potem jednak spróbować tylko po to, żeby się dowiedzieć, że trzeba było spróbować wcześniej. Zastanawiała się, jak Christine przyjmie wiadomość, że jej syn umarł, zanim miała okazję jeszcze raz z nim porozmawiać.

- Porozmawiamy z twoją mamą - powiedziała. - Może ona zdecyduje, co robimy z Christine.

Znowu rozległ się dzwonek do drzwi i Jenna westchnęła.

- Kolejny wścibski sąsiad - wymamrotała pod nosem, wstając, żeby otworzyć drzwi.

Iona szybko wyłączyła laptopa, gdy Jenna otwierała drzwi od salonu.

- To Gerry - powiedziała, oblewając się rumieńcem. - Dowiedział się o tacie i przyszedł złożyć kondolencje.

- Dzień dobry pani - Gerry patrzył na Ionę zakłopotany.

- Dzień dobry - odparła.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedział. Sam nieufnie przyglądała się Jennie i Gerry'emu.

- Chyba już pójdę - stwierdziła.

- Nie idź jeszcze - poprosiła Jenna. - Zaraz zrobię kawę. Sam, proszę, zostań.

- Na pewno ty i Gerry macie wiele spraw do omówienia - odparła Sam. - Lepiej pójdę.

- Teraz nic nie będziemy omawiać - powiedziała Jenna. - Może później.

- Tak naprawdę... - Gerry wyglądał na zakłopotanego - to chciałem powiedzieć Jen, że ją przepraszam.

Wiem, że jest porządną dziewczyną. Jestem pewien, że tamte dziewczyny ją wtedy sprowokowały. I, Jen, ja nigdy niczego z nikim innym nie robiłem, jak byłem z tobą.

- Och - Jenna zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Nie będę przeszkadzał, jak masz gości - dodał. - Musiałem tylko przyjść i cię przeprosić. Do zobaczenia na pogrzebie.

- Zostań na kawę - powiedziała. - A potem sobie pójdiesz.

We czwórkę usiedli w kuchni i wypili kawę. Za każdym razem, gdy Jenna się uśmiechała (co nagle zaczęła robić coraz częściej), Iona dostrzegała w niej uśmiech Franka, a gdy patrzyła na Gerry'ego czy Sam, widziała spojrzenie Franka. I czuła, że zaraz pęknie jej serce.

Rozdział 39

Lekarz powiedział Sally, że następnego dnia będzie mogła wyjść ze szpitala. Siedziała w holu i czekała na Ione, która obiecała, że po nią przyjedzie. Nagle spostrzegła wysoką kobietę, wchodzącą przez główne drzwi i niepewnie rozglądającą się wokół.

- Siobhán! - zawołała Sally, unosząc do góry dłoń, a policjantka odwróciła się w jej stronę.

- Cześć, Sally! - Siobhán usiadła obok niej na ławce. - Jak się czujesz? - Choć oczy Sally były bardzo podkrążone, policzki miała lekko zaróżowione i ogólnie wyglądała na mniej zestresowaną niż kiedykolwiek podczas ich poprzednich spotkań.

- Dobrze - odpowiedziała Sally.

- Bardzo mi przykro z powodu Franka - powiedziała Siobhán.

- Skąd wiesz? - zapytała Sally.

Siobhán wyglądała na zakłopotaną.

- Poinformowano mnie - odpowiedziała.

- Kto? Iona i Jenna?

- Nie - Siobhán pokręciła głową. - Szpital. Zadzwonili, żeby mnie powiadomić.

- Czemu to zrobili? - zapytała Sally.

- Bo poprosiłam ich, żeby zawiadomili mnie, jeśli stan Franka ulegnie jakiejś zmianie - odparła Siobhán.

- Och - Sally nagle przypomniała sobie, co mówiła jej Iona. - Chciałaś go przesłuchać?

Siobhán skinęła głową.

- No to raczej nici z twoich planów - w głosie Sally słychać było zgorzknienie.

- Przynajmniej tak uważa Iona - odpowiedziała sucho Siobhán. - Nie była zachwycona, gdy powiedziałam jej, że będę musiała przesłuchać Franka, kiedy mu się poprawi. Więc pewnie myśli sobie, że... że śmierć Franka jest mi nie na rękę.

- Wcale tak nie myśli - powiedziała Sally. - Ale chyba uważa... cóż, myślę, że według niej bardzo szybko przypomniałaś sobie o obowiązkach zawodowych, a zapomniałaś o naszej przyjaźni.

- Masz rację, że jesteś wobec mnie sceptyczna - odpowiedziała Siobhán. - Kiedy Iona poinformowała mnie o poprawie u Franka, od razu zaczęłam myśleć, co powinnam w związku z tym zrobić, a nie, czy to dla was dobrze czy źle. Nie powinnam była. Szczerze ci powiem, że nigdy nie chciałam aresztować Franka, ale muszę przestrzegać pewnych procedur. I to, że lubię ciebie i Ione, nie ma tu znaczenia. Nie w tym rzecz.

- Rozumiem - powiedziała Sally.

- Ale ci się to nie podoba. Więc i moja osoba ci się nie podoba.

- To nie tak, że...

- Prędzej czy później każdy ma policji coś za złe - stwierdziła Siobhán zrezygnowanym głosem. - Kontakty z nami nikomu nie wychodzą na dobre. I nieważne czego dotyczą. Ci, którym w życiu dobrze się wiedzie, w ogóle nas nie potrzebują. Jeśli jest inaczej... cóż, nigdy nie spełniamy pokładanych w nas oczekiwań. Jeśli

ktoś został ofiarą przestępstwa, a nam nie uda się złapać sprawcy, uważa wtedy policję za bandę bezużytecznych i niekompetentnych lachuder. Jeśli złapiemy go, ale on się wywinie w sądzie, to i tak obwinia się nas. A jeśli ktoś sam jest przestępcą, to z oczywistych względów też nas nienawidzi.

- Boże, Siobhán, to brzmi okropnie ponuro.

- Och, nie przejmuj się mną, przejdzie mi - powiedziała Siobhán. - Przecież nie zostałam policjantką po to, żeby mnie ludzie lubili.

- A czemu? - zapytała Sally z zainteresowaniem.

- Mam kilku braci - odparła Siobhán. - Dzięki temu mogłam trochę nimi porządzić.

Sally się roześmiała.

- Poważnie - stwierdziła Siobhán.

Przez chwilę milczały, a potem Sally zapytała, po co Siobhán przyszła do szpitala.

- Żeby się z tobą zobaczyć - odpowiedziała Siobhán. - Dzwoniłam wczoraj wieczorem i powiedzieli mi, że wychodzisz dzisiaj po południu. Cieszę się, że się nie minęłyśmy - uśmiechnęła się. - A w ogóle to wyglądasz całkiem nieźle... wiesz, mimo wszystko.

- U mnie wszystko w porządku - powiedziała Sally. - U maleństwa też. A jak już będzie po pogrzebie... cóż, chyba wrócę do swojego normalnego życia. Wiem, że będę musiała je odbudować, bez Franka, ale potrafię to zrobić. Miałam sporo czasu, żeby to sobie przemyśleć.

Siobhán pokiwała głową.

- A ty? - zapytała Sally. - Co u ciebie?

Siobhán ponownie się uśmiechnęła. Trochę niewłaściwe wydawało jej się zadowolenie z własnego życia, gdy Sally i Ionę spotykały kolejne nieszczęścia, ale w pracy bardzo ją chwalono za rozwiązanie sprawy kradzieży tożsamości i nawet wspomniano o awansie. Dostała też cynk o planowanym napadzie z bronią w rękę w północnej części miasta i dzięki uzyskanej informacji udało im się udaremnić ten napad i aresztować trzech przestępców. W sprawach zawodowych układało jej się naprawdę znakomicie.

Jej życie osobiste trochę się natomiast skomplikowało, choć były to raczej miłe komplikacje. Wczoraj wieczorem była z Carlem O'Connorem na randce. Takiej prawdziwej. Jak dziewczyna z chłopakiem. Spotkali się w centrum i poszli do miłej niedrogiej restauracji w dzielnicy Tempie Bar. Carl opowiadał rozmaite anegdoty o wywiadach i powstawaniu artykułów, a Siobhán śmiała się do łez. Potem odwiózł ją pod dom. Zastanawiała się, czy nie zaprosić go na kawę, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że w zlewie wciąż leży sterta naczyń po śniadaniu i że od wielu dni w ogóle nie sprzątała. Stwierdziła, że choć nie zależy jej na tym, żeby być idealną dziewczyną z idealnym mieszkaniem, to jednak musi bardziej zadbać o porządek, żeby móc zapraszać do domu atrakcyjnych mężczyzn. Oznaczało to, jak sobie uświadomiła, że uważa Carla O'Connora za atrakcyjnego mężczyznę. Cholera, pomyślała... policjantka i dziennikarz. Beznadziejne połączenie! Jeszcze gorsze niż policjantka i finansista. Zdecydowanie.

- Czy ten uśmieszek samozadowolenia na twojej twarzy oznacza, że zaczyna ci się układać? - zapytała rozbawiona Sally.

Siobhán oblała się rumieńcem. Nie zdawała sobie sprawy, że przeżywane przez nią emocje są aż tak widoczne.

- Kto to jest? - zapytała Sally. - Stary chłopak czy ten nowy?

Siobhán właśnie zamierzała zapytać Sally, kogo ma na myśli, mówiąc o jej nowym chłopaku, gdy obie dostrzegły, że do szpitala wchodzi Iona i Jenna.

- Mama! - Jenna podbiegła do Sally.

- Cześć, Sal - powiedziała Iona. Spojrzała na Siobhán - Witam.

- Iona, nie bądź dla Siobhán niemila - powiedziała łagodnie Sally. - Przyjechała tu dzisiaj, żeby się ze mną zobaczyć i powiedzieć, że przykro jej z powodu śmierci Franka.

- Przykro, bo nie będzie aresztowania - burknęła Iona.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda - powiedziała Sally. - Iona, Siobhán to dobra dziewczyna. Zawsze się starała nam pomóc.

- Posłuchaj, nieważne, co myślisz - powiedziała Siobhán. - W każdym razie teraz to już wszystko nieważne. Jestem pewna, że się cieszysz, że będziecie mnie odtąd miały z głowy. Pójdę już. Miło było cię spotkać, Sally. Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży. I tobie, Iona, też.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Sally, Iona i Jenna popatrzyły na siebie.

- Jest zdenerwowana? - zapytała Jenna.

- Chyba tak - Iona wyglądała na zakłopotaną. Zawołała: - Siobhán!

Policjantka odwróciła się, a Iona do niej podeszła.

- Przepraszam - powiedziała. - To przez te nerwy. Nie powinnam była na ciebie naskakiwać.

- Ja z kolei wykazałam się brakiem wrażliwości - odpowiedziała Siobhán. - Naprawdę jest mi przykro, że to się tak skończyło.

- Tak dużo dla nas zrobiłaś - powiedziała Iona.

- To mój obowiązek.

- Zostaniemy w kontakcie? Siobhán skinęła głową.

- Byłoby miło.

- Może pomogę ci znaleźć nowe mieszkanie? Tym razem Siobhán się uśmiechnęła.

- Nigdy nie wiadomo.

- Siobhán!

- Wszystko przed nami - powiedziała Siobhán. Spojrzała na zegarek. - Muszę już iść.

- Do zobaczenia - powiedziała Iona. Patrzyła, jak Siobhán wychodzi z budynku, a potem wróciła do Sally i Jenny.

- Jest okej - powiedziała. - Pogodziłyśmy się.

- Cieszę się - stwierdziła Sally. - Lubię ją. To porządna dziewczyna.

- Wiem - zgodziła się Iona.

- A tak nawiasem mówiąc, to mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia, prawda? - powiedziała Jenna.
- Opowiem ci w drodze do domu, mamo. Chodzi o to, że... zobaczysz, nie będziesz mogła uwierzyć.

- Tak? - Sally wstała i ruszyła za nimi w stronę parkingu.

Ponieważ Siobhán miała wolny dzień, ze szpitala pojechała do Dún Laoghaire. Była zadowolona, że spotkała się też z Ioną. Lubiła ją i nie chciała, żeby były między nimi jakiegokolwiek niedomówienia. Miała na-

dzieję, że Sally i Ionie wszystko się w życiu poukłada. A nawet była pewna, że tak się stanie. To silne i energiczne kobiety. Uśmiechnęła się w duchu. Takie jak ja.

Zaparkowała samochód i szła ścieżką w stronę bloku. Przestraszyła się, gdy nagle na ścieżce przed nią pojawił się jakiś mężczyzna.

- Cześć - powiedział.

- Carl! Wystraszyłeś mnie.

- Naprawdę? A ja myślałem, że się niczego nie boisz, bo jesteś pierwszorzędnym oficerem śledczym, który rozwała przestępcze kartele.

- Daj spokój! - szturchnęła go lekko. - Co ty tutaj robisz?

- Wpadłem, żeby powiedzieć ci „cześć” - odparł. Przyglądała mu się sceptycznie.

- No, tak nie do końca - wzruszył ramionami. - Byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę. Przecież wczoraj wieczorem powiedziałem, że się z tobą skontaktuję, prawda? No i mówiłaś, że dzisiaj masz wolne.

- Tak - odpowiedziała. - I mam w związku z tym pewne plany.

- Jakie? - zapytał Carl.

- Posprzątać w mieszkaniu - odpowiedziała szczerze.

Carl wybuchnął głośnym śmiechem.

- No nie, Farrell, a to dobre. Już sobie wyobrażam, jak w tym swoim mundurze zakładasz żółte gumowe rękawiczki i całe mieszkanie spryskujesz płynem Pur.

- O rety, chyba nie bardzo się pan zna na sprzątaniu, panie wszechwiedzący dziennikarzu - stwierdziła. - Pur jest do zmywania naczyń.

- Ale można nim też myć podłogi - powiedział. Popatrzyli na siebie przez chwilę, a potem ona zachichotała.

- Możliwe. Nie mam pojęcia.

- Rzecz w tym - powiedział - choć nie jestem pewien, czy twój doskonały zmysł śledczy pozwolił ci to już zauważyć, że mamy dziś precudny dzień. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spędziłby go na sprzątaniu, więc moim zdaniem powinniśmy pojechać kolejką do Bray i przespacerować się nad morzem, a potem może tam coś zjeść. A później... to się jeszcze zobaczy.

Ktoś mógłby nas zauważyć w Bray, pomyślała Siobhán. Ktoś z komisariatu mógłby zobaczyć ją z Carlem O'Connorem i odnieść zupełnie mylne wrażenie. Mógłby pomyśleć, że łączy ich jakaś osobista relacja. A to mogłoby ją skompromitować. W tym momencie musiała sama przed sobą przyznać, że rzeczywiście łączy ją z Carlem osobista relacja. I że chyba już się skompromitowała.

- Wiesz, jak na glinę, to nie najlepiej umiesz ukrywać swoje uczucia - stwierdził Carl łagodnym tonem.

- Co masz na myśli?

- Bray. To, że nas tam razem zobaczą. Że zaczną się zastanawiać...

- Och, odczep się! - powiedziała, leciutko się uśmiechając.

- Siobhán, nie będę nic z ciebie wyciągał. Przecież nie dopytywałem się o tę sprawę bigamii, prawda?

- Prawda - przyznała.

- Rozmawiałem z JoJo, ona zgodziła się zostawić ten temat. Nie zamierzam wyciągać z ciebie żadnych ciemnych policyjnych sekretów. Dostałem już jedną historię i to było bardzo ciekawe. Nie dlatego jednak chcę spędzać z tobą czas.

- A dlaczego? - zapytała.

Uśmiechnął się do niej.

- Oj, daj spokój! Przecież widziałem cię kiedyś w baskince. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś to zobaczę.

Tym razem szturchnęła go nieco mocniej.

- Podobasz mi się - powiedział. - Dobrze się z tobą bawię. Czy to coś złego?

- Chyba nie.

- Jezus, Farrell, nic dziwnego, że nie ułożyło ci się z poprzednim chłopakiem. Jesteś po prostu niemożliwa.

- Nieprawda - zaczęła się bronić.

- No fakt - znowu się uśmiechnął. - Tak naprawdę to straszny z ciebie mięczak.

- Wcale tak nie jest!

- Nie? - objął ją i pocałował. Siobhán pomyślała nagle, że rzeczywiście jest strasznym mięczakiem. I gdyby Carlowi nie przeszkadzało, że jej mieszkanie wygląda jak po wybuchu bomby, to z przyjemnością zapomniałaby, jaka dziś piękna pogoda i jak miło byłoby spędzić dzień z nim w Bray, i zaciągnęłyby go prosto do swojej sypialni. Bo po raz pierwszy od wielu tygodni miała ochotę się z kimś kochać.

Sally, Jenna i Iona siedziały przy kuchennym stole i patrzyły na otwarty katalog w laptopie.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Sally, gdy po raz kolejny przeczytała list od prawnika. - Pamiętam, jak Frank mówił mi, że zamierza się z nią spotkać, a potem, że kompletnie go olała. A później, jak ty się urodziłaś, Jen, rzeczywiście wysłał jej twoje zdjęcie. Pamiętam, że jak się wtedy z nim nie skontaktowała, to bardzo się zdenerwował. Nie ze względu na siebie, ale myślał, że przynajmniej ciebie będzie chciała znać.

- Najwyraźniej nie chciała - powiedziała Jenna. - Królowa śniegu. Nie wiem, po co on to wszystko przechowywał.

- Wiesz jaki jest... jaki był twój tata - poprawiła się Sally. - Wszystko chomikował. Nawet jeśli miałby jej już nigdy w życiu nie zobaczyć, to zachowałby te papiery.

- Ale po co je zeskanował i zapisał na komputerze? - zapytała Iona. - Przecież chyba miał oryginały?

- Och, Iona, on wszystko pakował do komputera. Uwielbiał to. To chyba miało być w stylu Jamesa Bonda. Miał na strychu sejf, w którym trzymał polisy ubezpieczeniowe i tym podobne. Oryginały tych dokumentów pewnie też tam są. Może trzymał je tam, bo nie chciał, żebym je zobaczyła i zaczęła się dopytywać o Christine. Ja jednak nigdy tego nie robiłam. Może trochę, na samym początku, ale on zawsze przyjmował wtedy postawę obronną, więc przestałam.

- Mnie też niewiele na ten temat mówił - powiedziała Iona. - Stwierdził, że nawet nie wie, czy ona jeszcze żyje. Szczerze powiedziawszy, to nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak się tym przejmował.

- Bo tak nie było - stwierdziła Sally. - To znaczy... chyba zawsze go ta sprawa bolała, ale już się z tym pogodził - westchnęła. - A teraz my musimy ją znaleźć i jej powiedzieć.

Iona zmarszczyła brwi.

- Myślisz, że będzie chciała przyjechać na pogrzeb?

- Mam nadzieję, że nie! - Sally wyglądała na zaskoczoną. - Chyba nie chciałabym z nią rozmawiać.

- Ale powinniśmy się z nią skontaktować - wtrąciła Jenna. - Dać jej możliwość wyboru.

- Zakładając, że byłaby w stanie dotrzeć tutaj już jutro - powiedziała Iona.

- Tak między nami - stwierdziła z rozdrażnieniem Sally - to Frank za życia sprawiał kłopoty i po śmierci też sprawia.

- Mamo! - krzyknęła wstrząśnięta Jenna. Sally przygryzła wargę.

- Tak naprawdę to tak nie myślę - powiedziała. - Bardzo mi go brakuje.

Jenna objęła matkę. Stały przez chwilę przytulone do siebie i zjednoczone w bólu. Iona dyskretnie odwróciła wzrok i milczała, patrząc przez okno na jabłonkę w ogrodzie.

Była zadowolona, gdy wróciła do swojego domu i mogła trochę pobyć sama. Gdy weszła, od razu rzuciła torbę na kanapę i pobiegła na górę. Otworzyła drzwi garderoby i popatrzyła na wiszące w równym rzędku garnitury Franka, na jego buty ustawione w pojemniku zawieszonym z tyłu drzwi. Tak trudno było uwierzyć, że on już nigdy nie wróci. Przez tyle nocy wyobrażała sobie, jak to będzie, gdy Frank wróci, a ona będzie się nim opiekowała, gdyby został niepełnosprawny, albo tylko pomagała mu radzić sobie ze skutkami kilkutygodniowej śpiączki, ale nigdy nie pomyślała, jak to będzie, jeśli on w ogóle nie wróci.

Otworzyła szufladę wysokiej komody, w której Frank trzymał koszule i podkoszulki. Wyjęła długi biały podkoszulek i założyła go na siebie. Chciała, żeby choć trochę pachniał Frankiem, ale czuła tylko zapach płynu do płukania tkanin.

Zamknęła oczy. Każdy powiedziałby jej, że powinna zacząć życie na nowo. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia będzie musiała tak zrobić, ale teraz chciała opłakiwać Franka i wszystko to, czego nie było im dane wspólnie przeżyć.

Sally zadzwoniła do prawnika Christine w Wielkiej Brytanii i poinformowała go o śmierci Franka. James Carlisle był zaskoczony i jednocześnie pełen współczucia. Gdy Frank się nie odezwał, Christine uznała, że nie chce jej już znać. Powiedziała, że częściowo się tego spodziewała i że doskonale rozumie syna. James nie był pewien, jak zareaguje na wieść o jego wypadku i śmierci. Stwierdził jednak, że to silna kobieta i da sobie radę.

Sally podała mu szczegóły dotyczące pogrzebu, ale zaznaczyła, że nie spodziewa się przyjazdu Christine. Do pogrzebu zostało niewiele czasu, a Christine tak naprawdę nic nie łączyło ani z synem, ani z jego rodziną. Poza tym są pewne dodatkowe komplikacje.

- Tak? - z tonu głosu Jamesa Carlisle'a wynikało, że takiemu prawnikowi jak on niestraszne są żadne komplikacje.

Kiedy jednak Sally opowiedziała mu o Ionie, zwyczajnie odjęło mu mowę.

- Myślisz, że przyjedzie? - zapytała Jenna, gdy Sally odkładała słuchawkę.

- Nie - odpowiedziała Sally. - Może wyśle nam kartkę z kondolencjami.

- Dobrze, że nie jesteś taka jak ona - Jenna zadrżała nagle, mimo że wieczór był bardzo ciepły. - Cieszę się, że mnie nie porzuciłaś. Nawet jeśli czasem sprawia, że masz na to ochotę.

Sally uśmiechnęła się do niej.

- Wcale nie - zapewniła córkę. - Czasami doprowadzasz mnie do szału, ale taki już los matek. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - powiedziała Jenna i chyba po raz setny tego dnia uściśniła swoją matkę.

Rozdział 40

Pogrzeb Franka przypadł na najgorętszy dzień roku. Bardziej pasuje na ślub niż na pogrzeb, pomyślała cierpko Iona, choć pewnie w piękne letnie dni odbywa się tyle samo pogrzebów, ile wtedy, gdy niebo jest szare i pochmurne, a z północy wieje zimny wiatr. Tego dnia jednak nie wiał nawet najłżejszy wietrzyk, a nieruchome powietrze było gorące już od samego rana.

Iona wstała, wzięła prysznic, a potem na malutkim tarasie z tyłu domu wypła kawę i zjadła rogalika. W poprzednich latach często jedli z Frankiem latem śniadania na tarasie. Wolałaby, żeby na wszystkich wspomnieniach o nim nie kładła się cieniem świadomość, że w ogóle nie powinien był wtedy być z nią, tylko z Sally i Jenną w Bray. Chciała odczuwać do niego nienawiść, ale nie potrafiła. Ich też nie umiałaby nienawidzić. Frank spowodował, że zbliżyły się do siebie, i uważała, że w sumie nawet dobrze się stało. Choć w ogóle nie powinno było do tego dojść.

Właśnie skończyła się ubierać, gdy pojawili się Lauren, Myles i jej matka. Flora i David przyjechali poprzedniego wieczoru i po prywatnej uroczystości, podczas której ciało Franka wniesiono do kościoła i w której uczestniczyli tylko Sally, Jenna, Iona, jej rodzice oraz Lauren i Myles, pojechali z Ioną do jej domu w dzielnicy Liberties. Pogrzeb nie będzie już miał tak prywatnego charakteru, spodziewali się, że przyjdzie sporo osób.

Iona otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do swoich najbliższych. Tata został u Lauren, żeby zająć się Charlottą i Gavinem, z czego dzieci bardzo się ucieszyły. Flora dodała, że Davidowi też to odpowiadało, bo nienawidził pogrzebów.

Lauren pocałowała Ionę w policzek, a potem uważnie się jej przyjrzała.

- Wyglądasz świetnie - powiedziała. - Zupełnie nie tego się spodziewałam.

Iona zdecydowała, że założy białą lnianą sukienkę bez rękawów, zapinaną z przodu na guziki, a do niej ciemnofioletowe sandaalki na wysokim obcasie ozdobione kolorowymi szklanymi paciorkami. Lekko nażelowała swoje ciemne włosy, a na usta nałożyła odrobinę błyszczky. Wyglądała młodo i ślicznie, bardziej jakby się wybierała na garden party niż na pogrzeb.

- On bardzo lubił lato - stwierdziła. - Nie chciałam się ubierać na czarno. Czułabym się jakoś niewłaściwie. Chciałam wyglądać ładnie. Dla niego. Czy myślicie, że to głupie i płytkie z mojej strony?

- Na pewno nie. Wyglądasz uroczo - Flora przytuliła ją do siebie.

- Gotowe? - zapytał Myles.

Iona skinęła głową.

- To jedziemy - powiedział, po czym wszyscy wsiedli do samochodu.

Sally i Jenna czekały na samochód. Sally się martwiła, że po nie przyjedzie auto z firmy pogrzebowej, a Iona musi jechać z Mylesem i Lauren, ale Iona powiedziała jej, żeby się nie wygłupiała, że to nie ma żadnego znaczenia i że cieszy się, że dotrze na miejsce z siostrą i szwagrem. Sally miała nadzieję, że Iona naprawdę tak myśli. Nie chciała, żeby Iona czuła się w jakikolwiek sposób odsunięta na bok. Chociaż to trochę dziwne, pomyślała, gdy wyjrzała przez okno i dostrzegła, jak wielki mercedes skręca w ich uliczkę. Wolałabym jej nie lubić. Wolałabym, żeby to było moje osobiste pożegnanie z Frankiem. Z drugiej strony dobrze wiedzieć, że jest jeszcze ktoś, kogo to też obchodzi. Bez Iony i jej rodziny niewielu byłoby żałobników bliskich Frankowi. Obejrzała się przez ramię na Jennę i skinęła głową.

Zaskoczył ją widok sporej grupy ludzi stojących przed kościołem. Zauważyła, że jest tam większość ich bliskich sąsiadów, a także nauczyciele ze szkoły i kilkoro znajomych Jenny, wśród których dostrzegła Gerry'ego Cullinana. Był tam również Pete Maguire, główny wykonawca Franka, który w jej i Iony imieniu zajmował się realizacją umowy z Belleza del Serene, a także jeszcze kilku mężczyzn, którzy, jak przypuszczała Sally, pewnie z nim pracowali. Rozpoznała też koleżankę Iony z pracy, która tak bardzo się zdziwiła na jej widok kilka tygodni temu. Była tam też Siobhán Farrell - w grafitowym garniturze i ze spiętymi do tyłu lokami wyglądała tak oficjalnie, jak nigdy wcześniej. Towarzyszył jej ten młody policjant, Cathal Rothery.

Gdy samochód parkował, pojedyncze grupki osób zaczynały już wchodzić do kościoła. Sally rozglądała się za Ioną, ale nigdzie nie mogła jej dostrzec. Spojrzała na zegarek. Msza miała się rozpocząć za dziesięć minut. Miała nadzieję, że Iona się nie spóźni i że w ogóle przyjdzie.

Sally zauważyła, że Iona czuje się ostatnio niezręcznie. Czym innym było przyjaźnienie się z sobą, gdy odwiedzały Franka w szpitalu, a czym innym jest obecna sytuacja. Teraz wszyscy mogli zobaczyć, jak się sprawy mają naprawdę. Kto jest żoną Franka. Kto jest jego rodziną.

- Spóźnia się - burknęła Jenna.

- Myślę, że... o, już są - Sally ulżyło, gdy zobaczyła, jak Myles parkuje samochód tuż obok nich.

- Przepraszam - powiedział, wysiadając. - To chyba przez pogodę. Wszyscy jechali w tę stronę. Pewnie na plażę.

Sally się uśmiechnęła. Z samochodu wysiadła Iona. Patrzyły na siebie przez chwilę, a potem Iona się roześmiała. Sally też ubrała się w białą letnią sukienkę, ozdobioną marynarskim kołnierzem. Na nogach miała dopasowane kolorystycznie do torebki biało-granatowe klapki.

- Czarne ubrania ciężowe nadają się tylko na wieczór - powiedziała Ionie. - A poza tym czerń nie wydała mi się odpowiednia.

- Mnie też nie - odparła Jenna. - Chociaż prawie wszystkie moje ubrania są czarne. - Była ubrana w srebrnoszary zakiet i luźne spodnie.

Flora pocałowała Sally w oba policzki.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała. - Współczuję ci z powodu Franka.

- Dziękuję - powiedziała Sally. - Ja też wam współczuję.

- Gotowe? - zapytał Myles.

Panie skinęły głowami.

- To chodźmy - zdecydował.

W kościele było spokojnie i chłodno. Zarówno Sally, jak i Iona w trakcie mszy błądziły myślami. Pod koniec Myles wstał i powiedział kilka słów podziękowania w imieniu rodziny. Poinformował zebranych, że pragną, by kremacja była prywatnym wydarzeniem rodzinnym i że wszyscy są bardzo wdzięczni za okazane im wsparcie. Iona czuła, jak w jej oczach zbierają się łzy, gdy Sally wzięła ją w tym momencie za rękę.

- Jesteśmy rodziną - szepnęła jej do ucha. - On zrobił z nas rodzinę, nawet jeśli my tego wcale nie chcieliśmy.

Do krematorium dojechali po półgodzinie. Usiedli w kaplicy pogrzebowej, gdzie odmówiono za Franka modlitwę, a potem wyszli na słońce. Wówczas ruszyła za nimi kobieta, która siedziała wcześniej z tyłu kaplicy. Żadne z nich nie widziało, jak tam wchodziła.

Sally i Iona odwróciły się w jej stronę i obie zamarły.

- Przyjechała - wykrztusiła z siebie Sally.

Iona mrugnęła oczami. A potem jeszcze raz.

Ta niezwykle piękna kobieta, choć była od niego o wiele starsza, stanowiła po prostu kopię Franka. Miała identyczne oczy i usta. Miała na sobie ciemny kostium i kapelusz o szerokim rondzie, który osłaniał jej oczy przed bezlitosnym słońcem. Sally i Iona wpatrywały się w nią bez słowa.

- Jestem Christine - powiedziała. - Matka Franka. Przyleciałam dziś rano, dlatego nie byłam w kościele. Skontaktowałam się z wami wcześniej, ale jak rozumiem, sytuacja rodzinna jest tu dość skomplikowana.

- Nie widzieliśmy wcześniej - powiedziała Sally.

- Nie wiedziałam, czy... czy będę mile widziana.

- Babcia? - zapytała Jenna z niedowierzaniem.

Christine zacisnęła wargi.

- Nikt się tak do mnie jeszcze nie zwracał.

- Z pewnością - stwierdziła ostrym tonem Sally. - Mamo też pewnie nikt do pani nie mówił.

- Posłuchajcie - powiedziała Christine. - Wiem, że jesteście zdenerwowane odejściem Franka. Rozumiem, co czujecie...

- Nie - przerwała jej Iona. - Wcale pani nie rozumie. Nic pani nie rozumie. Porzuciła go pani. Był małym chłopcem. Kochał panią, a pani go porzuciła. Doskonale rozumiem, że czuła się pani jak w pułapce i tak dalej, ale przynajmniej mogła pani raz, choć jeden jedyny raz wysłać do niego kartkę, pomyśleć o nim, do cholery, albo sprawić, by poczuł, że choć odrobinę, odrobinę interesuje się pani tym, co się z nim dzieje.

- Naprawdę myślę, że...

- Nie, nie myśli pani - Iona nie potrafiła się powstrzymać. - A przynajmniej nie o innych. Na pewno myślała pani o sobie i swojej karierze, i o tym, czego pani chce, ale ani razu nie przyszło pani do głowy, że Frank jak głupi ciągle panią kocha. Taką bezduszną sukę.

- Iona - Sally położyła jej rękę na ramieniu.

- Och, na litość boską! - krzyknęła Iona. - Spaprała mu życie i myśli, że będzie okej, jak przyjedzie i spapra mu jeszcze pogrzeb. Przecież ona odesłała zdjęcie Jenny! Jak mogła!

- Przepraszam - w głosie Christine słychać było napięcie. - Chyba nie jestem tu mile widziana.

- Ma pani prawo tu być i oplakiwać swojego syna - odparła spokojnie Sally. - Ale byłoby o wiele lepiej, gdyby raczyła pani przybyć, kiedy jeszcze żył.

- Napisałam do niego - odpowiedziała Christine. - Wysłałam mu list...

- Zrobił to pani adwokat - przerwała jej Sally.

- I wtedy i tak było już za późno - dodała Jenna.

- Po co to pani zrobiła? - zapytała Iona. - Po tylu latach...

Christine westchnęła.

- Jestem już na emeryturze - odparła. - Miałam wspaniałe życie, zrobiłam karierę w branży wydawniczej i nawet po przejściu na emeryturę zachowałam stanowisko w zarządzie. Pewnego dnia uświadomiłam sobie jednak, że poświęciłam pracy całe swoje życie i że nie mam nic poza tym. Nie twierdzę, że żałuję, bo to byłaby nieprawda, ale zaczęłam myśleć o Franku i o tobie, Sally. I o Jennie. I chyba poczułam, że łączy mnie z wami jakaś więź.

- Jest pani starą samolubną jędzą - stwierdziła Iona. - Robiła pani, co tylko chciała, a teraz stwierdziła, że jednak czegoś jej brakuje. Tylko że już nie może pani tego odzyskać, bo Frank nie żyje.

- Iona! - przysłuchująca się im Flora upomniała córkę.

- Iona ma rację - powiedziała Sally. - Christine chciała, żeby wszystko było tak, jak ona chce. A to nie zawsze jest możliwe, prawda?

- Nie oczekuję od was aprobaty - powiedziała Christine. - Nie spodziewałam się nawet, że Frank się odezwie. Ja tylko po prostu nagle poczułam, że chcę go poznać - z trudem przełknęła ślinę. - Ale to prawda, było już za późno.

Iona spodziewała się, że u Sally w domu, dokąd wszyscy udali się po kremacji, będzie się czuła nie na miejscu. Do tradycji należało, że żałobnicy zbierają się po pogrzebie razem, żeby coś zjeść i wypić, ale tym razem sytuacja była wyjątkowa, więc od razu zasugerowała, że może chcą z Jenną zostać same. Sally jednak się upierała, że Iona jest członkiem rodziny, więc zgodziła się przyjechać. A teraz przybył jeszcze ktoś, kto należał do rodziny Franka, a nawet był jego najbliższym krewnym. Sally (która zawsze potrafiła zachować się tak cholerznie grzecznie i godnie, pomyślała Iona) zapytała Christine, czy wpadnie do nich na filiżankę herbaty, ta jednak nie przyjęła zaproszenia. Nikogo to nie zdziwiło i wszyscy odetchnęli z ulgą. Iona nie była pewna, czy wściekała się na Christine, bo ta porzuciła Franka, czy też dlatego, że miała czelność jednak przyjechać na jego pogrzeb.

Gdy wracali do Bray, Iona żałowała, że nie jada prosto do domu. Chciała się położyć i nie wstawać przez następne kilka tygodni.

Była zmęczona. Poczwała to nagle bardzo wyraźnie, kiedy stali na zewnątrz kaplicy pogrzebowej i rozmawiali z Christine. Napięcie, które gromadziło się w niej już od kilku miesięcy, przytłoczyło ją tak, że aż się zachwiała. Nie przewróciła się tylko dlatego, że Flora dyskretnie ujęła ją za ramię. Zerknęła na matkę, czując ogromną wdzięczność zarówno dla niej, jak i Lauren oraz Mylesa, a także radość, że choćby nie wiem co, zawsze może liczyć na wsparcie swojej rodziny.

- Głupie babsko - powiedziała Lauren, gdy wyjeżdżali na główną ulicę.

- Kto? - zapytała Flora.

- Christine.

- Biedna kobieta - powiedziała Flora. - To bardzo smutne, że porzuciła Franka.

- Chyba ci jej nie żal? - Ionie aż zabrakło tchu.

- Troszeczkę - odpowiedziała Flora. - Miałam z was taką radość, moje dzieci. A ona to wszystko prze-gapiła.

- Czerpała radość ze swojego pisma - burknęła Iona.

- A ty doskonale wiesz, że to bardzo, bardzo kiepska namiastka - stwierdziła Flora, obejmując córkę ramieniem i przytulając ją mocno do siebie.

Siobhán siedziała przy swoim biurku. Wrócili z Cathalem po mszy prosto na komisariat i teraz przeglądała swoje notatki, które zrobiła podczas przesłuchania kolejnej osoby związanej z gangiem zajmującym się kradzieżą tożsamości. Po aresztowaniu, jakiego dokonali w jej bloku, okazało się, że w aferę jest zamieszanych jeszcze wiele osób, a cała sprawa wygląda na o wiele poważniejszą niż dotąd przypuszczali. Biorąc dodatkowo pod uwagę udaremnienie napadu z bronią w rękę, miała coraz większe szanse na awans. Nie oczekiwała, że stanie się to natychmiast, ale cieszyła się, że może pochwalić się kolejnymi osiągnięciami. No i oczywiście mogła już zamknąć sprawę Harperów, nawet jeśli było to możliwe tylko ze względu na zgon sprawcy. Wiedziała, że ani Iona, ani Sally, nie podzielają jej uczuć, ale w skrytości ducha cieszyła się, że Frank nie przeżył. Zdawała sobie sprawę z tego, że żadna z nich nie byłaby w stanie znieść całego zamieszania związanego z przesłuchaniem Franka i ewentualnym jego aresztowaniem. Obie za bardzo go kochały.

Dziwna rzecz ta miłość, pomyślała, zamykając leżącą przed sobą teczkę z dokumentami. Robi ci wodę z mózgu i uniemożliwia racjonalne myślenie. Ale może właśnie dzięki temu wiadomo, że naprawdę się kogoś kocha. Wtedy dana osoba staje się dla ciebie ważna w sposób, jakiego nigdy byś się nie spodziewał.

Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek coś takiego czuła. Myślała, że było tak w przypadku Eddiego. Była zdruzgotana, gdy się dowiedziała o jego zdradzie. Teraz jednak nie cierpiała już z tego powodu. W ogóle w ciągu ostatnich kilku tygodni bardzo rzadko o nim myślała. Wydawało jej się nawet, że może gdzieś wyjechał, bo nie spotkała go, gdy była u Carla. Nie miała nawet ochoty go spotkać. Zdumiało ją, jak niewiele ją teraz obchodzi. Chyba wiązało się to z tym cudownym, uderzającym do głowy jak bąbelki szampana uczuciem, jakie ogarniało ją za każdym razem, gdy pomyślała o Carlu O'Connorze. Nigdy nie przypuszczała, że mogłaby go pokochać.

Wcale go nie kocham, powiedziała stanowczo sama do siebie, odkładając teczkę z dokumentami, ale cieszę się, że dzisiaj wieczorem znowu się spotkamy.

Siedzieli w ogrodzie przy domu Sally. To był bardzo ładny ogród, otoczony wysokimi krzewami i kwiatami, pełen energicznych pszczoł, które ciężko pracowały, zbierając pyłek w gorących promieniach słońca.

- Może jeszcze herbaty? - zapytała Jenna, która wzięła na siebie zadanie roznoszenia kanapek zamówionych poprzedniego wieczoru.

- Nie, dziękuję, kochanie - powiedziała Sally. - Świetnie się spisałaś. Jak chcesz, to możesz już iść.

- Na pewno? - zapytała Jenna. - Właśnie myślałam, żeby pójść na chwilę do Sam.

- Na pewno - zapewniła ją Sally. - A co z tym twoim chłopakiem?

Jenna się zaczerwieniła.

- Może z nim też się dzisiaj spotkam.

- Opowiesz mi potem - powiedziała Sally.

- Okej - Jenna wstała i pocałowała matkę w policzek. - Do zobaczenia! - Ione też pocałowała w policzek. - Do widzenia, Iona. Dzięki za wszystko.

- Nie ma za co - Iona odwzajemniła pocałunek. Sally wstała i weszła do domu, po czym wróciła z butelką szampana.

- Od wieków chłodzi się w lodówce - wyjaśniła. - Frank przyniósł ją kiedyś, żeby oblać jakąś umowę, i jakoś nigdy nie mieliśmy okazji go wypić. Ja nie mogę się napić, ale... chciałabym wznieść za niego toast.

Wszyscy pokiwali głowami i po chwili unieśli kieliszki.

- Za Franka - powiedziała Sally, unosząc kieliszek z gazowaną wodą mineralną. - Był większym popa-prańcem niż myślałam, ale na pewno nie był złym człowiekiem.

- Za Sally i Ione - powiedziała Flora. - Dwie silne kobiety.

- Och, Flora... chyba się mylisz - powiedziała Sally.

- Wcale nie - uśmiechnęła się do niej Iona. - I zawsze takie będziemy.

- Mogę zadać pytanie? - Myles patrzył na nie wyczekująco, gdy opróżniały kieliszki.

- O co chodzi?

- Co zamierzacie zrobić z DynaLite?

Sally i Iona wymienili spojrzenia.

- Jeszcze nie wiem - stwierdziła Sally.

- Bo mnie się wydaje - powiedział Myles - że to naprawdę dobra firma, która ma ogromny potencjał.

- Owszem, ale co my możemy z tym zrobić? - zapytała Sally. - Przecież w ogóle nie znamy się na instalacjach oświetleniowych.

- To prawda - powiedział powoli Myles - ale obie świetnie sobie poradziłyście z realizacją umowy z Belleza. Pete pytał mnie, czy firma zostanie sprzedana albo zlikwidowana. Jego zdaniem powinna działać dalej, a ty i Iona powinnyście ją prowadzić - Myles się uśmiechnął. - Obie zrobiłyście na nim duże wrażenie.

- Żartujesz! - Sally się roześmiała. - Chyba trudno uznać mnie za ideał biznesmenki, co?

- Jesteś świetną biznesmenką - stwierdziła Iona.

- Trochę... trochę nad tym główkowałem - ciągnął dalej Myles. - Będziecie potrzebować menedżera do spraw sprzedaży, który zna się na branży. Rozmawiałem na ten temat z Pete'em. Zna kilka odpowiednich osób. Poza tym jeszcze kogoś do prowadzenia biura.

- Frank robił to wszystko sam - zaprotestowała Iona.

- Hm... tak. Ale było mu raczej ciężko - odparł Myles. - Nie w sensie finansowym - dodał pośpiesznie, dostrzegając wyraz troski na ich twarzach. - Było mu ciężko temu wszystkiemu poddać.

- Tak, no cóż, miał też parę innych spraw na głowie - powiedziała ze smutkiem Iona.

- Myślę, że mógłbym też załatwić w banku kredyt - powiedział Myles.

- To zatrzymamy firmę i jeszcze kogoś do niej zatrudnimy? - Sally wyglądała na zaniepokojoną. - Myles, ja jestem nauczycielką. Nie mam żadnego doświadczenia.

- Ale Iona ma - odpowiedział. - Kiedyś już pracowałeś na własne konto, Io. I znasz się na prowadzeniu biura.

- Myślisz, że powinnam się w to zaangażować na cały etat? - spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Czemu nie?

Iona i Sally popatrzyły na siebie.

- Daj nam parę dni do namysłu - poprosiła Iona.

- Jasne - odparł Myles. - Nie ma pośpiechu. Ale Pete mówił mi, że otwierają nowy hotel w Drogheda i że ogłoszą tam przetarg na instalację oświetleniową.

- Pogadamy o tym jutro - powiedziała Iona.

- Nie - stwierdziła Sally. - Iona, jeśli uważasz, że to dobry pomysł i chcesz się w to zaangażować, to myślę, że powinniśmy tak zrobić. Ja już jestem członkiem zarządu. Ciebie też nim zrobimy.

- Och, Sally, ale...

- Jak nie będziesz w zarządzie, to cię nie zatrudnię.

Popatrzyły na siebie, a potem Iona się roześmiała.

- Okej - stwierdziła. - Do diabła, czemu nie?

TTLR

Rozdział 41

Gdy zadzwonił telefon, Iona siedziała przy swoim biurku w biurze DynaLite. Lubiła ten aparat, był taki smukły, zgrabny i bardzo elegancki. Całe biuro też jej się podobało, bo choć składało się tylko z jednego pomieszczenia, to miało widok na morze, a dzięki temu, że okna były z dwóch stron, zawsze zalewało je ciepłe słoneczne światło. Zaczęła w nim pracę jakiś miesiąc po pogrzebie Franka, gdy bank przyznał na rozwój firmy nawet więcej pieniędzy niż się spodziewali. Dzięki temu mogły z Sally wybrać odpowiednie biuro i zatrudnić specjalistę od instalacji oświetleniowych, który zdążył już poznać wszystkich dotychczasowych klientów i rozglądał się za nowymi. Prowadził również rozmowy z hotelem w Drogheda w sprawie wykonania instalacji oświetleniowej i spodziewał się, że zakończą się one pomyślnie. A ponieważ współpraca z ośrodkiem spa była bardzo udana, a budynek ośrodka dostał nawet jakąś nagrodę, mieli świetne referencje od Anthony'ego Brady'ego i dostawali coraz więcej zamówień. Frank byłby zadowolony, pomyślała Iona. Zawsze był dumny ze swojej firmy i miła była świadomość, że jednak nie trafia w obce ręce.

Ponieważ obie z Sally zaangażowały się w sprawy DynaLite, nadal utrzymywały z sobą kontakt. Iona już nawet prawie nie pamiętała czasów, gdy nie znała Sally i Jenny. Były teraz częścią jej życia, a ona była częścią ich życia. Efekt był taki, że sama stała się bardziej tolerancyjna, a Sally, jakby to określić... odważniejsza, pomyślała Iona. Sally, która za życia Franka w najmniejszym stopniu nie interesowała się jego firmą, tworzyła teraz dla niej coraz to ambitniejsze plany marketingowe. Poza tym coraz lepiej znała się na instalacjach oświetleniowych. Dziecko miało się wkrótce urodzić, więc wzięła już w szkole urlop macierzyński, dzięki czemu miała mnóstwo czasu na uzupełnianie swojej wiedzy na temat lampek LED, lamp halogenowych i wszelkich innych rozwiązań oświetleniowych.

Iona sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- DynaLite - powiedziała. - Czym mogę służyć?

- Cześć, Iona - Jenie brakowało tchu. - Chodzi o mamę. Jest w szpitalu. Będzie rodzić.

Iona poczuła, jak przewraca się jej w żołądku. Cięża Sally wciąż była najtrudniejszym problemem spośród wszystkich, z jakimi musiała sobie poradzić w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zupełnie nie wiedziała, co poczuje, gdy w ramionach Sally zobaczy dziecko Franka. Z trudem przełknęła ślinę.

- Ale wszystko w porządku? - zapytała.

- W jak najlepszym - odpowiedziała Jenna. - Jestem tu z nią. Ale wiem, że chciałaby, żebyś ty też przyjechała. A ja... - Jenna zawahała się - a ja też bym chciała, żebyś tu była, Iona. Trochę dziwnie się czuję znowu w tym szpitalu, to znaczy wszystko jest w porządku, ale...

- Zaraz tam będę - zapewniła Iona.

Odłożyła słuchawkę i włączyła automatyczną sekretarkę. Chwyciła torebkę i pikowaną kurtkę ze stojaka przy drzwiach, wyszła, zamknęła biuro i szybko ruszyła do samochodu.

Bardzo dziwnie się czuła, gdy parkowała na szpitalnym parkingu, a potem wchodziła przez główne drzwi, wiedząc, że tym razem nie przyszła z wizytą do Franka. Wspomnienia z tamtego okresu towarzyszyły jej

nawet wtedy, gdy skręciła w stronę oddziału położniczego, a nie na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, gdzie kiedyś leżał Frank.

- Gdzie znajdzie panią Harper? - zapytała pielęgniarkę.

- Sally i Jennę.

- Ach, tak - pielęgniarka się uśmiechnęła. - Właśnie wróciła z sali porodowej.

- Już? - Iona popatrzyła na nią zaskoczona.

- Maleństwu bardzo się śpieszyło - odpowiedziała pielęgniarka. - Sala numer 14. Może pani tam pójść.

Iona szybkim krokiem ruszyła korytarzem. Drzwi do sali były zamknięte. Wzięła głęboki oddech, zapukała i powoli je otworzyła.

Sally leżała na łóżku, trzymając w ramionach białe zawiniątko. Jenna siedziała obok. Obie spojrzały, kto wchodzi.

- Cześć Iona! - tym razem głos Jenny brzmiał radośnie.

- Chodź, przyłącz się do rodziny!

Iona powoli podeszła do łóżka.

- Wszystko w porządku? - zwróciła się do Sally.

- No cóż, jestem oczywiście wykończona - odparła Sally. - Ale warto było. Potrzyмай ją.

Iona z trudem przełknęła ślinę, szukając twarzy maleństwa wśród fałdek materiału. Buzia noworodka była czerwona i pomarszczona, a czubek główki zdobiła kępka kruczoczarnych włosów. Miała zamknięte oczka i mocno zaciśnięte piąstki.

- O, Boże - Iona poczuła, jak w oczach zbierają się jej łzy. - Jest przepiękna.

- No chodź - powiedziała Sally. - Weź ją.

- Jesteś pewna? - zapytała Iona głosem wyrażającym wątpliwość. - Nigdy nie widziałam tak malutkiego dziecka. Dzieci Lauren miały już dobę, gdy je zobaczyłam, i wyglądały prawie normalnie. Ona jest taka... taka malutka.

- Dasz sobie radę - powiedziała Sally uspokajająco. Wyciągnęła zawiniątko w kierunku Iony, a ta wzięła je w ramiona i przyglądała się noworodkowi oczami pełnymi łez.

- Moim zdaniem ona nie jest do nikogo podobna - stwierdziła Jenna. - Ale mama twierdzi, że nos ma po tacie.

Iona zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy i pociągnęła nosem.

- Na razie trudno powiedzieć - stwierdziła. - Ale to możliwe.

- A włosy ma po tobie - dodała Jenna. - Takie czarne i sterczące.

- Tak, ale... - Iona oderwała wzrok od zawiniątko i dostrzegła, że Jenna i Sally się śmieją. - Cóż, może miałam na nią jakiś wpływ, jak była jeszcze w twoim brzuchu - powiedziała. - O rety, jest malutka, co?

- Urodziła się trochę za wcześnie - powiedziała Sally.

- Ale ważyła trzy i pół kilograma, więc wcale niemało.

- Trzy i pół kilograma - zachichotała Iona. - Pamiętam, jak kiedyś strasznie chciałam schudnąć trzy i pół kilograma, żeby się zmieścić w wieczorową sukienkę.

- Ja będę musiała przejść na naprawdę ostrą dietę - powiedziała Sally. - Żeby odzyskać choć resztki dawnej figury.

Dziewczynka otworzyła swoje niemal czarne oczy i popatrzyła na Ionę. Iona wiedziała, że nie patrzy teraz w oczy Frankowi, że to niemożliwe, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że znowu go widzi. A potem malutka znowu zacisnęła powieki i z powrotem stała się sobą.

- Iona, może usiądziesz? - Jenna wstała z krzesła. - Idę zadzwonić do Sam i przekazać jej dobre wieści. Prosiła, żeby dać jej znać, jak tylko dziecko się urodzi.

- Okej, dzięki.

Iona usadowiła się na krześle. Przytuliła dziecko. Pewnego dnia, pomyślała, pewnego dnia spotkam kogoś i będziemy mieli dziecko. A nawet jeśli nie, to zawsze będę miała ją. I zawsze będę ją kochać.

Przygryzła wargę. Nie powinna jej kochać, to oczywiste. To było dziecko Franka i Sally. Nie jej. Ale i tak nie potrafiła jej nie kochać.

Sally obserwowała Ionę, gdy ta wpatrywała się w noworodka. Wiedziała, co Iona myśli. Ostatnio często się to zdarzało. Uświadomiła sobie, że obie nawzajem odgadują swoje myśli. Iona popatrzyła na nią i się uśmiechnęła.

- Jest naprawdę śliczna - powiedziała. - Oczywiście jestem trochę zazdrosna, ale to minie. Bardzo się cieszę twoim szczęściem.

- Na początku wcale jej nie chciałam - powiedziała Sally. - Przerazała mnie myśl o ponownym zostaniu matką. Ale dam sobie radę.

- Pewnie, że tak - stwierdziła Iona. - Przecież poradziłaś sobie z tyloma problemami.

- Tylko dlatego, że mogłam liczyć na twoją pomoc - powiedziała Sally.

- Tylko że ja byłam właśnie jednym z tych problemów!

- To prawda. Ale wiesz co, Iona? Przez cały ten czas, gdy Frank był w śpiączce, i ty tam byłaś... to nawet jak się nie cierpiałymy i w ogóle... to jednak to było jakieś wsparcie. A ja go bardzo potrzebowałam. Potrzebowałam ciebie.

- Przez te hormony zrobiłaś się strasznie sentymentalna - powiedziała Iona.

- Pewnie tak - Sally się uśmiechnęła - ale nie będę sobie teraz żałować. Wiesz jaka Jenna jest teraz miła i uczynna, nie uwierzyłybyś! Mam nadzieję, że nadal taka będzie, jak wrócimy z małą do domu i ona zacznie się wydzierać w środku nocy.

- Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, po prostu zadzwoń - powiedziała Iona. - Wiesz, jakbyś chciała wyjść na parę godzin czy coś. Bardzo chętnie pomogę.

- Możesz być pewna, że skorzystam - zdecydowanie stwierdziła Sally. - W końcu będziesz jej matką chrzestną, a przynajmniej taką mam nadzieję.

- Och, Sally... naprawdę?

- Nie chcę nikogo innego - powiedziała Sally. - I nikogo lepszego bym nie znalazła.

- Dziękuję - powiedziała Iona. - Cieszę się, że tak myślisz.

- Zdecydowanie. A twoim pierwszym obowiązkiem jako chrzestnej, będzie pomoc w wybraniu imienia. Jenna proponuje same dziwolągi z hip-hopowych piosenek. Wolalabym coś bardziej tradycyjnego.

Iona się roześmiała.

- W ogóle się nad tym jeszcze nie zastanawiałam - odparła. - Ale spróbuję coś wymyślić.

Później Iona podrzuciła Jennę do domu. Miała u niej spać Sam, a Jenna przygotowała nawet wcześniej zapas popcornu i lodów, bo planowały obejrzeć jakiś film.

- A jak tam Gerry? - zapytała Iona.

- Już się nie spotykamy - odpowiedziała Jenna. - Wiesz, Iona, bardzo go lubiłam i był dla mnie bardzo miły po śmierci taty. Ale... dla mnie Gerry to już przeszłość.

- Ach tak? A jest ktoś inny?

- Nie. To znaczy na razie nie. Ja... na razie nikogo nie potrzebuję. Wtedy potrzebowałam. Dzięki Gerry'emu mogłam zapomnieć o tym, co się działo z tatą i w ogóle o wszystkim, a teraz o niczym nie muszę zapominać...

- Wszystko jasne - powiedziała Iona. - Ale on mi się podobał.

Jenna się uśmiechnęła.

- Mnie też. - Popatrzyła na Ionę z błyskiem niepokoju w oczach. - Ale nie powiedziałaś mamie, prawda? O tym, że z nim spałam?

- Oczywiście, że nie - Iona potrząsnęła głową. - Ta sprawa zostanie między nami.

- Dzięki - powiedziała Jenna. - Ona i tak będzie musiała przyzwycząić się do tego, że sypiam z facetami. Albo tylko z jednym. Jeszcze nie wiadomo. Ale chyba teraz nie musi wiedzieć o Gerry'ym.

- Jak już mówiłam, ode mnie się o tym nie dowie.

- Jesteś super - Jenna uściskała Ionę.

- Ty też.

- To nie będziesz tej małej kochać bardziej ode mnie?

- Posłuchaj, ona jest najcudowniejszą istotką na świecie

- Iona się uśmiechnęła. - Ale nie będę jej kochać bardziej od ciebie. Tylko inaczej.

- O to właśnie chodzi, prawda? - powiedziała Jenna.

- Z tobą i tatą, i mamą, i tatą. On kochał was obie, tylko każdą inaczej, tak?

- Hm... - Iona się skrzywiła. - Nikomu nie polecałabym takiego rozwiązania.

- Tak, tak, oczywiście - powiedziała Jenna. - Ale... on nie był kompletnym dupkiem, prawda?

- Nie - stwierdziła stanowczo Iona. - Nie był kompletnym dupkiem.

Nie planowała powrotu do biura, w końcu wiadomości na automatycznej sekretarce i pocztę elektroniczną mogła sprawdzić z domu, a jednak postanowiła tam zajrzeć. Odebrała sześć wiadomości, wszystkie były potwierdzeniami zleceń, więc wydała okrzyk radości, a potem przeczytała jeszcze e-maila od Anthony'ego, który informował, że pewne czasopismo chce zrobić duży artykuł o jego ośrodku spa i o tym, jak został zaprojektowany, a dziennikarze szczególnie dopytywali się o rozwiązania oświetleniowe.

Wychodząc z biura, czuła się jak w siódmym niebie.

Była tak podekscytowana wszystkim, co się wydarzyło tego dnia, że nie mogła tak po prostu pójść do domu, więc wybrała się na spacer brzegiem morza. Zrobiło się zimno, a wiatr smagał wodę zatoki. Opatuliła się mocno kurtką i wcisnęła ręce głęboko do kieszeni.

- Iona!

Głos dobiegał z tyłu, więc się odwróciła. W jej stronę biegła ubrana w dres Siobhán Farrell. Iona się zatrzymała.

- Dostałam twojego SMS-a - powiedziała Siobhán. - Tak bardzo się cieszę. Widziałas się z Sally? Jak się czuje? A malutka?

Iona kiwnęła głową.

- Czują się świetnie - powiedziała.

- Może wpadnę do nich jutro - powiedziała Siobhán.

- Sally na pewno się ucieszy - odparła Iona.

- A ty? - zapytała Siobhán. - Co u ciebie?

- Wszystko w porządku - Iona uśmiechnęła się do niej. - A wiesz, dzisiaj to nawet lepiej niż w porządku. Jakby spadł mi jakiś kamień z serca. Bardzo się bałam, że znienawidzę Sally, gdy urodzi to dziecko, i że je też będę nienawidzić, ale tak nie jest.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Siobhán. - A jak tam firma?

- Doskonale - Iona opowiedziała jej o planowanym artykule.

Policjantka się uśmiechnęła.

- Bardzo się cieszę, że odnosisz sukcesy. Ale szkoda, że nie pracujesz już w nieruchomościach, bo zastanawiam się nad kupnem mieszkania.

- Naprawdę?

Siobhán skinęła głową.

- Razem z moim chłopakiem.

- Żartujesz!

- Jeszcze się ostatecznie nie zdecydowaliśmy - powiedziała - a mnie nie śpieszy się do kolejnych zaręczyn i tak dalej, ale...

- Strasznie się cieszę - odparła Iona. - Widziałam go tylko raz, wtedy jak chowałeś się pod stołem, ale wydał mi się naprawdę bardzo miły. W dodatku tak bardzo go nie znosiłaś! Można się było domyślić, że to się tak skończy.

- Odczep się - Siobhán szturchnęła ją po przyjacielsku.

- A gdzie jest teraz? - zapytała Iona.

- Robi jakiś wywiad - odparła. - W sumie mamy podobną pracę. Ja przeprowadzam przesłuchania, a on wywiady!

- Całe szczęście, że w końcu żadne z was nie rozmawiało z Frankiem - stwierdziła Iona.

- A co u ciebie? Pojawił się ktoś? - zapytała Siobhán.

- Daj spokój - powiedziała Iona. - Nie mam na to czasu. Poza tym jeszcze nie doszłam do siebie po tym wszystkim.

- Pamiętaj o Enrique - w oczach Siobhán pojawiły się iskiereki.

- Och, daj spokój. Ledwie go znam - powiedziała Iona.

- I nie widziałam go od tamtego dnia, gdy wyszłam z jego mieszkania.

- A on wciąż o ciebie pyta - zapewniła ją Siobhán.
- Nieczęsto go ostatnio widuję, ale za każdym razem o ciebie pyta.
- Naprawdę? - Iona poczuła, że się rumieni.
- Naprawdę. Powinnaś się z nim skontaktować.
- Może kiedyś.
- Daj znać. Spróbuję was wyswatać! - zaproponowała Siobhán.
- Dlaczego kobiety, które mają nowego faceta, zawsze próbują swatać wszystkich wokół? - zapytała Iona. - Mnie niczego nie brakuje.
- O, tak, na pewno! - Siobhán zachichotała. - Ale muszę już lecieć. Mam nadzieję, że się niedługo zobaczymy!
- Do widzenia! - Iona pomachała na pożegnanie i poszła w stronę swojego samochodu.

Rozdział 42

Wieżę kościoła pokrywała gruba warstwa śniegu, a jedynym kolorem, jaki można było dostrzec wśród wszechogarniającej bieli, była zieleń igieł jodełek rosnących w przyświątynnym ogrodzie. Kiedy szły w stronę kościoła, ich oddechy tworzyły obłoczki pary, a pojedyncze płatki śniegu padały na ich płaszcze, by w mgnieniu oka stopnieć.

- Bardzo tu malowniczo - powiedziała Jenna, szczękając zębami. - Ale nie lepiej było zrobić ten chrzest w jakiś cieplejszy dzień?

- Dzisiaj są urodziny twojego ojca - przypomniała jej Sally. - I dlatego chrzest jest właśnie dzisiaj. - Zerknęła na dziecko, szczerze opatulone ciepłymi kocykami. - Szczęściara, w ogóle nie czuje, że jest mróz.

- Ale ja czuję i zaraz zamrznę.

- Och, przestań jęczeć - powiedziała Iona pogodnym tonem. - Musisz przyznać, że to był świetny pomysł.

- Wcale tak nie uważam! - Jenna uśmiechnęła się szeptycznie. - W głębi duszy jestem dziewczyną z miasta, a to naprawdę jest koniec świata.

- Tutaj urodził się twój tata - powiedziała Sally.

- Tak, to prawda. I zawsze mówił, że pochodzi ze strasznego zadupia.

- Jenno Harper! Na miłość boską, jesteś na terenie kościoła. Uważaj na to, co mówisz.

- Myślisz, że Pan Bóg ześle na mnie piorun? - zachichotała dziewczyna.

- Nie, ale jak nie będziesz uważać, to możesz oberwać ode mnie - ostrzegła ją matka.

- A ja mogę cię aresztować - Siobhán Farrell uśmiechnęła się do niej. Jenna odwzajemniła uśmiech. Siobhán było bardzo miło, gdy Sally i Iona upierały się, by pojechała z nimi na chrzest. Kilka tygodni po powrocie Sally ze szpitala, gdy była już gotowa, żeby zostawić dziecko na kilka godzin, wybrały się razem na małe świętowanie. Siobhán wiedziała, że Sally i Iona już zawsze będą jej przyjaciółkami.

Nagle zatrzęsała się z zimna. Sally uśmiechnęła się do niej.

- Chodźmy do środka - powiedziała. - Jen ma rację. Zamarzniemy tutaj.

Tego dnia odbywał się tylko ich chrzest. Młody ksiądz przywitał ich bardzo ciepło, jak tylko się usadowili w kościelnych ławkach.

- Miło was wszystkich widzieć - powiedział. - A to pewnie malutka? Jest śliczna. Możemy zaczynać? Kto jest kim? - uśmiechnął się do Iony. - Pani jest matką chrzestną, tak?

- A ja ojcem chrzestnym - powiedział Myles.

- Dobrze - powiedział ksiądz. - Zaczynamy. Powitajmy ją w naszej wspólnotie.

Frank też został tutaj ochrzczony. Sally wiedziała o tym, bo pokazał jej ten kościół podczas jednej z ich wizyt w Sligo. Powiedział wtedy, że wcale niedziwne, że Christine wyjechała, bo tu naprawdę diabeł mówi dobranoc. Sally przez chwilę pomyślała o teściowej, która po pogrzebie przysłała jej list. Napisała, że żałuje tego, co się stało, i że jej przykro, iż nie postąpiła inaczej. Możliwe, pisała, że całkowite wykluczenie Franka i jego rodziny z życia, nawet jeśli wtedy wydawało jej się, że postępuje właściwie, było błędem. Poprosiła, żeby Sally zwróciła się do niej, gdyby w przyszłości czegokolwiek potrzebowała, gdyby kiedykolwiek mogła jej jakoś pomóc. I życzyła jej szczęśliwego rozwiązania. Za późno, pomyślała Sally. Christine zawsze się spóźniała. Za późno sobie uświadomiła, że jest z niewłaściwym mężczyzną, za późno zapragnęła kontaktu z synem. Sally wysłała jej zdjęcie Jenny i dziecka. To niewiele, ale tylko na tyle potrafiła się zdobyć.

Wymieniła spojrzenie z Ioną, ta uśmiechnęła się do niej i trzymając w ramionach dziecko, pokazała uniesiony w górę kciuk.

- Francesco Anno - powiedział ksiądz. - Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Francesca rozplakała się głośno, gdy strużka zimnej wody pociekła jej po czole. Ksiądz wytarł ją delikatnie miękką tkaniną, a Iona zaczęła ją uspokajać. Dziewczynka przestała płakać i przyglądała się jej swoimi granatowymi oczami.

- Przepraszam - wyszeptała Iona.

Francesca patrzyła na nią oskarżycielsko.

- Och, nie marudź - wymruczała do niej Sally, a mina dziewczynki wyrażała, że czuje się urażona. Zamknęła oczy i wtuliła się z powrotem w kocyk.

* * *

Na zewnątrz wciąż padało. Wsiedli do samochodów i przejechali kilka kilometrów, które dzieliły kościół od brzegu zatoki. Przed nimi rozciągała się plaża, a przy brzegu kipiały zielone wody morza. Wiatr był przenikliwie zimny. Iona, Sally i Jenna wysiadły z samochodów.

- Ponuro tu - stwierdziła Iona.

- Tak, nie chciał tu mieszkać, ale podobała mu się ta ogromna przestrzeń - powiedziała Sally.

- Rozumiem go - Iona popatrzyła w głąb lądu. Na skraju horyzontu dostrzegła szczytową ścianę rodzinnego domu Harperów. W zeszłym tygodniu wystawiły go na sprzedaż i już znalazł się potencjalny nabywca. Uzgodniły, że połowę uzyskanych pieniędzy zainwestują w firmę, a drugą połowę podzielą równo między siebie. Każda z nas to teraz twarda biznesmenka, pomyślała Iona.

- Upewnijmy się, że wiatr wieje nam w plecy, zanim to zrobimy - powiedziała Sally.

Jennie aż zabrakło tchu.

- Mamo!

- No co, przecież wszystkie mamy na sobie nowe ciuchy - odpowiedziała Sally obronnym tonem, a Iona zachichotała.

- Jesteście gotowe? - zapytała Sally.

Głos lekko jej drżał.

- Gotowe - odparła Iona.

Siobhán, Lauren i Myles patrzyli, jak Sally wyjmuje z pudełka urnę, unosi pokrywkę i wytrząsa zawartość.

Wiatr porwał prochy Franka i uniósł je ponad wilgotną, sprężystą trawą w stronę morza.

- Do widzenia, tato! - krzyknęła Jenna.

- Bądź szczęśliwy, Frank - Iona uniosła dłoń w geście pożegnania.

- Do widzenia - wyszeptała Sally.

Rodzina Franka odwróciła się i ruszyła, ramię w ramię, z powrotem do ciepłego wnętrza samochodów.



TLR